

Pasjonująca powieść o mrocznej rodzinie Borgiów



SARAH DUNANT



Krew i piękno

Sarah Dunant

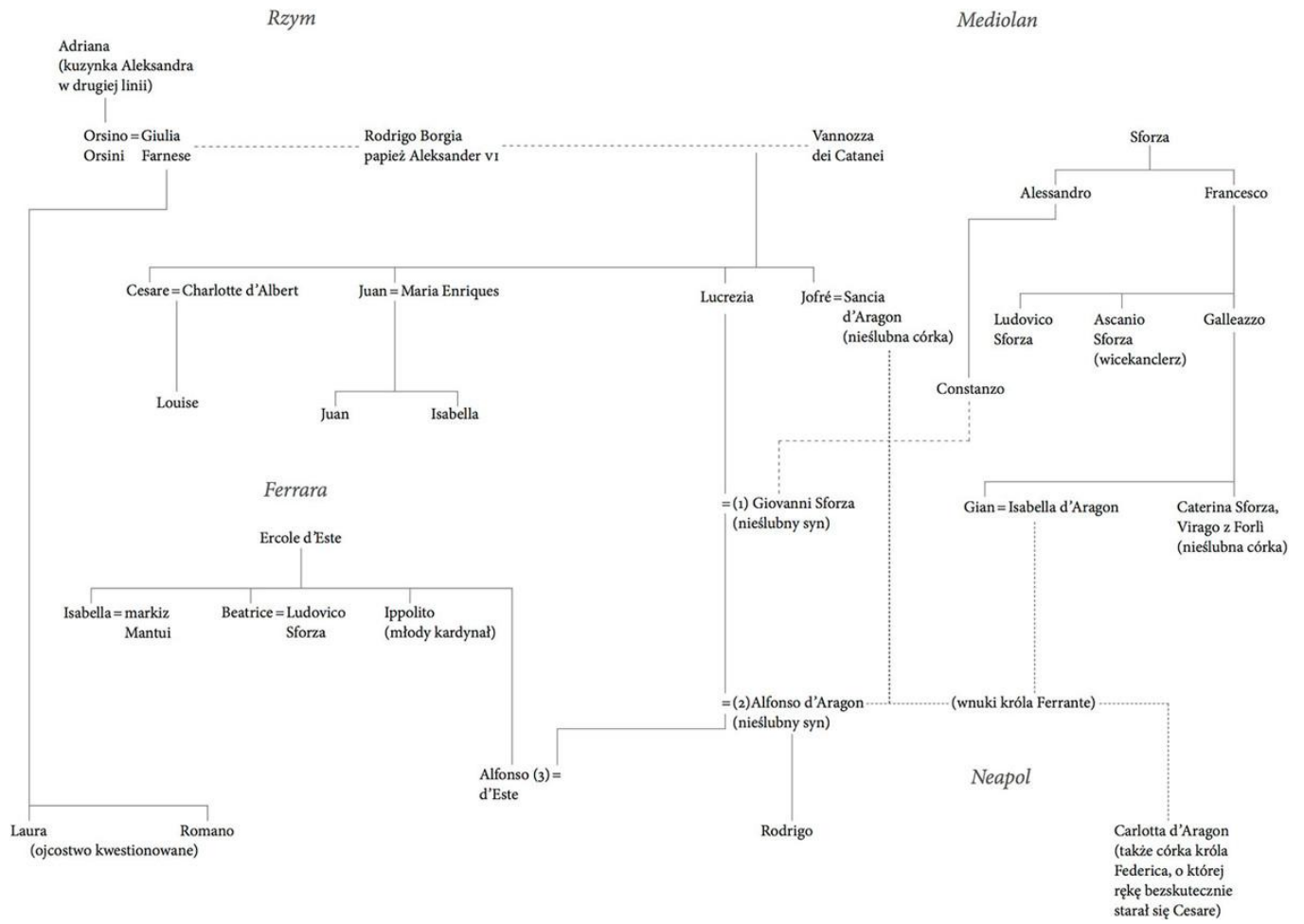
Krew i piękno

Przełożyła Marianna Cielecka

W renesansowej Italii panoszą się korupcja i okrucieństwo. Źródło zła znajduje się w samym sercu Rzymu.

W 1492 roku Rodrigo Borgia zostaje papieżem i jako Aleksander VI musi się zmierzyć z potężnymi wrogami. Jest Hiszpanem w mieście Włochów, gdzie walkę o władzę prowadzi się za pomocą spisków, przekupstwa i zbrodni. Okoliczności wymagają, aby Borgia – charyzmatyczny i głodny sukcesu polityk – wykorzystał nie tylko potęgę swojego urzędu, ale także rodzinę. Jego brutalny i bezduszny syn Cezar ma wzbudzać lęk u wrogów, zaś młoda i niewinna córka Lukrecja stać się figurą w dynastycznych rozgrywkach. Ku jej rozpacz, szybko okaże się, że w świecie misternie konstruowanych sojuszy nie ma miejsca na miłość.

Anthony'emu,
który sprawił, że terażniejszość stała się równie bogata jak przeszłość





Nota historyczna



Pod koniec XV wieku mapę Europy tworzyły terytoria w ogólnym zarysie rozpoznawalne dla współczesnego oka. Francja, Anglia, Szkocja, Hiszpania i Portugalia, rządzone przez dziedzicznych monarchów, stały się już jednostkami geograficzno-politycznymi. Italia natomiast wciąż była zlepkiem państw-miast, co czyniło ją podatną na inwazje. Poza Republiką Wenecji państewka te pozostawały w większości w rękach dynastii: Mediolan – Sforzów, Florencja – Medicich, zwanych Medyceuszami, Ferrara – rodu d'Este, a Neapol i południe – hiszpańskiej dynastii aragońskiej.

Pośrodku zaś leżał Rzym – arena rozgrywek silnych rodów walczących o pozycję, lecz przede wszystkim siedziba papieżstwa. Jakkolwiek ziemskie posiadłości papieża, często oddawane we władanie legatów, przedstawiały się skromnie, jego wpływy były olbrzymie. Jako głowa Kościoła papież, zazwyczaj Włoch, obejmował rozległą sieć swego protektoratu całą Europę, a jako namiestnik Boży na ziemi mógł używać władzy duchowej do celów strategicznych i politycznych – i tak też się działo. W sytuacji, gdy katolicyzm panował niepodzielnie, a Kościół toczyło zepsucie, nie należeli do rzadkości papieże gromadzący bogactwa i zabiegający o kariery i dobrobyt członków swojej rodziny, w niektórych przypadkach własnych dzieci z nieprawego łoża.

Taki był stan rzeczy latem 1492 roku, kiedy po śmierci Innocentego VIII pusty tron papieski w Rzymie czekał na ponowne zajęcie.

CZEŚĆ I

Mamy papieża

Jest w wieku, w którym podług Arystotelesa mężowie są najmędrsi – krzepki na ciele, żwawy na umyśle, wybornie przysposobiony do swego nowego stanowiska.

Sigismondo de' Conti, sekretarz papieski, 1492 rok



Rozdział 1



11 sierpnia 1492

Nocny nieboskłon podbiega bladym sińcem brzasku, gdy ktoś z wnętrza pałacu otwiera z rozmachem okno i pojawia się w nim twarz o rysach zniekształconych przez światło płonących poniżej pochodni. Żołnierze, których rozstawiono na placu w dole, by strzegli spokoju, posnęli, lecz budzą się dostatecznie prędko, kiedy rozlega się głos:

– MAMY PAPIEŻA!

Powietrze w środku jest skisłe od starczego potu. Sierpniowy Rzym to miasto skwaru i śmierci. Od pięciu dni dwudziestu trzech mężczyzn tkwi pod kluczem w wielkiej watykańskiej kaplicy, w której panuje teraz raczej atmosfera koszar. Wszystkich należy zaliczyć do osobistości wyróżniających się pozycją i bogactwem, nawykłych do jadania ze srebrnej zastawy, z tuzinem sług na każde skinienie. Tu jednak nie ma skrybów piszących dla nich listy ani kucharzy szykujących ucztę. Tutaj, z jednym tylko służącym, który ich odziewa, spożywają skromne posiłki wydawane przez drewniane okienko, zatraskujące się tuż za ostatnim talerzem. Światło dnia sączy się z niewielkich okien wysoko pod sufitem, nocą zaś pod kolebkowym sklepieniem wymalowanym w niebo i gwiazdy, rozległym, zda się, jak sam firmament, migoczą niezliczone świece. Zebrani przebywają stale ze swoimi towarzyszami; wolno im wyjść jedynie po to, by spełnić oficjalny obowiązek oddania głosu, lub za potrzebą – a praca trwa nawet w latrynach: negocjacje i namowy ponad ciurkaniem moczu typowym dla starzejących się mężczyzn. Wreszcie, kiedy są już zbyt znużeni, by rozmawiać, albo pragną poprosić Boga o przewodnictwo, mogą się udać na spoczynek do swoich cel – prowizorycznych komór postawionych rzędami w kątach kaplicy i wyposażonych w krzesło, stół oraz pryczę; surowość warunków ma bez wątpienia przypominać o udrękach, przez które przejść muszą ci, co dążą do świętości.

Tyle że ostatnimi czasy trudno o świętych, zwłaszcza w łonie rzymskiego konklawe kardynałów.

Drzwi zaryglowano rankiem 6 sierpnia. Dziesięć dni wcześniej, po latach ciągłego niedomagania, papież Innocenty VIII w końcu ustał w wyczerpującym wysiłku trwania przy życiu. Jego syn i córka czekali cierpliwie w swoich komnatach w watykańskim pałacu, aż zostaną wezwani do jego łoża, lecz ostatnie chwile papieża należały do sprzecających się kardynałów i medyków. Zwłoki jeszcze nie ostygły, gdy po ulicach zaczęły się rozchodzić jak smród z kanałów rozmaite opowieści. Wataha ambasadorów i dyplomatów zaczerpnęła tchu, po czym w jukach rączych koni rozesłała po kraju własne wersje wydarzeń: historyjki, jak to ciało Jego Świętobliwości legło bez życia, pokurczone, mimo opróżnienia karafki krwi wytoczonej z żył małych rzymskich uliczników na polecenie żydowskiego medyka, który zaklinał się, że to przyniesie ocalenie, i jak to pozbawionymi krwi chłopiętami karmiły się ryby w Tybrze, podczas gdy medyk umykał z miasta. Tymczasem ulubieniec papieża, choleryczny kardynał della Rovere, i wicekanclerz kardynał Rodrigo Borgia byli tak zajęci pojedynkiem na zniewagi toczonym ponad papieskim posłaniem, że żaden z nich nie spostrzegł, kiedy Jego Świętobliwość przestał oddychać. Niewykluczone, że papież Innocenty umarł, by uciec od zgiełku, jako że ci dwaj kłócili się od lat.

Rzecz jasna, w takiej sieci plotek każdy musi wybrać, w co chce wierzyć, toteż różni władcy smakują nowiny – jak mięsiwo – mniej lub bardziej doprawione. Podczas gdy mało kto będzie miał wątpliwości co do pokazujących sobie pazurki kardynałów, niektórych może zastanowić krew, skoro wszem wobec wiadomo, że jedynym pokarmem Jego -Świątobliwości w ostatnich tygodniach było mleko od mamki, ulokowanej w przedsionku i opłacanej od kubka. O, nie ma to jak iść do nieba w upojeniu smakiem matczynego mleka!

Jeśli zaś idzie o konklawe, które następuje po tych wypadkach – cóż, bezpiecznie można przewidywać tylko tyle, że wyniku nie sposób przewidzieć; to oraz fakt, że następny namiestnik Boży na ziemi zostanie wybrany tyleż dla cnót predysponujących go do tego stanowiska, co dzięki wpływom i przekupstwu.

Pod koniec trzeciego dnia, kiedy strudzeni kardynałowie udają się w zacisze swoich cel, Rodrigo Borgia, wicekanclerz papieski i hiszpański kardynał Walencji, siedzi i kontempluje otoczenie. Nad zdobnymi draperiami namalowanymi na ścianach kaplicy (ponoć niejeden z nowo mianowanych kardynałów próbował rozsunać te kotary) widnieje scena z życia Mojżesza: córki Jetry są młode i świeże, a sploty ich włosów i kolory szat wibrują nawet w świetle świec. Kaplica Sykstyńska pyszni się szesnastoma takimi freskami – scenami z żywotów Chrystusa i Mojżesza; ci wystarczająco wpływowi mogli wybrać sobie celę według miejsca w cyklu. Kardynał della Rovere, aby przypadkiem nikt nie pozostał nieświadom jego ambicji, zasiada pod wizerunkiem Chrystusa wręczającego świętemu Piotrowi klucze Kościoła, podczas gdy jego główny rywal, Ascanio Sforza, musiał się zadowolić Mojżeszem dzierżącym kamienne tablice (choć co poniektórzy stwierdziliby, że jako brat regenta groźnego księstwa Mediolanu, kardynał Sforza ma za sobą coś więcej niż tylko dziesięcioro przykazań).

Publicznie Rodrigo Borgia był zawsze bardziej umiarkowany w swoich aspiracjach. Piastował urząd wicekanclerza przez pięć pontyfikatów – co samo w sobie należało uznać za nie lada osiągnięcie dyplomatyczne – i prócz wielu beneficjów zapewniło mu to pozycję jednego z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi Kościoła w Rzymie. Jednego wszak nie zdołał obrócić na swoją korzyść: płynącej w nim hiszpańskiej krwi. Dlatego tron papieski wciąż mu się wymykał. Być może zmieni się to teraz, gdyż po dwóch publicznych głosowaniach wśród głównych konkurentów zapanował impas, który czyni jego skromną garstkę głosów daleko możniejszą.

Rodrigo Borgia szepcze krótką modlitwę do Dziewiczej Matki, sięga po swój kardynalski kapelusz i kroczy po marmurowej posadzce między wzniesionymi naprędce celami, aż znajduje tę, której szukał.

W środku, cokolwiek sterany temperaturą i politykowaniem, siedzi młody mężczyzna z bachusowym brzuszkiem i bladą jak ciasto twarzą. Siedemnastoletni Giovanni de' Medici jest najmłodszym w historii kardynałem powołanym do Świętego Kolegium i nie zdecydował jeszcze, z kim związać się lojalnością.

– Wicekanclerzu! – Młodzieniec zrywa się na równe nogi. Prawda jest taka, że trudno bez przerwy borykać się ze sprawami Kościoła, toteż jego myśli zdryfowały ku śmietankowym piersiom dziewczyny, z którą dzielił łożę, gdy studiował w Pizie. Było w niej coś takiego – śmiech, zapach skóry? – że gdy potrzebuje pociechy, w wyobraźni ociera się właśnie o jej ciało. – Wybaczenie, nie słyszałem was.

– Przeciwnie, to ja winienem prosić o wybaczenie. Przeszkodziłem ci w modlitwie.

– Nie... Nie całkiem.

Oferuje gościowi jedyne krzesło, lecz kardynał Borgia odmawia gestem dłoni i plasuje swe rozłożyste siedzenie na pryczy.

– To będzie dla mnie w sam raz – mówi jowialnie, uderzając pięścią w materac.

Młody Medici wpatruje się w niego. Nadzwyczajne, jak rzeński pozostaje ten tęgi mężczyzna, gdy wszyscy inni wędną w niemilosiernym upale. Światło świecy wydobywa z mroku szerokie czoło pod strzechą siwych włosów z wyciętą tonsurą, wydatny orli nos i pełne wargi oraz grubą szyję. Nikt nie nazwałby – nie mógłby nazwać – Rodriga Borgii przystojnym; jest już na to za stary i zbyt przysadzisty. A jednak temu, kto raz nań spojrzy, niełatwo odwrócić wzrok, bo w tych ciemnych, przenikliwych oczach widać energię znacznie młodszą niż ich właściciel.

– Mając za sobą wybory czterech papieży, żywię już niemal upodobanie do, nazwijmy to tak, „wyzwań” konklawe. – Głos, podobnie jak ciało, jest imponujący, głęboki i pełny, z pozostałościami hiszpańskiego akcentu słyszalnymi w gardłowych wygłosach niektórych słów. – Pamiętam jednak swój pierwszy raz. Byłem niewiele starszy od ciebie. Również mieliśmy wtedy sierpień; niestety, fatalny miesiąc, jeśli chodzi o zdrowie naszych ojców świętych. Rzecz jasna, nasze więzienie nie było wówczas tak wspaniałe. Pożerały nas żywcem komary, a od twardego legowiska bolały mnie wszystkie kości. Mimo to przetrwałem. – Śmieje się, gromko, bez śladu samokontroli czy sztuczności. – Choć oczywiście nie miałem za przewodnika tak wybitnego ojca. Lorenzo de’ Medici byłby dumny, widząc, że zajmujesz miejsce w konklawe, Giovanni. Szczerze boleję nad jego zgonem. To strata nie tylko dla Florencji, ale i dla całej Italii.

Młody mężczyzna skłania głowę. „Strzeż się, synu. Dzisiejszy Rzym to jaskinia nieprawości, w której ogniskuje się wszystko, co złe”. Pod szatami trzyma list od swego ojca – porady dotyczące wejścia w węzowe gniazdo kościelnej polityki udzielone przez człowieka, który umiał ślizgać się po cienkim lodzie, sprawiając wrażenie, że tańczy. „Ufać można nielicznym. Zachowuj swe zamiary dla siebie, dopóki się nie urządzisz”. W ciągu paru miesięcy, które upłynęły od śmierci ojca, młody kardynał nauczył się treści listu na pamięć, choć teraz gorzko żałuje, że jego słowa nie są mniej ogólnikowe.

– Powiedz mi więc, Giovanni... – Rodrigo Borgia przesadnie ścisza głos, jakby miał zaraz podzielić się sekretem – jak sobie dajesz radę w tym labiryncie?

– Modłę się do Boga, byśmy znaleźli właściwego człowieka, który nas poprowadzi.

– Dobrze powiedziane! Jestem pewien, że twój ojciec wyrzekał na zepsucie Kościoła i ostrzegał cię przed fałszywymi przyjaciółmi, którzy będą próbowali zdeprawować cię na swoje podobieństwo.

„Obecne kolegium kardynałów ubogie jest w wartościowych ludzi i lepiej, byś miał się przy nich na bacności”. Młodzieniec mimowolnie unosi rękę do piersi, by sprawdzić, czy list jest ukryty. „Wystrzegaj się zwodzicieli i złych doradców, niegodziwców, którzy będą ściągali cię w dół, licząc, że twoja młodość uczyni z ciebie łatwy łup”. Nawet jastrzębie oczy wicekanclerza nie zdołają przeniknąć przez dwie warstwy odzieży, by odczytać to, co utajone, prawda?

Na zewnątrz powietrze przeszywa krzyk, a po nim wystrzał z arkebuza, nowej broni na nowe czasy. Młodzieniec gwałtownie zadziera głowę ku wysokiemu, ciemnemu oknu.

– Nie przejmuj się. To tylko pospolite rozruchy.

– Och... nie, nie martwię się.

Powszechnie wiadomo, że w okresie *interregnum*, między jednym a drugim papieżem, Rzym natychmiast wymyka się spod kontroli. Ciosem noża w ciemnym zaułku załatwia się stare porachunki, a pod osłonką nieokiełzanego bandytyzmu – grabieży, burd i morderstw – wykluwają się nowe. Najgorsze jednak czeka tych, którzy cieszyli się zbytnimi łaskami, bo oni mają najwięcej do stracenia.

– Szkoda, że cię tu nie było, kiedy zmarł ostatni papież z rodu della Rovere, Sykstus IV...

ale nawet Lorenzo de' Medici nie mógł zrobić kardynałem dziesięcioletniego syna, prawda? – Rodrigo się śmieje. – Jego siostrzeniec był tak znienawidzony, że tłum ogołocił jego dom szybciej niż rój szarańczy. Gdy kończyło się konklawe, pozostały tylko ściany i balustrady. – Potrząsa głową, niezdolny ukryć, że delektuje się tym wspomnieniem. – W każdym razie musisz czuć się tutaj jak w domu, siedząc pod dziełami protegowanych twego ojca. – Kieruje wzrok w stronę fresku na tylnej ścianie celi, z grupą gibkich postaci tak pełnych wdzięku, jakby poruszały się jeszcze pod pędzlem malarza. – To ten Botticelli, tak?

– Sandro Botticelli, tak. – Jego styl jest dla młodego florent-czyka równie znajomy jak Modlitwa Pańska.

– Cóż za talent! To cudowne, jak wiele... jak wiele ciała wkłada w duszę. Zawsze uważałem, że papież Sykstus był nadto uprzywilejowany, mając go dla siebie, zważywszy na fakt, że trzy lata wcześniej uknuł spisek, by zabić jego mecenasa, a twego ojca, i zgładzić cały ród Medycich. Na szczęście jesteś za młody, by pamiętać ten gwałt.

Lecz nie na tyle młody, by kiedykolwiek pozwolono mu zapomnieć. Bardziej krwawy od samego zamachu był jedynie odwet.

– Fortuna chciała jednak, by Lorenzo przeżył i miał się dobrze. Mimo wysiłków rodziny della Rovere – dodaje Rodrigo z uśmiechem.

– Mój ojciec zawsze wysoko sobie cenił wasz bystry umysł, wicekanclerzu. Wiem, że wiele się od was nauczę.

– A! Widzę, że masz już jego lotność i zdolności dyplomatyczne. – Uśmiech kardynała płynnie przechodzi w śmiech. Płomyk świecy na stole chwieje się od podmuchu, a wyraziste rysy wicekanclerza mienia się w pełgającym świetle. Młodszy mężczyzna czuje strażkę potu spływającą spod włosów i ociera ją dłonią. Na palcach pozostaje mu lepki osad. Kardynał Borgia natomiast wydaje się zupełnie niewrażliwy na gorąco. – Daruj mi, jeśli okazuję coś na kształt ojcowskich sentymentów. Sam mam syna w twoim wieku, który także potrzebuje rady, wspinając się po szczeblach kościelnej drabiny. Ach, ale przecież o tym wiesz! Studiowaliście razem w Pizie. Cesare często mówił o tobie jako o dobrym przyjacielu. I wybitnym adeptcie retoryki i prawa.

– Podobnie jak ja mówiłem o nim.

Publicznie, nie prywatnie. Nie, prywatnie hardy młody Borgia był zbyt szczelnie otoczony przez swą hiszpańską świtę, by się z kimkolwiek przyjaźnić. I bardzo dobrze, bo bękart Borgii nie może równać się towarzysko z prawowitym dziedzicem Medycich, choćby paradował obwieszony workami złota (a tak było: kiedy przychodził na posiłki, ledwo dało się dostrzec materię jego odzienia pod klejnotami, którymi je wyszyto). Był jednak inteligentny i w myśleniu tak rzutki, że w publicznej dyspacie potrafił dopiąć celu, dotąd wyciągając z rękawa, jak różnobarwne nitki, trafne argumenty, aż czarne stawało się białym, a to, co niesłuszne – zaledwie odcieniem szarości. Nawet pochwały nauczycieli zdawały się go nudzić; żył w pełni bardziej w tawernie niż w auli. W tej słabostce wszakże nie był odosobniony.

Młody Medici rad jest cieniowi, który ich spowija. Nie chciałby wystawiać takich myśli na światło dzienne. Nawet jeśli w herbie Borgiaów widnieje byk, wszyscy wiedzą, że całą rodzinę cechuje przebiegłość godna lisa.

– Cóż, podziwiam twoje oddanie dobru, kardynale. – Rodrigo Borgia nachyla się i delikatnie kładzie dłoń na jego kolanie. – Rzecz to wielkiej wagi w oczach Boga. – Przerywa na chwilę. – Choć, obawiam się, nie w annałach ludzkości. Smutna prawda jest taka, że żyjemy w świecie na wskroś zepsutym i jeśli wybierzemy papieża, który nie będzie umiał stawić czoła apetytom czających się wokół wilków, nie przetrwa ani on sam, ani Italia.

Grzbiet jego dłoni jest gruby jak sztuka mięsa, lecz palce zaskakująco wytworne,

stożkowato zakończone wypielęgowanymi paznokciami, i młodszy mężczyzna przyłapuje się na myśli o kobiecie, która ostatnio zaszczyca łożo wicekanclerza. Istna Wenus, mówią: o mlecznej skórze, złotych włosach i tak młoda, że mogłaby być jego wnuczką. Plotka zabarwiona jest niesmakiem – że też taka słodycz obcuje z takim próchnem! – ale i zawiścią: jak łatwo piękno przywiera do magnesu władzy, bez względu na powierzchowność mężczyzny!

– Wicekanclerzu. – Giovanni nabiera powietrza. – Jeśli jesteście tu po to, by zdobyć mój głos...

– Ja? Nie, nie, nie. Jestem tylko jagnięciem w tej mocarnej gromadce. Tak jak ty, pragnę jedynie służyć Bogu i naszej Świętej Matce Kościołowi. – Teraz w oczach starszego mężczyzny widać iskry. Mówi się, że gdy gniew Giuliana della Rovere pali do żywego, u Borgii bardziej trzeba lękać się uśmiechu. – Nie. Jeśli wysuwam się naprzód, to tylko dlatego, że naoglądawszy się podobnych sytuacji, mam obawy, że ten pat popchnie nas w ręce jeszcze mniej wprawne niż moje.

Giovanni wpatruje się weń, zdumiewając się siłą człowieka, który potrafi kłamać tak bezczelnie i jednocześnie sprawiać wrażenie, że jego słowa płyną prosto z serca. Czy to w tym tkwi jego sekret? W ciągu ostatnich kilku dni miał okazję obserwować go w działaniu, zauważyć, jak niezmordowanie kluczy pomiędzy grupkami, jak pierwszy zrywa się, by odprowadzać starszych do ich cel, albo stwierdza, że czas sobie ulżyć, kiedy negocjacje utykają w martwym punkcie i trzeba nowych motywacji. Kilka razy gdy Giovanni wchodził do latryny, rozmowy cichły raptownie – i prawie zawsze był tam wicekanclerz, promienny i kiwający głową nad tym swoim brzuszyskiem, z przyrządem luźno trzymanym w dłoni, jakby była to dla kardynała najnaturalniejsza w świecie pozycja, którą przybiera się w czyjejs obecności.

Powietrze w celi jest zawiesiste jak zupa.

– Słodka Maryjo i wszyscy święci... Jeśli nie będziemy uważać, ugotujemy się z wolna żywcem jak święty Cyryn. – Rodrigo teatralnym gestem wachluje sobie twarz i sięga pomiędzy fałdy szat, wydobywając szklany flakonik z ozdobną srebrną nakrętką. – Mogę zaoferować ci orzeźwienie?

– Nie, nie, dziękuję.

Wicekanclerz wsadza palec do naczynka i namaszcza się suto. Czując woń jaśminu, młodzieniec przypomina sobie, że przez ostatnie dni wychwytywał jej pozostałości – jak i kilku innych pachnideł – w różnych miejscach współdzielonej przestrzeni. Czyżby poszczególne obozy, jak sfory psów, identyfikowały się po zapachu?

Kardynał wstaje, zbierając się do wyjścia, i przesadnie długo chowa flakonik, po czym jakby się rozmyśla.

– Giovanni, za bardzo widzisz mi się synem swego ojca, byś nie rozeznawał, co się tutaj dzieje. Powiem ci zatem coś, czego nie powiedziałem publicznie. – I nachyla swą masywną postać, by znaleźć się bliżej twarzy młodzieńca. – Nie płoń się. Potraktuj to jako hołd dla twojej rodziny: fakt, że udzielam ci lekcji, jak falują wpływy, kiedy powietrze można kroić nożem niczym śmierdzący ser. Della Rovere nie zdoła wygrać tych wyborów, jakkolwiek by to teraz wyglądało.

– Skąd wiecie? – pyta szybko młody mężczyzna; zaskoczenie i być może pochlebstwo wzięły górę nad powściągliwością, którą sobie przypisywał.

– Wiem, ponieważ prócz tego, że umiem liczyć, wejrzałem w serca ludzi. – Uśmiecha się, ale już bez uprzedniej wesołości. – W następnym głosowaniu obóz della Roverego zbierze więcej głosów, co wysunie go na prowadzenie, lecz nie na tyle, by zapewnić mu definitywne zwycięstwo nad Sforzą. Kiedy tak się stanie, Ascanio Sforza, który nie byłby złym papieżem, choć za bardzo faworyzowałby Mediolan, by Florencja, wraz z tobą, mogła go ścierpieć, wpadnie

w panikę. I będzie miał rację. Bo papieżstwo della Roverego byłoby papieżstwem sprzyjającym temu, kto zapłaci więcej. A pieniądze, którymi próbuje teraz wkupić się na tron, nawet nie należą do niego. Wiesz, skąd pochodzą? Z Francji! Wyobraź sobie: włoski kardynał kupiony przez Francję. Jestem pewien, że słyszałeś pogłoski. Plugawe oszczerstwo, myślisz może? Ale w tym mieście oszczerstwo jest zazwyczaj mniej ohydne niż prawda. – Wydaje z siebie przeciągłe ponad miarę westchnienie. – To byłoby oczywiście katastrofalne: obce mocarstwo panoszące się w papieskiej komnacie. Dlatego, aby pogrążyć rywala, Ascanio Sforza zwróci się do mnie.

Przerywa, jak gdyby chcąc, by te słowa dotarły w pełni do Giovanniego.

– Będę bowiem w tym momencie jedynym człowiekiem, który potrafi powstrzymać wodospad.

– Zwróci się do was? Ale... – „Powtórzę raz jeszcze, synu: zanim się urządzisz, czyń lepiej użytek z uszu niżli z języka”. – Ale myślałem... – urywa.

– Co myślałeś? Że papież *Bohrzia* także byłby cudzoziemcem – mówi Rodrigo, wskrzeszając charczącą gardłową wymowę swego nazwiska. – Kimś, kto będzie popierał jedynie własną rodzinę, a lojalność okazywał raczej Hiszpanii niż Italii. – Przez chwilę jego oczy rozbłyskują nieskrywanym gniewem. – Powiedz mi: czy papież Medici troszczyłby się mniej o Świętą Matkę Kościół, bo miłuje swoją rodzinę i pochodzi z Florencji?

– Kardynale Borgia, nie było moją intencją...

– Uchybić mi? Nie! I nie zrobiłeś tego. Potężne rody muszą mówić ze sobą otwarcie. Nie spodziewałem się niczego innego. – Uśmiecha się, doskonale świadom, że takie zrównanie ich pozycji może być odebrane jako despekt przez drugą stronę. – Tak, nazywam się Borgia. Gdy biorę w objęcia dzieci, rozmawiamy w naszym ojczystym języku. Ale niech ktoś spróbuje powiedzieć, że jestem gorszym Włochem niż ci, co trzymają nos we francuskim skarbcu! Jeśli tiara papieska jest na sprzedaż, a Bóg świadkiem, że nie ja zapoczątkowałem ten proces, to przynajmniej utrzymajmy licytację w naszych czterech ścianach. – Wzdycha ponownie i klepie Giovanniego po ramieniu. – Och, boję się, że powiedziałem za dużo. Widzisz? Wyciągnąłeś ze mnie prawdę. Zupełnie wrodziłeś się w ojca. Ależ był z niego polityk! Zawsze z poślinionym palcem w górze, żeby wiedzieć, kiedy wiatr się zmienia, i tak ustawiać żagle, by nawa trzymała kurs.

Młody Medici nie odpowiada. Za bardzo olśnił go spektakl. Polityka uroku. Dorósłszy pod boki ojca, który potrafił zmieniać ocet w miód, ilekroć go potrzebował, wie lepiej niż inni, jak to działa, lecz taka mieszanka kordialności, sprytu i aktorstwa jest nowością nawet dla niego.

– Jesteś zmęczony. Wypocznij. Cokolwiek się stanie, wyniknie nie wcześniej niż jutro. Wiesz, myślę, że mój Cesare wyglądałby w purpurowej szacie niemal tak świetnie jak ty. – Ostatni uśmiech wicekanclerza jest najpromienniejszy, być może dlatego, że niczego nie maskuje. – Już widzę, jak stoicie ramię w ramię, silni i wysocy jak cyprysy. Tyle młodości i energii... pomyśleć, jaki ogień mogłyby wzniecić wśród tych zmurszałych pni! – Wybucha huraganowym śmiechem. – Ach, ta niemądra duma mężczyzn, którzy kochają swoich synów bardziej niż siebie samych!

Po jego wyjściu młody kardynał siedzi i rozważa wszystko, co usłyszał, lecz choć powinien się skupić na najbliższym głosowaniu, nie może się pozbyć wyobrażenia Cesarego Borgii w purpurze. Widzi go, jak otoczony ciasnym wianuszkiem swoich kompanów kroczy ulicami Pizy, jakby każde drzwi miały się dlań otworzyć, zanim jeszcze zapuka – a i wtedy niekoniecznie zechce wejść. Bóg wie, że we władzach Kościoła zasiada wielu ludzi, którzy z pokorą zawarli jedynie przelotną znajomość, ale jakkolwiek byliby wyniośli i leniwi (za bardzo jest Giovanni synem swego ojca, by nie zdawać sobie sprawy z własnych wad), przynajmniej publicznie starają się robić to, czego się od nich oczekuje. Cesare Borgia jednak – nigdy.

Cóż, niezależnie od arogancji Borgii, jego ojciec zawiedzie się w swych ambicjach. Może być obłożony kościelnymi beneficjami, ale jest próg, przez który nie przestąpi. Prawo kanoniczne, na którego studiowaniu zmarnotrawili całe lata, wypowiada się w tej kwestii nader jasno: choć spółdzionym po lewej stronie łoża mogą przypaść w udziale bogactwa, żaden bastard – nawet papieski – nigdy nie dostanie się do Świętego Kolegium kardynałów.

Na zewnątrz zbierają się na wieczerzę. Śmiech Rodriga Borgii dźwięczy gdzieś w głównym pomieszczeniu, gdzie trwa bardziej publiczna agitacja. Jeśli obóz della Roverego ma zdobyć głosy, zanim przegra, ktoś musi w tej chwili o nie zabiegać, by zwycięstwo wyglądało na pewne.

Giovanni wyjmuje z zanadru list ojca. Papier jest wilgotny i wiotki od potu, który pokrywa jego ciało nie tylko z powodu panującego gorąca. Pierwszy raz, odkąd znalazł się na konklawe, młodzieniec klęka, a jego modlitwa płynie z serca.



Rozdział 2



Następnego ranka w reprezentacyjnym przedsionku wielkiej kaplicy odbywa się trzecie głosowanie konklawe.

Po przeliczeniu głosów okazuje się, że frakcja della Roverego ma niewielką, lecz zauważalną przewagę. Della Rovere siedzi z kamiennym obliczem, będąc zbyt dobrym politykiem, by dać cokolwiek po sobie poznać, lecz Ascanio Sforza, który i ból, i przyjemność ma zazwyczaj wypisane na czole, natychmiast zdradza się ze swym zaniepokojeniem. Zerka nerwowo na wicekanclerza, ale kardynał Borgia trzyma oczy spuszczone, niczym pogrążony w modlitwie.

Na zewnątrz obozy rozchodzą się w różne strony. Borgia opuszcza towarzystwo i udaje się do latryny. Sforza odprowadza go wzrokiem, przestępując z nogi na nogę, jakby zaraz miał mu pęknąć pęcherz, i rusza w tym samym kierunku, ledwo zamykają się drzwi. Wychodzi parę minut później poszarzały na twarzy. Jego brat może rządzić szmatem północnej Italii, ale tutaj trzeba siły innego rodzaju. Znika w ciżbie. Po chwili kilku jego najpotężniejszych zwolenników również czuje zew natury. Wreszcie pojawia się sam Borgia. Tym razem się nie uśmiecha. Ma minę człowieka, który pogodził się z perspektywą porażki. Tyle tylko, że dokładnie taka poza jest konieczna, jeśli przegrani mają zamienić się miejscami z wygranymi, zanim ci się zorientują, o co chodzi.

Pomimo zamkniętych drzwi przed zapadnięciem zmroku nowina jak smużka dymu wmyka się z watykańskiego pałacu i staje plotką spożywaną na kolację przy najbogatszych stołach miasta, tak że wszystkie wielkie rodziny, Orsini, Colonnowie i Gaetani (każda z własnym kardynałem zaangażowanym w walkę), kładą się spać, mieląc w ustach miano della Rovere, i śnią o zdobyczach zwycięzców.

Tymczasem w połowie drogi między Ponte Sant' Angelo – Mostem Świętego Anioła – a Campo de' Fiori ciemność skrywa inne działania. Pałac Borgii słynie w Rzymie jako owoc tryumfalnego mariażu gustu i pieniędzy. Jest nie tylko domem przebogatego kardynała, ale i siedzibą Kancelarii, która zarządza finansami papieżstwa i sama w sobie stanowi dochodowe przedsiębiorstwo. Przed ostatnim głosowaniem ci, którym płaci się za otwarte oczy, twierdzą, że widzieli, jak wrota stajni z boku pałacu uchylają się, by wypuścić gromadkę zwierząt. Najpierw rumaka – czystej krwi tureckiej! – z zakapturzonym jeźdźcem na grzbiecie. Po nim – sześć mułów. Koń dotarł już do północnej bramy miasta, gdy muły wciąż mozolnie wspinają się na jedno z siedmiu wzgórz Rzymu. Srebro jest wszak ciężkim ładunkiem, nawet dla zwierząt pociągowych. Osiem worków, mówią, napełnionych dużo wcześniej, bo takich pieniędzy nie dałoby się porachować w jedną noc. Cel? Pałac kardynała Ascania Sforzy. Nawet jeśli porażka jest gorzka, są sposoby, by ją nieco osłodzić.

Pod rozgwieżdżonym złotym pigmentem sklepieniem Kaplicy Sykstyńskiej trwa noc gorączkowej aktywności. Gwar rozmów trzyma na nogach wszystkich, starych i młodych, przekupnych i świątobliwych. Biorąc pod uwagę, jakie targi mają tu miejsce, aż dziw, że niektórzy nie chodzą z liczydłami za pazuchą, żeby móc szybciej wyrobić sobie pojęcie o zysku z oferowanych beneficjów. Kierunek pływu zaczyna się zmieniać, cienka strużka wkrótce staje

się potopem. Talerze z jedzeniem pozostają nietknięte. Słysząc za to wołania, by podano przez okienko więcej wina. Johannes Burchard, niemiecki mistrz papieskich ceremonii i człowiek niezwyklej skrupulatności, odnotowuje każdą prośbę i jej czas. Co sam myśli, pozostaje między nim a jego dziennikiem.

Jest już najgłuchsza noc, gdy kardynałowie zajmują ustawione w krąg wielkie, rzeźbione drewniane krzesła z baldachimami haftowanymi w herby ich beneficjów. Powietrze jest przesycone kwaśną wonią ciał, kurzem i ciężkimi perfumami. Większość ślania się na nogach, ale nie sposób nie wyczuwać podskórnego podniecenia. Bycie częścią historii ekscytuje, zwłaszcza gdy można na tym skorzystać.

Głosy zbierane są w ciszy.

Kiedy wynik zostaje ogłoszony, pomieszczenie wybucha głośnym „aaaach”, w którym niełatwo rozróżnić furię i tryumf. Wszystkie oczy zwracają się ku kardynałowi Borgii.

Tradycja wymaga tylko jednego słowa. *Volo*, „chcę”. Zamiast niego jednak ten potężny mężczyzna, tak wyćwiczony w polityce i manipulacji, zrywa się ze swego krzesła, wyrzucając w powietrze obie pięści, jak zwycięski zapaśnik z najsilniejszym przeciwnikiem u stóp.

– Tak! Tak! Jestem papieżem...

I wydaje z siebie tubalny śmiech pełen dziecinny zachwyty.

– JESTEM PAPIEŻEM.

– HABEMUS PAPAM! MAMY PAPIEŻA!

Postać w oknie pałacu milknie, biorąc haust świeżego nocnego powietrza. Dołącza do niej druga, z wyciągniętymi rękami o zaciśniętych dłoniach, jak kuglarz gotów do pokazania sztuczki. Dłonie rozwierają się i uwalniają chmurę skrawków papieru, które opadają, trzepocząc w wątłym świetle. Niektóre, zająwszy się od dogasających pochodni, rozbłyskują jak pijane świetliki. Takiego przedstawienia nie oglądano, jak długa historia konklawe, i ludzie w dole podskakują i przepychają się, by złapać świstki, zanim spadną na ziemię. Ci, którzy umieją czytać, wytrzeszczają oczy, by rozszyfrować nagryzmolone słowa. Inni słyszą je wypowiedziane na głos.

– ...Rodrigo Borgia, kardynał Walencji, został wybrany na papieża i przyjął imię Aleksander VI.

– Bor-gi-a! Bor-gi-a!

Na dźwięk tego nazwiska tłum szaleje. Plac zapełnia się z każdą sekundą ludźmi napływającymi z parnego labiryntu ulic po obu stronach Ponte Sant' Angelo, starego kamiennego mostu nad Tybrem. Po tak długim oczekiwaniu wiwatowaliby przypuszczalnie na cześć samego diabła. A jednak to coś więcej niż niestałe uwielbienie. Zasiadłałe rzymskie rody mogą sarkać na nieczystą obcą krew i mowę przypominającą odkrztuszanie flegmy, ale ci, co nie mają nic do stracenia, znajdują upodobanie w człowieku, który otwiera sakiewkę i podwoje swojego pałacu przy byle święcie. Rodrigo Borgia torował sobie drogę do serc rzymian już od dawna.

– Bor-gi-a!

Inaczej niż wielu majątnych, nigdy nie pozostawia wątpliwości, jak bardzo lubi dawać. Po tym wicekanclerzu nie należy spodziewać się żadnych starych draperii wyciągniętych z piwnicy ani wykonywanych bez zapału gestów hojności, o nie. Gdy ulicami miasta przechodzi cudzoziemski dostojnik albo procesja z najnowszymi relikwiami, to bruk wokół pałacu Borgii zasłany jest najświeższymi kwiatami, to z jego okien zwieszają się największe, najbarwniejsze gobeliny, to z jego fontanny najszybciej i najdłużej zamiast wody bije wino, to jego biesiady lehcą najbardziej wybredne podniebienia pokazami fajerwerków, które rozświetlają nocne niebo aż po świt.

– Bor-gi-a!

Ledwie pół roku wcześniej Rzym świętował upadek mauretańskiej Grenady, zdobytej

przez armie chrześcijańskie. Był to tryumf tyleż Kościoła, co i jego ojczystej Hiszpanii, toteż Borgia otworzył pałac i urządził na dziedzińcu arenę dla byków; drażnieniu zwierząt towarzyszył tak zapamiętały aplauz, że jeden z byków, rozjuszony, wbiegł w amoku w tłum, biorąc na rogi kilku widzów. Szybko dopadł go ze szpadą młody Cesare, który z tej okazji porzucił kościelny przyodziewek na rzecz kompletnego stroju matadora. Przez kilka dni mówiono tylko o tym, jak powalił rozszalałego byka i rozplątał mu gardło jednym ciosem noża. O tym i o pieniądzech wypłaconych rodzinom dwóch mężczyzn, którzy zmarli od odniesionych ran. O kiesie starego bogacza i o atletycznej sprawności jego butnego syna. Splot hojności i męstwa. Czy nowy papież mógłby zyskać dla swych rządów lepszą propagandę?

Gońcy już rozbiegają się po mieście. Przewoźnicy cumujący przy Ponte Sant' Angelo zanurzają wiosła w wodę i tną prosto do wyspy i do Ponte Sisto, rozgłaszając wieść. Inni przekraczają rzekę i zmierzają na wschód, do traktu bankierów i sklepów w przyziemiach, nadal zabitych deskami na wypadek wybuchu bezprawia, lub na południe, w najludniejszą część miasta, gdzie wąskie uliczki albo otwarte ścieki oddzielają bogatych od biedoty stłoczonej wraz z nimi w opiekuńczych objęciach wielkiego zakola Tybru.

– ALEKSANDER!

W sypialni na drugim piętrze pałacu na Monte Giordano młodą kobietę budzi wrzawa gnających ulicą ludzi upojonych alkoholem i sensacją. Unosi się na łóżku i nachyla nad swoją towarzyszką, która nadal śpi, z kształtnym ramieniem przerzuconym przez prześcieradło, gęstymi rzęsami ocieniającymi aksamitne blade policzki i ustami jak miąższ brzoskwini, półotwartymi i lekko odętymi.

– Giulia...?

– Mmmm?

Zazwyczaj dwie młode piękności nie śpią razem, ale że nerwy całego domostwa są zupełnie rozstrojone, pozwolono, by dotrzymywały sobie towarzystwa, słuchając wrzasków tłuszczy i drażniąc się nawzajem opowieściami o rycerskich czynach i przemocy. Dwie noce wcześniej ulicą biegł, zawodząc i błagając o życie, jakiś człowiek z bandą depczącą mu po piętach. Dopadł wielkich wrót, tłukąc w nie pięściami, lecz rygle pozostały na miejscu i jego krzyki rychło przeszły w odgłos krwi bulgoczącej w gardle, tak że dziewczęta musiały wsadzić głowy pod poduszki, by nie słyszeć rżenia. Z nadejściem świtu Lucrezia patrzyła, jak zakonnicy w czarnych szatach podnoszą ciało z rynsztoka i kładą na wozie, by je przewieźć, wraz z całym żniwem śmierci tego poranka, do miejskiej kostnicy. W klasztorze zwykła marzyć o cudowności stanu mniszego: wyobrażała sobie, jak kroczy obleczona w biel, niczym młoda święta Klara jaśniejąca ubóstwem i pokorą, z oczyma spuszczoneymi ku ziemi, a wyjący motłoch rozstępuje się, by oddać hołd jej świętości.

– ...GI-A... HABEMUS BORGIA!

– Giulia! Zbudź się! Słyszysz?

Nigdy nie lubiła spać sama. Nawet jako małe dziecko, kiedy matka albo służąca odchodziły, a ciemność zaczynała ścinać jej wnętrzości, zbierała całą odwagę, by przebrnąć przez czarną zupę wypełniającą pokój i wśliznąć się do łóżka brata. A on, choć za dnia szukał raczej zwady niż pogawędki, otaczał ją ramionami i głaskał po głowie, aż ciepło ich ciał stapało się w jedno i zasypiała. W klasztorze poprosiła, by pozwolono jej dzielić dormitorium z innymi, zrzekając się przywileju spania w osobnej celi, który jej przysługiwał. Kiedy wróciła, Cesarego już dawno nie było w domu, a ciotkę niecierpliwiły jej, jak to określiła, niedorzeczne skargi. „A co będzie, kiedy pójdziesz za męża i wyślą cię do Hiszpanii? Nie będziesz tam miała przy sobie brata”. Nie, ale urodziwy małżonek, którego jej przyobiecano, na pewno będzie jej strzegł, a kiedy pojedzie na wojnę albo załatwiać jakieś sprawy, ona będzie trzymać przy sobie grupkę

dam, żeby mogły spać wszystkie razem.

– AALEKSANDER. WALEEENCJA. BOOORGIA... TAAAK!

– Obudź się, Giulio! – Siedzi teraz na łóżku całkiem wyprostowana, ściągając nasączone balsamem rękawiczki, które musi zakładać na noc, by mieć bielutkie dłonie. – Słyszysz, co wołają? Słuchaj!

– BORGIA, ALEKSANDER!

– Aaaa!

I obie krzyczą, i gramolą się jedna przez drugą do okna. Siateczki zsuwają się im z głów, grube pasma włosów opadają rozwichrzona na plecy. Ledwo mogą oddychać z podekscytowania. Lucrezia napiera na zamki okiennic, choć otwieranie ich jest surowo zabronione. Potężne zasuwki ustępują i drewniane skrzydła odskakują, zalewając pokój światłem bladego świtu. Szybko wystawiają głowy, by spojrzeć na ulicę, po czym cofają się, gdy spostrzeża je jeden z mężczyzn w dole i zaczyna coś wykrzykiwać. Zatrząskują z powrotem okiennice, zwijając się ze śmiechu i zdenerwowania.

– Lucrezia! Giulia! – głos ciotki Lucrezii niesie się jak dźwięk myśliwskiego rogu.

Stoi u podnóża wielkich, krętych kamiennych schodów, z dłońmi na rozłożystych biodrach, zaczerwienioną pulchną twarzą i ciemnymi oczkami błyszczącymi spod czarnych brwi, które rosą tym gęściej i bliżej siebie, im gorliwiej je wyskubuje: ciotka, wdowa, matka, teściowa i kuzynka, Adriana de Mila, Hiszpanka z urodzenia, rzymianka przez małżeństwo, ale przede wszystkim, ostatecznie i zawsze – Borgia.

– Nie otwierajcie okiennic. Wywołacie zamieszki.

Później będzie zanudzała cały świat opowieściami o tym, jak dotarła do niej nowina: „nocą jeszcze ciemną choć oko wykol” wyrwało ją ze snu uczucie, że co najmniej tuzin igieł dźga ją w podniebienie. Ból zęba był tak dotkliwy, że mogła jedynie zwlec się z posłania i pójść na dół po butelkę nalewki goździkowej. Była w połowie wielkich kamiennych schodów, gdy zgasała jej świeczka – „jak gdyby ktoś znienacka nakrył ją kapturkiem”. I wtedy to się stało: poczuła, jak coś lub ktoś mija ją w potężnym podmuchu wiatru. I choć powinna była złąknąć się o życie – wszak w mieście roiło się od złodziei i bandytów – ogarnęło ją ciepło, całą jej istotę wypełnił zachwyty i -wiedziała, „z taką pewnością, jakby ktoś stanął i szepnął mi to prosto w ucho”, że jej kuzyn, wicekanclerz i kardynał Walencji, został obrany namiestnikiem Bożym na ziemi. Ból minął tak nagle, jak przyszedł, ona zaś, tak jak stała na kamiennych stopniach, upadła na kolana, by dziękować Bogu.

Podczas gdy miasto otrząsało się ze snu, pchnęła posłańca z pospiesznie napisanym listem i postawiła na nogi służących. Ich dom wkrótce miał się stać jednym z najważniejszych w Rzymie i musieli być gotowi na zalew odwiedzin i przyjęć. Już wybierała się budzić swoje podopieczne, gdy usłyszała głosy dziewcząt i trzaśnięcie okiennic.

– Skoro już się wyspałyście, lepiej tutaj zejśćcie!

Jej rozkaz spotyka się z tumanem śmiechu i głosów: dwie młódki wypadły ze swojego pokoju i zbiegają po schodach. Gdyby widział je teraz ktoś obcy, mógłby spokojnie pomyśleć, że to siostry, bo choć starsza jest wyraźnie gwiazdą – jej dojrzałe już piękno przykuwa oko w sposób niedopuszczający konkurencji, podczas gdy uroda młodszej jest jeszcze w pąku – widać, że łączą je konfidencja i zażyłość sugerujące bardziej więzy rodzinne niż przyjaźń.

– Borgia! Walencja! To właśnie krzyczą. To prawda, ciociu?

Lucrezia pokonuje ostatni bieg schodów tak szybko, że ledwo udaje jej się zatrzymać na dole i nie zderzyć z ciotką. Jako dziecko zawsze podobnie witała ojca – rzucając się z ostatnich stopni w jego ramiona – a on łapał ją i udawał, że nogi się pod nim uginają.

– To on, tak? Wygrał?

– Tak, dzięki Bożej łasce twój ojciec został wybrany na papieża. Jego imię: Aleksander VI. Ale to nie powód, żeby paradować po domu jak półnaga kurtyzana bez śladu manier. Gdzie twoje rękawiczki? I twoja modlitwa? Powinnaś klęczeć i dziękować naszemu Panu Jezusowi Chrystusowi za honor, który spuścił na naszą rodzinę.

Całą tę przemowę kwituje jednak następna salwa śmiechu i Adriana, która mimo stateczności wieku średniego nadal ma w sobie coś z dziecka, daje się rozbroić. Porywczco przytula do siebie młodą kobietę, po czym odsuwa ją na odległość ramienia, odgarniając grzywę kasztanowych włosów, nie tak bujnych i złocistych jak u Giulii, lecz i tak budzących podziw w mieście ślicznotek o kruczych puklach.

– Patrzcie tylko. Córka papieża. – Teraz przez jej śmiech przebijają łzy. Boże drogi, myśli, jakżeż to zleciało. Czy to możliwe, że minęło tyle czasu? Kiedy przyprowadzono Lucrezię, by z nią zamieszkała, dziewczynka nie miała jeszcze sześciu lat. Krzyczała wniebogłose, gdy zabierano ją od matki. „O, dość już, Lucrezio”, próbowała ją uspokoić. „Nadal będziecie się widywać. Ale to jest teraz twój dom. To wspaniały pałac i będziesz tu dorastała jak przystało na córkę wielkiego rodu, do którego należysz”. Jej słowa jednak, zamiast koić rozpacz, sprawiały tylko, że dziewczynka łkała jeszcze głośniej. Jedyłą pociechą był dla niej Cesare. Ubóstwiała brata. Całymi tygodniami nie pozwalała mu się oddalić, drepcząc za nim i nawołując, jak beczące jagniątko, dopóki nie zatrzymał się, by ją podnieść i nosić ze sobą, mimo że w gruncie rzeczy nie był jeszcze dość silny na jej ciężar. A kiedy Juan wyśmiewał się z jej słabości, obrywał pięścią i chłopcy tarzali się w walce, aż młodszy uciekał z wrzaskiem do kogokolwiek, kto chciał go słuchać. Gdy zaś dołączał się jeszcze malutki Jofré, w pałacu robił się istny dom obłąkanych i nikt nie wiedział, jak ich uspokoić.

„Ach, my, Borgiowie, płaczemy tak gorzko, jak serdecznie się śmiejemy”. W wychowaniu dzieci nie pomagał fakt, że Rodrigo zawsze im pobłażał, pozwalając, by wrzeszczały i obstępowały go, gdy tylko wchodził. „Taka już nasza natura, że i uchybienie, i komplement odczuwamy dużo głębiej niż ci drętwi rzymianie”, mawiał, zachwycony wszystkimi wypadkami i wybrykami, o których mu donoszono. „Wkrótce się ustatkują. A tymczasem spójrz na nią, Adriano. Ciesz oczy tym doskonałym noskiem, tymi policzkami jak morele. Widać, że odziedziczyła piękność Vannozzy. Z wyglądem po matce i temperamentem po ojcu – ależ z niej będzie kobieta!”

I już prawie jest, myśli teraz Adriana, wpatrując się w Lucrezię. Czternaste urodziny jeszcze przed nią, a jej imię zdążyło się znaleźć na umowie zaręczyn z hiszpańskim szlachcicem z posiadłościami w Walencji. Jej oczy będą błyszczeć równie mocno jak złoto jej posagu. Ale przecież wszyscy oni są ładni, ci nieprawi potomkowie Rodriga Borgii. Jakże miłosiernie ze strony Boga, że tak łatwo wybaczył cielesne żądze swemu słudze, którego wyznaczył do wielkości. Gdyby Adriana była bardziej zazdrosną kobietą, mogłaby czuć pewną anse, ona, która mimo płynącej w niej krwi Borgiów i małżeństwa z Orsinim zdołała wycisnąć z siebie tylko jednego chuderlawego, zezowatego chłopca, nim jej nieszczęsny mąż dusigrosz padł ofiarą apopleksji.

Po jego śmierci czekało ją życie nieskończenie bogatsze. Nie stała się jej udziałem wdowia cęła w klasztorze. Zamiast tego jej ukochany kuzyn, kardynał Rodrigo, mianował ją opiekunką czworga swoich dzieci i ten status przynosił jej zadowolenie tak głębokie jak poczucie odpowiedzialności, które względem nich żywiła. Rodzina. Pierwsza po Bogu wśród wszystkich wartości na świecie, którym winno się dochowywać wiary. Przez te osiem lat oddawała jej wszystko: nie znalazłoby się nic, na co by się nie zdobyła, by wynieść wyżej ich nazwisko, nic, co wzdragałoby się uczynić dla swojego przystojnego, męskiego kuzyna. Nic, w istocie, czego już nie uczyniła.

– Dzień dobry i gratulacje także dla ciebie, synowo.

Zwraca się teraz do tej ach jak cudnej istoty, która stoi, kwitnąca i wiotka, u szczytu schodów, i przez moment to piękno zapiera jej dech w piersiach. Tak samo jak trzy lata wcześniej, gdy kardynał – człowiek zdolny nawet akt stręczycielstwa obrócić w dworne oświadczenie – zasugerował, by jej syn poślubił Giulie.

– Zwie się Giulia Farnese. Zachwycające dziewczętko, słodkie i nieskażone. Jej rodzina nie należy do bajecznie zamożnych, ale możesz mi ufać, że rychło się to zmieni. Po ślubie młodemu Orsinowi nie zabraknie niczego. Ani teraz, ani nigdy. Stanie się bogatym człowiekiem, z wiejską posiadłością mogącą się równać z majątkami jego krewnych po mieczu i ze swobodą robienia tam, co mu się będzie żywnie podobało. Tak jak jego matka, a pod wieloma względami matka całej naszej rodziny. Wiem, że cię posłucha. Co ty na to, Adriano?

I odchylił się na oparcie, z rękoma założonymi na rozrastającym się brzuchu. Jej odpowiedź była spokojna. To, co czuła, pogrzebała zbyt głęboko, by pozostał do tego przystęp. Jeśli chodzi o uczucia samej dziewczyny – cóż, o nich nie rozmawiano. Ani wtedy, ani nigdy później. W dniu zamążpójścia była dziewczką niewiele starszą niż obecnie Lucrezia, lecz ze śliczniejszą i chyba mądrzejszą główką na karku. W mieście mężczyzn, którzy ślubowali celibat, uroda tej miary bywa silnym poplecznikiem w walce o władzę, a gdy pojawia się obietnica papieża, mowa od razu o kapeluszu kardynalskim dla jednego z jej braci. Rodzina. Pierwsza po Bogu wśród wszystkich wartości, którym winno się dochowywać wiary.

– Dobrze spałaś, Giulio?

– Aż do tych hałasów, owszem. – Głos młodej kobiety, jakkolwiek melodyjny, nie dorównuje harmonii jej ciała. Giulia odrzuca do tyłu długie pasma włosów, które otoczyły jej twarz, podczas gdy reszta okrywa plecy złotą peleryną sięgającą niemal do kolan. Te włosy, wraz ze smugą skandalu ciągnącą się za jej małżeństwem, dają pożywkę najnowszej rzymskiej plotce o Marii Magdalenie i Wenus wcielających się w jedną kobietę w alkowie kardynała. Mówi się, że w te noce wicekanclerz wynosi swoją ikonę Matki Boskiej na korytarz, by nie zgorszyć Dziewicy Maryi tym, co niechybnie by ujrzała. – Kiedy mam być gotowa? Kiedy zostanę wezwana?

– O, jestem pewna, że Jego Świątobliwość będzie przez jakiś czas pochłonięty sprawami wielkiej wagi. Nie powinniśmy spodziewać się odwiedzin zbyt szybko. Masz więc czas, by poświęcić się toalecie, zadbać o słodki oddech i uważnie dobrać garderobę. Nie muszę ci mówić, Giulio, jak cudowny spotkał nas zaszczyt. A ciebie być może największy. Na metresę papieża skierowane będą oczy całego świata.

Na policzki dziewczyny występuje rumieniec, jakby rzeczywiście zawstydzał ją taki honor.

– Wiem. Jestem na to przygotowana. Ale... powinnam... To znaczy... co z Orsinem?

Rodrigo miał rację, jak zawsze. Słodycz i prostolinijność. Mieli szczęście. Taka krasa mogła równie dobrze iść w parze ze złośliwością i skłonnością do knowań. Adriana wygina wargi w skąpym uśmiechu, do którego wszyscy przywykli.

– Nie musisz zaprzętać sobie tym głowy. Napisałam już do mojego syna i list jest w drodze. Z pomocą Bożą dotrze do niego, zanim wieść się rozniesie.

– Nawet jeśli... Z pewnością powinnam dodać kilka słów od siebie... To mój mąż... Myślę, że będzie...

– Będzie, co będzie. Twój mąż jest także Borgią, jak Orsinim, i będzie dumny z chwały, która spłynęła na naszą rodzinę. Podobnie jak powinien być dumny z twojej. Czekają nas niezwykle rzeczy. Ten dom stanie się ambasadą, do której wszyscy będą się cisnąć w poszukiwaniu protekcji. Będziemy musiały poprosić Rodriga o zatrudnienie sekretarza, żeby przedzierał się przez te stosy petycji.

Lucrezia śmieje się i ujmując dłonie Giulii, wtrąca:

– Nie martw się, Liano, Orsino będzie rad, jestem pewna. – Nie spuszcza z niej wzroku, aż udaje jej się wywołać uśmiech. – A my czasem pojedziemy do niego na wieś, żeby go rozweselić. Ale głównie będziemy zasiadać w wielkiej bawialni i przyjmować odwiedzających. Ciocia Adriana będzie ich wprowadzać i łamać pieczęcie na listach, prawda? A ty i ja – czytać je i oceniać, co są warte. Te, które uznamy za prośby godne oczu papieża, trafią do niego, kiedy przybędzie, i *papà* nie omieszka powinszować osądu swoim osobistym ambasadorkom.

Wszystkie trzy kobiety śmieją się, bo przez ostatnie dni ich nerwy były napięte jak struna garoty, a coś, czego tak bardzo pragnęły, nawet jeśli jednocześnie nieco się obawiały, właśnie się wydarzyło.

– I nie wpuścimy tam Juana ani Jofrégo, bo wszyscy będą przychodzić do nas, a nie do awanturujących się przyszczytanych wyrostków. Czy nie tak, ciociu? Gdzie oni są? Czy już wiedzą? Chyba nie mogą wciąż spać?

Ależ mogą, myśli Adriana, gdyż po tylu latach zna swoich podopiecznych na wylot. Jofré zapewne leży zwinięty w kłębek, z kciukiem w ustach, jak dziesięcioletni berbeć, którym nadal jest, Juan zaś też tkwi jeszcze w łóżku, choć przypuszczalnie nie swoim. Kimkolwiek jest jego towarzysza, prawdopodobnie policzy mu więcej, gdy tylko się dowie, kim się stał. Albo też z tej okazji usługa będzie za darmo... z rękoma w jedwabnych więzach. Rzym. Miasto Świętej Matki Kościoła, sławne jako dom tyłuż kurtyzan, co duchownych. Bywały chwile, kiedy Adriana zastanawiała się, czy Bóg jest tak zajęty powstrzymywaniem Turków, że nie zauważa grzechu pleniącego się wszędzie indziej. Tak czy owak muszą być teraz ostrożni. Musi skłonić Rodriga... nie, Aleksandra... Jego Świątobliwość – jakże mają się teraz do niego zwracać, kiedy ich nawiedzi? – by porozmawiał z dziećmi, szczególnie z Juanem, i unaoczniał im pełnię odpowiedzialności związanej z ich nowym statusem. Słodki Jezu, koło fortuny kręci się jak szalone. Porwało ich, kiedy spali, i wyrzuciło im życie do góry nogami w sposób, którego jeszcze sobie nawet nie wyobrażają.



Rozdział 3



Podczas gdy ulice Rzymu huczą nowiną, w watykańskim pałacu odbywa się przemiana godna Owidiusza: brzuchaty sześć-dziesięciolatek staje się jednym z najpotężniejszych ludzi chrześcijańskiego świata.

Rodrigo Borgia zaniósł już prywatne modlitwy – radosny potok dziękczynienia – do Maryi Dziewicy, Matki Bożej, swojej gwiazdy przewodniej, orędowniczki i jedynej kobiety, której jest oddany z bezwzględną wiernością. Zrzucone kardynalskie szaty poniewierają się na posadzce, a on stoi nago, z baryłkowatą klatką piersiową i obwisłym brzuchem nad masywnymi nogami, wycierając ręcznikiem spoconą skórę. Przed nim leżą, wyprasowane i gotowe do użycia, trzy komplety papieskiego przyodziewku: trzy zestawy bielizny, trzy fałdziste białe jedwabne szaty i trzy nakrycia głowy – każdy w innym rozmiarze, by człowiek, który stał się w swoim przekonaniu godny tego ubioru, mógł dopasować go do swoich gabarytów, jakiegokolwiek by były. W ciągu swojej kariery Borgia oglądał czterech mężczyzn – a co najmniej jeden z nich był już bardziej martwy niż żywy – którzy wylaniali się z tej komnaty przeobrażeni magią owych szat. Za każdym razem miał pod powiekami obraz samego siebie na ich miejscu, jego pragnienie zaś przybierało coraz solidniejszy kształt, podobnie jak ciało.

Namaszcza się słodko pachnącym olejkiem piżmowym, prowadząc rękę od czoła, przez pachy, po krocze w nieświadomym naśladownictwie znaku krzyża, i sięga po największą sztukę bielizny.

Słyszy odgłosy wzbierającego na zewnątrz tłumu. Nuci pod nosem takty z motetu tego flamandzkiego muzyka, którego kompozycje robią furorę na papieskim dworze. Żałośliwa sekwencja dźwięków nie opuszcza go od kilku dni. Oczywiście teraz będzie musiał zamówić więcej muzyki – msze, liturgie specjalne... Nowa era i nowy papież muszą odcisnąć swoje piętno na wszystkim, od układów państwowych po muzykę rozbrzmiewającą w głowach ludzi. I tak się stanie. Ten Walończyk, jak mu tam? Des Prez? Tak, on się nada, jeśli chodzi o muzykę.

Zbyt niecierpliw, by zaczekać na pomoc, mocuje się z wierzchnią szatą: oto człowiek walczący o oddech w morzu jedwabiu i dziwujący się jego miękkości na równi z ciężarem. Wkrótce będzie nakładał na siebie aksamit i gronostaje. Miał płaszcz z takiego futra, kiedy był młody i na tyle próżny, że oprócz szat duchownych nosił stroje dworskie. Ach, ależ wysokie miał o sobie mniemanie, schodząc ze statku na italską ziemię – młody Herkules o spiżowej piersi, nadętej hiszpańską pewnością siebie i hiszpańskimi manierami – by służyć swemu wujowi kardynałowi, który miał wkrótce stać się Kalikstem III, pierwszym i aż do teraz jedynym Hiszpanem na świętym tronie.

Nie potrzebował wiele czasu, by zauważyć, że jego otoczenie zionie żółcią: oskarżenia o nepotyzm przeplatały się z szyderstwami zakorzenionych w Rzymie rodzin. Usłyszał chichoty, gdy tylko po raz pierwszy dołączył do grona włoskich duchownych; spostrzegł też, że co bardziej wydelikaceni podnoszą do nosów pachnidła i przymykają oczy z teatralną odrazą, jakby mieli lada chwila omdleć. Choć większą przyjemność sprawiłoby mu wgniecenie im tych nosów w głąb czaszki, zrobił to, co było konieczne: przyjął obyczaje higieniczne swej nowej ojczyzny tak skutecznie, że już od całych dekad potrafi rozpoznać nowo przybyłego ziomka po woni, która

go poprzedza, zanim jeszcze przestąpi próg. Gdy udziela więc pierwszej rady, jej część stanowią słowa:

– Ta mania kąpieli to zaiste nawyk, który tutejsi dzielą z niewiernymi Arabami, ale prawda jest taka, mój bracie, że jeśli chcesz dojść do czegoś w tym mieście...

Następnie wyciąga małe puzderko i częstuje przybysza aromatyczną pastylką, by osłodzić mu wymowę języka, w którym muszą teraz rozmawiać, pełnego rozwlekłych otwartych samogłosek. Po latach praktyki jego maniery są obecnie bardziej włoskie niż hiszpańskie, ale niektórzy nadal za plecami nazywają go marranem, iberyjskim Żydem. Teraz jednak, zanim to zrobią, będą musieli sprawdzić, czy aby drzwi i okna są dobrze zaryglowane, a kompania – albo spokrewniona, albo kupiona.

I wreszcie camauro. Kiepsko siedzi na rozległej łysinie jego tonsury. Rodrigo rzuca okiem na swoje odbicie w wypolerowanym mosiężnym wazonie – siwe włosy układają się jak wianuszek kremu wokół ciastka, a spod nich sterczy wielki orli nos. A więc największe nakrycie głowy jest za małe. Trudno, ujdzie, póki nie zrobią innego. Mężczyzna cofa się i podnosi, a potem opuszcza prawe ramię w uroczystym geście błogosławieństwa. Ponownie zalewa go pełne zachwyty uniesienie i siłą powstrzymuje się, by znów nie wydać okrzyku tryumfu.

Spostrzega jakieś mignięcie na mosiężnej powierzchni i odwraca się. W drzwiach stoi mistrz ceremonii, Johannes Burchard, który zjawił się, by – jak każe tradycja – pomóc mu się odziać, gdyby tego żądał, i zmierzyć obwód papieskiego palca, tak aby złotnik mógł zacząć pracować nad pierścieniem. Rodrigo Borgia poznał kilku kardynałów, którzy zwykli udawać się na konklawe z własnym, gotowym do nałożenia pierścieniem rybaka w kieszeni – na wszelki wypadek. On jednak z czasem nabrał zbyt wielkiego respektu wobec Boga – a może innego bóstwa, Fortuny – by w ten sposób wyzywać los.

Kanciasta twarz Niemca nie zdradza, czy jest zadowolony, czy też nierad z wywyższenia Hiszpana. Zauważać wszystko i nie wyrażać niczego – to zarazem wymogi jego funkcji i wrodzony talent. Mają ze sobą sporo wspólnego: obaj są cudzoziemcami na rzymskim dworze i obaj bardzo dobrze potrafią negocjować właściwe wynagrodzenie za swoją pracę. (Dziesięć lat temu czterysta dukatów było świetną ofertą na stanowisku mistrza ceremonii; teraz nowy mistrz kosztowałby go trzy razy tyle). A jednak przez piętnaście lat znajomości zamienili ze sobą tylko tyle słów, ile dyktowały ich role. Od dziś będą nierozłączni, póki żyją. Nim nowy papież ma szansę przemówić, Niemiec pada na kolana i rozciąga się na posadzce, perfekcyjnie wymierzwszy odległość, tak by móc ucałować bosc – i miłosiernie czyste – stopy mężczyzny. Mistrz ceremonii przy pracy.

Kardynał Walencji – to ostatni raz, kiedy ktokolwiek może tak o nim pomyśleć – czuje przenikający go do głębi żar ukontentowania. Unosi sutannę i zmierza w stronę balkonu.

Sześćdziesiąt jeden lat. Ile jeszcze ma przed sobą? Trzech spośród pięciu papieży, którym służył, gniło w grobach, nie osiągnąwszy tego wieku. Borgiowie jednak są bardziej witalni. Jego wuj, Kalikst III, dożył prawie osiemdziesiątki. Sześćdziesiąt jeden. Trzech synów, dojrzewająca córka i idealna młoda kochanka – dość młoda, by także wydać owoce. Krew Borgiów. Gęsta od ambicji i determinacji. Ile jeszcze potrzebuje? Dajcie mu jeszcze dziesięć – nie, piętnaście – wiosen, a herb z bykiem będzie zdołał pół Italii.

Daje krok na balkon, w światło nowego dnia. Wita go ryk tłumu. Lecz gdy papież Aleksander VI unosi rękę, by udzielić tradycyjnego błogosławieństwa, zapada cisza. Szata stała się człowiekiem.

Kupiony w Mantui – gdzie, jak twierdzą ci, co znają się na rzeczy, księżęta z rodu Gonzaga hodują lepsze tureckie ogiery niż sami Turcy – koń ze stajni Borgiów i jego jeździec pokonują drogę w wyśmienitym tempie.

Podróż z Rzymu do Sieny jest trudniejsza, niż wynikałoby to z odległości. Za wielkimi murami miasta droga staje się zdradliwa zarówno dla ludzi, jak i dla zwierząt. Przed przyjściem naszego Pana, kiedy ciemni ludzie oddawali cześć całej rzeszy nieokrzesanych bożków, kraina wokół Rzymu słyęła z żyznych ziem i dobrze utrzymanych traktów, którymi ciągnęły wozy pełne plonów płynących szeroką strugą na miejskie targowiska. Lecz w ciągu wieków od zapanowania nowej wiary zdziczała i wyrodziła się w zbójeckie manowce, podzielone pomiędzy rodziny rzymskich wielmożów – ludzi chowających się w zamkach i fortecach, którzy woleli nawzajem się wyrzynać, niż razem dbać o spokój.

Niemniej jednak by stać się ofiarą rabunku i mordu, trzeba wpięrw dać się dopaść. A ten jeździec, młody mężczyzna praktycznie urodzony w siodle i pałający chęcią wykazania się, nie zatrzymuje się dla nikogo ani dla niczego. Póki jest w ruchu, przesiąknięte potem ubranie pozostaje chłodne od pędu powietrza, mimo spiekoty narastającej wraz ze wznoszeniem się słońca. Im bardziej się poci, tym dalej może ujechać bez opróżniania pęcherza. Jest po dziesiątej, kiedy dociera do Viterbo, blisko północnej granicy państwa kościelnego. Stacja postojowa należy do systemu pocztowego, z którego wicekanclerz korzystał od lat, i pozostaje w gotowości, odkąd zwołano konklawe. Sam masztalerz dogląda zmiany koni. Próba wyczytania czegokolwiek z twarzy chłopaka byłaby daremna – nie widać na niej niczego prócz brudu i wyczerpania; otrzymując do rąk zapieczętowany list, Pedro Calderón nic nie wiedział ani o nic nie pytał. Niepodobna, by najstarszy syn kardynała pozostawał w nieświadomości, podczas gdy inni świętują jego sukces albo ubolewają nad porażką – ci zaś, którzy pracują dla Borgiów, prędko uczą się, co można zyskać, robiąc to, co im przykazano.

Nowy wierzchowiec z początku jest pierzchliwy, ale dość szybko wypracowują wspólny rytm. Galopuje przez żar dnia i po południu, ociekając potem, pnie się po krętej drodze prowadzącej do bram Sieny. Z wiosek rozsianych z rzadka po lesistej okolicy wypada nagle w płataninę wydeptanych ścieżek, rojną od koni – dosiadanych lub prowadzonych luzem. W sierpniu Siena zamienia się w gigantyczną stajnię, pełną parskających rumaków przygotowywanych do wyścigów. Wozy i kupcy, nawet najlepiej odziani, ustępują im drogi. Miasto jest pijane wonią końskiego potu i odchodów, w łajnie zalegającym na uliczkach gdzieś brodzi się po kostki. Za niecały tydzień wielka *piazza* stanie się areną najlepszej gonitwy w Toskanii – przetoczy się przez nią, w zawierusze pyłu i słomy, wyścig rydwanów bez rydwanów, zmiatając wszystko, co stanie na jego drodze. Na rogach ulic pieniądze dyskretnie przechodzą z ręki do ręki. Gorączka Palio panuje wszędzie. Cesare Borgia, który gwoli ścisłości powinien właśnie kończyć swoje studia w Pizie, przepada za polowaniami i współzawodnictwem jak każdy bogaty młodzieniec i posiada dwa konie mające spore szanse na zwycięstwo.

Odpoczywają teraz w stajniach, ciesząc się lepszym traktowaniem niż większość ludzkiej populacji Sieny. Treningi odbywają się codziennie o świcie, zgodnie z rytmem życia ich właściciela, nowo mianowany młody biskup Palomaru zwykł bowiem rozpoczynać dzień, gdy słońce chyli się już ku zachodowi, i pracować – oraz bawić się – nocą, kiedy inni śpią. A że to, co dobre dla pana, dobre jest i dla jego ludzi, w chwili, gdy jeździec dociera do celu, całe domostwo chrapie w najlepsze; na nogach jest tylko kilku służących i stary stajenny, pełniący funkcję strażnika.

- Będziesz musiał wrócić później. Nie przyjmujemy nikogo wcześniej niż po szóstej. Jakby w odpowiedzi wielki koń o parujących bokach parska w twarz mężczyzny.
- Przybywam z Rzymu z pilną wiadomością.
- Stary z ociąganiem otwiera wrota prowadzące na cichy dziedziniec.
- Gdzie wasz pan?
- Śpi.

– Więc go obudźcie.

– Hola! Mam sześćdziesiąt pięć lat i chcę dożyć sześćdziesięciu sześciu! Sam go obudź. Chociaż nie. Wtedy też mnie wypatroszy i usmaży.

W rogu dziedzińca otwierają się drzwi i staje w nich niska, krępa, na wpół ubrana postać z siatką zaleczonych cięć na piersi i twarzą tak pokrytą szramami, że wygląda, jakby posiekano ją na kawałki, a następnie dość beztrudnie złożono z powrotem.

– Miguel da Corella? – Głos chłopaka jest ochryply od kurzu, a może z obawy przed człowiekiem, którego reputacja jest barwniejsza od jego blizn. – Przyjechałem z Rzymu – dodaje pospiesznie po katalońsku.

– Kiedyś wyruszył?

– Tuż przed świtem. – Ześlizguje się z konia, wzbijając tuman pyłu. Wyrzuca przed siebie urękawiczoną dłoń, ściskając się za nadgarstki, raz i drugi. – Bez żywej duszy na ogonie.

– Umiesz cwałować, chłopcze. Jesteś Pedro Calderón, tak? Syn Romana.

Ich język jest szorstki i prędko – mowa ludzi z dala od domu, z posmakiem żargonu. Chłopak przytakuje. Fakt, że go rozpoznano, sprawia mu niezmierną przyjemność.

– Gdzie masz list?

Młodzieniec wydobywa spod kaftana skórzaną sakiewkę pociemniałą od potu.

– Wezmę go.

Goniec kręci głową.

– Mam... miałem oddać go tylko do rąk własnych, Michelotto. – Ryzykuje zdrobniałe miano, używane przez tych, którzy go kochają. I nienawidzą.

– I oddajesz. – Mężczyzna wyciąga dłoń. – Te ręce należą do niego, chłopcze.

Goniec jednak się nie porusza.

– Przed świtem, co? No dobrze. – Wskazuje mu drzwi na piętrze. – Ale zawołaj, zanim wejdiesz, i nie podnoś oczu. Nie jest sam.

W połowie schodów posłaniec czuje, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Pnie się, uczepony poręczy, pokonując skurcz. Dwa lata w służbie wicekanclerza Borgii, dwa lata kursowania po kraju z przesyłkami i od czasu do czasu jakaś brudniejsza robota. Oczywiście widywał Cesarego Borgię, ale tylko w towarzystwie, nigdy nie spotkał się z nim bezpośrednio. Wie to i owo o innych, jak to jedna hiszpańska rodzina o drugiej, ale najbliższy krąg to co innego.

– Mój panie Cesare!

Unosi kułaki, by załomotać w drzwi, ale te otwierają się tuż przed jego twarzą, a miecz przeszywa powietrze tak blisko jego ucha, że zastanawia się, czy będzie jeszcze kiedykolwiek na nie słyszał.

– Z Rzymu, mój panie – piszczy, podnosząc ręce w geście poddania. – Przywożę wieści z Rzymu.

– Na rany Chrystusa. Tarabanisz się po schodach jak wół. – Druga ręka, ta, w której nie ma miecza, chwytą go i wciąga do środka, na dole zaś rozlega się śmiech Michelotta.

Cesare bierze podaną mu sakiewkę i odwraca się. Drzwi zostawił otwarte dla światła, o chłopcu już zapomniał. Łamie pieczęć i rozkłada papier. W pokoju pachnie seksem, słodko-kwaśno. Pedro stoi jak przykuty. Nie może oderwać od niego oczu. Oto człowiek, który potrafi jednym ciosem zaszlachtować byka i przeskakiwać między galopującymi końmi. A przynajmniej tak mówią. Mówią, że Michelotto musi co rano rąbnąć go pięścią w brzuch, żeby wypróbować stal jego mięśni. Mówią... Ale mówi się tyle różnych rzeczy.

W złotym świetle popołudnia jego ciało zdaje się tyleż delikatne, co mocarne, z warstewką potu lśniąca na mięśniach torsu, odrobiną owłosienia wokół sutków, napiętym

brzuchem i bezbrinnie wyglądającym zagłębieniem nad samą pachwiną, ukrytą pod prześcieradłem, którym jest owinięty. Gdy tak trzyma głowę pochyloną nad pismem, w grzywie włosów można dostrzec zarys małej, zaniedbanej tonsury. Wszyscy o niej wiedzą, a jednak widok wywołuje szok. Czy aniołowie spoglądający nań z góry z takim samym niedowierzaniem myślą o Cesarem Borgii jako o człowieku Kościoła? Młodzi, beztronsko niepomini grózb, które niesie ze sobą wiek – otłuszczającego się mięsa, przygasającego blasku – oceniają jednak swoje ciała wystarczająco trzeźwym okiem, by wiedzieć, że ktoś bije ich na głowę. Nie chodzi o samo atletyczne piękno; sekret w tym, jak ten drugi się nosi, zarazem pełen świadomości i nieświadomy, jak gdyby świat istniał tylko po to, by czekać, aż on będzie gotów. Siła nabyta czy wrodzona? Pedro czuje dreszcz podniecenia nawet na tę myśl.

Cesare czyta z beznamiętną twarzą. Ani drgnięcia ust, ani głośniejszego wydechu – nawet powieki pozostają gadzio nieruchome. Gdzieś z mroku dobiega przypominający gruchanie odgłos; jakaś urocza, chętna istota porusza się tam, na granicy przebudzenia. Pedro ponieważ przypomina sobie, że miał nie podnosić oczu. Gwałtownie spuszcza głowę. Gruchanie ustaje. Pedro czeka. I czeka.

Nagle, choć nie słyszał kroków, Cesare znów stoi tuż przed nim.

– W życiu nie doręczyłeś i nie doręczysz miłszej wiadomości – mówi na tyle głośno, że słychać go na dole. Na dziedzińcu Michelotto wydaje z siebie radosny skowyt.

– O, panie mój. Wiedziałem... To znaczy... Miałem nadzieję. – Pedro pada na kolana. To mniej bolesna pozycja niż utrzymywanie się na nogach.

– O nie, żołnierzu – śmieje się Cesare. – To nie ja. Jeszcze nie. Zachowaj swoje oddanie dla nowego Ojca Świętego.

Pedro dźwiga się z kolan, próbując ukryć zakłopotanie.

– Macie już odpowiedź do dostarczenia?

Cesare obserwuje go spod półprzymkniętych powiek.

– Kiedy możesz wyruszyć?

– W tej chwili, panie. Jestem gotowy.

– Ty może i tak, ale koń pod tobą padnie.

– Mo... mogę wziąć innego.

– Ha. Skory jesteś do służby.

– Służę choćby i życiem – mówi Pedro, uderzając rozpostartą dłonią w okolice serca.

Dramatyzm gestu niweczy wywołana nim eksplozja pyłu. – Choćby życiem.

– To nie będzie jeszcze potrzebne, jak sądzę. – W głosie słychać teraz rozbawienie, choć nie uśmiech.

Ponownie rozlega się słodki gołębi zew. Mrok rozproszył się na tyle, że oko wyławia stojące w kącie pokoju łoże, zmiętą pościel i błysk podnoszącego się z niej ciała. Pytającemu: „Panie?” towarzyszy srebrzysty śmiech, jak drobna fala rozlewająca się po piaszczystej plaży.

Cesare ogląda się, po czym otacza ramieniem barki młodzieńca i wyprowadza go z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

– Michelotto?

Na dole Michelotto szczyrzy się od ucha do ucha. Uciecha jeszcze bardziej szpeci jego twarz. Naokoło otwierają się drzwi, w których stają, trąc oczy, ludzie na wpół odziani i na wpół obudzeni, gdy powinni jeszcze spać.

– Powiedz Carlowi, że za godzinę rusza do Rzymu.

Kilkoro służących – starszych mężczyzn i młodszych kobiet – krąży w półmroku. Hiszpański dialekt nie jest tak odległy od tokańskiego, by nie potrafili odróżnić obelgi od pochwały, ale nauczyli się nie rozumieć ani jednego, ani drugiego, dopóki nie otrzymają jasnego

rozkazu. Zarządzanie domem Cesarego Borgii to subtelna sztuka.

– Mam mu powiedzieć dlaczego?

Cesare potakuje. I po raz pierwszy na jego usta wypływa uśmiech.

Michelotto nabiera powietrza.

– Chrześcijaństwo ma nowego papieża! – krzyczy po włosku, głosem, który niesie się zapewne na pół miasta. – Wybrany został Rodrigo Borgia, wicekanclerz i kardynał Walencji. A wszyscy w tym domu służą jego ukochanemu synowi!

Cesare schodzi na dół, tymczasem ludzi ogarnia szal radości. Wielu z nich postawiło na ów wynik pieniądze i ambicje, i będzie pić na to konto tygodniami. U podnóża schodów Cesare i Michelotto stoją przez chwilę twarzą w twarz, po czym Cesare rozpościera ramiona i zwierają się w niedźwiedzim uścisku, od którego obaj tracą dech. Borgia jest o półtorej głowy wyższy od swego śniadego giermka, rysy twarzy zaś ma tak regularne, jak drugi wypaczone. „Piękny i bestia”, nazywają ich co poniektórzy, choć nigdy w oczy.

– I co teraz?

– Pojedziemy do Spoleto.

Sekunda wahania.

– Nie do Rzymu?

Cesare patrzy w bok, na podłogę. Cokolwiek ma na myśli, nie pora teraz na to.

– A Palio?

– Będą następne.

– Co z dziewczyną?

– Odeślij ją do Pizy z pełną sakiewką. Na tyle wypchaną, żeby następnym razem, kiedy ten cymbał Giovanni de' Medici zapuka do jej drzwi, powiedziała, że jest po słowie z innym. A teraz trzeba mi jadła, pióra i papieru. Doglądnij konia i pośłańca. Jak go zwać?

– Pedro Calderón.

– Właśnie – mówi, i dodaje głośniejszym głosem, oddalając się przez dziedziniec: – I zważ, by zając się jeźdźcem tak samo dobrze jak wierzchowcem.

Michelotto odwraca się, spodziewając się ujrzeć chłopca gdzieś na schodach, pławiącego się w chwale. Ani śladu. Zagląda na drugie piętro. Oparty o ścianę przy zamkniętych drzwiach pokoju Cesarego, młody Pedro Calderón śpi na stojąco.



CZĘŚĆ II

Miłość i gody

Jest człowiekiem z krwi i kości, wielce w swej cielesności rozmiłowanym.

Kardynał Sforza, 1492 rok



Rozdział 4



Rzym: miasto wykarmione mlekiem wilczycy. Rzym: centrum najpotężniejszego imperium, jakie znał świat. Rzym: miejsce narodzin Świętej Matki Kościoła. Rzym: samo to słowo maluje przed oczyma obrazy świetności i glorii.

W rzeczywistości, jak mogą zaświadczyć w dowolnej liczbie odwiedzający je pielgrzymi, jest żalonym rozczarowaniem – to nie tyle wielkie miasto, ile wysepki bogactwa wytykające wierzchołki z morza gnijącej nędzy i zapuszczenia. Należy kłaść to na karb historii. Historii, która uczyniła z tego miasta cesarską stolicę, po czym wypruła mu wnętrzności i zostawiła szczątki na pastwę sępów i szakali. Stulecia wojen i zaniedbania wżarły się jak głęboka zmarzlina w jego żywotne struktury; gdy zabrakło świeżej wody, systemu odprowadzania ścieków i cennego drobnego zatrudnienia, wyjąwszy to przy grzebaniu zmarłych, a rządy – takie, na jakie można było liczyć – zakłócała plemienna wrogość kilku wielkich rodów, większość jego ludności uszła lub wyginęła.

Podczas gdy w innych miastach Italii – we Florencji stojącej sukiennictwem czy w Wenecji silnej swoją flotą – zasobność i nauka dały początek wielkiemu odrodzeniu kultury klasycznej, Rzym dopiero budził się z koszmaru wielkiej schizmy. Powrót papieżstwa z Awinionu siedemdziesiąt lat wcześniej przyniósł ze sobą obietnicę lepszej przyszłości: kardynałów, biskupów, jurystów, sekretarzy, kopistów, ambasadorów, -dyplomatów – wszystkich z obejściami do wykarmienia i napojenia.

Kiedy Rodrigo Borgia przyjechał tu w wieku dwudziestu czterech lat, było już widać wyraźne oznaki postępu: ludzie i konie poruszający się ulicami nie musieli aż tak obawiać się bandyckiego napadu ani osypujących się murów, a dostojnicy kościelni, którym wypadało dbać o wizerunek i roztaczać patronaty, napędzali interesy kupców bławatnych, krawców i złotników. W miarę jak młody Borgia piął się po szczeblach władzy kościelnej, następowały dalsze zmiany: nowy most nad Tybrem, wzniesiony po tym, jak stary runął pod mrowiem pielgrzymów, czy edykt, który oczyścił miasto z wielowiekowych naleciałości dzikiego budownictwa, robiąc miejsce pod nowe arterie i place. I najwspanialsza rzecz: naprawienie podziemnych rurociągów, tak że coś, co było niegdyś największym na świecie systemem doprowadzania czystej wody, mogło przynajmniej tu i ówdzie dać obywatelom możliwość zaczerpnięcia z fontanny albo, większym kosztem, zaopatrywać w bieżącą wodę nowe pałace, gorliwie budowane przez papieskich urzędników – każdy kolejny większy, bogatszy i bardziej szykowny od poprzedniego. Rodrigo korzystał z tych zmian jak inni, ale także był ich częścią, gdyż odkąd został wicekanclerzem, dbanie o przepływ pieniędzy, poprzez sprzedawanie urzędów i pomysłowe obracanie podatkami, stało się jego zawodem, a na żyznej glebie korupcji bogactwo Kościoła rosło w harmonii z rozkwitem miasta.

Taki jest zatem Rzym Borgii – miasto, w którym podróżny po przekroczeniu bram musi przemierzyć jeszcze całe akry prowincji, zanim dotrze do centrum; w którym pogłowie zwierząt wciąż przewyższa liczbę mieszkańców, a kozy i reszta bydła pasą się na imperialnych ruinach, natarczywymi zębami wyrывая chwasty – i zaprawę – spomiędzy kamieni historii. Miasto wciąż szamoczące się nad przepaścią ziejącą między bogactwem a ubóstwem, wciąż targane

brutalną przemocą walczących ze sobą rodów. Lecz także miejsce rosnące w świetność i pewność siebie, bo pierwszy raz od stuleci przyszłość nie jawi się bardziej ponuro niż przeszłość, a nowy papież wybrał sobie imię jakby stworzone, by wspierać wiarę w odrodzoną chwałę.

Aleksander wielki... Aleksander wojownik...

Jego pierwszym zadaniem jako głowy Kościoła okazuje się wysłanie na sąd ostateczny sporej garści zbłąkanych dusz. Zamieszki, które nastąpiły po zgonie starego papieża, zapełniły kostnice setkami zwłok, a miasto przywykło do bezprawia. Wzmacnia straż papieską, delegalizuje kupno i sprzedaż broni bez papieskiego zezwolenia i przyspiesza procesy. Niejeden złapany złoczyńca zawisa na szubienicy postawionej w popiołach jego własnego domu, z dymem naprędce wymierzonej sprawiedliwości wciąż unoszącym się w powietrzu.

Aby pokazać, że jest równie sprawiedliwy, jak bezlitosny, papież osobiście nawiedza miejskie więzienie, a potem otwiera salę posłuchań w watykańskim pałacu dla zwykłych obywateli, raz w tygodniu przyjmując ich petycje. Ludzie tłoczą się do środka; upłynęło wiele czasu, odkąd mieli papieża zdolnego usiedzieć prosto na tronie, a co dopiero tak emanującego zdrowiem i energią. Odziany w połyskujący aksamit (z nakryciem głowy doskonale dopasowanym do jego dużej czaszki), słucha, rozważa, wyławia argumenty i wygłasza rozstrzygnięcia: tyleż Salomon, co Aleksander, z głosem donośnym jak kościelny dzwon. Nawet przegrani wychodzą zadowoleni.

Cięższe prace zostawia innym: muły, wozy, służący uginają się pod ciężarem ozdobnych tkanin, ram łóżek, kufrów pełnych naczyń ze złota i majoliki oraz wielkich herbów z bykiem Borgiów. Jego stary pałac opróżnia się jednymi drzwiami, a napęlnia drugimi. Nowym wicekanclerzem jest kardynał Ascanio Sforza i siedziba urzędu staje się teraz jego domem.

Tych, których Borgia nie może zdobyć przysługami, ujmuje wzorowym zachowaniem. Watykan nie doświadcza w pierwszych tygodniach natychmiastowej inwazji hiszpańskich trutni, której się obawiano. Najosobliwiej rzuca się w oczy publiczna nieobecność jego ubóstwianych dzieci. Aleksander mówi za to o zdrowiu moralnym Stolicy Apostolskiej, przegnaniu zepsucia i swojej intencji stosowania się do woli Kolegium Kardynałów. Starych wrogów zbija to z pantafyku, a ci sami ambasadorzy i dyplomaci, którzy jeszcze dwa tygodnie wcześniej potępiali go jako ordynarnego, skorumpowanego manipulatora, teraz ryzykują popadnięcie w przesadę, próbując oddać sprawiedliwość zdumiewającym walorom nowych rządów.

Koronacja jeszcze umacnia sukces. Jakże mogłoby być inaczej? To przyjęcie, na którego wydanie Borgiowie czekali przez trzydzieści lat. Po dziesięciu dniach wytężonych przygotowań wszystko rozpoczyna się tuż po wschodzie słońca w przypominającej wielką stodołę starej Bazylice Świętego Piotra, do której cisną się majętni i wpływowi, wyciągając szyje, by widzieć, jak rzesza strojnych niczym pawie kardynałów oddaje papieżowi publiczny hołd, padając do jego stóp i całując w pierw trzewiki, potem dłoń, a na końcu usta.

Plac watykański, przez kontrast, przywodzi na myśl pole bitwy: oddziały straży miejskiej, łucznicy i konni na tureckich rumakach przepychają się przez świty biskupów, kardynałów i świeckich osobistości; wszyscy jaśnieją barwami swoich rodów, a chorągwie z herbami łopoczą w rytm tętna werbli. Wreszcie, kiedy wszyscy już znaleźli się na miejscu i ustawili w jednym kierunku, procesja rusza przez rzekę, po Moście Świętego Anioła, z gwardią papieską na czele – promienie porannego słońca rozpryskują się na wypolerowanych tarczach – i zmierza drogą wijącą się przez miasto i szczerze pole w stronę katedry Świętego Jana na Lateranie opodal południowej bramy.

Borgiowskie upodobanie do teatru sięga teraz wyżyn: nad drogą, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wyrosły w ciągu nocy wielkie łuki obwieszane girlandami kwiecica.

W rozmaitych miejscach na popas wydaje się darmowe wino i jedzenie, a pylisty trakt ziano wodą, by nie dać przystępu spiekocie – oczywiście na próżno. Wczesnym popołudniem wszyscy są już na wpół oślepieni i uduszeni przez kurz, niektórzy zaś padają pod młotem słońca, osuwając się w omdlenie. Mimo to tłum wybucha entuzjazmem, ilekroć pojawi się on: duży mężczyzna na jeszcze większym białym koniu. Jego uśmiech nie gaśnie ani na chwilę; Aleksander VI, Najwyższy Kapłan, Namiestnik Chrystusa, Suweren Rzymu i Państwa Kościelnego, strażnik wszech ludzkich dusz, z twarzą lśniącą od potu obsypuje błogosławieństwami wszystkich i każdego z osobna.

Ludzie pozostają pijani wspomnieniem jeszcze długo po tym, jak kończy się wino.

– Miasto nie spało przez całą noc, mój panie. Nawet gwiazdy na niebie świętowały.

Tego i wielu innych rzeczy Cesare dowiaduje się nie tylko z listów, które regularnie dostarcza jego poczta, ale także z ust młodego człowieka, którego jedynym zadaniem jest teraz przynoszenie wieści i którego fakt przyjęcia do owczarni zachęcił do spróbowania sił w poezji, by jeszcze lepiej służyć swemu panu.

– „Antoniusz nie zaznał od Kleopatry tak wspaniałego przyjęcia, jak papież Aleksander od rzymian”. Słyszałem, jak wypowiedział te słowa pewien szlachcic w tłumie, kiedy go mijali. A na czele nasz Ojciec Święty... O, jego wierzchowiec, mój panie, to było precudne stworzenie, wysoki na osiem piędzi, albo i więcej, biały jak świeży śnieg, z krokiem tanecznicy. Uzdę miał, klnę się, szczerzłotą...

– Śmiałem przypuszczać, że ludzie mogli nie zauważyć, kto go dosiada. – Cesare, który za próby spoufalania się potrafi powalić człowieka na ziemię, znalazł niespodziewane upodobanie w tym gorliwym młodziku.

– Och nie, panie, jego wysokość papież, wasz ojciec, jechał jak zdobywca. Słyszałem, jak ktoś porównywał go do samego Pana z Apokalipsy.

– „I ujrzałem niebo otwarte, a oto biały koń. A siedzący na nim, zwany Wiernym i Prawdziwym, w prawości”[1]... – Cesare patrzy na młodego człowieka, któremu opadła szczeka. – Jestem człowiekiem Kościoła, Calderón. Znajomość Pisma należy do mego rzemiosła. Opowiedz mi jeszcze o tej chwili, kiedy zasłabł. Ilu ludzi to widziało?

– Och, to nie było nic takiego. Ujechał dziesięć mil, może więcej, a w tym upale, kurzu i ścisłości śłaniało się pół Rzymu. Jeśli cokolwiek się stało, to tylko tyle, że zobaczyli w nim człowieka. Zresztą szybko doszedł do siebie. A kiedy wstał, wszyscy wokół domagali się go jeszcze głośniejsze. Jak gdyby samo jego spojrzenie miało przynieść im błogosławieństwo. – Pedro waha się. – A przynajmniej tak słyszałem, bo nie mogłem być we wszystkich miejscach jednocześnie.

– Nie rozumiem dlaczego – mruczy Michelotto. Na moment zapada cisza, aż w końcu Cesare śmieje się, a ulga występuje na twarz chłopca niczym pot.

Chyżonogi młody Borgia na swoim zesłaniu nie ustaje w poszukiwaniu rozrywki. Siedzi rozparty na krześle w jednej z reprezentacyjnych komnat zamku w Spoleto, posadowionego na wzniesieniu górującym nad miastem. Miłosierny przeciąg od pootwieranych okien przeciwstawia się dławiającemu – mimo że jest wrzesień – upałowi. Przed Cesarem stoi skrzynia, z wymyślnie rzeźbionym wiekiem zasłanym mapami i papierami.

W ostatnich tygodniach Pedro Calderón dowiódł swej przydatności, co najmniej siedmiokrotnie udając się w podróż po wieści z Watykanu i z domu Adriany de Mila – tam i z powrotem. Droga jest dłuższa niż do Sieny, gdyż Spoleto leży w głębi wzgórz Umbrii, i kiedy Pedro pogania konia w górę krętych brukowanych uliczek wiodących do bramy zamku, i on, i zwierzę spływają potem. Niemniej jednak czuje, że warto. Gdy teraz przybywa, jest wpuszczany prosto do prywatnych pokojów Cesarego, dokąd przechodzi, mijając kolejkę ludzi

oczekujących na zewnątrz z petycjami ścisiskanymi w dłoniach. Gdy staje przed młodym Borgią, najczęściej jest tam też Michelotto, ponieważ służy swemu panu zarówno jako dowódca jego ludzi, jak i osobisty wartownik. W kuchni, jak doszło do uszu Pedra, przyjęto nowe sługi do próbowania potraw na wypadek, gdyby były zatrute. To już pałac dwóch języków: jednego dla mężczyzn i kobiet pochodzących z samego Spoleto i drugiego dla tych, których konfidencję zapewnia tylko kataloński. Co było niegdyś językiem dyskrecji, jest teraz językiem władzy.

– O... Obawiam się, że nie oddaję sprawiedliwości temu, co się działo. Musielibyście oglądać to sami.

– O, jestem pewien, że Orsini i Colonnowie aż się rwali, by mnie zobaczyć. „Gdzie ten bękart papieża, nowy arcybiskup Walencji? Chcielibyśmy ścisnąć mu jaja i pogratulować wyniesienia”.

Śmieją się teraz wszyscy trzej i Pedro czuje ferwor, który sprawia, że obolałe uda i ściśnięte gardło wydają się drobną niedogodnością.

– To wspaniała nominacja, Wasza Ekscelencjo. Nikt nie może temu zaprzeczyć.

– Uważaj no, Calderón – warczy słodko Michelotto. – Jeśli usmarujesz nos na brązowo i zapaszek dotrze do innych, nie będziesz już dla nas taki użyteczny.

Oczy chłopaka nadal błyszczą, ale śmiech więźnie mu w krtani. Michelotto uznaje to za jeszcze zabawniejsze.

– Co z delegacją florentczyków? – Cesare jest łaskawszy. – Był tam Piero de' Medici ze swoim bratem kardynałem, prawda?

– Tak. Tak. Chociaż... słyszałem pogłoski o problemach we Florencji.

– To więcej niż pogłoski. Piero wskoczył w buty swego ojca, ale się w nich zgubił. Co nie znaczy, że ten dureń Giovanni, jego brat, radziłby sobie lepiej. Przy okazji, widzę, że nie przywozisz listu od mojego drogiego brata – mówi, a czułe określenie zdaje się powlekać warstewka lodu. – Może Juan jest zbyt zajęty świętowaniem, by znaleźć czas na pisaninę.

– Nie... nie wiem, mój panie.

– Ale nie zastałeś go w pałacu Adriany?

Calderón kręci głową. Były tam jednak kobiety papieża. Przebywały w pomieszczeniu tuż przed nim, tego jest pewien: w powietrzu unosił się odurzający zapach perfum, róż i plumerii, a drobinki kurzu zmiecione przez ich rozkołysane suknie, gdy wychodziły, tańczyły w promieniach słońca. Kiedy po raz pierwszy przyjechał tam po listy, siedział na krześle, z którego oparcia nonszalancko zwisał długi kosmyk kilku jasnych włosów. Peleryna z płynnego złota – tak mówi plotka. Nawinał go na palec, kiedy ciotka nie patrzyła. Później obwiązał nim pakiet listów, żeby zapewnić sobie bezpieczną podróż, ale gdzieś po drodze zsunął się od tarcia o wnętrze sakiewki.

– A co się mówi na ulicy?

– Na ulicy? O waszym bracie? – Waha się. – Na ulicy mówi się, że... że księżę Gandii lubi zadawać szyku, a krawcy i złotnicy kwitną pod jego skrzydłami. – Mówi się też, że umiła sobie czas towarzystwem apetycznej młodzianki mężatki, za plecami jej męża niedojdy. Pedrowi trudno jednak ocenić, czy jest to informacja z tych, które powinien zdobyć, czy też taka, o której lepiej zapomnieć. – Na pewno nie za wiele przebywa ostatnio w domu, mój panie.

– W rzeczy samej – Cesare parska pozbawionym wesołości śmieszkiem. Nie da się powiedzieć mu o Juanie czegoś, czego i tak by już nie wiedział. Między ich narodzinami upłynęło zaledwie osiemnaście miesięcy, a byli w konflikcie, zanim jeszcze opanowali język, by móc wyrazić wzajemną niechęć. Może gdyby Juan wcześniej zszedł z kolan ojca, znalazłby lepszy sposób na dorównywanie starszemu bratu. Są chwile, gdy Cesare zastanawia się, czy nadal tam nie siedzi; z pewnością wyjaśniałoby to ojcowską pobłażliwość w stosunku do

młodzieńca, któremu niewłaściwe zachowanie przysparza wrogów szybciej, niż na zepsutym mięsie lęgną się robaki. – Musisz wiedzieć, Calderón, że dom wkrótce będzie się przenosił.

– Co takiego? Jesteście wzywani do Rzymu?

– Nie my. Nie, chodzi o dom Adriany de Mila. – Cesare zerka na Michelotta. Ten zaciska wargi, jakby chciał okazać zaniepokojenie kierunkiem konwersacji. – Zamieszkają w Palazzo Santa Maria in Portico. Znasz to miejsce?

Pedro przytakuje. Prawdopodobnie odpowiedziałby, że zna, nawet gdyby było inaczej, ale w ostatnich tygodniach zadał sobie trud, by zapoznać się ze wszystkimi budynkami w pobliżu centrum władzy. To jeden z nowszych *palazzi*, cały z zamaszystych linii płynnie przemawiających w klasycznym języku, którego Pedro nie rozumie, ale wie, że to ostatni krzyk mody wśród tych, którzy mogą sobie pozwolić, by za modą podążać. Ważniejsze od architektury jest jego usytuowanie: bezpośrednio na lewo od pałacu watykańskiego, tak blisko, że – jak mówi plotka – nie trzeba wychodzić na zewnątrz, żeby przejść z jednego budynku do drugiego.

– Czy to dom kardynała Zeno?

– Tak. Ale niebawem zostanie uprzejmie ofiarowany naszej rodzinie – oświadcza Cesare, a jego sformułowanie wywołuje rechot Michelotta.

– Kiedy to nastąpi, panie?

– Wtedy, kiedy ci powiemy – wcina się szorstko Michelotto. – Rozumiesz chyba, chłopcze, że to, czego się tu dowiadujesz, nie należy do publicznej wiadomości.

Nie należy. Jakkolwiek jest to plotka warta więcej, niż kiedykolwiek zdoła zarobić, galopując wte i wewte przez Italię.

– Wiem, *signor* Corella – odpowiada, patrząc prosto na niego. Jak przystało na człowieka, który spędza większość czasu w siodle, zwykł trzymać usta zamknięte. W przeciwnym razie dostaje się do nich zbyt wiele kurzu. Odwraca się do Cesarego. – Ufam, że będziecie w Rzymie na długo przed tym.

– Otóż to. A kiedy się tam znajdziemy, rzekłbym, że będziemy potrzebować posłańca tak samo ręczego na własnych nogach, jak na końskim grzbiecie. – Przebiera lekko palcami dłoni spoczywającej na udzie i Michelotto zamyka usta, nie uwalniając słów, które być może miał ochotę wypowiedzieć. – Może znasz kogoś, do kogo moglibyśmy się zwrócić? – dodaje lekko.

Cesare ma powody, by być łaskawie usposobionym. Choć jego naturalny stan to niepokój człowieka gnanego ambicją, mającego za kompanię jedynie własną wolę, meldunki z Rzymu są wielce obiecujące. Tak czy inaczej, rozmawiali o tym już przed konklawe – że jeśli jego ojciec zostanie wybrany, pierwszym i najcięższym zarzutem przeciw niemu będzie oskarżenie o nepotyzm, idące w parze ze strachem, że chmara cudzoziemskich ptaków spadnie na gaj i oskubie go do cna. Na razie wystarczy mu arcybiskupstwo Walencji. Oczywiście niektórzy będą utyskiwać, jakież to bogactwa niesie ze sobą ten tytuł. Ale każdy papież jest zobowiązany złożyć urzędy kościelne, które piastował przed elekcją, a jeśli jakieś beneficjum powinno zostać w rodzinie, to jest to właśnie Walencja, gdyż Borgiowie wyrosli z tej ziemi, gdy zaś chodzi o sieci matrymonialne mające ugruntować ich potęgę, któreś z małżonków na pewno będzie hiszpańskiej krwi. Z listów ojca można wyczytać, że niekoniecznie dotyczy to Lucrezii. Od konklawe upłynęło ledwo sześć tygodni, a okazję zwęszyli już, jak się zdaje, inni zalotnicy. Cesare zastanawia się, do jakiego stopnia Lucrezia jest tego świadoma. Nie – gdyby wiedziała, powiedziała by jemu pierwszemu.

– Co? – Spogląda na Michelotta, który ze zmarszczonymi brwiami patrzy w podłogę. – Nie martw się. Calderón wie, że to próba, tak samo dobrze, jak my.

– Nie potrzebujemy go. Mamy innych jeźdźców. A on jest młody i złakniony.

– Znam takich, co zaczynali jako młodszy. I bardziej złaknieni. Zostawmy go na razie.

Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

Po tryumfie ojca możliwe jest absolutnie wszystko. Pomijając kurwienie się jego brata, jedyną troską Cesarego – jeśli można to tak nazwać – jest nieustająca słabość papieża do tej Farnese. Co za sens chować po kątach swoją rodzinę, skoro pół Rzymu wie, że sypiasz z kilkunastoletnią powinowatą? Popadnięcie w zależność od jakiegokolwiek kobiety jest zagadką dla Cesarego, który w wieku osiemnastu lat spędza czas, wybierając sobie dziewczęta jak dojrzałe owoce z misy, tylko po to, by odrzucić je nadjedzone. Kieruje nim nie tyle okrucieństwo, ile brak zainteresowania; tak jak w przypadku polowania, do którego żywi podobną namiętność, pogoń jest niekiedy bardziej ekscytująca niż sama zdobycz.

Wie jednak, że jego ojciec zawsze potrzebował uczucia na równi z uciechami ciała. Jako kardynał mógł utrzymywać tuzin kurtyzan, lecz przez lata pozostawał wierny ich matce, Vannozzy. A ona, jakkolwiek piękna, była dlań bardziej żoną niż kochanką. Choć musiały wchodzić w grę klejnoty i fawory, najżywszym wspomnieniem z ich wspólnego życia, jakie Cesare zachował w pamięci, jest matka w prostym domowym odzieniu, klęcząca przed balią gorącej wody, w której ojciec zanurza nogi, śmiejąc się z odrzuconą do tyłu głową. Kobieta, która ulży nabrzmiałym stopom równie dobrze jak nabrzmiałemu kutasowi – na myśl o takim rodzaju intymności Cesarego przechodzi dreszcz.

Nawet po rozstaniu, kiedy Rodrigo na dobre opuścił jej łóżko i zabrał od niej wszystkie dzieci, pozostała w jego łaskach, troskliwie zaopatrzona w domy i posiadłości, z mężem rogaczem gotowym z powrotem wśliznąć się w wolne miejsce w pościeli. Patrząc wstecz, Cesare nie przypomina sobie płaczów, lamentów ani rozdzierających scen. Była w tym mądra – wykrzykiwanie cierpienia na całą okolicę nie przyniosłoby nikomu nic dobrego. Zamiast tego pozostała – aż do teraz – wdzięczna i pogodna, witając go mile, gdy ją odwiedza, i nie zatrzymując, kiedy odchodzi, tak że Cesare, który nigdy nie miał serca na dłoni (niektórzy powiedzieliby, że to dlatego, że nie ma go w ogóle), czuje się zawsze rozluźniony w jej towarzystwie. Nie. Mimo całej dziwności ich położenia i całego jadu, którym zechce się plwać armii świętoszkowatych wymoczków, mieli przez lata ni mniej, ni więcej, tylko własną szczęśliwą rodzinę, kochaną i kochającą.

Jednak romans jego ojca z tą Farnese jest skrojony z innej materii. Wieści o jej przyjeździe do Rzymu dotarły nawet do sal wykładowych Pizy: la Bella Giulia, hodowana w cieplarni, by wydać cudny kwiat, zniewalająca i gotowa do zniewolenia, ze zgrają krewniaków w tle, budujących swą niepewną przyszłość na fortunie między jej nogami. Postawili na właściwą kartę, myśli Cesare. Jej brat duchowny wkrótce zostanie kardynałem – dobrym potakiwaczem dla stronnictwa Borgii i dobroczyńcą własnego rodu. Tak oto nowa dynastia zaczyna piąć się po przyprawiającej o zawrót głowy drabinie władzy.

Na drugim końcu pokoju Michelotto siedzi z ramionami założonymi niezgrabnie na krępym korpusie i podrygującą niespokojnie prawą stopą. Nigdy nie był typem dworaka, nawet gdy miał gładse oblicze; słodkie pogaduszki mąciły klarowność jego instynktu.

– Słowo daję, że jesteś bardziej niecierpliwy niż ja, Michelotto – mówi Cesare, małpując jego grymas, który z tą chwilą się pogłębia.

– Myślę po prostu, że gdybyśmy byli w Rzymie...

– Gdybyśmy byli w Rzymie, mielibyśmy baczne towarzystwo nawet podczas srania.

A tak ludzie się odprężają, a my kłujemy w oczy poza miastem. – Choć oczywiście pilno mu do domu, korzystał mądrze ze swego wygnania, z większą przenikliwością obserwując pofałdowania na horyzoncie szerszego politycznego pejzażu. Wskazuje plik listów na stole. – Papież pisze, że już wysłał wojska do Perugia. Dotrą tam z końcem tygodnia.

– Ha! Baglionim się to nie spodoba. Będą wiedzieli, że informacja wyszła od ciebie.

– Właśnie tego chcę.

Weszli sobie w drogę za młodu: kiedy Cesare uczył się w Perugii, chłopcy z rodu Baglioni byli mniej więcej w tym samym wieku. Już wtedy stanowili bandę zabijaków, ci synalkowie dwóch rządzących braci, wypadający z łon rozmaitych matek z kastetem przyrośniętym do pięści, rwący się do bitki, jeśli tylko przeciwnikowi nie dostawało siły. Papieski legat w mieście ledwo śmiał oddychać, w strachu, by któremuś z nich się nie narazić. Teraz, kiedy tylu z nich dorosło, a tak niewiele jest do podziału, próbują siekać władzę na jeszcze mniejsze cząsteczki, przy użyciu jeszcze większej przemocy.

– To nie ich miasto. Nie mają prawa żreć się nad nim jak nad świeżą zdobyczą. To jak orędzie do innych prowincji, że mogą postępować tak samo i ujdzie im to na sucho.

Michelotto prycha.

– Z czego się śmiejesz?

Unosi ręce w fałszywym geście poddania. Mimo oczywistej różnicy ich statusów uwielbiają sobie dogryzać, jak bawiące się psy.

– Tylko się delectuję odpoczynkiem od prawa kanonicznego. Jest suche jak cycek czarownicy. Myślę...

– Wiem, co myślisz: że całą rzecz można by gładko przeprowadzić raczej mieczem aniżeli tonsurą.

Michelotto szczyrzy zęby.

– Ja nie składałem ślubów.

– Za co Kościół z pewnością winien być wieczyście wdzięczny. Nie martw się. Kiedy nadejdzie czas, raz-dwa będzie po tonsurze. Włosy rosną szybko.



Rozdział 5



Dla mężczyzny może i szybko. Dla kobiety jednak zapuszczanie włosów może być dziełem życia.

Kiedy Rodrigo Borgia pierwszy raz wziął Giulię Farnese do łóżnicy, stała przed nim nerwowo, okryta jedynie swymi -włosami; spod złotolitej zasłony wyglądały tylko piersi i kępka na łonie. Jakież mężczyzna potrafiłby się oprzeć temu widokowi?

Włosy papieskiej kochanicy – cóż za temat dla plotki. A dlaczegoż by nie? W czasach gdy święci mężowie mieszkali na słupach, by oddawać cześć Panu, długość włosów świadczyła o ich nabożności. Maria Magdalena używała włosów jako płaszcza, by okryć swą sromotę, i jako ręcznika, by osuszyć łzy, którymi obmyła nogi naszego Zbawiciela.

Dla Giulii Farnese zaś były zawsze kluczem do chwały.

Akuszerki obecne przy jej narodzinach zdumiały się wielce, gdy po oczyszczeniu główki niemowlęcia z krwawego śluzu ujrzały na niej ciemne od wilgoci, sprężyste loczki. Po upływie roku przybrały one barwę dojrzałego zboża, wijąc się koło uszu. Po następnych dwóch latach sięgały ramion, siedmiolatce zaś już do połowy pleców. Kiedy stało się jasne, że będzie to jej skarb? Nie ulega wątpliwości, że całe domostwo szybko popadło w niewolę ich potrzeb: mycia, rozjaśniania, namaszczania, splukiwania, suszenia i czesania. Niekończącego się, niekończącego czesania. Podczas gdy jej bracia uczyli się łaciny i ćwiczyli walkę na kopie, ona siedziała nieruchomo, z mięśniami szyi napiętymi, by przeciwstawić się impetowi szczotkowania, nie mogąc czytać, nie mogąc szyć, nie mogąc robić nic prócz studiowania wzoru sukni na swoim podolku. W czasie, gdy zaczęła krwawić, jej włosy – ta siódma zasłona, ta wezbrana rzeka, ten złoty całun – sięgały już do kolan, a wieść o nich i o jej krasie wyszła poza mury domu.

Kiedy w końcu znalazła się w Rzymie, to, co miało się stać, stało się w mgnieniu oka. Wszyscy wiedzieli, jak bardzo kardynał Rodrigo Borgia kocha kobiety. Wiedzieli też, że jego kuzyn w drugiej linii Orsino Orsini jest w wieku do ożenku, a chłopak z każdym okiem patrzącym w inną stronę mimo dobrego pochodzenia nie będzie nigdy wymarzoną kobietą. Od tego momentu wszystko było tylko kwestią odpowiedniego „przypadkowego” spotkania w czyimś domu, wyreżyserowanego do ostatniego szczegółu, z Giulią i jej włosami usadowionymi w blasku popołudniowego słońca, pomiędzy krążącymi wokół ludźmi. Podszedł – oczywiście nie Orsino; szczeniaka zajmował w tym czasie czymś innym przyjaciel z rodziny Farnese – prosto do niej, czarujący, opiekuńczy, pełen widocznego zachwytu, ale uprzejmy: mężczyzna, który potrafi równie dobrze słuchać, jak perorować. Gdy podnosiła się, by wyjść, zapytał – z takim błyskiem w oku, że kto zdołałby odmówić? – czy może dotknąć jej włosów. Stał za nią i podniósł je, jakby ważąc w dłoniach przed zakupem, i poczuła jego oddech na karku, a potem jego dłonie spoczęły, och jak lekko, na jej ramionach, a on mówił szeptem, jaka jest cudowna i jak bardzo chciałby ją jeszcze zobaczyć.

– Nie trwóż się. – Tamta pierwsza noc przypadła srogą zimą i musiał ogrzać ręce, by ich dotyk w jej wnętrzu nie był szokiem. – Przyrzekam, że nie sprawię ci bólu.

To nie była obietnica, którą złożyłby każdy, zwłaszcza człowiek o jego pozycji. Pokrzepiło ją, że to powiedział. Wielu nie zawracałoby sobie głowy.

Później rozłożył jej loki na poduszkach i na całym łożu, jak wielką słoneczną koronę promieniującą z jej głowy, a jeszcze później skłonił ją, by go dosiadła i pozwoliła im opaść i rozsypać się na jego piersi i twarzy. Był w tym wszystkim dwornym i nieszczędnym pochwał kochankiem, tak rozkoszującym się własną rozkoszą, że niepodobna było się go bać.

A jednak się bała. Lękiem napawała ją nie tylko własna moc (bo rozumiała już, że takową posiada), lecz także fakt, że to jedwabiste cudo, które na sobie nosiła, pozostawało doskonale jedynie pod warunkiem, że go nie tykano. W potrzasku potu i skóry trącej o skórę włosy zaczęły plątać się i mierzwić. Zdarzały się też momenty, w których przetaczając się po łożu, przygniatała je do pościeli, unieruchamiając jej głowę swoim ciężarem. Rzecz jasna, nie krzyczała. Bo były jednością, ona i włosy, a ta jedność była jego syreną i jego Wenus, i jego bardzo osobistą Marią.

Po pierwszych pięciu czy sześciu schadzkach z nastaniem dnia dom rozbrzmiewał odgłosem jej krzyków. Skołatnienie postępowało tak szybko, że niezależnie od tego, jak delikatnie niewolnica starała się przeciągać po pasmach grzebieniem i jak szeroko rozstawione były jego zęby, Giulia nie mogła się powstrzymać od płaczu, tak że po jakimś czasie ani ona, ani nikt inny nie był pewien, czy oplakuje swoje włosy czy swoje życie, gdyż tak wiele zmieniło się w tak krótkim czasie.

W końcu musiała mu powiedzieć. Okazał się zaskakująco wyrozumiały; jej pragnienie, by go zadowolić, było wzruszające, a prawdę mówiąc, on również uważał konieczność uwzględniania w łóżku owego trzeciego kochanka za cokolwiek męczącą. Razem uradzili, że trzeba go okiełznać. Od tej pory gdy się kochali, włosy trzymał w ryzach ciężki, gruby splot. Miało to swoje dobre strony. Kiedy stała, warkocz zwieszał się, spływając po pośladkach, aż do szpary między jej udami. Wchodząc w nią, Rodrigo zgarniał go i owijał, raz i drugi, wokół jej szyi, jak masywny złoty naszyjnik. Albo powróż. Ona zaś, ponieważ była pojętną uczennicą, odrzucała głowę i jęczała, jakby rzeczywiście ją dusił, i doświadczenie to było tyleż ekscytujące, co przerażające.

Minęły trzy lata, a ona ma męża, który nie potrafi spojrzeć na wprost, i kochanka, którego wyniesiono z rangi kardynała do godności papieża. I choć namiętność Aleksandra nie przygasła (jeśli cokolwiek, to raczej się wzmogła), osłabł nieco jego nieustanny popęd do kopulacji, toteż są chwile, kiedy masa zwiniętych włosów służy mu nie tyle jako rekwizyt erotyczny, ile jako poduszka, na której kładzie głowę albo wtula – tak, wtula, żadne inne słowo nie pasuje, mimo że to taki wielki mężczyzna – w nią nos.

Jakże głębokie ukojenie mu przynosi. Czasem po zbliżeniu kładzie głowę między jej piersiami i odpoczywa tak, aż jego oddech przejdzie w ciężkie chrapanie, podczas gdy ona leży, głaszcząc jego potężne jak u wołu barki, porośnięte z rzadka czarnym, szorstkim włosem. Dopiero gdy jest pewna, że zasnął mocno, delikatnie, lecz stanowczo spycha go z siebie, bo nie może oddychać swobodnie, przywalona jego bezwładnym ciężarem.

Później w nocy zdarza mu się ocknąć i wsunąć dłoń między jej nogi albo przebiec palcami po doskonałej krzywiznie jej grzbietu – i często jest to w tej samej mierze gest posiadacza, co wyraz pożądania. Przewodzenie chrześcijańskiemu światu to ciężkie brzemie, i choć Rodrigo Borgia słynie z zadziwiającego wigoru, nie zawsze wykazuje się nim w łożu – i to także nauczyła się rozumieć.

Mimo to stara się dać jej przyjemność, bawiąc się z jej ciałem: jego palce rozdzielają jej włosy łonowe, wślizgują się do jej wnętrza i zakrzywiają tam w głębi, co ku zdumieniu Giulii przyspiesza jej oddech tak, że nie musi udawać. A on się wtedy uśmiecha, ponieważ przy całej swej imponującej władczości Aleksander jest mężczyzną, który nie tylko kocha, ale i lubi kobiety, i ważne jest dlań, aby i one go lubiły.

Umieściwszy ją najpierw przez małżeństwo w domu swojej rodziny, niedawno przeniósł

ten dom w sąsiedztwo własnego. I chociaż przez wszystkie godziny dnia i nocy zajęty jest byciem papieżem, odczuwa szczególną radość, kiedy z podkasaną sutanną zmierza sekretnym przejściem z Watykanu do pałacu Zena, wiedząc, że cały dom rozjaśni się na jego powitanie.

Najwspanialej jest, gdy odwiedza ich niespodziewanie: twarz Giulii niezawodnie rozświecła się zadowoleniem, z wiernej Adriany wylewa się istny potok rozszczebiotanego uwielbienia, a dzieci – ach, dzieci... Lucrezia wciąż rzuca się na niego, gdy tylko przekroczy drzwi, Jofré nadal traktuje go jak drabinkę, Juan zaś – cóż, w rzadkich przypadkach, kiedy udaje się go zastać, jest buńczuczny i dumny jak młody lew. Juan, z grzywą kasztanowych włosów i nosem tak prostym, jak jego jest orli. Juan, tak świeży i gładki, że twarz ma niemal dziewczęco ładną. Ale w wieku niespełna siedemnastu lat w jego zachowaniu nie ma nic niewieściego, tyle w nim nieposkromionej energii, tyle zuchwałej pewności siebie. Cechy, które inni postrzegają jako pychę, Aleksander uważa jedynie za obiecujące. Młodzik żywy jak iskra i rwący się do podboju świata? A dlaczegoż by nie? Od kiedy to życie nagradza tych, co chowają się po kątach?

Aleksander miał kiedyś brata, tak samo nieokiełznanego i niecierpliwego jak Juan. O, jakże go kochał. Kiedy ich wuj Kalikst był papieżem, mianował go prefektem miasta, zapewniając mu zagorzałą nienawiść starych rzymskich rodzin. Jego klęska i śmierć rozcięły głęboko serce Rodriga, a blizna stwardniała w pragnienie zemsty, wciąż jeszcze niezaspokojone. Nauczyło go to jednak także, co należy pokazywać, a co ukrywać. Cesare – o dziwnym, zimnym sercu – z tym talentem się urodził. Impulsywny Juan musi się jeszcze tego nauczyć. Cóż, wszystko przyjdzie z czasem.

Jakąż wspaniałą rodziną został pobłogosławiony! Dają mu tyle energii, wszyscy ci piękni, silni młodzi ludzie; czerpie z ich wigoru, jakby brał całe hausty świeżego powietrza, i staje się w ich obecności jeszcze mocniejszy i potężniejszy.

Wysunawszy ramię spod ciała śpiącej Giulii, podciąga się na posłaniu, żeby przywrócić krążenie w ścierpniętych palcach. W głębi klatki piersiowej czuje supeł niestrawności. Irytuje go takie bóle i dolegliwości – u niego, który miał zawsze zdrowie wołu. Albo byka. To minie. Za dużo ciężkiego jada przez ostatnie trzy miesiące. Papież musi podejmować wielu gości – i oczekuje się, że posiłki będą wystawne. A on, mimo bogactwa, jest człowiekiem, który lubi prostą strawę i wiejskie wino. Ileż razy uczestniczył w bankietach, na których ludzie wykrzykują swój status poprzez niekończącą się procesję pieczeni i zawiesistych sosów, aż w końcu, przeżarci, mogą jedynie opaść na poduszki i pozwolić, by rozmaite półsekrety skapywały z ich rozluźnionych języków. Nikt jednak nie wyszedł z domu Borgii, trzymając się za żołądek i niosąc ze sobą plotkę, która nie była przeznaczona dla jego uszu.

Studiuje krągłości i wklęsłości jej ciała. Uwypuklenie brzucha rzuca się już w oczy. Musiało się to stać przed konklawe – dobra wróżba dla nowego Borgii, nawet jeśli trzeba będzie czasu, by został (bo oczywiście będzie to on) jako Borgia uznany. Nieistotne. Pod okiem Adriany i z dobrymi szwaczkami na podorędziu ciąża może pozostać ukryta tak długo, jak będzie to konieczne, a potem Giulia zapadnie na krótką chorobę, co opróżni dom z gości aż do chwili, kiedy będzie gotowa ponownie ich przyjmować.

Wsufa dłoń pod jej brzuch, jakby ważąc rosnące w środku nowe życie. Procesy dojrzewania zachodzące w kobiecym ciele są dla niego afrodyzjakiem same w sobie, żywym śladem jego potencji. Przypomina sobie pierwszą ciążę Vannozzy, kiedy to nosiła Cesarego: jak nabrzmiewały jej piersi, jak coraz wyraźniej zaznaczała się linia czarnego meszku od wżgórka łonowego do pępka, jak kładł głowę na jej brzuchu i starał się wyczuć to, co się w nim rozpierało. Tylko że Cesare, przewrotny już w łonie matki, kopał i kręcił się nie wtedy, kiedy się człowiek spodziewał. A wyszedł stamtąd, walcząc, z zaciśniętymi piąstkami i szukającą ujścia energią już widoczną na zmiętej twarzyczce. Inaczej niż Lucrezia. O, ta była od początku maleńką boginią,

tak doskonała, tak drobna, że mógł trzymać ją na jednej dłoni. Świat nie widział piękniejszego dziecka.

Jego palce ześlizgują się z brzucha Giulii w miły, wilgotny zakamarek poniżej i tym razem dziewczyna się budzi.

– Nie śpisz?

– Mmmm.

Raduje go jej głos.

– Już prawie świt. – Odsuwa na bok sięć włosów i całuje ją w kark. – Niedługo muszę iść.

Burchard, jego wszechobecny i niezawodny mistrz ceremonii, choć nigdy nie powie ani słowa na ten temat, wie dobrze, kiedy papież nie obudził się we własnym łóżku. Surowemu Niemcowi wydaje się, że zachowuje swoje uczucia dla siebie. Aleksander uśmiecha się. Burchard musi być człowiekiem, który nigdy nie patrzy w lustro, bo gdyby to robił, dostrzegłby, że dezaprobata ma wyrytą na twarzy wciąż pogłębiającymi się liniami.

Giulia przewraca się na plecy, uwalniając się spod jego dłoni, i przytula do jego boku. Aleksander podpira się na łokciu i spogląda na jej twarz, jej doskonałą, perłową skórę, jak poświata księżyc w ciemności.

– Spałeś dobrze, mój panie? – mówi Giulia głosem schrypniętym ze snu.

– Śpię z boginią, jak więc mogłoby być inaczej? – Śledzi palcami kilka pasemek włosów, które wymknęły się ze splotów.

Giulia śmieje się cicho i wzdycha.

– Zanim pójdziesz...

– Zanim pójdę...?

– Chciałabym... prosić o łaskę.

– Cóż jest takiego, czego jeszcze nie posiadasz i mogłabyś pragnąć, Giulio Farnese? – pyta pobłażliwie. *La Bella* przyjmuje podarunki z takim wdziękiem, że dawanie sprawia mu jeszcze większą przyjemność.

– Och... To nic takiego. Drobnostka. Tak naprawdę nie dla mnie.

– W takim razie sprawa załatwiona.

– Kiedy dziecko... To znaczy, kiedy już sprawy się ułożą... Chciałabym... Chciałabym odwiedzić Orsina.

Cisza mówi jej to, co już wie. Że wcale nie jest to drobnostka.

– Nie na długo. Jest na wsi już prawie od roku. I dowie się o dziecku. Niezależnie od tego, jak starannie jego narodziny będą trzymane w tajemnicy, myślę, że byłoby słuszne, żebym to ja mu powiedziała.

Cokolwiek mówią ludzie, Aleksander nie jest człowiekiem bez sumienia. Oczywiście zdarzyło mu się myśleć o swoim nieszczęsnym kosoockim kuzynku z rogami sterczącymi nad czołem. Inaczej niż niektórzy znani mu ludzie, nie czerpie specjalnej przyjemności z cierpienia innych. Przeciwnie, chciałby, żeby Orsino był zadowolony, i starał się go takim uczynić, obdarowując ziemiami i beneficjami. Jednakże w sytuacji bezpośredniej próby sił zdecydowanie łatwo mu ignorować nieprzystawalność ich doli i nie lubi, by mu o niej przypominać.

– Jego matka powie mu wszystko, co powinien wiedzieć, we właściwym czasie. Dobrze rozumie okoliczności. Jest Borgią i poważa swoją rodzinę.

– Ale jest także mężczyzną, Rodrigo. I jako mężczyzna nie jest szczęśliwy.

– Człowiek nie rodzi się do szczęścia – mówi pompatycznie, tubalnym teraz głosem. – Czyżby w listach nękał cię swoimi smutkami?

– Nie, nie. Ale to coś, o czym nie trzeba mi mówić. – Uśmiecha się zwycięsko. – Kocham ciebie, mój panie. Nie jego. Wiesz o tym. I nie jechałabym na długo. Ale on jest moim mężem.

– A ja jestem twoim papieżem. – Zaskakuje go własna zaciekłość. – Dam ci wszystko, tylko nie jego. – Wypowiadając te słowa, wie, że właśnie to myśli. Nie, nie da jej go. I jej też nie odda – ani mężowi, ani nikomu innemu. Jakby bez niej u boku, bez jej ciała rozgrzewającego mu łożę i myśli, ryzykował, że nie będzie już mężczyzną, którym jest, siłą, którą musi być w świecie. – Poproś mnie o coś innego – mówi, wracając na suchy ląd – a będzie ci dane.

Ona kręci głową, lecz w ciemności trudno odczytać wyraz jej oczu.

– Nie ma nic więcej, mój panie.

Leżą przez chwilę bez ruchu. Później Giulia delikatnie ujmuje jego rękę i prowadzi ją tam, gdzie spoczywała przedtem. Gdy jego palce łączą się z jej wilgocią, wydaje lekkie westchnienie.

– Jesteś wszystkim, czego pragnę – mruczy, unosząc biodra, by dać mu lepszy dostęp. – Zanim pójdziesz...

I ponieważ chce jej wierzyć, wierzy.

To dziwny dźwięk, ostry, wysoki, jak głos lisa albo innego zwierzęcia w kleszczach bólu. Zdarzało jej się słyszeć podobny odgłos nocą w ogrodach i na polach otaczających zamek w Subiaco, gdzie jako dzieci spędzali lato, by uciec od gorąca i zarazy, i zawsze sprawiał, że myślała o śmierci.

Nie jest to jednak zwierzę ani też umieranie. Lucrezia wie o tym dobrze. To głos jej ojca w łożu z Giulią. Wciska mocniej głowę w poduszkę, by go stłumić. Rozlega się znowu. Lucrezia czeka, aż dołączy głos Giulii; wydaje czasem taki słodki trel, jak piosenka ptaka dolatująca gdzieś z drzewa. To, co Lucrezia słyszy, jest miłością, nie przemocą. To także wie. Widziała tych dwoje razem, zauważając czułość na równi z pożądaniem. Ale wie również, że to, co robią, jest zakazane. Że Giulia jest żoną innego mężczyzny. Że według kościelnego prawa to grzech. Jednakże chodzi o jej ojca. A jej ojciec jest Kościołem. Co więcej, bez takiego samego grzechu nie byłoby jej na świecie – ani jej, ani Cesarego, ani Juana, ani Jofrégo – bo i jej matka była związana ślubem z kimś innym. Czy to sprawia, że wszyscy oni są grzeszni – oni, tak kochani i tak dobrze traktowani? Czy może ciężar grzechu się zmienia w zależności od tego, kto go popełnia?

Lucrezia rozmyśla więcej o takich rzeczach od czasu klasztoru. Wcześniej, kiedy była dzieckiem, wszystko, co działo się wokół niej, było po prostu życiem; ledwo pamięta matkę – może najlepiej ciepło jej ciała albo szeroki uśmiech – lecz ojca zawsze wielbiła i zawsze wiedziała, że to wielki człowiek, który służy Bogu, co oznacza, że czasem jest z nimi, a czasem nie. Wszystko to było normalne. Kiedy Cesare odpowiadał swoim nauczycielom z lodowatą impertynencją albo Juan chodził po domu, rycząc na każdego, kto się z nim nie zgadzał, myślała, że tak właśnie zachowują się chłopcy. Sama natomiast wcześniej przekonała się, że słodycz może jej zapewnić wszystko, czego zapragnie. Co nie stanowiło szczególnej niedogodności, zważywszy, że bardzo wiele z tego, czego mogła chcieć, już posiadała, a z natury była usposobiona raczej do uśmiechu aniżeli grymasu niezadowolenia.

– Chodź tutaj, niech no rozbłyśnie moje słońce – tak witał ją ojciec, kiedy wracał znużony obowiązkami, które akurat nałożył nań Bóg. Cóż innego mogła zrobić, jeśli nie uśmiechać się dla niego?

Cesare ujął to kiedyś inaczej. Było to, zanim wysłano go na studia, a między nim a Juanem panowała już zacięta rywalizacja: Cesare prowokował rzucanymi szybko sprytnymi słówkami, Juan odpowiadał pięściami – i te walki młodszy zawsze przegrywał. Adriana starała się potem udobruchać Juana pociechą lub przekupstwem, kojąc zarówno zranioną dumę, jak i poturbowane ciało. Cesare jednak, jakkolwiek był -zwycięzcą, dłużej chował w sobie gniew, jakby była to drzazga jątrząca skórę. Wtedy przychodziła i siadała obok niego, wsuwając palce

w jego dłoń i czekając, jak piesek u boku pana, aż będzie gotów ją zauważyć. Co zawsze się działo.

– Wiesz, 'Crezio, jest w tobie jakaś alchemia – powiedział, kiedy skłoniła go do uśmiechu. – Tam gdzie inni kryją jad, ty nosisz w sobie balsam.

Ostatnio wszak jakby mniej w niej balsamu, a więcej dręczących wątpliwości. Niedawno zaczęła krwawić, a z tym pojawiły się burze uczuć, nad którymi nie ma żadnej kontroli: nagła złość czy zniecierpliwienie całym światem, łzy bez powodu. Nawet jej skóra, wcześniej gładka i miękka jak puch, co jakiś czas wybucha, jakby te małe gejzery ropy były jedynym ich ujściem. Adriana chodzi za nią po domu z maściami i specjalnymi napojami, gorzkimi w smaku. To przejdzie, mówi. Przejdzie. Wiem, myśli Lucrezia, jeszcze bardziej gniewnie. Dlaczego wszyscy wciąż traktują mnie jak dziecko? W klasztorze działo się to cały czas. Zdarzały się dni w miesiącu, kiedy woń psującej się krwi była wszechobecna: snuła się po krużgankach i nocą rozsączała po kaplicy.

Wychowanki nie miały obowiązku uczestniczyć w nocnej liturgii godziny czytań. Klasztor był ich szkołą, a nie życiem, i cieszyły się przywilejami niedostępnymi dla nowicjuszek i mniszek. Lucrezia jednak zawsze miała problemy ze snem. Kiedy Cesare wyjechał z domu, jego nocne towarzystwo zastąpiła towarzystwem Boga, toteż pokrzepiało ją przebywanie z innymi osobami, które jeszcze bardziej Go miłowały. Kościół i klasztor San Sisto były czcigodnym, wiekowym miejscem; nieopodal został umęczony sam święty Paweł, jak opowiadała ksieni, przemawiając do nich w pierwszych dniach. Jeśli opróżnią się w przygotowaniu na łaskę Boga, mogą uchwycić echo jego ostatnich modlitw. Konwent wypełniały córki najpotężniejszych rzymskich rodzin, wszystkie bogate, większość oczekująca na zamążpójście – albo już przyobiecane, albo jeszcze niepostanowione. Wymieniały się przemyconymi błyskotkami i łakociami, podobnie jak opowieściami o miłości i skandalach, szepcząc i chichocząc po nocach. To tutaj plotka stała się okrutna, jak nieuchronnie dzieje się wśród dziewcząt, i to tutaj uświadomiono Lucrezii skandal w domu jej ojca i cień grzechu ciążyącego na jej własnych narodzinach. Mniszka opiekująca się wychowankami zastała ją we łzach, tak nieutulonych, że musiała zabrać ją do ksieni.

– Nie możesz pozwolić, by takie rzeczy zmąciły twoją miłość do Boga, a wiem, że ją żywisz, Lucrezio – powiedziała z taką tkliwością i pasją, że Lucrezia omal nie zakochała się także w niej. – On rozumie wszystko, a Jego przebaczenie jest bezgraniczne.

Dopiero niedawno przyszło jej do głowy pytanie, jak wiele innych młodych wychowanek mogło potrzebować od ksieni tych samych słów pociechy.

W domu panuje cisza. Lucrezia jest całkowicie przebudzona. Zbliża się świt, czuje to w powietrzu. Walczy z innymi myślami – i byłoby dobrze znaleźć się w bardziej bezpośredniej bliskości Boga, kiedy będzie się do Niego zwracać. Wyślizguje się z łóżka i zapaliwszy świeczkę, dzielnie zmierza poprzez ciemność ku prowadzącym w dół schodom.

Zatopiony w myślach Aleksander, tocząc się z powrotem do Watykanu przez małą domową kaplicę, w ziarnistym świetle spostrzega znienacka postać mającą wszelki pozór -unoszącego się przy ołtarzu ducha. On, który nigdy nie widział niczego, co nie byłoby z krwi i kości, rejestruje nagły skurcz trzewi, falę lęku przed bezcielesnym: oto nawiedzenie człowieka, który przed chwilą namiętnie i bez skruchy kochał się z cudzą żoną.

Postać odwraca się.

– Lucrezia!

– *Papà!* Wystraszyłeś mnie!

– Co tutaj robisz, dziecko?

– Och... Modlę się.

Śmieje się lekko, żeby dojść do siebie. Powinien był wiedzieć. Od lat Lucrezia jest jedynym z jego dzieci, które z własnej woli spędza czas w kościele. Teraz wstaje, a on podchodzi, by się z nią przywitać. Ujmuje w dłonie jej twarz, przypatrując się jej w półświatle. Ma wilgotną skórę i nieznaczące sińce pod oczami – zapowiedź czekającej ją wkrótce dorosłości, chociaż utrzymujący się podwójny podbródek cherubinka ciągle przywołuje wspomnienie dziecka, które tak mocno szarpało struny jego serca.

– Jest ledwo brzask, *carissima*. Nie mogłaś spać?

– Zapominasz, *papà*, że w konwencie musiałyśmy być na nogach dobrze przed świtem. Obudziłam się... cóż, obudziłam się dziś wcześniej. I... potrzebowałam z kimś pomówić. – Spogląda na figurę Chrystusa.

– Aha. Czy w zamian wystarczy ci twój papież?

Lucrezia uśmiecha się, kiedy sadowi się koło niej. Otacza go słaby kwaśny zapaszek, pozostałość miłosnych uniesień. Nie miał czasu się umyć. Oboje są tego świadomi. Ojciec czule poklepuje ją po ręce. Jest za późno, by mogło być inaczej.

Siedzą, przez chwilę kontemplując ołtarz i krucyfiks: wyniszczone ciało z głową zwieszoną w śmiertelnym smutku. Kardynał Zeno, który wybudował pałac, szczyił się swoją znajomością sztuki, a ten muskularny Chrystus, wykonany na zamówienie specjalnie do tego pomieszczenia, wygląda dość realistycznie, by chciało się wziąć Go w ramiona. Obok stoi starszy, drewniany posąg Maryi, z ciężkimi fałdami szat opadającymi do stóp i różanymi policzkami stoczonymi przez korniki. Musi znaleźć kogoś, kto się temu przyjrzy. Nie godzi się, by Matka Boska stała taka dziobata.

– Jak tam Giulia?

– W... w porządku. – Cięża wciąż jest w domu tajemnicą, a przynajmniej tak wierzy. – Zasiedziałem się przy pracy, więc przyszedłem, kiedy byłaś już w łóżku.

Lucrezia kiwa głową, jakby mówiąc, że rozumie i że to nie wymaga wyjaśnień.

– Powiedz mi zatem, co cię trapi – ciebie, która musisz być jedną z najszcześniejszych dziewczynek w chrześcijańskim świecie.

– Och, wiem, *papà*. Pamiętam o tym w codziennych modlitwach. Jednakże... – Nabiera powietrza. Skoro Bóg kazał im spotkać się w kaplicy, z pewnością chciał, by ta rozmowa się odbyła. – Myślę o moim małżonku.

– Małżonku! Ha! Wygląda na to, że wszyscy chcą dziś mówić o małżonkach. – Kręci lekko głową. – A co konkretnie myślisz?

Zerka na niego i stara się odczytać jego nastrój.

Ściska ją za ramię.

– Dalej, mów. Jestem twoim ojcem i kocham cię z całego serca.

– Zastanawiam się, czy będzie z Mediolanu czy z Neapolu.

– Z Mediolanu czy z Neapolu? A cóż podsunęło ci taki pomysł?

– Ponieważ słyszałam... Słyszałam, że małżeństwo hiszpańskie, z hrabim d'Aversa, nie dojdzie teraz do skutku.

– Gdzie to słyszałaś?

– Och, *papà*, ludzie gadają. Wiem, że jesteśmy... że teraz, kiedy zostałeś papieżem, sprawy mają się inaczej. Jesteśmy teraz sprzymierzeni ze Sforzami z Mediolanu, prawda? Dlatego że ci jakoś pomogli. A żeby podtrzymywać sojusz, potrzebujesz małżeństwa. Słyszałam, jak Adriana rozmawiała, nie ze mną, ale z innymi, i mówiła, że Mediolan i Neapol są ze sobą skłócone, więc pomyślałam, że... że musisz utrzymywać między nimi równowagę, co oznacza, że potrzeba sojuszu także z Neapolem...

– No, no. – Aleksander ściska jej dłoń, śmiejąc się. – Najwyraźniej *donna* Lucrezia

marnuje się przy wyszywaniu i nauce. Powinnaś się znaleźć w papieskim konsystorzu. Rozumiesz więcej niż większość tych, którzy w nim zasiadają.

– To nieprawda! – odpowiada z oburzeniem. – Uważam, że wiele osób rozumie dużo więcej niż ja. Naprawdę! Dwa dni temu ciocia Adriana odprawiła posłańca od hrabiego d’Aversa. Trudno było, żebym się nie dowiedziała, bo robił z tego powodu mnóstwo hałasu. Powiedziała, że to na twoje polecenie.

– Co jeszcze rzekła twoja ciotka? – pyta, starając się, by w jego głosie nie brzmiało rozbawienie.

– Nic. Ale mamy wielu gości.

Plotka zaś tryska nawet ze szwów ich ubrań. Aleksander myśli czasem, że to jedyne prawdziwe zajęcie Rzymu: słuchanie szeptów; że mimo istnienia wszystkich banków i garbarni jego ekonomię bardziej napędza paplanina aniżeli handel. Nic dziwnego, że nie wzbogacił się tak jak Wenecja czy Florencja.

– Ludzie zabiegają o nasze względy, żeby zbliżyć się do ciebie. Kilka tygodni temu odwiedził nas książę Ferrary, Alfonso d’Este! Jego ojciec pragnie kardynalskiego kapelusza dla młodszego syna. Wiedziałaś o tym? Przyjęliśmy podarki, ale bez żadnych obietnic. Zachowujemy się jak najbardziej odpowiednio. Ciocia Adriana tego pilnuje. Jest w tym bardzo dobra, *papà*. Lepsza od Giulii i ode mnie.

Jak przystało na kobietę, która wypertraktowała okpienie własnego syna dla przyjemności kuzyna. Ech. Zdaje się, że jest dziś skazany na takie myśli. Cóż, co się stało, to się nie odstanie. Orsino nie wyszedł na tym źle. Niczego mu nie brakuje. Może z wyjątkiem żony... Aleksander niemal słyszy znowu słodki głos Giulii w ciemności.

– Jestem zdumiony, że młody Alfonso nie poprosił o twoją rękę, skoro już znalazł się w pobliżu.

– Jesteś zły, *papà*?

– Nie, nie, dziecinko. Myślałem o czymś innym.

– Przepraszam, jeśli to trudne – mówi Lucrezia z nagłą mocą – ale wydaje mi się, że jeśli jestem wystarczająco dorosła, żeby wyjść za mąż, jestem też dość dorosła, aby wiedzieć, co się dzieje.

Ujmuje jej dłoń, białą jak pióra gołąbki. W Hiszpanii, pod prażącym bezlitośnie słońcem, piękno białych rąk ceni się ponad wszystko. Budziłaby zachwyt w Walencji. Jednak potrzebuje – i chce – jej tutaj.

– Dobrze więc – mówi bardziej serio, podejmując decyzję, że powie jej prawdę. – Jest prawdopodobne, że nie poślubisz don Gaspara d’Aversa.

– Ale jesteśmy zaręczeni! Co powie, kiedy się o tym dowie?

– Będzie pomstował ze wszystkich sił. Pół Rzymu słyszy już, jak nabiera powietrza. Ale się z tym pogodzi.

– A więc Mediolan czy Neapol?

– Nie potrafię na razie powiedzieć na pewno. Jeszcze rozmawiamy. – Uśmiecha się. – Może nasza Święta Matka wspomůže nas odpowiedzią.

– Nie miałam czasu porozmawiać z nią jak należy. Ale... Ale wiem, jak poznać odpowiedź w inny sposób – mówi Lucrezia skwapliwie. Odkąd został ojcem wszystkich, ma mniej czasu, by być tylko z nią. A przyjemność płynąca z obustronnej adoracji jest – cóż... obustronna.

– Cóż to za sposób?

– Trzeba wziąć miskę wody i narysować dookoła okrąg woskiem albo sadzą od ogarka. – Oczy jej błyszczą. – A potem wypowiedzieć pewne słowa i wzburzyć wodę drewnianą łyżką,

a kiedy się z powrotem ustoi, będzie można w niej zobaczyć twarz przyszłego męża.

Nie wolno mu się roześmiać.

– Myślę, że to bardzo nieroztropne ze strony córki papieża: przyzywać diabelskie moce, żeby ujrzeć swoją przeszłość.

– Och, to nie diabeł, *papà*. Nic z tych rzeczy. To same dobre słowa.

– Tym niemniej takie zabobony są zakazane. Kto cię ich nauczył?

– Eee... nikt – odpowiada słabo. – To znaczy, to tylko -zabawa.

– Z całą pewnością nie zabawa, którą zaaprobowałyby ksieni San Sisto.

– Ale to właśnie w klasztorze się tego nauczyłam! Wychowanki robią to cały czas. –

Teraz to ona ściska go za ramię. – Ksieni oczywiście nic nie wiedziała. Nie masz pojęcia, jak potrafi być nudno, kiedy ma się tyle nabożeństwa, a tak mało rozrywki.

Zakonnice wywołujące duchy, żeby wywróżyć sobie przyszłość! Gdyby nie to, że na każdym kroku musi strząsać z siebie jadowite węże, mógłby owocnie dodać do trosk papieża jeszcze konduktę klasztorów. Cóż, to może poczekać. Spogląda znowu w jej umykające oczy.

Wróżby miłosne. Szczeniący tłuszczuk okrywa nie tylko jej ciało. Mając trzynaście lat, jest wciąż zbyt rozpieszczona, za młoda na małżeństwo. Kimkolwiek będzie ten mężczyzna, w kontrakcie znajdzie się klauzula o odroczeniu skonsumowania.

Nie będzie jednak pochodził z Hiszpanii – tyle już wiadomo. Czy jest rozczarowana?

Lucrezia rozważa pytanie.

– Chciałam tam zamieszkać. Ty i ciocia Adriana tyle opowiadaliście o Walencji, o tym, że morze lśni niczym diamenty w słońcu, a bryza wypełnia miasto i że jest tyle kościołów i pałaców, i ludzie są tacy... ogniści i przyjaźni, i szlachetni. Ale teraz chcę zostać tutaj. Jesteśmy jednym z wielkich rodów Italii. Każde z nas ma swoją rolę do odegrania w przyszłości, a małżeństwo jest najmocniejszym węzłem, jaki można zadzierzgnąć – mówi, jakby ktoś wyuczył ją tych słów razem z katechizmem.

– Brawo. Mówisz jak Borgia. Nie frasuj się więcej. Dowiesz się, kiedy tylko zapadnie decyzja.

Wstaje.

– *Papà*. Mam prośbę.

Co tylko zechcesz, myśli. Potem sobie przypomina. Może lepiej niech usłyszę wpierw, o co chodzi.

– Nie chcę naprawdę starego męża. Juan mówi, że tacy się ślinią i popuszczają w łóżko.

– Naprawdę? – Wpatruje się w nią.

– Och, nie sądzę, że ma na myśli ciebie.

– Na pewno nie.

– I jeszcze jedno...

Wzdycha przesadnie, jakby obarczono go brzemieniem ponad siły. Obydwoje się uśmiechają.

– Sprowadź Cesarego do domu. On usycha z tęsknoty za Rzymem. Czytam to między wierszami.

– Będzie tutaj w sam raz na twoje wesele. To ci obiecuję.



Rozdział 6



Ukryte przejście między dwoma pałacami wyprowadza go w dudniącą ciemność kaplicy watykańskiej.

Mija watykańskiego strażnika, którego zadaniem jest pilnowanie, by nie zgasła lampka płonąca stale na ołtarzu. Po drugiej stronie nawy siedzi następny, popatrując, czy aby wartownik nie przysypia. Obaj podnoszą wzrok, a następnie spuszcza ją, gdy papież przechodzi między nimi. Wiedzą, czego mają nie widzieć.

Z własnym lichtarzykiem w dłoni Aleksander przechodzi przez kaplicę i zbliżając się do ażurowej przegrody, czuje pod stopami obutymi w domowe pantofle lekkie wzniesienie marmurowej posadzki. Jak wielu ludzi żyjących w przestrzeni władzy, przywykł do jej pułapek. Kiedy dwadzieścia lat temu wykończono jego pałac, przez pierwsze tygodnie wędrował po nim jak dziecko olśnione nową zabawką. A jednak wkrótce jego myśli wróciły do interesów. Ocenianie wagi petycji, formułowanie argumentów, manipulowanie ludźmi i pieniędzmi – to były rzeczy, które go pochłaniały, podczas gdy sklezione sufity, gobeliny i złota zastawa raptownie blakły, by stać się zaledwie tłem. Bogactwo, wzbudzające w innych szacunek i podziw, było warunkiem wysokiej pozycji. Niekończące się deliberacje na temat gustów wolał jednak pozostawić bardziej wymuskanym spośród swoich kolegów kardynałów.

Nawet on wszakże nie mógłby przejść przez tę najnowszą kaplicę, nie doceniając jej wspaniałości i rozmachu. Co za chytry lis był z Sykstusa IV. Mimo że Rzym był miastem pełnym antycznych budowli wystarczająco dużych, by zawrócić człowiekowi w głowie, Sykstus rozumiał, że nowość ma moc wywierania zniewalającego wrażenia. W ciągu dziesięciu lat od ukończenia dzieła Aleksander obserwował, jak Kaplica Sykstyńska oddziałuje swoją magią na każdego, kto do niej wchodzi: jak rozdziawiają się usta tych, którzy zdali sobie sprawę ze skali (rozplanowano ją według wymiarów świątyni Salomona), jak świetlistość fresków przedstawiających Mojżesza i Chrystusa przywołuje na ich wargi mimowolny uśmiech i sprawia, że wyginają szyje, by omieść wzrokiem malowane postaci papieży i zatrzymać go na sklepieniu – modrym nocnym niebie usianym gwiazdami.

Teraz on także podnosi głowę i patrzy w ciemność. O tak. Mądrze jest sprawić, by człowiek czuł się maluczki wobec takiego majestatu. Zachwyty nad ptasim skrzydełkiem czy prostotą żdźbła trawy zostawmy świętym i pustelnikom. Większość ludzi trzeba rzucić na kolana, by uznali bóstwo. To zadanie Rzymu. Każdy dobry papież zostawia po sobie coś wyciosanego w skale i marmurze. Był świadkiem, czekając za kulisami na swoją kolej, jak gorączka budowania ogarniała na równi najskromniejszych i najbardziej aroganckich z ludzi. Z nich wszystkich zaś najbardziej zdumiewający okazał się przypadek Sykstusa. Oto był człowiek, który zacząwszy życie jako franciszkanin, poślubił ubóstwo i pisał pobożne traktaty. Ledwo jednak papieska korona osiadła na tej kornie schylonej głowie, posypały się instrukcje dla architektów i budowniczych, a jego oczy zaczęły zasnuwać się mgłą na myśl o projekcie wielkiej kaplicy, która rozślawi jego imię. Piętrzące się rachunki zmuszały wicekanclerza Rodriga Borgię do istnych akrobacji i sprzedawania tysięcy odpustów, aby znaleźć pieniądze na ich pokrycie. Nie poprzestając na jednym, Sykstus odbudowywał kościoły, wzniósł własny prywatny ołtarz

w walącej się Bazylice Świętego Piotra, a także nowy most na Tybrze, również mający nosić jego imię. Owładnęła nim taka mania budowania, że nie było pewne, czy dożyje ukończenia swojego *opus magnum*. Wielka msza inauguracyjna w święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny odbyła się niecały rok przed jego śmiercią, a Sykstus był już wtedy bardziej pustą skorupą aniżeli żywym człowiekiem.

Jak dobrze Aleksander pamięta tę ceremonię: ławki uginające się pod ciężarem dostojników z całego chrześcijańskiego świata, powietrze gęste od kadzidła, wielki papieski chór wywodzący radosne pieśni ze swoich stall na galerii, tak że głosy zdawały się spływać z niebios. Wszystko trwało tak długo, że większość starszych posnęła. Ale nie on. Nie. Był zbyt zaabsorbowany każdym szczegółem, który mógł zaobserwować. Jego uwagę przykuły freski na górnych partiach ścian – nie tyle piękno malowideł Ghirlandaia i Botticellego, ile polityczna brawura Sykstusa, któremu udało się podkupić ich z Florencji tak szybko po tym, jak zawiązał spisek przeciwko temu miastu. Jego intencją było zmieszenie Medicich i zastąpienie ich, między innymi, własnym siostrzeńcem. Gdzie podział się wówczas pobożny franciszkański kaznodzieja? Gdyby mu się powiodło, on sam nie stałby dzisiaj tu, gdzie stoi. Dokonałby żywota jako bogaty wicekanclerz, pozbawiony dostępu do wyższego urzędu przez rodzinę della Rovere, która wiodłaby prym zarówno na konklawe, jak i w Republice Florenckiej.

Nie, Sykstus, przy całej dewocji, zdjęty był żądzą innej nieśmiertelności: nieśmiertelności swojego rodu. To pasja, którą Aleksander rozumie każdym nerwem swego jestestwa.

Teraz nadeszła pora Borgiów. Mimo wymyślnego rzeźbionego sarkofagu z brązu Sykstus stał się żerem robactwa jak każdy inny trup, podczas gdy on, Rodrigo Borgia, dzierży wodze władzy. Owszem, jego pontyfikat również naznaczą wspaniałe dzieła artystyczne i religijne. Wyzwaniem pozostaje nadal sklepienie wielkiej kaplicy, ale na razie jest zbyt zajęty miejską twierdzą i urządzaniem swoich nowych pokojów. Jeśli idzie o najbliższą przyszłość, jego priorytety są jasne. By Borgiowie mogli wstąpić na następny szczebel nieśmiertelności, cegły i zaprawa, z których będzie budował, muszą być budulcem ludzkim: synami i córkami, kuzynami, siostrzenicami i siostrzeńcami dokładającymi jedwabne niteczki lojalności i protekcji do sieci wpływów rodziny wystarczająco niezachwianej w swej pozycji i potężnej, by rządzić w Rzymie i poza nim.

Jego umysł prześlizguje się po możliwościach jak palce po paciorkach różańca.

Pierwsza będzie jego ukochana Lucrezia. Cóż za klejnot otrzyma jej mąż. Pomniejszy hiszpański arystokrata mógł być dostatecznie dobrą partią dla nieślubnej córki kardynała, lecz nie dla potomkini papieża. Na myśl o tym Aleksander wydaje pomruk ukontentowania. Oczywiście hrabia d'Aversa szybko zwietrzył, co się święci; dobrze naoliwiona machina plotki działa w Rzymie bez zarzutu. Jakkolwiek trwają negocjacje mające doprowadzić do przymierza z domem Sforzów, Aleksander nadal potrzebuje Hiszpanii jako zasłony dymnej. Udzieli zatem mężczyźnie audiencji i będzie koił jego urażoną godność. „Nie, nie, drogi hrabio. Plotki są rozpuszczane celowo, aby zbić innych z tropu. Oczywiście jest twoja. Daj mi tylko czas, bym to zagwarantował”.

Subtelności manipulacji to taka przyjemność! Później, we właściwym czasie, pozbędzie się hrabiego, wykopując go z miasta z wystarczająco dużą sakiewką, by zakryła siniec.

Potem przyjdzie kolej na Juana. Juana, który swoim swobodnym szczebiotem i zadziornością wcześniej podbił jego serce. Mając już tytuł księcia hiszpańskiej Gandii, będzie liczył się na rynku matrymonialnym jako pierwszorzędną zdobycz, bo to jego nasienie stanie się nośnikiem dynastii. Jego małżonka będzie prawym dziecięciem królewskiego rodu. Aleksander wie którego, nie wie jednak jeszcze, jak to osiągnąć. Tak czy inaczej, rzecz dojdzie do skutku. Każde państwo i każdy władca w świecie chrześcijańskim w pewnym momencie potrzebuje do

czegoś przyzwolenia papieża. W tym właśnie tkwi piękno i moc tego urzędu – pytanie tylko, czego, kiedy i jak użyć jako towaru wymiennego.

Następnie Jofré. Jofré – myśl o najmłodszym synu marszczy mu czoło. Jest całkiem uroczym dzieckiem, z pulchnym, niezgrabnym ciałem na progu dojrzewania, dużą pyzată twarzą i szparą między siekaczami. Po prawdzie jednak Aleksandrowi zdarza się zastanawiać, czy aby na pewno jest ojcem chłopca, którego wygląd i wybitna prostoduszność noszą więcej niż delikatny rys podobieństwa do ostatniego męża Vannozzy, narajonego jej, gdy bawiła jeszcze w łóżu kardynała, by uczynić z niej przywoitą kobietę. Nie mogła wchodzić w grę celowa zdrada, Vannozza była na to zbyt lojalna. Któż jednak nie przypisałby dziecka innemu ojcu, gdy korzyści z tego były tak wielkie? Tak czy siak, nawet jeśli jego podejrzenia są słuszne, potrafi sobie z tym poradzić. Postanowił już: ten darowany konik będzie Borgia niezależnie od rzeczywistego ojcostwa.

I wreszcie Cesare.

Cesare.

Nawet najbardziej zaślepiony ojciec dostrzega zarówno mocne strony, jak i wady swoich dzieci. Aleksander wie, że jego najstarszy syn jest silny i inteligentny. Nieraz widział biegłość, z jaką uprawia umysłową szermierkę, i urok, którym łagodzi zadane rany. Czuł jednak także chłód jego duszy, tak odmienny od przejrzystości duszy jego brata. Pod wieloma względami Cesare byłby lepszym żołnierzem niż przedstawicielem kleru. Decyzja została jednak podjęta wcześniej i za późno jest teraz na jej zmianę. Żadna wielka dynastia w Rzymie nie przetrwa bez solidnego umocowania w Kościele. A im wyżej zawęduje w hierarchii, tym większa szansa na dochowanie się następnego papieża. Juan Borgia Lanzo, kuzyn Aleksandra, jest dobrym duchownym, kompetentnym i lojalnym, ale nigdy nie zajdzie dalej niż do szeregów Kolegium Kardynalskiego. Nie, tylko Cesare ma odpowiedni hart i żyłkę, by piąć się w górę. Tego Aleksander jest pewny. Na papieskie polecenie cały zastęp jurystów pracuje już nad jego nieprawym pochodzeniem. Bękart czy nie, jego syn wkrótce będzie kardynałem.

– Wasza Świątobliwość, nie jest to problem, który da się z łatwością rozwiązać.

– Więc rozwiążcie go z trudnością, ale rozwiążcie!

Stanie się to przed końcem roku. I nie będzie bez satysfakcji dla Cesarego, jakkolwiek by się opierał. W świecie, w którym polityka Boża bywa równie bezpardonowa jak ludzka, jego najstarszy syn z pewnością pokocha Kościół tak mocno jak on.

„I jeszcze jedno, *papà*...”, cicho dźwięczy mu w uszach głos Lucrezii. „Sprowadź Cesarego do domu. On usycha z tęsknoty za Rzymem. Czytam to między wierszami”.

Aleksander odwraca się i skłania głowę w stronę ołtarza. Modlitwa i błaganie mają wiele postaci. Wychodząc na korytarz Watykanu, woła swojego pokojowego, który drzemie na pryczy, czekając na powrót pana.

– Wstawaj! – Potrząsa mężczyzną. – Chcemy dziś wcześniej sięść do śniadania i do pracy. Zbudź mi Burcharda.



Rozdział 7



– Ojczy, mówię jedynie, że mogliśmy lepiej skorzystać na takim przymierzu. Ten Sforza to marionetka Mediolanu. Miasto Pesaro jest ledwo warte kul armatnich, którymi moglibyśmy zasypać jego mury. Po co marnować dobry mariaż, żeby się tam dostać?

– Muszę powiedzieć, że to przyjemność mieć cię w domu, Cesare. – Aleksander opiera tył głowy o połączoną drewnianą ramę papieskiego tronu, na którym się usadowił i na którym, po kilku zaledwie dniach, czuje się najbardziej komfortowo w obecności najstarszego syna. – Nie wiem, jakim cudem rządy chrześcijańskiego świata w ogóle kuśtykały bez twojego udziału. Skoro celujesz zarówno w logice, jak i w retoryce, może sam odpowiesz na to pytanie?

Nowa arcybiskupia szata zamiata kamienną posadzkę, gdy Cesare przemierza pomieszczenie. Niosące echo oficjalne komnaty Watykanu są dla niego nowością i choć nigdy by tego nie przyznał, oprócz ekscytacji wynikającej z przebywania w wewnętrznym sanktuarium odczuwa także pewne napięcie. Nie umyka mu sarkazm w głosie ojca. Wie, że kiedy on czekał w Spoleto, tym najbliższym synem był Juan. Musi teraz szybko dowieść swojej wartości.

– Bo jesteśmy winni Sforzom przysługę w zamian za twój wybór i potrzebujemy ich jako sprzymierzeńców, żeby dodać sobie siły przeciwko rzymskim rodom – mówi, raczej twierdząco niż pytająco. – Musimy jednak dbać o równowagę między Mediolanem i Neapolem. Możemy kontrolować rody, mianując do Świętego Kolegium wystarczająco dużo własnych -kardynałów.

– Wyśmienicie! Twój wykładowcy powinni byli przyznać ci *laude*[2] jeszcze wcześniej. – Teraz nie słysząc sarkazmu. – Owszem, Kolegium Kardynalskie z pewnością pomoże, ale ono samo nie wystarczy. I jeszcze kwestia czasu. Jeśli zbyt pospiesznie wyniesiemy do godności zbyt wielu naszych ludzi, nasi wrogowie podniosą lament na temat korupcji. Już się zresztą zaczęło. „Nawet dziesięć papieństw nie zaspokoiliby tej hordy krewnych”. Ach! Cóż za przesada!

– Kto śmie tak mówić?

– Ambasador Ferrary, ni mniej, ni więcej. W prywatnym liście do domu, do księcia d'Este. – Aleksander promienieje. Nic nie sprawia mu większej przyjemności niż szperanie w tym, czego wywiedzieli się szpiedzy z cudzego zlecenia. Nikt nie zaszedłby tak daleko jak on, nie mając do dyspozycji lepszego wywiadu niż którykolwiek z przeciwników. – Ma w każdym razie trochę racji. Musiałbyś widzieć salę audiencji w niektóre poranki: Hiszpanie wyłazą ze wszystkich kątów jak żaby po deszczu, a każdy twierdzi, że jest żonaty z córką kuzyna jakiejś ciotki, której nigdy nie znałem. Walencja musi być już na wpół wyludniona. – Śmieje się pod nosem na tę myśl. – Cóż, wyłowimy najlepszych, a reszta musi odpaść. Jeśli zaś idzie o Ferrarę, książę będzie z wdzięczności lizał nas po rękach, gdy tylko na głowie jego syna znajdzie się kapelusz kardynała.

– Możemy kupić w ten sposób połowę z nich, ojczy. Reszta zawsze będzie narzekać. Ale fakt jest faktem. – Cesare gestem dłoni obwodzi pomieszczenie. – Jesteśmy tutaj i nikt nam tego nie odbierze. A jeśli chodzi o małżeństwo Lucrezii...

– Jeśli chodzi o małżeństwo Lucrezii, żaden mężczyzna nie będzie dość dobry w twoich oczach, Cesare. A porozmawiamy o tym, kiedy gdzieś usiądziesz, bo płasząc po całej komnacie

jak po sali balowej, przygotowujesz mnie o starcze zawroty głowy.

– Myślałem, że nie wolno siadać w obecności papieża bez jego pozwolenia – sowizdrzalsko ripostuje Cesare.

– Tak jest. Ty jednak potrafisz sprawiać wrażenie, że dorównujesz swojemu papieżowi, nawet jeśli on znajduje się na -podwyższeniu. Dlatego siadaj! – mówi, jakby wydawał polecenie psu.

Cesare rzuca się całym ciężarem na drewniane krzesło z misternie rzeźbionymi oparciami i ażurowym siedziskiem, zbyt kruche jak na jego atletyczne młode ciało. Wygląda na to, że meble Ojca Świętego projektowano z myślą o wåtleszych duchownych.

– A zatem powiedz mi, co masz przeciwko Sforzom.

Pytania stają się coraz łatwiejsze.

– Już spłaciłiśmy im dług. Sześć skrzyń srebra i urząd wicekanclerza to hojne wynagrodzenie, zwłaszcza że Ascanio Sforza i tak nigdy nie zostałby wybrany.

– Prawda. Ale to nie Ascania Sforzę sobie zjednujemy, tylko jego brata w Mediolanie.

– Nie podziękuj nam za to. Ludovico Sforza to łotr, ojciec.

– Absolutny – śmieje się papież. – Ten sam komplement prawiono wielokrotnie także i mnie. Łotr, owszem, ale imponujący. Człowiek, który pragnie odebrać władzę własnemu bratankowi, jest jak pies kąsający od wściekłej psy.

– Tym więcej powodów, by trzymać go na odległość ręki. – Cesare przerywa, przybierając nonszalancką pozę. – Czy to prawda, co mówią o Francji?

– Co takiego mówią? – odpowiada ostro Aleksander.

– Że Ludovico Sforza zaprosi francuskiego króla, aby umożliwić mu przeforsowanie swoich pretensji do tronu Neapolu.

– A! Zwietrzała plotka. Byłby głupcem, gdyby do tego dopuścił. Obca armia spustoszyłaby Mediolan tak samo jak resztę Italii. Gdzie to usłyszałeś?

Teraz przypada kolej na uśmiech Cesarego.

– To ty nauczyłeś mnie nakrywać stół, pamiętasz, ojciec?

Rzeczywiście. Jak najlepsi kandydaci na polityków, Cesare Borgia nabył wielu umiejętności u boku ojca. To były zawsze najlepsze wizyty – te wieczory, kiedy po kolacji Rodrigo odsyłał kobiety i służbę, a jego i Juana sadzał przy stole, na którego rozległym drewnianym blacie z chaosu resztek jedzenia układał mapę swojej ukochanej Italii. „Widzicie? Kraj jest cztery razy tak długi jak szeroki. A każda część ma inną strukturę”. Z rybiego szkieletów – Wenecja, u góry i na prawo, z kości kurczaka i wołowych – przeciwległe Mediolan i Neapol, z rozsypanych resztek miękkich owoców – Florencja, Siena i mniejsze państewka. W centrum zaś rozciągała się kompozycja z łyżek wytyczająca granice ziem należących do papieża, z nożem wyznaczającym położenie Rzymu. Juan zawsze dobierał się do noża i polował na owoce. Ostrze było jednak zbyt tępe, by można było przeciąć kości. Cesare natomiast spędzał tyle samo czasu na działaniu, co na obserwowaniu i myśleniu. Do dziś szachy stanowią dla niego zaledwie marny substytut tej gry strategicznej na blacie stołu jadalnego, a wielki but, który tworzą ziemie składające się na Italię, ma w jego świadomości skórę grubszą u góry i u dołu niż pośrodku.

– I wciąż uważam, że Ludovico Sforza może to zrobić. Ambicja przenicowała mu pomysłu.

– Co próbujesz powiedzieć, Cesare? Że powinniśmy zabiegać raczej o względy Neapolu i króla Ferrante? Człowieka, który lubuje się w wywieszaniu jeńców w klatkach po całym dworze, żeby móc patrzeć na ich powolne konanie?

– Och, przecież nie dbasz o takie rzeczy, ojciec. Jesteś mu po prostu nierad, bo Neapol

pomógł przy sprzedaży zamków papieża Innocentego.

– Tak, można powiedzieć, że jestem „nierad” – burczy Aleksander, choć jego zadowolenie z bystrości syna jest oczywiste. Przez miesiące rozmaici doradcy wychylali głowy nieomal z każdej fałdy jego papieskiego przyodziewku, ale niewielu umiało utrafić w sedno tak jak Cesare. Cóż, po to posłał go do Pizy, by wyostrzono mu tam umysł. Nie może teraz narzekać, jeśli Cesare potrafi się nim posłużyć, by utoczyć krwi. – Te zamki były lennem Kościoła, a nie prywatną własnością na sprzedaż dla zysku jego parszywego synalka. A już na pewno nie w ręce Orsiniego. Niech ich diabli porwą. To zbrodnia przeciw papieżowi. Spójrz tylko na wszystkie drogi z Rzymu i do Rzymu, które kontrolują teraz Orsini.

– Mapę mam w głowie, ojczec. Zapominasz, że przyjechałem tutaj tymi samymi drogami.

Wymknął się ze Spoleto dziesięć dni wcześniej, incognito, za towarzysza mając jedynie Michelotta, a trasę rozmyślnie obrał taką, by móc zbadać położenie owych twierdz Orsiniego.

Kiedy znalazł się za bramą miasta, zajechał najpierw do domu Vannozy. Matka i syn nie widzieli się prawie dwa lata. Vannozza witała swego zabójczo przystojnego potomka z zaraźliwą radością. Częstowała go najnowszymi winami (po tym, jak odebrano jej dzieci, zajęła się uprawą winorośli) i nadskakiwała mu w sposób, na jaki nie pozwoliłby żadnej kobiecie. Tego wieczoru nawet Michelotto się odprężył.

Następnego dnia, gdy zmierzali do Watykanu, anonimowość pozwoliła mu spojrzeć na Rzym ostrzejszym wzrokiem. Barwne łuki tryumfalne z dnia koronacji – teraz ujawniające, że zrobiono je z malowanego drewna – dawno się złuszczyły i popękały, a ulice były plugawe jak zawsze. Po drodze do rzeki minęli pozostałości Koloseum i Forum, pod szarym zimowym niebem wyglądające jeszcze nędzniej, niż to zapamiętał. Bez wątpienia od czasu, kiedy wyjechał, wykopano z ziemi jeszcze parę antycznych skarbów; moda na nową naukę ożywiła popyt na rzymskie starożytności, choć on sam nie ma czasu na taki artystyczny snobizm.

Na zachodnim krańcu Forum całe brygady mężczyzn ładowały na wozy fragmenty obalonych murów. Co nie jest warte zachowania, dojrzało do ponownego wykorzystania, jakkolwiek dzięki nowemu dekretowi ojca od każdego wykopanego i użytego do budowy kamienia należy teraz zapłacić osobną dziesięcinę na rzecz Kościoła: papież, który pół życia spędził jako wicekanclerz, wciąż ma w zanadru kilka podatkowych sztuczek. Nie – jeśli chodzi o wydarzenia w Rzymie, Cesare nie stracił wiele w ciągu miesięcy swojego wygnania. Z wyjątkiem może szansy na pokazanie ojcu, ile wie.

– Ale nie tylko Neapol przeciwstawił ci się w sprawie tych zamków, ojczec. Pisałeś w listach, że warunki sprzedaży negocjował della Rovere.

– Negocjował warunki i był świadkiem przy podpisaniu umów w jego własnym domu, Judaszowy kutas – zżyma się Aleksander. – Jednakże skoro celem naszego wroga jest wprawienie nas w gniew... – bierze długi teatralny wdech – my utrzymamy wyśmienity humor. Dla zachowania równowagi zwiążemy się ciasno z Mediolanem poprzez małżeństwo Lucrezii i nieco luźniej z Neapolem przez inne przymierze. Dzięki Przenajświętszej Dziewicy zostałem pobłogosławiony nie jednym, lecz trojgiem wspaniałych dzieci gotowych do stanu małżeńskiego.

– Zabierz mnie z Kościoła, a będziesz miał czwarte. – Słowa ulatują z ust Cesarego tak szybko, jakby nie zdążył nawet dać im zezwolenia.

– Tę rozmowę mamy już za sobą, synu – odpowiada ostrożnie Aleksander. – Wiesz, że to niemożliwe. Potrzebujemy Borgii w Kościele.

Juan. Niewypowiedziane imię zawisa między nimi. Do licha, im gorzej sprawuje się jego brat, tym bardziej, zda się, jest ulubieńcem ojca. Cóż, nie ma sensu teraz do tego wracać.

– Niech w takim razie będzie to Jofré.

– Ach, twój brat wciąż ssie kciuk we śnie.

– A jednak twierdzisz, że jesteś gotów go ożenić.

Aleksander odsuwa od siebie wątpliwość, która znów wślizgnęła się w jego myśli.

– Narzeczeństwo potrwa lata. A organ, którego będzie potrzebował do tego zadania, dojrzeje szybciej niż jego umysł. Dostyc tego. Jesteś jak pies, który nie chce wypuścić z zębów kości. To już postanowione. Lucrezia poślubi Giovanniego Sforzę, który może i będąc faktycznie marionetką, stanie się naszą marionetką, i wniesie nam jako wiano miasto Pesaro, a jeśli dobrze nim pokierujemy, także wgląd we wszelkie zamiary Mediolanu. A wtedy, kiedy już wydrzemy sobie jakąś rekompensatę za zamki, Jofré pojmie żonę z Neapolu.

– A Juan?

– O, trwają rozmowy także w sprawie Juana. Przedyskutuję to z wami obydwoma, kiedy przyjdzie. Chcę, żebyś najpierw obejrzał nowe apartamenty.

– Jakie rozmowy? Chodzi o Hiszpanię, ojczyznę? Ożeni się w Hiszpanii?

– Powiedziałem: dosyc, Cesare. – Teraz mówi to również jego ton.

Cesare skłania głowę w geście posłuszeństwa. Posunął się za daleko i wie o tym. Wyciąga rękę, by pomóc ojcu zejść ze stopni wysokiego tronu, ale zostaje niecierpliwie odprawiony.

– Nie jestem jeszcze taki stary, żebym potrzebował pomocy. Chodź. Mam ci tyle do pokazania. Wiem, że malarstwo niezbyt cię interesuje, ale obecnie papież musi wzbudzać uznanie nie tylko polityką, ale i sztuką, bo inaczej zostaniemy okrzyknięci prostakami tak samo jak cudzoziemcami. Pozwól zatem. Od teraz używasz uroku zamiast siły.

To prawda, że Cesarego, podobnie jak i ojca, sztuka nie nazbyt porusza. Z rzeczy dziejących się teraz w Rzymie najbardziej ekscytujące są dlań prace prowadzone w Castel Sant' Angelo – Zamku Świętego Anioła, potężnej fortecy nad rzeką z cesarskim mauzoleum głęboko w trzewiach, w której architekt i konstruktor Giuliano da Sangallo wykuwa nowe pomieszczenia, wzmacnia zewnętrzne obwarowania i remontuje przejście między zamkiem a pałacem watykańskim.

Dla takich ludzi jak Sangallo Cesare ma mnóstwo czasu. Patrzy na świat tak jak oni: zamiast widzieć to, co istnieje, widzą to, co może zaistnieć; z tym, jak budują najpierw w myśli – wyżej, mocniej, potężniej, a siła tkwi tyleż w osiągnięciu, co w wyzwaniu. Jak w przypadku najlepszych generałów, ich wizja należy tylko do nich. A jednak oni także potrzebują mocarnej armii, by ją urzeczywistnić. Jedną z rzeczy, które ma do zarzucenia Ludovicowi Sforzy, jest marnowanie talentów takich artystów sztuki wojennej. Nawet teraz ma na dworze w Mediolanie człowieka, owego da Vinci, który twierdzi, że potrafi zbudować most niemożliwy do zniszczenia przez jakąkolwiek armię, a cóż robi na jego zlecenie? Gliniane modele gigantycznego konia z brązu, zamówionego tylko po to, by polectać monstrualną pychę rodu. Energia roztrwoniona na próżnostki. Kiedy on, Cesare Borgia, wyruszy z Rzymu na czele armii (a jest pewien – jak tylko młody człowiek być potrafi – że tak się stanie), będzie miał u boku takiego wynalazcę i konstruktora, że jakkolwiek zamek czy forteca staną im na drodze, umysł lepszy niż jego własny będzie pracował nad ich unicestwieniem.

Ojciec i syn przechodzą przez położoną na dolnej kondygnacji bawialnię i idą korytarzami starego pałacu watykańskiego. Pokażna tusza Aleksandra nie przeszkadza mu kroczyć szybciej niż większość ludzi dookoła. Napotkane osoby przystają i kłaniają się nisko, gdy je mija, choć podrywają głowy na tyle szybko, by uchwycić kątem oka sylwetkę Cesarego. Długo oczekiwano jego przybycia, a kiedy się już zjawił, nie rozczarowuje, ten urodziwy młody mężczyzna w pełnym stroju kościelnym z włosami nadal gęstymi i długimi jak u Pana Jezusa, które przypominają, że choć posiada klucz beneficjów, wciąż jeszcze nie przyjął ostatecznych święceń. Kiedy dotrze do swego domu na Zatybrzu, znajdzie tuzin zaproszeń na kolację od pięknych, nawet jeśli pozbawionych czci kobiet. A dlaczego by nie? Po wyniesieniu do

godności arcybiskupa jest wart szesnaście tysięcy dukatów rocznie, a dopóki Święta Matka Kościół wymaga celibatu, lecz nie egzekwuje czystości, duch interesu zawsze znajdzie lukę, którą może wypełnić.

Apartamenty, które przeznaczył dla siebie Aleksander, to ciąg komnat na pierwszym piętrze w rogu istniejącego pałacu, z przyległą solidną nową wieżą, w większości gotową, z wyjątkiem blankowanego zwieńczenia. Kiedy zostaną wykończone, znajdą się tam zarówno przestrzenie prywatne, jak i publiczne. Jak w przypadku wielu rzeczy związanych z pontyfikatem Borgii, jest to pospieszny proces. Obecnie trwają wytężone prace nad dekoracją wnętrz, tak aby wszystko było gotowe na uroczystości weselne, które się w nich odbędą. Sufity już pulsują złoconymi stiukami z rzucającym się w oczy herbem Borgiów, ale wymalowanie fresków na ścianach trwa dłużej i Pinturicchio, artysta wybrany przez papieża, pracuje pod presją. Nie jest to stan, który działa na niego najlepiej.

– Jedna sala będzie poświęcona świętym.

Gdy Aleksander i Cesare zamasyżycie wkraczają do któregoś z pomieszczeń, gromadka czeladników przy stojącym pośrodku warsztacie składa niezgrabny pokłon, po czym pierzcha pod ściany. Papież obdarza ich promiennym uśmiechem, a słońce padające ukośnie z okna rozbłyskuje na biało-złotej lamówce jego nakrycia głowy. Kiedy dostaną wolne na odwiedziny u rodzin, będą opowiadać, że Jego Świątobliwość wnosi ze sobą własną poświatę.

– W centrum znajdzie się dysputa świętej Katarzyny przed sądem aleksandryjskim, z naszą Lucrezią jako Katarzyną. Będzie z niej przesłodka święta. Pinturicchio już wykonał szkice. Teraz, kiedy jesteś z powrotem, zachce z pewnością i twojej podobizny, dla takiego czy innego celu. A tymczasem... to Sala Tajemnic. A ja będę tam, widzisz? – mówi, teraz znacznie głośniejszym głosem, wskazując na okryte rusztowanie prowadzące do górnej części dużej lunety nad drzwiami, gdzie postać Chrystusa już unosi się z łoża złotych płomieni, a wokół tańczą głowy cherubów na załazkowych skrzydełkach. Resztę lunety poniżej wypełnia szkic przedstawiający grób Chrystusa i sylwetki śpiących przy nim żołnierzy. – O tam, na lewo, widzisz? Będę klęczał w papieskich szatach, osobiście świadcząc o Bożym zmartwychwstaniu.

– Nie będziecie, jeśli nie znajdziecie czasu, żeby zapoznać się do portretu – rozlega się tubalny męski głos zza płacht rusztowania.

– O, Pinturicchio. Zastanawiałem się, gdzie jesteś! – odkrzykuje. – Chodź, zejdź tutaj. Przyprosiłem ci następne niezrównane urodziny do umieszczenia na ścianie.

Wybrzusząca się płachta ujawnia, że ktoś zaczął schodzić po drabinie. Czekają, aż się pojawi: pokraczny człowieczek niepospolitej brzydoty, z głową o wiele za dużą w stosunku do ciała i kostną naroślą na prawym barku, która każe się zastanawiać, jak udaje mu się spojrzeć w górę, żeby popodziwiać – albo, co ważniejsze, oszacować – siłę oddziaływania tego, co stworzył.

– Musiałem zapłacić worek pieniędzy, żeby go sprowadzić. Zostawił w połowie ukończoną kaplicę della Roverego – odzywa się Aleksander teatralnym szeptem. – Garbu dorobił się, spędziwszy pół życia w kanałach na odkopywaniu rzymskich starożytności i studiowaniu malowideł. Wonieje, jakby nadal tam tkwił. – Aleksander marszczy nos i podnosi palec do ucha. – Jest też głuchy jak pień. Żona do niego wrzeszczy... chociaż nikt nie wie, czy to skutek, czy przyczyna.

Uśmiecha się szeroko do stojącego już przed nimi mężczyzny.

– Jak tam małżonka, Pinturicchio? – pyta gromko.

– W ogóle mnie nie widuje – burczy dobrotliwie mężczyzna, wycierając ręce w kawałek płótna. Nie sposób ocenić jego wieku. Może mieć czterdzieści lat, może i sześćdziesiąt.

– Mój syn, arcybiskup Walencji.

– Bardzo mi miło, panie – odpowiada, choć bez widocznych oznak, by czuł się tak w istocie. Głośno wciąga powietrze, przechylając głowę, by zlustrować profil Cesarego: zgrabny nos, kości policzkowe ostre jak od dłuta, pełne, prawie dziewczęce usta, kanciasty, mocno zarysowany podbródek. Jednak to oczy decydują o obrazie – ciemne, lśniące jak kamienie pod wodą, ale nieprzejrzyste, niezdradzające, co się za nimi kryje. Bojownik? A może sędzia? Ale z rysem okrucieństwa. Gdyby miał czas... Cóż, musi dźwigać brzemień portretów rodzinnych, aby zaludnić świąty, które pragnie stworzyć.

– Nadal utrzymujesz, że muszę pozować tam? – Aleksander wskazuje podest w połowie wysokości rusztowania.

– Jeśli chcecie, żebym skończył wasz portret szybko, owszem... Wasza Świątobliwość – dwa ostatnie słowa Pinturicchio dodaje jakby po namyśle.

– W takim razie porozmawiamy z Burchardem. Znajdzie dla ciebie stosowny czas. – Uśmiecha się do Cesarego. – Oto jak papież musi wznosić się ku niebu, nawet będąc wciąż tu na ziemi.

Od strony wejścia za ich plecami daje się słyszeć kaszlnięcie.

– Johannes. Jak to się dzieje, że ilekroć o tobie mówię, zawsze się zjawiasz, jakbyś stał za drzwiami?

Papieski mistrz ceremonii nie odpowiada, tylko płynnym krokiem przemierza posadzkę. Cesare wpatruje się w niego. Johannes Burchard. Jedyne człowiek w Rzymie, którego twarz pozostaje kamienna niezależnie od tego, czy ma pod nosem pachnidło, czy gówno. Któż to puścił tę plotkę? Cesare pamięta go sprzed lat: mężczyzna o ptasiej aparycji, jak czapla czy kormoran, o paciorkowatych oczach, nieruchomy – och, jak nieruchomy – dopóki nie zacznie nagle dziobać wszystkiego dookoła. Postać, którą widzi teraz, przypomina raczej jaszczurkę, powolną, z ciężkimi powiekami i zapowiadającymi wole fałdami skóry na szyi. Następna osoba, której wieku nie da się określić. I malarz, i on wydają się zeschnięci, jakby żaden nigdy nie był młody. Niektórzy ludzie rodzą się wysuszeni, myśli Cesare. A inni – jak jego ojciec – mają w sobie zbyt wiele soku.

– Wasza Świątobliwość. Wasza Eksceleńco, arcybiskupie. – Burchard kłania się tak nisko, że wygląda, jakby tylko cudem zdołał utrzymać się przy tym na nogach. – Przynoszę wiadomość od ambasadora Hiszpanii. Jest spóźniony z pilnymi doniesieniami z kraju i błaga o wyrozumiałość. I... przybył książę Gandii.

Papież klaszcze w dłonie jak ucieszone dziecko.

– O, to dobrze. Wprowadź go.

Jednakże książę Gandii, znany również jako Juan Borgia, już wprowadza się sam.

Cesare ostatni raz widział brata przed konklawe i mimo że docierały doń za pośrednictwem lojalnego Pedra pogłoski o jego ekstrawagancjach, nie jest przygotowany na widok, który roztacza się teraz przed jego oczami.

Młodzieńca wkraczającego do komnaty od stóp do głów spowija orientalny strój. Jego włosy okrywa jasny jedwabny turban, tak ciasno i wysoko zawinięty, że wygląda jak piętrowa rzeźba z cukru ustawiona na głowie i zmusza go do poruszania się z przesadną godnością, by nie dopuścić do przemieszczenia. Fioletowa, wyszywana srebrem szata wierzchnia sięga mu do kolan, spod niej zaś wylaniają się zielone bufiaste spodnie i para pantofli z wytłaczanej skóry z zawiniętymi czubkami. U przepasanej talii zwisa lśniaca wygięta szabla.

Cesare zerka na ojca, lecz Aleksander zdaje się nie dostrzegać absurdalnego kostiumu swego syna, tak jest uradowany jego obecnością.

Pinturicchio, który odsunął się, by zrobić miejsce na rodzinne powitanie, czuje, jak świerzbią go palce, gotowe chwycić za papier i kredę. W jego wyobraźni sąd w Aleksandrii

wypełnia się pięknie ekscentrycznymi widzami.

– Cesare! – Imię wybrzmiewa w ustach młodzieńca jak okrzyk wojenny i bracia spotykają się w uścisku. Cesare uważa, jak układa ciało, pamiętając o zakrzywionej głowni. Gdy się cofają, straszliwy wojownik okazuje się gładkolicym chłopcem ze smużką zarostu nad ustami aspirującą do statusu wąsów.

Cesare uświadamia sobie swój niesmak jak kwaśne ukłucie we wnętrznościach. Zapomniał, jak bardzo nie lubi młodszego brata. Uśmiecha się wszakże wylewnie. To jedna z wielu rzeczy, których nauczył się od ojca.

– Patrzcie tylko! Twój gust i styl są na ustach wszystkich, ale nie wiedzieliśmy w Spoleto, że porzuciłeś Świętą Matkę Kościół na rzecz wiary niewiernych. I co teraz? Mam wystawić przeciwko tobie armię czy wybierasz pojedynek?

Juan śmieje się, zadowolony z efektu.

– Pojedynek, zdecydowanie.

Okręca się w miejscu i dobrze wyćwiczonym gestem odczepia szablę od pasa. Jej ostrze przecina powietrze, a sztych opada bynajmniej nie lekko na szatę Cesarego.

– Ale ostrożnie, bracie. Znalazłeś się w towarzystwie mistrza fechtunku.

Klinga błyszczy w słońcu. Cesare delikatnie odsuwa od siebie jej koniec. Johannes stoi bez ruchu jak kawał drewna, lecz czeladnicy rozproszeni po kątach komnaty otwierają i zamykają usta jak głodne ryby.

– Twój brat znalazł upodobanie w stylu księcia Dżema – odzywa się papież, głosem ciepłym od zadowolenia z demonstrowanej przez progeniturę pogody ducha.

Juan unosi szablę i zakręciwszy nią w powietrzu, wsuwa gładko do pochwy. Zaprezentowana umiejętność jest nie byle czym i świadczy o czasie, jaki poświęcono, by nie rzec: zmarnowano, na jej doskonalenie.

– O tak, rzeczywiście. To nieujarzmiony i fascynujący człowiek. Wiesz, Cesare, on walczył w prawie każdym kraju Wschodu i z tysiąc razy uniknął śmierci.

– Tylko tysiąc?

– A, jesteś zazdrosny. Ten mężczyzna już przeszedł do historii. Zabił więcej ludzi, niż ty kiedykolwiek zdołasz.

– Owszem, słyszałem pogłoski, że całe masy umarły ze śmiechu.

Papież także śmieje się na te słowa – bo droczący się synowie są w jego oczach tacy bystrzy, ładni i witalni – i wszyscy uznają je za zabawne. Czelnicy na końcu komnaty otwarcie chichoczą, Pinturicchio szczerzy się szeroko, nawet twarz Burcharda jakby rozpękała się boleśnie w posłusznym uśmiechu, i nagle robi się z tego urocza familijna scenka. Cesare podchwytuje sygnał ojca, ponownie biorąc Juana w objęcia i klepiąc go po ramieniu.

– Ależ dobrze znów cię widzieć, braciszku.

– Ciebie też. Brakowało nam tu na dworze twojego skwaszonego oblicza, nieprawdaż, ojczcze? – Juan wymierza mu lekki cios kułakiem w pierś. – Tak czy inaczej, myślę, że nie pokpiwałbyś z Dżema, patrząc mu w twarz. To istny tygrys. Kiedy idę z nim przez miasto, ludzie schodzą nam z drogi.

Cesare, zerknąwszy jeszcze raz na ojca, powstrzymuje uśmiech.

– Chodzisz tak po ulicach?

– O, twój brat przesadza jak zwykle. Pokazali się w procesji podczas jednej czy drugiej uroczystości. Wywołali niejakie poruszenie. Ale dajmy już spokój niewiernym i tygrysom. Chodźcie. Jeśli nie pozwolimy Pinturicchiowi wrócić do pracy, nie będzie czym olśniewać gości na weselu waszej siostry. I... Burchard, może dołączysz do nas, żeby przedyskutować protokół tych celebrazji? Lękam się, że bez twojej wiedzy popełnimy wszelkie możliwe błędy.

Ponad głową brata Cesare obserwuje twarz Burcharda. Uśmiech zniknął równie szybko, jak się pojawił. Po Watykanie krąży plotka, że Burchard prowadzi sekretny dziennik, w którym zapisuje wszystkie szczegóły dotyczące papieskich ceremonii. Organizacja zaślubin córki papieża, z udziałem jego kilkunastoletniej nałożnicy, trzech synów, gromadki kardynałów i połowy wielkich włoskich rodów będzie wyzwaniem nawet dla niego. Powinieneś być nam wdzięczny, myśli Cesare. Nie było dotąd nikogo takiego jak my. I nie będzie nikogo takiego po nas. Uważaj, co piszesz.



Rozdział 8



– *Papà* mówi, że to nieszkodliwe. Że Juan i księżę Dżem są jak aktorzy w teatrze, a Rzym kocha teatr. Ale wiesz, jakie straszne rzeczy opowiadają o tym człowieku. Podobno pewnego razu, kiedy jego sługa coś upuścił, odciął mu dłoń! – *Lu-crezia* aż wstrząsa się z przyjemnej grozy.

Jest w tych dniach szczególnie radosna, gdyż zajmuje się nią nie tylko ojciec, ale i starszy brat. Dzisiaj przypada kolej na jej odwiedziny w domu *Cesarego* na *Zatybrzu*. Jakkolwiek nie tak wspaniały jak pałac kardynała *Zeno*, jest wystarczająco wytworny dla bogatego duchownego, z malowanym fryzem przedstawiającym cherubiny pod sufitem bawialni i terakotową posadzką ułożoną w idealną jodełkę, gładką pod stopami i ciepłą dla oka.

– To może być oczywiście tylko plotka. – *Lucrezia* wzrusza ramionami. – Skąd mam wiedzieć? Nie pozwolono mi go poznać.

Siedzi wyprostowana, z rękoma w małądrzyk, świadoma swojej dorosłości.

– I tak powinno zostać – mówi *Cesare* z udawaną surowością. – To opój i morderca.

O, jakże zmieniła się jego siostrzyczka w czasie, kiedy go nie było. Przekroczenie linii dzielącej dziewczynkę od młodej kobiety widać zarówno w jej garderobie, jak w zachowaniu. Ma dziś na sobie suknię z kremowo-złotego brokatu o delikatnym kwiatowym wzorze, z wysokim stanem; zebrany pod gorsem materiał rozlewa się wodospadem drobniutkich plisek, a czar fasonu równoważy ciężar tkaniny. Znad krawędzi tekstylnej fortecy wyglądają piersi, jednocześnie wypchnięte przez nią w górę i trzymane w ryzach. Włosy, wyszczotkowane do połysku, ma zaplecione w półkoronę i puszczone luźno na plecy. Nawet w jej zapachu jest teraz coś innego, jakby perfumy nabrały nuty dojrzałości. *Cesare* nie ma ochoty myśleć, że inni mogli zauważyć to przed nim.

– Znasz jego historię, prawda?

– Oczywiście. Jest bratem sultana. – *Macha* nonszalancko ręką, mała dworska kokietka. Potem wzdycha. – Ale to wszystko, co wiem. Nie patrz tak na mnie, *Cesare*. Mogłabym pytać o pewne rzeczy do ochrypnięcia, a *Adriana* mówi, że to nie moja sprawa. Wszyscy traktują mnie jak dziecko. Którym już nie jestem.

– Nie, nie jesteś. A teraz, kiedy wróciłem do domu, dopilnuję, żeby przyjęli to do wiadomości.

– Ooo, brakowało mi ciebie, braciszku.

Jemu także jej brakowało – choć uczucia, które się z tym wiążą, nie są do końca wygodne.

– A zatem... Kiedy zmarł ostatni sultan, między Dżemem a jego bratem wywiązała się wojna o tron. Dżem wystawił armię w Egipcie, a gdy został pokonany, udał się do rycerzy maltańskich na Rodos, prosząc, by poparli jego przewrót. Oni jednak go zdradzili i znalazł się w ich więzieniu, opłacanym przez brata. Potem zaś przeniesiono go do Rzymu. To majstersztyk dyplomacji: nowy sultan ma u nas dług wdzięczności, a Dżem pokutuje w jedwabnych więzach w watykańskim pałacu.

– Jego własny brat płaci nam za przetrzymywanie go? Chyba powinniśmy spróbować go

nawrócić. To dałoby do myślenia niewiernym.

– Nie, jest na to zbyt zepsuty. Chociaż może tobie by się udało. Mam nadzieję, że wciąż się za mnie modlisz.

– Każdego dnia. – Lucrezia marszczy noseć i na chwilę powraca dzieckiem, z którym dorastał, słodkie i poważne. – Czasem dwa razy, żeby nadrobić twoje zapomnienia.

Śmieje się.

– W takim razie jestem bezpieczny.

– Bo zapominasz, prawda?

Udaje, że się zastanawia.

– Och, Cesare. Możesz mieć wszystkie cuda świata, ale bez Niego w sercu...

– Będę musiał poprzestać na tym, co zapewni mi siostra. – Siedzi, patrząc na nią. Niech to diabli. Jakby Wenus dawać ślepcowi. – Chodź. Jeśli jesteś w stanie unieść te wszystkie spódnice, coś ci pokażę.

Lucrezia wstaje ze świeżo wypraktykowaną gracją, kładąc dłoń na jego wyciągniętym ramieniu. Schodzą po eleganckich kamiennych schodach o niskich stopniach (Cesare dla rozrywki jeździ po nich konno) na tylny dziedziniec, gdzie niedawno urządzono sztuczną grotę, z kilkoma drzewkami i ławką. Na cokole w pobliżu leży rzeźbiony nagi chłopiec, śpiący, z pulchną rączką odrzuconą w odprężeniu i młodym ciałkiem wtulonym w kamienne posłanie.

– Och, braciszku, jakie to urocze!

– Wiesz, kto to jest? Przyjrzyj się dobrze.

Lucrezia robi to i dostrzega fakturę pierzastych skrzydeł złożonych jak poduszka pod barkami chłopczyka.

– Bóg miłości! Kupidyn! O, wygląda jak żywy! – Przesuwa palcami po jego ramieniu aż do kremowej piersi. – Skąd się wziął? Czy z ruin?

– Można tak powiedzieć.

– Musiałeś mnóstwo za niego zapłacić. Ciocia Adriana mówi, że ludzie szaleją teraz za takimi figurkami. Nie wiedziałam, że interesują cię takie rzeczy!

– Zazwyczaj nie interesują. Jak myślisz, ile ma lat?

– Co najmniej tyle co Rzym.

– Błąd. Jest młodszy od ciebie.

– Nie!

– Ależ tak. Nasz Kupidynek to imitacja.

– Ale... ale jest taki piękny! – Oczy Lucrezii są szeroko otwarte ze zdziwienia. –

A kamień wydaje się taki... taki stary i chropawy. Jakby całe wieki przeleżał w ziemi.

– Bardziej prawdopodobne, że nacierano go roztworem kwasu i pyłem.

– Kto zrobiłby coś takiego?

– Wygląda na to, że młody artysta z Florencji. Z doskonałą ręką zarówno do rzeźby, jak i do interesów. Nie tylko ty dałaś się zwieść. Pewien kardynał, który powinien był poznać się na rzeczy, zapłacił za niego małą fortunę. Kiedy się zorientował, że go oszukano, zażądał zwrotu pieniędzy od pośrednika. A ja odkupiłem wzgardzony towar. Dzieło człowieka dość sprytnego, by okpić pół Rzymu, zasługuje na uznanie.

Lucrezia wpatruje się w rozluźnione marmurowe ciało.

– Uważam, że to bez znaczenia, ile ma lat. Jest taki śliczny. Zobacz, jak mocno śpi.

– Zapewne wyczerpany zamętem, który zasiał. – Cesare przeciąga dłonią po ciele chłopczyka do miejsca, gdzie spoczywa jego penis, zwinięty jak ślimaczek między delikatnymi jąderkami. – Ty jednak, jak sądzę, nie poczułaś jeszcze strzały Kupidyna, prawda, siostrzyczko? Mimo że masz „kon-kurenta”.

Odpowiada mu nieśmiałym uśmiechem, z policzkami zabarwionymi rumieńcem. Od czasu rozmowy z ojcem w kaplicy przed kilkoma miesiącami jej życie toczy się tak szybko, że czasem trudno odróżnić ekscytację od odurzenia.

– I jak, mam rację?

– Och, Cesare, jeszcze nawet nie widziałam jego portretu. – Opada na ławkę, a suknia rozkłada się dookoła. – Co o nim wiesz, o tym Giovannim Sforzy? *Papà* mówi, że to człowiek stateczny i układowy. Myślisz, że mi się spodoba?

– Nie musi ci się podobać – odpowiada Cesare szorstko.

– Jak możesz tak mówić? Jesteśmy już zaręczeni! Ślub będzie za niecały miesiąc!

– Ale małżeństwo nie zostanie skonsumowane.

– Nie... Nie od razu. – Lucrezia znów się rumieni. – Ale kobieta nie może zbyt długo być po ślubie i nie spać ze swoim mężem.

– Czy ja wiem? Znam takie, które mogą – mówi Cesare sucho.

I oboje się śmieją.

– Jest śliczna, prawda?

– Nie tak śliczna jak ty.

– Cesare! Mówiłam o malutkiej. – Na chwilę zapada cisza. – Wiem, co sądzisz o Giulii.

Nie patrz tak na mnie. Nietrudno to zgadnąć. Widziałam, jak na nią spoglądałeś, kiedy przyszedłeś w odwiedzin.

To spotkanie było ciężką próbą. Nikt nie pomyślał – a może nie miał odwagi – by przygotować go na to, co ujrzy, kiedy przybędzie do pałacu Santa Maria in Portico, objuczony podarkami dla siostry. Była to jego pierwsza wizyta w ich nowym domu i zastał na miejscu całą rodzinę. Traf chciał, że przypadł akurat dzień mycia włosów Giulii i jak przystało na tak gigantyczne przedsięwzięcie, wypełniały one cały pokój, rozciągnięte na oparciach dwóch krzeseł, Giulia zaś siedziała po królewsku, z niemowlęciem w kołysce u boku, Adrianą na podorędziu i mamkami krążącymi dookoła.

Nikt nie powiedział mu o dziecku aż do chwili, kiedy przyjechał do Rzymu i dowiedział się od ojca. Faktu, że Pedro nic nie wywęszył, nie należało poczytywać mu za winę. Przeciwnie, był to raczej dowód, jak dobrze działają strategie ojca, gdy idzie o kontrolę nad prywatnością – jakkolwiek Cesare nadal czuje się zdradzony przez to, że go wcześniej nie powiadomiono. Cóż, ostatecznie nie ma to wielkiej wagi. Dziewczynka oznacza jedynie kosztowne zamążpójście za jakies piętnaście lat. Żadnego zagrożenia.

Zachowywał się kurtuazyjnie, ale nie okazywał zainteresowania dzieckiem. Na Giulie ledwo patrzył. Jeśli macierzyństwo ją zmieniło, to była chyba jeszcze piękniejsza, z ciałem bardziej zaokrąglonym i kobiecym i promienną twarzą. Wkroczyła w życie jego ojca, gdy był daleko, studiując, i spotkali się dotychczas zaledwie dwa razy. Gdyby była jakkolwiek inną młodą kobietą, już dawno miałby ją w łóżu. Jest jednak w jej objawionej właśnie płodności coś, co go teraz niemal odstręcza i gniewa w sposób, którego sam nie rozumie. Wyczuła to prędzej niż on i oddaliła się tak wcześnie, jak tylko pozwalała na to uprzejmość; kiedy ona, dziecko, mamki i jej bezkresne włosy udały się do innej części pałacu, brat i siostra mogli pobyć sam na sam.

– Nie jest moją matką – mruczy gniewnie.

– Nie. Jest kochająca i dobra dla papy. – Lucrezia myśli o zwierzęcych odgłosach wśród nocy. – A on dla niej. To nie tak, jak wszyscy myślą.

– Ach, Lucrezio, świat byłby gorszym miejscem, gdybyś ty myślała tak jak każdy inny.

– Naprawdę. Ona go uszczęśliwia.

– Ja też mówię poważnie. Jesteś lojalną i kochającą córką. I siostrą.

– Och, Cesare – śmieje się radośnie, ujmując jego dłoń – mam nadzieję, że mój mąż będzie tak miły i urodziwy jak ty.

– To niemożliwe. – Odwraca jej dłoń w swojej, rozprostowując palce, by ukazać jej wewnętrzną stronę. – Widzisz? Tutaj masz wypisane: „Nie tak urodziwy jak twój brat”. – Gładzi palcem jej skórę. – Ale! Widzę też, że to nie jedyny mąż, jakiego możesz mieć. A tutaj, tutaj jest twoja linia życia. Można nawet zobaczyć, kiedy umrzesz.

– Nie! Naprawdę to wszystko widzisz? Kiedy, kiedy to się stanie?

Przyciąga jej rękę bliżej, przesuwając palce po kłębie kciuka w górę, ku wewnętrznej stronie nadgarstka, gdzie skóra jest niemal przezroczysta. Lucrezia drży pod tą pieszczotą.

– Nieprędko.

– A ilu będę mieć mężów? – pyta z zapalem.

– O, trzech, może czterech. – Podnosi głowę i patrzy w jej oczy lśniące uczuciem. – Ale nie będziesz ich kochała tak jak mnie. Bo łączą nas więzy krwi i nikt nigdy nie będzie ci tak bliski. – Szczerzy zęby. – Ani tak przystojny.

– To mowa niegodna dobrego dworzanina! – śmieje się Lucrezia, cofając rękę, jakby mógł sprawić jej ból. – Powinieneś zachować całą tę czarną magię dla siebie.

– Nie jest bardziej czarna niż wypatrywanie twarzy męża w miednicy.

– Kto ci o tym powiedział?

– Pamiętaj, że wiem o tobie wszystko. Jesteś moją siostrą.

– Cóż, w takim razie uważaj. Jestem pewna, że i ja znam niektóre twoje sekrety. – Uśmiecha się szeroko i przez moment niemal stają się na powrót dziećmi, niebaczny na troski otaczającego je świata. – *Papà* mówi, że mój ślub będzie w nowo urządzonych komnatach w pałacu watykańskim – podejmuje w końcu. – Wyobraź sobie. Z naszymi portretami na ścianach. Chociaż nie jestem pewna, czy zostaną ukończone na czas. Johannes Burchard wszystkiego pilnuje. – Krzywi się. – Przypomina mi ropuchę.

– Za chudy. Jest bardziej jak jaszczurka, z tymi fałdami skóry pod brodą.

Lucrezia chichocze.

– I te jego oczy. – Toczy gałkami ocznymi tam i z powrotem, po czym zatrzymuje je w zastygłym, zimnym spojrzeniu i mruga. Po chwili milczenia odzywa się: – Wiesz, że Juan poprowadzi mnie do ołtarza?

Nie, nie wiedział. Lucrezia rozpoznaje to po chwilowym zmrożeniu jego rysów.

– Ale z tobą zatańczę pierwszy taniec – mówi gorąco. – To znaczy, zaraz po moim mężu.

Na dziedzińcu wyrasta postać Michelotta, z pooraną twarzą w dysonansie z gładkim aksamitem kubraka.

– Panno Lucrezio... – Kłania się przed nią nisko.

Lucrezia odpowiada skinieniem głowy, natychmiast spuszczając oczy.

– Wasza Ekscelencjo – mówi Michelotto z przesadną ceremonialnością – przybył posłaniec z Mantui. Z wiadomością o koniach, które zamówiliście.

– Jak widzisz, jestem zajęty. Powiedz mu, żeby zaczekał.

Michelotto składa następny zamaszysty ukłon przed Lucrezią, ona jednak nie podnosi wzroku. Po jego odejściu siedzi ze zmarszczonym czołem, skubiąc niespokojnie tkaninę sukni, w odruchu dziewczynki, z której jeszcze do końca nie wyrosła.

– Co?

– Nic. Tylko... Nie sądziłam, że ten człowiek przyjedzie z tobą do Rzymu, przy twojej obecnej dystynkcji. – Wzdycha. – Przyprawia mnie o dreszcze. Wydaje się... nie wiem... taki okrutny.

– Nie tak okrutny jak człowiek, który sprawił, że wygląda, jak wygląda. Michelotto jest

teraz moim osobistym strażnikiem. Towarzyszy mi wszędzie.

– Cóż, wolałabym, żeby nie pojawił się na moim weselu – mówi zapalczywie. – Myślę, że taka gniewna twarz nie byłaby dobrym omenem dla mojej przyszłości.

– W takim razie na pewno go tam nie zobaczysz. – Cesare przerywa. – Siostrzyczko, nie musisz się martwić tym małżeństwem i mężem. Jeśli zrobi cokolwiek nie po twojej myśli...

– Och, Cesare. – Lucrezia kręci głową. – Nie jesteśmy już dziećmi. Nie możesz walczyć ze wszystkimi.

– Nie? Nie byłbym taki pewien.



Rozdział 9



Wbrew prześmiewkom Cesarego Giovanni Sforza nie jest brzydkim mężczyzną. Dość wysoki, cieszy się gęstą czupryną i parą oczu patrzących na świat pod tym samym kątem, a nogi ma proste i kształtne. Miał szczęście urodzić się w wysoko postawionej rodzinie – wprawdzie jako bękart, lecz wśród mężczyzn pokroju Sforzów posiadanie nieślubnych dzieci jest tak powszechne, że postrzega się je raczej jako dowód męskości niż niemoralności. Ów status nie przeszkodził mu odziedziczyć wikariatu papieskiego państewka Pesaro wraz ze wsparciem potężnych kuzynów, Ludovica i Ascania.

Pech polega na tym, że nie dzieli z nimi wybujałej ambicji. W wieku dwudziestu siedmiu lat zna już życie dość dobrze, by wiedzieć, że nigdy nie będzie jednym z wielkich graczy. Stając wobec poważnego wyzwania, odbiera je trzewiami; wewnętrznosci czasem kurczą mu się tak gwałtownie, że tylko najwyższym wysiłkiem nie zwija się niemęsko w paroksyzmie bólu. Wychowany na opowieściach o wojnie i fortelach, chciałby wyprzeć się tej słabości, lecz – podobnie jak dar jasnowidzenia – nie jest to coś, z czym można by polemizować.

Tak czy inaczej, małżeństwo zazwyczaj jest dla mężczyzny bezpieczną opcją, a jemu nieobce są wymogi polityki dynastycznej. Jego pierwsza żona pochodziła z zaufanego -miasta-państwa Mantui i była ni mniej, ni więcej tylko siostrą obecnego markiza. Mimo że nie pobrali się z miłości, układało im się całkiem dobrze. Z czasem mogło się to przerodzić w coś głębszego, gdyby nie to, że po dwóch latach umarła na tym samym posłaniu, na którym wydała na świat martwe dziecko, błagając, by pozwolono jej tulić jego ciało, podczas gdy medycy starali się zatamować jej krwawienie.

Giovanni dowiedział się o nowym przymierzu, gdy jego kuzyn Ludovico dał mu wysokie stanowisko w mediolańskiej armii, z jeszcze wyższym wynagrodzeniem. W brzuchu zaczęło mu kruczeć dopiero, gdy wypłynęło nazwisko Borgia. Mantua była przynajmniej blisko domu, a w żyłach rodu Gonzaga krążyła szczerza włoska krew. Cóż jednak mógł zrobić? Gdyby próbował odrzucić mariaż sprokurowany przez papieża i swoich kuzynów, papieskiego wicekanclerza i księcia Mediolanu, wywołałoby to nieskończenie gorsze boleści. Został wezwany do Rzymu na negocjacje i trzy tygodnie spędził w większości w zamknięciu, czekając. Problem polegał na tym, że jego oblubienica była najwyraźniej zaręczona z jakimś hiszpańskim arystokratą, który przyjechał w tym samym czasie i chodził dookoła, pobrękując mieczem i odgrządzając się, że skróci o głowę każdego, kto wysunie jakieś roszczenia. Biorąc to wszystko pod uwagę, bezpieczniej było nie wychodzić.

Potem znienacka jego rywal wyjechał. Plotka głosiła, że kosztowało to trzy tysiące dukatów. Suma ta dobrze rokowała, jeśli chodziło o posag, który mogła wnieść jego nowa żona. Pertraktacje wziął na siebie jego kuzyn, kardynał Ascanio, i padło mnóstwo słodkich słówek i hojnych kwot. Wreszcie w lutym odbyły się zaręczyny. W imieniu Giovanniego wystąpił prawnik. Wrócił z opowieścią o czystej, niezepsutej dziewczeczce, zdolnej roztopić każde serce, i jej ciotce, która przegadałaby papugę. O jej kłopotliwych braciach nie miał wiadomości. Uzgodniono solidny posag w wysokości trzydziestu tysięcy dukatów. Giovanni miał zyskać względy papieża i, ostatecznie, ciało jego drogocennej młodzianki córki. To była szansa życia.

Wąlewał się po pałacu, a duch jego pierwszej żony nikał w oczach. Wyobrażał sobie rozbrzmiewające echem komnaty na nowo wypełnione dworzanami, muzyką i śmiechem. Miasto, które stanie się ośrodkiem władzy i kultury. Będą urządzać bankiety dla ambasadorów i kardynałów, nawet dla samego papieża. Będzie polował i tańczył, i siedział przy stole ze śliczną i kochającą żoną, która da mu gromadkę synów, a ci przerosną ojca. Dużą część tego dnia spędził w latrynie – choć nie rozumiał dlaczego, zważywszy na czekającą go czarowną przyszłość.

Nie był to jednak czas na skurcze wnętrzości. Sypały się szczegółowe wieści o fantastycznych przygotowaniach trwających w Rzymie. Suknia ślubna jego żony miała według pogłosek kosztować tysiąc pięćset dukatów (bez uszczuplenia posagu, zapewniono go, gdy spytał).

Za to garderoba Giovanniego stanowiła problem graniczący z katastrofą. Wzieniając się w jedną z najbogatszych rodzin, nie mógł sobie pozwolić na to, by go przyćmiono. Jednakże bez posagu – który miał doń trafić dopiero po skonsumowaniu małżeństwa – nie mógł sobie również pozwolić na to, by zabłysnąć. W końcu udał się po prośbie. Jego były szwagier w Mantui posiadał ogromny ceremonialny naszyjnik wykonany przez mistrza fachu złotniczego i stosowny dla księcia, którym Giovanni miał się stać. Pożyczka miała nic go nie kosztować, a biorąc pod uwagę wpływy rodziny jego żony, przysługa mogła się zwrócić po dziesięciokroć.

Glejt z naszyjnikiem, wspaniałym i ciężkim jak jarzmo, nadszedł wkrótce. Dzień ślubu wszakże – nie. Zaplanowano go na kwiecień, potem przełożono na maj, a następnie na czerwiec. Komnaty pałacu nie były gotowe. Papież wciąż łagodził zapędy innych zalotników. Gdy jednak Giovanni zebrał się na odwagę, by zapytać wprost, odpowiedź była szybka i wylewna. Nie, nie, absolutnie. Będzie twoja i tylko twoja.

Z nazwiska, lecz na razie jeszcze nie ciałem. Może dlatego nie szalał ze szczęścia. Oczywiście trudno pożądać czegoś, czego się jeszcze nie widziało. Co ważniejsze, ponieważ każdy wie, że małżeństwo nie jest prawdziwym małżeństwem, dopóki mąż i żona nie znajdą się razem w łożu, oficjalne odroczenie skonsumowania miało wpływ na jego kiszki. Krótko mówiąc, związek, który na papierze wyglądał na zawarty w niebie, od początku zdaje się szwankować.

Aleksander tymczasem ma większe zmartwienia niż układ trawienny przyszłego zięcia. Lucrezia, jakkolwiek ukochana, jest tylko jednym z czworga dzieci, które musi odpowiednio ustawić na szachownicy. Aktualne są też wszystkie wyzwania codziennego przewodzenia chrześcijaństwu. Najbardziej cieszy go, gdy może zajmować się obiema rzeczami jednocześnie. Dlatego gdy w czerwcu przybywa do Rzymu hiszpański ambasador don Diego de Haro, w tak przejrzystej otoczce tajemnicy, że miasto zalewają plotki, wydaje się, że Bóg wysłuchał jego modlitw.

Z wysokości swego papieskiego tronu Aleksander opromienia uśmiechem brzuchatą zaaferowaną postać, o obliczu lśniącym od potu wyciśniętego przez aksamitny strój i nerwy, która rozpościera pergaminowe mapy i przesuwając obciążniki, powstrzymując zwijanie się arkuszy, by dać najwyższemu kapłanowi lepszy widok.

– Wasza Świątobliwość widzi tę tutaj wyspę, czyż nie? Nazwaliśmy ją Hispaniolą. Wasza Świątobliwość spojrzy: nazwa jest wypisana tu w poprzek. Tak jak wszyscy mówią, to nowy świat! Cudowny sam w sobie, lecz któż wie, co się za tym kryje? – Głos ambasadora, wysoki z natury, staje się jeszcze wyższy pod wpływem ekscytacji. A dziś jest w rzeczy samej bardzo podekscytowany. – Niezbędne jest zatem wytyczenie jakiejś linii demarkacyjnej, z czym, jestem pewien, Wasza Świątobliwość się zgodzi.

Aleksander mądrze kiwa głową, z twarzą beznamiętną, choć nawet on nie może nic poradzić na odczuwalne przyspieszenie tętna. Ten „nowy świat” jest tak nowy, że naprędce naszkicowane mapy nie bardzo oddają mu sprawiedliwość. Dwie leżą teraz jedna obok drugiej na

posadzce watykańskiej sali przyjęć. Na wschodzie ukazują zakrzywione wybrzeże kontynentu europejskiego i Afryki, a dalej, za wielką połacią morza, oznaczonego jedynie nielicznymi atramentowymi gryzmołami wyobrażającymi fale, ryby i stateczki o żaglach wydętych wiatrem, pionowy łańcuch podłużnych wysp. Na jednej z map przez środek wody biegnie cienka kredowa kreska. Drugą, kopię, pozostawiono czystą. Gdy chrześcijańskie narody walczą o tytuł nowego łądu, gdzie miałyby się udać po przewodnictwo, jeśli nie do papieża? Aleksander nie spieszy się, napawając się ewidentną łaską Boga, który otworzył przed rodzajem ludzkim takie perspektywy, ale także bolesnym niepokojem uwijającego się przed nim człowieczka, którego życie i kariera zależą teraz od układu, jaki zdoła zawrzeć dla swoich panów.

– Wasza Świątobliwość, sama historia powinszuje wam podjętej dzisiaj decyzji – mówi ambasador tak potulnie, jak tylko potrafi.

– Historia może tak, don Diego. Podejrzewam wszelako, że nie Portugalczycy. Ich roszczenia sięgają dalej na zachód niż ta linia, nieprawdaż?

– Ach, na tym etapie to niejasne, Wasza Świątobliwość, a dalsze szczegóły można pertraktować później. Ich Wysokościom Ferdynandowi i Izabeli chodzi o zasadę i błagają, byście wzięli ją teraz pod uwagę. Działamy w słusznej sprawie. Dowodem słowa naszego admirała Kolumba, które Wasza Świątobliwość ma przed sobą.

Aleksander bierze do ręki kartki listu leżące na jego kolanach.

– Muszę powiedzieć, że to zdumiewający meldunek. Zdumiewający. – Uśmiecha się szeroko. – Co za dziwy! Sama wyspa Hispaniola, powiada admirał, jest większa od Hiszpanii. Słyszałem, że napisał jeszcze jeden, pełniejszy raport, który krąży po dworach Europy – dodaje sucho.

– To nowy świat, Wasza Świątobliwość. Wszyscy mają wielką chętkę coś o nim usłyszeć. To jednak, co napisał tutaj, przeznaczone jest tylko dla waszych oczu.

– Ha! A moje oczy wielce pragnęłyby ujrzeć te cuda. Tyle bogactwa. Takiego bogactwa! Ci tubylcy, rozdający złoto w zamian za sznurówki, i ta ich beztroska nagość. To jak niewinność Edenu. Zaprawdę dziwy. Hmm. List każe wierzyć, że są tak samo oczarowani admirałem jak on nimi. W istocie widzą w nim przybysza z niebios. Mam nadzieję, że waszego Kolumba nie kusi, by się postawić ponad rodzajem człowieczym.

– Wasza Świątobliwość! Reprezentuje on naród, który wygnał Żydów i Maurów i wykorzenia herezję w każdym zakątku kraju. Ogień Jezusa Chrystusa płonie jasno w naszych sercach podobnie jak w waszym. A Kolumb jest przekonany, że te rzesze nadają się do nawrócenia. Żadnego bałwochwalstwa. Tylko dobre duchy. Tak właśnie pisze. Jeśli uważają, że przybył z nieba, prawda, którą ze sobą przyniesie, rychło się zakorzeni i wyda nasienie.

– Istotnie. W takim razie musimy rozważnie rozpatrzyć prośbę. – Aleksander zwraca się do Burcharda, który siedzi z własnym piórem zawieszonym nad pergaminem. – Jak uważasz, Johannesie? Powinna wyjść papieska bulla, prawda?

Burchard przytakuje.

– A sformułowania? Jasne i precyzyjne, jak sędzę. Linia demarkacyjna przebiegająca... ileś mil na zachód od... czego? Wysp Zielonego Przylądka?

– Tak. Ich Królewskie Wysokości proszą dokładnie o trzysta mil – dodaje Burchard cicho.

– Trzysta – powtarza papież. Patrzy na mapę. O, jakże przyjemne to momenty. Wzdycha. – Trzysta. To doprawdy nie pozostawia zbyt wiele miejsca dla innych, don Diego. Taka nieznacznna kreska, a stworzy takie wielkie imperium.

– Na chwałę nas wszystkich – mówi piskliwie ambasador. Sprawa jest dla Hiszpanii tak ważna, że przybył do miasta incognito. I, podobnie jak Kolumb, przywozi podarki, choć warte

nieco więcej niż sznurówki.

Następuje chwila ciszy. Aleksander wydaje się zatopiony w myślach.

– Wasza Świątobliwość... muszę przekazać, jak niecierpliwie Ich Wysokości wyglądają przybycia waszego syna, Juana, księcia Gandii. Oferowana mu narzeczona, Maria Enriques, prócz tego, że jest kuzynką króla, to wyrafinowana i szlachetna niewiasta, o której rękę będą zabiegać w całej Europie. Związek, który ich połączy...

– Darujcie, mój panie! – Papież podnosi wzrok, oburzony. – Nie będziemy tu frymarczyć naszym synem w zamian za linię na oceanie. Jest dla nas cenniejszy i wart więcej niż jakieś pogańskie plemię.

– Oczywiście! – Ambasador śmieje się nerwowo. – Jak i księżniczka dla Ich Wysokości. Nie, rozmawiamy o królewskiej krwi. O potężnych więzach, które wytworzą się między Hiszpanią a papieżstwem. O postępie Kościoła. I rodu. – Milknie. Czy to wystarczy? Najwyraźniej nie. – A co do posagu księżniczki... Sądzę, że Wasza Świątobliwość zgodzi się, że jest równie wspaniała jak dama, której będzie towarzyszył. Nie wspominając o ziemiach, które trafią w ręce waszego syna. – Chyba nie może chcieć więcej? Ambasador zerka na Burcharda, który spuszcza oczy, palcami dając ledwo uchwytny cień znaku.

Bardzo subtelnie. Nie dość subtelnie jednak, by Aleksander się nie spostrzegł. Chytry stary lis, myśli papież cierpko. Burchard rozmawiał z nim za moimi plecami. Uświadamia to sobie nie bez podziwu.

– Tak, rzeczywiście. Kościół i rodzina. Łączy nas miłość do jednego i drugiego. Dobrze więc. Punkty mniejszej wagi można przedyskutować później. Trzysta mil. Burchard, pozostawiam to tobie. Lepiej zaznaczmy tę linię na mapie atramentem. I włączmy do bulli słowa z listu admirała Kolumba, by ukazać jego oddanie i lojalność wobec naszego świętego urzędu.

Papież skinieniem daje ambasadorowi do zrozumienia, że czas audiencji dobiegł końca.

– Wasza Świątobliwość... – Don Diego przełyka ślinę. – Jeszcze jedna sprawa.

Papież wpatruje się weń intensywnie.

– Ich Wysokości słyszały... Cóż, mówi się... To znaczy...

Aleksander czeka. Spędziwszy całe życie na praktykowaniu dyplomacji i w kulturze pochlebstw, z niemal dziecinną uciechą obserwuje cudze zmagania.

– Na waszym miejscu wypłubym to już z siebie, don Diego. Nie chcielibyśmy, aby Hiszpania odkryła następne nowe imperium, zanim przejdziecie do rzeczy, prawda?

– Mówię o Francji. O pogłosce, że nowy francuski król ze wsparciem Mediolanu wysunął roszczenia do tronu Neapolu. To coś...

– ...co bezgranicznie zdenerwowałoby Ich Wysokości Króla i Królową Hiszpanii.

– Otóż to. Równowaga sił...

– ...jest delikatna. Ambasadorze, nie musicie uczyć mnie mojej pracy. Równoważeniem sił zajmuję się przez większość życia. Przekażecie swoim Królewskim Wysokościom, że choć papież nawiązał przyjaźń i poprzez małżeństwo unię z Mediolanem, częściowo w odpowiedzi na wysoce agresywne zachowanie ich rodaka w Neapolu...

– Odnośnie do którego wyraziliśmy bardzo jasno dezaprobatę...

Aleksander urywa, okazując swoją jeszcze większą dezaprobatę odnośnie do przerywania mu wypowiedzi. Ambasador milknie i klęśnie. Są chwile podczas modlitwy, kiedy Aleksander zastanawia się, czy tak oczywiste rozkoszowanie się władzą nie graniczy czasem z grzechem pychy. Albo próżności. Wątp-liwości nie trwają jednak długo.

– ...to jakkolwiek jesteśmy niekontenci, don Diego, życzymy sobie mimo wszystko pojednania z królem Ferrante z Nea-polu, jeśli uczyni on ku temu stosowny wstęp. Ponadto nie ścierpimy obcej interwencji w państwie. Ambasador Francji zna nasze stanowisko. I zostało ono

w jak najjaśniejszych słowach przekazane jego panu.

– Wasza Świątobliwość, sprawiliście mi głęboką ulgę – mamrocze mały człowieczek, choć czułe ucho mogłoby stwierdzić, że jego głos nie jest tak uniżony jak słowa.

– To dobrze. A skoro już jesteście w mieście, może chcielibyście zaprezentować się oficjalnie? Wówczas moglibyśmy zaprosić was na uroczystość zaślubin naszej córki. Och, i powiadomcie waszego admirała, że będziemy ogromnie radzi następnym wieściom. Jego gawędy niepomnie nas cieszą i oświecają.



Rozdział 10



Dziewczynka przygryza wargę, by nie krzyknąć. Jej białe zęby świecą dziko na tle czerwonego jak granat wnętrza ust i hebanowej skóry. Pinturicchio, który brał udział we wczorajszych próbach, ma już względem niej swoje artystyczne plany. Teraz jednak mała walczy. Sukienka, w którą ją wtłaczają, jest za ciasna w gorsie, i dziewczuszka wije się, nie mogąc odetchnąć pełną piersią.

– Stój spokojnie! – krzyczy Adriana.

Dziecko nieruchomieje, gapiąc się na Lucrezię, która stoi odwrócona tyłem, a rzeka białego wyszywanego jedwabiu splywa z jej ramion i rozlewa się po podłodze ku stopom dziewczynki. To najpiękniejszy widok, jaki miała kiedykolwiek przed oczami.

– Dobrze. Teraz podnieś. Schyl się, dziecko. Przytrzymaj tutaj. Tak, obiema rękami. Ręce dalej od siebie. Na tej wysokości. Patrz. Wycuj ciężar. – W głosie Adriany normalna popędliwość graniczy już z rozdrażnieniem. – Pamiętaj, to twoje zadanie. Trzymasz tren i idziesz za donną Lucrezią. Z taką prędkością, jak ćwiczyłyśmy wczoraj. Ani szybciej, ani wolniej. Nie patrzysz na nic i na nikogo innego. Kiedy ona staje, stajesz. Kiedy rusza, ruszasz i ty. I nigdy, przenigdy go nie puszczasz. Nigdy. Aż ci nie każe. Zrozumiano?

Paznokcie dziewczynki aż pobielają na brzegach, z taką siłą ściska materiał. Patrzy w pokrytą plamami twarz Adriany: stres wylizal z niej biały puder, ukazując siatkę popękanych żyłek wspinającą się po policzkach od nasady nosa.

– Zrozumiano? – Adriana w geście frustracji gwałtownie unosi ręce. – Ta mała jest bezużyteczna. Czarna jak trzeba, ale kompletnie głucha i niema. Prosiłam o jakąś, która nie byłaby dzikuską.

– Myślę, że słyszy każde słowo, ciociu. – Gdy inni się miotają, Lucrezii łatwiej zachować spokój. – Rozmawiałam z nią wczoraj i jej włoski jest tak samo dobry jak twój czy mój.

Podchodzi bliżej, ruchem spowitym w szelest jedwabiu, nachyla się i lekko nakrywa dłonią rękę dziewczynki.

– Rozumiesz, co mówi moja ciotka?

Mała kiwa głową. Palce Lucrezii są nagie i blade; o środkowy zaczepiona jest półrękawiczka z jedwabiu rozciągniętego na grzbiecie dłoni i niknącego w mankiecie sukni, w całości wyszywanego perełkami, o połysku podobnym do czarnego lśnienia jej własnej skóry widocznej pod spodem. Obydwie wpatrują się w zdumiewający kontrast, jednakowo urzeczone.

Dziewczynka podnosi wzrok.

– Idę, kiedy ty idziesz. Staję, kiedy ty stajesz. Trzymam, dopóki ona mi nie powie, żebym puściła.

– Widzisz? – Lucrezia promienieje. – Doskonale. Wyglądasz prześlicznie – szepcze.

Dziewczynka patrzy. I patrzy.

– Ty też.

– Aaa! – Adriana, jeśli to możliwe, jest jeszcze bardziej poirytowana.

Sala na ostatnim piętrze pałacu przedstawia sobą obraz domu pomyleńców. Wygląda trochę, jakby zakwaterowała się w niej wędrowną trupą teatralną, spóźniona na królewskie

przedstawienie czy widowisko rycerskie – tyle że wszyscy aktorzy to młode kobiety. Całe ich tuziny, z najważniejszych rzymskich rodów, zgromadzone tu, by wystąpić jako drużyny podczas przybycia pana młodego i ceremonii zaślubin. W tym momencie są już ogarnięte lekką histerią, szczebiocząc i piszcząc jak szpaki o zmierzchu. Adriana zaś przypomina generała, który stracił kontrolę nad swoimi oddziałami.

Do komnaty wchodzi jakaś kobieta i szepcze coś Adrianie do ucha, na co ta zatrzymuje się, klaszcze w dłonie i woła wielkim głosem:

– Cisza! Cisza!

Ruch w pomieszczeniu zamiera pośród wzajemnego uciszania się i szmeru jedwabiu na marmurowych posadzkach.

– Gotowe. Chwila nadeszła. Słuchajcie. Słuchajcie. – Wskazuje otwartą loggię w końcu komnaty.

Stoją, nasłuchując, i słyszą, w odległości, grzmiący odgłos trąb, a potem fale dźwięków piszczałek, fletów i bębnow przeplatające się w tle.

– Są po drugiej stronie rzeki. Przechodzą Mostem Świętego Anioła. Będą tutaj w pół godziny.

Adriana rzuca się ku loggii i wychyla nad balustradą, po czym szybko chowa głowę, z rozjaśnioną twarzą, nagle odmłodziła.

– Och, plac jest już pełny. O mój Boże. O mój Boże. Wszyscy na miejsca. Panie, pod ściany w szeregach. Powiem wam, kiedy wystąpić naprzód. Lucrezio, teraz wychodzisz na loggię, ale tak, żeby nie było cię widać.

Kobiety rozbiegają się na swoje miejsca i środek sali pustoszeje, wyjąwszy Lucrezję i jej gorliwą druhenkę, która nie odstępowała jej ani na cal.

Adriana odwraca się.

– Co to ma być? Nie słyszałaś, co powiedziałam? Ruszaj na miejsce razem ze wszystkimi!

Dziecko spogląda na Lucrezję, ale ani drgnie.

Lucrezia kiwa głową.

– Ona chce, żebyś puściła teraz tren.

Dziewczynka, z dolną wargą przygryzioną w głębokim skupieniu, dyga, składając fale materiału na posadzce z taką gracją, że obie kobiety nie mogą oderwać od niej oczu. A potem z uniesioną wysoko główką odmaszerowuje na tyły jak mały żołnierz.

Adriana, z mglistym poczuciem, że skradziono jej scenę, potrząsa głową, po czym całą uwagę i troskę przelewa na podopieczną.

– Wszystko w porządku, ciociu. Mogę iść sama. Jestem gotowa.

Jest gotowa już od dobrych siedmiu godzin. Obudziła się przed świtem bez żadnego dzwonienia i leżała, odmawiając modlitwy i prosząc o przewodnictwo w tym najtrudniejszym jak dotąd momencie jej życia – w chwili, w której pozna swojego męża. Przy łóżku, pod *Naśladowaniem Chrystusa* i *Księżką Godzin*, leży zaczytany tomik opowieści rycerskich, uznawanych za stosowną strawę duchową dla dziewcząt w jej wieku i jej stanu. Na jego kartach księżniczki czystej krwi, zwiedzione lub zdradzone przez złych przyrodnych braci albo królów uzurpatorów, wędrują przez dzikie krainy i toczą straszliwe boje, by odzyskać tron i znaleźć prawdziwą miłość. Choć Lucrezia nie łudzi się, że właśnie to jest jej oferowane, mimo woli jest troszkę upojona tymi wszystkimi podnietami i urokami, i gorączką całej kierowanej na nią uwagi.

Za okiennicami wstawał nieskazitelny, doskonały dzień: początek lata w Rzymie to cudna pora, czas błękitnego nieba i słońca, które całuje, a nie miazdzy. W taki dzień Artur mógł być poślubić swoją Ginewrę. I przynajmniej przez chwilę byłiby szczęśliwi.

Lucrezia zwraca się do ciotki.

– Jak wyglądam?

Adriana otwiera usta, zamyka je i wybucha płaczem. Ona także naczytała się w życiu romansów. A może ma powody, by odnosić się z niepokojem do aranżowanych małżeństw.

– No cóż, teraz jest już za późno, by cokolwiek z tym zrobić – odzywa się Lucrezia, ściskając ciotkę za rękę. Unosi ramiona i ponaszywane wszędzie perły migoczą w słońcu. – Och, ta suknia jest taka ciężka!

– Poczekaj, aż zobaczysz Juana – odpowiada Adriana. – Ma na sobie pół kramu złotnika.

Lucrezia uśmiecha się na ten niespodziewany żart, przytula ją krótko, a potem wychodzi na loggię. Choć uważa, by nie pokazać się jeszcze tłumowi, ktoś coś dostrzega i podnosi się wrzawa. Upłynął prawie rok od publicznych obchodów papieskiej koronacji. W innych miastach Italii wielkie dynastyczne zaślubiny odbywają się przez cały czas. Teraz i Rzym ma własną rodzinę królewską. Powabna młoda córka papieża. Dojrzałe owoce. Darmowe wino. Czas na następne przyjęcie u Borgiów.

Muzyka rozbrzmiewa coraz bliżej. Rytm bębnow rezonuje w jej żołądku. To się dzieje ze mną, tutaj, teraz, myśli. Mam niecałe czternaście lat i za chwilę poznam mężczyznę, którego poślubię. Drogi, słodki Jezu, spraw, żebym mu się spodobała. Spraw, żeby mnie pokochał. Z Twoją pomocą dam sobie radę. Stara się uchwycić to poczucie, wydestylować je, zamrozić, zakonserwować, zachować w jakiś sposób, żeby móc do niego wrócić, kiedy tego zapragnie, cokolwiek by się działo.

W orszaku, który nadciąga tam w dole, panuje raczej duch karnawału aniżeli procesji: barwnej ciżbie giermków, rycerzy, paziów i muzykantów towarzyszą trefnisie i kuglarze fikający kozły albo bełkoczący i bawiący tłum, jeden starannie przebrany za księdza i rozdający błogosławieństwa na prawo i lewo. A gdzieś pomiędzy nimi – pan młody.

Kiedy pierwsi dobosze i sztandarowi wkraczają na plac przed pałacem, Lucrezia podchodzi do balustrady i wszyscy zadzierają głowy, by na nią popatrzeć. Wielu widzi ją po raz pierwszy, tę delikatną młodą kobietę strojną w jedwab i perły, ze spływającymi na plecy długimi dziewczycimi włosami pod mieniącą się klejnotami siateczką. I są, rzecz jasna, oczarowani. Mówi się, że papież ją ubóstwia. A dlaczegoż by nie? W tym momencie jest córką wszystkich. Świeżym kwieciem na drzewie. Wiosną obiecującą urodzaj. Muśnięciem romansu. Impulsem pożądania. Rzym łaknie tego wszystkiego. Niechaj Bóg zachowa rodzinę, która daje takie spektakle.

Główna grupa konnych wjeżdża na plac, po czym rozstępuje się, zostawiając na środku jednego konia i jednego jeźdźca. Spina on wierzchowca i wolnym kłusem zbliża się do loggii. Mężczyzna na koniu – niewiasta na balkonie. Można teraz dostrzec za nią rząd pięknych młodych kobiet. Jeździec zdejmuje kapelusz i skłania się nisko w bok, ściskając udami siodło dla utrzymania równowagi. Dźwięczą wodze, koń cicho rzy.

W odpowiedzi Lucrezia wykonuje głęboki dyg, znikając na chwilę z widoku. Moment zdaje się zawieszony w czasie. A potem mężczyzna wkłada z powrotem kapelusz, potrząsa cugłami i jego koń dołącza do innych; pochód zmierza teraz ku otwartym wrotom watykańskiego pałacu, gdzie oblubieniec złoży hołd jej ojcu.

Tłum rykiem daje wyraz swojemu zadowoleniu z właściwie przeprowadzonego rytuału.

Lucrezia wraca do sali. Jej ciotka wciąż ma oczy pełne łez.

– Stałam pod słońce. – Lucrezia wzrusza lekko ramionami, a serce nadal łomocze jej z podniecenia. – Jedyne, co widziałam, to lśnienie złota na jego piersi.

Dla wszystkich wokół brzmi to przezabawnie.



Rozdział 11



Podczas kolejnych dni świętowania jedyną osobą, która trzyma na wodzy entuzjazm, jest nieustrudzony mistrz ceremonii.

Johannes Burchard aranżuje wszystko, na każdy szczegół bacząc z taką uwagą, jaką zapewne poświęcałby Drugiemu Przyjściu Chrystusa. Jako że nie istnieje protokół do podobnych wydarzeń – papież nie miewają córek, nawet jeśli miewają – sam go wykuwa. Na ogromnej liście gości licznie reprezentowane są rodzina, Kościół, państwo i mała inwazja zagranicznych dostojników, a przybycie i ulokowanie każdego z osobna musi być wychoreografowane co do najmniejszego detalu z uwzględnieniem pozycji poprzedników i prawideł snobizmu.

Nowe apartamenty papieskie szykowano w pośpiechu. Przepędzono Pinturicchia i gromadę jego czeladników – malarz srodze przy tym lamentował – a miejsca, od których zbyt wcześnie oderwano jego genialną rękę, zostały zamaskowane arrasami. Złożony papieski tron przeniesiono ostrożnie do głównej bawialni, a w mniejszej Sali Tajemnic Wiary ustawiono skromniejszy, tak aby papież mógł łatwo występować na przemian jako władarz chrześcijaństwa i troskliwy ojciec. Bez religijnych fresków, które mają dopiero znaleźć się na ścianach, najbardziej rzucającym się w oczy obrazem jest tu herb rodzinny Borgia: wznoszący się płomień, podwójna korona i byk, potężny i waleczny.

Ceremonia nie zaczyna się dobrze. Gdy wybija godzina, a Aleksander zasiada w pełnym majestacie, otoczony kardynałami i gotów do przyjęcia gości, otwierają się drzwi i wpada przez nie gromadka dam ze świty Lucrezii. Z emocji przedzierzgnięte ponownie w stado szpaków, fruną ku swoim miejscom, w których mają oczekiwać na pannę młodą, w takiej gorączce, że zapominają przyklęknąć wpierw u stóp papieża. Przez oblicze Burcharda przemyka wyraz najwyższej udręki; można odnieść wrażenie, że za moment padnie trupem, a jego ciało zostanie zawleczone do piekła przez zastęp diabłów. Później sam papież poczuje się w obowiązku rozgrzeszyć go z wszelkiej winy, ale nic nie pomoże: to nie uczucia papieża są zmartwieniem Burcharda, lecz obraza urzędu. Karą będzie dlań fakt, że w całym swoim wstydzie jednak przeżył incydent.

Jeśli chodzi o resztę – cóż, wszystko wygląda jak każdy inny ślub łączący dwa wielkie rody: pokaz prestiżu, wystawności, sentymentów i chęci użycia. Wielu z gości nigdy nie postawiło – i nigdy więcej nie postawi – stopy w prywatnych apartamentach papieża, toteż nie brakuje trącania się łokciami i ust otwartych w zdumieniu. Kiedy nie oceniają otoczenia, oceniają siebie nawzajem. Co znamienne, ostentacyjne wejście księcia Gandii, przyodzianego z niecodziennym fasonem domagającym się uwagi – jakby szkatule klejnotów zachciało się udawać ubranie – zostaje powitane z humorem. Przez kontrast naszyjnik pana młodego zdaje się świadczyć o dobrym guście i godności, a niemal namacalna czystość i bezbronność Lucrezii, która zbliża się, by uklęknąć obok niego na aksamitnej poduszce, z małą Murzynką jak migotliwy czarny chochlik tuż przy piętach, porusza struny wszystkich serc.

To nie jej wina, jeśli spojrzenia większości gości przykuwa nieodparcie jeszcze bardziej oszałamiająca młoda kobieta z burzą złotych włosów, po raz pierwszy zaprezentowana publicznie jako towarzysza papieża.

Cesare, w formalnej kościelnej szacie (inaczej niż brat, rozumie władzę płynącą z możliwości obserwowania, a nie bycia obserwowanym), stoi z boku, gdy przy krześle Giulii Farnese ustawia się coś na kształt kolejki. Choć nie ulega wątpliwości, że kiedy przyjdzie do opisywania tej sceny, pióra dyplomatów będą umoczone w truciźnie, teraz w ich oczach widać jednoznaczną aprobatę. Ach, jakże go zadziwia, że dorośli ludzie tak gorliwie przysysają się do sutka skandalu. A przecież im więcej plotkują, tym mniej uwagi zwracają na ważniejsze rzeczy. Na przykład na jego przyszłość. Rysują się takie plany, że niedługo wszyscy będą wychodzić z siebie, tyle że stanie się to wtedy, kiedy on tak postanowi, nie oni.

– Wasza Ekszelencjo. Witamy z powrotem. – Nie zdoła powstrzymać kilku co bystrzejszych ambasadorów od węszenia wokół siebie.

Alessandro Boccaccio z miasta-państwa Ferrary stoi, uśmiechając się doń promiennie. Twarz jak u ryby, nos jak u posokowca, stary wyjadacz, ale także człowiek z poważnie przeciekającą pocztą dyplomatyczną. „Nawet dziesięć papieństw nie zaspokoiliby tej hordy krewnych” – dokładnie w te słowa pisał do swojego księcia. Cesare już od dłuższego czasu wyczekiwał tego spotkania.

– Rzymowi brakowało waszego kunsztu w walce z bykami! Wszyscy modlimy się, by szata arcybiskupa nie przeszkodziła wam w ponownym wejściu na arenę.

– Na szczęście, *señor* Boccaccio, jestem tak zajęty sprawami Kościoła, że zabijanie byków nie stanowi już takiej atrakcji.

– Może dlatego, że tyle ich zostało wziętych w niebiosa – odpowiada ambasador i obaj śmieją się z jego dowcipnego nawiązania do zdobiących sklepienia byków z herbu Borgiów. Pod jednym z nich na paradnych krzesłach zasiadają nowożeńcy, otoczeni składającymi powinszowania, uśmiechający się i konwersujący z każdym, tylko nie ze sobą nawzajem. – Muszę rzec, że *donna* Lucrezia, wasza siostra, jest pełna blasku.

– Z całą pewnością.

– A wasz brat, książę Gandii... Cóż, zdołał olśnić nas wszystkich.

– Tak, istotnie wyjątkowo dobrze odbija dziś słońce.

– Z niego także będzie piękny pan młody. Wszyscy zastanawiamy się, kto zostanie szczęśliwą wybranką. Widzę, że hiszpański ambasador szeroko się uśmiecha. Oczywiście, ma co świętować. Powiadają, że statki Ich Królewskich Wysokości natknęły się na całkiem nowy świat. Gdybym był na miejscu ambasadora Portugalii, wielce martwiłby mnie ten uśmiech. – Ambasador Ferrary robi pauzę. Nie żeby czegoś w tym momencie oczekiwał; cieszy go rytm muzyki własnych słów. – Nie pragnęlibyście tego wszystkiego dla siebie, Ekszelencjo?

– Czego? Żeglowania?

– Miałem na myśli bardziej małżeństwo.

– Ach, jak wiecie, jestem poślubiony naszej Świętej Matce Kościołowi. Ona zaspokaja wszystkie moje pragnienia.

Oprócz tych, którymi zajmuje się pewna młoda kurtyzana zwana Fiammettą, zawodowa dama do towarzystwa prowadząca elegancki przybytek niedaleko Mostu Świętego Anioła. Cisza przedłuża się na tyle, że obaj mogą przywołać przed oczy jej przyjemny obraz.

– Wasz wuj dobrze się prezentuje w kardynalskiej szacie.

– Owszem. – Choć w rzeczywistości Juan Borgia Lanzo, nowy na stanowisku, lecz podeszły w latach, wcale nie wygląda dobrze.

– Mamy wielką nadzieję, że do Świętego Kolegium napłynie więcej świeżej krwi. Wy także bylibyście wyśmienitym kardynałem. Gdyby tylko wchodziło to w rachubę.

A, myśli Cesare, więc do tego zmierzało całe to sondowanie. Nawet teraz nikt nie ma tyle śmiałości, by poruszyć wprost tę kwestię: status bękarta dyskwalifikujący go, jeśli chodzi

o kapelusz kardynalski.

– Tak sądzicie? Myślę, że jestem już za stary. Wydaje się, że panuje teraz pęd do forowania coraz młodszej krwi. Jeśli dobrze słyszałem, syn waszego księcia, Ippolito d'Este, dopiero co obchodził piętnaste urodziny.

– Ach, ale to młodzieniec wyjątkowej cnoty i bystrości. Nie wyobrażacie sobie, jak bardzo pragnie służyć papieżowi. Rodzina d'Este urządza dziś w Ferrarze swoją własną uroczystość, tak silne są jej miłość i poparcie dla papieża.

– A Jego Świątobliwość jest ich w pełni świadom. Księżę następcę, Alfonso, przywiózł tego całą skrzynię, kiedy odwiedził moją siostrę. Lucrezia powiada, że to bardzo urodziwy mężczyzna.

– On zaś był olśniony jej skromnością i pięknem.

– Rozmawiali, jak ufam, po włosku? – pyta Cesare od niechcenia.

– Słucham?

– Niemilo byłoby mi pomyśleć, że moja siostra powitała go... po hiszpańsku.

– Po hiszpańsku? Nie, nie, dlaczego... – odpowiada ambasador, w widoczny sposób zmieszany.

– To dobrze. Tylko że... cóż, Boccaccio, wygląda na to, że krąży pewna uporczywa plotka. Rzekomo my, Borgiowie, skłaniamy się ku Hiszpanii i jesteśmy oblegani przez ziomków, którzy domagają się naszych łask. Niektórzy mówią nawet, że i „dziesięć papieństw nie zaspokoiliby tej hordy krewnych”. – Cesare bawi się ostatnim zdaniem, gestem dając do zrozumienia, że to cytat.

– Och! To rzeczywiście perfidne pomówienie!

Ambasadorzy, rzecz jasna, nie mają w zwyczaju się rumienić. Ich zawód wymaga znoszenia wszelkiej ujmy bez najmniejszej zmiany w wyrazie twarzy.

– Postaram się ze wszystkich sił osobiście dopilnować, by się to nie powtórzyło. – Boccaccio składa lekki, wytworny ukłon. – Jak zawsze, przyjemnie było spędzić czas w waszym towarzystwie, Ekszelencjo.

Ostatnie słowa są dla odmiany zupełnie zgodne z prawdą. Alessandro Boccaccio – trzeba mu to przyznać – jest na tyle dobry w swojej profesji, że wie, kiedy powinna mu się noga. Oddalając się, już bada w myślach łańcuch dowodzących i podkomendnych w poszukiwaniu słabego ogniwa w swoim systemie pocztowym – lub możliwości wykorzystania go. Tak czy inaczej, otrzymał dowód, że słusznie ocenił najstarszego syna papieża jako człowieka, z którym należy się liczyć.

Cesare przygląda mu się, gdy odchodzi. Myśli o Pedrze i własnej siatce wywiadowczej, zapoczątkowanej, by utrzymywać łączność między Rzymem i Pizą, a obecnie zasznurowanej jak szparka zakonnicy. Żaden człowiek w jego służbie nie otworzy nigdy ust ani sakwy. Nagrody są zbyt duże, a kary zbyt straszne. Ludzie wiedzą, do czego zdolny jest Michelotto w gniewie. Gniew. Cesare myśli o tym, jak Lucrezia opisała jego twarz. Gniew nie jest jednak właściwym słowem. Nie, Cesare wie, że siła Michelotta wypływa z ciemniejszego, zimniejszego źródła. Nawet gdy był jeszcze chłopcem – jednym z grupy hiszpańskich dzieci sprowadzonych, by działały jako bufor między młodym Borgią a resztą świata – to już w nim tkwiło: mieszanina bezwarunkowej lojalności, wrośniętej weń do szpiku hiszpańskich kości, i bardziej osobistego upodobania w przemocy. Zaczęło się od bójek, nosów rozbijanych za byle zniewagę (dziwne, jak wielu Włochów, patrząc na Hiszpanów, widzi w nich niegdysiejszych Żydów). W miarę jednak, jak rodzina rosła w siłę, walki stawały się coraz poważniejsze. Czasami Cesare stawał u jego boku. Częściej zostawiał go samego. Wiedział, że tylko jeden człowiek wziął nad Michelottem górę: mężczyzna z Perugii, który w odwecie za coś zasadził się na niego nocą, gdy Michelotto

wracał samotnie do domu, i dopadł jego młodzieńczej twarzy ze sztyletem. Rany, na które Michelotto nie chciał przyjąć żadnego balsamu, goiły się miesiącami. Cesare był obecny przy tym, jak podziękował później owemu mężczyźnie, podnosząc go i przebijając mieczem: „Ludzie będą mnie teraz lepiej zapamiętywać, zanim umrą, nie sądzicie, panie?”

To jedyny u Michelotta przejaw grzechu pychy: zbyt wiele satysfakcji z dobrze wykonanej roboty. I czy chodzi o sprawiedliwość, czy o zemstę, kiedy już się do niej zabierze, wszelkie miłosierdzie pryska jak pęknięte szkło. Choćby człowiek był przeświadczony o swojej lojalności i pewien, że znajduje się w łaskach, nigdy nie poczuje się do końca swobodnie, odwracając się plecami do Michelotta. A że tak często towarzyszy on swemu panu, coś z jego aury otacza i Cesarego.

Dziś jednak Cesare dotrzymał obietnicy danej Lucrezii i nigdzie nie widać zdeformowanego lica jego giermka. Zaszczyt trzymania przy nim straży przypadł w zamian Pedrowi Calderónowi, który ma to szczęście, że zapał do jazdy konnej nie wykoślawił mu jeszcze nóg i doskonale prezentuje się jako młody dworzanin, czekający na dziedzińcu albo w pokojach na tyłach, aż przyjdzie czas na eskortowanie pana do domu.

To zadanie oznacza pierwsze publiczne zaangażowanie Calderóna w służbę Cesarego Borgii, odkąd jego dwór przeniósł się do Rzymu – a w ciągu tego czasu jego pan jedynie rósł w jego oczach. Zdziwiał go, jak Cesare zdaje się zmieniać osobowość razem ze strojem, czy to łowczego, czy duchownego, atlety czy dworzanina, ledwo dając sobie czas na oddech pomiędzy jednym a drugim. Calderón już wie, że zrobiłby dla niego wszystko. Leżąc nocą w łóżku, wyobraża sobie, że nadejdzie chwila, w której Michelotta z jakiegoś powodu zabraknie u jego boku i nastąpi napaść – wówczas to on będzie mógł zatopić sztylet w sercu zamachowca, nawet jeśli pociągnie to za sobą jego własny zgon.

Uczta weselna po publicznej ceremonii odbywa się w wąskim gronie rodziny i gości specjalnych; nie dopuszczono nawet osobistych służących. Całą czeladź umieszczono w skromnym, nieudekorowanym pokoju opodal, gdzie czeka, otrzymawszy jadło i napitek. Trudno nie słyszeć, że na przyjęciu panuje dobry nastrój. Komnata rozbrzmiewa wybuchami śmiechu i okrzykami wyrażającymi zachwyty, gdy uprzywilejowani goście wręczają nowożeńcom podarunki. Potem przychodzi czas na muzykę i tańce, a w końcu fale tak oczywistej wesołości, że wszyscy zachodzą w głowę, co się takiego dzieje.

Wiadomość o tym wycieka szybko: okazuje się, że gdy służący wnieśli góry miodowych i marcepanowych łakoci, goście zaczęli się nimi obrzucać. A raczej mężczyźni poczęli rzucać nimi w kobiety. A raczej papież zaczął rzucać je w Giulię Farnese, celując w jej podolek, albo, jeszcze bardziej pomysłowo, za okrągłe wycięcie stanika. Wszyscy oczywiście poszli w jego ślady i rozpętał się radosny chaos. Kochanka papieża, powiadają służący, wielkodusznie sypała żartami. Nie mówiąc już o uwięzionych w odzieży słodyczach.

Pedro jednak wie, czyj podolek wybrałby na swój cel.

Choć był w ich domu z dziesięć razy, czuł zapach jej perfum, słyszał raz – był pewien – jej śmiech na schodach, nie widział jej na oczy aż do dzisiaj. Jako strażnik Cesarego znalazł się w ciżbie blisko trasy jej przejścia. Patrzył na młodą kobietę w dniu ślubu, o jaśniuteńkiej cerze uwydatnionej przez biały jedwab i mieniące się perły, doskonałej twarzyczce w kształcie serca, oczach świetlistych i lśniących podnieceniem. I tak pełną gracji. Z uniesioną wysoko głową sunęła długim korytarzem, jakby jej stopy nie dotykały ziemi, otoczona obłokiem jedwabiu. Oczywiście czekał na ten moment. Kto zakochał się w Cesarem, jest też na wpół zakochany w jego siostrze. Teraz, gdy zamknie oczy, nie widzi już nic innego.

Dostrzega ją jeszcze raz, gdy noc ma się już ku rankowi, a ona wychodzi z wielkiej sali wsparta na ramieniu brata, w towarzystwie ciotki i dwóch dam dworu. Męża ani widu, ani słyhu.

Zmęczona, z wypiekami na twarzy, okryta lekką pelerynką, wydaje się teraz niższa. Pedro stoi na baczność, gdy przechodzą. Cesare przechwytyje jego spojrzenie i skinieniem daje znak, by czekał. Ona, mocno przytulona do braterskiego ramienia, także podnosi wzrok. Pedro widzi szarozielone oczy i wypuczone jak u dziecka usteczka. Pojawia się na nich delikatny, nerwowy uśmiech, jakby skądś go znała, ale nie mogła sobie przypomnieć skąd, a potem Lucrezia odwraca się i znika.

Później Pedro i jeszcze jeden konny eskortują Cesarego z Watykanu, obok Zamku Świętego Anioła i przez most jego imienia, do domu Fiammetty. Poruszają się krętymi uliczkami, usianymi śmieciem – szkłem, kwiatami, podartymi chorągiewkami, z ludźmi śpiącymi w rynsztokach albo chwiejnie zdążającymi do domów. Rzym bawił się na własnym przyjęciu. Calderón siedzi na koniu wyprostowany, wypatrując jakiegokolwiek oznaki kłopotów, z jedną ręką na wodzach, a drugą na pochwie sztyletu. Może zdarzy się to teraz: jakiś w gorącej wodzie kąpany pomiot Orsinich czy Colonnów albo jeden z klientów Fiammetty, którzy stracili przystęp do jej łoża na rzecz nowego kochanka, wyłoni się z ciemności, a on dojrzy go pierwszy i rzuci się pomiędzy swego pana a ostrze miecza...

Dojeżdżają na miejsce bez żadnych wypadków. Wciąż jeszcze jest ciemno, gdy stają przed domem z niewielkim dziedzińcem. W oknie na piętrze pojawia się młoda kobieta, jakby dopiero co wstała od zwierciadła, z rudymi puklami połyskującymi w świetle pochodni, dodatkowo rozjarzonymi przez jaskrawą zieleń jej peniuaru. Czuwanie, gdy inni śpią, jest częścią jej zawodu, i jakkolwiek nie stanowi w żadnym razie jej jedyne talenty, należy do tych, które szczególnie odpowiadają Cesaremu. Kobieta unosi rękę w nieznacznym geście powitania, a on zeskakuje z siodła jednym pełnym wdzięku ruchem i kieruje się do środka, pozostawiając innym uwiązanie koni.

– I jak było, pędraku? – Pedro odwraca się, by ujrzeć wyłaniającego się z ciemności Michelotta. – Napatrzyłeś się na ciała i fatalaszki?

– By... Ha!... Nie spodziewałem się, że cię tu zastanę. Wystraszyłeś mnie.

– Naprawdę? Powinieneś być lepiej się rozejrzeć, wjeżdżając. Mogłem tu czekać ze sztyletem w zanadru. A wtedy, druhu... – Michelotto przyciąga go do siebie i wymierza mu lekki kuksaniec pod żebro – jakiż byłby z ciebie pożytek dla twojego pana?

Pedro się śmieje. Chciałby spytać, jak w pierwszym rzędzie jakikolwiek złoczyńca miałby dostać się tak blisko, gdyby nie zaprosiła go Fiammetta. Szkoda jednak na to energii. Połajanki ustana szybciej, jeśli Michelottowi pozwoli się wygrać. Zmiana warty wystarczająco wytrąciła go z równowagi.

– Patrzcie, patrzcie, co za dworzanin. Udało ci się chociaż powąchać korytko jakiej damy?

– Całe tuziny – odpowiada gładko. Nie widział nigdy Michelotta z kobietą, chociaż po izbach czeladzi krąży historyjki o dziewczętach, które od gładkiego lica wołał gruzły blizn.

– To by wyjaśniało i twoją woń. – Michelotto puszcza go i od niechcenia klepie po głowie. – Sprawileś się jak trzeba – mówi szorstko; komplement, jak zawsze w przybraniu uwłaczających uwag, wypada wątle. – Możesz już sobie stąd iść.

– Powiedziano mi, że mam zostać i odprowadzić jutro Jego Ekscelencję do domu.

– Taak, ale już jest jutro, a na miejscu jestem ja.

Przez chwilę mierzą się spojrzeniami, jakby było o co kruszyć kopie. Pedro skłania głowę.

– I uważaj na siebie. Na ulicach jest niebezpiecznie.

Po drugiej stronie miasta Lucrezia siedzi przy swoim łóżku. Naszywane perłami rękawy jej ślubnej sukni, teraz zdjętej i przerzuconej przez skrzynię, sterczą jak ramiona szmacianej

kukielki. Oczy ma zaszkłone ze zmęczenia, gdy służąca rozplątuje jej włosy, a potem, zamknawszy okiennice, by odeprzeć brzask, pomaga jej się położyć. Odmówiła już modlitwy, skrupulatnie uwzględniając w nich pomyślność swego świeżo poślubionego małżonka, z którym zamieniła może dwadzieścia czy trzydzieści słów – żadne z nich godne zapamiętania – i -którego twarz ledwo sobie przypomina spośród morza innych.

„Taki przystojny!”, mruzczała ciotka do jej ucha. A jednak gdy przenosiła wzrok z niego na Juana czy Cesarego, czy tuzin innych mężczyzn dookoła, wydawał się w porównaniu z nimi bladym szkicem. Przez całe czternaście lat swojego życia nie przebywała nigdy w towarzystwie aż tylu mężczyzn ani nie widziała, jak jej własna świetlista słodycz odbija się w ich oczach. Schlebiano jej, droczono się z nią i komplementowano ponad wszelką miarę. W odpowiedzi uśmiechała się i dygała, i śmiała się, i klaskała w dłonie, i tańczyła, i tańczyła, i jeszcze raz tańczyła. Bola ją nogi, ma poobcierane stopy i kręci jej się w głowie. To był najdłuższy i najbardziej ekscytujący dzień jej życia. A jednak teraz, z powrotem w swoim pokoju, nie bardzo to odczuwa.

„Będę czekać chwili, w której lepiej się zapoznamy jako mąż i żona”. Takie były jego ostatnie słowa; uprzejme, nienachalne, jakby dotyczyły terminu jakiegoś spotkania w interesach. Ujął jej dłonie i pocałował ją szybko w oba policzki. Wciąż czuje na skórze suche muśnięcie jego warg. Gdyby była trochę starsza albo bardziej doświadczona, może potrafiłaby zrozumieć jego nerwowość tak samo jak własną. Mąż i żona. Czy naprawdę tego czekał? A ona? I czy zasypiając dziś wieczór, jest Lucrezią Borgia, którą obudziła się rano, czy Lucrezią Sforzą, księżną Pesaro? Fakt jest taki, że jedna i druga są tą samą osobą. Lucrezia Sforza. Okazuje się, że nawet jej ustom trudno wymówić te dwa miana jednym tchem, tak się zderzają i potykają o siebie. Jakie to dziwne, że w ciągu jednego dnia tyle się zmieniło, a jednocześnie wszystko pozostało takie samo.

W głębi Watykanu papież Aleksander VI śpi już snem sprawiedliwego. Wydawszy za mąż ukochaną córkę, odesłał młodą kochankę do jej własnego łóżka, aby móc zakończyć ten akurat dzień, składając dziękczynienie i pozostając w jedności z inną umiłowaną niewiastą swojego życia. Dziewicza Matka Boża patrzy na niego z pałającego barwami portretu nad wielkim łóżem. Jeśli ma jakąś opinię na temat tego dnia, zachowuje ją dla siebie.

Na przeciwległym krańcu watykańskiego pałacu, w zapełnionej księgami kancelarii, Johannes Burchard, mistrz ceremonii, z twarzą zastygłąomalże w *rigor mortis*, zanurza pióro w kałamarzu i zapisuje każdy detal.



Rozdział 12



– To ważne, Juanie.

– Wiem, wiem, *papà*. Już to słyszałem. Cesare przez pół wczorajszego dnia prawił mi kazania, jak gdyby sam wiedział cokolwiek o małżeństwie i właściwym zachowaniu. Traktuje mnie jak... jak półgłówka.

Jest wczesny ranek; letnie słońce wdziera się przez otwarte okna i stawia w Sali Tajemnic filary złotego światła. Malowidła na ścianach są nadal niedokończone, ale posadzka mieni się nowiutkimi płytkami – emblematy Borgiów w otoczeniu intensywnych hiszpańskich błękitów – tak sprytnie ułożonymi w geometryczne wzory, że zdają się poruszać i unosić pod stopami. Gość, którego wzrok przykuje ta posadzka, a uszy wypełni hiszpański dialekt, może pomyśleć, że wstąpił w progi jakiegoś mauretańskiego albo bizantyjskiego pałacu, a nie siedziby biskupa Rzymu.

– Jestem pewien, że to nieprawda. Jest twoim bratem i jesteś mu tak samo drogi jak mnie. Ale Hiszpania to nie Rzym. Nie możesz żyć tam tak jak tutaj. Tamtejsi nie mają pobłażania dla cudzoziemców, którzy lekce sobie ważą ich kulturę.

– Ale... przecież jesteście Hiszpanami. Zawsze nam to powtarzasz.

– Może z krwi. Ty jednak urodziłeś się w Italii, zostałeś wychowany na włoską modłę i jeśli nie będziesz czujny, zwiedzie cię to na manowce. W istocie jedziesz tam nie tylko jako małżonek, nie tylko jako Borgia, lecz jako ambasador samego papieżstwa.

– Och, dowiedzą się o tym dostatecznie prędko. – Juan szczerzy się w uśmiechu. – Będzie się o nas mówić w całym kraju, zanim jeszcze dojedziemy do Barcelony na ślub.

– Owszem, ale mówi się w taki sposób albo w inny. A to, co imponuje tutaj, nie zawsze imponuje tam.

– Co? Chcesz, żebym żył jak nędzarz?

– Niewielka na to szansa! – odpowiada ostro Aleksander, nie powstrzymując się od okazania irytacji. – Już cztery statki załadowane po burty czekają w Civitavecchia. I założę się, że wykupiłeś większość klejnotów w Rzymie.

Juan pochmurnieje.

– To złośliwy język Cesarego.

– Nie. To języki wszystkich.

– Jestem księciem Gandii, ojcze – perswaduje. – Sam mi mówiłeś, że mam w Walencji cały pałac do zapełnienia. I sam wybierałeś podarki dla mojej żony.

– I jestem pewien, że będzie zachwycona każdym z nich. Uważaj tylko na to, jak je będziesz wręczał. Twoja nowa rodzina nie przykłaśnie ostentacji tak jak rzymianie.

– Pfff. – Gniewny grymas przechodzi w dąs. Urodziwy młodzian zawsze kiepsko przyjmował krytykę. Ale też nie spadała na niego zbyt często, zwłaszcza ze strony ojca. – Myślałem, że Hiszpania jest teraz zainteresowana bogactwem. Wszyscy mówią, że niedługo będzie używać złota jako balastu dla swoich karaweli.

– Tak, kraj będzie bogaty. Potrwa jednak, zanim przeniknie to do jego duszy.

W Hiszpanii nie przyjęło się odrodzenie sztuki i nauki tak jak w innych państwach. Nie mają tam

upodobania do... cóż, do tego, co postrzegają jako pustotę. Dla nich na świecie liczy się jedynie Bóg i zjednoczone królestwo, a zarówno Bóg, jak i monarchia mają tam znacznie surowsze zasady, niż przywykłeś. Przekonasz się, że dwór jak najzbożniej przestrzega reguł religii. Powinieneś codziennie chodzić do kościoła, bez żadnych wyjątków. Musisz wyrzec się kości i wszelkiego hazardu. A co się tyczy twojej żony, konieczne będą szacunek i dyskrecja. Wyrażę się najjaśniej, jak się da, Juanie. Nie ma mowy o wycieraniu ulic i kałaniu małżeńskiego łoża.

Młodzieniec wydaje cichy jęk, osuwając się na krzesło i zdejmując sobie jakiś kłaczek z rękawa.

– Chyba wolałbym zostać w domu i poślubić narzeczoną Jofrégo. Z nią miałbym, zdaje się, więcej uciechy.

Teraz papież się śmieje. Bo mimo wszystkich wad uwielbia tego młodego człowieka, tak dziarskiego, tak hożego, który tak łaknie życia i kobiet – a one jego...

– Słyszałem, że pouczyła swojego pełnomocnika, jak zachowywać się na zaręczynach. – Juan uśmiecha się od ucha do ucha, korzystając z okazji do zmiany toru rozmowy i zakończenia wykładu.

Wspomnienie przyprawia ich obu o atak śmiechu. W powietrzu wisiała już ślubna gorączka, gdy król Neapolu zawarł pokój z papieżem i negocjacje w sprawie małżeństwa Jofrégo doszły do etapu zaręczyn. Ceremonie takie są nieodmiennie sztywnymi obrządkami, których uczestnicy – zastępcy narzeczonych – zachowują się bardziej jak kanceliści niż jak kochankowie. Jednakże ta z udziałem Jofrégo, tak młodziutkiego – miał jedenaście lat i było to pierwsze jego oficjalne wystąpienie – od początku miała w sobie coś z krotochwili. Kiedy więc młody szlachcic z Neapolu, który występował w roli oblubienicy, trzepocząc rzęsami i rzucając kokietyjne spojrzenia zza mantylki, podniesionym do falsetu głosem wypowiedział owo wiekopomne „tak”, całe towarzystwo zgięło się wpół ze śmiechu.

– Gdyby miał na sobie suknię, sam bym mu się oświadczył.

– I to, mój synu, jest dokładnie taki rodzaj konwersacji, jaki nie będzie dobrze widziany w Hiszpanii – odzywa się Aleksander z surowością w głosie, choć już nie w sercu. – Nie mówię ci tego ot tak, żeby posłuchać własnego głosu. Sancia d’Aragon jako nieślubna latorośl neapolitańskiego rodu jest partią dość dobrą, jeśli chodzi o sojusz polityczny, ale nie dla dynastii królewskiej. Przyszłość rodziny spoczywa na twoich barkach, Juanie. To warte odrobiny rycerskości w sprawach łoża. Co zaś do samego kraju – wystarczy, że otworzysz oczy i poczujesz słońce na skórze, a szybko pojmiesz jego piękno. Chodź tutaj. Zostało nam niewiele czasu. Nie zmarnujmy go na utarczki.

Papież i jego młodszy syn biorą się w objęcia. W ostatnich miesiącach Juan przerósł ojca. Stara się jak może: zarzucił swe tureckie przebranie i twarz ma gładko wygoloną, chociaż jego wciąż tyczkowata sylwetka nosi ślady młodzieńczej niezgrabności. Mimo że Aleksandrowi pęka serce na myśl o rozstaniu, nawet odurzony miłością ojciec wie, że wino w beczce jest zbyt młode. Hiszpania i dyktat surowszego dworu pomogą Juanowi dojrzeć i chłopiec, którego teraz wysyła, powróci jako mężczyzna.

Kiedy dwa dni później wypowiadają ostatnie słowa pożegnania i Juan odjeżdża na czele swojego oddziału, mijając pałac watykański i Bazylikę Świętego Piotra, zgromadzony tłum jest mniejszy, niżby mu się podobało, lecz wystarczająco pełen uznania dla kolejnego Borgiowskiego przedstawienia. Jego chłopięca uroda wznieca gwizdy i okrzyki na równi wśród kobiet i mężczyzn, a on bawi się z publicznością, każąc paziom rozrzucać kwiaty i przysyłać całusy. Papież stoi na balkonie i patrzy, ze łzami bezwstydnie ciekącymi po twarzy. To żadna zbrodnia kochać swoje dzieci. Ani mieć ulubionego syna. Przez całe siedemnaście lat życia Juan ani razu nie był z dala od domu. Aleksandra zdejmuje nagły lęk. W świecie czyha tyle niebezpieczeństw.

Podróż do Hiszpanii nie jest może wyprawą na koniec świata, ale to długa droga, i kto wie, kiedy – i czy w ogóle – Juan wróci do Rzymu?

Gdy tylko pochód znika mu z oczu, wraca do swojej komnaty. Wyglądając na zewnątrz, na ogrody i rzędy drzewek pomarańczowych – przypominają mu Hiszpanię, jemu, który przez pół życia nie widział ojczystej ziemi – pisze list, by goniec na rączym koniu zdążył jeszcze złapać adresata w porcie Civitavecchia.

Najdroższy synu,

piszę te słowa, aby pozostały z Tobą na zawsze i abyś mógł je czytać, ilekroć będziesz potrzebował. Kilka ostatnich rad, a z nimi para nowych rękawiczek z koźlącej skóry, które powinieneś nosić stale, by chronić dłonie przed słońcem i słońą bryzą – jak wiesz, Hiszpanie nade wszystko cenią białe dłonie...

Wszystko, co pisze, mówił już przedtem. Mimo to myśl, że list znajdzie drogę do serca ukochanego syna, nawet jeśli jego głos zamrze już w oddali, przynosi pewną ulgę w bólu rozstania.

Tymczasem w małżeństwie Lucrezii i Giovanniego nic nie układa się dobrze.

Nie chodzi o brak chęci czy starań z jej strony – ani nawet z jego. Od ceremonii księżę Pesaro niemal co dzień przychodził sumiennie ze swojej tymczasowej rezydencji do pałacu Santa Maria in Portico tuż obok pałacu watykańskiego, by odwiedzić żonę. Jedli wspólnie posiłki, grali w różne gry, nawet czasem przyjmowali gości. Ich rozmowy obfitowały w tematy: jego dom w Pesaro, jego książęcy kuzyn, jej rodzina, książki, historie, wszelkie mody i upodobania. Uśmiechała się i śmiała z tego, co mówił – w większości nie tak znów zabawnego, on zaś komplementował każdy nowy strój, który miała na sobie – a było ich mnóstwo.

Może gdyby były to bardziej tradycyjne zaloty, gdyby ślub dopiero miał się odbyć, wszystko to przyniosłoby owoce, stopniowe przejście od skrępowania do przebłysków przyjemności, do obietnicy czegoś więcej, czegoś bardziej... bardziej fizycznego. Albo też gdyby istniał między nimi magnetyzm na tyle silny, że czyniłby przestrzeganie reguł tak samo upajającym jak ich łamanie...

Nic takiego jednak, niestety, nie ma miejsca. Mimo niekonwencjonalnego dzieciństwa Lucrezia, jako jedyna córka, dorastała wypieszczona i wychuchana, a jej niewinność jak stan łaski chroniono tak długo, jak tylko się dało. Jakkolwiek widziała wystarczająco dużo świadectw potęgi kobiecej seksualności, sama znajduje się wciąż na etapie, na którym przymierzanie ubrań jest bardziej ekscytujące niż ich zdejmowanie. Sam na sam z mężczyzną nie ma pojęcia, jak go zachęcić, nawet gdyby przyszło jej do głowy, że to jej rola. Nie. Zakłada, że wystarczy sam fakt jej obecności. Nie jest to założenie oparte na arogancji. Bynajmniej – odczuwa podskórne podenerwowanie, choć nie wie dokładnie czym.

Są oczywiście mężczyźni, na których taki poziom niewinności działa uwodzicielsko, jak afrodyzjak. Juan na przykład słynie ze sprawności w wywabianiu dziewiczego ciała z fortocy odzienia. Giovanni niestety nie należy do takich mężczyzn. Jako potomek z nieprawego łoża, z ojcem, który przeważnie go ignorował, i krewnymi, którzy zauważają jego istnienie tylko wtedy, gdy czegoś odeń chcą, ma w sobie równie niewiele z urodzonego rozpustnika, co ona z urodzonej kokietki. Jak wielu mężczyzn z wyższych sfer został wprowadzony w sprawy ciała przez kobiety znające się na rzeczy zawodowo. Jego pierwsze małżeństwo zaowocowało wczesną ciążą, podczas której żona cierpiała na nieustanne mdłości, tak że trudno jej było okazywać mu jakiegokolwiek względy dłużej niż przez parę minut, po jej śmierci zaś – którą odczuł boleśniej, niż chciałby to przyznawać – stracił zapał do podbojów i częściej znajdował ukojenie we własnym towarzystwie.

Postawiony twarzą w twarz z tą słodką, radosną dziewczuszką, jej pulchnym podbródkiem,

niezliczonymi drogimi toaletami i barbarzyńsko potężną rodziną, poczuł się zbyt... zbyt zmęczony, by sprostać wyzwaniu.

Były rzecz jasna pewne momenty... – zanim w Rzymie zrobiło się upalnie, a jego długi zaczęły się piętrzyć (bez skonsumowania małżeństwa nie było i posagu). Przypadkowe muśnięcie ciał przy stole albo nad książką czy uścisk w tańcu, w którym jej miękkość spotykała się z jego siłą, a jej zdyszany śmieszek sprawiał, że czuł się nagle pełen męskiej mocy; jedno szczególnie popołudnie, kiedy pochyliła się nad szachownicą, by przesunąć swoją królową, z jęczyciem przygryzionym między przednimi zębami w nieświadomym, uroczym odruchu towarzyszącym namysłowi, niepomna na uwidocznione w tym pochyleniu półksiężycy swoich piersi, a on uczył impuls, by wysunąć rękę, ująć jej głowę i przyciągnąć ją do własnej. Jego wargi napotkały te same ostre ząbki jak opuszczoną kratownicę. Niewykluczone, że podniosłaby się, gdyby natarł nieco mocniej. Niestety, tę właśnie chwilę wybrała Adriana, by wkroczyć do komnaty. Odskoczyli od siebie, jakby ich kto podpalił. Trudno było winić Adrianę. Jej rolą było dawać im wystarczająco dużo prywatności, by mogli się poznać, a jednocześnie strzec niezbędnej czystości krewniczki do momentu, w którym sam papież uzna, że sprawy mogą pójść dalej. Tego popołudnia nawet ich nie pilnowała. Jednakże możliwość, że tak było, uderza ich oboje. A lepsza okazja już się nie trafia.

W końcu Giovanni zaczyna czuć się tam jak na terytorium wroga. Jest to ostatecznie również dom najbardziej pożądanego kobiety w Rzymie, która – tak się składa – należy do ojca jego żony. Jakkolwiek miła i uprzejma byłaby sama Giulia, jej obecność stanowi ciągle przypomnienie o szeroko rozumianej potencji jego nowego teścia. W dniach, w których Aleksander ją odwiedza albo ona zostaje wezwana do niego, jej pokój pozostaje zamknięty do późnego popołudnia, aż wreszcie Giulia wyłania się z jego podwojów i spływa po schodach do bawialni, promieniując aurą głębokiej satysfakcji, ale także całą sobą dając jasny komunikat: *noli me tangere*[3]. Adriana jest na każde jej skinienie, podobnie jak wszystkie służące, nie wspominając o niańkach, które chichocząc i pokrzykując, podążają za malutką Laurą raczkującą po całym domu i podbijającą świat lepką słodyczą ubóstwianego pierworodnego dziecka. Santa Maria in Portico to pałac spódniczek i są chwile, w których Giovanniego niemal dławi masa szeleszczących jedwabów i zapach kobiecego mleka.

Jedynym wytchnieniem bywają odwiedziny Cesarego, kiedy to jak pod wpływem magii zmienia się zachowanie wszystkich: Adriana uderza w fałszywe tony, Giulia jakby gaśnie, niemal gniewna, Lucrezia zaś rozbłyskuje niczym lampka oliwna w podmuchach jego dowcipu i uwagi. Giovanni – pomijając powtarzające się wzmianki o wspaniałości jego ślubnej biżuterii – pozostaje niezauważany.

Pod koniec sierpnia sprawy osiągają cichy kryzys. W przytłaczającym upale Lucrezię nuży spędzanie tylu godzin na przygotowywaniu toalet, które zdają się wywierać tak znikome wrażenie, a Giovanni zmaga się z nieuregulowanymi wydatkami związanymi ze ślubem i z rosnącymi kosztami utrzymywania drugiego domu w Rzymie bez żadnych widoków na ulgę. Audiencja u papieża, podczas której prosi o pięć tysięcy dukatów na przetrwanie, nie przyczynia się do poprawy jego samopoczucia. Aleksander, zajęty wyprawianiem Jua-na za morze z flotyllą statków wyładowanych bogactwami, dawno już zapomniał, jak to jest cierpieć na brak pieniędzy, i rozmowa na takie tematy przyprawia go o niejasny dyskomfort. Kwestia pozostaje zawieszona. Gdy wreszcie zaczyna kęsać nieunikniona letnia febra i Giovanni oznajmia, że wraca do domu, by zatroszczyć się o swój lud, nikt nie robi wiele, by go zatrzymać.

Gdy tylko staje za murami miasta i wciąga w płuca powietrze, stwierdza, że dużo łatwiej nim oddychać.

Lucrezia spędza kilka dni osowiała, by wkrótce odkryć, że życie jest daleko bardziej

zajmujące w towarzystwie ponownie przy niej zgromadzonych kobiet. Bawi się z uroczą przyrodnią siostrzyczką i zaczyna znów przyjmować gości oraz petentów papieża, mężczyzn, których pochlebstwa wydają się tak świeże, jakby tegoż ranka ukuł je bystry nadworny poeta. Lecz choć znów się śmieje i czuje, że żyje, gnębi ją przykrość, jakby została poddana próbie i okazała się wybrakowana. Spędza sporo czasu w kaplicy, prosząc o pomoc Najświętszą Panią, jak również święte Brygidę i Perpetuę, które jako niewiasty zamężne powinny rozumieć udręki ziemskiej miłości. Rada, którą otrzymuje, jest taka sama, jakiej już sobie udzieliła: teraz, gdy nie jest już dzieckiem, musi być gotowa do wzięcia na siebie obowiązków kobiety. A w takim razie to może jej wina, że zdaje się nie pociągać męża.

– Co zrobiłam nie tak? – pyta w końcu Giulie kilka tygodni po jego wyjeździe, w szczególnie gorący dzień, gdy obie siedzą pod loggią w nadziei na najłżejszy bodaj powiew chłodu.

– Och, to nie twoja wina, Lucrezio. To całkiem miły człowiek, ale boi się własnego cienia. Żadna kobieta nie skłoni mężczyzny do miłości, jeśli on nie ma na nią apetytu.

– Co masz na myśli?

Giulia wzdycha.

– To... to jak ogień w środku. Widać go w oczach. W niektórych mężczyznach buzuje tak mocno, że wydaje się, iż trzeba go karmić bez ustanku. Czasami myślę, że prawie nie ma znaczenia, kim jest kobieta. U innych... cóż, u innych płomień wymaga pewnego podsycania.

Lucrezia wpatruje się w nią intensywnie. Myśli o Cesarem, następnie o Juanie, i o energii, która z nich emanuje. A może to właśnie ten żar? Potem zaś myśli o ojcu. Którym jest rodzajem mężczyzny? Zadaje sobie to pytanie, ale jednocześnie nie chce znać odpowiedzi.

– A Giovanni? Jaki ogień widzisz w jego oczach?

Giulia przez chwilę milczy, próbując sformułować myśli.

– Wydaje mi się, że Giovanni może być typem człowieka, który boi się spłonąć. Ale to niemądre wyobrażenia. A tobie nie wolno się zamartwiać. Nie masz się o co winić.

– Co w takim razie z nami będzie? – Mimo że dzieli je tylko kilka lat, Giulia wydaje się o wiele starsza. Czy ona sama kiedykolwiek tak zmądrzeje?

Giulia wzrusza ramionami.

– Albo on zbierze się na odwagę, albo ty poznasz kogoś innego.

Ale przecież jesteśmy małżeństwem, myśli Lucrezia. Jak może być ktoś inny?

– Czy tak było z tobą i z Orsinem? – pyta, bo kiedy to wszystko się rozgrywało, była zbyt młoda, a teraz, gdy sama jest już mężatką, czuje, że ma prawo.

– Nie, nie całkiem. – Giulia śmieje się z pewnym zakłopotaniem. – Twój ojciec... Twój ojciec i cała wasza rodzina... wszyscy potrafią jakimś sposobem sprawić, że rzeczy układają się tak, jak oni chcą, a nie jak się same dzieją. – I znów się śmieje.

– Dziwne. Cesare zawsze mówi, że my, Borgiowie, mamy więcej wrogów niż przyjaciół.

– Może wśród mężczyzn. Ale nie wśród kobiet.

– Rozumiem – odpowiada Lucrezia, choć tak naprawdę nie rozumie. – Lubiałas go? Znaczący, swojego męża? Nie odwiedzałaś go od wieków.

– Jest... był... – Giulia przerywa, jak gdyby potrzebowała jeszcze rozważyć pytanie. – Nie było nam dane spędzić razem zbyt wiele czasu.

– Brzmisz, jakby cię to smuciło.

– Och, nie ma sensu smucić się czymś, czego nie można mieć – mówi Giulia cicho.

Wyraz zagubienia malujący się na jej twarzy świadczy jednak, że jest to nie tyle odpowiedź, ile odbicie problemu, jaki sprawiło jej pytanie. Lucrezia przygląda jej się przez chwilę, po czym nachyla się i obejmuje ją. Może w ostatecznym rozrachunku Giulia wcale nie

jest taka mądra.

Aleksander ma ręce zbyt pełne bieżących trosk, by od razu zauważyć strapienie córki. Wyprawiwszy bezpiecznie Juana, musi teraz zająć się Cesarem. Zarządzanie przeszłością najstarszego syna to delikatne przedsięwzięcie, biorąc pod uwagę ograniczenia płynące ze sprzecznych faktów. Święte Kolegium Kardynałów jest ostoją zwolenników buntu przeciw papieżowi. Żeby być skutecznym, papież musi kontrolować je poprzez własne mianowania. Jeśli jego syn ma zająć wyżej w hierarchii, musi dołączyć do jego szeregów. Jednakże prawo kościelne jest prawem kościelnym. Żaden bękart nie może zostać kardynałem. A Cesare Borgia, jak wszyscy wiedzą, jest bękartem raczej bezspornie.

Prawnicy zaprzęgnięci przez Aleksandra do tego zadania pracowali nad sprawą miesiącami, badając skrupulatnie ciemne zaułki prawa kanonicznego i spoglądając na problem pod każdym możliwym kątem. Rozwiązanie, które w końcu się objawia, stanowi jakieś wyjście, lecz nie zadowala nikogo, zwłaszcza samego Cesarego.

– Domenico da Rignano?! Ledwo go pamiętam. Czy kiedykolwiek odegrał jakąś rolę?

– Jego rola, jak dobrze wiesz, polegała na tym, że był mężem twojej matki, kiedy ty się urodziłaś. Nie satysfakcjonuje mnie to ani odrobinę bardziej niż ciebie. Jeśli jednak masz kiedyś zostać papieżem, musisz najpierw zostać kardynałem, a żeby zostać kardynałem, musisz być dziecięciem z prawego łóża. Wszystko jest już zatwierdzone. Papieska bulla, którą wydamy, stanowi, że Domenico da Rignano jest twoim prawowitym ojcem, a zatem jesteś godzien, by piastować miejsce w Świętym Kolegium.

– Jednocześnie stając się z Borgii pośmiewiskiem Rzymu.

– Jesteś nadal moim synem. Każdy o tym wie. Chodzi tylko o literę prawa. Druga bulla, datowana dzień po pierwszej i unieważniająca ją, będzie określała twoje prawdziwe pochodzenie czarno na białym.

– Ale ta pozostanie nieogłoszona. Nikt jej nie przeczyta.

– Oczywiście. Aby pierwsza była skuteczna, druga musi pozostać tajemnicą. Cesare, przez ostatnie miesiące znosiłem wystarczająco dużo humorów i nieopanowania twojego młodszego brata. Od ciebie potrzebuję – nie, oczekuję – czegoś lepszego.

Cesare spuszcza oczy i patrzy w podłogę. Stoi tak nieruchomo, że wygląda jak skamieniały, powietrze wokół niego zdaje się jednak wibrować od napięcia. Nawet jego ojciec wie, że lepiej nie przerywać tego milczenia.

– Masz rację – odzywa się w końcu Cesare, podnosząc wzrok. – Nie ma innego wyjścia. – Bierze ze stołu listę nazwisk. – Wiesz, że kardynałowie podniosą sprzeciw. Będą widzieć w tym próbę obsadzenia Kolegium cudzoziemcami i twoimi poplecznikami.

– Oczywiście. Sądzisz, że nigdy wcześniej się to nie zdarzyło? Każdy papież tak postępuje, z tą tylko różnicą, że nie każdy papież jest cudzoziemcem. Nie wybierałem jednak pochopnie. Hiszpanie znajdujący się na tej liście to zaci ludzie z wyśmienitymi rodowodami.

– Brat Giulii, Alessandro Farnese?

– To dobry duchowny.

– Wiesz, jak go będą nazywać?

– Tak, tak, wiem; przezwisko już istnieje: kardynał spod kiec-ki. Ale ci, którzy je wymyślili, to głupcy. Farnese nie jest marionetką i Giulia, moja... jego siostra, nie ma tu nic do rzeczy.

– A Ippolito d'Este z Ferrary, piętnastolatek?

Aleksander unosi ręce, markując poddanie. Cóż mi innego pozostaje? – mówi gest.

Czasami trzeba brać to, co dają.

– Jesteś pewien, że potrafisz sprawić, by to wszystko się udało, ojczec?

Nawet jeśli jego synowie preferują walkę na pięści, nie ma nic, co cieszyłoby Rodriga Borgię bardziej niż wysokiej klasy awantura polityczna.

Przed pierwszym posiedzeniem Świętego Kolegium Kardynałów urywa się bezprzykładna lawina usprawiedliwień od tych, którzy nie mogli się stawić. Podczas gdy kilku ma istotne powody – młody de' Medici na przykład został wezwany do Florencji, gdzie pozycja jego brata zaczyna się chwiać – innych powaliła letnia febra w tak wielkiej liczbie, że zda się, jakby w tym roku Bóg postanowił zesłać ją jedynie na kardynałów. „Choroba” nie przeszkadza wszakże kardynałowi della Rovere przed osunięciem się na łożę boleści wyrzucić z siebie steku zjadliwych uwag na temat zepsucia.

Aleksander nie podupada na zdrowiu w najmniejszym stopniu. Niesłabnąca jest też jego furia. W ciągu dwóch tygodni dzielących owo posiedzenie od następnego jasno komunikuje swoje stanowisko każdemu duchownemu i dyplomacie, który znajdzie się w pobliżu. „Na tej liście są ludzie, którzy poświęcili życie dla dobra i zbożności Kościoła. Są reformatorzy, święci mężowie i wielcy teolodzy z całej Europy. Doprowadzę do ich przyjęcia – każdego z osobna – albo klnę się, że do Bożego Narodzenia powstanie następna lista, jeszcze dłuższa. Otaczają nas wrogowie. Nie tylko z różnych stron Italii, ale zewsząd. Jeśli się nie zjednoczymy, będziemy niczym. Jestem papieżem i dopóki ktoś inny nie zasiądzie na tym tronie, zamierzam mieć posłuch”.

Gdy Kolegium zbiera się ponownie, sala jest znacząco bardziej wypełniona niż poprzednio. W posiedzeniu uczestniczy dwudziestu jeden kardynałów. Atmosfera podczas liczenia głosów jest napięta. Wynik balansuje na granicy: jedenaście do dziesięciu – na tak. Nie jest to chwalebne zwycięstwo, jakiego mógłby sobie życzyć Aleksander, niemniej jednak jest wystarczające. Umieściwszy w grupie następną trzynastkę swoich kardynałów, przejął kontrolę nad Świętym Kolegium. Szczególnie zaś liczy się fakt, że nowo mianowany młody kardynał Walencji będzie jego oczami, uszami i głosem.

Wieczorem spożywają razem kolację we wspaniałym otoczeniu nowych apartamentów. W modlitwie przed jedzeniem Aleksander składa Bogu dziękczynienie za dary, które wkrótce otrzymają. W toaście wysławia to, co już ma: córkę wydaną za mąż w Mediolanie, syna zaręczonego w Neapolu, przyczółek w Hiszpanii dzięki prawdziwie królewskiej małżonce i – siedzącego naprzeciw – dziewiętnastoletniego kardynała z olśniewającymi perspektywami.

Później, opuszczając kolana na wyściełany klęcznik przy łóżku, by móc dziękować dalej Marii, świętej Matce Bożej, orientuje się, że nie może przestać się uśmiechać. Ach, ta pycha. Bywa, że trudno mu nawet upraszać przebaczenia za ten grzech. Ale ona, w której miłość i opiekę nigdy, nawet w najmroczniejszych chwilach życia nie wątpił, na pewno zrozumie.

Jak najlepsi politycy, Aleksander ma oczy z tyłu głowy, nawet gdy sprawy układają się dobrze, wyczulony na wszystko, czego nie miał ujrzeć. W ostatnich dniach przed drugim głosowaniem Świętego Kolegium Rzym obiegały plotki, a zagraniczni dyplomaci kursowali tam i z powrotem, ustawiając swoich kardynałów zgodnie z kierunkiem interesów swoich państw. W szczególności kardynał della Rovere, jakkolwiek zbyt niezdrów, by pojawić się na posiedzeniu, miał się na tyle dobrze, by odbywać inne spotkania na wysokim szczeblu i przyjąć szereg wizyt francuskiego ambasadora.

Nikt nie ma złudzeń na temat przedmiotu ich rozmów, a już na pewno nie Aleksander. Della Rovere, który popierał Neapol, dopóki Mediolan popierał papieża, zaczyna wietrzyć znaczącą korzyść w zmianie stron. Siły opozycji się przegrupowują, czyniąc sojuszników z dawnych wrogów i wrogów z dawnych sojuszników. Przez usta ludzi zaś zaczyna się przewijać fraza „obca inwazja”.

Aleksander jest przygotowany na wszystko – cokolwiek nadejdzie.

Nie musi czekać długo.



CZEŚĆ III

Inwazja

Może i nie jestem Włochem, lecz miłuję Italię i nie dopuszczę do tego, by wpadła w obce ręce.

papież Aleksander VI, listopad 1494

Słysząc tylko płacz i narzekanie. Nigdy za ludzkiej pamięci Kościół nie znajdował się w tak rozpaczliwym położeniu.

ambasador Mantui w Watykanie, rok 1495



Rozdział 13



W wielkim neapolitańskim zamku nad zatoką otwierającą się hen na Morze Tyrreńskie król Ferrante z dynastii aragońskiej wybiera najzimniejszy dzień roku, by odejść z tego świata.

Niedomaga już od dłuższego czasu. Brzuch ma wyduęty od czegoś, co nie jest jedzeniem i co tak ciśnie mu na jelita, że próbując to z siebie wypchnąć, spędza w wygodce więcej czasu, niż może sobie na to pozwolić jakikolwiek władca. Im mniej wydała, tym więcej pojawia się krwi. Jego medycy, badając małe, czarne, matowe bobki, zapewniają go, że cokolwiek mu dolega, już się przełamuje i opuszcza jego organizm dzięki ich specyfikom. Kiedy jego tułów od pasa w dół zaczyna szarpać ból, wahają się, sprzeczą i lawirują. Gdyby miał więcej energii, zapewne kazałby ich powiesić za zdradę – bo widzi ją wszędzie, nawet w zwykłych pomyłkach – ale jest teraz zbyt zajęty patrzeniem śmierci w twarz. Nie po raz pierwszy. Jako młody władca przeżył zamach uzbrojonego w nóż zabójcy i udało mu się zachować tron pośród zamętu i rebelii. Przez całe życie stawiał na rządy twardej ręki. Ci, którzy ośmielili się przeciw niemu zbuntować, umierali w męczarniach; ci, którzy pozostali lojalni, byli wystawieni na jego podejrzenia i kapryśne okrucieństwo. Jeśli jego dwór stał się miejscem spod ciemnej gwiazdy, to dlatego, że moralna dwuznaczność monarchy wsączała się w postawy tych, którzy musieli tańczyć, jak im zagrał. Dziejopisowie mogliby rzec, że dynastia aragońska, hiszpańska z pochodzenia, uległa włoskiej dekadencji i zasługuje na wszystko, co może nastąpić po śmierci takiego człowieka.

Burchard, gdy dociera doń wiadomość, kwituje ją nieoczekiwanie poetycko: „Król Neapolu skonał bez światła, bez krzyża, bez Boga”.

Posłaniec zastaje Aleksandra w prywatnych apartamentach, gdzie podejmuje gości kolacją. Pozbywa się ich jak najszybciej. Jest już za późno, by mógł zatroszczyć się o stan duszy króla Ferrante, ale kryzys, który pociąga za sobą jego zgon, jak najbardziej należy do papieskich zmartwień. W ciągu tygodnia Watykan zmieni się w szalone rojowisko dyplomatów i szpiegów, lecz teraz, przez kilka godzin, Aleksander ma szansę pozostać sam ze swoimi przemyśleniami. To jeden z największych luksusów, na jakie papież może sobie pozwolić.

– Nie chcę, by ktokolwiek mi przeszkadzał, chyba że go wezwę, zrozumiałeś?

Młody służący krąży cicho po komnacie sypialnej, napełniając dzban winem, dokładając drewna do ognia i okrywając plecy swego pana zimową narzutką podbitą sobolami, by nie dać przystępu nocnym przeciagom, po czym klęka, całuje stopy papieża i tyłem wycofuje się z pokoju. Jako osobisty cień Ojca Świętego ma obowiązek być niewidzialny; kiedy wychodzi, jego pan jest już zatopiony w myślach.

Choć tego wieczoru Aleksander musi podjąć wyzwanie przyszłości, siłę może zaczerpnąć z tego, jak radził sobie w -przeszłości. Jego polityka utrzymywania Mediolanu i Neapolu w zrównoważonej opozycji aż do teraz działała wyśmienicie. Dwa kłopotliwe miasta-państwa prowadziły ze sobą rozgrywkę na długo przed jego pontyfikatem, a najbardziej wpływowe figury na szachownicy pochodziły z ich panujących rodzin. Po co ryzykować użycie armii, skoro wystarczy córka lub syn? Dlatego pięć lat temu, gdy Ferrante wydawał swoją wnuczkę za młodego sukcesora Sforzów, miał wszelkie powody sądzić, że za jakiś czas zostanie ona księżną Mediolanu. Nie wziął pod uwagę tego łotra Ludovica Sforzy, stryja i regenta chłopca, który

przywłaszczył sobie tron, po czym zaczął wspierać francuskie roszczenia odnośnie do Neapolu, żeby zdjąć sobie jego, Ferrantego, z karku. Było to pozbawione skrupułów, przebiegłe i w zasadzie genialne posunięcie, lecz tylko tak długo, jak pozostawało w sferze grózb, nie rzeczywistości.

Sam Aleksander wycisnął z tego wszystko, co mógł. Z jednej strony, przeciwstawiając się roszczeniom, może ustawić się w roli wybawcy Italii, z drugiej – wykorzystując postrach francuskiej inwazji – zmusić Neapol do posłuszeństwa. Jak w wielu innych rzeczach, sekretem jest tu pragmatyzm, nie zaś ideologia, operowanie tym, co jest, a nie tym, co mogłoby być. Z zaręczyn młodego Jofrégo z wnuczką Ferrantego zaczynają już płynąć pewne korzyści.

Jednakże wieść o śmierci króla całkowicie zmienia charakter gry. Jest bowiem wprawdzie następca (syn, który zmarnował życie w oczekiwaniu na zgon ojca), ale też i chwilowo pusty tron.

Aleksander rozwiera usta w potężnym ziewnięciu, prężąc ramiona schowane w obszernych rękawach, aby zapobiec zdrętwieniu od zbyt długiego siedzenia w jednej pozycji. Pusty tron. Fortuna. Bogini losu. Koło fortuny. Rzut kośćmi, którego skutku nikt nie zdoła przewidzieć. Jeśli król Francji rzeczywiście chce Neapolu, teraz byłaby pora, by po niego sięgnąć. Jeśli nadejdzie z dostatecznie dużą armią, nikt, nawet papież, go nie powstrzyma.

Chyba że... Aleksander przeciąga się znowu i z satysfakcją rejestruje ciche chrupnięcie gdzieś w barku. Ach, co za przyjemna ulga.

Chyba że uczyni to Fortuna. Co jednego pogrąża, drugiego wynosi. Śmierć Ferrantego wręcza jemu, Aleksandrowi, nieoczekiwaną kartę przetargową. Neapol, pod każdym innym względem niezawisłe państwo, historycznym zbiegiem okoliczności jest lennem papieżstwa. Co oznacza, że aby jego władztwo było uznawane przez świat chrześcijański, każdy król musi oficjalnie otrzymać inwestyturę od papieża. Innymi słowy, błogosławieństwo Aleksandra VI jest na sprzedaż. Co może być ryzykiem dla Italii, jest także okazją dla Borgiów.

Po jego wargach zaczyna się błąkać uśmiech. Na kamiennym zwieńczeniu kominka wykuto precyzyjnie jego papieskie imię. W palenisku dolna warstwa drewna zapada się z trzaskiem, wyrzucając ognistą chmurę iskier. Aleksander patrzy, jak płomienie wpełzają na niezajęte jeszcze grube polana, szukając szczelin i pęknięć, w które mogłyby wetknąć swe języki. Gdy już chwycą, nic ich nie okiełzna.

– Wasza Świątobliwość, przychodzę, aby oznajmić, że wasza córka jest nieszczęśliwa. Snuje się po pałacu i ledwo znajduje energię, by wysiedzieć nad robótką dłużej niż pół godziny. Tak jakby wszystko stało się dla niej zbyt dużym wysiłkiem.

Troska marszczy oblicze Aleksandra. Od polityki wysokiego szczebla do rodzinnego dramatu – doprawdy bywa, że na modlitwę zostaje niewiele czasu.

– Dlaczego? Co ją trapi?

– Moiściewy! – Adriana pozwala sobie na nieznaczące przewrócenie oczami. Choć czci go jako papieża i głowę rodziny, Aleksander to też mężczyzna. – Czy mogę mówić wprost?

– Byłbym zdumiony, gdybyś mówiła inaczej, Adriano – odpowiada łagodnie.

– Jest zamężna, lecz bez męża. Po tym, jak podczas zaślubin znalazła się w centrum uwagi, podziwiana i hołubiona przez wszystkich, teraz siedzi sama w domu, czekając na mężczyznę, który według mojego, a też i jej rozeznania nie ma najmniejszego zamiaru wracać.

– Ach, rozumiem. W takim razie zadowolili cię wieść, że jesteśmy w kontakcie z księciem Pesaro i jest on właśnie wzywany do Rzymu, aby dołączyć do rodziny i pojąć oblubienicę za żonę.

– O! – Adriana, która szykowała się na dużo dłuższą przemowę, jest zaskoczona. – Jestem... uradowana. Nie... nie sądziłam, że zauważyliście.

– Cóż... – Macha lekceważąco ręką, jakby nie było o czym mówić. W idealnym świecie pozwoliłby naburmuszonemu księciu pomartwić się o swój los odrobinę dłużej. Lucrezia nie ma jeszcze piętnastu lat, a jego począł mierzić zięciowski brak kręgosłupa. Jednak w obecnej rzeczywistości politycznej z Mediolanem i Sforzami trzeba obchodzić się miło, przynajmniej dopóki atmosfera się nie zepsuje, a dalsze odwlekanie skonsumowania małżeństwa byłoby odebrane jako gruba zniewaga, co wyraźnie dał do zrozumienia kardynał Sforza.

Pod kwiecistą przykrywką uprzejmości list Aleksandra do zięcia ma krystalicznie jasną wymowę. Chcesz posagu? Tedy lepiej po niego przyjdź.

– Powiedz mi, dziecko, jak byś się czuła, gdyby twój mąż miał powrócić? – Wobec Lucrezii jest delikatniejszy.

– Giovanni? Nie... nie wiem.

– Jakże? Nie lubisz go?

– Nie... Dosyć go lubię. Cóż, na tyle, na ile go znam. – Lucrezia się waha. Ojciec był ostatnimi dniami jeszcze bardziej zajęty niż zwykle i wizyta jest tyleż niezapowiedziana, co nieoczekiwana. – Bardziej wydaje mi się, że to on nie lubi mnie.

– Nonsens. Jestem pewien, że straszliwie za tobą tęskni.

– *Papà*. Nie musisz mnie pocieszać. Prawda jest taka, że nie mógł się doczekać wyjazdu.

– O, jego wyjazd nie miał nic wspólnego z tobą. Na księciu spoczywają wielkie obowiązki finansowe i musiał spełnić swoje obowiązki w domu. Teraz jednak bardzo chętnie wróci.

– To jego decyzja czy twoja?

Aleksander otwiera usta, by skłamać, lecz nie robi tego, zdeprymowany prostotą i szczerością pytania.

– Ach... droga Lucrezio, wszyscy jesteśmy zależni od sił potężniejszych niż my sami.

Lucrezia kiwa głową, jak gdyby tyle wiedzy jej wystarczyło.

– A kiedy wróci, gdzie będziemy mieszkać?

– Jeśli będzie ci to miłe, zamieszka z tobą tu w pałacu. – Przerywa. Zamierzał zostawić to Adrianie, bo te rzeczy to kobieca sprawa, ale... – Rozumiesz, co mówię, dziecko? Będziecie mężem i żoną.

– Tak, oczywiście. Rozumiem. – Lucrezia czuje gorąco na twarzy i spuszcza oczy. – A więc... – odzywa się po krótkim milczeniu – a więc zostanę naprawdę księżną Pesaro. Czy to znaczy, że tam pojedę?

– Do Pesaro? To możliwe, owszem. Chciałabyś?

– Nie wiem. Nigdy nigdzie nie wyjeżdżałam. Może. Tak... myślę, że chyba bym chciała. Mała Lucrezia, wciąż taka młodziutka. Nie spodziewał się, że straci ją tak prędko.

– W takim razie jestem pewien, że możemy to zorganizować. – Ujmuje jej twarzyczkę i lekko szczypie ją w policzek. Przez całe to politykowanie miał ostatnio niewiele czasu na przyjemności życia rodzinnego. Kiedy to wszystko się skończy... – Tymczasem jednak urządzisz sobie dom tutaj i będziesz żoną, z której byłby dumny każdy człowiek na ziemi.

– To znaczy: lepszą, niż Juan jest mężem? – odpowiada Lucrezia znienacka figlarnie.

– Ach, twój brat! – sarka. – Gdyby nie to, że włosy mam już białe, osiwiłbym przez niego w ciągu jednej nocy.

Zanim wybuchła sprawa z Neapolem, to doniesienia z Hiszpanii sprawiły, że miał się wściekle po swoich prywatnych apartamentach: okazało się, że Juan, na przekór wszystkim radom, włóczy się nocami po ulicach i burdelach, podczas gdy jego świeżo poślubiona żona czeka nań w pościeli. Listy Aleksandra niemal wypalały dziury w sakwie posłańca, który je doręczał. Wszystko jednak zostało wybaczone na wieść o tym, że Juan złączył się z małżonką

w łożu, a co więcej, dworskie szwaczki są już zajęte popuszczaniem zakładek w jej sukniach. Wnuk – tak od razu! Ach, ten męski wigor jego synów!

Aleksander uśmiecha się.

– Będziesz musiała się pospieszyć, żeby dotrzymać mu kroku, najdroższa. – I otwiera ramiona, by ją przygarnąć.

Tym razem nie ma przyjęć, wystawnych kolacji, ambasadorów i, co chyba najważniejsze, ceremonii nocy poślubnej z najbliższymi krewnymi towarzyszącymi młodej parze aż do łożnicy. Nie-całkiem-nowożeńcy będą mogli skosztować swój związek na osobności.

Być może dzięki tej wiedzy Giovanni wyrusza z Pesaro, czując się pewniej niż dotychczas. Pozostaje w dużej mierze nieświadom zakulisowych machinacji. W jego oczach Mediolan świetnie sobie radzi, a on sam dzięki swojej determinacji dostał to, czego chciał. Pokonuje drogę szybko i zjawia się uśmiechnięty. Sprawia to, że wydaje się niemal przystojny. On, Giovanni Sforza, będzie teraz w Rzymie kimś. I – już rano – znacznie bogatszym człowiekiem. Całuje żonę i wręcza jej girlandę z ziół i okrytych czerwonymi jagodami gałązek krzewów z wirydarza swego książęcego pałacu.

– Za wcześnie jeszcze na kwiaty – mówi. – Ale kiedy przyjedziesz, żeby poznać swój lud, i tak przyćmisz wszelkie kwiecie.

Lucrezia, tak zdenerwowana, że musi zdusić w sobie rodzący się śmiech, dyga wdzięcznie.

– Witaj w domu, mój panie.

Tej nocy nie odbywają się publiczne pokładziny, tylko Adriana przechodzi kilka razy pod zamkniętymi drzwiami, zanim sama udaje się do łóżka. Odgłosy przenikające przez drzwi brzmią obiecująco. Nie jest tak cyniczna ani tak stara, by nie pamiętać własnej nocy poślubnej. Najważniejsze to być przygotowaną. Jako zastępcza matka przemówiła do Lucrezii prostu z mostu, nie widząc pożytku z ozdobników i dwornych fantazji. Lucrezia podziękowała jej i uśmiechnęła się słodko, jak gdyby wszystko to już wiedziała. Cóż, niechaj będzie i tak. Na odchodnym Adrianę nawiedziło nagle pragnienie, by powiedzieć więcej – słowa, za jakie może byłaby wdzięczna własnej matce, gdyby je od niej otrzymała. „Nie martw się. To nie takie ciężkie – owo połączenie ciał. Owszem, to prawda, że nie będziesz już nigdy taka sama. Ale też wcale tak bardzo się nie zmienisz. To, co z początku dziwne czy odstręczające, wkrótce staje się czymś zwyczajnym. Prawie rutyną”. Mogłaby dodać: „I choć niektórzy mężczyźni zdają się nigdy nie mieć tego dosyć, są kobiety, które nigdy nie pojmą, o co tyle hałasu”. Bo jeśli ma być szczerą, to właśnie sama zawsze czuła. Wyszła z pokoju, pozostawiając te słowa niewypowiedziane.

Rankiem, po tym jak Giovanni wyszedł na umówione polowanie, odwiedza swoją podopieczną w sypialni. Lucrezia jeszcze leży w łóżku. Wygląda nieomal na szczęśliwą.

– I co, duszko? Jesteście mężem i żoną.

– Tak... Tak – odpowiada Lucrezia. – Jesteśmy.

W zapadłej ciszy żadna z nich nie znajduje nic więcej do powiedzenia.

To prawda, że coś się między nimi zmieniło. Mijając się teraz w domu, uśmiechają się do siebie. Giovanniemu zdarza się przy kolacji położyć rękę na jej ramieniu albo wyciągnąć ją, by dotknąć jej policzka. Lucrezia rumieni się, ale oczy ma jasne; gdy siedzą nad taką czy inną grą, słyszą pogawędkę, a nawet śmiech. Przychodzą krawcy, by zdjąć zeń miarę na nowe szaty. Rozmawia z podczaszym o sprowadzeniu win z własnych winnic i pozostaje w kontakcie ze swoim byłym szwagrem z Mantui w sprawie zakupu arabskiego ogiera. Ma teraz nie tylko żonę, ale i pokąźną kiesę.

Kiedy udaje się do papieża, by złożyć mu uszanowanie, stoi dumnie wyprostowany

w nowym przyodziewku. Aleksander, który chciałby wierzyć, że dobrze postąpił z córką, pozwala sobie na okazanie, że jest pod wrażeniem.

– Witaj w naszej rodzinie.

Giovanni opada na kolana i całuje papieski pierścień.

– Zawsze do usług.

„Mam nadzieję – po takim posagu...”, myśli wbrew sobie Aleksander, gestem dając mu sygnał, by powstał.

Przez cały ten czas nigdzie wokół nie sposób napotkać Cesarego. W chwili przyjazdu Giovanniego przebywał na łowach w Subiaco, a gdy wraca, uznaje za stosowne złożyć wizytę ojcu, lecz nie siostrze. Kiedy się w końcu spotykają, na uczcie weselnej w jednym z rzymskich domów, przybywa spóźniony i siada przy innym stole. To Lucrezia, zoczywszy go, podejmuje wyprawę przez pomieszczenie, by go przywitać, zmusić do wstania i objąć.

– Gdzie się podziewałeś tyle czasu?

Cesare przytula ją mocno, po czym odsuwa, wciąż jednak trzymając jej ramię.

– Jak się masz, siostrzyczko?

– Do... dobrze – odpowiada. I dodaje z udawaną srogością: – To wielka niedbałość z twojej strony, żeś mnie dotąd nie odwiedził.

Cesare wzrusza ramionami.

– Byłem zajęty sprawami kościelnymi. – Zerka ku miejscu, w którym siedzi Giovanni, pochłonięty konwersacją. – A więc jesteś należycie pojęta za żonę.

– Tak.

Kieruje wzrok z powrotem na jej męża. Jak gdyby wyczuwając to, Giovanni odwraca się i ich oczy się spotykają.

– I... nie robi niczego, co sprawiałoby ci przykrość? – Cesare wraca spojrzeniem do Lucrezii.

– Nie... nie. – Lucrezia spuszcza wzrok. Jego ręka spoczywa wciąż na jej ramieniu, tak że nie może się odsunąć. – Cesare? – Podnosi oczy. – Wszystko jest tak jak powinno. To mój mąż. Nie musisz się martwić. – Zdejmuje jego dłoń z ramienia i ściska ją z pogodnym uśmiechem, jak gdyby chciała mu pomóc. – Chodź i usiądź z nami.

– Może za chwilę. Muszę pomówić z niektórymi gośćmi tutaj.

Adriana obserwuje ich spotkanie z drugiego końca sali. Przez ponad dziesięć lat robiła, co mogła, by jak najlepiej opiekować się wszystkimi dziećmi kuzyna. Cesarego jednak nigdy nie rozumiała. Chłopiec wykazujący tak daleko posuniętą niezależność i rezerwę wprawiał ją w niepokój. Zdawało się, że nie obchodzi go nic i nikt – może z wyjątkiem siostry. Wobec niej zawsze zachowywał się inaczej.

– Cesare – odzywa się doń później, gdy ich ścieżki krzyżują się po posiłku. – Nie musisz martwić się o Lucrezię. Wiesz, że zawsze się o nią zatroszczę.

– Tak jak się zatroszczyłaś o swojego syna?



Rozdział 14



W Watykanie wielka dyplomatyczna gra rozwija się dokładnie tak, jak Aleksander to przewidział.

Ledwo ciało Ferrantego spoczęło pod marmurem, a już zaczynają przybywać neapolitańscy wysłannicy. Aleksander zasiada w sali przyjęć, słuchając z teatralnym skupieniem. Wszyscy przynoszą kolejne wiadomości od syna Ferrantego, Alfonsa – następcy tronu. Pozostaje, jak zawsze, najpokorniejszym sługą papieża. Przepelnia go także hojność i wspaniałomyślność i aż się rwie, by obsypać wszelkimi możliwymi tytułami i ziemiami swojego zięcia *in spe* Jofrégo i jego braci. Jedyne, czego chce w zamian, to data koronacji. Po jakimś czasie jego ton staje się rozpaczliwy.

Francja ze swej strony jest równie zapobiegliwa. Lub – rzek-liby niektórzy – obłudna. Nie ma mowy o żadnej inwazji, nie! Uchowaj Boże! Prawdziwym celem jest krucjata przeciwko niewiernym, a Neapol to jedynie niezbędny przystanek w drodze na wschód. Jak papież mógłby nie poprzeć tak zbożnej misji? Aleksandrowi trudno utrzymać neutralny wyraz twarzy, gdy tak gadają. W gruncie rzeczy jednak sprawy są raczej poważne i zdarza się, że watykańscy oficjaliści muszą kierować ruchem w poczekalniach; kiedy państwa są na krawędzi wojny, ważne, by ambasadorzy nie wdawali się w utarczki.

Przez pierwsze tygodnie wszystkie te umizgi, namowy i próby kuszenia sprawiają Aleksandrowi niewymowną przyjemność. Długo czekał na taką władzę. Nie jest jednak tak nią oszołomiony, by nie dostrzegać głębszego znaczenia wydarzeń. Wczesną wiosną staje się jasne, że nie da się dłużej utrzymywać dotychczasowej równowagi. Stoi przed nagim wyborem. Albo zgodzi się na koronację Alfonsa, występując tym samym przeciw Mediolanowi, albo odetnie Neapol i nakarmi nim Francuzów. Spędza noc na modlitwie. Głos Boży, za orędownictwem Błogosławionej Dziewicy, mówi mu to, co tkwiący w nim polityk już wie: że cokolwiek może uzyskać, wygrywając jedną stronę przeciwko drugiej, perspektywa przemarszu obcej armii przez Italię może przynieść jedynie całkowitą destabilizację, a sam akt – spustoszenie. On zaś jest wszak pasterzem Kościoła.

Wzywa Burcharda. Po godzinie w jego towarzystwie umęczony mistrz ceremonii udaje się do swojej zapchanej księgami kancelarii, aby zacząć organizować dla papieża następną, stanowiącą nie lada wyzwanie uroczystość: nadanie inwestytury Alfonsowi jako władcy Neapolu, a tuż po nim oficjalne zaślubiny córki nowego króla, Sancii, z najmłodszym synem papieża. Neapolitański ambasador zostaje o tym poinformowany jeszcze tego samego popołudnia, ale otrzymuje polecenie, by przez parę dni zachował swoje wesele dla siebie.

Następnego ranka Aleksander posyła królowi Francji złotą różę.

– Dopiero co poświęciliśmy ją osobiście w Niedzielę Laetere – mówi, wręczając francuskiemu ambasadorowi grubą złotą lodygę z misternie wyrobionym ze złota kwieciem. – Jako symbol majestatu naszego dobrego Pana ponad męką krzyżową jest to najcenniejszy upominek, jakim możemy obdarzyć władcę, którego przyjaźń tak bardzo cenimy, albowiem mówi on o jedności i miłości. Zauważcie, jak zdumiewające dzieło rzemiosła wieńczy ten pęd. Kiedy Jego Wysokość będzie dzierżył tę różę w dłoni, może otworzyć kwiat, by zaczerpnąć woni

balsamu, którego także nałożyliśmy tam własną ręką.

Ambasador, który wie dobrze, co się święci, bierze różę i odchyła wieczko najwyższego pąka. Zadzierza nos, lecz trudno orzec, czy jest to wpływ woni czy pokaz dyplomatycznego lekceważenia. Uśmiech Aleksandra staje się na ten widok jeszcze szerszy.

Do końca tygodnia wieść dociera wszędzie i Giovanni w swoim pałacu obok Watykanu zaczyna odczuwać znajomy ból brzucha. Prosi o audiencję u teścia.

– Jesteś szczęśliwy z moją córką? – mruczy Aleksander z tonem pogróżki. Choć oczekiwał zięcia, niecierpliwi się: nie potrzebuje, by ta nerwowa płotka mąciła wodę, gdy pełno w niej rekinów.

– O tak, Wasza Świątobliwość. Ogromnie szczęśliwy. Zastanawiam się jednak...

– Nad czym? Powiedz mi.

– Hmm, wydaje się, że stosunki z moją... moją rodziną... nie są obecnie najłatwiejsze.

– Z twoją rodziną? Zostałeś przecież miłościwie przyjęty do naszej.

Waha się.

– Tak, tylko...

– Tylko co?

– Jestem płatnym dowódcą armii mediolańskiej.

– Ach, racja. Jak mądrze, że mi przypominasz. – Uśmiecha się. Lepiej byłoby dla Giovanniego, gdyby potrafił odczytać znaki. – Poszukam dla ciebie stanowiska w armii papieskiej, stosownie do twego znacznego doświadczenia w sprawach wojskowych. Z pensją, oczywiście.

– Nie, nie. Nie o to chodzi.

Papież przez chwilę milczy.

– A o co, drogi zięciu?

– Za... zastanawiam się nad przyszłością.

– Przyszłość? Zaiste, to frustrujące. Jestem może namiestnikiem Bożym na ziemi, ale nawet ja nie widzę tego, co jeszcze nie nadeszło. Możemy tylko modlić się i oczekiwać tego razem. – Już się nie uśmiecha. – A więc? Przyszedłeś z czymś jeszcze?

Giovanni otwiera usta, lecz jego kiszki przeszywa kolka.

– E... nie... Z niczym konkretnie.

– W takim razie sądzę, że moja droga Lucrezia chciałaby już odzyskać cię na wieczór.

Po jego wyjściu Aleksander przez chwilę nie wstaje z miejsca. Jakimż mazgajem okazał się jego zięć. Nigdy go nie lubił, a jest też jasne, że małżeństwo nie przyniosło jego córce żadnej satysfakcji, co z kolei jemu sprawia ból. Nie może jednak zrobić nic, dopóki nie upora się z nadchodzącymi politycznymi zawirowaniami.

Z nastaniem tygodnia wielkanocnego, nietypowo w tym roku chłodnego, Aleksander przywdziewa odświętne szaty i przewodzi swojemu miastu w pierw w żałobie, potem w triumfie. Podczas ulicznych procesji niestrudzenie pozdrawia wiernych i przemawia do wielu spośród tłumu. Nawet jeśli głowę ma nabitą polityką, rozumie, że trzoda potrzebuje pasterza.

W Wielki Piątek w towarzystwie dostojników kościelnych i państwowych ogląda przedstawienie pasyjne w starożytnym Koloseum. Widowisko stanowi niedawny dodatek do kalendarza religijnego i wszyscy w Rzymie, bogaci i biedni, są nim oczarowani. Obsada jest ogromna, młódź z największych szlacheckich rodów odziana w rzymskie kostiumy rywalizuje o role żołnierzy i mieszkańców Jerozolimy. Spektakl zaczyna się za dnia, przy amfiteatrze wypełnionym szczerze widzami, a kończy o zachodzie słońca, gdy rozbłyskują pochodnie, rzucając światło na człowieka przywiązanego do krzyża pośrodku areny. Odegranie męki Pańskiej w miejscu, gdzie pierwsi męczennicy przelali krew za wiarę, ma podwójną siłę

oddziaływania i to sam Aleksander, z papieskiej loży, w której zasiada wygodnie jak każdy cesarz, z całą swą świtą, intonuje lamentację. Odgłosy żalości i zawrota falami ogarniają publiczność. Emocje przesączają się na ulicę i tej samej nocy dochodzi do incydentów w dzielnicy żydowskiej, gdzie grupy młodych chrześcijan dokonują zemsty za zbrodnie przodków. W końcu Aleksander wysyła gwardię papieską, by przywrócić porządek, lecz lepiej niż większość ludzi rozumie, co się dzieje. Gdy przyszłość wzbudza lęk, pokrzepiająco działa wyładowanie się na obcych, których można obwinić za przeszłość.

Pogoda z niepewnej robi się wprost nieznośna. Burchard w potokach deszczu opuszcza Rzym i udaje się w ryzykowną drogę. Za nim Jofré i przemoczony orszak weselny. W zastępstwie papieża inwestyturę nada jego kuzyn, kardynał Juan Borgia Lanzo. Nieśmiałością niczego się nie zyska: Neapol jest teraz sprawą rodzinną.

Deszcz i burze ścigają ich na południe, zmieniając drogi w błotniste grzęzawiska i wydłużając podróż. Aleksander przemierza swoje komnaty i czeka. Wreszcie przychodzi wiadomość, że wszystko się dokonało. Alfonso, nagiąwszy się do wszelkich żądań, łącznie z wymogiem całkowitej wierności wobec papieża, został koronowany na króla, a Jofré i Sancia są mężem i żoną.

Zadowolenie Aleksandra gasi lektura tajnej wiadomości, która przybywa wkrótce po poprzedniej. Wygląda na to, że uroczą Sancia, jakkolwiek należycie olśniona otwartymi przed nią kufkami strojów i klejnotów, nie kłopotowała się, by ukryć rozczarowanie na widok przyszczonego podrostka, który je przywiózł. Po dworze krąży plotka, że w noc poślubną w małżeńskim łóżu była tylko jedna dziewczyna, a zadanie przytłoczyło młodego Jofrégo do tego stopnia, że popłakał się jak dwunastolatek, którym nadal jest. Czytając to, papież ma w oczach łzy furii. Neapol drogą zapłaci za to upokorzenie. I Jofré, i Juan są teraz panami całych połaci ziem w obrębie państwa, a Cesare otrzymał liczne nowe beneficja. W taki czy inny sposób unia między rodzinami zostanie satysfakcjonująco dopełniona.

Kardynał della Rovere, który praktycznie usunął się z Rzymu w zacisze swojej nadmorskiej twierdzy w Ostii, wykorzystuje moment, by wyruszyć w morską podróż do Francji. To wyraźna oznaka buntu zaczynającego kipieć w łonie Kościoła. W Paryżu zostaje powitany przez pustogłowego króla Karola VIII. Jak wielu młodych monarchów, pociągają go blaski wojny, lecz miłuje również dworskie wygody, a droga przez Alpy to męcząca wspinaczka, nawet jeśli pokonuje się ją w lektyce.

Król i kardynał przez całe dni naradzają się za zamkniętymi drzwiami. Della Rovere rozwodzi się nad chwałą tworzenia historii i możliwością uradowania Boga. Chwilami zapał tak go ponosi, że jego argumenty wyciekają z pałacu w szeroki świat.

Kiedy posłańcy powracają do Rzymu, nikt, nawet Cesare, przez jakiś czas nie wchodzi do komnat papieża. Atak jest co do istoty personalny: della Rovere piętnuje cechy charakteru Aleksandra, oskarża Stolicę Apostolską o zepsucie i podkreśla pilną potrzebę zwołania wielkiego reformatorskiego soboru.

Bitwa o Neapol zaczyna się zmieniać w bitwę o przyszłość samego papieża.

Mokra wiosna przechodzi w gorące jak ukrop lato. Papież i Cesare spotykają się z królem Alfonsem oraz jego generałami i uzgadniają strategię mającą zapewnić zwycięstwo nad zewnętrznym wrogiem. Wyglądałaby ona bardziej przekonująco, gdyby ich sojusz nie był tak odosobniony. Wenecki ambasador ma do zaoferowania wojownicze słowa, ale wszyscy – łącznie z Mediolanem – wiedzą, że nie podążą za nimi czyny. Wenecja nie zdobyła panowania na morzu, trwoniąc majątek na walki o ziemie, których posiadanie jej nie interesuje. Gorzej dzieje się tymczasem we Florencji, gdzie Medyceusze tracą władzę nad miastem przez szalonego dominikanina, który w swych kazaniach wylewa strumienie wrzącej lawy na papieża i rządy,

przepowiadając oczyszczenie Italii mocą obcego miecza. W Rzymie wielu kardynałów mianowanych przez Aleksandra czuje, że bezpiecznie jest wyrażać własną opinię na ten temat jedynie przed Bogiem. Niepewność szerzy się szybciej niż zaraza.

Cesare natomiast wierzy w strategię, nie w modlitwę. Wie, że jest najbliższym doradcą ojca i – jako członek rodziny – jedynym naprawdę zaufanym. Prywatnie wyrzeka na niemoc papieżstwa, które posiada kawał centralnej Italii, ale dzierżawi ją za śmieszne pieniądze niedowarzonemu tyranom i imbecydom o lojalności stada szczurów. Gdyby jego ojciec dłużej był papieżem... Gdyby on sam nie był zmuszony do spędzenia życia w Kościele... Następnym razem... Jeśli będzie następny raz.

Raz w życiu Giovanniemu Sforzy, jednemu z owych niedowarzonych tyranów i imbecyli, udaje się przełożyć kruczenie w brzuchu na strategię polityczną. To bodaj jego najjaśniejszy moment.

– Mam świadomość, jak bardzo jesteście zajęci, Wasza Świątobliwość, lecz jak mniemam, wiecie, że miasto zaczyna znów nękać letnia febra.

– A ty się boisz, że ją złapiesz – mruczy słodko Cesare ze swojego krzesła z boku.

– Nie martwię się o siebie, lecz o twoją siostrę, a moją ukochaną małżonkę – odpowiada twardo, ignorując sarkazm. Jeśli wystarczająco mocno przekręci głowę ku papieżowi, może zupełnie usunąć szwagra z pola widzenia. – Muszę donieść, że jedna ze służących w pałacu już zachorowała.

– Kiedy? – Aleksander, który już dość długo nie miał czasu, by odwiedzić którąkolwiek z bliskich swemu sercu kobiet, natychmiast poddaje się niepokoju. Rzymska febra potrafi zabić, zanim wezwany medyk trafi do domu pacjenta.

– Kilka dni temu.

– Powinienem zostać powiadomiony! – ryczy. – Dlaczego mi nie powiedziano? Służącą trzeba odprawić, a moja córka i jej kobiety muszą wyjechać z miasta.

– Już tego dopilnowano. Służącą oddalono i trwa pakowanie rzeczy na wyjazd. Pytanie tylko dokąd, biorąc pod uwagę... sytuację. – Giovanni robi pauzę, nie na tyle jednak długą, by zdążył się wtrącić Cesare. – Wydaje mi się, że mam na nie odpowiedź, Wasza Świątobliwość. Za waszym pozwoleniem zabiorę żonę do Pesaro. Panuje tam dobry klimat, lepszy niż w Rzymie, i upłynął już rok, odkąd została księżną, więc najwyższy czas, żeby oficjalnie zaprezentowała się w swoim mieście.

– Pesaro? Jak długo zamierzasz tam zostać?

– Myślę, że do czasu, aż sprawy... przycichną. Spodoba jej się i miasto, i jego mieszkańcy. Podobnie jak ona im, to z całą pewnością. A ja jako książę zaniedbywałbym swój obowiązek, odkładając dłużej ich spotkanie.

– A co z twoim obowiązkiem wobec papieża, którego domeną zarządzasz w jego imieniu? – odparowuje Cesare. – A może planujesz połowę czasu spędzać w Mediolanie?

Aleksander rzuca synowi ostre spojrzenie, niosące komunikat: nie jesteś potrzebny w tej rozmowie. Giovanni dostrzega to i szybko wykorzystuje okazję.

– Nie rozmawiamy, rozumie się, o mnie, tylko o mojej żonie – mówi, ponownie zwracając się wyłącznie do papieża. – Eskortuję ją do Pesaro, ulokuję w pałacu i oczywiście wrócę, jeśli, czy raczej kiedy będzie potrzeba, bym służył zbrojnym ramieniem. A tymczasem księżna i jej dwór będą całe, zdrowe i chronione tak długo, jak zechcą.

W pomieszczeniu na chwilę zapada cisza.

– Moja córka wie o tych planach, czy tak?

Giovanni jest tak zadowolony, że nie może powstrzymać uśmiechu.

– O tak, Wasza Świątobliwość, oczywiście, że wie. I jest nimi podekscytowana. Sądzę, że

przekonacie się, iż płonie chęcią poznania swoich poddanych nie mniej, niż oni pragną poznać ją.

– Wygląda na to, że mój zięć jednak ma jaja.

– Nie mogę się doczekać, aż mu je utnę. Widziałeś, jak się pocił? Słodki Jezu, myślę...

– Wiem, co myślisz, Cesare. A teraz on również to wie, jeśli dotąd miał jakiegokolwiek wątpliwości. Co z tobą? Nie rozmawiamy o niczym, co ma wpływ na nasze bezpieczeństwo, poza rodziną, przecież wiesz.

– Przepraszam. Straciłem nad sobą panowanie.

– Widziałem. A jednak nie jest on większym głupcem niż wielu innych, przy których udaje ci się je utrzymać.

– Jest głupcem, który poślubił moją siostrę.

– Ha... – Aleksander robi ponury grymas. – Tak, w tym jednym miałeś rację.

Powinienem był wydać ją gdzie indziej.

– Wyślij go więc na pole bitwy. Obiecuję, że nie przeżyje.

– Nie – odpowiada ostro. – To nie jest właściwy moment. – Wpatruje się w Cesarego.

W jego synu rośnie coś, czego nie rozpoznaje, coś, czego nigdy go nie uczył. – Jeden wróg naraz, Cesare. Jeden wróg naraz.

– Nadal twierdzę, że on nas zdradzi.

– Cóż tu jest do zdradzania? Ledwo sami wiemy, co robimy.

– Będzie znał ruchy wojsk w Romanii i jeśli Francuzi podejną pod Neapol...

– Jeśli dojdą tak daleko, nie będą potrzebowali od niego żadnej pomocy.

– Jak to, uważasz, że to możliwe?

– Naiwność jest bezcelowa. Kiedy nadejdą, mamy szansę – jeśli neapolitańska flota pokona ich okręty, jeśli podbechtamy Ludovica w Mediolanie, jeśli Virginio Orsini pozostanie lojalny jako generał armii Alfonsa pod Rzymem.

Cesare czeka.

– A jeśli nie? – pyta w końcu.

– Jeśli nie? – Spojrzenie Aleksandra zatrzymuje się przez chwilę na jego własnej podobiznie, wiernie i niezbyt pochlebnie odmalowanej przez Pinturicchia w lunecie ponad drzwiami: oto papież Aleksander pobożnie wznoszący oczy ku zmartwychwstałemu Chrystusowi. Jakże ogniście lśni w słońcu złoto na jego szacie. Dekoracja Sali Tajemnic jest już na ukończeniu. Brakuje jedynie sceny Zwiastowania, choć na tylnej ścianie widnieją już szkice postaci anioła i jego umiłowanej Maryi. Ach, to wszystko, co mógł sobie wymarzyć...

kosztowało go to małą fortunę. Strach pomyśleć, co się stanie z całym tym pięknem, jeśli Neapol padnie, a della Rovere zdoła doprowadzić do następnego konklawe. – Jeśli nie, będziemy musieli przechytryć ich innym sposobem.

– I zrobimy to. – Głos Cesarego dźwięczy niczym dzwon. – Nie wspieliśmy się tak wysoko, by tak szybko upaść, ojczy. Sam Bóg do tego nie dopuści.

Bóg. To słowo brzmi niemal dziwnie w ustach jego syna.

– Dlaczego nie powiadomiono mnie o febrze w domu?

Wszędzie wokół trwa pakowanie kufrów.

– W ostatnich dniach nie było łatwo o posłuchanie, Wasza Świątobliwość. – Adriana nie traci kontenansu. – Lucrezia będzie gotowa do wyjazdu w ciągu paru dni.

– Ach tak. A dokąd to się udaje?

Adriana waha się.

– Może do Pesaro? – podsuwa Aleksander.

Kobieta wytrzymuje jego spojrzenie.

– Rzym jest jak garnek gulaszu na wolnym ogniu. W Pesaro będzie bezpieczniej niż

w innych miastach, a ona jest jego księżną. Jeśli ma znaleźć swoje miejsce, niechaj będzie ono tam. Przynajmniej na razie.

– Hmm. Cóż, nie może jechać sama. Pojedziesz również, żeby czuwać nad nią w podróży i pomóc jej się zadomowić.

– Oczywiście. Nie sądzicie chyba, że mogłabym ją opuścić? – Adriana zawiesza głos.

– Nie. Tak? Masz mi coś więcej do powiedzenia, Adriano? – pyta. – Dalej, mów.

– Co z Giulią...?

– Nie chcę cię zostawiać, mój panie.

Tej nocy, pierwszy raz od tygodni, są razem w łóżku. Wpatruje się w nią w świetle świec; jej oczy mają miękki wyraz miłości. Mówi prawdę czy tylko czuje, że musi to powiedzieć? Z całą tą polityką w głowie i na głowie Aleksander zaczyna wątpić w każdego.

– Przeżyłam już niejedną zarazę.

– Nie ma żadnej gwarancji, że przeżyjesz i tę. Lato jest jednocześnie gorące i wilgotne. Nie mogę ryzykować. Rzym nie jest teraz przyjemnym miastem.

– Po prawdzie ostatnimi czasy i tak niemal cię nie widuję. – Giulia przechyla głowę, jakby chciała mu się lepiej przyjrzeć, a jej włosy opadają i kłębią się dookoła. – Ale Pesaro jest tak daleko. Czy nie mogłabym pojechać gdzieś bliżej? Do mojej rodziny w Capodimonte?

– Nie – odpowiada natychmiast. – Jeśli Francuzi uderzą od zachodu, Capodimonte znajdzie się dokładnie na trasie ich przemarszu.

– Nie zostanę aż tak długo. Tylko dopóki febra nie wygaśnie.

– Niemniej jednak Pesaro będzie lepsze – mówi ponownie.

Giulia wzdycha.

– Cóż, Rzym bez Lucrezii i Adriany byłby najnudniejszym z miejsc. – Uśmiecha się słodko i Aleksandrowi przemyka przez myśl, że nie opierała się szczególnie mocno.

Gdy tylko przedsięwzięcie pakowania dworu dobiega końca, wielka karawana koni i wozów wyrusza z Rzymu wśród zwyczajowo łzawych pożegnań. Jako konwój zostaje wysłana kohorta wojska, lecz w ostatniej chwili Cesare nalega, by jeszcze kilku jego wyselekcjonowanych ludzi eskortowało kobiety do granicy Państwa Kościelnego. Choć tym samym w ledwo zawołowany sposób kwestionuje zdolność Giovanniego do zatroszczenia się o żonę, ma on świadomość, że lepiej nie oponować.

Pamiętając o awersji siostry do Michelotta, swoim łącznikiem Cesare mianuje Pedra Calderóna. To szczęśliwy wybór, jako że młody Pedro zdążył poznać ich dwór, służąc przez wiele miesięcy jako doręczyciel pałacowych listów. Teraz zaś ma powód, by stanąć przed samą księżną Lucrezią.

Jest zajęta, więc ich spotkanie trwa krótko, co nie umniejsza jego słodyczy. Stoją w komnacie wypełnionej skrzyniami, do których nadal, w ostatniej chwili, dokładane są kolejne „niezbędne” rzeczy.

– To bardzo grzecznie z twojej strony, że okazujesz tyle cierpliwości. – Lucrezia rozgląda się w roztargnieniu. Zdołała zagłuszyć swój niepokój przygotowaniami do wyjazdu, lecz im bardziej zbliża się moment, w którym faktycznie on nastąpi, tym mocniej jest zdenerwowana. – Wydaje się, że ciągle jest coś jeszcze...

– Proszę, nie kłopotcie się, pani. To mój obowiązek, i najgłębsza rozkosz, służyć na wszelki sposób. – Słowa są tak pełne uczucia, a złożony do wtóru pokłon tak niski i długi, że Lucrezia nie może oprzeć się rozbawieniu.

– Nasze ścieżki chyba się już skrzyżowały. Pracujesz dla mojego brata kardynała, czyż nie?

– Tak.

– Dostarczałeś mu nasze listy, kiedy przebywał w Spoleto, nieprawdaż?
– Tak, tak, pani.
– Czyli dobrze mi się zdawało, że cię rozpoznaję. – Uśmiecha się. – A zwiesz się?
– Calderón. Pedro Calderón.
– Hmm, Pedro Calderónie, moja ciotka twierdzi, że jeździsz konno jak sam diabeł z twarzą anioła. Nie jestem tego pewna, ale znacznie milej patrzeć na ciebie niż na człowieka, który zazwyczaj strzeże mojego brata. Choć przypuszczam, że obaj jesteście jednakowo waleczni.
– W służbie jaśnie pani nie znajdzie się nikt waleczniejszy – mówi Pedro, czerwieniejąc na twarzy jak od nagłej wysypki. – To znaczy od nas obu.
To stwierdzenie rozwesela ją jeszcze bardziej.
– Mam nadzieję, że przy życiu, jakie wiodę, nie będę potrzebować aż takiej waleczności. Powiedz, byłeś kiedyś w Pesaro?
– Nie, nie, pani. – Waha się. – Słyszałem jednak, że to ładne miasto.
– Co jeszcze słyszałeś?
Wzrusza ramionami.
– Że jego mieszkańcy niecierpliwie wyglądają chwili, w której będą mogli powitać swoją olśniewającą nową panią.
– O, widzę, że nie słabszy z was pochlebca niż wojownik, *señor* Calderón – śmieje się Lucrezia. – Cóż, ja nie byłam nigdy poza Rzymem. Dlatego też wyglądam tej chwili... Tak myślę... Jakkolwiek obawiam się opuszczać bliskich, teraz, gdy czuć już wokół wichry wojny.
– Nie trzeba się martwić. Nic im się nie stanie. To wam obiecuję. – Pedro milknie na chwilę. – Mam jednak nadzieję, że kiedy się to wszystko skończy, powrócicie do domu. Rzym bez was będzie posępniejszym miejscem.
– Dziękuję. – Lucrezia wpatruje się w niego. To język zwykłej galanterii, jaki słyszy na co dzień z ust ambasadorów i dworzan, a jednak w jego wygłoszeniu jest coś, co sprawia, że czuje napływające do oczu łzy. Ach, to wina wszystkich emocji tego dnia.
Obdarza go promiennym uśmiechem, podczas gdy pokój zapelnia się służącymi i krzątanicą towarzyszącą pakowaniu bierze górę nad wszystkim innym.



Rozdział 15



Im większa armia, tym dłużej się zbiera. Przed wyruszeniem w drogę trzeba jeszcze rozwiązać kwestię przeprawy przez góry. Lato dobiega już końca, gdy Karol VIII, w towarzystwie kardynała della Rovere, oraz jego trzydzieści tysięcy ludzi przekraczają północno-zachodnie alpejskie przełęcze i armia wlewa się do Italii.

Jak tocząca się z wolna lawina pochłania wszystko na swojej drodze. Przez pierwsze kilkaset mil jedyny konflikt, do jakiego dochodzi, to dyskusja, czy znajdzie się po drodze dość jedzenia i wina, by napełnić wszystkie brzuchy. W mieście Asti, gdzie rzekami płynie słodkie musujące wino, król zapada na ospę. Choć nikt nie zauważyłby kilku wyprysków więcej (nawet ci, którzy darzą go podziwem, zgadzają się, że to jeden z najbrzydszych ludzi, jacy kiedykolwiek wstąpili na tron), odpoczywa przez parę dni. To tutaj zastaje go nowina o decydującym zwycięstwie Francuzów nad neapolitańską flotą pod Rapallo. Gdy armia dociera do Mediolanu, wygląda na to, że wojna jest już wygrana.

W Rzymie spokój ducha Aleksandra zaczyna się kruszyć. Nie może spać i chodzi nocą po komnacie, a jego służący, z oczyma otwartymi jedynie siłą woli, czeka na kolejne żądania. Brak snu wprawia papieża w takie rozdrażnienie, że wszyscy, łącznie z Burchardem, zazwyczaj nieczułym na jakiegokolwiek nastroje, chodzą wokół niego na palcach. To zrozumiałe – po człowieku w stanie naprężenia nerwów można się spodziewać takiego zachowania. A jednak ma ono niewiele wspólnego z francuską inwazją. Nie, kryzys, który przeżywa Aleksander, dotyczy bardziej spraw serca.

Kilka tygodni wcześniej jego złotowłosa Giulia opuściła Pesaro, by udać się do domu rodzinnego, na północ od Rzymu, gdzie śmiertelnie zachorował jej brat. Wszystko dzieje się tak szybko, że zanim papież otrzymuje wieści, Giulia jest już w drodze. Chce pożegnać umierającego, czyniąc zadość jego potrzebie – jakież obiekcje mógłby mieć człowiek będący głową Kościoła wobec takiego uczynku miłosierdzia i obowiązku? Tylko jedną: posiadłość rodziny Farnese leży o krok od Bassanello, domu jej męża, Orsina Orsiniego.

Brat umiera, rodzina go oplakuje, czas mija. Aleksander bombarduje Giulie wezwaniami do powrotu. Odpowiada ulegle, ale nie wyjeżdża. Ponownie pisze do niej z żądaniem. Ona daje odpór. Smak niepodległości, z dala od Rzymu, jest nieoczekiwanie słodki. A oczy jej męża, nawet jeśli nie zawsze patrzą w tym samym kierunku, są pełne miłości. Adriana, która z nią pojechała, także jest teraz rozdarta między uczuciami do syna a posłuszeństwem wobec papieża. Atmosfera robi się napięta. Sprawy komplikuje fakt, że Adriana pochodzi wprawdzie z Borgiów, jej syn należy jednak także do rodziny Orsinich. Lojalność Orsinich wobec Neapolu oznacza, że tym razem są sojusznikiem Borgiów, a ich wsparcie może przesądzić o wyniku wojny. Sytuacja jest pod każdym względem delikatna. Nawet brat Giulii, Alessandro, zawdzięczający kardynalską szatę „kieckowej” koneksji, stanowczo sugeruje mediację zamiast konfrontacji i ostrzega Aleksandra przed potencjalnym publicznym skandalem.

Znękany swoją polityczną impotencją, Aleksander zaczyna wszędzie wietrzyć spisek, co jeszcze bardziej go rozjątrza. Posłannik Boży na ziemi zdany na łaskę najeźdźcy i krnąbrnej kochanki! W swej frustracji miota się od jednego do drugiego. Odzyska Giulie albo niech ich

wszystkich diabli porwą. „Zdradziecka i niewdzięczna Giulio”. Jego list wybucha w jej rękach. „Nie możemy uwierzyć, że postąpiłaś wobec nas tak niewdzięcznie i perfidnie, ryzykując życiem, by udać się do Bassanello, bez wątpienia z zamiarem oddania się jeszcze raz temu... temu ogierowi...”. Od Adriany domaga się pokuty i grozi jej ekskomuniką. Jest, bądź co bądź, papieżem.

Mimo to kobiety nie wyruszają do Rzymu. Po paru tygodniach jest gotów ekskomunikować ich wszystkich. Wzywa Burcharda i każe mu wszcząć procedury. Burchard słucha, robi notatki i nie odzywa się ani słowem.

Cesare, który obserwuje sytuację zza kulisów, jest już zbyt zirytowany, by dłużej zachowywać milczenie.

– Znasz plotkę krążącą wśród dyplomatów, ojcze?

– Nie, nie znam – odpowiada papież ostro. Jest zmęczony i zdecydowanie nie w nastroju, by słuchać kazań z ust własnego syna. – Ani też mnie ona nie obchodzi.

– Mówi się, że Rzym lada chwila zostanie zaatakowany, a tymczasem Ojciec Święty myśli jedynie o tym, jak odzyskać swoją kurwę. Nie muszą nawet ubarwiać prawdy, żeby uządlić. Della Rovere dostaje w podarunku amunicję, którą wykorzysta przeciw tobie po siedmiokroć.

– Co, myślisz, że sam nie miał pod dostatkiem własnych kobiet? Zapytaj swoją matkę o chucie tego parszywego kardynałka.

– Moją matkę?

– A! – Aleksander wykonuje ręką bagatelizujący gest. – Wszyscy wiedzieli, że nie umiał utrzymać kutasa na wodzy.

– Przynajmniej nie mieszał go do polityki.

– To jest polityka! – ryczy. Wie, oczywiście, że zachowuje się źle. Mężczyzna w jego wieku nie powinien cierpieć takich sercowych katuszy; ani to mądre, ani godne. Jednak z powodów, które sam ledwo pojmuje, ta... ta pasja, którą odczuwa wobec Giulii, stała się niemal pasją samego życia, i boi się, że bez niej jego energia zacznie się wyczerpywać. – Podważa się mój autorytet i jestem przedmiotem szyderstwa. Jak ona może przedkładać nade mnie tę małpę?

– Ta „małpa” jest jej mężem.

– Tylko dlatego, że zaaranżowałem to małżeństwo. Inaczej nigdy by jej nie dostał. Giulia Farnese jest moja. Ja ją znalazłem i zawsze należała do mnie. – Przesadnie macha ręką. – Jesteś zbyt młody, by zrozumieć potęgę więzi między mężczyzną i kobietą.

A ty zbyt stary, by ciągle cierpieć z jej powodu, myśli Cesare. Lub przynajmniej by okazywać to tak bezwstydnie.

Słyszy jakiś ruch na zewnątrz. Wie, że choć ich wymiana zdań odbywa się po katalońsku, otrzymuje natychmiastowe tłumaczenie – i wydostaje się na ulicę.

– Z całym szacunkiem, Ojciec Święty, mamy do zrobienia ważniejsze rzeczy niż kłótnie o kobiety – mówi cicho, przechodząc przez komnatę. – Udzielasz zawsze trzeźwej rady, by wstrzymać się od działania w gniewie. Pozwól, że teraz ci się nią odwzajemnię. – I otwiera szybko drzwi, by ujrzeć stojącego tuż za nimi Burcharda z naręczem papierów, a za nim tkwiących z otwartymi ustami kilku czeladników, którzy powinni ucierać pigmenty na wciąż nieukończone freski. Książę Dżem zwykł po pijanemu chełpić się pałacową tradycją odcinania języka każdemu człowiekowi mającemu dostęp do prywatnych komnat sułtana. Dżem jest może sowizdrzałem i niepoprawnym gawędziarzem, ale to nie znaczy, że nie zdarza mu się powiedzieć prawdy. Cesare robi krok w stronę chłopców, a ci rozbiegają się jak spłoszone jelenie.

– Wasza Eminencjo, kardynale Walencji – mówi Niemiec, beznamiętnie jak zawsze. – Są

wieści z Florencji. Uznałem, że to na tyle ważne, by...

– ...nam przeszkodzić. I z pewnością jest tak w istocie – wita go głośno Cesare, przechodząc na włoski. – Wasza Świątobliwość, czy chcecie, bym was teraz opuścił? – Odwraca się z ukłonem do papieża. To zaledwie wątył pozór formalności, lecz pilnują, by zachowywać go publicznie.

– Nie. Nadal żądamy twojej obecności. Jakiegokolwiek to -nowiny, nasi najbliżsi kardynałowie muszą być poinformowani.

Aleksander bierze list i czyta cicho przez kilka chwil. Kiedy podnosi oczy, jego twarz jest poważna, ale znów ożywiona.

– Wygląda na to, że Florencja nie jest już naszym sojusznikiem. Piero de' Medici uciekł, a rządy znalazły się w rękach tego mnicha, Savonaroli. Dał Francuzom pozwolenie na przejście przez miasto w drodze na południe.

Pozostali dwaj mężczyźni wbijają wzrok w podłogę. Bez wsparcia Florencji już tylko zamki Orsiniego stoją na drodze francuskiej armii. Jeśli papieska nałożnica nie powróci wkrótce, może nie wrócić już wcale.

Aleksander kręci głową.

– Boże, zachowaj nas od zdrady szalonych mnichów. Posłaniec czeka, prawda? Powiedzcie mu, że w ciągu godziny dostanie odpowiedź. I będę potrzebował jeszcze innych gońców.

– Skryba jest na zewnątrz. Przyślę go. – Burchard, na tyle, na ile to możliwe, wygląda, jakby był pod wrażeniem.

– Jesz dziś kolację z matką, czyż nie? – mówi Aleksander, gdy tylko drzwi się zamykają. Cesare potakuje.

– Powiedz jej, żeby była spakowana i gotowa. Będzie na nią czekać komnata w Zamku Świętego Anioła. Kiedy przyjdzie pora, pošlę po nią zbrojną straż.

– A co z resztą kobiet? – pyta cicho Cesare.

– Ujrzymy je w domu całe i zdrowe, zanim się zacznie – odpowiada z mocą Aleksander. – Słodka Maria, Matka Boża, wyświadczy mi tę łaskę, jestem pewien.

Światło dnia już zamiera, gdy Cesare z Michelottem u boku wjeżdża na dziedziniec posiadłości swojej matki na południowym wschodzie miasta. Nie powstrzymuje jej to przed oprowadzeniem najmilszego syna po winnicy. To ich z dawna ustalony sposób powitania.

– I co sądzisz?

Pociąga następny łyk z pucharu, który wziął ze sobą. Vannozza stoi, czekając na jego opinię, a ostatnie promienie słońca oblewają jej szeroką, otwartą twarz, na której zmarszczki wypisał raczej śmiech aniżeli frasunek.

– Dobrze, *mamma*. Choć może jeszcze trochę niedojrzałe.

– Niedojrzałe! Sprzedajemy je po osiem dukatów za baryłkę. – Daje mu czulego kuksańca. – Niedojrzały to jest chyba jeszcze twój smak. – Wsuwa rękę pod jego ramię. – Chodź. Robi się zimno. Wejdźmy do środka. Kolacja będzie gotowa.

Idą wzdłuż równych rzędów winorośli przyciętych już na zimę. Cesare zastanawia się, co się stanie z jej wypieszczonym domostwem, kiedy nadejdą Francuzi. Niezależnie od tego, co przedsięwzięto dla jej bezpieczeństwa, nie będzie chciała go opuścić. Musi ostrożnie dobierać słowa.

– Miałam nadzieję, że przyjdiesz w purpurze – mówi Vannozza po chwili.

– Jeśli ktoś nosi się jako kardynał, wszyscy wiedzą, kim i gdzie jest. Człowiek nie potrzebuje mieć przy sobie całej armii, gdy chce odwiedzić matkę.

– A mimo to matka rada by ujrzeć swego syna w całej ozdobie – beszta go. – Dobrze

więc, najpierw zjemy, a potem powiesz mi, co cię gnębi.

– Nie ma nic takiego.

– Oczywiście. Ale i tak o tym porozmawiamy.

Michelotto, który przechadzał się w pewnej odległości za nimi, siada teraz na zydłu przy drzwiach. Zje później.

Posiłek jest smaczny i Cesare, który zazwyczaj ma coś lepszego do roboty niż komplementowanie kucharza, pamięta, by tym razem go pochwalić. Zresztą kuchnia Vannozzy zawsze była wyśmienita. Kiedy Cesare i Juan byli dziećmi, matka często odsyłała służące, a ojciec, zasiadający w swych wytwornych kardynalskich szatach, patrzył, jak na stojąco kosztowała potrawy i nadawała im ostatni szlif. Patrząc wstecz, Cesare jest żywo świadom elementu erotyzmu, który tkwił w tej aurze domowości.

Była już niemłoda – miała trzydzieści lat – gdy Rodrigo Borgia zwrócił na nią uwagę. Ze swym dojrzałym ciałem i nieświadomą gracją przypominała kotkę czyhającą na najlepsze miejsce do wygrzewania się w słońcu. „Masz ciało kurtyzany i duszę matrony”, powiedział jej raz, kiedy spierali się od niechcenia o jakieś domowe sprawy. Nie da się zaprzeczyć, że była w tym krztyna wyrachowania. W mieście pełnym kobiet zawodowo zajmujących się miłością udało jej się nie ulec groźbie konkurencji: nigdy nie zadawała pytań, gdy wychodził, ani nie indagowała, kiedy przyjdzie znowu, witając każdy jego powrót zawsze z tym samym serdecznym uśmiechem. Szybko zrozumiała, że jakkolwiek jej kochanek mógł mieć niemal każdą kobietę, której zapragnął, częścią swego jestestwa łaknął spokoju i zwyczajności ogniska domowego. Dała mu więc po prostu to, czego pożądał, w każdym sensie. Przez dziesięć lat doskonale radziła sobie z zadaniem umiejętnego obchodzenia się z kardynałem Rodrigiem Borgią, a kiedy to się skończyło, nauczyła się równie umiejętnie zarządzać własnym interesem. Dobiegając pięćdziesiątki, Vannozza dei Catanei jest zadowoloną z życia niewiastą.

Cesare, który pożąda kobiet, lecz nie znajduje w ich towarzystwie spokoju, w jej obecności zawsze się odpręża. Bez wątplenia to dlatego, nie dopuszczając do siebie żadnego powiernika prócz Michelotta, tak często przychodzi do niej w odwiedziny. Łączy go z matką więź głębsza, niż zdaje sobie z tego sprawę: spokojna postawa, którą odznacza się zarówno wobec przyjaciół, jak i wrogów, jest cechą odziedziczoną po niej, choć w jego przypadku służy raczej do tego, by skrywać, a nie odzwierciedlać to, co naprawdę czuje.

– A jak interesy?

– O, dobrze. Oczywiście największe dochody nadal przynosi oberża przy Moście Świętego Anioła, choć w przeciwieństwie do niektórych zdzierców nie zawyżamy cen. Z roku na rok jest coraz więcej pielgrzymów, a nawet ci biedniejsi nie mogą wszyscy spać na schodach kościoła. W roku jubileuszowym będziemy tu mieć istny zalew. Jedyne zmartwienie to wojna. Czy to o tym chciałeś rozmawiać?

– Po części. *Papà* mówi...

– ...że jeśli będą kłopoty, mam się udać do Zamku Świętego Anioła.

Cesare się uśmiecha.

– Tak.

– Nigdzie się nie wybieram. Nie zbudowałam tego wszystkiego po to, żeby banda brudnych francuskich żołdaków zbrukała mi prześcieradła i spijała moje zyski.

– Zobaczymy. Jeśli będzie trzeba, przyjadę i sam cię zabiorę.

– Dotarli już do Mediolanu, prawda?

– Tak. A następna będzie Florencja.

– Hmm. Czy to prawda, co słyszałam? Że Isabella, wnuczka króla Ferrantego, rzuciła się francuskiemu królowi do nóg, próbując odzyskać dla swego męża należny mu tytuł?

– Tak. Jest także prawdą, że została odciągnięta przez strażę Ludovica Sforzy, a jej krzyki niosły się echem po korytarzach pawijskiego zamku.

– Biedne dziecko. Wuj jej męża okropnie ich oboje potraktował.

– Ludovico powinien był ich zabić dawno temu.

– Cesare! Co ty wygadujesz? Ten chłopak jest prawowitym księciem.

– Tym lepszy powód. Za jego życia Ludovico Sforza nigdy nie będzie mógł czuć się pewnie. Sama jego egzystencja będzie pretekstem do rebelii.

Vannozza kręci głową. Ach, młodzi mężczyźni i ich sposób myślenia. Cesare wymienia spojrzenia z Michelottem, który jednocześnie słucha i nie słucha. Rozmawiali wcześniej o tym, jak mogłoby to zostać przeprowadzone.

– Miguel – odzywa się pogodnie Vannozza – myślę, że jesteśmy teraz bezpieczni. Nie ma trucizny w jedzeniu ani skrytobójcy za kotarą. Może byłbyś tak dobry i zostawił nas na chwilę samych? Chciałabym spędzić z synem trochę czasu na osobności. – Kiedy Michelotto, szurając nogami, wychodzi z pomieszczenia, dodaje: – Staram się za każdym razem wykrzesać z siebie sympatię, ale jakoś nie potrafię go lubić.

– Nie musisz go lubić, *mamma*. Jest po to, by mnie chronić.

– Może mógłby się nauczyć robić to z uśmiechem na twarzy.

– O, nie chciałabyś ujrzeć uśmiechu Michelotta.

– Cóż, to twoja sprawa. Ja znam się tylko na winach i gospodarach. A zatem, skoro nie przyszedłeś z powodu wojny, musi chodzić o miłość.

– Mądra z ciebie kobieta – uśmiecha się Cesare.

– Stara kobieta. I uradowana, choć zaskoczona. Kim jest twoja wybranka?

– Och nie, nie. Nie chodzi o mnie, tylko o papę.

– O twojego ojca? I tę młodą Farnese? Jest ciągle w Pesaro z Lucrezią, a jego zżera tęsknota za czymś, czego nie może mieć, tak?

– Niezupełnie.

Vannozza siedzi i słucha z półuśmiechem.

– Biedny Rodrigo – mówi w końcu. – Zdaje się, że dopada go starość, jak każdego mężczyznę. To dziwne. Mówi się, że to kobiety są zazdrosne, ale widziałam znacznie więcej mężczyzn tracących głowę z tego powodu. Nie martw się. To minie. Ona wróci, a on będzie ją ubóstwiał jeszcze bardziej niż wcześniej. – Przerzywa. – Choć teraz, gdy dała mu powód, może prędzej się nią znużyć.

– Ty nigdy tego nie czułaś, *mamma*?

– Czego? Zazdrości? – Wzrusza ramionami. – Jeśli nawet, to już tego nie pamiętam.

Teraz, myśli Cesare. Może teraz ją spytam. Nie będzie lepszego momentu.

– Jak było z Giulianem della Rovere?

– Co?

– Giuliano della Rovere. *Papà* coś napomykał...

– Co takiego powiedział?

Teraz on wzrusza ramionami.

– Coś i nic.

– W takim razie poprzestaniemy na niczym.

Robi ruch, jakby szykowała się do zbierania talerzy – jej zwyczajowy sposób kończenia rozmowy. Cesare wyciąga rękę, żeby ją zatrzymać.

– To niebagatelna sprawa, *mamma*. On pluje na nas żółcią jak gejzer. Gorzej niż kiedykolwiek. Nienawidzi Borgiów, jakbyśmy zniszczyli jego rodzinę. To nie ma sensu. Chyba że... – pozwala, by jego słowa zawisły w powietrzu.

– Ach, słodka Mario, Matko Boża, zastanawiam się czasem, co myśli o tym wszystkim nasz dobry Pan. Przebaczenie, pokora, ubóstwo, nadstawianie drugiego policzka... największe cnoty ze wszystkich, a nawet jednej z nich nie spotkałam w życiu u żadnego kardynała. – Wzdycha głęboko, jakby cofanie się tak daleko było dla niej zbyt dużym wysiłkiem. – Dobrze. Nie było w tym nic, co zapowiadałoby taką furię. Przez jakiś czas był, owszem, dosyć przywiązany, chociaż prócz mnie miał też inne. I nie miał łatwego charakteru. Był strasznie drażliwy. Strasznie. Kobieta musiała chodzić przy nim na paluszkach. A potem poznałam twojego ojca. On zaś... – Jej twarz rozjaśnia się w uśmiechu. – On sprawiał, że mogłam się śmiać. Żadnego obchodzenia się jak z jajkiem, żadnej potrzeby bycia kimś innym, niż byłam. Zostawiłam więc Giuliana i już wkrótce spodziewałam się ciebie. A Giulianowi się to, cóż, nie spodobało. Był... strasznie drażliwy. Myślę jednak, że zawsze chodziło bardziej o twojego ojca niż o rywalizację o moje względy. Nie miałam pojęcia, że będzie zdolny tak długo chować urazę. Do nas wszystkich. – Kręci głową. – To wszystko, co usłyszysz ode mnie na ten temat. I nigdy więcej nie będziemy do niego wracać, albo całe moje wino zamieni się w ocet, rozumiesz? – mówi gwałtownie. – Co się jednak tyczy chwili obecnej, możesz przekazać swojemu ojcu, że będę gotowa. Tylko niech nie przyjdzie mu do głowy ulokować mnie w pobliżu tej farnezyjskiej syreny. I zanim cokolwiek powiesz, nie jestem o nic zazdrosna. Z wyjątkiem może jej włosów.

Wydarzenia rozgrywają się teraz tak szybko, że na bieżąco stają się historią. Korytarze zamku w Pawii niedaleko Mediolanu raz jeszcze rozbrzmiewają udręczonym łkaniem młodej księżnej, która tym razem spędza noc, czuwając przy swoim mężu. Złożony nagłą słabością, z nastaniem dnia jest już martwy. Gdy krzyki księżnej o truciznie i morderstwie nie cichną, medycy podają jej środek nasenny.

– Mój bratanek zawsze był chorowity – mówi Ludovico, który jest teraz księciem Mediolanu w całym tego słowa znaczeniu. – Dzięki Bogu już nie cierpi.

W Rzymie Cesare przyjmuje wiadomość z poczuciem ponurej satysfakcji.

Z wrogiemomalże u bram rodzina Farnese nie może dłużej lawirować. Giulia i wierna Adriana żegnają się czule i z niewielką eskortą ruszają z powrotem do Rzymu. Nie jest to najmądrzej wybrana pora. Są ledwo dzień jazdy od jej domu, kiedy drogę zastępuje im grupka francuskich szlachciców, którzy wybrali się na rekonesans na południe. Otworzył powóz i ujrawszy słodką twarzyczkę wyłaniającą się zza ciężkiej kurtyny włosów, Francuzi wiedzą, że trafili na żyłą złota.

Aleksander, czytając wiadomość, blednie, a potem purpurowieje. Ma szczęście: jakkolwiek Francuzi znani są z wystawnego życia i lubieżności, w kilku szlachetnych piersiach wciąż biją serca, które cenią sobie rycerskość. Damy nie tylko są całe i zdrowe, ale za sumę trzech tysięcy dukatów zostaną odprowadzone do bram Rzymu i przekazane w ręce papieskich straży.

Pieniądze zostają przygotowane i wysłane z nieprzyzwoitym pośpiechem. Aleksander poświęca niebywale dużo uwagi swojej garderobie, decydując się wreszcie na czarny aksamit szamerowany złotem, buty z najprzedniejszej hiszpańskiej skóry oraz miecz i sztylet, aby pokazać, że potrafi być i kochankiem, i wojakiem. Wymiana odbywa się po zmroku. Aleksander na swym białym ogierze dojeżdża do bramy miasta i czeka, szykując się na wystąpienie z obliczem gniewnym i pełnym majestatu, lecz o ostatecznym efekcie decydują jego podniecenie i zalana łzami, uśmiechnięta twarz Giulii, która przypada do ziemi u jego stóp. Córy marnotrawne zostają powitane w domu i Giulia spędza noc w papieskim łóżu.

Budząc się następnego ranka, Aleksander jest gotów stawić czoła światu. Musi być: francuski król rozkazującym tonem domaga się teraz bezpiecznego przejścia przez Państwo Kościelne. Posłanie to przynosi nie kto inny jak stary sprzymierzeniec Aleksandra z czasu

konklawe, wicekanclerz kardynał Ascanio Sforza.

Ma przynajmniej tyle charakteru, by okazać zakłopotanie z powodu własnej zdrady.

– Przykro mi, że do tego doszło, Wasza Świątobliwość. Nigdy nie było moją intencją... – urywa.

– Oczywiście, że nie. Wiecie, wicekanclerzu, że jeśli macie coś do wyznania, zawsze znajdzie czas. – Na przyjęcie kardynała Aleksander odział swą pękatą postać w papieską aksamitną pelerynę lamowaną gronostajami, a na palcach, którymi niecierpliwie bębni, rzuca się w oczy gruby pierścień rybaka.

Sforza nerwowo przestępuje z nogi na nogę. Jak na bogatego człowieka Kościoła, wygląda lepiej niż większość, ale presja rodzinnych ambicji – i wojowniczość jego brata Ludovica – dodała jego twarzy dobre dwadzieścia lat. Teraz ma przynajmniej bardziej namacalną motywację. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, gdy Francuzi przejmą Rzym, zostanie zwołany sobór powszechny, który złoży z tronu obecnego papieża i całkiem możliwe, że osadzi na nim właśnie jego, jakkolwiek każdy wie, że prawdziwą władzą będzie się cieszył della Rovere.

– Jeśli mogę mówić otwarcie, Wasza Świątobliwość, Francuzi podbiją Neapol i z waszym wsparciem, i bez niego. Byłoby lepiej, gdybyście przystali na żądania króla Karola już teraz.

– Dla kogo konkretnie byłoby lepiej? Dla króla? Dla mnie? Dla twojego brata w Mediolanie? A może dla ciebie? – Z rozciągniętych w szerokim uśmiechu ust Aleksandra uchodzą słowa posmarowane miodem. – Powiedz mi, Ascanio, jak ci się podobają malowidła Pinturicchia w naszych papieskich pokojach? Bardzo ciężko ostatnio pracował.

– Ehm... Są... prześwietne, Wasza Świątobliwość.

– Owszem, też tak sędzę. Jeśli spojrzysz na lewo... tak, pozwalam ci się odwrócić... co widzisz tam na ścianie na wprost?

Dolna część ściany komnaty, poniżej scen religijnych, jest teraz pokryta freskiem przedstawiającym draperie, dowcipnie rozsunięte, by odsłonić kolejną malowaną tapetę – fałszywe półki: ot, mały malarski figiel w Sali Tajemnic. Na jednej zaś z półek spoczywa biało-złota papieska tiara naturalnej wielkości, tak doskonale trójwymiarowa, że zda się, iż można ją stamtąd zdjąć i założyć sobie na głowę.

– Sprytne, nie uważasz? I takie przekonujące. Przypuszczam, że świerzbią cię ręce, by po nią sięgnąć. Najwyraźniej pałac, który dałem ci dwa lata temu, jest już zbyt szczupły na twoje ambicje. Na rany Chrystusa! Ascanio Sforzo, powinieneś się wstydzić. – Aleksander wstaje, góruje teraz nad swym dawnym sojusznikiem, a na jego twarzy nie widać już uśmiechu. Zastępuje go podniesiony głos, dość gromki, by przeniknąć zamknięte drzwi. – Przynosisz hańbę Kościołowi. Jako kardynał i wicekanclerz winieneś okazywać lojalność papieżowi, a nie czepiać się furgonu francuskiego najeźdźcy. Może w oczach plotkarzy jestem zepsutym Hiszpanem, ale Bóg mi świadkiem, że jestem lepszym Włochem aniżeli ci, którzy teraz zdradzili Italię, i nie dopuszczę, by zdeptała ją obca armia. Idź i powiedz to swojemu nowemu panu.

Mimo szalejącej wokół burzy Sforza nie traci gruntu pod nogami.

– Przybyłem z całą szczerością, próbując się przysłużyć, i oto mam odpowiedź.

Aleksander wydaje jeszcze głośniejszy ryk i drzwi otwierają się z impetem, wpuszczając pięciu uzbrojonych gwardzistów gotowych do czynu.

– Po namyśle stwierdzam, że znajdę innego posłańca. Nie jesteś już godzien pokazywać się publicznie jako człowiek Kościoła. Przekonasz się za to, jak wypada komnata w Zamku Świętego Anioła w porównaniu z wygodami twojego pałacu. Na twoim miejscu modliłbym się, aby ktokolwiek pamiętał, by przyjść ci w sukurs.

Nowina o upokorzeniu Sforzy rozprzestrzenia się lotem błyskawicy i jest plotką cieszącą

ucho. Papież, jak zgadzają się wszyscy, odnalazł w sobie ducha walki. Co za szkoda, że nie ma armii, która by go wsparła. W połowie grudnia, gdy francuskie wojska wlewają się na terytorium Państwa Kościelnego, Virginio Orsini, zatrudniony jako dowódca sił neapolitańskich i właściciel dwóch wielkich twierdz w Anguilarze i Bracciano, strzegących traktu do Rzymu, bez jednego wystrzału otwiera bramy przed wrogiem. Kapitulacja to w tych okolicznościach zbyt łagodne określenie. Według wszelkich ogólnie przyjętych kryteriów jest to zdrada.



Rozdział 16



Nigdy nie mieszkała tak blisko morza i zdumiewa ją, jak zmienne są jego stany i kolory. Szeroka struga wody, nad którą dorastała, Tyber, ma swoje zróżnicowane w ciągu roku życie, z brzegami buchającymi zielenią na wiosnę i ospałym nurtem w lecie, lecz w porównaniu z morzem jest nudna. Jego barwa potrafi w ciągu jednego dnia przejść ze srebrzystej, przez kobaltowoniebieską, w szarość i czerń, a powierzchnia jest gładka jak stół albo skłębiona i spieniona w zależności od wiatru. Jego szum wita ją co rano, gdy jej damy otwierają okiennice na drugim piętrze pałacu książęcego, z którego roztacza się widok na leżące niżej miasto. Ta ciągła obecność morza sprawia, że czasami zastanawia się, czy nie udzielają jej się jego nastroje.

Dojechali do miasta wśród gwałtownej wiosennej burzy. Deszcz lał tak zaciekle, że zmył doszczętnie wszystko, co przygotowano na ich uroczyste powitanie, pozostawiając drogę śliską od kwiatów ze zniszczonych girland. Mimo to ci, którzy jednak przyszli, wiwatowali i wykrzykiwali jej imię, i czuła względem nich wielką wdzięczność; tak czy inaczej byli wszyscy tak mokrzy, że kiedy wjechali za bramę pałacu i zsunęli się z koni i lektyk prosto w strumienie wody, nie pozostało im nic innego, jak tylko się śmiać – śmiać się i robić jak najlepszą minę do złej gry. Przez pierwsze kilka dni książęce komnaty przypominały pralnię, z przemoczonymi ubraniami rozwieszonymi przy bużujących paleniskach i unoszącą się wszędzie parą. Lucrezia nie miała w życiu podobnej przygody; ponieważ jest księżną, przekonała się, że jeśli się śmieje i bagatelizuje nieszczęście, wszyscy inni śmieją się wraz z nią.

Ze słońcem powróciły ostatki wiosny i Pesaro, małe, ale urocze, jeśli człowiek nie jest głodny na ulicy, z otwartymi ramionami witało nową władczynię, która jako ulubienica papieża mogła przynieść ze sobą tylko bogactwo i przywileje. Słownicz-two i dialekt Romanii były tak odmienne, że chwilami nie rozumiała niemal ani słowa z tego, co do niej mówiono, jednak skłaniała głowę i uśmiechała się z taką gracją i z takim wyrazem szczerości, że oczywiście podbiła wszystkie serca.

Pałac, przez lata uśpiony, zbudził się do życia. Zaczęły się bankiety, przedstawienia i koncerty, dokładnie tak jak wyobrażał sobie Giovanni, i wszyscy z sąsiednich posiadłości i miasteczek ściągali, by ujrzeć tę niecodzienną kompanię: córkę papieża i jego metresę, jedną cudniejszą od drugiej. I obie takie sztywne! Nawet najślawniejsza szlachcianka z okolicy, Caterina Gonzaga, znana jako złodziejka serc i odziana zawsze w najnowsze suknie od krawców z Mediolanu i Wenecji, została przyćmiona przez tęczowe brokaty i śmiały krój ich strojów, chociaż kontrast między jej mleczną skórą i niebieskimi jak morze oczyma a zmysłową oliwkową urodą Giulii Farnese nie uszedł niezauważony. Z Pesaro do Rzymu płynęły listy odmalowujące ich tryumfy towarzyskie i szczegółowo opisujące uroki i monotonię życia na prowincji. Im więcej pisały, tym więcej papież pragnął słyszeć. O, jakże mu brakuje jego najmilszych pań, jęczy.

Rzecz jasna, Lucrezia także tęskni za bliskimi: zajmują pierwsze miejsce w jej modlitwie i często w jej sercu – a jednak jako udzielna księżna miewa chwile, w których odczuwa pewną lekkość, a nawet szczęście; szczęście kogoś, kto jest zarazem kochany i zostawiany czasem samemu sobie; chwile, w których oprócz córki Borgiów żyje w niej Lucrezia, młoda kobieta

z własnymi uczuciami i życzeniami.

W ciągu tych pierwszych dni nawet Giovanni zdawał się rozkwitać. Jak myśliwy, który wrócił z łowów z chlubną zdobyczą, zaczął się cieszyć tym, co miał, zamiast nieustannie zerkać przez ramię, czy aby ktoś nie chce mu tego odebrać. Mimo że mieli w pałacu osobne apartamenty, jak przystało na księcia i księżną, z początku dość często przychodził do niej w nocy i uprawiali coś na kształt miłości, może nieco pospiesznie i niezdarnie, ale nie doznawała przy tym bólu, a on czerpał z tych aktów tak widoczną przyjemność, że sama czuła czasem niemal euforię. Później zaś leżał przy niej i mówił do niej pieszczotliwie, a ona rozmyślała, jak miłe może być życie małżeńskie, choć jej myślom zdarzało się zbłądzić i dumiała o wszystkich tych innych mężach, których przepowiedział jej Cesare.

Ten miesiąc miodowy nie potrwał jednak długo. Księżęca poczta jest tak samo zajęta doręczaniem przesyłek z Mediolanu, jak z Rzymu, i wkrótce Giovanni spędza dni z dala od Lucrezii. Kiedy wraca, wydaje się nerwowy, napięty i nie odpowiada na jej powitanie. Lucrezia zaczyna pojmować, że jego wcześniejsza niepewność nie miała nic wspólnego z tęsknotą za domem, lecz wynikała z usposobienia: Giovanni jest z natury niespokojnym człowiekiem, który źle się czuje we własnej skórze. Teraz, nawet kiedy są razem w łóżu, chyba błądzi myślami gdzie indziej. Albo cierpi na jakąś obstrukcję, bo często skarży się na ból brzucha. Gdy pyta go czule (a przynajmniej ma taką nadzieję), co go gnębi, odpowiada, że nie tak łatwo być księciem Pesaro w takim czasie jak obecny, a ona przytakuje pocieszająco, choć w cichości nie może się powstrzymać od myśli, że jej ojciec rządzi całym chrześcijaństwem, a jednak ma zawsze czas na uśmiech i żart.

Chciałaby z kimś o tym porozmawiać. Może brak czegoś w ich cielesnej miłości, czegoś, co mogłoby bardziej go uspokajać i zadowalać. Giulie jednak pochłaniają własne zmartwienia: po otrzymaniu wieści o chorobie brata szaleje z niepokoju i myśli tylko o tym, jak do niego pojechać. Adriana jest równie zaabsorbowana, ponieważ będzie musiała jechać z nią, a swojej rady tak czy inaczej już udzieliła: „To nie takie ciężkie – owo połączenie ciał. To, co z początku dziwne czy odstręczające, wkrótce staje się czymś zwyczajnym”.

Może nie dzieje się nic złego, myśli Lucrezia. Może w życiu małżeńskim po prostu tak musi być.

Po tym jak Giulia i Adriana wyjeżdżają do Capodimonte, nastrój w pałacu się zmienia. Gdy nie staje pretekstów do przyjęć i nieustannego poznawania nowych ludzi, tempo życia zwalnia, a dni zaczynają się dłużyć. Obywatele Pesaro wracają do swoich zajęć, nie pamiętając dłużej o swojej nowej księżnej za murami pałacu. Taka jest kolej rzeczy. Lucrezia czuje się osamotniona. Miała nadzieję, że znajdzie tu nowe życie. Owszem, jest tu coś w rodzaju dworu: kilka szlacheckich rodów wciąż łasych na zaproszenia, lecz niewiele mających do zaoferowania w zamian. Lucrezia czyta książki i sprowadza mały zespół muzykantów, by przygrywali im wieczorami. Giovanni jednak rzadko zostaje, żeby ich posłuchać, wymawiając się sprawami urzędowymi. Słyszała o innych miastach – Mantui, Ferrarze, Urbino, nawet dzikim Neapolu – gdzie mężczyźni i kobiety zbierają się, by czytać razem poezję i do późna rozprawiać o nowej nauce i roli ideału rycerskiego. Gdzie dwornicy panowie piszą sonety do czułego serca swojej księżnej, wychwalając jej usposobienie i cnoty przed całym światem. Och, jak bardzo by chciała utrzymywać taki dwór. I być w rezultacie muzą takich mężczyzn.

– Są tu w Pesaro poeci? – pyta Giovanniego pewnego wieczoru.

– Poeci? Nic mi o tym nie wiadomo.

– Nie moglibyśmy jakichś znaleźć?

Snuje się po komnatach, popatrując na gobeliny i wyeksponowane złote naczynia.

Doprawdy, to taki smutny pałacyk w porównaniu z Rzymem. Są dekoracje i kilka blaknących

fresków, lecz przy stylu Pinturicchia, z całą jego podniosłością, a jednocześnie swawolą, wydają się pozbawione życia. Teraz, kiedy ma własny dom, chciałaby kupować do niego różne rzeczy: posągi, a może malowane na zamówienie obrazy. Tak robią inni. Słyszała o guście i geście Isabelli d'Este, urodzonej w Ferrarze, lecz przez małżeństwo osiadłej w Mantui, wciąż jeszcze młodej – może pięć czy sześć lat starszej niż ona. Mówi się, że jej pałac to galeria zarówno wspaniałych antyków, jak i nowej sztuki. Lucrezia widziała raz jej portret – śliczny, chociaż wie, dzięki przyglądaniu się, jak pod pędzlem Pinturicchia rośnie jej rodzina, że podczas gdy mężczyźni do rozślawiania swojej osoby potrzebują rozpoznawalnego podobieństwa, kobietom trzeba wpieryw pochlebić, zanim -pozwoli się im być sobą.

Może gdyby świat nie pędził naprzód tak szybko... Przy takim stanie rzeczy, jak jest, Lucrezia spędza większą część lata, broniąc się przed gniewem ojca z powodu dezercji Giulii. Urokiem wkupuje się z powrotem w jego łaski, lecz wkrótce pojawia się kolejna troska – z listów wynika, że rośnie obawa przed inwazją. I Cesare, i ojciec chcą, by wszyscy wracali do Rzymu, zanim sprawy się pogorszą. Ale Giovanni także jest zajęty. Jeździ do Mediolanu, a kiedy jest w domu, posłańcy przybywają o dziwnych porach dnia i nocy. Następnie z Rzymu przychodzi pilna wiadomość, że Giovanni ma objąć stanowisko w armii neapolitańskiej i jego obecność będzie nieodzowna, toteż mają być gotowi do wyjazdu w każdej chwili. „Księstwo Mediolanu nieskoro będzie mu zapłacić, w sytuacji gdy jesteśmy sprzymierzeni z królem Alfonssem, i Giovanni nie ma wyboru: musi postąpić zgodnie z naszą wolą”, pisze do niej ojciec. Ton jest tak wyraźny, że niemal słyszy w tle jego głos.

– Powinniśmy wyjechać natychmiast – mówi, przeczytawszy list.

– Jak możemy wyjechać przy groźbie inwazji? Co się stanie z Pesaro, jeśli wpadnie w ręce Francuzów, a ludzie przekonają się, że ich porzuciłem? Pojedziemy, kiedy zabezpieczę miasto.

Lucrezia, która na razie wie o polityce tyle, ile jej powiedzą, docenia jego troskę. Jako księżna ona także musi się martwić o swój lud. Albo przynajmniej próbować.

Kilka tygodni później Giovanni znów wyjeżdża – jak mówi, na spotkanie z papieskimi wojskami zbierającymi się w Romanii. Lucrezia niespokojnie wyczekuje wieści. Kiedy jej mąż wraca, wydaje się, że zmalął. Bóle brzucha w oczywisty sposób przybrały na sile. Musi czuć się rozdarty między swoimi dwiema rodzinami. Jak mogłoby być inaczej? Chciałaby mu pomóc, być mu w tym zmartwieniu dobrą żoną, lecz coraz trudniej się do niego zbliżyć. Którejś nocy budzi się i ma wrażenie, że słyszy go gdzieś w komnacie. Zapala lampkę, ale sypialnia jest pusta. Mimo późnego lata i okien otwartych na morze jest wciąż upalnie. Lucrezia uspokajająco szepcze do służącej, by spała dalej, i idzie poszukać męża. Roi sobie, że gładzi go po czole, prowadzi z powrotem do łóżka i rozchyła koszulę, by mógł wtulić twarz w jej piersi. Obraz jest tak wyrazisty, że zastanawia się, czy kiedykolwiek widziała taką scenę. Może to wspomnienie z dzieciństwa – gdyż ciało pod koszulą, które widzi oczyma wyobraźni, jest dojrzsze niż jej własne. Niepokoi ją to i zarazem ekscytuje.

Staje przed pełgającą linią światła świec pod drzwiami jego komnaty i popycha je lekko, tak że otwierają się bezgłośnie. Giovanni siedzi pochylony nad sekretarzykiem, gorączkowo skrobiąc piórem, otoczony zapisanymi kartkami. Kiedy woła go cicho, podskakuje, jakby kto wystrzelił mu nad uchem z arkebuza, i zagarniając rękoma papiery, jak gdyby chciał je przed nią ukryć, wrzeszczy na nią za to, że śmiała zakłócić mu spokój.

– Nie chciałam ci w niczym przeszkodzić, panie. – Porażona jego zachowaniem, boi się, że wybuchnie płaczem, ale usiłuje się nie poddawać. – Pomyślałam tylko, że jest bardzo późno, i miałam nadzieję, że przyjdiesz tej nocy do mojego łóżka.

– Do twojego łóżka? – odpowiada, jakby była to najbardziej szalona sugestia, jaką można

usłyszeć. – Ależ jestem zajęty. Nie widzisz?

– Tak, tak, widzę, ale... – I ku jej furii powstrzymywane łzy jednak się wymykają. Bo ma piętnaście lat i wie, że jej małżeństwo nie jest udane, i zbyt długo próbowała się łudzić, że jest inaczej. Giovanni patrzy na nią z czymś w rodzaju zgrozy, wreszcie otrząsa się, podchodzi i obejmując ją niezręcznie, przyciąga do siebie.

– Przepraszam, Lucrezio. Nie chciałem krzyczeć. Mamy teraz trudny czas. To nie twoja wina.

– Cokolwiek cię trapi, możesz mi powiedzieć – mówi, próbując pohamować płacz. – Jestem twoją żoną.

– Tak. Jesteś moją żoną. – I śmieje się gorzko. – Moją cudowną, uroczą żoną z domu Borgiów.

– Chodzi o moją rodzinę? – pyta Lucrezia, odsuwając się na chwilę. – Dowiedziałeś się czegoś, o czym lękasz się mi powiedzieć? – I spogląda na stolik zasłany pisanymi w takim pośpiechu listami.

– Nie, nie. To tylko polityka. Sprawy państwowe, nic, czym powinnaś się martwić.

– A więc troskasz się z powodu swojej rodziny? O to chodzi? Musi być ciężko...

– Lucrezio, to nie twoja sprawa. – Opuszcza ręce i nie patrzy na nią. – Powiedziałem, że nic się nie dzieje. Jestem po prostu zajęty. Wracaj do łóżka.

Lucrezia jednak wie, że czymkolwiek jest to, czego nie wie, nie jest to nic.

Po tej nocy unika jej jeszcze bardziej. Jeśli człowiek zdradza rodzinę żony, zrobi najlepiej, nie udając miłości. Kiszki stają się jego sumieniem. Ledwo może wysiedzieć z nią podczas posiłku, aż wreszcie woli jeść samotnie, tak by móc wstać od stołu, gdy wzywają go do tego wnętrzości.

Posłańcy przybywają i odjeżdżają. Francuzi przekroczyli Alpy. Nawet służący rozmawiają teraz o ich niepowstrzymanym pochodzie.

– Mój kuzyn Ludovico jest teraz księciem Mediolanu – mówi jej którejś nocy.

– Och. Co się stało z jego bratankiem? – pyta nieśmiało -Lucrezia.

– Umarł – odpowiada bez ogródek.

– A co z jego żoną?

– Przypuszczam, że wstąpi do klasztoru albo zostanie odesłana do domu, do Neapolu.

Księżną jest teraz Beatrice d'Este. Ha! Ona i jej siostra Isabella rządzą teraz i Mantuą, i Mediolanem – mówi gorzko. Gorycz wszak staje się ostatnio jego smakiem powszednim.

Dwie mądre siostry z dwoma wielkimi mężami, myśli Lucrezia. Jakże chciałaby mieć siostrę, do której rady mogłaby się odwołać.

Żyje w narastającym niepokoju. Służba szepcze, że armia, kierując się na południe, może wkroczyć do Romanii, bo teren będzie łatwiejszy do marszu. Dlatego czekają tam na nią sprzymierzone siły wojsk papieskich i neapolitańskich. Jednak ku powszechnemu zaskoczeniu Francuzi obierają inną trasę, przez Apeniny i w dół w stronę Florencji. Prawie jakby wiedzieli, gdzie nie spotkają przeciwnika.

Każdego ranka czeka na wieści. Jest zima, listy idą dłużej w deszczu i błocie. Morze jest na przemian pokryte białą pianą lub śmiertelnie szare, zawdzięczając wygląd burzowym chmurom i łuszczącej je fali. W Pesaro nadal nie ma poetów, a dwóch muzykantów zapadło na piersiową chorobę i brak im tchu, by dać w piszczałki. Pałac robi się cichy i zimny. Lucrezia nieustannie myśli o Rzymie, o tym, co może się tam dziać. Może nie ma już nawet rodziny, do której mogłaby wrócić.

Gdy w końcu nadchodzi wiadomość, Giovanni nie może jej przed nią ukryć. Po niemal dwóch tygodniach ciszy staje się jasne, dlaczego nie docierały do nich żadne nowiny. Przełamuje

swoje odosobnienie, by wejść rankiem do jej sypialni.

– Lucrezio.

W sekundę siedzi na łóżku, kurczowo zaciskając palce na kołdrze.

– Co się stało?

– Jest... Jest posłaniec. Przyjechał w nocy. – Waha się. – Rzym otworzył bramy i wpuścił francuską armię.

Lucrezia wpatruje się w niego z przerażeniem.

– Kiedy? Kiedy to się stało? Powinieneś był mi powiedzieć. – Zerwała się już z łóżka.

Teraz wzywa służące i rozgląda się za odzieniem.

– Lucrezio, nie możesz nic zrobić. Byłoby stanowczo zbyt niebezpiecznie teraz tam jechać.

– Mówili nam. Mój ojciec mówił nam, żebyśmy przyjeżdżali. Potrzebowali naszej pomocy. Co z armią obronną, którą miałeś dowodzić?

Potrząsa głową nad jej mrzonkami.

– Cokolwiek byśmy wtedy učinili, nie sprawiłoby żadnej różnicy. Kości zostały rzucone dawno temu. Droga żono. – Robi krok w jej stronę.

– Nie. Nie dotykaj mnie. Powinam była jechać. Powinam tam być. Co się stanie z moim ojcem? Z Adrianą, z Giulią, z moją matką? I z Cesarem, co z Cesarem? Co oni im zrobią?

Gorycz ponownie przebija przez jego słowa:

– O, jestem pewien, że twoja rodzina znajdzie sposób, by o siebie zadbać.

Rozdział 17



Mógł uciec. Było dość czasu, kiedy armia dopiero się zbliżała, a król Alfonso z Neapolu oferował mu azyl w strzegącej południowego wybrzeża wielkiej fortecy w Gaecie. Cofanie się przed walką nie leżało jednak nigdy w naturze Aleksandra, a gdyby pozostawił za sobą pusty papieski tron, della Rovere niechybnie potraktowałby to jako zaproszenie, by przymierzyć do niego swój kościsty tyłek. Nie. Jakkolwiek rozpaczliwie wyglądałaby sytuacja, Rodrigo Borgia nigdzie się nie wybiera. Jeśli rosnące napięcie ma nań jakiś wpływ, to jedynie coraz bardziej go odpręża.

Tego ranka, gdy francuski emisariusz przynosi posłanie od króla, żądającego wejścia do miasta, papież akurat zażywa kąpieli. Rytuał ten, odbywający się co dwa tygodnie, uważa za czas na poły uświęcony i nie zamierza go skracać dla nikogo.

Siedzi w wielkiej drewnianej balii, zasłoniętej z trzech stron dla ochrony przed przeciągami. Na brzegach oparta jest taca z talerzem serów i kandyzowanych fig oraz pucharem grzanego wina. Właściwą temperaturę zapewnia sztafeta służących z cebrzykami gorącej wody. Na zewnątrz panuje ziąb i poczucie ciepła i nieważkości sprawia mu wybitną przyjemność. Rzym był niegdyś miastem łaźni. Ich ruiny przypominają o życiu, które już nie wróci – o czasach, kiedy termy były wielkimi salami posiedzeń, a mężowie rządzący imperium opracowywali strategie polityczne pośród kłębów pary i basenów z chłodną i ciepłą wodą. W młodości, kiedy miał ciało wzbudzające taki sam podziw jak jego umysł, byłby to uwielbiał. Teraz jednak jest już tak opasły, że nie ma ochoty pokazywać się nikomu z wyjątkiem tych, którzy go kochają. Kiedy to wszystko się skończy, będzie przez jakiś czas pościł, obiecuje sobie. Bierze kolejną kandyzowaną figę i opiera się wygodnie.

Gdy w końcu się wyłania, wyszorowany do czysta jak wielki różowy bobas i namaszczony wonnymi olejkami, z satysfakcją zauważa, jak brudni i sponiewierani są oczekujący go francuscy dworzanie, a spod ich pospiesznie zaaplikowanych pachnideł bije nieubłagany smród żołnierskiego obozu.

– Ufff...! Wybaczcie – mówi, wachlując się ręką, jakby potrzebował powietrza. – Jeszcze nie uszło ze mnie gorąco kąpieli. Widzę jednak, że na zewnątrz ciągle tęgi mróz. Życie wojskowe o tej porze roku to nie lada wyzwanie, nieprawdaż? Czemu nie przysuniecie się do ognia? Wyglądacie na zmarzniętych na kość – mówi rażno, dostrzegając w blasku płomieni popękaną skórę ich policzków.

Ledwo przestają się trząść, kiedy odzywa się znowu:

– Chciałoby się pozwolić wam jeszcze trochę odtajać, ale niestety, interes to interes. Powiedzcie zatem jego królewskiej mości, że przemyślę jego „propozycję” i dam mu znać, gdy tylko Bóg wskaże mi drogę podczas tych rozważań. Och, i przykazałem służącym, aby dali wam czyste ręczniki. Możecie zabrać je ze sobą, żeby się uporać z... brudem drogi. – Lekko postukuje palcem w czubek nosa. Będąc pod presją, trzeba czerpać przyjemność skąd się da.

Następnego dnia wraz z Cesarem obserwuje grupowanie się wroga za murami. Niezależnie od brawury udzielonej królowi odpowiedzi obaj wiedzą, że to tylko kwestia czasu. Z górnych kondygnacji Zamku Świętego Anioła oglądają francuską kawalerię pasącą konie na

okolicznych polach i artylerię przetaczającą armaty o wielkich, grubych jak tarany lufach z brązu, lecz wystarczająco chyże na swoich zwrotnych lawetach. Takie ruchome działa po raz pierwszy goszczą na włoskiej ziemi i Cesare, gorliwy adept sztuki wojennej, nie może oderwać od nich oczu. Wyrwały już dziury w murach każdego miasta, które stanęło na ich drodze, i Rzym nie będzie wyjątkiem.

Szczęśliwie dla historii zapasy w Rzymie są tak skąpe, że nie trzeba użycia siły, by skłonić miasto do poddania się. Rankiem w dzień Bożego Narodzenia papież wzywa kardynałów i dowódców i obwieszcza im swoją decyzję o wpuszczeniu króla do Rzymu. Nędzne resztki sojusznicznych wojsk uchodzą przez południową bramę i wieczorem tego samego dnia trzech francuscy wysłannicy zostają zaproszeni przed oblicze papieża w watykańskiej kaplicy. Rozsiadają się na miejscach zarezerwowanych dla najwyższych kościelnych dostojników. Burchard, nie posiadając się ze zgorzienia, karci ich z pasją, kiedy wchodzi sam Aleksander.

– Sprawisz, że nadzieją nas na ruszt i upieką we własnych łózkach, jeśli nie znajdziesz sposobu, by się do nich dostosować – syczy papież, odprowadzając go do drzwi.

– Tak się nie godzi. Bóg nigdy nam nie przebaczy – stęka Niemiec z widocznym bólem.

– Ja też nie. A to przede mną będziesz najpierw odpowiadać – rzecze Aleksander, po czym przyobleka twarz w szeroki uśmiech, odwracając się, by powitać Francuzów. Jego czar i wyniosłość okazałej postaci w ceremonialnych papieskich jedwabiach prędko podrywają ich z krzesel i rzucają na kolana. Unosi upierścienioną dłoń i podsuwa im do pocałunku. Szata jednak zdobi człowieka, a on dobrze o tym wie.

Sześć dni później armia wkracza do miasta. Spektakl przebija wszystko, na co mogliby się zdobyć Borgiowie, i cały Rzym wylega, by patrzeć. Ci, którzy tkwią u bram i rachują, będą przez lata spierać się o liczby. Plotka i strach rozdymają rozmiary armii, która toczy się na podbój kraju, a za wojskiem nieuchronnie ciągną obozowe przybłędy – im dalej posuwa się w marszu, tym więcej kobiet i włóczędzów przyczepia się do niego jak żelazne opiłki do wielkiego ruchomego magnesu. Nie ulega wątpliwości, że współczesna Italia nie oglądała czegoś podobnego. Według najostrożniejszych szacunków do Rzymu wlało się tego dnia dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy: zbrojni w miecze i piki, kusznicy, konnica i artyleria – każda grupa opłacona, by nieść inny rodzaj śmierci. Dotarcie do Palazzo San Marco, gdzie mają zostać zakwaterowani król i jego główni dowódcy, zajmuje im tyle czasu, że ostatnie oddziały wkraczają już po zapadnięciu zmroku, przy świetle wielkich dymiących pochodni, w przenikliwym zimnie. A na honorowych miejscach u boków króla wjeżdżają Giuliano della Rovere i świeżo oswobodzony Ascanio Sforza.

Palazzo San Marco, z echami weneckiego splendoru, z całą pewnością wart jest króla. Jego wewnętrzny dziedziniec ma bez mała rozmiar stadionu, a kamienne schody zakręcające na kilku kondygnacjach przyprawiają człowieka usiłującego ogarnąć wzrokiem wszystkie poziomy o zawrót głowy. Krążą opowieści, jak to nowo zainstalowany w pałacu młody król każe służącym wnosić się po nich i znosić w lektyce, pokonując w ten sposób uskoki i zakręty bez ryzyka nadwężenia karku, jest bowiem, nieszczęsny, nie tylko garbaty, ale i nikczemnego wzrostu. Zachowuje się w tej samej mierze tryumfalnie i nerwowo. Spożywa każdy posiłek w asyście czterech medyków wyczulonych na najmniejszy objaw zatrucia, a wino podają mu w kielichu z osadzonym w dnie kawałkiem rogu jednorożca, by miał pewność co do czystości trunku. Największą władczość przejawia, kiedy proces trawienia pomyślnie dobiegnie końca.

Po trzech dniach żądania Karola docierają do papieża za pośrednictwem Burcharda, który został wezwany do króla. Niebo nad Rzymem jest ciężkie od deszczu, gdy Niemiec wchodzi do Sali Świętych, w której Aleksander naradza się z Cesarem. Wieści przeznaczone tylko dla uszu papieża są także przeznaczone dla uszu jego syna.

– Och, Ojcie Świąty, oni zachowują się jak zwierzęta! – Mistrz ceremonii płonie oburzeniem. – Traktują prałatów jak chłopców na posyłki, a pałac zamienili w chlew. Rozpalają ogień tuż pod arrasami, więc są całe okopcone, i chociaż dostali mnóstwo czystych sienników, wszystko już splugawili. Brud jest taki, że nie sposób odróżnić komnat od stajni. A oni i tak chcą więcej. Mają listę domów, które zamierzają zarekwirować. I... – Bierze dramatyczny wdech.

– I jest na niej także twój dom?

Burchard zamyka oczy i wstrząsa nim dreszcz zgrozy.

– To z pewnością bulwersujące. Może jednak przekażesz nam ich pozostałe żądania?

– A! A! Proszę bardzo! – Gwałtownie podaje im papier. – Chcą, żebyście poddali Zamek Świętego Anioła. Wydali Jego Wysokości księcia Dzema jako zakładnika na czas drogi do Ziemi Świętej. I...

– Co z pieniędzmi, które sułtan płaci za jego bezpieczne przetrzymywanie? – Nie darmo Aleksander przez trzydzieści lat zajmował się bilansowaniem papieskiego budżetu, a nie ma aktualnie wicekanclerza, któremu mógłby ufać.

– O, chcą człowieka, nie pieniędzy. Upewniłem się co do tego. Zapłata zostaje w rękach Waszej Świątobliwości.

– To dobrze. I co jeszcze?

Burchard patrzy na niego i w widoczny sposób się waha.

– No, dalej, to nie może być takie straszne.

– Żądają, aby jego najczcigodniejsza mość kardynał Walencji towarzyszył im jako zakładnik w drodze do Neapolu.

W ziarnistym świetle wypełniającym komnatę ojciec i syn popatrują po sobie.

– Sądzę... Sądzę, że... Jego Wysokość uważa, że w ten sposób zapewni sobie wasze papieskie pomazanie przy koronacji w Neapolu, jeśli obejmie tron.

– Jestem przekonany, że masz słusność. – Teraz, gdy przyszła ta chwila, Aleksander czuje nadzwyczajny spokój. – Dziękuję ci, Burchardzie, jestem wdzięczny za twoje spostrzeżenia.

– Czy mam zaczekać na waszą odpowiedź? Zastanawiałem się i sugerowałbym...

– Nie. Nie. Powinieneś iść do domu i opróżnić go z wszystkiego, co zdołasz wynieść, zanim tam przyjdą. Poradzę sobie sam.

Długa twarz Burcharda wydłuża się jeszcze bardziej. Pomimo odrazy gdzieś w głębi, w jego żyłach krąży ekscytacja i wydaje się niemal rozczarowany, że go odprawiono.

– Traktują nas jak poddanych, którzy nie złożyli daniny. – Cesare stoi pod oknem z założonymi rękami. Jego sylwetka rysuje się czarno na tle zimowego słońca, powietrze ożywiają drobinki kurzu. – To niesłychane.

– To żądanie króla, który ma za sobą dwadzieścia pięć tysięcy ludzi. – Papież siedzi odprężony, jego splecione dłonie spoczywają nieruchomo. – Rzekłbym, że ty czy ja, dysponując jego przewagą, moglibyśmy zrobić to samo. Niemniej jednak fakt, że w ogóle wysunął żądania, daje nam siłę.

– Ha! Jakim sposobem?

– Jakim sposobem? Pomyśl. Stara się o papieską zgodę, jeśli chodzi o tron w Neapolu. Nie usiłuje natomiast obalić mnie i zastąpić kimś innym.

– Właśnie to może uczynić, gdy zdobędzie Zamek Świętego Anioła.

– O, nigdy go nie oddamy.

– A jeśli przypuści tam na nas szturm? Co z pewnością -zrobi...

– Wtedy, zanim zamek padnie, zgodzimy się na wszystko inne. A w takim wypadku będzie miał wszystko, czego chce, i nie będzie powodu do dalszego rozlewu krwi tylko po to, by

zrzucić mnie z tronu. Postaw się na jego miejscu, Cesare. Gdybyś to ty dowodził jego armią, co byś zrobił?

– Ruszyłbym na południe tak szybko, jak tylko zdołałbym wydostać z miasta artylerię – odpowiada Cesare bez wahania, jak gdyby wcześniej sam stawiał sobie takie pytania, przewidując posunięcie za posunięciem. – Taka masa żołnierzy, od pięciu miesięcy na nogach, łaknie znacznie więcej aniżeli tylko jedzenia. Król już buduje na co większych placach szafoty na postrach dla tych, którym zachciewa się płaćrowania.

– Po cóż więc tracić czas na organizowanie soboru? Złożenie papieża z urzędu to nie lada przedsięwzięcie. Dużo wygodniej współpracować z tym, którego już się ma. – Na jego ustach pojawia się uśmiezek. – Biedny della Rovere. Tyle wysiłków na nic. Muszę przekazać mu wyrazy współczucia.

– W takim razie co? Wydajemy Dżema?

Aleksander hałaśliwie wypuszcza powietrze.

– Jeśli pieniądze zostają przy nas, nie ma powodu, by tego nie uczynić. Król chce zastraszyć sułtana i przekonać go, że poważnie myśli o krucjacie. Nigdy jednak nie dotrze dalej niż do Neapolu. To Dżem będzie przerażony. Wielki turecki wojownik, który nie trzeźwiał przez lata, żeby uniknąć myślenia o swoim bracie.

Cesare nie może się nie uśmiechnąć. Oto walczą o życie, a ojciec znajduje sposoby, żeby go rozbawić, jak gdyby chodziło o najzwyklejsze kościelne sprawy. Wraca myślą do człowieka, który jeszcze parę tygodni temu z pianą na ustach miotał się, by odzyskać swoją nałożnicę. Aż przyjemnie patrzeć na przemianę.

– A kardynał Walencji? – odzywa się cicho.

– A, tak. Kardynał Walencji: jego rzeczywiście potrzebują. Ponieważ, jak wiemy, papież darzy największą...

– I mając go jako zakładnika, zmuszą cię do koronowania Karola na króla Neapolu, gdy wysadzą z tronu Alfonsa.

– Tak. Burchard to łebski człek, kiedy tylko przestaje być taki pompatyczny. Tak, istotnie, zrobiłbym to, żeby ratować syna.

– A oni wezmą Neapol.

Papież wzrusza ramionami, jakby było to stwierdzenie niewarte odpowiedzi.

– A więc byłoby lepiej, żebym nie jechał. – Cesare milknie na dłuższą chwilę. – Ale muszę, by uwierzyli, że naprawdę skapitulowaliśmy.

– W rzeczy samej.

Papież z dumą patrzy na syna. Są momenty, kiedy uderza go jego piękno, kiedy widzi w jego twarzy rysy Vannozy, te same pełne usta, te same szeroko rozstawione ciemne oczy. I tę samą zwodniczą powściągliwość, niezależnie od tego, jak burzliwe myśli kłębią się pod powierzchnią.

– Mówią, że zima to okropny czas na wizytę w Neapolu – odzywa się po chwili Cesare beznamiętnym tonem. – Myślę, że... jeśli tylko spotka się to z twoją aprobatą... nie będę jechał do samego końca.

Aleksander uśmiecha się.

– A! Słuch ostatnio mi szwankuje, ale nie poproszę cię, byś powtórzył. Lepiej, żeby z mojej twarzy biła szczerłość, kiedy będę wymieniał z królem uścisk dłoni nad naszym układem.

Wzrok Cesarego prześlizguje się ku tylnej ścianie komnaty, na której widnieje ukończona już scena dysputy świętej Katarzyny przed sądem aleksandryjskim, ludna, pełna rozmachu i stylu, w jasnych barwach żywszych od samego życia. Obok Katarzyny, nadobnej i jasnej na podobieństwo młodej Lucrezii, aż po zarys dziecinnie pulchnego podbródka, stoi turecki książę,

zabójczy w swym stroju, nawet jeśli tylko w nim.

– Co z księciem Dżemem?

– Ha! Dżem to rozrabiaka. Niech Francuzi trochę się z nim pomęczą.

Dwaj mężczyźni patrzą na siebie. W ciągu tych niespokojnych miesięcy zaczęli czuć się w swoim towarzystwie coraz swobodniej, nawet jeśli się nie zgadzają.

– Nie uważasz, ojcze, że oddajemy zbyt wiele? – mówi w końcu Cesare.

– Nie! Po prawdzie trudno byłoby oddać mniej. Rzym pozostaje nietknięty. Król Francji ugnie kolano przede mną, papieżem Aleksandrem VI. A Giuliano della Rovere i wszyscy, którzy chcieli mojego poniżenia, będą musieli przełknąć własną żołąć.

– A Neapol?

– Neapolem będziemy się martwić, kiedy przyjdzie pora. Francuzi mają więcej wrogów, odkąd stratowali całą Italię. Hiszpania już przebiera nogami. Na miejscu Karola łupiłbym szybko co się da i wsiadał na statek, bo nie przeceniałbym swoich szans na łatwy odwrót.

Cesare raz jeszcze spogląda na fresk. W jego centrum wznosi się wielki Łuk Konstantyna, wiernie skopiowany w takiej postaci, w jakiej obecnie można go oglądać pośród ruin Rzymu, zdobny w złoczone płaskorzeźby i przypominający wszem wobec o tryumfach dobrych rządów. W tym wcieleniu wszakże widoczna na nim inskrypcja nie jest poświęcona cesarzowi, lecz papieżowi. Aleksandrowi VI, „Strzegącemu pokoju”. Pinturicchio jest takim lizusem, myśli Cesare. Jak oni wszyscy...

Odwraca się i jak zawsze przed odejściem przykłęka przed ojcem. Zaraz jednak, prawie nie myśląc, pochyla się niżej i całuje stopy papieża. Aleksander kładzie dłoń na głowie syna. Papież i kardynał. Ojciec i syn. Nauczyciel i uczeń.

– Cesare? – Aleksander odzywa się dopiero w chwili, gdy kardynał jest już przy drzwiach. – Musisz wiedzieć jeszcze o czymś.

– O czym?

– Napadnięto na dom twojej matki.

– Kiedy? Kto to był?

– Dwie noce temu. Ludzie z Gwardii Szwajcarskiej, jak się zdaje, choć nie mam jeszcze pewności. Mówię ci to, bo niemal na pewno wieść rozejdzie się przed twoim wyjazdem, a kiedy tak się stanie, chcę, żebyś nie robił nic. Słyszysz? Twoja matka jest bezpieczna tutaj, a szkody zostaną naprawione. Prowadzimy grę bardziej dalekosiężną niż gniew i natychmiastowy odwet.

Cesare stoi z nieprzeniknioną twarzą.

– Jeden wróg naraz, ojcze – mówi cicho. – Rozumiem. Ale kiedy to się...

– Nie muszę wiedzieć. Będę zbyt zajęty zbieraniem opozycji przeciwko temu żabionogiemu francuskiemu królowi. A teraz idę się modlić. I sugeruję, byś uczynił to samo.

– Co z matką?

– Najpierw modlitwa. Potem jej powiem.



Rozdział 18



Trzeba jej przyznać, że gdy nadszedł czas, opuściła swój dom i swoją winnicę bez zbędnych pytań i zamieszania. Przyjęła skromną kwaterę w Zamku Świętego Anioła i nie prosiła o żadne przywileje. Mimo że da Sangallo od niemal dwóch lat próbuje przeobrazić mauzoleum w dom, wszędzie panuje grobowy, kamienny chłód, a w środku zimy wyłożone gobelinami komnaty czuć pleśnią.

Być może Giulia Farnese jest gdzieś w pobliżu, ale Vannozza jej nie widuje. Nie widuje też papieża. Ani się tego nie domaga. Spędza ranki na zarządzaniu swoimi nieruchomościami (wzięła ze sobą księgi rachunkowe), a popołudnia na patrzeniu na miasto, w którym przeżyła całe życie. Z okna wysoko w murze fortyfikacji ma doskonały widok na swoją piętrową tawernę po drugiej stronie mostu. Oczywiście wyobraźni widzi siebie stojącą w jednej z sypialni i spoglądającą stamtąd na zamek. Nie ma lepszej lokalizacji w całym mieście. Podczas świąt i uroczystości most znika pod ciżbą pątników zdążających do Bazyliki Świętego Piotra, tak iż zda się, że wcale nie podtrzymują jej kamienie, a nad rzeką rozpięty jest cudowny most z ludzkich dusz cisnących się do Boga. Wielu śpi na placu albo na schodach wielkiego starego kościoła, oszczędzając nieco zarówno kręgosłup, jak i grosiwo dzięki siennikom wynajmowanym od stojących wzdłuż szlaku przekupniów. Ci jednak, którzy wybrali się do Boga z trochę większą sakiewką, mogą się rozgościć w jednym z sześciu pokoi (każdy z czterema łózkami) w oberży Vannozzy. Drzwi otwierają się o świcie i zamykają wkrótce po zmierzchu, choć zapóźnieni podróżni, którzy uprzejmie zapukają i zapłacą z góry, są mile widziani, jeśli tylko jest miejsce. Rano, zanim wyruszą na następny etap pielgrzymki po siedmiu wielkich kościołach Rzymu, mogą się napić rozcieńczonego woda wina albo koziego mleka, a wieczorem – jeśli nie poszczą – wrócić na pieczonego karpia i prosiaka. W ciągu piętnastu lat, które upłynęły, odkąd Vannozza nabyła gospodę za pieniądze ze sprzedaży klejnotów podarowanych jej przez wciąż kochającego kardynała, wartość nieruchomości wzrosła czterokrotnie, a ona co miesiąc odrzuca jakąś ofertę kupna. Oczywiście teraz zarekwirowali ją Francuzi. Vannozza próbuje nie wyobrazić sobie dewastacji. Dwa lata wcześniej fala powodziowa o niespotykanej sile zabrała cały parter tawerny: Tybrem spłynęły wszystkie łóżka, jedno wciąż z uczeptionym go pielgrzymem, który poprzedniego wieczoru za dużo wypił. Francuzi, jak kolejna powódź, narobią szkód i przeminą.

Odwiedza ją tego popołudnia nie tylko dlatego, że musi jej coś powiedzieć, ale dlatego, że chce ją zobaczyć. Choć ciało Giulii jest wciąż tak samo miękkie i chętne, w środku kryzysu myślał o innym rodzaju stałości, zawierającym w sobie – jak by to ująć? – więcej rozwagi płynącej z przeżytego życia i zdolnym uspokoić ziemię falującą mu pod nogami.

Nigdy nie był dobry w przekazywaniu złych nowin. Mimo swojej potęgi woli sprawiać przyjemność niż rozczarowanie, zwłaszcza kobietom. Ona, która rozszyfrowuje go lepiej niż wielu jego doradców, wie, co ma jej do powiedzenia, zanim jeszcze otwiera usta. Słucha w milczeniu, raz czy dwa kiwając głową, by okazać zrozumienie. Nie płakała od wielu lat i nie zapłacze teraz, nie w jego obecności.

– Ano – mówi w końcu – Rzym jest pod okupacją. Z pewnością nie ja jedna będę liczyć straty.

Nie mówi jej, że jego zdaniem stała się celem wybranym ze względu na łączący ich związek. Ale też nie musi tego robić, bo najprawdopodobniej Vannozza wie także i to.

– Sprawiedliwości stanie się zadość, Vannozzo. Tego możesz być pewna. A wszelkie wyrządzone szkody zostaną naprawione, zanim będziesz musiała wrócić.

– Jesteś zbyt łaskawy, Ojczyce Święty. – Choć nie może zwracać się do niego w żaden inny sposób, oboje odczuwają niestosowność tego tytułu w jej ustach.

Aleksander kręci się na miejscu.

– Masz tu wszystko, czego potrzebujesz?

– O tak, oczywiście.

– To dobrze. – Rozgląda się. Ociąga. Nie zostało już nic do powiedzenia. Albo zostało zbyt wiele. Wyjść czy nie wyjść. Dylemat dobrze znany z przeszłości. – Cieszę się, że nie było cię tam, kiedy to się stało – mówi wreszcie.

Patrzą na siebie. Nie chce iść, myśli Vannozza. Ma mnóstwo rzeczy do zrobienia i przez jakiś czas nie chce robić żadnej z nich.

– Przy... przywiozłam trochę swojego wina i pasty z oliwek, żeby dotrzymywały mi towarzystwa z dala od mojej kuchni. Pewnie jadasz i pijesz znacznie lepiej, ale gdybyś miał ochotę skosztować...

– A... owszem, to by mnie pokrzepiło. – Kiwa głową. – Można zgłodnieć, ratując Rzym przed chrześcijanami. – Uśmiecha się.

Vannozza uprząta z krzesła swoje papiery, żeby zrobić mu miejsce, i grzebie w kufrze, wyciągając i układając przedmioty. Wyjmuje i przeciera kielichy, odkorkowuje butelkę. Aleksander obserwuje, jak się porusza. Rozrosła się w sobie przez te lata, zasługując na miano matrony, ale ramiona i szyję wciąż ma powabne. Jej piersi są jak poduszki. Męskie dłonie nie ogarnęłyby ich obfitości.

Stawia na stole puchar ze rżniętego szkła i nalewa wino, trzymając przy szyjce ściereczkę, aby nie uронić ani kropli. Wino jest rubinowoczerwone. Aleksander wyobraża ją sobie, jak służy mężczyznom przy wielkim stole; jeden z nich wyciąga rękę ku jej sukni. Na zewnątrz król Francji wkrótce załaduje działa i pośle salwy w mury zamku, a on siedzi tutaj i zabawia się fantazjami o oberżystkach. Cóż, nawet papież musi mieć trochę czasu dla siebie.

– Wyglądasz... dobrze, Vannozzo.

– Znaczy: jak na swój wiek? – odpowiada wesoło. – Zgadzam się.

– Oczywiście, ja jestem znacznie starszy. – Czeka. Ona jednak nie podchwytuje. – Tak się zastanawiam... Powiedziałaś to samo o mnie?

Ach, Rodrigo, myśli. Jak niewiele się zmieniłeś. Ani krzty skromności, zwłaszcza w chęci otrzymania komplementu. Przygląda mu się badawczo. Mimo że wciąż ma w sobie energię, jego twarz zwiotczała, a brzuch, niegdyś wydatny, stał się rażąco wielki. Jest gruby. Nie sposób określić tego inaczej. Kopie sobie grób własnymi zębami. Vannozza zastanawia się, co myśli Giulia Farnese, próbując oswobodzić ciało spod jego ciężaru. Czy on wie?

– Jesteś jeszcze bardziej okazałym mężczyzną, niż byłeś – mówi z uśmiechem. – Chociaż wyglądasz na trochę zmęczonego.

– Cóż, dźwigam na barkach cały Kościół – mruczy, jawnie rozczarowany poziomem jej uznania.

– Och, nie powinieneś się martwić. Pasuje to do ciebie.

Aleksander uśmiecha się, już bardziej zadowolony.

Ach, ci mężczyźni. Jakkolwiek byliby starzy i potężni, cały czas tkwi w nich chłopiec.

– Dobre wino – mówi Aleksander.

– A pasta z oliwek?

– Doskonała. Proste jedzenie, tak jak lubię.
Poklepuje wyściełane siedzisko koło siebie w geście zaproszenia. Mój Boże, myśli Vannozza, czy on próbuje mnie uwieść? Nie odrywa się od swoich czynności.
Zauważa jej wahanie. Głośno pociąga nosem.
– A więc, jak mówi Cesare, jesteś wielką kobietą interesu. Którą w istocie zawsze byłaś. Cieszę się, że nie jesteś... nieszczęśliwa.
– Daleko mi od tego. Mam wszystko, czego kobieta w moim wieku może pragnąć. – Koniec zdania jednak zawisa w powietrzu, a ona pozwala mu tam zostać. Cóż, jej dom został zdemolowany, winnica – zdeptana, i coś w niej nie chce grać w tę grę w taki sposób jak kiedyś.
– Urwałś. Jest w tym jakieś „z wyjątkiem”?
Vannozza przecząco potrząsa głową.
Z wyjątkiem mnie, myśli Aleksander. Wciąż pragnie mnie.
– Vannozzo, wiesz, że... Nigdy nie dokonałbym tego wszystkiego, gdybyśmy nadal byli razem. – Uśmiecha się, wskazując gestem otoczenie.
– Och! Nie miałam na myśli ciebie. – Jej natychmiastowy śmiech niemile go zaskakuje.
– W takim razie co?
Niewypowiedziane słowo drży w przestrzeni pomiędzy nimi, tak jak było przez wiele lat.
– Ach, masz na myśli dzieci.
Przez chwilę nie spuszcza z niego wzroku, po czym kręci głową. Nawet teraz nie ma odwagi. Nie stała się kobietą, którą jest, załamując się z powodu rzeczy, których nie może mieć.
– Wiesz, że chciałem, żebyś mogła być na weselu Lucrezii. Ale Burchard był nieugięty...
– Tak, tak. I oczywiście miał rację. Powiedz, Rodrigo, jak twoja podagra? Bardzo cię męczy?
– Cesare cię odwiedza. A inni piszą.
– O! Z uprzejmości. Nie z miłości – dodaje, zanim potrafi się powstrzymać.
– Oczywiście, że cię kochają! Jesteś ich matką – mówi Aleksander gniewnie.
– Nie krzycz na mnie, Rodrigo. Nie jesteśmy już kochankami.
– Tak czy inaczej, o co chodzi? Mam mnóstwo rzeczy na głowie.
– A więc idź i o nich pomyśl.
– Mówię ci, że twoje dzieci cię kochają.
– Och! Cesare jest dobry dla mnie, ale okrutny dla innych. Juan co jakiś czas przypomina sobie o obowiązku. A pozostała dwójka była za mała. Ledwo mnie pamiętają. – Przerywa. – A czasami ja ich. Nie krytykuję cię, po prostu mówię, jak jest.
– Niemniej jednak... – Nadal jest wzburzony. – Będziesz matką papieża, księżnej i dwóch książąt. Wiele kobiet dałoby sobie za to wyrwać zęby.
– I czym przeżuwałyby swoją chwałę? Naturalnie, jestem oszołomiona zaszczytami, którymi się mnie obsypuje. Zawsze byłam. – Wytrzymuje jego spojrzenie, aby pokazać, że to koniec dyskusji. – Nie kłóćmy się. Chcesz jeszcze wina?
– Nie... Nie. – Wstaje, wygładzając fałdy jedwabnej szaty. – Muszę iść. – Mimo to nie rusza się z miejsca. – Mieliśmy swój dobry czas, Vannozzo – mówi. – Czyż nie?
– Tak. Bardzo.
– I... I zawsze cieszyłaś się na mój widok.
– Zazwyczaj było ogromnie miło cię widzieć.
– Ha! – Jest teraz szczęśliwy i na tyle pewny siebie, by zaryzykować. – I zawsze cię zadowalałem, prawda?
Patrzy na niego przez moment, starając się ze wszystkich sił, by w jej oczach nie było widać śmiechu.

– Jak byk, Wasza Ekscelencjo – odpowiada gładko, wybierając słowa, których używała niegdyś, by go podrażnić, kiedy- tarzali się w łożu. – Ale byliśmy wtedy oboje dużo młodszy.

– Hmff – odmrucuje, jak gdyby chciał powiedzieć jej, że bardzo się myli. Tylko że nie to chce powiedzieć. Nie po to przyszedł. Jestem coraz bardziej zmęczony w łożku, to chciałby rzec. Czasem wydaje mi się, że ją rozczarowuję, czasem... odkąd wróciła, cóż, prawie nie jestem zainteresowany. Mam tyle innych rzeczy do roboty. Kierowanie Kościołem, wszystkie wyzwania pracy. Powiedziałas mi kiedyś, że szczęśliwszy jestem, gdy walczę, niż gdy dokonam już podboju. Miałaś rację. Walka nigdy mnie nie męczy. Zawsze potrafię zebrać się do walki. Będiesz przy mojej śmierci? A potem zastanawia się, skąd przysłała mu do głowy taka myśl.

– Przeszliśmy długą drogę, Vannozzo dei Catanei.

Vannozza rozgląda się.

– A mnie się nie wydaje, byś ustał w ruchu.

I tak się składa, że następnego dnia papież odpowiada odmownie królowi Francji i Jego Wysokość Karol VIII przetacza swoje działa przez most i ustawia je przed murami Zamku Świętego Anioła. Prawdę mówiąc, czuje się bardziej niż trochę nieswojo, stojąc tam – niedoszły krzyżowiec i pogromca niewiernych, który za chwilę wystrzeli z armat w schronienie chrześcijańskiego Ojca Świętego. Pierwsze oddane bez przekonania salwy chybiają celu, wstrząsając tylko gruntem jak małe trzęsienie ziemi. Puszkarze przegrupowują się i przepychają działa bliżej. Kiedy jednak ponownie hałaśliwie je ładują, niewielki fragment muru nieco dalej, jakby antycypując gwałt, zapada się samorzutnie, przy akompaniamencie wrzasków strażników, którzy się za nim znajdowali. Zamęt idzie o lepsze z zażenowaniem. Portret architekta da Sangallo zostanie wymazany z grona świadków dysputy świętej Katarzyny, skoro nie stać go na nic solidniejszego. Na zewnątrz król, który mógłby teraz wydać rozkaz do bezpośredniego ataku, czeka, aż zbiorą poszarpane ciała. Pół godziny później papież wysła emisariusza: zgadza się na większość kluczowych żądań i zaprasza króla do Watykanu, gdzie spotka się z nim i osobiście go podejmie.

Wieczorem della Rovere wywarkuje do ucha króla swoje zastrzeżenia, lecz młody człowiek jest już zanadto zajęty wybieraniem stroju i przyswajaniem papieskiego protokołu dyplomatycznego: kiedy podejść albo się cofnąć, kiedy złożyć ukłon, kiedy uklęknąć oraz kiedy i jak często całować stopy Ojca Świętego. To będzie dla młodego monarchy spotkanie o historycznej wadze i nie chce, by coś poszło nie tak. Nadal ćwiczy chodzenie tyłem, gdy zde gustowany della Rovere opuszcza miasto. Kiedy nowina dociera do Aleksandra, wyrzywa mu się radosny okrzyk. Zakłada ceremonialne szaty i czeka, by powitać króla.

Tydzień wcześniej trudno byłoby znaleźć człowieka, który postawiłby choć złamany grosz na to, że papież przetrwa. Teraz smakuje on chwilę jako jedną z najśłodszych. Do kuchni trafia polecenie przygotowania wspaniałej uczyty dla gości. To jeden z wielkich talentów Aleksandra: potrafi cieszyć się życiem i jeśli wszystko układa się dobrze, rad zaprasza innych, by cieszyli się wraz z nim.



Rozdział 19



Zebranie się do odjazdu zajmuje im znacznie więcej czasu niż wejście do miasta. Cztery tygodnie regularnego jedzenia i spania w ciepłe na świeżej słomie, podczas gdy na zewnątrz srożyła się zima, nadwątlili ich gorliwość w kwestii zmierzania do obiecanego Neapolu. Naciąganiu bryczesów, upychaniu mizernego dobytku w sakwach i ładowaniu wozów w siąpiącym deszczu towarzyszy mnóstwo narzekania, stękania i przeklinania. O zmroku wciąż jeszcze wloką się ulicami w stronę południowej bramy. Mieszkańcy miasta, które dawno straciło respekt dla mężczyzn z błyszczącymi mieczami i długimi pikami, nie wychodzą, by pomachać im na pożegnanie. Za zamkniętymi drzwiami pałaców i prywatnych domów zaczyna się rozpalanie ognia i nastawianie wrzątku, by odszorować je z brudu i wszy. Mimo to nawet ci, którzy ledwo pojmują meandry wielkiej polityki, rozumieją, że w gruncie rzeczy uszło im na sucho i że ich papież okazał się nie tylko ciemną wodzonym za nos przez młodą nałożnicę, ale i prawdziwym ojcem dla swojej rzymskiej trzódki. Jeśli zaś chodzi o Neapol – cóż, wielu kładąc się tego wieczoru spać, wspomina go w modlitwie.

W Watykanie Aleksander, olśniewający w paradnej szacie, żegna karłowatego młodego króla, którego wystawnie podejmował przez kilka ostatnich dni, a on się przed nim płaszczyl (choć nie na tyle, by czuć ponizenie). Z rzewną przemową ściska go jak drogiego i wiernego rodzonego syna, po czym odprowadza do bramy swego prywatnego ogrodu, gdzie Karol dosiada wierzchowca. Oprócz czułych słówek król zabiera ze sobą jedynie mgliste obietnice Aleksandra co do wsparcia w Neapolu; dobrze chociaż, że jego zakładnik jest i synem papieża, i kardynałem, oficjalnie uprawnionym do nałożenia mu na głowę korony, kiedy przyjdzie na to pora.

Gdy tylko Karol się oddała, Ojciec Święty, Burchard i inni prałaci stają przy oknach nowo urządzonego korytarza prowadzącego z Watykanu do Zamku Świętego Anioła, by – sami niewidziani – obserwować, jak król i Cesare w pełnym kościelnym rynsztunku jadą ramię w ramię niczym towarzysze broni, tuż za nimi sześć wspaniałych nieosiodłanych rumaków, które kardynał Walencji dopiero co ofiarował Jego Wysokości na znak swojego przywiązania, a na końcu mozolą się muły obciążone dziewiętnastoma skrzyniami z jego osobistym bagażem.

Powróciwszy do prywatnych apartamentów, Aleksander orientuje się, że po raz pierwszy, odkąd został papieżem, jest sam, bez żadnego ze swoich dzieci. Kiedy indziej mógłby sobie pozwolić na chwilę sentymentu. Może i kilka łez. Kiedy indziej... W tym momencie jednak, zanim jeszcze królewski orszak ginie z oczu po przejechaniu mostu, otwiera drzwi przed hiszpańskim ambasadorem, który niecierpliwie przemierzał przedsiemek w oczekiwaniu na koniec eksodusu.

Tymczasem Cesare postanawia skorzystać z doświadczenia i wyssać z bycia zakładnikiem trochę słodyczy. Niebo rozjaśnia się, gdy armia posuwa się na południe wielką Via Appia, znów zdatną do podróży, odkąd Sykstus IV częściowo ją oczyścił i na nowo wybrukował. Historia rozciąga się przed nimi i za nimi. Pierwszego dnia rozbijają obóz w Marino, gdzie dołącza do nich książę Dzem ze świtą. Pije ile wlezie i raczy ich opowieściami o piratach i barbarzyńcach z dalekich mórz (po których nigdy nie żeglował). Jedzą jeszcze, kiedy nadjeżdża posłaniec z wieściami z Neapolu. Alfonso, król od niecałego roku, podczas którego to prawie nie

spał z powodu fatalnych koszmarów, abdykował na rzecz swojego syna – ten zaś, wraz z ojcem i całym dworem, uciekł na Sycylię. Przy stole wybucha radość. Cesare wychyla toasty razem z innymi, wiedząc, że jego braciszek Jofré jest bezpieczny.

W przeciwieństwie do Dżema, który spędza dnie w zamroczeniu, dochodząc do siebie po wyczynach nocy, Cesare jest duszą poходу. Jego francuski jest gładki, humor – ostry, a bez kardynalskiego przydomku wygląda jak żołnierz w każdym calu, gdy przechadza się między szeregami, interesując się wszystkim i słuchając chciwie opowieści o bitwach. Na postojach wypróbowuje kusze i piki. Przez jakiś czas jedzie w awangardzie z lekką konnicą, imponując swoimi umiejętnościami jeździeckimi: przeskakuje z jednego wierzchowca na drugiego, ściga się na pustych odcinkach drogi i wygrywa z każdym, kto był na tyle głupi, by rzucić mu wyzwanie. Wypytuje dowódców oddziałów i zawodowych żołnierzy, którzy sprzedają swoje usługi i swoich podkomendnych temu, kto zaoferował najwyższą cenę. Wojna to interes z własnymi bilansami i dobry dowódca musi panować nad jej ekonomią tak samo jak nad uzbrojeniem. Najbardziej dociekliwy jest jednak przy artylerii, wodząc dłońmi po wspaniałych działach z brązu (wyczyszczonych i nabitych, w gotowości do natychmiastowej bitwy) i zarzucając puszkarzy pytaniami. Jak ciężkie kule niosą? Jak szybko można je przeładować? Jakiej grubości mur potrafią przebić? Krótko mówiąc, ze świecą by szukać drugiego tak miłego, czarującego zakładnika i wieczorami podczas kolacji król nalega, by Cesare zasiadał u jego boku.

W Velletri zostają powitani przez kardynała della Rovere, który ma tu siedzibę arcybiskupstwa. Na wydanym z tej okazji bankiecie on i Cesare siedzą przy jednym stole, wznosząc kielichy z zimną uprzejmością. Wieczorem cała kompania kładzie się spać dobrze zaprawiona, w przeświadczeniu o rychłej wiktorii i glorii. Z księżycem w ostatniej kwadrze ciemność zimowej nocy jest gęsta jak zupa.

Jakiś czas po północy z namiotu Cesarego przez rozdarcie w tylnej ścianie wyslizguje się postać odziana w czarną liberię królewskiego chłopca stajennego. Mija strażników, z którymi wymienia po francusku jakiś gruby żart, i zmierza w stronę łąki, na której odpoczywają spętane królewskie konie. Podchodzi do najpiękniejszego z sześciu podarowanych królowi wierzchowców, czarnego ogiera, który okazał się narowisty i nieskory do współpracy z kimkolwiek, kto chciał go dosiąść. Zwierzę stoi spokojnie jak posąg, podczas gdy młody człowiek nakłada mu siodło i uzdę, cały czas szepcząc coś do jego ucha. Kilka chwil później koń i jeździec w cichej harmonii przemykają przez cienie i zostawiają za sobą uspiony obóz. Pierwsza parę mil pokonują na przelaj, dopiero potem wracają na trakt. O brzasku pod kościołem niedaleko Marino jeźdźcowi wychodzi naprzeciw zamaskowany mężczyzna z mieczem i ubraniem na zmianę. Ściskają sobie ręce – raz, potem dwa razy – i gdy słońce zaczyna przebijać się przez szary opar zimowego poranka, ruszają galopem w dalszą drogę, natychmiast pochłonięci przez mgłę. Przed zapadnięciem nocy będą w Rzymie.

W obozie król i jego świta spożywają wczesne śniadanie bez młodego kardynała. Strażnik wysłany, by go zbudzić, znajduje pogrążonego w narkotycznym śnie służącego i pustą pryczę. Król sinieje z wściekłości. Wielkie kufry z dobytkiem Cesarego spoczywają nieruszone na furgonie bagażowym. Zostają teraz wywleczone i otwarte na drodze przed królem. Okazuje się, że pod warstwami brokatu ich wnętrza kryją w sobie wielkie nic. Muły, które zawsze wyglądają na strudzone niezależnie od obciążenia, stoją i gapią się beznamietnie, podczas gdy król podskakuje na swych krótkich nóżkach, zionąc ogniem:

– Wszyscy Włosi to szumowiny, kanalie i zdrajcy, a najgorszy z nich jest papież i jego parszywa rodzinka. Bóg mi świadkiem, że zrzucę go z tronu i...

Tyle że jest już – on i dwadzieścia pięć tysięcy ludzi – w połowie drogi do Neapolu i każdy wie, że nie ma odwrotu.

Gdy wiadomość (z tym samym ładunkiem emocji i odrobinę tylko stonowanym językiem) dociera do Aleksandra, grzmi on jeszcze głośniejszym głosem niż król.

– Co?! Czy Jego Wysokość sądzi, że mógłbym przeciw niemu spiskować, ja, który przyjąłem go do swego serca jako lubego syna? Jak kardynał Walencji śmiało okazać nieposłuszeństwo swojemu zwierzchnikowi? Jego dezercja nie ma nic wspólnego z naszymi działaniami i sprawia nam więcej bólu i gniewu niż królowi. Gdzież on jest? Gdzie? Przetrzęsniemy miasto, wykurzymy go z ukrycia i natychmiast odeślemy z powrotem.

Francuski legat, któremu aż dzwoni w uszach, wycofuje się z komnaty. Stojąc za zamkniętymi drzwiami i wpatrując się w herb z bykiem na zwieńczeniu ich framugi, słyszy dalszy ciąg burzliwej oracji.

– Sprowadzić mi Burcharda! I dowódcę gwardii papieskiej! Znajdziemy kardynała, choćbyśmy mieli przewrócić do góry nogami każdy pałac w Rzymie!

Francuski dwór w Paryżu dorobił się niezłej reputacji, jeśli chodzi o sztukę dramatyczną i wystawne inscenizacje historii miłosnych oraz tragedii, ale jego wysłannik, jak długo żyje, nie oglądał aktora kalibru Aleksandra.

W tym samym czasie siedemdziesiąt mil na północny wschód, w zamku w Spoleto Pedro Calderón przekazuje już rozkazy, by rozpałać ogień i szykować sypialnie dla nowych gości.

Parę dni później przybywa dwóch zamaskowanych mężczyzn, okrytych kurzem z drogi, lecz w wyśmienitych humorach. Ku swojej radości Calderón zostaje zaproszony do wieczornego świętowania. Wielkie palenisko sypie w ciemność iskrami. Mężczyźni przysuwają się do niego z krzesłami i tacami, na których leży posiłek: pieczony dzik w gęstym jabłkowym sosie z zawieszonym czerwonym winem z winnicy na zboczu zamkowego wzgórza. Alkohol w połączeniu z rauszem ucieczki rozwiązuje języki, a rozmowa koncentruje się całkowicie na sztuce wojennej: Cesare rozwodzi się nad rozkładaniem i zwijaniem obozów oraz przewagą szyku pikinierów nad konnicą, w całej jego opowieści zaś przewijają się trzy sylaby o dźwiękonaśladowczej gwałtowności, które już weszły do języka, by opisywać odgłos i furję nowej broni oblężniczej. Bom-bar-da.



Rozdział 20



Dziesięć dni później francuska armia wkracza do Neapolu, ku rozradowaniu ludu, zmęczonego dekadami okrucieństwa i zaniedbania i, jak to lud, żywiącego nadzieję, że nowy władca będzie traktował go lepiej niż poprzedni.

W pałacu królewskim, gdzie lokuje się dwór, król wita pierwszych neapolitańskich hołdowników, wraz z ich żonami i najładniejszymi córkami, palących się, by zaskarbić sobie przychylność monarchy, nawet jeśli jego protekcję można równie dobrze określić jako podbój. Jest tak zachwycony roztaczanymi przed nim urokami, że przysięga sobie odnotowywać każdą z przyjemności w małym, oprawnym w skórę kajeciku, który trzyma pod łóżkiem. Historia bywa spisywana na wiele rozmaitych sposobów.

Za przykładem swojego króla Francuzi z zapalem oddają się konsumpcji lotosu[4]. Ich słabnącej pamięci nie wspomaga utrata drugiego zakładnika, księcia Dżema. Niedomagał od samego początku, a kiedy nie spał, pijany i napastliwy, wszczywał sprzeczki z każdym, kto miał ochotę marnować światło dnia w jego towarzystwie. Aleksander, który przez lata obserwował jego degrengoladę, osądzał go trafnie: w trzydziestym szóstym roku życia ten mężczyzna jest już straconym przypadkiem, pełnym gorczy i wstydu, a teraz jeszcze rosnącego strachu, że w końcu będzie musiał stanąć oko w oko z bratem, który może dużo więcej niż on i jest co najmniej tak samo nieskory do przebaczenia.

Im bliżej byli Neapolu, tym więcej czasu spędzał w letargu. Od zakwaterowania się w pałacu rzadko wychodzi ze swojej komnaty, a i to jedynie w celu psioczenia na jadło. Któregoś ranka się nie budzi. Służący, wdzięczni za chwilę wytchnienia, pozwalają mu spać. Kiedy zaglądną do niego następnym razem, ledwo oddycha. Król, który już świetnie się bawi i nie chce, by mu przeszkadzano, posyła swoich medyków, którzy węższą, ugniatają i dźgają, nieco gwałtowniej, niż powinni, ale im także załazał za skórę jak wszystkim innym. Nie doczekują się reakcji. O zmierzchu jest sztywny jak deska.

Niebawem rozchodzi się pogłoska, że to Aleksander, którego imię jest teraz synonimem zła wcielonego, otruł go, by popsuć królowi krucjatę. Gdy ta sama plotka dochodzi do uszu papieża, który w międzyczasie spotkał się z Cesarem i bada czujnie każdą wiadomość od swoich szpiegów w Neapolu, z jednej strony przyprawia go o furję, z drugiej każe mu wieszować wrogowi głupoty.

– Patrzcie tylko, jak tymi ludźmi rządzi pociąg do skandalu! Jakich korzyści miałyby nam przysporzyć otrucie Turka? Póki żył, wnosił do papieskiej kiesy czterdzieści tysięcy dukatów rocznie, a nawet więcej, kiedy kto inny płacił za jego wikt i opierunek. No nic! Lepiej niech ktoś powiadomi Pinturicchia. Może chce wymazać jego podobiznę ze sceny sądu w Aleksandrii.

W Neapolu rzeczy księcia zostają rozdane pomiędzy szlachetnych panów ze słabością do orientalnej mody, a wielka zakrzywiona szabla, która ścinała ongiś dziesiątki głów wyznawców prawdziwej wiary (a przynajmniej tak twierdził jej właściciel), trafia do króla. Jest już jasne, że to najbliższy kontakt Jego Wysokości z Ziemią Świętą, jaki kiedykolwiek nastąpi. Armia oddycha z ulgą. Kto potrzebowałby wzburzonych mór i niewiernych, kiedy jest już w krainie obfitości?

Pod spódnicami gościnnych neapolitanek (do amaterek dołączyła rychło armia profesjonalistek) rozwijają się kolejne kwiaty lotosu, jeszcze głębiej wciągające ich w słodkie odurzenie.

Trzy miesiące później, kiedy Francuzów budzi paskudny świąd w kroczu, przy brzegu Italii cumują już hiszpańskie okręty z Sycylii, a w Rzymie zawiązano ligę antyfrancuską, na warunkach wynegocjowanych w imponującym tempie przez papieża, który – choć powszechnie znany jako miłośnik uciech cielesnych – wie, kiedy przedłożyć pracę nad kobiety. Jedyne cel przymierza: przepędzić Francuzów i odciąć im drogę odwrotu przez Alpy.

Ci zaś poruszają się tak szybko, jak tylko zdolna jest armia objuczona łupami przytroczonymi do grzbietów tysiąca mułów. Karol zmierza do Rzymu, w nadziei, że zjedna sobie Aleksandra (mimo jego zdrady wspomina go ciepło, jako figurę ojca, którego nigdy nie miał). Kiedy jednak Francuzi tam docierają, okazuje się, że dwór papieski przeniósł się do Orvieto, by uniknąć spotkania. Gdy zajeżdżają do Orvieto, papież jest w Perugii. Dalsze ściganie go byłoby stratą czasu, potrzebnego na to, co staje się już nerwową ucieczką. Z Umbrii Francuzi ruszają z kopyta w stronę ojczyzny.

Armie spotykają się na polach pod Fornovo, na południowy zachód od Parmy. Bitwa trwa cały dzień. Obie strony wygrywają i obie przegrywają. W ulewnym deszczu zamaka proch, toteż Francuzi nie są w stanie dać ognia ze swoich sławetnych dział. Mimo to udaje im się położyć trupem więcej żołnierzy, niż sami tracą, i przebić się na północ, muszą jednak porzucić swój tabor bagażowy i większość bajecznych łupów wpada w ręce wroga, łącznie ze skarbczykiem samego króla, w którym odnaleziony zostaje niewielki oprawny w skórę kajet wypełniony nazwiskami, datami i zaszyfrowanymi, niemniej z pewnością rzeczowymi spostrzeżeniami.

Nie jest to jedyna rzecz, którą po sobie zostawili. Wszędzie tam, gdzie zamarduzili – zwłaszcza w Neapolu, tym przeludnionym labiryncie kamienic – zaczyna się szerzyć nowa choroba przyrodzenia, zbijająca z tropu wzywanych na pomoc medyków. Jej symptomy, znaczące także twarz pacjenta zaognionymi krostami – wstydliwym piętnem widocznym dla każdego – pojawiają się i znikają, by powrócić bez ostrzeżenia parę miesięcy później. Nazwana zostaje „francuską chorobą” i razem z „bombardą” wchodzi do języka jako jeszcze jeden oręż wojenny.

W Rzymie, gdzie ludność pozostaje na razie gładkolica, jest więcej powodów do świętowania. Papież odparł nie tylko armię najeźdźców, ale i bezpośredni atak na siebie i papieństwo ze strony dwóch swoich największych wrogów. Kardynał della Rovere umyka do Francji, by tam lizać rany i czekać następnej stosownej chwili, ale na południu Virginio Orsini, arcyzdrajca papieskiej sprawy, zostaje ujęty przez wojsko powracającego króla Neapolu i wtrącony do lochu w podziemiach Castel dell’Ovo nad samym morzem: sromotny los jak na głowę jednego z najpotężniejszych rzymskich rodów.

Vannozza wraca do swojej winnicy i ksiąg rachunkowych. Dom i ogród zostały doprowadzone do pierwotnego stanu. Nie pyta, co się stało z ludźmi odpowiedzialnymi za ich zniszczenie, ale nie mogła nie dotrzeć do niej krążąca plotka. Gwardia szwajcarska miała tego pecha, że król Karol zostawił ją na straży swoich kwater na wypadek powrotu. Tego samego dnia, w którym podpisano traktat zawiązujący ligę antyfrancuską, grupa gwardzistów zażywała wieczornego powietrza na Piazza Navona, kiedy z bocznych uliczek wylała się fala Hiszpanów i dopadła ich na placu. Dziesięciu na jednego – walki z taką przewagą nikt nie nazwałby uczciwą, toteż kiedy się zakończyła, na zbroszonym szwajcarską krwią bruku spoczywało ponad trzydzieści ciał, wiele z nich powalonych przez dwóch tylko szermierzy: jednego w masce, drugiego z twarzą zniekształconą bliznami.

Jeden wróg naraz. Kardynał Walencji szybko się uczy.

W euforii świętowania i zemsty papież wzywa wszystkie dzieci, by doń dołączyły.
Rodzina znów będzie razem.



CZEŚĆ IV

Rywalizacja

Choć ze wszystkich sił próbują to ukryć, synów papieża trawi wzajemna zazdrość.

ambasador Mantui w Rzymie, marzec 1497



Rozdział 21



– Och, jest wspaniała! Obróć się jeszcze raz, szybciej! Ha! Ależ kolor się wtedy zmienia! Młoda kobieta kręci piruet, a dół sukni wiruje wokół niej, sprawiając, że głęboka czerwień materiału mieni się tuzinem różnych odcieni, gdy półprzezroczysta wierzchnia warstwa łapie i filtruje światło.

– Jak twoim krawcom udaje się uplisować wierzchnią spódnicę, że wygląda tak lekko?

– Jest zrobiona z tego samego jedwabiu co halka.

– Co? Nosisz bieliznę na sukni?! Co w takim razie masz pod spodem?

– Jeszcze jedną halkę, rzecz jasna. Jest absolutnie przyzwoita. No, dopóty, dopóki masz ją na sobie. – Jej śmiech brzmi, jakby rozsypały się złote monety. – W Neapolu mówi się tylko o modzie. A przynajmniej tak było, zanim wkroczyli ci nieokrzescani Francuzi. Wiesz, że porwali naszych najlepszych krawców i wywieźli do Francji?! – Wzrusza ramionami. – Chociaż ja i Jofré zachowaliśmy swoich: zabraliśmy ich ze sobą, uciekając na Sycylię.

– Jak było na Sycylii?

– Uu, odrażające miejsce. Za gorąco albo za zimno i pełno dzikusów. Nie mogłam się doczekać powrotu do domu. Ale kiedy tam dotarliśmy... Och!

– Co? Co zastaliście? – Lucrezia, która spędziła czas wojny w Pesaro, miotając się między niepokojem a nudą, łaknie strasznych historii, w których mogłaby sobie siebie wyobrazić.

– Uch, to było coś okropnego. Okropnego. Wszędzie brud i smród. Nie uwierzyłybyś, co zrobili. Zabrali wszystko: gobeliny, fajanse, pościel, zagłówki łóżek, fronty rzeźbionych skrzyń – wszystko, co przedstawiało sobą jakąś wartość i co mogli wpakować na swoje głupie muły. Nawet rośliny. Wyobraź sobie. Nasz cudny arabski ogród – to był raj na ziemi, a oni powyrywali kwiaty i drzewa. Po co? Żeby uschły w jukach? Król, mój przyrodni brat, płakał, kiedy to zobaczył. Naprawdę. To znaczy, nie chciał, żebyśmy zauważyli, ale nie mógł się powstrzymać. – Wzdryga się teatralnie. – W każdym razie, Francuzi poszli precz, a Neapol się odbuduje. Tak mówi mój brat, choć nie wiem, jak ma się to stać, kiedy on cały czas walczy gdzieś z buntownikami.

– Dzięki Bogu, masz teraz od tego wytchnienie. Rzym będzie ci dobrym domem, zanim będziesz mogła wrócić.

– O, myślę, że Rzym będzie mi dobrym domem nawet -dłużej.

– Naprawdę? Mimo że nasza moda jest taka bezbarwna?

– Już nie. Tutaj też mamy ze sobą naszych krawców. Zaczekaj tylko. Już niedługo twojemu mężowi oczy wyjdą na wierzch na twój widok.

– Nie sądzę, żeby szczególnie obchodziły go moje stroje.

– Nie? Cóż, więc problem leży w nim, a nie w twoich strojach, bo jesteś naprawdę urocza. O czym z pewnością sama wiesz. W takim układzie będziemy musiały poszukać podziwu innych.

Mimo że są w tym samym wieku, nowa bratowa Lucrezii jest od niej starsza pod wieloma względami. Neapol na długo przed nadejściem Francuzów był miastem gorąca i wilgotnych

pasaży, a jego dwór słynął ze zbytku. Każdy, kto przychodzi tam na świat, szybko zdobywa rozległą edukację. Sancii, w której żyłach płynie królewska krew – jest dzieckiem nieślubnym, ale wielce miłowanym – pobłażano od najmłodszych lat. Jej uroda jest ciemna i ognista, zrodzona ze zmieszania krwi: ma oliwkową skórę, delikatny nosek, pełne usta i błyszczące, ciemne, prawie czarne oczy. Odkąd pamięta, używa jej, by osiągnąć swoje cele; jedyny wyjątek stanowi wybór jej młodzieńczego małżonka z rodu Borgiów.

Ich przybycie, z towarzyszeniem orszaku, który sprawiał wrażenie połowy neapolitańskiego dworu, zatrzęsło rzymską socjetą. Ambasadorzy, którzy wyjechali naprzeciw, by ich powitać, wraz z kardynałami i rodziną papieża – ponieważ zdarzenie miało charakter zarówno rodzinny, jak polityczny – jeszcze przed formalnym zapoznaniem zostali uwiedzeni przez ekstrawagancję, iskrzące się oczy i zadziorny uśmiezek Sancii oraz jawną kokieterię jej dam dworu, z roześmianymi umalowanymi liczkami jadących za nią w wachlarzowym szyku i odzianych z tak niewolniczym respektem wobec mody, iż zdawało się, że dobrały maść wierzchowców, by zaakcentować walory swych sukien: jasne jedwabie rozpostarte na ciemnych końskich bokach, ciemne aksamity – na jabłkowitych. Pinturicchia, który tkwi już na następnym rusztowaniu dla innego klienta (jak zawsze przedkładając pracę nad czcze rozrywki), żółć zaleje na wieść o tym, co go ominęło: idealna scena przybycia królowej Saby, stanowiącego obecnie jeden z jego ulubionych tematów.

Przy takiej konkurencji Jofré nie miał żadnych szans. Jechał koło żony, niższy od niej o dobrą głowę, i choć miał na sobie imponujący rubinowoczerwony brokatowy kaftan i kontrastujący z nim tabard, jego nogawice – dla podkreślenia kształtu nóg – zostały tak ciasno przysnurowane do dubletu, że trudno mu było odpowiednio mocno ścisnąć siodło. Istny podarunek dla satyrycznie usposobionych widzów: żonkoś-chłoptaś, który nie potrafi porządnie dosiąść własnego konia. Cóż, niewielkie zmartwienie. Wygląda na to, że jego żona radzi sobie z jazdą wierzchem z nim czy bez niego.

W ciągu tygodnia złośliwe żarty można już usłyszeć w całej Italii. Nie znaczy to, że zapomniano o polityce (insynuacja to uświęcona tradycją broń dyplomacji), lecz że potrzeba było innej, prostszej przyjemności. Rzym przeżył okupację i groźbę zniszczenia. Ci, którzy przetrwali kryzys, czują jednocześnie ulgę i ów spadek nastroju, który następuje po okresie długotrwałego napięcia. Ambasadorzy, którzy bawią się kosztem nowo przybyłych, sami łakną rozrywki. Pokój, mają nadzieję, będzie teraz równie interesujący jak wojna.

– Chociaż kiedy twój ojciec nas zawezwał, wcale nie chciałam jechać. Miasto kościołów. Bóg jeden wie, że dość mamy księży w Neapolu. Ale Jofré był ogromnie podekscytowany, a Alfonso oświadczył, że musimy jechać, bo Rzym jest teraz wspaniałym miejscem, jeśli chodzi o modę i zabawę.

– Alfonso?

– Mój brat. O, i miał rację. Byłby zachwycony. A ty byłabyś zachwycona nim. Wszystkie kobiety go uwielbiają. Jeździ konno jak wicher, zna każdy taniec i ma najładniejsze nogi w całym Neapolu. Wszyscy mówią, że tworzymy doskonałą parę, kiedy tańczymy pawanę.

– Musisz za nim tęsknić.

– Oczywiście. Choć uważam, że twój brat jest niemal tak samo przystojny.

– Jofré?

– Nie! – Sancia śmieje się wesoło. – Cesare. Jestem pewna, że brakowało ci go, kiedy byłaś z dala od domu.

Och, istotnie tak było. Kiedy pierwszy raz go znów zobaczyła, poczuła się, jakby słońce wyszło zza chmur po długiej zimie. Po tryumfalnym powrocie do Rzymu zajął watykańskie pokoje księcia Dżema bezpośrednio nad apartamentami papieża i stał akurat w oknie, gdy wraz

z Giovannim wjechała do ogrodów. Ujrawszy go, nie mogła przestać się uśmiechać. Fantazyjnym gestem posłał jej całusa, a ona żywo wyciągnęła rękę, by go złapać. W jej życiu brakowało ostatnio teatru i rycerskości i rada była, że znów może czerpać z nich przyjemność. Jakże kocham moją rodzinę, pomyślała. A jednak, choć na wieść o powrocie do domu nie posiadała się z podniecenia, po kilku dniach – mimo szczęścia, oczywiście – zaczęła czuć się... dziwnie. Zdarzały się chwile, gdy pławiąc się w komplementach na temat swojej nowo rozkwitłej urody i gracji, nie mogła nic poradzić na wrażenie, że siedzi obok drugiej Lucrezii: młodej kobiety, która także przebywała długo daleko od domu i również tęskniła za swoją rodziną, ale jakoś bez niej przeżyła. Owszem, popłakiwała nocami, niemniej jednak rankiem wstawiała i przechodziła przez następny dzień. I przez wszystkie kolejne. Była panią w książęcym pałacu, poznawaną i podziwianą przez najrozmaitszych ludzi. Pierwszy raz w życiu stała się kimś więcej niż tylko ubóstwianą córką i siostrą. I...

– I czy to prawda, że uciekł Francuzom sprzed nosa przebrany za chłopca stajennego?

– Co?

– Cesare. Tak o nim mówią.

– Tak, tak, to prawda.

– Och, to takie... takie emocjonujące. Wiem, że gdybym była mężczyzną, zrobiłabym to samo. Mówią też, że utrzymuje kurtyzanę. Fiammetta, tak jej na imię, prawda? Poznałaś ją?

– Nie.

– Musi być piękna. Jakkolwiek Jofré twierdzi, że nie jest taka ładna jak ja.

– Skąd Jofré może to wiedzieć?

– Mówi, że Cesare zabrał go do niej. – Sancja marszczy nos. – Ale czasami gada różne rzeczy tylko po to, żeby zrobić na mnie wrażenie. Czy to nie słodkie?

– Co jeszcze mówi? – pyta Lucrezia, rozdarta między ciekawością a mglistym poczuciem niestosowności tej rozmowy. Przywykła do bycia beniaminkiem dworu, a przybycie tej figlarnej, najwyraźniej pozbawionej wstydu istoty sprawiło, że w porównaniu z nią czuje się nuda.

– O, znasz Jofrégo. To jeszcze taki chłopiec. Powie wszystko, byle zdobyć uwagę.

Uwielbiam go. Wszyscy go uwielbiamy. Naprawdę. Mimo że czasem pokazuje charakter. – Szczerzy ząbki w uśmiechu. – Podejrzewam, że Giovanni też. Muszę powiedzieć, że na ostatnim bankiecie był taki... sztywny i nachmurzony. Jakby zjadł coś, co monstrualnie mu zaszkodziło.

Lucrezia uśmiecha się. Przy całej swojej żywiołowości i śmiałości urocza młoda Sancja nie wie jeszcze wielu rzeczy i najwyraźniej nie jest tą wiedzą zainteresowana.

Po prawdziwym życiu na dworze Borgiów nie jest wcale łatwe dla żadnego z ich mężów. Jofré tak długo traktowany był jak dziecko, na przemian rozpieszczane i lekceważone, że jego dąsy i napady złego humoru szybko rozwinęły się w cechy dorosłego charakteru. Nie pomaga mu ani żona, która igra z nim i odstawia na bok jak zabawkę, ani ojciec, którego niekiedy tak irytuje szczenięca labilność syna, że przyłącza się do drażnienia go, zamiast przyjść mu w sukurs.

Giovanni Sforza przynajmniej nie oczekiwał niczego lepszego.

Książę i księżna wrócili do Rzymu, gdzie okazało się, że plotkarze czekają na nich z naostrzonymi szpikulcami. Po zakończeniu wojny stan Borgiowsko-Sforzowskiego mariażu nieodparcie narzuca się jako temat dyplomatycznych spekulacji. Powierzchniowo konflikt między rodami jest zażegnany. W Mediolanie Ludovico Sforza, jak rozpuszczone dziecko, które dostało, czego chciało, i przekonało się, że mu to nie służy, odwrócił się od Francuzów, gdy tylko wiatry się zmieniły, i dołączył do papieskiej ligi. Jego brat, kardynał Ascanio, dostąpił oficjalnego wielkodusznego przebaczenia („Wymazujemy wszelką plamę niesławy. Niechaj przeszłość będzie przeszłością, a my zacznijmy od nowa”) i pełni z powrotem dawną funkcję, równie namiętnie zaangażowany teraz w służbę papieżowi, jak ongiś w wymierzoną weń zdradę.

Jeśli Aleksander czuje urazę, nie robi nic, by ją okazać: każdy papież potrzebuje wicekanclerza, by napełniał mu kufry, a na liście rodzin, które przeciw niemu wykroczyły, wiele nazwisk zajmuje wyższe miejsce. Jeden wróg naraz.

– Ach, patrzcie tylko. Opuściłaś Rzym jako dziewczynka, a wracasz jako kobieta. – Papież jest rozradowany widokiem córki. – Rozłąka złamała nam serce po dziesięciokroć, ale ty jesteś po niej jeszcze piękniejsza.

Zapadając się w sute fałdy jedwabiu i aksamitu, Lucrezia wdycha zmieszany zapach piżma i potu, który tak bardzo przypomina jej dzieciństwo. Jednocześnie pozostaje aż nadto świadoma obecności Giovanniego, stojącego w oczekiwaniu tuż za nią.

– Witamy także ciebie, szacowny zięciu – mruczy Aleksander, wypuszczając ją z objęć. – Brakowało nam was obojga.

W drugim końcu komnaty Cesare uśmiecha się szeroko i zimno. Jakakolwiek jest przyszłość tego stadła, małżonek dowie się ostatni. Jednakże przewód pokarmowy Giovanniego Sforzy działa od dawna równie skutecznie jak pałac pełen szpiegów i książę odbiera powitanie obydwu mężczyzn, jakby kto dźgał go nożem w trzewia. A może ostrze trafia w sumienie – bo większość przyjmuje, że jego ośrodek mieści się w okolicach żołądka. Tak czy inaczej, nerwowość Giovanniego osiąga taki poziom, że przez pierwsze tygodnie nie je ani nie pije niczego, co nie przeszło przez wargi jego żony.

– O, mój panie. Myślę, że to ci zasmakuje. Skosztuj, proszę, sosu. Ma tę zawieszistą rzymską słodycz i pasuje do wina.

Podczas ich pierwszej kolacji w apartamentach papieża Lucrezia odczuwa jego dyskomfort tak głęboko, że czuje się w obowiązku wesóło karmić go kęskami ze swojego talerza i przy toastach splatać ich dłonie, tak że piją z jednego kielicha. Jego uśmiech zdradza znękaną wdzięczność – i jest to widoczne dla wszystkich, którzy go zauważyli.

Jej życzliwość odzwierciedla rozejm, który osiągnęli. Podczas okupacji Rzymu każde z nich było tak pochłonięte własnym niepokojem, że ledwo się do siebie odzywali. Kiedy jednak nadeszły wieści o zwycięstwie papieża i zmianie stanowiska Sforzów, stało się jasne, że oni także muszą zawrzeć pokój. Zamiast uczucia wypracowali uprzejmość. Nie było to takie trudne. Jako pani na dworze widywała gorsze małżeństwa: otwarte manifestacje pogardy albo znudzenia, niebaczne na nic żądze niewiernych mężów. Giovanni się tak nie zachowywał. Nawet gdy panowały między nimi najgorsze stosunki, nigdy bezpośrednio jej nie znieważył ani nie napastował. Ani też w żaden sposób – a w jeden szczególnie – nie wywierał na niej przymusu. Nawet kiedy wojna się skończyła, a jego nerwy doszły do równowagi, nie wrócił do jej łóża. O nic go nie pytała. Ani do niego nie tęskniła. Był to kompromis, który odpowiadał im obojgu, porozumienie bez słów. Chowanie urazy nigdy nie leżało w jej naturze, a w wieku szesnastu lat jest wciąż rozkochana w możliwościach, jakie daje życie, i woli być w dobrym humorze aniżeli w złym.

– Taka ładna para. Czy wolno mi wznieść toast na jej powitanie? – nosowy głos kardynała Ascania Sforzy przebija się przez rozgwar sali, podczas gdy on sam wznosi kielich w stronę papieża. – Cóż za radość widzieć nasze rodziny ponownie tak blisko związane przyjaźnią.

Na drugim końcu stołu różni wysłannicy sięgają na oślep po wino, w myślach dokonując poprawek w swoich relacjach.

Później, gdy siedzą razem, czekając, aż muzycy zagrają do tańca, i Cesare zaczyna ją wypytywać, czuje się rozdarta między lojalnością a rodzajem litości.

– Układa się nam całkiem dobrze, biorąc pod uwagę okoliczności.

– Biorąc pod uwagę, że jest głupcem.

– Biorąc pod uwagę, że jestem jego żoną.
– Nie widzę między wami wielkiego afektu.
– Och, Cesare. Nie utrudniaj tego jeszcze bardziej.
– Jestem twoim bratem. Chcę, żebyś była szczęśliwa.
– I jestem. Mam znów przy sobie ciebie i papę. Jesteście obaj cali i zdrowi. Wojna się skończyła. Nie potrafię wysłowić, jak ulżyło mi na duszy. Tak bardzo się martwiłam.
– Niepotrzebnie.
Dalej, przy stole, papież rozsiada się wygodniej na krześle, z twarzą zarumienioną od wina i jedzenia. Kiwa ku nim ręką, Lucrezia odpowiada uśmiechem.
– Tak mówisz, ale *papà* wygląda inaczej. Wydaje się starszy, bardziej zmęczony.
– Chyba grubszy. Nasza matka przekarmiła go podczas okupacji. Uparła się i zabrała do zamku własne jedzenie i wino.
– Przynajmniej była bezpieczna. – Przerywa. – Nie umiem sobie wyobrazić, jak to było. Czy to prawda, że o mało brakowało, a stracilibyśmy wszystko?
– Kto ci tak powiedział? Twój mąż? – Jego głos jest ostry.
– Nie skacz mu do gardła, Cesare. Nie był jedyny.
– Nasza przegrana nie wchodziła w rachubę. Jasno pisałem to w listach.
– Czasem ludzie mówią to, co ich zdaniem inni chcą -usłyszeć.
– Tak? Jak wszyscy, którzy prawią ci, jak to jeszcze wypiękniałaś, kiedy cię nie było? – Patrzy jej prosto w oczy, z niesłabnącą intensywnością.
Lucrezia potrząsa głową, zakłopotana.
– Drażnisz się ze mną – mamrocze. – Nie wiem, o co ci -chodzi.
– Chodzi mi o to, że mówią tak, bo to właśnie chcesz słyszeć. Tylko że to nieprawda. Ja tego nie widzę.
– Dlaczego? A co widzisz?
– Widzę śliczną młodą kobietę, owszem, ale czegoś jej brakuje.
– Czego? Czego mi brak? – pyta, jak dziecko domagające się odpowiedzi, której nie znają nawet dorośli.
– Jesteś niekochana.
Wpatruje się w niego.
– Niekochana?
– Tak, niekochana. Masz męża, a jednak jesteś niekochana. – Cesare pozwala słowu wybrzmiewać sekundę dłużej. – Ale zdrajcy nie są dobrzy w miłości. A ty, droga siostrze, zasługujesz na więcej.
Czuje, jak gorąco uderza jej do twarzy, i spuszcza głowę, by tego nie dostrzegł.
– Nie mogę słuchać takich rzeczy. Proszę. To nie pomaga.
Na przeciwległym końcu komnaty Giovanni, dotychczas pogrążony w ożywionej konwersacji ze swoim kuzynem, przerywa i patrzy w ich stronę.
– Jakich rzeczy, Lucrezio? – Cesare, który zauważa wszystko, co dzieje się wokół, dba, by jego głos zabrzmiał lekko i zwyczajnie. – To tylko rzymskie przekomarzanki, siostruniu – mówi teatralnie, a gdy Lucrezia podnosi głowę, obdarza ją najbardziej ujmującym ze swych eksponowanych publicznie uśmiechów. – Tak długo nie było cię w domu, że zapomniałaś, jak się je uprawia. – Ujmuje jej dłoń i podnosi do ust. – Ale nie pozwolimy, żebyś znów nas opuściła. Jesteś zbyt cenna. – I przyciąga ją do siebie i całuje czule w oba policzki. Zbliżywszy wargi do jej ucha, szepcze: – Nie musisz się obawiać. Cokolwiek się stanie, ja zawsze będę cię kochał.
Odwracając się ku biesiadnikom, widzi, że spora część gości patrzy w ich stronę. Można niemal pomyśleć, że zależało mu na przyciągnięciu uwagi.

Muzycy wreszcie się zebrali i rozlegają się pierwsze nuty wygrane na wioli. Cesare wstaje z intencją poprowadzenia Lucrezii do tańca, lecz przed nią stoi już Giovanni z wyciągniętą ręką.

– Grają, by powitać nas w domu, droga żono – mówi, zdecydowanie za głośno. – Czy mogę prosić cię w pląsy?

Lucrezia wstaje niepewnie, podając mu rękę. Jego dłoń jest wilgotna od potu.



Rozdział 22



Wiosna przechodzi w lato, a atmosfera na papieskim dworze robi się coraz gorętsza jeszcze szybciej niż pogoda. Przez pierwsze kilka tygodni Lucrezia i Sancia są nierozłączne: zamknięte w pałacu jednej czy drugiej z kupcami bławatnymi i krawcami, wybierają tkaniny i bawią się w modę. Aleksander, któremu do pełni szczęścia brakuje tylko obecności Juana, jest oczarowany swoją nową synową, mimo że jej skłonność do psoty rujnuje Burchardowi oficjalną organizację zdarzeń. Podczas któregoś z publicznych nabożeństw w Bazylice Świętego Piotra ona i Lucrezia tak się nudzą trwającym w nieskończoność kazaniem, że w połowie wyłamują się z szeregu i – wraz z barwnym stadkiem swoich dam – gramolą do stall chóru, gdzie sadowią się hałaśliwie, chichocząc i poprawiając piórka. Jest to drobny, ale doskonały skandal. Papież patrzy pobłażliwie, podczas gdy Burchard, znieruchomiały na swoim miejscu, doznaje najwyraźniej ataku hiperwentylacji. Nowina rozchodzi się w Rzymie w ciągu jednego dnia, a następnego jest już plotką w całej Italii.

Zachowanie Sancii jest, jak zawsze, tyleż spontaniczne, co wykalkulowane. Wyrosła karmiona adoracją i najswobodniej czuje się, kiedy skupia na sobie spojrzenia wszystkich dookoła, choć zawsze wie, czyjej konkretnie uwagi szuka w danym momencie. Podobnie jak – dość szybko – wiedzą to wszyscy inni.

Przez jakiś czas Cesare czuje rozbawienie na równi z pociągami. Ich pierwsze spotkanie przyprawione było tak oczywistymi sygnałami wzajemnego upodobania, że można było odnieść wrażenie, jakby przyszłość już się wydarzyła. Niemniej jednak Cesare jest teraz bardzo zajęтым kościelnym politykiem i nie ma wiele czasu na flirty. Podczas wojny był tak skupiony na sprawach państwowych, że jego metresa, kurtyzana Fiammetta, z całym swoim profesjonalnym dowcipem i brakiem zazdrości, nieoczekiwanie zdobyła jego wierność.

Fertyczna młoda księżna Squillace zwykła jednak dostawać to, czego pragnie. Roztacza swoje wdzięki we wszystkich możliwych, pełnych szyku i uroku kreacjach, czuląc się i tuląc do męża, a jednocześnie rzucając ukradkowe filuterne spojrzenia w stronę kardynała. Opieranie się jej zaczyna graniczyć z nieuprzejmością. Po miesiącu obstawiane są już zakłady, ile czasu jeszcze będzie potrzebowała, by znaleźć się z nim w łóżu.

Fiammetta, która nie ma wstępu na dwór, wygrałaby z łatwością.

– Widzę, że wróciłeś z Neapolu – mówi, kiedy Cesare przychodzi pewnego wieczoru odziany w nowy czarny kaftan opinający klatkę piersiową na podobieństwo reliefu, o rękawach od łokcia poznaczonych dramatycznie nacięciami, z których kipią obłoki białego morowanego jedwabiu.

Cesare się śmieje.

– Nie byłem pewien, czy ci się spodoba. To prezent.

– Nie będę nawet pytać, w zamian za co. – Fiammetta nalewa wina. – Nie obchodzi cię, że to żona twojego brata?

– Ona nie ma męża, tylko pieska salonowego, który wabi się Jofré.

– Być może zazdrość nauczy go kąsać.

– Ach, Fiammetto, nie mów, że żałujesz mi odrobiny zabawy?

– Nie żałuję ci niczego. Jak wiesz, nie jestem zaborcza. Muszę cię jednak ostrzec, że w nadchodzących miesiącach mogę być również bardziej zajęta.

Ich namiętność jest gorąca i wartka. Oboje cechuje nieustraszonność, która pozwala im na podejmowanie ryzyka, toteż w kulminacyjnym punkcie ich wzajemne pożądanie można wyczuć węchem nawet w pomieszczeniu pełnym ludzi. Pod kardynalską szatą Cesare jest w każdym calu dworzaninem, z językiem prędkim i ostrym jak jego miecz, i ich publiczne przerzucanie się docinkami staje się rodzajem gry wstępnej. Skutek jest jednocześnie szokujący i zabawny. W całym otoczeniu budzi się jakaś zmysłowość, a prym wiodą damy dworu Sancii. Jedni są zachwyceni, drudzy zbulwersowani. Jofré w odpowiedzi ubiera się jeszcze bardziej krzykliwie i jego zachowanie jeszcze częściej przypomina próby wdrapania się na żonine kolana. Jest nie tyle zły, ile ponury. Nie pierwszy to raz i nie ostatni. Kiedy pozwala sobie na dumanie, nie potrafi odsunąć od siebie myśli, że jest jeszcze jeden brat w rodzinie, który w końcu pojawi się w domu.

Giovanniemu, który większość czasu zaczął spędzać w pałacu swojego kuzyna wicekanclerza, również trudno oddychać.

– Proszę, zostań. Jesteś moim mężem i musimy utrzymywać swoją pozycję.

– Wróc więc ze mną. Jesteś moją żoną i Pesaro potrzebuje również ciebie.

– Wiesz, że nie mogę. Mój ojciec chce, żebyśmy byli z nim tu na dworze.

– To nie dwór, Lucrezio, to burdel. Pogardzający każdym, kto nie bierze udziału w tej zabawie. Jestem tutaj ledwo tolerowany. Nie widzisz, jak patrzy na mnie twój brat?

Ostatnio jednak Lucrezia widzi tylko, jak Cesare patrzy na ich bratową. Zauważywszy to, płacze w nocy, jak nie płakała od wielu miesięcy. Trudno powiedzieć, co martwi ją bardziej: zachowanie męża czy brata.

Któregoś popołudnia składa Sancii niezapowiedzianą wizytę i zastaje ją w okolonym żywopłotem zakątku ogrodowego dziedzińca, z ręką Cesarego pod spódnicą i odrzuconą do tyłu głową; z jej ust wyrrywają się ciche jęki.

Cesare spostrzega się pierwszy i wstaje, by ją powitać, tak szybko, że Sancia z trudem utrzymuje równowagę. Lucrezia odwraca się na pięcie i jest już w połowie sali przyjęć, gdy Cesare ją dogania. Kładzie rękę na jej ramieniu, ale ona ją strząsa.

– O co chodzi?

– O co chodzi?! – Patrzy na niego z niedowierzaniem.

– Nie traktuj tego tak poważnie. To przelotna miłośćka.

– Cesare! To żona naszego brata!

– I znalazłem w naszej powinowatej wielkie upodobanie. – Uśmiecha się.

– Przestań – mówi gniewnie Lucrezia. – Ani żarty, ani kłamstwa niczego tu nie polepszą.

– Nie kłamię, Lucrezio. Mówię ci, żebyś się nie martwiła. To igraszka, nic więcej.

– Igraszka? A czy ona jest tego samego zdania?

– Sancia wychowała się w Neapolu. Wie, co robi.

– Nie wydaje mi się, żeby którekolwiek z was wiedziało, co robi.

– Wszystko jest w porządku. Nikomu nie stanie się krzywda.

– Tylko waszym duszom – mówi.

– Ach, moja młoda, słodka siostrzyczko – śmieje się Cesare – nikt nie kocha mnie tak jak ty. Nie drzyj o moją duszę.

– A ty przestań traktować mnie jak dziecko. Nie jestem już ani słodka, ani młoda.

Cesare milczy przez chwilę, patrząc na nią spokojnie.

– Wiem – mówi. – Wiem też, że dbasz o mnie bardziej niż większość duchownych, których kiedykolwiek poznałem. Musisz jednak zrozumieć, że każdy musi sam troszczyć się o własną duszę.

- A ty to robisz? Troszczysz się o swoją duszę?
- Oczywiście.
- Jak? W jaki sposób, Cesare?
- Wyznaję swoje grzechy.
- Spowiadasz się. Regularnie?
- Ilekroć jest potrzeba. Czyli owszem, regularnie.
- I wypełniasz pokutę, i otrzymujesz rozgrzeszenie?
- Zawsze – odpowiada, pozwalając sobie na lekki uśmiech. – Jestem w końcu kardynałem

Walencji.

– Och, Cesare. – Lucrezia wzdycha, bo wśród tych ich przymówek nie wie sama, na ile mu wierzyć. Jest doskonale świadoma, jak głupio brzmią jej lęki ubrane w słowa. Jak młodzianka się przez nie wydaje. Czasem modli się o więcej światowości. O więcej zrozumienia. Ale jak można prosić Boga, by ujął człowiekowi sumienia?

– A co z Jofrém?

– Jofré jest moim bratem i oddałbym za niego życie. Stanął przed zbyt dużymi wymaganiami w zbyt młodym wieku. Jeśli jednak nasza rodzina ma być bezpieczna, musi szybko dorosnąć. Lepiej, żeby popychał go do tego ktoś, kto go kocha, niż ktoś, kto takich uczuć nie żywi. – Wytrzymuje jej spojrzenie. – I odpowiadając na twoje następne pytanie: nie, nie dlatego to robię, niemniej jednak jest to prawda. Czy to cię satysfakcjonuje, siostrzyczko? Jest jeszcze coś w temacie rodziny, w czym mógłbym ci pomóc?

Lucrezia wpatruje się w brata. Jego słowa są sarkastyczne, lecz ton już nie. Jest jeszcze coś?

– Pozostanę poślubiona swojemu mężowi? – Pytanie wyrывa jej się niemal wbrew woli. Oczekuje teraz śmiechu albo przynajmniej takiej czy innej kpiny.

– A co? – pyta Cesare cicho. – Wolałabyś innego?

Lucrezia wykonuje głową nieznaczny gwałtowny ruch, ale trudno powiedzieć, czy wyraża on potwierdzenie, czy zaprzeczenie. Zaciska powieki. Cesare ujmując jej dłonie i trzymając je przez chwilę. Zanim się odzywa, słyszą energiczne kroki Sancii. Wystarczy, że jej przeszkodzone – zostać całkiem porzuconą to już inna historia. Cesare odwraca się i wita ją wyciągniętym ramieniem. Sancia jednak zatrzymuje się przed nimi, lekko zadyszana, choć nie wygląda, jakby biegła. Być może pod jej suknią tupnęła właśnie mała nóżka.

Jest taka śliczna, myśli Lucrezia. Uśmiecha się do niej. Dobrze wiedzieć, że nie ma czym się martwić.

Oczywiście nic nie jest takie łatwe, jak przedstawia to Cesare. Rozniecony ogień płonie tak, jak zawieją wichry namiętności, a Sancia, mimo że jest wytworem spaczzonego moralnie neapolitańskiego dworu, nie posiada pancerza chroniącego przed zranieniem. Przez pierwsze miesiące widzi jedynie nieokiełznane piękno płomienia. Stała się oto duszą rzymskiego dworu, usidliwszy już nie jednego, ale dwóch papieskich synów, z których jeden jest w dodatku najurodziwszym i najbardziej charyzmatycznym mężczyzną w Watykanie.

Wokół tego tryumfu kręci się całe jej życie: dni wypełnia jej strojenie się, zabawa i rozkoszne wyczekiwanie następnego spotkania. Cesare dla odmiany musi żyć wieloma żywotami, kiedy więc się rozstają, niemal natychmiast o niej zapomina, jakkolwiek słodkie byłoby ich zetknięcie. Z upływem tygodni coś, co miało dlań z początku nieodparty urok, staje się niemal rutyną.

W Kościele są do wykonania poważne zadania: trzeba wyciągnąć korzyści z niedawnego zwycięstwa Aleksandra i wybrać kolejnych nowych kardynałów. Zostawiając mu tak wiele do decyzji, papież daje wyraźny znak zaufania, jakim darzy syna. Takie rzeczy wymagają jednak

czasu i są wieczory, gdy Cesare spóźnia się albo w ogóle nie dociera na schadzki. Sancia, która nie przywykła do lekceważenia, przyjmuje to fatalnie. Dąsa się, tupie i udaje nieprzystępną. Cesare za pierwszym razem z ochotą podchwytuje grę i przypuszcza szturm do cytadeli, za drugim i trzecim jednak jest już tym zmęczony. Pewnej nocy, gdy Sancia zatrząskuje mu drzwiami przed nosem, podwoje swojego szykownego białego domu po drugiej stronie mostu otwiera przed nim Fiammetta, dla której umiejętność – a niedostrzegalne dla zainteresowanych – kierowanie żądzami mężczyzn jest częścią profesji. Słucha i śmieje się, a kiedy udają się do alkowy, opiera się akurat na tyle, by dać kochankowi poczucie, że znów ją zdobył.

Kiedy plotka o jego skoku w bok nieuchronnie wychodzi na światło dzienne, Sancia wpada w szal: zalewa się gorącymi łzami, wraca do równowagi, po czym znów się załamuje. Przez dwór, jeszcze niedawno pełny podniecenia, przepływa teraz podskórny prąd niepokoju. Dla Aleksandra, który wcześniej z pobłażaniem obserwował sytuację, przebywanie w ich towarzystwie staje się mniej odprężające. W rezultacie spędza więcej wieczorów przy pracy albo na prywatnych kolacjach z ambasadorami. Jego wycofanie się z kolei wpływa na nastroje tych, którzy pozostali. Coś, co dotąd było zabawą, staje się komplikacją.

– Potrafi być męcząca w swoich afektach. Powinna zachowywać się bardziej jak żona Jofrégo – mówi pewnej nocy do leżącej obok Giulii. – Naszej reputacji nie pomaga fakt, że robią z niego tak oczywistego rogowca. – Wygłaszając tę uwagę, zdaje się nie dostrzegać ironii sytuacji. Ale też jego związek z Giulią ochłodził nieco od czasu jej dobrowolnego wygnania, tak że więcej nocy spędza samotnie niż w jej łóżu.

– Twój ojciec uważa, że jest męcząca – mówi Giulia do Lucrezii, zaszedłszy do niej z wizytą następnego popołudnia. O tym, co odczuwa jako własne stopniowe popadanie w niełaskę, nie wspomina. W wieku dwudziestu trzech lat jest tak samo piękna jak wcześniej, a że ma przy tym córkę, brata kardynała i bawialnię wciąż rojną od gości szukających przychylności papieża, trudno uznać ją za kobietę odrzuconą. Być może, tak jak przed nią Vannozza, korzysta z pewnej ulgi od przytłaczającego brzemienia. – Powinnaś z nią porozmawiać. Znasz ją lepiej niż reszta rodziny.

– Co? Co mam jej powiedzieć?

– Że musi się postarać, aby jej małżeństwo było bardziej udane, i nie dramatyzować z powodu rzeczy, na które nie ma wpływu.

Lucrezia wzrusza ramionami.

– Wydaje mi się, że może być rozczarowana swoim mężem.

Giulia uśmiecha się.

– Widzę, że przez ten czas, kiedy byłaś poza domem, rozwinęło się u ciebie rodzinne poczucie humoru.

– Właściwie mówiłam poważnie.

– W takim razie powiedz jej, że jest w dobrym towarzystwie, ale musi nauczyć się być bardziej dyskretna, kiedy cudzołoży.

Sancia jednak nie jest w nastroju, by wysłuchiwać rad.

– Jestem dobrą żoną dla Jofrégo i szczerze go kocham. Co się zaś tyczy kardynała Walencji – zupełnie mnie on nie interesuje. Jestem księżniczką z królewskiego rodu i zwykłam otaczać się dworzanami, a nie mężczyznami o konduicie marcujących się kotów.

Podobnego opisu mogłaby równie dobrze użyć na określenie siebie samej.

– Z nim po prostu tak już jest, Sancio. Nie jest celowo okrutny.

– Przeciwnie, myślę, że jest i się w tym lubuje. Ale nic mnie to nie obchodzi. To była igraszka, nic więcej. A ja i tak zaczynałam już być nią znużona.

Cisza między nimi się przeciąga. Lucrezia czuje się nieswojo i szykuje się już do

odejścia, kiedy z krtani Sancier wyrywa się głęboki szloch. Gorączkowo macha ręką przed twarzą, jak gdyby próbowała go odpędzić.

– Nie płaczę z powodu twojego brata – mówi gniewnie. – Nie. Nie jest tego wart.

Tylko... Miałam złe wieści z Neapolu.

– Jakie? Jakie?

– Eee... Alfonso miał wypadek na koniu i został ranny.

– Twój brat! Co się stało?

– Och... jego wierzchowiec pośliznął się i przewrócił. Alfonso zwichnął nogę. Ale wszystko będzie dobrze. Tylko trochę się martwię.

Lucrezia, której nieobca jest wewnętrzna walka toczona, gdy mówi się jedno, a czuje drugie, podchodzi i otacza ją ramionami.

– Och, Sancio, nic dziwnego, że jesteś tym wszystkim zalterowana. Musisz tęsknić za domem.

Wargi młodej piękności wyginają się w podkówkę i drżą jak u małej dziewczynki.

– Może twój brat będzie mógł przyjechać do Rzymu w odwiedzinach? Jestem pewna, że kiedy przyjdzie czas, *papà* z największą radością wystosuje zaproszenie.

– Tak. – Kiwa głową Sancier. – Tak. Poznasz wtedy mężczyznę, który ma serce tak samo piękne jak ciało. Prawdziwego dworzanina. – Już prawie doszła do siebie. – O, i czy to prawda, że księżę Gandii wraca z Hiszpanii?



Rozdział 23



Został wezwany już wcześniej: kiedy Rzym stał w obliczu najazdu Francuzów, papież wysłał do swojego najmilszego syna prośbę o powrót do domu, jakby sama jego obecność mogła jakoś skłonić wroga do odwrotu. Jednak życie księcia Gandii zmieniło się na tyle, że nie jest już na każde skinienie swego ojca. Mając żonę z królewskiego rodu, miejsce na dworze i szmat Hiszpanii na finansowanie swoich życiowych potrzeb, został hiszpańskim grandem w orbicie energicznych rządów Izabeli Kastylijskiej i Ferdynanda Aragońskiego. Była to raczej słodka niewola, a fakt, że Hiszpania potrzebowała przyjaznego zakładnika z rodziny Borgiów, by zapewnić sobie nieustającą lojalność papieża w stosunku do dynastii aragońskiej rządzącej w Neapolu, zaowocował licznymi pretekstami, by go zatrzymać.

Teraz jednak, kiedy Neapol został odzyskany z rąk Francuzów, Ich Królewskie Wysokości nie mogą już wysuwać sprzeciwów wobec jego odwołania. Na zaproszenie nie sposób odpowiedzieć odmownie: Juan jest wzywany do domu, by poprowadzić armię na odwetową wyprawę przeciwko wrogom swojego ojca. Aleksander jest wreszcie gotów, by wyrównać niektóre porachunki. Nie zaprzęta sobie specjalnie głowy Sforzami i Colonnami – mieli dość rozumu, by paść na twarz przed zwycięzcą, i mogą poczekać. Rodzina Orsinich jednak – ze swym przywódcą, Virginiem, tkwiącym w neapolitańskim lochu – pozostaje na usługach Francji i wciąż kontroluje strategiczne twierdze wokół Rzymu. Zamiar zmuszenia jej do poddania tych właśnie zamków jest głównym powodem wystawienia armii.

Pierwsza salwa przybiera postać papieskiej bulli ekskomunikującej wszystkich członków rodu za nieposłuszeństwo i zdradę Stolicy Apostolskiej. Unicestwiwszy ich szanse na życie wieczne, Aleksander sposobi się do pozbawienia ich wszelkich praw także w życiu doczesnym. Potrzebuje do tego kapitana generalnego Kościoła, człowieka o nieposzlakowanej lojalności, który po skonfiskowaniu ziem Orsinich przyłączy je do posiadłości Borgiów. Jedyna osoba posiadająca lepsze niż Juan kwalifikacje do tego stanowiska nie może go otrzymać. Nie powstrzymuje jej to jednak od powiedzenia, co o tym myśli.

– Juan nie ma doświadczenia, ojczcie. Ani w dyplomacji, ani w planowaniu strategicznym, ani w niczym, co się wiąże ze sztuką wojenną. Czytałeś jego listy. Ledwo odróżnia jeden koniec działa od drugiego, a jedyni ludzie, jakich kiedykolwiek miał pod komendą, to służący przesuwający jego meble i krawcy, na których się wydziera, gdy naszyją mu za mało klejnotów na -rękawy.

– Nie jest zawodowym żołnierzem, to prawda. Dlatego właśnie poprosimy księcia Urbino, by dzielił z nim dowództwo. Jego nazwisko ma znaczenie i nasza liga sojusznicza go poprze.

Cesare wzrusza ramionami.

– A więc jednooki będzie wiódł ślepego. Urbino to kondotier w drugim pokoleniu. Jedzie na opinii swojego ojca. Nie stoczył na własną rękę ani jednej zasmolonej bitwy. Ani nie odbył kampanii dłuższej niż kilka miesięcy.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Cesare? Że ty dokonałeś jednego i drugiego?

– Nie. Ale żyłem tą wojną w każdej jej minucie. Siedziałem z tobą nad mapami Italii,

rozmawialiśmy o strategii i o ruchach wojsk i formacji zbrojnych. Negocjowałem warunki kapitulacji i grałem jednym przeciwko drugiemu. Byłbym lepszym dowódcą niż Juan.

– Nawet jeśli to prawda, jesteś kardynałem Kościoła rzymskiego. Nie możesz być jednocześnie jego kapitanem generalnym. Nasi przeciwnicy czujnie wypatrują przykładów nadużywania przez nas władzy papieskiej.

– Nie robimy niczego, czego nie zrobiłby przed nami della Rovere. Papież Sykstus nasłał morderców na braci Medicich podczas uroczystej mszy!

– W rzeczy samej! – wykrzykuje Aleksander, zarazem ucieszony i zirytowany nieustępliwością ataku. – Ale nie zrobił tego własnoręcznie. Jesteś moim synem i kardynałem i nikt nie będzie oglądał, jak wyrzynasz ludzi na polu bitwy.

– Nie. Mógłbym jednak siedzieć w obozie i pilnować, żeby właściwie wymierzali dystans między armatą a murami, które trzeba zbombardować.

– Dość sarkazmu, Cesare. Nie słuchasz tego, co do ciebie mówię. Cesare skłania głowę.

– Przepraszam. Ale... z całym szacunkiem, ojcze... ty także nie słuchasz tego, co ja mówię do ciebie. Znam się na rzemiośle wojennym. Wypytywałem szczegółowo dowódców artylerii, którzy zdobywali fortece na południu. Zbadałem także wszystko, czego można było dowiedzieć się o zamkach Orsinich, i wiem, czego trzeba, żeby ta kampania się udała. Mniejsze kasztele na wschód i na północny zachód od jeziora Bracciano same wpadną nam w ręce. Nie wykazują szczególnej lojalności wobec Orsinich i wystraszy ich sam zapach armatniego prochu. Ich obrona jest przestarzała. – Przerzywa, by się upewnić, że teraz ma ojcowską uwagę. – Kłopot sprawią nam dwie twierdze nad samym jeziorem, ponieważ mogą na łodziach przemieszczać między sobą wojsko i zapasy. Zwłaszcza zamek w Bracciano. Został ponownie umocniony i jest w rękach siostry Virginia. Ona zaś jest równie waleczna jak jej brat i w stawieniu nam czoła dostrzeże szansę na wypertraktowanie jego uwolnienia.

– A, widzę, że twoja siatka szpiegowska jest niemal tak doskonała jak moja. To cud, że znajdujemy obaj czas na modlitwę – mówi oschle Aleksander, choć oczywiście nie potrafi nic poradzić na to, że jest pod wrażeniem. – Masz rację, synu. Dobrze przestudiowałeś całą rzecz. I Juan będzie to wszystko wiedział, zanim wyruszy. Jeśli zaś chodzi o Virginia Orsiniego, sprawa zostanie załatwiona w inny sposób.

– W jaki?

Papież niecierpliwie macha ręką.

– Wkrótce się dowiesz. – Od klęski Francuzów są momenty, kiedy podczas dyskusji z synem zastanawia się, kto kim rządzi. – Jesteś moim powiernikiem w niemal każdej sprawie, Cesare. Lepiej, żeby niektóre rzeczy pozostały niewysłowione. Teraz mówię ci po prostu, co możemy, a czego nie możemy zrobić.

Zapada milczenie. Cesare siedzi bardzo spokojnie, ze wzrokiem utkwionym w blacie stołu.

– W takim razie wypuść mnie z Kościoła – mówi w końcu cichym głosem.

– Nie. Z całą pewnością tego nie uczynię. I nie będziemy więcej o tym rozmawiać. Cesare podnosi wzrok.

– Powiadam ci, ojcze, że będziesz żałował, jeśli tego nie -zrobisz.

– Ty zaś będziesz żałował, jeśli ośmielisz się mi grozić. – Aleksander w rosnącym gniewie unosi zaciśniętą pięść, by uderzyć nią o stół, lecz jakby zmieniwszy zdanie, ciężko kładzie rozpostartą dłoń na blacie i przyciska ją do drewna. – Na rany Chrystusa, Cesare. Jestem głową tej rodziny i dopóki nie przestanę nią być, będziesz robił, co mówię. Żadna licząca się dynastia w historii nie doszłaby do niczego, nie mając albo państwa pod kontrolą, albo papieża,

który by ją zdobył. – Bierze głęboki wdech, by powściągnąć furję. – Popatrz, co osiągnęliśmy od czasu mojej intronizacji. Spójrz na bogactwa, które posiadasz, beneficja i tytuły. Spójrz na nasze ziemie i honory, które spłynęły na nas dzięki sieci małżeństw. Jesteśmy powiązani z koroną hiszpańską, mamy w kieszeni pół Neapolu i nie musieliśmy w tym celu ani razu wypalić z działa. Kiedy tylko odetniemy Pesaro i znajdziemy innego męża dla Lucrezii, staniemy się siłą, której nie będą mogli zlekceważyć nawet Orsini. I zapamiętaj moje słowa: pewnego dnia Francja będzie potrzebować czegoś, co może dać jej tylko papież, i wówczas także ona ugnie przed nami kolano. To, co osiągnęliśmy w pięć lat, bez papieża zabrałoby pół wieku. Wiem, że Kościół nie był twoim wyborem. Ale w wieku dwudziestu jeden lat masz już taką pozycję, że nikt nie śmie tknąć cię palcem.

– Jedynym powodem, dla którego nikt mnie nie tknie, jesteś ty. Gdybyś umarł...

– Ha! Czy ja wyglądam, jakbym umierał?! – ryczy Aleksander. Ach, jak nienawidzi, gdy przypomina mu się o jego śmiertelności. – Najpierw muszę mieć pewność, że jesteś na tyle silny, by zebrać wystarczającą liczbę głosów, kiedy przyjdzie do następnego konklawe.

– Och, ojczu. Jesteśmy znienawidzeni. Nawet ci, którzy głosują na naszą korzyść, szemrają za naszymi plecami. Della Rovere prędkiej by mnie zabił.

– Della Rovere sam może być martwy, jeśli wytrwamy wystarczająco długo. Wiem, jak jesteś uzdolniony, Cesare, ale będzie tak, jak musi być. Juan zostanie kapitanem generalnym Kościoła, a Urbino, jeśli się zgodzi, stanie u jego boku na polu walki.

– A jeśli przegrają?

– Nie przegrają. Orsini zostaną pogiębieni, to ci obiecuję. A teraz kończymy temat i przechodzimy dalej, tak? Tak. Dobrze. Ten młody posłaniec, którego ukradłeś mi przed laty, jakże mu było?

– Pedro Calderón.

– Calderón. Właśnie. Mamy dla niego zadanie.

– GAN-DIA! GAN-DIA!

Tłum zgromadzony w małym brudnym porcie w Civitavecchia dzięki Borgiowskim datkom wita syna papieża z powrotem na włoskiej ziemi. W tym samym miejscu wchodził na pokład trzy lata temu: nieopierzony młodzik wysłany, by spłodzić dynastię i nabrać przy okazji nieco powagi. Z dynastią poszło łatwo: jest już jeden dziedzic, a następny dojrzewa w łonie. Powaga okazała się większym wyzwaniem. Jednak wśród ekscytacji z powodu jego powrotu wszystkie historie o próżności i niewłaściwym zachowaniu zostają zapomniane. W ciągu dni, których potrzebował statek na pokonanie drogi z Walencji do wybrzeża Italii, Aleksander pogrążony był w gorączce oczekiwania, a dwór mu wtórował. „Kiedy księżę Gandii przybędzie do domu” stało się utartym zwrotem na opisanie przyszłych radości.

Cesare, zręcznie maskujący swoje rozczarowanie, jest czarujący i uprzejmy dla wszystkich. Ostatnio, jak gdyby chciał zadośćuczynić za wyrządzone szkody, wziął Jofrégo pod swoje skrzydła: zabiera go na polowania, uczy sztuczek jeździeckich i poruszania się na arenie. Sancię traktuje publicznie z przesadną kurtuazją. Ona zaś śmieje się i zarzuca spódnicami, i zachowuje się tak ostentacyjnie wesoło, że dla każdego, kto ma w sobie choć uncję empatii, jest oczywiste, że wesołości tej wcale nie czuje.

Juan dociera do Rzymu 10 sierpnia i zostaje powitany przy północnej bramie przez Cesarego oraz grupę kardynałów i dworzan. Dzień wcześniej dyplomaci zakładali się o wagę klejnotów, jakie będzie miał na sobie. Zwycięzcą jest nowy ambasador Mantui, którego kochanka, wielka mecenaska Isabella d'Este, lubi, aby polityka była przyprawiona modą; uwzględnił on jednak także konia, który ma przy uprzęży tyle srebrnych dzwoneczków, że księżę przy każdym kroku brzęczy jak gromada trędotatych.

Wieczorem, pod sufitem udekorowanym bykami, damy tracą dla niego głowy. Trzy lata nieobecności zmieniły niezgrabnego chłopca w silnego młodego mężczyznę, o skórze lśniącej od hiszpańskiego słońca i z zanadrem pełnym egzotycznych historii. Robi przedstawienie z przywitania z młodszym bratem, podnosząc go i kręcąc się z nim wkoło przed całym zgromadzeniem, a Jofré, który potrafi już zarzucić pelerynę na byka, wściekłymi okrzykami domaga się, by go puścił. Stawiając Jofrégo obok żony, Juan składa jej głęboki ukłon. Publiczność bije brawo. Sancia uśmiecha się promiennie i podaje mu dłoń, którą on przez dłuższą chwilę okrywa pocałunkami. Hiszpania traci, księżna Squillace zyskuje. Ponad głową Juana Sancia zerka na Cesarego, który przez moment patrzy beznamiętnie, po czym do niej mruga.

Ach, jak cudownie mieć znów rodzinę w komplecie. Od uśmiechu oczy papieża niemal zamykają się pod naporem pulch-nych policzków i nie widzi on rozwijającej się pantomimy.

– Też należę do rodziny. Nie rozumiem, dlaczego jestem wykluczany.

– Ponieważ rozmawiamy o sprawach Kościoła, oto dlaczego.

– Czemu więc uczestniczy w tym Juan?

– Bo był w Hiszpanii i zna zamysły Ich Królewskich Mości. Nie, nie, mówiłem ci: ciężar ciała przenieś na pięty, tak żebyś mógł odwrócić się już w chwili, kiedy płaszcz zsuwa się z ramienia. Inaczej skończysz z rogiem w kroczu.

– Stoję na piętach – odparowuje Jofré z oburzeniem. – I co mają zamysły hiszpańskiego króla i królowej do spraw -Kościoła?

– Braciszku. Mówię ci, że to nie dla ciebie.

Jofré odwraca się, zamiatając raz i drugi płaszczem, po czym przystaje, odrzuca głowę i wypina pierś, jak to zaobserwował u innych. Na drugim końcu pylistego dziedzińca stoi uwiązany byczek z rogami wielkości dziecinnych pięści ledwo co wyrzniętymi z głowy, zupełnie niezainteresowany rozgrywającym się przed nim spektaklem.

– To nie w porządku. Nie jestem już małym braciszkiem. – Jofré utrzymuje pozycję, aby wygłosić w niej to, co ma do powiedzenia. – Jestem księciem Squillace z rocznym dochodem w wysokości czterdziestu tysięcy dukatów i stanowiskiem w nea-politańskiej armii. Wiesz, gdyby tak się złożyło, że umrze przyrodni brat Sancier, mogę zostać królem Neapolu.

Cesare się śmieje.

– Nie zostaniesz nim, dopóki żyje jej wuj Federico i jej brat Alfonso.

– Cóż, oni także mogą umrzeć. – Jofré przeklina głośno. To zwyczaj, którego nabrał po powrocie na dwór, mający dodawać mu lat. – Ejże, Cesare, wszyscy wiedzą, że idziemy na wojnę. Jeśli mamy zgnieść Orsinich, będziecie mnie potrzebować. Teraz, kiedy potrafię walczyć z bykami, mogę walczyć i z karaluchami. – Przyskakuje do byczka i gwałtownie macha przed nim płaszczem. Zwierzę w odpowiedzi na tę niecną prowokację wydaje niski ryk. Mimo zranionych uczuć zdradzonego męża Jofrégo łatwo było udobruchać; starszy brat, który potrafi prześlizgiwać się pod bokiem rozszalałego byka albo przeskakiwać w galopie z konia na konia, niemal nie brudząc sobie kostiumu, jest człowiekiem, któremu bardziej chciałoby się dorównać, aniżeli mieć coś za złe.

– Co jeszcze ci wiadomo na temat naszych zamiarów? – pyta Cesare od niechcienia.

– Wiem, że Juan poprowadzi wojsko, z księciem Urbino jako współ dowodzącym, i że będą mieli kardynała z Mediolanu jako legata. Zgadza się, prawda? Nie rozumiem zatem...

– Kto powiedział ci o Urbino i kardynale? Kto? – Głos Cesarego jest teraz ostry. Księżę Gandii jest w domu zaledwie od sześciu tygodni, a dwór huczy od plotek, z których większość jest tak bliska prawdy, że tylko jedna osoba może je rozpuszczać.

Jofré potrząsa głową, nagle zacięty.

– Kto, Jofré? Muszę to wiedzieć.

Usta Jofrégo wykrzywia znajomy grymas.

– Sancia – burczy.

– Sancia?

– Taaak. On mówi jej wszystko.

Alkowie pogaduszki. Następna otwarta tajemnica. Z łoża jednego brata w pościel drugiego. Nie dziwota, że Jofré oburza się na swoje wykluczenie. Sancia i Juan. Jakby człowiek patrzył, jak dojrzały owoc spada z gałęzi. Upewniła się, że Cesare zajmuje honorowe miejsce na widowni, ponieważ oczywiście chciała się w ten sposób na nim odegrać, o czym oboje wiedzą. Zastanawia się, czy nie przygruchać by jej sobie z powrotem, wyobrażając sobie przyjemność utarcia nosa Juanowi. Nie byłoby to takie trudne. Neapol i Rzym – dwa miasta ulicznych kotów. Ostatnio zaczął jednak żywić coś na kształt czułości wobec młodszego brata i nie chciałby przysparzać mu więcej cierpienia, niż to konieczne.

– Ale i tak wiedziałem o wszystkim, zanim mi powiedziała – odzywa się Jofré wyzywająco. Od kiedy nauczył się, jak drażnić uwiązane bestie, nabrał pewności siebie. – Wszyscy wiedzą.

– A zatem wszyscy, podobnie jak i ty, muszą uważać na swoje języki. Bo inaczej ktoś może je im odciąć. – Cesare łapie go wpół, z wprawą zsuwając mu z ramion płaszcz, po czym żartobliwie obala na ziemię i stara się sięgnąć palcami do wnętrza ust wrzeszczącego chłopca.

– Puszczaj! Złaż ze mnie! – Jofré rzuca się szaleńczo, żeby wywinąć się z uchwytu, i wkrótce obaj śmieją się i wydają urywane okrzyki. Dwaj bracia mocujący się w pyle. Nieczęsto są tak beztroscy – i jeden, i drugi. – W porządku. W porządku. Mówię ci to tylko dlatego, że powinieneś wiedzieć. Ha! Jeśli mnie nie dopuścicie, powinieneś przynajmniej płacić mi za bycie twoim informatorem. Przyznaj, że mam szybką rękę i bystre oko.

– Masz w istocie, braciszku. – Cesare rozluźnia uścisk i pomaga Jofrému stanąć na nogach. – Pamiętaj jednak: musisz wiedzieć, kiedy zejść z drogi, zanim zatopisz sztylet w byczym karku.



Rozdział 24



W przyćmionym świetle starej Bazyliki Świętego Piotra Juan Borgia, świeżo ordynowany na gonfaloniera i kapitana generalnego Kościoła, klęczy obok księcia Urbino, by otrzymać od papieża pastorał i sztandary. Rozdawane po mszy wino i jadło pomaga zgromadzić tłum, który towarzyszy im w drodze. Upłynęło trochę czasu, zanim Rzym odzyskał poczucie godności po poniżeniu, jakie stanowiła okupacja, i są tacy, którzy uważają, że wojna między rodzinami przyniesie tylko rozlew krwi, a nie honory. Inni gorliwie korzystają z szansy na wyrównanie starych rachunków. Gdy oddziały przechodzą przez Piazza del Popolo, grupa zwolenników Orsinich zaczyna podburzać ludzi i w ciągu paru minut w tłumie wywiązuje się walka. Świsł dobywanych mieczy i skowyty furii i bólu docierają do szeregów żołnierzy ponad dźwiękiem werbli: słodka muzyka wiodąca ich do bitwy.

Pogoda jest nadzwyczaj ciepła jak na późną jesień i przez jakiś czas słońce przyświeca wszystkiemu. Skupione niczym kiść winogron wokół jeziora Bracciano fortece na południu i północnym zachodzie padają tak łatwo, jak przewidział to Cesare. Z nadejściem Bożego Narodzenia Aleksander świętuje nie tylko narodziny Dzieciątka Jezus, ale i objęcie w posiadanie dziewięciu zamków. Watykan przepełnia radość. Wszystko, co pozostało, to warownie Trevignano i Bracciano, z niedawno umocnionymi basztami i blankowanymi chodnikami odbijającymi się w zwierciadlanej powierzchni jeziora.

W swoich prywatnych komnatach Aleksander wzywa posłańca Cesarego. To dobry wybór. Utknąwszy w Rzymie jako członek straży przybocznej kardynała Walencji, Pedro Calderón spędził wojnę we frustrującej bezczynności. Zaliczył wprawdzie wypad do Spoleto i – podczas okupacji – kilka potyczek z francuskimi żołnierzami w ciemnych uliczkach, ale jedyną realną ofensywą okazał się atak na gwardię szwajcarską, a bojówka Borgii miała tak miażdżącą przewagę, że opuścił plac raczej z poczuciem dokonania rzezi niż odbycia godnej walki. Pragnie jakiejś misji bardziej niż czegokolwiek na świecie.

– Syn mój powiada, że broniłbyś go aż do śmierci, a na końskim grzbiecie potrafisz prześcignąć jelenia.

Pochwała wprawia go w lekkie zakłopotanie.

– Staram się jak mogę, Wasza Świątobliwość.

Nie był nigdy tak blisko serca władzy i próbuje ogarnąć spojrzeniem wszystko naraz. Wokół niego ściany i sufit pulsują barwami, nawet posadzka wzorzystymi płytkami wyśpiewuje swoją pieśń. Taki już los Pedra, że piękno głęboko go porusza. Aleksander widzi zachwyty w jego oczach i pozwala tej chwili trwać. Ambasadorzy i dyplomaci są w podobnych sytuacjach tacy zblazowani.

– Podoba ci się to, co widzisz dookoła, młody człowieku?

– Och... Ojczy Świąty, przepraszam. Nie chciałem... Nigdy jeszcze... – Waha się. – To jakby człowiek stanął w niebiańskiej światłości – kończy niezręcznie.

– W niebiańskiej światłości. Zgrabnie powiedziane. – Aleksander, który chwilami zastanawiał się, czy aby nie za dużo wszędzie złota, uśmiecha się szeroko. – Kardynał Walencji dobrze wybrał. Ale teraz musimy już posadzić cię w siodle. Powiedz, ile czasu zajmie ci droga do

Neapolu.

- Przy sprzyjającej pogodzie i z rozstawnymi końmi około dwóch dni.
- Dobrze. Potrzebuję dostarczyć tam komuś wiadomość.
- Zrobione, Wasza Świątobliwość.
- Nie słyszałeś jeszcze wszystkiego.

Calderón skłania głowę.

– Dostaniesz miano tego człowieka i informację, gdzie można go znaleźć. Gdy go zlokalizujesz, zwrócisz się do niego, używając innego imienia. Kiedy odpowie twierdząco, masz nie mówić nic więcej, tylko wręczyć mu list. Zaczekaj, aż go przeczyta. Powie ci wtedy, kiedy i gdzie spotkasz się z nim następnym razem. Podczas tego spotkania wypowie słowa: „Mięso jest dobrze przyprawione”. Wsiądziesz wówczas na konia i pojedziesz z powrotem do Rzymu, nie zatrzymując się. Kiedy dotrzesz, natychmiast zdasz mi raport. Wszystko jasne?

– W zupełności.

– Gdyby w drodze do Neapolu zdarzyło się cokolwiek, co uniemożliwiłoby ci dostarczenie listu, musi on bezwzględnie zostać zniszczony.

– Nic mnie nie powstrzyma, Wasza Świątobliwość.

Aleksander wręcza mu wyjęty ze szkatuły stojącej na stole złożony pergamin zapieczętowany herbem Borgiów. Calderón rozchyła poły dubletu, wsuwa list między koszulę a gołe ciało i zapina ubranie. Wszystko to robi spokojnie, z cichą precyzją. Skończywszy, pada na kolana.

– Jeszcze jedno. Nigdy nie stałeś ze mną twarzą w twarz, nie byłeś w Neapolu i nie widziałeś człowieka, z którym się tam spotkasz.

Calderón czuje, jak usta drgają mu z chęci uśmiechu.

– Klnę się na życie, Wasza Świątobliwość. – Ekscytacja aż z niego bucha. Zaczyna cofać się w stronę drzwi.

– A! Może nie tamtędy. Ten pałac nigdy nie zamyka oczu, a ma ich więcej niż Argus. Na tyłach następnego pokoju są inne drzwi. Przejście prowadzi do drugiego *palazzo*. Stamtąd możesz wyjść na dziedziniec i na ulicę.

Jest w takiej euforii, że poruszając się w mroku korytarza, czuje mrowienie w całym ciele. W chwili, w której otwiera drzwi na drugim końcu przejścia, widzi kobietę wchodzącą do komnaty i kierującą się prosto ku niemu. Rozpoznaje damę ze swoich snów. Zamiata peleryną i kłania się nisko.

– Pani.

– Och, o mój...! Ależ mnie nastraszyliście! Zaczekajcie... Pedro Calderón, prawda?

– Tak, pani.

– Co tutaj robisz? Byłeś u mojego ojca... to znaczy u Jego Świątobliwości?

Pedro wpatruje się w nią.

– Nie, nie.

– Nie? Ale wyszedłeś z korytarza. Gdzie byłeś?

– Mia... Miałem dostarczyć list od kardynała Walencji, ale nikogo nie zastałem.

– A więc mojego ojca nie ma w jego komnatach?

– Nie mam pojęcia, pani. – Jego dyskomfort jest doskonale widoczny.

– Aha. Aha, rozumiem. – Lucrezia uśmiecha się mimowolnie. – Mój Boże, ależ wysoko teraz latacie, *señor* Calderón. I co dalej? Prawdopodobnie ja także cię nie widziałam?

Pedro wzrusza lekko ramionami i stoją przez chwilę w niezręcznym milczeniu. Sytuacja jest tak nieoczekiwana, a dreszcz emocji tak silny, że żadne z nich nie potrafi ruszyć się z miejsca.

– Jak było w księstwie Pesaro, pani?

– W Pesaro? O, dość przyjemnie. Przynajmniej do czasu. Miałaś rację, byli uradowani moim przyjazdem. Tęskniłam jednak za Rzymem.

Calderón kiwa głową. Nie może przestać się gapić.

– Nie zamierzasz powiedzieć mi, jak Rzym tęsknił za mną?

– Och, o tak, tak. Miasto było jak osierocone. Nie... – przerywa, uświadamiając sobie, jak głupawo brzmią jego słowa. Lucrezia stoi i czeka. Usta ma lekko rozchylone, a w jasnych oczach czai się psotna iskra. Coś w jego nieporadności sprawia, że czuje się pewna siebie, niemal beztroska. – Nie jestem dworzaniem, pani. Nie umiem się ładnie wysławiać. – Czuje na piersi list przylegający do skóry. Lepiej, żeby nie poplamił go pot. – Ale myślę, że każde miasto, w którym was nie ma, jest miejscem pogrążonym we śnie i czekającym na wasz powrót.

– Powiedziałabym, *señor* Calderón, że radzisz sobie ze słowami całkiem dobrze. Dworzanie prawią pochlebstwa, w które nie wierzą. Nie powinienes się martwić, czy im dorównujesz. Jestem ci wdzięczna za to, że strzegłeś mojego brata w tych mrocznych dniach wojny.

– Kardynał doskonale strzeże sam siebie, pani. Ja robiłem bardzo niewiele.

– To nieprawda. Słyszałam, że po jego ucieczce pojechałeś przed nim do Spoleto.

– Skąd to wiecie? – Widać, że jest mu miło.

– O, zmusiłam go, żeby wszystko mi opowiedział. Życie w Pesaro było tyleż jednostajne, co pełne niepokoju. Udział w tych wydarzeniach musiał być ekscytujący.

– Jeśli kiedykolwiek mógłbym służyć wam podobną pomocą...

– Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiała salwować się ucieczką. Ale dziękuję. Jesteś prawdziwym żołnierzem. Muszę... Muszę iść. Ojciec chciał mnie widzieć.

– Oczywiście. Czy mogę was odprowadzić? Korytarz jest ciemny.

– To uprzejme z twojej strony, ale przywykłam do tej ciemności. Poza tym przecież się nie widzieliśmy, nie pamiętasz?

Całuje ojca na powitanie wciąż w niefrasobliwym nastroju po spotkaniu.

– Moje słodkie dziecko. Nie spodziewałem się ciebie tak prędko. Usiądź, usiądź, o tutaj. Niech no na ciebie spojrzę. Jaśniejiesz blaskiem jak ta komnata. Mamy szczęście, że otaczają nas takie cudowności, nieprawdaż? Proszę. Przypadł mi dar w postaci kandyzowanych owoców od kardynała Sewilli. Musisz pomóc mi się z nimi uporać. Niektórzy twierdzą, że mężczyzna na starość zbyt łatwo przybiera na wadze. – Aleksander czule klepie się po brzuchu. – Ale ja zamierzam być tęgi za dwóch papieży – mówi wesoło, bo świat mu sprzyja, z wyjątkiem kilku niezłatwionych spraw, do których właśnie się zabiera. – A więc, moja droga... Jestem tak zaabsorbowany tą niesamowitą kampanią twojego brata, że chyba cię w ostatnich miesiącach zaniedbywałem. Słyszę, że dwór kipi życiem. Dobrze się bawisz?

Lucrezia spuszcza oczy. Dla młodej kobiety opuszczonej przez własnego męża przyglądanie się, jak bratowa przepuszcza przez swoje łóżko kolejnych braci, było przygnębiającym doświadczeniem.

– Oczywiście, pod nieobecność księcia masz mniej okazji, by błyszczeć. Miałaś od niego ostatnio jakieś wieści?

– Eee... nie, od jakiegoś czasu nie. Jest zajęty interesami.

– Jakież to interesy mogą być ważniejsze od żony? Dwukrotnie już wzywaliśmy go do Rzymu, aby przyłączył się do walki z Orsinimi, lecz nadaremnie. Muszę powiedzieć, że takie zachowanie każe mi obawiać się, że w twoim małżeństwie bardzo źle się dzieje.

– Ale... ja byłam dobrą żoną, ojciec – mówi Lucrezia gwałtownie.

– O mój Boże, dziecko. Nie krytykuję ciebie. Ci Sforzowie to śliskie kreatury, jak

przekonaliśmy się na własnej skórze. Nie, nie, jeśli kogokolwiek należy winić, to mnie. Byłaś oczywiście jeszcze bardzo młoda, ale na pewno pamiętasz, że kiedy Sfor-za złożył nam propozycję, miałaś już narzeczonego.

– Hrabiego Gaspara d’Aversa – odpowiada natychmiast. W ciągu ostatnich lat zdarzały się chwile, kiedy zastanawiała się, czy jego nazwisko uszczęśliwiłoby ją bardziej niż to, które nosi.

– Tak. Wyborny typ. Utrzymywał, że zaręczyny nie zostały nigdy formalnie zerwane. I jeśli dobrze się zastanowić, to prawda, że cały proces był nieco zbyt pospieszny.

– To znaczy?

– To znaczy, że jeśli tak uzgodnią kościelni prawnicy, twoje małżeństwo ze Sforzą może zostać uznane za nieważne.

– Nieważne! – To słowo brzmi tak dobitnie. To naprawdę takie proste? Może powinna była spytać o to wcześniej? – To oznacza, że nie byłabym dłużej zamężna?

– Owszem. Czy bardzo by cię to martwiło?

– Eee... Jeśli takie jest twoje życzenie, zaakceptowałabym to. – Jej serce bije tak szybko, że ledwo słyszy własny głos.

– Wyśmienicie. Cesare twierdził, że nie będziesz narzekać. To przymierze ze Sforzami nie przyniosło nam nic prócz kłopotów. Następnym razem postaramy się bardziej.

– Czy mój mąż o tym wie? – Widzi przed sobą Giovanniego, aż nadto skorego do wyjazdu.

– To rodzina zdrajców, nie głupców, więc jego kuzyni mogli uchwycić przebłysk jakiejś plotki. Musimy jeszcze formalnie przedłożyć sprawę jurystom.

– A jeśli się nie zgodzą?

Aleksander wzrusza ramionami.

– Zasłużą sobie na moje wielkie niezadowolenie. Ale nie martw się. To już postanowione. Jeśli nie da się przeprowadzić rzeczy w taki sposób, znajdzie się inny.

– Jaki inny powód można znaleźć?

Przygląda jej się przez chwilę, jakby zastanawiał się, czy ciągnąć dalej.

– Cóż, pozostaje kwestia potomstwa. Mimo upływu ponad trzech lat małżeństwo nie przyniosło owocu.

– Ja... nie jestem bezpłodna, ojciec – wyrywa jej się, zanim jest w stanie się powstrzymać.

– Nie, nie. Tego jestem pewien. My, Borgiowie, moglibyśmy zaludnić cały Rzym, gdybyśmy mieli dość czasu – śmieje się. – Nie, wina jest wyraźnie po stronie twojego męża.

– Giovanniego?

– Tak. Powiedz mi: kiedy jesteście razem, czy przychodzi często do twojego łóżka?

Lucrezia płoni się, ale odpowiada potrząśnięciem głowy.

– A wcześniej? Może również tego nie czynił?

– Kiedy? Nie całkiem...

– Dziecko, pytam cię, czy małżeństwo zostało należycie skonsumowane.

– Och! Ja... Tak... tak sądzę...

– Tak sądzisz? Nie jesteś pewna? Wiesz, o czym mówię?

– Tak... – Lucrezia cierpi teraz męki zażenowania. – To znaczy tak, jestem pewna, że zostało.

– Zastanawiam się właśnie. Widzisz, on tak często cię opuszcza. To nie jest zachowanie mężczyzny, który pragnie być ze swoją żoną. I nie mieliście publicznych pokładzin. – Urywa. – Nikt oprócz ciebie i jego nie wie, co zaszło tamtej nocy. Tak więc, moja droga, jeśli były jakiegokolwiek wątpliwości...

– Ale nie ma żadnych wątpliwości. Było...
– Pozwól mi skończyć. Jeśli były jakiegokolwiek wątpliwości... jeśli na przykład twojemu mężowi te rzeczy sprawiają trudność, bo tak się zdarza... wówczas po trzech latach małżeństwa byłyby wystarczające podstawy do jego unieważnienia. Zdziwiłabyś się, ilu mężczyzn dotyka ta... przypadłość.

– Naprawdę?

– Jeśli chodzi o zakończenie trudnego małżeństwa, tak. – Jest tak zadowolony z siebie, że nie może powstrzymać uśmiechu. – Ach, ileż w tobie nadal uroczej niewinności, moja najmilsza. Następny mężczyzna, który stanie u twojego boku, otrzyma nieoceniony skarb. A więc... młody Sforza jest impotentem. Ha! Tak podejrzewałem – mówi, z rozszerzającym się uśmiechem.

– Ależ ojcie, nie powiedziałam... To znaczy, byliśmy razem w łóżu. Małżeństwo zostało skonsumowane, nie jestem... nie jestem już dziewicą.

– Hm, może i trochę z tobą pobaraszkował. Ale nikt nie zwątpi w twoje słowo, jeśli je dasz. Wystarczy, że masz czyste serce i jesteś córką papieża. Może zresztą do tego nie dojść. Na razie poczekamy i zobaczymy, co powiedzą prawnicy. Tak czy inaczej, jego dni są policzone. No, ale nie patrz tak posępnie. Będziesz mieć na sobie nową suknię ślubną, zanim się spostrzeżesz.

Lucrezia wygląda na skonfundowaną.

– A za kogo mam wyjść?

– O, jest mnóstwo możliwości. – Aleksander nachyla się i głaszcze ją po policzku. – Nie martw się. Ktokolwiek to będzie, uczyni cię szczęśliwą. Ten rok przyniesie wielkość naszej rodzinie. Nasi wrogowie zostaną pokonani i zatryumfujemy na wszelki sposób.

Wciąż promienieje, wypuszczając ją za próg.

Pokonywanie wrogów zaczyna się całkiem dobrze. W połowie stycznia średniowieczne obwarowania Trevignano padają pod ostrzałem papieskiej artylerii. Pozostaje jedynie twierdza w Bracciano. Książę Urbino i książę Gandii wycelowują działa, by rozpocząć bombardowanie, kiedy nadchodzi wiadomość z Neapolu: w czeluściach Castel dell'Ovo strażnik otworzył celę Virginia Orsiniego i znalazł go w kałuży wymiocin, zwiniętego jak posypany solą ślimak. W więziennej strawie czai się wszelka możliwa zgnilizna, choć wielu nieszczęśników jakoś przeżywa i z czasem się na nią uodparnia. Ważniejszy jest fakt, że człowiek, który co dzień przynosił i rozdzielał te pomyje, zapadł się pod ziemię. Jeśli to perfidia, to z politycznego punktu widzenia zupełnie niezaskakująca. W rzeczy samej, śmierć przywódcy rodu od zadanej trucizny akurat w tym momencie, w którym wrogowie przypuszczają frontalny atak na jego terytoria, ma tyle sensu, że niewielu znajduje w sobie energię, by się tym oburzać.

Z wyjątkiem tych, którzy najbardziej go kochali. To Calderónowi przypada zaszczyt dalszego odbierania wieści z linii frontu. Kiedy wiadomość dociera do siostry Virginia Orsiniego, zamkniętej w oblężonym zamku, wychodzi ona na blanki muru wznoszącego się nad taflą jeziora, płacząc i śmiejąc się na wiatr. Całymi miesiącami prześladowała ją wizja człowieka konającego z wolna w wilgotnej ciemnicy, do której nie zagląda światło dnia. Myśl o zemście uzbraja lepiej niż lęk. Będzie teraz spała głębiej, mimo odgłosów kanonady.

W Umbrii wściekłość i żal dają dodatkowy bodziec nieślubnemu synowi Orsiniego, Carlowi, który stara się zebrać siły, by przełamać oblężenie. Za pieniądze z francuskiej kiesy kupuje usługi dwóch najskuteczniejszych kondotierów Italii: jednego ze znanych z warcholstwa braci Baglioni z Perugia i Vitellozza Vitellogo, dowódcy, który wie to i owo na temat artylerii. Trudno nazwać tę armię wielką siłą, ale jej przybycie nad zachodni brzeg jeziora odciąga papieskie wojska od oblężenia Bracciano. Kiedy armie spotykają się na stokach Monte Cimone, nadchodzi chwila próby dla militarnych talentów księcia Gandii.

Rolą posłańca jest gnać co koń wyskoczy, nie zaś walczyć, jednak widok zmasakrowanych ciał i rannych jest tak wstrząsający, że Calderón dygocze, dosiadając wierzchowca, by zanieść wieści do Rzymu. Cesare nakazał mu, by w razie złego obrotu spraw przyszedł najpierw do niego. Teraz słucha w ponurym milczeniu.

– Co mam powiedzieć Jego Świątobliwości?

– To, co powiedziałaś mnie.

Aleksander jest w Kaplicy Mikołaja V, dzięki ciepłu i przytulności bardziej nastrajającej do prywatnej modlitwy niż przepastna pustka Sykstyńskiej. Od wyjazdu Juana trafia do niej regularnie.

– Ojczy?

Rejestrując za sobą obecność Cesarego, czuje falę zimnego szoku przebiegającą przez ciało.

Na zewnątrz, w sali przyjęć, klęczy już Pedro Calderón, wciąż potargany i oszołomiony.

– Co? Co się stało? Mów!

Calderón zerka na Cesarego, który przytakuje ruchem głowy.

– Ojczy Święty, wieści są niedobre. Przegraliśmy z Orsinim.

– Przegraliśmy? Jak bardzo? Co z Juanem... z kapitanem generalnym Kościoła?

– Został... został ranny. Nie ma niebezpieczeństwa... Medycy mówią, że będzie żył.

Upewniłem się, zanim wyjechałem. Zdąży teraz do Rzymu, ale wysłał mnie przodem, żebym zawiadomił was, że wycofał się z bitwy.

– A księżę Urbino? Też się wycofał?

– Księżę został pojmany na początku bitwy, Wasza Świątobliwość. Syn Orsiniego trzyma go teraz dla okupu.

– Ach! Na rany Chrystusa, jak to się mogło stać? Mieliśmy ich na swojej łasce. Aaach!

Ilu? Ilu ludzi straciliśmy?

– Pięciuset do sześciuset, a rannych jest ze trzy razy tyle.

– A nieprzyjacieli?

Pedro kręci głową.

– Na czterech naszych po drugiej stronie padł jeden.

W zimowe dni zmierzch zapada wcześniej. Papież siedzi po ciemku w swojej sypialni. Ostatnio bardzo dokuczają mu nogi, może dlatego, że nie zwykł spędzać tyle czasu na klęczkach. Od kolana przez bok prawej łydki biegnie długa struna bólu, a stopa jest tak spuchnięta, że wygląda jak kłoda. Jego pokojowy co wieczór naciera ją cierpliwie olejkami, lecz dziś Aleksander go odesłał, bo dotyk niósł więcej cierpienia niż ulgi. Sześćdziesiąt sześć lat. Czego innego miałby się spodziewać? Świat jest pełen starych ludzi dręczonych takimi czy innymi boleściami. Myślą porusza się wciąż szybciej niż wielu o połowę odeń młodszych, ale wie też, że kostucha nie liczy się z ambicjami.

Nie żałuje decyzji o otruciu Orsiniego. Aby rzucić ród na kolana, trzeba uderzyć zarówno w głowę, jak w kończyń. Ten człowiek był zdrajcą i zasługiwał na śmierć. Gdyby ich role się odwróciły, Virginio potraktowałby go nie lepiej. Bóg potrzebuje silnego Kościoła z silnym papieżem, a silnemu papieżowi potrzeba mocnych podwalin władzy. Interesy papieża i Borgiów szły w parze tak długo, że przyzwyczaił się je utożsamiać: robi to, co jest najlepsze dla wszystkich – dowodem choćby przetrwanie francuskiej inwazji. A jednak skala obecnej klęski i bezpośredni fizyczny atak na jego syna sprawiają, że nachodzi go wątpliwość. Choć nie jest człowiekiem usposobionym do roztrząsania historii – wymogi terażniejszości pochłaniają cały jego czas – przyłapuje się na tym, że myśli o papieżu Sykstusie, na przemian pobożnym i przebiegłym, i o jego zamachu na Medicich, który skończył się tak haniebnie, a spiskowcy

zawiśli w oknach florenckiego ratusza. Ciekawe, czy kiedy dotarli do niego wieści o porażce i o tym, że jego siostrzeniec ledwo uszedł z życiem, zadał sobie pytanie, czy to wola Boża, czy po prostu Fortuna.

Aleksander rezygnuje z wizyty u Giulii i zwołuje grupkę kardynałów na czuwanie w Kaplicy Mikołajskiej. Noc się dłuży. Rwanie w prawej nodze nie pozwala mu odpłynąć od modlitwy. Cesare stoi z tyłu i patrzy. Nie wypowiedział ani słowa.

Nazajutrz popołudniem przybywa książę Gandii, w lektyce, ciężko oddychający z bólu.

– Mieli pikinierów, jak gwardia szwajcarska. Kiedy wpadli między szeregi jazdy, jakiś olbrzym zwałił mnie z konia. Myślałem, że już ze mną koniec.

Aleksander przyciąga głowę syna do własnej piersi.

– Ale żyjesz – mówi. – Tylko to się liczy.

W pokojach papieża pół tuzina medyków z drzeniem odwija bandaż z jego tułowia, odkrywając szerniałą ranę na piersi. Aleksander zostaje wyprowadzony z komnaty. Kiedy wyłaniają się z niej medycy, wiedzą, co powiedzieć: nie tylko nie ma bezpośredniego zagrożenia dla życia, ale przy właściwym opatrywaniu książę Gandii stanie na nogach, a nawet zatańczy, już za kilka dni, gdyż pod zaschniętą krwią znaleziono tylko powierzchowne cięcie.

– Mówiłem ci, żeby nie dopuszczać do starcia pikinierów z kawalerią – mówi cicho Cesare wieczorem tego samego dnia, gdy ojciec i synowie siedzą razem, oceniając straty. Upokorzenie brata wprawia go w przyjemny spokój. – Sam widziałem, jak te długie lance powalają konnych.

– Nie miałem zamiaru potykać się z nimi w ten sposób – Juan łyka przynętę – ale nas oskrzydłili.

– I nie pomyślałeś, żeby się przegrupować?

– Dosyć. – Aleksander wygląda na zmęczonego. – Co się stało, to się nie odstanie.

Pytanie, co dalej. – Patrzy na -Cesarego.

– Bez Bracciano to nie zwycięstwo, ojczu.

– Ale i nie klęska. Mamy dziesięć innych zamków. Negocjujmy więc. Chętniej zapłacą pieniędzmi aniżeli krwią.

– A co z księciem Urbino?

– Ba! W jego mieście nie brak ludzi. Jeśli kochają swego pana, znajdą pieniądze, by zapłacić za niego okup.

– Inni książęta wysoko go cenią. Z sojusznika zrobimy sobie wroga.

– Co nam po sojuszniku, który nie umie walczyć? Może to nauczy innych, że muszą się lepiej spisywać.

Juan ma na tyle przyzwoitości, by spuścić głowę.

– Jestem gotów wrócić na pole walki, ojczu – mówi, krzywiąc się ostentacyjnie. –

Straciliśmy tylko paruset ludzi. Wiem, że mogę znów się bić.

– Jesteś pewien?

Juan kaszle, ponownie robiąc grymas.

– Tak, tak, jestem w stanie.

Aleksander znowu zerka na Cesarego, lecz twarz jego starszego syna nie wyraża niczego.

– Bardzo dobrze... W takim razie porozmawiajmy o Ostii.

Ostia. Niewielka forteca, lecz potężny symbol. Strategiczna twierdza kardynała della Rovere u ujścia Tybru pozostaje w rękach Francuzów od czasu jego ucieczki. Jest to teraz ostatni bastion ich władzy na włoskiej ziemi. Aby zagwarantować sobie tryumf, papież wezwał już na pomoc Hiszpanię i wojsko pod wodzą Gonsalva de Córdova, który rozprawia się z resztkami oporu na południu, jest już w drodze.

– To największy dowódca swoich czasów, synu. Z jego piechotą i naszą artylerią atakującymi z dwóch stron Francuzi nie mają szans. Nieprawdaż, Cesare?

– Jeśli tylko tym razem będziesz robił dokładnie to, co ci polecono, braciszku – odpowiada Cesare, a zimny uśmiech, który dotąd powstrzymywał, w końcu wypływa na jego usta. – To wszystko, czego trzeba.

I dzieje się zgodnie z tymi przewidywaniami.

Aleksander śmieje się i płacze w kaplicy, dziękując Najświętszej Panience za jej liczne akty wstawiennictwa; ustrzeżenie Juana od następnych ran i upadek Ostii to tylko dwa ostatnie przykłady. Wszelkie wątpliwości, jakie mógł żywić, zostają zmyte falą uniesienia. Bóg sprzyja tym, którzy próbują szczęścia. Nawet noga dokucza mu mniej, kiedy wzywa Burcharda, by wydać polecenia co do mających nastąpić ceremonii. To chwila, na którą czekał długi czas: oto Borgiowie mogą uczcić własnego bohatera wojennego.

W prywatnych komnatach papieża, w otoczeniu kardynałów i dostojników weteran Gonsalvo de Córdoba klęka i odbiera swoją nagrodę: kutą ze złota różę podobną do tej ofiarowanej Francuzom tuż przed ich przepędzeniem. Następnie papież, cały w uśmiechach, przenosi uwagę na swego syna, który występuje, by przyjąć wieczystą inwestyturę jako księżę Benewentu: będzie władał nowo utworzoną domeną wykrojoną z ziem wokół Neapolu odzyskanych przez Córdoba.

Aplauz, który towarzyszy temu obwieszczeniu, okraszają okrzyki zaskoczenia. Wszyscy w pomieszczeniu wiedzą, że zwycięstwo należy do Córdoba, nie do księcia Gandii; to nic nadzwyczajnego, że dowódcę nagradza się zdobyczami jego kampanii, ale przyznawać je komu innemu?

Sam Córdoba nie okazuje śladu emocji. Sękaty, w średnim wieku, swoje przeżył; zdobył sławę podczas podboju Grenady, a potem miał rozum, by pomóc wypertraktować pokój. Jak wielu Hiszpanów, szczyci się tym, że jest człowiekiem honoru, równie zagorzałym w sprawie Bożej, co i w poszukiwaniu chwały, i przewraca mu się w żołądku od woni zepsucia unoszącej się w korytarzach Watykanu. Instynkt dyplomaty powstrzyma go od wyrażenia swojej opinii aż do momentu składania sprawozdania własnym monarchom. Wówczas jednak nie będzie się patyczkował: papieństwo jest może w rękach Hiszpana, lecz człowiek ten troszczy się bardziej o swoją rodzinę niż o Świętą Matkę Kościół.

Nie on jeden ma coś do powiedzenia. W ciągu następnych dni ambasadorzy siedzą i odtwarzają sceny, komentując wyłaniającą się w Italii potęgę dynastyczną, z chwytnymi pędami Borgiów coraz bardziej oplatającymi królestwo Neapolu. Jednak ci naprawdę bystroocy dostrzegają jeszcze coś: z oczywistymi podejrzeniami Orsinich i Colonnów, i innych rodzin, które cierpią wskutek rosnącej władzy Borgiów, idą w parze oznaki napięcia w łonie samego rodu. Toteż gdy Isabella d'Este siedzi przy swoim sekretarzyku w Mantui i czyta jeden z wielu skandalizujących raportów z życia Rzymu, szczególnie uderza ją myśl, że jakkolwiek próbowaliby to ukryć, synów papieża trawi wzajemna zazdrość.

Rozdział 25



Dla niektórych gloria bohatera boju, w którym, jak wszyscy wiedzą, zwyciężył kto inny, byłaby tyleż tryumfem, co ciężarem. Juanowi jednak udaje się pozostać niepomnym na dwuznaczność sytuacji. Rzym stał się jego bawialnią i puszy się na kolejnych przyjęciach, ledwo rejestrując uśmieszki i obraźliwe uwagi wymieniane za jego plecami. W Watykanie papież jest tak upojony rodzinnym sukcesem, że zaślepiony ojciec bierze w nim górę na politykiem.

Na ulicach atmosfera jest napięta. W tym samym czasie, gdy papieskie wojska zdobywały Ostię, trumna zawierająca szczątki Virginia Orsiniego była już w drodze ze stolicy na miejsce ostatniego spoczynku w Bracciano, a za nią ciągnęła mała armia gniewnych zwolenników. Teraz o zmroku na placach gromadzą się grupki wojowniczych młodych ludzi, szukających zwady i okazji do walki na noże. Nie chodzi tylko o Orsinich. Umocnienie potęgi Borgiów rozjątrza także Colonnów i Gaetanich. Struktura wpływów poszczególnych rodów była częścią ustroju Rzymu przez całe stulecia i kiedy równowaga zostaje zachwiana, tak jak dzieje się to teraz, miastu grozi destabilizacja.

Juan tymczasem skupia się na przyjemnościach. Jego największa odznaka honorowa to szybko gojąca się rana, dająca mu jeszcze jeden powód, by zrzucić koszulę przed każdą damą, która przypadnie mu do gustu. Mnóstwo pań trudniących się nierządem prawdopodobnie rozebrałoby się dla niego za darmo, tak wysoko już zaszedł, on jednak szuka trudniejszych wyzwań. Powrót na dwór nie przebiegł tak, jak się spodziewał, gdyż Sancia, zamiast rzucić mu się do stóp, jest myślami zupełnie gdzie indziej. W Neapolu umarł bowiem młody król, jej przyrodni brat, i rozmiar jej żalu zdumiewa każdego. Wydoroślała trochę w ciągu ostatnich miesięcy. Gorączkowa namiętność do Cesarego wypaliła ją i jednocześnie oczyściła, tak że teraz, ulegając tęsknocie za domem, łaknie towarzystwa mężczyzn, którzy, jak jej brat, sprawią, że będzie czuła się bezpiecznie, a nie ciągle w ogniu. Podczas gdy dwór wiruje i tanecznym krokiem wkracza w lato, ona częściej wybiera zacisze własnej alkowy, gdzie gra z Jofrém w karty albo inne gry. W łóżu, gdy jest smutna, on woli głaskać ją i przytulać, niż odgrywać zwierzę w rui. Pewnego ranka jej damy zastają ich zwiniętych w kłębek jak śpiące szczenięta i wyglądających tak słodko, jak nadal są młodziutcy.

Juan wszakże nie przywykł do odmowy. Któregoś wieczoru przy kolacji siada celowo między nią a Jofrém. Rozmowa robi się pikantna i Juan zaczyna badać jej opór, wolną ręką zapuszczając się pod suknię. Sancia odsuwa się, on nie ustaje w swych wysiłkach, aż Jofré chwyta błyszczący srebrny widelec, nowy i modny oręż stołowy, groźniejszy od noża, i zatapia go w grzbiecie drugiej dłoni brata.

Juan wydaje ryk bólu.

– Och, przepraszam! Przepraszam, bracie! – krzyczy Jofré, uchylając się przed odwetowym ciosem. – Byłem pewien, że na twoim talerzu jest karaluch.

Sancia po drugiej stronie wybucha śmiechem. Juan, wyczulony na szyderstwo, z furją odpycha swoje krzesło i odchodzi od stołu.

– O, mój waleczny rycerzu! – Sancia ściska męża, tuląc jego głowę do piersi. – Ocaliłeś moją cnotę! Co za doskonały mąż!

Kiedy Cesare słyszy, co się zdarzyło, nie może powstrzymać uśmiechu. Zmaga się z własnymi furiami. Przyznanie bratu nowego księstwa było niesprawiedliwością, która gryzie go jak włosienica. Mierzi go widok rozanielonego ojca. Nie to, żeby sam nie odbierał faworów. Nowy król Neapolu oznacza kolejną koronację, a ta – wysłanie kardynała legata, który będzie występował w imieniu papieża. Cesare jest w oczywisty sposób za młody i zbyt niedoświadczony w sprawach Kościoła, by brano go pod uwagę, a jednak Aleksander przepchnął jego kandydaturę mimo wrzawy protestów. Chociaż mają w Świętym Kolegium wystarczającą liczbę własnych kardynałów, by zapewnić sobie większość głosów w każdym przypadku, tak jaskrawy nepotyzm jest krępujący nawet dla nich.

Cesare, doskonale świadom nastrojów w mieście, stara się nie zwracać na siebie uwagi. Kiedy ludzi gniewa niesprawiedliwość, mądrzej nie podtykać im jej pod sam nos. Chciałby przygnieść brata do ściany i udzielić mu lekcji zachowania, ale boi się, że jeśli zacznie, nie będzie umiał przestać. Lepiej trzymać się z daleka.

W tym właśnie delikatnym momencie do miasta wraca Giovanni. Wicekanclerz kardynał Sforza nie jest może ulubieńcem papieża, ale czuje prądy plotki jak każdy inny. Jeśli Sforzowie nie chcą pójść w ślady Orsinich, rodzina potrzebuje, by to małżeństwo trwało, w tym samym stopniu, co papież chce je rozwiązać. Pod presją zarówno kardynała, jak i księcia Ludovica Giovanni wraca do Rzymu, by, jak mu nakazano, walczyć o żonę. Kiedy tam dociera, jest już niemal uodporniony na szczury wgryzające mu się w kiszki.

Aleksander, który sam wybierze moment, by zadać *coup de grâce*, wita go serdecznymi uśmiechami i poklepywaniem po plecach. Giovanni z trudem utrzymuje się na nogach.

W drodze z Watykanu do własnego pałacu wpada na kardynała Walencji, który mitręży tak jawnie, że oczywiste jest, iż spotkanie nie było przypadkowe.

– A ty co robisz w mieście, zdrajco?

Strach wcina się w ból tak ostro, że Giovanni czuje niemal ulgę.

– Przyjechałem zobaczyć się z żoną.

– Ona nie chce cię widzieć.

– Skąd mielibyście to wiedzieć, najczciwocijniejszy mości kardynale?

– Żadna kobieta nie chce mężczyzny, który ją porzucił – odpowiada słodko Cesare.

Giovanni jednak nie ustępuje pola. Obaj mają przy sobie służących i obaj są nieuzbrojeni. Cóż takiego Borgia może mu zrobić? Udusić go gołymi rękoma?

– Jest nadal moją żoną. A teraz, jeśli łaska, zejdź mi z drogi. Proszę.

– Naprawdę? A jeśli nie?

Giovanni nie odpowiada. Stoją sztywno, czekając, aż ten drugi wykona pierwszy ruch. Wreszcie Cesare z nagłą śmieje się i cofa.

– Tknij jej palcem, a własnoręcznie utnę ci te małe jajeczka – mówi do pleców odchodzącego szwagra.

Giovanni się nie odwraca.

Lucrezia siedzi w złotym świetle popołudnia, wciśnięta we wnękę okienną swojej sypialni, i wyszywa jedwabną chustę. Jak wszystkie kobiety jej stanu, została wyuczona robótek ręcznych i ma do nich zarówno oko, jak i rękę. Podczas gdy ozdabianie ścian pałaców i kościołów jest powołaniem mężczyzn, delikatne piękno haftowanej tkaniny przynosi niewiastom, które wkładają w nie serce, inną, cichszą satysfakcję. W chwilach napięcia czynność ta potrafi być kojąca prawie jak modlitwa. Lucrezia zauważyła jednak, że od czasu rozmowy z ojcem częściej się myli.

– Giovanni! Co robisz w Rzymie? – Igła, którą trzyma w palcach, zawisa w pół drogi do obrysu płatka róży. – W tej chwili to nie miejsce dla ciebie.

– Na to by wychodziło. Jak się miewasz, żono?
– Dlaczego nie dałeś znać, że przyjeżdżasz? Nie miałam od ciebie żadnych wieści od miesiący.

– Cóż... Nie... nie sądziłem, byś się tym bardzo przejmowała. – Giovanni rozgląda się. Ledwo rozpoznaje pokój, tak długo go tu nie było. – Dobrze wyglądasz – odzywa się w końcu. – Jak tam Jofré i Sancía? Słyszałem, że zmarł jej przyrodni brat.

– Tak, i bardzo ją to dotknęło. Dwór nie jest już taki sam. Chociaż Juan wniósł do domu sporo pogody.

– A tak, złote książątko. A co z nami? – Postępuje ku niej o krok, a ona uchyla się gwałtownie, wbijając sobie igłę w palec i wydając cichy okrzyk. Giovanni zatrzymuje się. – Podobno próbujecie się mnie pozbyć.

– Och, dlaczego przyjechałeś akurat teraz? Czekałam miesiącami. Nie odpowiadałeś na listy. Myślałam... Nie mogę mówić o tym teraz.

– Więc to prawda?
Lucrezia potrząsa głową.

– A więc nieprawda? Bóg w niebiesiech świadkiem, że nie ma powodu, który można by przedstawić przed sądem, cokolwiek ci mówią. – Patrzy na nią, jakby próbując wyczytać z jej twarzy, co wie albo czego nie wie. Skąpana w świetle wygląda tak ślicznie, tak wciąż młodo, nawet niewinnie. – Może wróciłabyś ze mną do Pesaro, Lucrezio? Moglibyśmy zacząć od nowa. Miasto potrzebuje księżnej. A ja potrzebuję żony. – Sam nie może uwierzyć we własną siłę. Czuje się, jakby grał rolę, którą ktoś napisał na potrzebę jakiegoś przedstawienia.

– Nie mogę, Giovanni – odpowiada Lucrezia cichym głosem. Kropla krwi, która wezbrała na opuszcze, odrywa się od palca i spada na jedwab. A więc róża będzie pąsowa. – Nawet gdybym chciała. Jest za późno.

– Zaryzykowałem życie, żeby tu przyjechać. Wiem, że nie zawsze układało się między nami dobrze. Ale kiedy byliśmy razem w Pesaro, znajdowaliśmy sposób na wspólne życie. Pamiętam, że przez jakiś czas byłaś niemal radosna. Nie jesteś jak reszta twojej rodziny. Masz w sobie dobroć i miłość, które oni zgaszą. Jeśli chcą, byś wyszła za kogoś innego, to nie przez wzgląd na twoje szczęście.

– Proszę, nie mów tak. To nie ode mnie zależy. Nigdy nie zależało. Powinieneś był przyjechać wtedy, kiedy cię wzywali. Teraz jest już za późno. Musisz postarać się o pomoc swojej rodziny.

– Dlaczego? Co twój ojciec zamierza zrobić? Jesteśmy małżeństwem, Lucrezio. Nawet on nie może tego zmienić.

Lucrezia kręci głową.

– Powinieneś wracać do domu.

– Co? – Giovanni rozgląda się dokoła, jakby niebezpieczeństwo czaiło się nawet w tym pokoju. – Każe zasieć mnie na ulicy? Do tego już doszło?

– Nie, nie... ale... nie rękę za moich braci. Są bardziej porywczy od niego.

– Masz na myśli Cesarego?

– Proszę. Wyjedź.

– Powiadam ci, twój brat to szaleniec. Ledwo potrafi utrzymać łapy z dala od ciebie. Niech Bóg ma w opiece Kościół, dopóki on w nim pozostaje.

Lucrezia już na niego nie patrzy. Giovanni słyszy za sobą kroki. Odwraca się w panice, nie wiedząc, kogo zobaczy. Ale to tylko Pantisilea, jej dwórka, kręci się w tle i ponad jego głową daje znaki swojej pani.

– W porządku. Już wychodzę. Dam ci jednak radę. Postaraj się, by następny mąż budził

w tobie jeszcze większą niechęć niż ja. Żebyś broń Boże nie musiała rujnować życia komuś, na kim ci zależy.

Giovanni zdąży do domu tak szybko, jak koń poniesie. Kiedy potężniejsi kuzyni chcą wiedzieć, dlaczego zbiegł, wysyła do nich jęśliwe listy pełne niepokoju i skarg, sugerując istnienie mrocznych spisków i utrzymując – z bezpiecznego dystansu – że nigdy, przenigdy nie poniecha swojej żony, niezależnie od nacisków, jakie będzie musiał znosić.

Jego najgorsze lęki stają się ciałem, kiedy w końcu mają papież przysłać do Pesaro ni mniej, ni więcej tylko generała zakonu augustianów – ma on pomóc jego zięciowi „zrozumieć wybory”, które ma do dyspozycji. Aby nie pozostawić żadnych wątpliwości, papież wyklada rzeczy jasno także podczas spotkania z wicekanclerzem w Rzymie. Małżeństwo Sforza–Borgia jest skończone; byłoby najlepiej, gdyby jego kuzyn zgodził się, że w ogóle nie było ważne. W przeciwnym razie może zajść potrzeba powołania się na „inne” powody: księżna Pesaro, dodaje mrocznie, jest gotowa i chętna podpisać odpowiednią deklarację. Jeśli ich rodziny nie chcą dalszych swarów, namawiałyby do gładkiego i szybkiego rozwiązania. On zaś, jak sugeruje z pogodnym uśmiechem, pragnie zachować giętkość w kwestii zwrotu posagu.

Ascanio Sforza przełyka swoje oburzenie. To smak, do którego już się przyzwyczył. Wie, że w taki czy inny sposób Borgiowie osiągną to, co chcą. Lepiej dla wszystkich, żeby dali się przekonać do pierwszego rozwiązania. Jemu nie uda się uzyskać nic ani od Aleksandra, ani od jego najstarszego syna, którego zaczyna się lękać tak samo jak papieża. Łatwiej już zbliżyć się do ukochanego księcia Gandii, zakładając, że ktoś zdoła się przebić przez warstwę porastającego go pierza. Oczywiście jest jego zamiłowanie do fetty, toteż wicekanclerz zadaje sobie trud zorganizowania przyjęcia – kolejnej uczty na cześć sławetnego bohatera papieskich zwycięstw.

Lista gości jest długa, a wybór dań ogromny: człowiek przyzwyczajony jadać przy prywatnym stole papieża zawsze doceni bardziej luksusowy jadłospis. Zwierzęta i ptaki zostają zabite w dniu przyjęcia, żeby mięso było jak najświeższe. Z Francji pochodzi nowy przepis na cynaderki cieleące z jajkiem i przyprawami, a na kuchni w rondlu bulgocze, jak gotująca się krew, wieprzowina w sosie własnym zagęszczonym mąką i wiśniami. Kiedy nasz heros znuży się mięsiwem, będą jeszcze ryby i makaron faszerowany pomarańczami i orzeszkami piniowymi, placek z nadzieniem z ricotty i wszystkich sezonowych owoców, i stół serów. Można by jeść całą noc, a rano i tak byłoby jeszcze co posmakować.

Towarzystwo jest początkowo ściśle ograniczone do listy zaproszonych, lecz wraz z upływem wieczoru wieść się roznosi i strażnicy nie nadążają z odprawianiem grup duchownych i szlachetnie urodzonej młodzieży, cisnących się do udekorowanej sali i na dziedziniec. Zmrok przeszedł w ciemność, a w taką cudną letnią noc każdy poddaje się chęci użycia. Juan zjawia się późno; plotka głosi, że zaleca się do młodej piękności mającej wkrótce wyjść za mąż – doskonałe wyzwanie dla jego próżności – i że próbował wśliznąć się do jej alkowy, korzystając z nieuwagi jej ojca. Teraz cieszy się chociaż jedzeniem i winem, które pije w dużej ilości zbyt szybko, by zauważyć, ile musiał wydać na nie wicekanclerz. Jako bohater chwili, przynajmniej we własnym mniemaniu, robi kilka honorowych rund po sali, odbierając gratulacje od tych, którzy pozostali dość czujni, by je złożyć. Jest ich może mniej niż zazwyczaj, ale przy takiej obfitości jedzenia niektórzy potrzebują czasu na trawienie. Juan, wyraźnie sfrustrowany niemożnością dostania się do sypialni bogdanki, zaczyna czuć się niedoceniony. Przechodzi koło grupki młodych nobilów, którzy przerzucają się obelgami, jakby wymieniali pyszne dowcipy: frazy „nadęte pęcherze” i „gnuśne rzymskie obzartuchy” padają jak zbląkane kuksańce. Jeden z nich odpowiada na cios słowami: „hiszpański bastard” – na tyle głośno, że docierają do uszu innych. Ot, wymiana potwarzy – powszechna nocna rozrywka na ulicach większości miast.

Juan jednak momentalnie aż podskakuje z oburzenia. Wokół robi się cicho jak makiem

zasiał – wszyscy wstrzymują oddech, czekając, czy dobędzie broni. Zamiast tego książę, zaczerwieniony i lekko chwiejący się na nogach, ciska swoim kielichem i wymaszerowuje z komnaty. Kiedy wicekanclerz wydostaje się na dziedziniec, jego honorowy gość jest już na koniu i galopuje ulicami w stronę mostu i Watykanu. Ascanio Sforza wraca do środka z nerwowym uśmiechem i gestem dłoni daje biesiadnikom znak, by bawili się dalej.

Juan Borgia jednak jeszcze z nimi nie skończył.

Papież siedzi, poddając się nie do końca przyjemnemu masażowi stóp i popijając swój wieczorny napar z kopru i mięty, gdy do komnaty wpada jego syn, głośno perorując o zniewadze i gwałcie. Służący zostaje odprawiony i wycofuje się z komnaty z głosem Juana dźwięczącym w uszach.

– Rzymskie szumowiny – mówi papież, wysłuchawszy opowieści. – Myślałem, że już uciszylimy krzykaczy. Gdybym dostawał dukata za każde złe słowo rzucone pod naszym adresem, niewykluczone, że zrobilibyśmy fortunę jeszcze prędzej, niż to się stało. Słusznie odszedłeś, mój synu. To rzecz niegodna pojedynku. Rozprawimy się z nimi później.

– Nie rozumiesz, ojczu. Przyszedłem tu, ponieważ potem będzie za późno. Dopuszczono się ataku na mnie, ale wymierzony był on w ciebie. Bo jestem twoim dziedzicem. To ciebie znieważano. A za taką obrazę powinno się odpłacać niezwłocznie.

W drzwiach staje kardynał Walencji; nagle wyjście służącego i podniesione głosy musiały wywołać poruszenie na zewnątrz. Juan patrzy spode łba, ale jego brat jest już w komnacie.

– Co się stało? Zostaliśmy zaatakowani?

Aleksander potrząsa głową.

– Twój brat został poważnie zraniony słowami.

Cesare słucha. Kiedy opowieść dobiega końca, z trudem powściąga szyderczy grymas.

– Gdzież więc miałeś miecz i swoich ludzi?

Gandia odwraca się w jego stronę.

– Jestem generałem, a nie zabijaką. Nie wdaję się w awantury i burdy jak niektórzy.

– Ilu ich było, bracie?

– Czterech, pięciu... Jakie to ma znaczenie?

Mina Cesarego wystarcza za odpowiedź.

– Nie chodzi o mnie! – wrzeszczy Juan. – To była umyślna prowokacja wymierzona w papieżstwo!

Cesare otwiera usta, ale papież ucisza go spojrzeniem.

– Twój gniew jest uzasadniony, Juanie. I sprawa nie pójdzie w niepamięć. Albo do rana otrzymamy przeprosiny, albo winowajca trafi do kazamatów.

– Rano będzie o tym mówiło całe miasto. Powinniśmy uderzyć teraz, i to mocno, tak żeby dać im sygnał, że z nami nie ma żartów. Na pewno już się śmieją za naszymi plecami.

– Co do tego nie ma wątpliwości – rzuca Cesare pod nosem.

– Co więc twoim zdaniem powinniśmy zrobić, synu?

– Na cios odpowiedzieć ciosem. Wysłać w tej chwili gwardię papieską, pojmać tego człowieka i powiesić go dla przykładu.

Cesare ze świstem wypuszcza powietrze. Juan naciera na niego:

– Co, jesteś na to zbyt delikatny?

– Delikatność nie ma tu nic do rzeczy. Wicekanclerz we własnym domu jest nietykalny. To byłoby pogwałcenie prawa kościelnego.

– O, prawo kościelne! – rzuca Juan, wymawiając słowa tak, jakby chodziło o jakies niewieście fraszki. – To już twoja działka, prawda? A ja mówię o wymierzeniu sprawiedliwości, gdy rodzina stanęła w obliczu zdrady.

– Ach, dorosnij, bracie. To zwykła obelga, nie zdrada. Tyle że trafiła dokładnie tam, gdzie cię boli: w twoją próżność. Łatwy cel. Jedyne, co robisz, to przysparzasz sobie wrogów. Te wszystkie żony, za którymi się uganiaasz, mężowie, którym ubliżasz, to, jak się puszysz i obnosisz... Nienawidzi cię już pół Rzymu. A jeśli pošlesz żołnierzy, żeby wykonali za ciebie brudną robotę, pozostała połowa będzie jutro czuła to samo. Tak, ojcze, wiem, że chcesz, bym zamilkł, ale ktoś musi mu to powiedzieć – mówi szybko Cesare. – Skoro tak bardzo boli cię miano bękart, Michelotto pójdzie z tobą jeszcze dziś w nocy i sprawi, że ten człowiek nie wróci do domu z wnętrznościami na swoim miejscu. Mój dom i tak nie śpi aż do świtu.

– To twoje sposoby, nie moje. Działasz pod osłoną nocy, bo nosisz kościelne szaty i nie chcesz, żeby ktoś cię rozpoznał. Nie musisz się martwić. Może i tutaj jesteś ważny, Cesare, ale powiadam ci: na ulicach nikt nie słyssał o kardynale Walencji. To ja dbam o cześć rodziny. To moi synowie odziedziczą połowę Neapolu. Dzięki mojemu zwycięstwu na polu bitwy.

– Co? Jedno czy drugie hiszpańskie ruchanko, spartaczona bitwa i nagle jesteś bohaterem?

– Jak śmiesz...!

– Przepraszam. Uraziłem cię? Biedny Juan. Chcesz się bić? – Cesare przysuwa się bliżej. – A może wolisz, żeby ojciec załatwił sprawę za ciebie?

– Cesare! – Głos Aleksandra ścina ich obu.

Jego najstarszy syn bierze głęboki wdech, z oczyma zimnymi jak u kota.

– Przepraszam, Wasza Świątobliwość. – Unosi ręce w geście poddania, cofając się. – Rozmawiamy o sprawach rodzinnych i myślałem, że możesz chcieć mojej rady. Życzę ci wszystkiego najlepszego, bracie. Gdyby ktoś mnie potrzebował, będę w swoich pokojach.

Odwraca się i wychodzi, nie zamykając za sobą drzwi.

– Cesare. – Głos Aleksandra niesie się do następnego pomieszczenia. – Cesare!

On jednak się nie zatrzymuje.

– Nie umie przegrywać – mówi kwaśno Juan. – Nigdy nie umiał. Ale jest w błędzie, ojcze. Ja tam byłem, on nie. Wiem, co powinniśmy zrobić.

Papież patrzy na gniewną, przystojną młodą twarz i afront, którego doznał jego syn, staje się jego własnym. Hiszpański bastard! Jak ktokolwiek śmie napastować jego rodzinę po tym wszystkim, co zrobił dla Rzymu? To w istocie niedopuszczalne i musi zostać ukarane.

Nikt nie będzie postponował jego ukochanego Juana.

Gdy oddział papieskiej gwardii z Juanem na czele przedziera się przez strażę, w pałacu wicekanclerza wybucha szaleńczy zamęt. Zanim jeszcze zbrojni wkraczają do sali, podnosi się krzyk; mężczyźni i kobiety biegają w poszukiwaniu schronienia, a młody winowajca desperacko usiłuje się ratować, chowając się za krzesłami i stołami. Ścigający próbują wyłuskać go z kryjówki. Meble idą w drzazgi, bryzga wino i jedzenie. Kilku innych młodzieńców dobywa broni i na rumowisku nocy rozgrywa się krótka potyczka. Jeden z gości odnosi ranę, inni się rozpierchają. W końcu uciekinier zostaje odnaleziony: próbowała go ukryć jakaś kobieta, a może to on uczeplił się jej sukni. Kiedy go odciągają, kobieta zaczyna zawodzić – jej wysoki skowyt przywodzi na myśl ranne zwierzę – on zaś jej wtóruje. W chwili, w której wywlekają go z pałacu, połowa sąsiedztwa jest już nogach i przygląda się wypadkom. Każdy, kto coś znaczy w Rzymie, jest teraz albo w pałacu, albo na ulicy. Przerzucają skrępowane ciało przez koński grzbiet – młodzieniec ciska się gwałtownie – i jadą kilka ulic dalej, do rzeki, na której brzegu rosną drzewa odpowiedniej wielkości. Kiedy zarzucają linę, leży i prosi o miłosierdzie, z płaczem błagając Juana o wybaczenie. Podciągają go do góry i przez sekundę zwisa niezgrabnie, wydając zduszone okrzyki. Jeden ze strażników chwyta go za nogi i pociąga ostro. Jego kark pęka z trzaskiem i ciało opada bezwładnie, kołysząc się wściekle na prawo i lewo.

Z tyłu na brzegu gromadzi się mały tłum. Gdy żołnierze wsiadają na konie i odjeżdżają, leci w ich stronę kilka kamieni, rzuconych jednak ze zbyt dużej odległości, by dosięgły celu. Mieszanina lęku i wzburzenia jest niemal namacalna.

Rankiem schodzi się pół miasta gapiów. Jest wczesne lato; ciało gotuje się w słońcu i przed wieczorem trup już się rozkłada.



Rozdział 26



W Watykanie wszystko toczy się zwykłym biegiem. Podjąwszy decyzję, że stoi murem za synem, Aleksander jest w niej niezachwiany. Jeśli Burchard ma jakieś zdanie na temat incydentu, zachowuje je dla siebie. Na konsystorzu papieskim nie mówi się o ataku, choć słychać szemranie na temat dalszego uprzywilejowywania księcia Gandii poprzez nadanie mu ziem w Neapolu, które powinny należeć do papieża. Aleksander, obecnie równie wrażliwy na krytykę jak jego syn, oznajmia kardynałom, że gdyby nie on, Rzym byłby teraz na wpół francuski, a większość z nich gniłaby w rynsztoku, otruta albo zadżgana. Z ziemiami, które odzyskał, będzie robił, co mu się podoba. Posiedzenie kończy się w gniewnym milczeniu.

Juan nie opuszcza swoich apartamentów w oczekiwaniu, aż sprawa przycichnie. Kiedy wychodzi z nich kilka dni później, nikt się do niego nie zbliża. Ustały nawet fałszywe komplementy. Lekcja podziałała, teraz mnie szanują, myśli. Wraca mu zarówno buta, jak i chętko na erotyczne przygody.

Aleksander znalazłby może czas, aby zalecić synowi nieco ostrożności, gdyby nie pochłaniała go irytująca kwestia małżeństwa córki. Mimo zastraszania prawnicy kościelnej nie znajdują żadnego wiarygodnego powodu, dla którego związek miałby być nieważny. A skoro nie można przeprowadzić rozwiązania w taki sposób, trzeba będzie zrobić to inaczej. Lucrezia musi wnieść prośbę prosto do niego, do papieża.

Łaciński tekst, który przygotowuje Burchard, jest formalny, lecz bezpośredni. „Lucrezia, księżna Pesaro, zaświadcza, że pozostawała pod opieką rodziny przez ponad trzy lata i że w związku nie doszło do żadnego obcowania płciowego, stosunku małżeńskiego ani jakiegokolwiek poznania cielesnego. Przysięga, że jest to prawda, i jest gotowa poddać się badaniu przez położną”.

Wszystko, czego jeszcze trzeba, to podpis Lucrezii. Aleksander dziękuje Bogu za posłuszeństwo swojej kochającej córki.

– *Papà*, ja nie mogę tego podpisać. – Lucrezia odrywa wzrok od pergaminu z oczyma pełnymi łez. Odkąd dowiedziała się od Adriany, że będzie wezwana na badanie, bała się tego momentu, ale widząc to czarno na białym, odczuwa jeszcze większą zgrozę. – Jak mam przysiąc przed Bogiem, że to prawda, kiedy tak nie jest?

– Nie myśl o tym w takich kategoriach – mamrocze Aleksander. – To tylko sposób, żeby pomóc kościelnym prawnikom, którzy podobnie jak ja troszczą się o twoje dobro, znaleźć rozwiązanie tej... tej zagmatwanej łamigłówki. Proszę, masz tu pióro.

Lucrezia wpatruje się w niego, z trudem przelatykując ślinę, ale gdy tylko wyciąga rękę, łzy znajdują nagły upust i niebawem padają tak obficie, że Aleksander musi ratować pergamin przed zupełnym zamknięciem w tym słonym deszczu. Och, nie ma nic gorszego niż płacząca kobieta!

– Dobrze już, dobrze – odpowiada cierpliwie – nie musisz robić tego dzisiaj. Zostawię go tutaj, żebyś mogła jeszcze pomyśleć. Pan Bóg dopomoże ci w decyzji. Nie rozmyślaj jednak zbyt długo: ci Sforzowie to oślizłe robactwo i wykorzystają wszelkie wahanie na swoją obronę. Mam przysłać do ciebie Adrianę? Albo Sancję? A może Giulię? To kobiety, które wiedzą to i owo o małżeństwie i może będą potrafiły uśmierzyć twoje lęki.

Lucrezia jednak, całkowicie w tej chwili niepokieszona, nie chce widzieć nikogo. Życie dworu, drążonego podskórnymi prądami seksualnej zazdrości i intrygami, straciło dla niej blask i od czasu ucieczki męża poprzestaje na towarzystwie własnych dam, z Pantisileą na czele. Im bardziej się gryzie, tym szybciej przybywa jej haftu. Plamki krwi, obszywane szkarłatną nicią, rozkwitają pod jej palcami w kolejne róże, tryskające życiem i kolorem. Dni mijają, a ona zaczyna się uspokajać. Oświadczenie wszakże pozostaje niepodpisane.

Zniecierpliwiony Aleksander wzywa Cesarego. Pojmuje, że syn jest na niego zły, i zaczyna przechodzić mu przez myśl, że może postąpił nieco zbyt pochopnie w obronie reputacji Juana. Co się jednak stało, to się stało. Cesare lepiej niż inni wie, że jego ojciec nie ma zwyczaju przeproszać – chyba że naprawdę odczuwa taką potrzebę – i że musi być coś, co może zyskać na pozorach. Zamiast tego więc pogodzą się, dając pierwszeństwo interesom rodziny.

– Ty umiesz z nią postępować. Zawsze umiałeś. Nie ma mężczyzny, którego kochałaby bardziej niż ciebie. Jestem pewien, że się zgodzi, jeśli jeszcze raz jej wszystko wyjaśnisz. Nie sądzę, żebym potrafił znieść kolejną powódź łez. Kobiety! Przeżywają wszystko tak głęboko! Przyznam, że czasem kiedy myślę o Ukrzyżowaniu, tak samo jak męka Pańska porusza mnie ból naszej dziewiczej matki Maryi. Ach, ta siła miłości do dzieci!

Cesare, który raczej nie znajduje czasu na rozmyślanie o śmierci Zbawiciela – ani też o Jego życiu, skoro już o tym mowa – skłania głowę na znak, że przyjmuje zadanie.

– Jestem pewien, że wiesz, jak wielkim jesteś dla mnie wsparciem i źródłem siły, i jak bardzo na tobie polegam w wielu rzeczach.

– Tak, ojciec – odpowiada, bez jakiegoś wyraźnego poczucia urazy. – Wiem o tym.

Lucrezia, wbrew sobie, cieszy się na jego widok. Zaczynają od plotek, gdyż nawet w strapieniu jest wciąż ich żądna. Pogłoski o wybrykach Juana wpełzły przez najszczelniej zamknięte drzwi, ale w swym odosobnieniu straciła wszystkie barwne detale. Cesare jest wyśmienitym gawędziarzem i zanim jeszcze kończy opowieść, Lucrezia kuli się z przerażenia w pałacu wicekanclerza, patrząc, jak krzyczącego młodego nieszczęśnika wyciągają spod jej własnej spódnicy i włoką na spotkanie z jego losem.

– Och, Cesare. Juan jest moim bratem i za nic w świecie nie chciałabym, żeby go znieważano, ale kiedy tak opowiadasz, żal mi tego człowieka.

– Podobnie jak połowie Rzymu.

– A więc teraz ludzie będą źli i na Juana, i na papę.

Mimo że jest dziewczęciem, w sprawach polityki zawsze przejawiała większą przenikliwość niż inni.

– Mleko już się rozlało i musimy je wychłęptać. Wspięliśmy się wysoko w mieście, w którym nigdy nie byliśmy mile widziani – i nie dokonało się to dzięki zawieraniu przyjaźni.

– Rzeczywiście – mówi Lucrezia – teraz zdaję sobie z tego sprawę. A ty? Też jesteś zły na Juana?

– Ha! Gdyby nie był moim bratem, udusiłbym go własnymi rękoma. – Cesare śmieje się, widząc wyraz jej twarzy. – Spokojnie. To myśl, nie czyn. Spowiedź da sobie z nią radę. Nie zapominaj, że jesteście rodziną.

– Tak, jesteśmy rodziną – wzdycha Lucrezia. – Jesteś tu po to, by nakłonić mnie do podpisania tego pisma, prawda?

– Jestem tu po to, by zrobić wszystko, co będzie konieczne, aby twoja przyszłość była szczęśliwsza niż przeszłość. Zaslugujesz na kogoś lepszego niż ten... ten lalusz.

– Cesare, co się wydarzyło, kiedy tu przyjechał? Był bardzo wystraszony. Groziłeś mu?

– Nie było takiej potrzeby. Sra ze strachu, ilekroć ktoś na niego spojrzy.

Lucrezia krzywi się lekko na takie grubiaństwo.

– Ach, siostrze. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że to nie był nigdy odpowiedni mężczyzna dla ciebie. Im szybciej zniknie z naszego życia, tym lepiej.

– I musi się to odbyć w ten sposób?

– Musi się to odbyć w sposób, który zadziała. A ten taki właśnie jest.

– Nawet jeśli to nieprawda? Taka walka nie jest uczciwa, Cesare.

– A myślisz, że on walczy uczciwie? Jesteś za dobra. Twój mąż to tchórz i mazgaj, który tuzin razy zdradził cię i naszą rodzinę.

– Co masz na myśli?

– Ten człowiek to zdrajca, Lucrezio, szpieg i spiskowiec. Przez niego prawie przegraliśmy wojnę. Daliśmy mu stanowisko w armii, a on odplacił nam, podając szczegóły dotyczące ruchów naszych wojsk księciu Ludovicowi, tak że kiedy Francuzi maszerowali na Rzym, wiedzieli dokładnie, którędy nie iść. Wina za to, że doszło do okupacji, spoczywa na jego żalonych wątych barkach.

– Nie! Nie... Nie zrobił tego.

– Tak ci się zdaje? A cóż innego robił przez cały czas w Pesaro? Nie spędził go w łóżku, kochając się z tobą.

Wyrzuca z siebie te słowa i po jej twarzy natychmiast widzi, że trafiły w sedno.

– Pomyśl. Twoje listy do mnie pełne były wzmianek o jego wizytach to tu, to tam. Nie mów mi, że niczego nie zauważyłaś.

Teraz, oczywiście, sobie przypomina. Tę noc, kiedy poszła do niego i zastała go przy pracy, piszącego, ze stołem zasłanym listami i mapami. To, jak rzucił się i zakrył papiery rękoma, żeby nie mogła zobaczyć, nad czym ślęczy. „Cokolwiek cię trapi, możesz mi powiedzieć. Chodzi o moją rodzinę?”. I jego głos, mrukliwy ze zdenerwowania: „Nie, nie. To tylko polityka. Sprawy państwowe, nic, czym powinnaś się martwić. Wracaj do łóżka”.

Tak, gdzieś w środku cały czas wiedziała.

– Dobry Boże, Cesare, powinnam była ci powiedzieć.

– Zrobiłaś to. Twoje listy były równie wymowne jak jego własna spowiedź. On nie zasługuje na żadną litość. Myślisz, że co by się stało, gdyby dopiął swego? Skończylibyśmy na stryczku albo otruci. A nowy papież przeprowadzałby unieważnienie twojego małżeństwa z tytułu twojej bezpłodności.

– Och... Och. – Lucrezia zamyka oczy, unosząc pięści do piersi w geście gniewnej bezradności. Gdy zaczynają płynąć łzy, Cesare sięga ku niej i bierze ją za rękę, po czym ciągnie ją w dół, tak by spoczęła w jego dłoni. Nic nie mówi, po prostu pozwala jej płakać.

Ale Lucrezia nie chce płakać. Tak jak tamtej nocy w Pesaro, podczas konfrontacji z Giovannim, jest tyleż smutna, co zła, bo w niczym nie zawiniła. Giovanni to zrozumiał. Wstał z krzesła i wziął ją w ramiona, i nazwał swoją żoną, uroczą żoną z domu Borgiów. Tylko że te słowa były jak piołun w jego ustach. Uroczą żoną z domu Borgiów. Oto czym zawsze będzie. Zatrutym darem. Zbyt trudnym i zbyt niebezpiecznym dla jakiegokolwiek mężczyzny.

Płacze nie tylko nad swoją przeszłością, ale i nad przyszłością.

– Nie rozumiesz, Cesare. On na swój sposób mnie kochał. Albo przynajmniej próbował. A jeśli to podpiszę, będę musiała stanąć przed sądem i kłamać. Kłamać! Przed duchownymi. Przed Bogiem.

– To naprawdę nie takie poważne, jak sobie przedstawiasz. Takie rzeczy są formalnością.

– Przysięga przed ludźmi Kościoła jest formalnością?! A co z badaniem? Bo zostanę zbadana. Czy to także formalność?

– W pewnym sensie tak. Odbędzie się za zamkniętymi drzwiami. A położne stwierdzą to, co im powiemy.

– Ale przecież zbadają mnie, prawda? I również one mają skłamać? Nie jestem już dziewczicą, Cesare.

Cesare krzywi się na ten wyraz, z oczyma nagle zimnymi.

– O słodki Jezu, jak żałuję, że nie jestem – wybucha Lucrezia najpierw słowami, a zaraz potem łkaniem, zanosząc się od litości nad sobą i bólu. Cesare przyciąga ją do siebie i obejmuje mocno, a ona poddaje się uściskowi, chowając twarz na jego piersi, i płacze, i płacze.

– Cii. Już cicho – mruczy Cesare, kołysząc ją w ramionach. – Nie myśl o tym. Wszystko będzie dobrze. Nikt cię w żaden sposób nie skrzywdzi. Nigdy bym na to nie pozwolił. Wiesz przecież.

Im bardziej jednak Lucrezia stara się opanować, tym bardziej się załamuje, jakby w tych łzach było wszystko, czego nigdy nie mogła wypowiedzieć: poniżenie i napięcie, które czuła, żyjąc tak blisko żądź innych ludzi, a jednak samej nie odczuwając pożądania, będąc młodą kobietą adorowaną, lecz nie miłowaną. Cokolwiek to słowo oznacza. Łzy moczą aksamit jego kubraka, jej skóra przylegająca do materiału jest gorąca i lepka. Zawsze czuła się bezpiecznie w jego objęciach – w ramionach swojego pięknego, silnego starszego brata, którego tak wielu się lęka, lecz który dla niej był zawsze czuły jak kochanek.

– No już. Popatrz. Już przechodzi. – Gładzi ją teraz po włosach, długimi, delikatnymi pociągnięciami. Gdy nawałnica ustępuje, odsuwa ją trochę od siebie, patrząc jej w oczy. – Pamiętasz, jak byłaś mała i w nocy dostawałaś stracha? – Odgarnia kilka zwilgotniałych kosmyków, które przykleiły jej się do twarzy. – Przebiegałaś przez pokój i wchodziłaś do mojego łóżka. Pamiętasz, co ci wtedy mówiłem? Nikt cię nie skrzywdzi, Lucrezio. Nikomu na to nie pozwolę. Pamiętasz?

Lucrezia potakuje, z półuśmiechem przebijającym się przez zasepienie.

– Mówiłeś, że masz miecz i nawet gdyby pod moim łóżkiem był sam diabeł, nadziejesz go na ostrze. Potem zapalałeś świecę i zśliśmy razem zajrzeć pod łóżko, ale nigdy nic pod nim nie było. Mówiłeś, że to dlatego, że jakiegokolwiek licha tam siedziało, usłyszało, że nadchodzisz, i uciekło.

– Bo tak było.

– A rano służąca znajdowała nas śpiących razem i mówiła o tym cioci Adrianie, a ona była zła.

– Ale się nią nie przejmowaliśmy – śmieje się Cesare, podnosząc i przyglądając następny mokry kosmyk. – Widzisz? Jestem tutaj i jest tak samo. Nigdzie żadnych biesów. Zupełnie nie ma się czego bać. Nie pozwolę im cię skrzywdzić. W żadnych okolicznościach.

Lucrezia bierze oddech, łzy wreszcie przestały płynąć.

– Kocham cię, bracie.

– I ja ciebie kocham, siostrzyczko. – Chwyta jej prawą rękę i podnosi dłoń do ust, by ją ucałować.

– Aha! – Lucrezia śmieje się krótko, po czym odwzajemnia gest. Cesare ujmuje jej głowę w dłoń i przyciąga lekko, całując ją w czoło, prawie jak ojciec dziecko. Potem w obydwie policzki. A potem muska jej wargi. Odsuwa się, żeby na nią spojrzeć. Jej twarz jest zarumieniona i naga. Lucrezia pozostaje absolutnie nieruchoma, może dlatego, że trzyma ją tak mocno, a może nie. – Cesare? – odzywa się niemal bez tchu, tuż przed tym, jak brat całuje ją znowu. Tym razem jednak pocałunek trwa. Jego język dotyka kącika jej ust i delikatnie wślizguje się do środka. Lucrezia wydaje cichutki, graniczący z sapaniem jęk, ale się nie opiera. Powieki ma zaciśnięte, a jej ręka zastygła w powietrzu tuż przy nim, jakby nie wiedziała, gdzie spocząć. Cesare odrywa usta od jej warg.

– Wszystko w porządku – mówi, bardzo łagodnie. – Nie ma czego się bać. Moja piękna

siostrę, moja kochana.

Kiedy jednak jego wargi znów się zbliżają, Lucrezia wzdryga się, jakby otrząsając się z ciężkiego snu.

– Cesare, nie!

Sprzeciw narasta w niej jak trzepot ptasich skrzydeł tłukących o szybę, coraz dzikszy, gdy Cesare nie reaguje, tak że teraz próbuje odepchnąć go, wsuwając dłonie pomiędzy ich ciała.

– Nie, nie, nie możemy...

Cesare zniechęca puszczając ją i Lucrezia odskakuje. Jej brat opiera się o wykusz okienny, z dziwnym półśmiejchem na twarzy. Stoi, spoglądając na niego i oddychając nierówno. Cesare unosi ręce w udawanym poddaniu. Lucrezia zna dobrze ten gest z czasów, gdy byli młodszy: sposób maskowania uczuć, tak by ukryć je przed kimkolwiek, kto chciałby się ich dopatrzeć.

– Masz słodziutkie usta, Lucrezio – mówi lekko. – Tak słodkie, że zasługują na całowanie. I tylko brat, który kocha cię... – waha się – tak głęboko jak ja, ma do tego prawo.

– Muszę... Powinieneś już iść. Lada moment będzie tu Sancia. Umówiliśmy się na wspólne szycie, a w obecnej sytuacji lepiej, byście wy dwoje się nie spotykali.

Cesare sonduje ją spojrzeniem, bo oczywiście jej nie wierzy, a ona o tym wie.

– Dobrze. – Jego wzrok pada na pomięte oświadczenie leżące na drewnianym stoliku tuż przed nimi. – Ale zanim pójdę, musisz to dla mnie podpisać.

Lucrezia patrzy przez chwilę na pergamin, na gęsty las liter nakreślony nieskazitelnym charakterem pisma. Następnie bierze pióro i szybko, nie myśląc, zanurza je w kałamarzu, i podpisuje się swoim nazwiskiem. Lucrezia Borgia Sforza. Elegancki zawijas. Posypuje świeży atrament piaskiem z pojemniczka, po czym macha pergaminem w powietrzu, żeby do końca go osuszyć. I po wszystkim. Po wszystkim. Po wszystkim.

– A widzisz? Mówiłem, że poczujesz się lepiej. – Cesare wyciąga rękę, lecz Lucrezia ignoruje gest i kładzie dokument z powrotem na stoliku.

– Weź to i daj od razu papie. Będzie zadowolony. A ja... potrzebuję teraz pobyć sama – mówi, zapomniawszy o wymówce z Sancią. – Chcę, żebyś już poszedł. – Załamanie jej głosu mówi mu, jak bardzo pilna to potrzeba.

Cesare wstaje.

– Nic się nie stało, Lucrezio. To była chwila miłości, nic więcej. – Mówi lekko, jednak w środku czuje jakiś ciężar. Podchodzi do drzwi jak w półtransie. Przed wyjściem jeszcze się odwraca. – Będzie w porządku, jeśli cię teraz zostawię?

Lucrezia przytakuje, ale głowę ma spuszczoną, by nie napotkać jego wzroku.

Kiedy drzwi się za nim zamykają, siedzi z dłońmi splecionymi na podołku, patrząc w podłogę. Unosi rękę do ust i przytyka opuszki do warg, jakby chciała pomacać oparzeliznę, którą mógł na nich zostawić. Wsuwa palec do środka.

– Pantisileo! – Zrywa się na równe nogi. – Pantisileo!

Dwórka szybko pojawia się na miejscu.

– Tak, pani? O co chodzi? Czy coś się stało?

– Już po wszystkim. Podpisałam oświadczenie – mówi. – Kardynał Walencji... – urywa, kręcąc głową. – Chcę, żebyś spakowała trochę rzeczy. I daj znać masztalerzowi, że potrzebujemy koni i powozu gotowych do drogi, gdy tylko zrobi się ciemno. Tylko nie wolno mu nikomu o tym powiedzieć.

– Do drogi? Jakiej drogi?

– Ku południowej bramie miasta.

– Ale dokąd jedziemy, pani?

– Do San Sisto. Nie jestem już mężatką. Jedziemy do klasztoru.



CZEŚĆ V

Ojcowska żalność

Oddalibyśmy i siedem papieństw, byle znów ujrzeć go żywego.

papież Aleksander VI, czerwiec 1497



Rozdział 27



Połowa czerwca. Dni są przyjemne i długie; pod czystym niebem wzbiera upał, ale lekki wietrzyk daje wystarczające wytchnienie. W największych pałacach służba schodzi do chłodni w głębi piwnic, by ukruszyć lodu na sorbet cytrynowy albo do schłodzenia letniego wina. Trwają zbiory fasoli i kipi od niej każdy targ, a ostatnie morele rozplývają się w ustach jak miód. Pełna ścieków rzeka migocze w słońcu; przewoźnicy, rozebrani do pasa, bez pośpiechu pchają swoje powolne kropy z drewnem i towarami od jednej przystani do drugiej. Z dala od centrum miasta pasterze owiec i kóz drzemią w trawie porastającej rozmaite ruiny, podczas gdy ich stadka z zadowoleniem pasą się na rumowisku historii.

W swojej winnicy opodal starożytnych term Dioklecjana Vannozza nadzoruje przygotowania do rodzinnej kolacji. Wieść o ucieczce Lucrezii tydzień temu zmaćła spokój wszystkich, ale Vannozza niewiele może zrobić, by pomóc w tej sytuacji. Córkę zabrano od niej, kiedy miała zaledwie sześć lat i, inaczej niż z Cesarem, nie udało im się zachować bliskości. Vannozza nauczyła się z tym żyć. Teraz jednak znów czuje smak utraty: dziewczyna, która w chwili, gdy rozpada się jej małżeństwo, ucieka do klasztoru swojego dzieciństwa, potrzebuje opieki matki. Vannozza pisze ostrożny list. „Rozumiem, że musisz być posłuszna życzeniom swojego ojca, ale czasem jest to niełatwe. Ja wiem to lepiej niż inni. Gdybyś mnie potrzebowała...”. Podpisuje się jak zawsze: „Twoja nieszczęsna matka, Vannozza dei Catanei”.

A jednak nie otrzymuje odpowiedzi. Słyszała, że Aleksander, wściekły, że Lucrezia wyjechała bez pozwolenia, wysłał za nią oddział papieskich gwardzistów, by sprowadzili ją z powrotem, ale nie wziął pod uwagę niezłomnej ksieni San Sisto, która powitała ich w bramie, zasłaniając się Bogiem jak tarczą: „Jeśli młoda kobieta szuka u nas schronienia, nie nam odmawiać jej tego prawa. Przekażcie Jego Świątobliwości, że będziemy strzec jej choćby za cenę własnego życia i troszczyć się o nią, dopóki nie będzie gotowa, by odejść”. Nawet Aleksander VI nie może przpuścić szturm na klasztor i wyjść z tego cało.

W Rzymie panoszy się ucieszna plotka. Córka papieża zostanie mniszką! Małżeństwo – albo coś innego, o czym się nie mówi – sprawiło, że zwróciła się ku Bogu i papież wychodzi z siebie, bo nie może jej od tego odwieść.

– Ordynarne pomówienia! – Aleksander usiłuje zamydlć oczy wicekanclerzowi Sforzy, który wyraził zaniepokojenie ostatnimi zdarzeniami. – Sam ją tam wysłałem, jako że klasztor będzie dla niej najodpowiedniejszym miejscem, zanim twój oporny kuzyn wreszcie się zdecyduje. Może powinieneś mu to powiedzieć. A może ja mam to zrobić? Nie mogę uwierzyć, że ty i książę Mediolanu przedłożylibyście jego żałosne bolączki nad głęboką i niezbędną przyjaźń między naszymi rodzinami.

W Pesaro Giovanni chwyta się za głowę i jęczy. Augustiański kaznodzieja, którego najlepsze chęci okazały się nie dość dobre, wyrusza z powrotem do Rzymu. Problem woła o silniejsze argumenty niż te, których może dostarczyć Bóg.

Wykwintnie zastawiony stół stoi pod długą pergolą. Vannozza odsuwa na bok wszystkie troski związane z córką. Nieczęsto może się cieszyć towarzystwem starszych synów, a dziś przychodzą obaj, wraz z kuzynem papieża kardynałem Juanem Borgią z Monreale i kilkoma

bliskimi krewnymi.

Jest idealny letni wieczór. Cesare i Juan przybywają razem, w towarzystwie swoich giermków i nieodłącznego Michelotta, w pełnym szyku i krasie: dwa młode lwy w kwiecie wieku, pochlebne dopełnienie urody starzejącej się matki. Mimo że przy innych okazjach sprzeczali się w jej obecności, dziś wszyscy zachowują się jak należy. Juan, w pogodnym, buńczucznym usposobieniu, sypie żartami i wielkodusznie odnosi się do każdego, kto wystarczająco go skomplementuje. Cesare dla odmiany mówi bardzo niewiele. Vannozza przyzwyczała się do nastrojów najstarszego syna, do tych chwil, w których jego umysł zdaje się pracować z taką żywością, że spokój jego ciała jest niemal nienaturalny. Dziś jednak wydaje się bardziej odprężony. Prawie rozmarzony. I taki piękny. Za niecałe dwa tygodnie przywdzieje szatę papieskiego legata i nałoży koronę na skronie króla Neapolu. Jakikolwiek inne ambicje miałyby w głowie, w tym momencie osiągnął dostatecznie wiele. Vannozza nie może oderwać od niego oczu. Dobry Boże, myśli, jakże mnie pobłogosławiłeś. A dzięki Twojej łasce mogę dożyć dnia, w którym ujrzę go w jeszcze większej chwale. Mogę zostać matką papieża – ja, córka kogoś, kto był właściwie nikim. I choć jest zazwyczaj taka rozsądna i zrównoważona, kryje twarz w zwoju weneckiego jedwabiu, który syn przywiózł jej w prezencie.

Kiedy rozmowa skręca na temat Lucrezii, Cesare przemawia w uspokajającym tonie.

– Rozwiązanie małżeństwa to niełatwa sprawa. Lucrezia będzie musiała stawić się przed sądem. Wypadnie lepiej, jeśli będzie wiadomo, że przyszła tam prosto ze świętej niwy klasztoru.

– Ale to było takie nagłe. I nie przyjmuje odwiedzin. Nawet twoich, jak słyszałam.

– Nie. – Cesare waha się, bo Lucrezia rzeczywiście mu odmówiła. – Ale z drugiej strony wyobrażasz sobie mnie w klasztorze?

Wszyscy przy stole wybuchają śmiechem.

– Ja mógłbym tam pójść – wtrąca się Juan. – Chociaż najpierw musieliby zamknąć wszystkie mniszki w celach.

– Żeby trzymać ciebie z daleka od nich czy je z daleka od ciebie? – pyta ktoś inny i zebrani skwapliwie śmieją się jeszcze głośnie.

– A więc nie mieliście z nią żadnego kontaktu? – nie ustępuje Vannozza.

– Bezpośredniego nie. Ale wyznaczaliśmy posłańca, młodego Hiszpana, który pracował dla ojca, a teraz pracuje dla mnie. Eskortował ją, kiedy pojechała do Pesaro. To dobry człowiek, uczciwy i trzymający język za zębami, któremu można zawierzyć w sprawach rodzinnych.

– Cóż, mam nadzieję, że Lucrezia nie cierpi zbyt wielkiej rozterki.

– Wszystko, czego jej trzeba, to dobry mąż, który się nią zajmie – śmieje się Juan. – Te kobiety! Więcej z nimi kłopotu, niż są warte.

– Mówisz jak twój ojciec – odpowiada łagodnie Vannozza.

Tuż przed północą spotkanie zbliża się do finału. Juan pozostaje w centrum uwagi, także dlatego, że pod koniec posiłku dołącza do niego brodaty mężczyzna w masce, który zajmuje miejsce na rogu stołu, lecz się nie przedstawia.

– Miło mi powitać każdego przyjaciela mego syna, ale czy nie będzie nam dane poznać twojego imienia? – Vannozza, jak wielu parweniuszy, zajadle pilnuje dobrych manier.

– Niestety, matko, mój przyjaciel złożył ślub milczenia.

– I anonimowości – dodaje ktoś inny.

– Każdy potrzebuje w życiu odrobiny tajemnicy – śmieje się Juan. – To mój nowy, zdumiewający przyboczny. – I klepie go po ramieniu.

– Wygląda mi bardziej na rajfura – mówi Cesare, lecz bez jawnej złośliwości. – Do kogo się wybierasz dziś w nocy?

Juan się uśmiecha.

– Ach, mam tyle zaproszeń...

– Dość tego! – przerywa żywo Vannozza. – Nie nakrywam do stołu, żeby wysłuchiwać niedyskrecji swoich synów. Jeśli rzeczywiście mowa o kobiecie, mam nadzieję, że potraktujesz ją, jak honor nakazuje. Jesteś zonatym mężczyzną.

– Ale z żoną w Hiszpanii, na nieszczęście – odpowiada Juan i wszyscy się śmieją, łącznie z nią, bo atmosfera jest zbyt radosna, by jej udawane niezadowolenie mogło trwać długo.

– No, dzieci, robi się późno, a przy takich niepokojach w mieście lepiej, żebyście wyszli, kiedy jest jeszcze przyzwoity ruch na ulicach.

– Martwisz się, bo to kiepska dzielnica, prawda, matko? – mówi Cesare żartobliwie. – Nie musisz się obawiać. Wyjdziemy wszyscy razem, napełnieni po brzegi twoją gościnnością, a szczególnie smakiem twojego wina.

– Oj, pochlebca z siebie. – Kiedy Cesare podchodzi, by ją objąć, Vannozza staje na palcach i wicherzy mu włosy. To gest, na który nie zdobyłby się nikt inny.

Po pożegnaniach wsiadają na konie – zamaskowany mężczyzna sadowi się za Juanem, jako że najwyraźniej nie przywiódł własnego wierzchowca.

Przy Moście Świętego Anioła konie Juana i jego giermka oddzielają się od reszty towarzystwa.

– Pewna dobrze obwarowana twierdza domaga się oblężenia! – woła Juan, skręcając nad rzeką na północy wschód.

– Potrzebujesz artylerii?! – krzyczy za nim Cesare. – Mogę zaoferować ci Michelotta, jest równie skuteczny jak tuzin dział. Ludzka bombarda!

Ale jedyne, co słyszą w odpowiedzi, to odgłos śmiechu połknięty przez ciemność.

Jakiś czas później miasto ziewa i z pomrukiem budzi się do życia. Godziny przed nastaniem gryzącego skwaru to zawsze najpracowitsza pora dnia. W Watykanie papież i Burchard wstają wcześniej, by omówić przygotowania do zbliżającej się koronacji w Neapolu. Cesare dołącza do nich późniejszym rankiem. Wiele jeszcze trzeba zrobić, zanim tam wyruszy.

Jest popołudnie, gdy pojawia się Hiszpan z dworu Juana z wiadomością, że jego pan nie wrócił do domu. Papież czuje ukłucie lęku: od incydentu w pałacu wicekanclerza bardziej martwi się tym, gdzie podziewa się jego syn. Juan jest jednak mężczyzną, który zwykł budzić się późno w cudzym łóżku, a z uwagi na to, że cały Rzym strzyże uszami i wyteża wzrok w oczekiwaniu na kolejny skandal z udziałem Borgiów, udało się wbić mu do głowy, że swoimi romantycznymi ścieżkami ma się poruszać pod osłoną ciemności. Gdybym tylko ja miał jeszcze te siły, myśli Aleksander i stara się wyprzeć sprawę z umysłu.

Kiedy jednak ma się ku zmierzchaniu, nadchodzi wiadomość, że znaleziono księżęcego konia – błakał się po ulicach z przeciętym jednym strzemieniem. Potem zaś niedaleko Piazza degli Ebrei znaleziony zostaje giermek Juana – nieprzytomny, puszczający ustami krwawe bańki, z głęboką raną od noża przez całe płuco. Jakakolwiek historię miałby do opowiedzenia, zabiera ją ze sobą do grobu, skonawszy na długo przed tym, jak udaje się donieść go do domu.

Aleksander, teraz oszalały z niepokoju, wysyła w miasto patrole hiszpańskich gwardzistów. Widok ich mieczy na ulicach stawia na nogi inne rodziny, czujne na każdą nową groźbę, i nagle wszędzie panuje straszne poruszenie. Księżę Gandii zaginął. Zaginął. To słowo zawiera w sobie wszystkie przeraźliwe możliwości. Kupcy wcześniej zamykają kramy, rodziny ryglują wierzeje swoich *palazzi*. Noc przynosi potyczki i burdy, ale – zasadniczo – żadnych nowin. Papież ledwo przysypia.

Następnego ranka w okolicach Piazza degli Ebrei i Santa Maria del Popolo gwardziści wypytyują absolutnie każdego, kto mógł coś widzieć. Znad Tybru przychodzi do nich przewoźnik zwany Giorgio Schiviano, Słowianin. Ma sąg drewna opodal szpitala San Girolamo, przy którym

skupia się wspólnota dalmacka, i każdej nocy śpi tam w łodzi uwiązanej w trzcinach, by strzec go przed złodziejami. Jego relacja jest tak obrazowa, że gdy Aleksander słucha jej, odczytywanej słowo po słowie przez dowódcę gwardii, pojękuje cicho, jak gdyby wszystko rozgrywało się tuż przed jego oczyma.

– „Po północy leżałem, czuwając, w swojej łodzi, gdy z uliczki przy szpitalu na otwartą przestrzeń nad rzeką wyszło dwóch mężczyzn. W świetle półksiężyca widziałem ich sylwetki, ale nie twarze. Rozejrzeli się, żeby sprawdzić, czy nikogo nie ma, po czym zniknęli. Po nich wyłoniło się dwóch następnych, którzy zrobili to samo. Jeden z nich dał ręką znak w stronę uliczki i pojawił się jeździec na białym koniu. Przez koński zad przerzucone było ciało: po jednej stronie zwisała głowa, po drugiej nogi, a obok szło dwóch pierwszych mężczyzn, przytrzymując je, żeby nie spadło. Dotarli do brzegu rzeki, na miejsce, gdzie ludzie wyrzucają odpadki, i jeździec zwrócił konia tyłem do rzeki. Mężczyźni ściągnęli z niego ciało i z całych sił cisnęli do wody. Po chwili jeździec zapytał: »Poszedł na dno?«. Odpowiedzieli: »Tak, panie«. Ale płaszcz trupa nadal unosił się na powierzchni i kiedy jeździec się odwrócił, zauważył go. »A to co?«, zapytał. »Jego płaszcz, panie«, odpowiedzieli i zaczęli rzucać w tamtą stronę kamienie i śmieci, aż w końcu go zatopili. Postali trochę, czekając, czy nie wypłynie, po czym odwrócili się i odeszli tam, skąd przyszli. Patrzyłem jeszcze przez chwilę, ale nic więcej nie zauważyłem”.

I tak zaczyna się połów. W najbliższych godzinach Tyber w okolicy San Girolamo przeczesują wioślarze z całego Rzymu, ciągnąc włoki i sondując mulistą wodę bosakami, znęceni obietnicą nagrody. Szybko robi się z tego żart dnia: papież Borgia, mimo fatalnej reputacji, okazał się prawdziwym rybakiem ludzi. Najgłośniej śmieją się jego wrogowie.

Rzeka aż nadto chętnie otwiera gardło, by wypłuć swoje groteskowe skarby. Szybko odnajduje się pierwszy trup: młody mężczyzna, na wpół ubrany, z paskudną raną od noża w piersi; twarz ma napuchniętą i nadgryzioną przez ryby, lecz wciąż rozpoznawalną. Tyle że nikt nie wie, kim jest.

Niedługo po tym rozlega się kolejny okrzyk – w przeciąganą sieć wpada nasiąknięta bryła aksamitu i ciała. I teraz już nie ulega wątpliwości, że to Juan, książę Gandii, wyłania się ze smrodliwej wody, udekorowany odpadkami i w pełnym odzieniu, od butów po rękawiczki, z ciężką od dukatów sakiewką wciąż przytroczoną do pasa. Wygląda, jakby nadal był gotów do spędzenia nocy na mieście, wyjąwszy fakt, że jego nogi i tors pokrywają liczne klute rany, a szyja zije szeroką rozpadliną rozplatanego ciała. Ręce ma ciasno związane za plecami. Ktokolwiek mu to zrobił, najwyraźniej dobrze się zabawiał.



Rozdział 28



Choć Aleksander wie już, że jego syn nie żyje, kiedy przynoszą mu wiadomość, wydaje przeciągły skowyt, jak zwierzę, na którym zamknął się potrzask. Okaleczone ciało zostaje przewiezione łodzią do Zamku Świętego Anioła, a tam umyte, oczyszczone i ubrane w galowy strój, z kaftanem o kołnierzu na tyle wysokim, by zasłaniał poderżnięte gardło. O zmroku kondukt pogrzebowy rusza przez most do rodzinnej kaplicy Borgiów w kościele Santa Maria del Popolo. Mary otoczone są przez setkę ludzi z pochodniami i morze szlachty, szambelanów i duchownych. Ich głośna modlitwa wlatuje w powietrze jak chmura melancholii, przeszywana dysonansowymi odgłosami lamentu dobiegającymi z otwartych okien papieskich pokojów aż do uszu żalobników na moście.

Zamknięty w swojej sypialni, nie przyjmując żadnego wsparcia ni pocieszenia, Aleksander jest teraz człowiekiem na wpół pochłoniętym przez piekło. Demony żalu głęboko zatopiły w nim swoje szpony. Siedzi na krześle, kiwając się w przód i w tył w nieregularnym rytmie swoich szlochów. Juan nie żyje. Jego duma i radość, ciało z jego ciała – zamordowane. Jego piękny, ukochany syn zamęczony i rzucony do rzeki jak zdech-ły pies. Jęki wylewają się z jego ust jak wymiociny. Twarz ma zalaną łzami, oczy tak zapuchnięte i nos tak zatkany, że niewiele już widzi i ledwo może oddychać. Juan nie żyje. Boże na niebiosach, czy ktokolwiek zasługuje na taki los?

– Święta Mario, Matko Boża, pomóż mi... – Wstaje chwiejnie z krzesła i pada na kolana, złamany stary człowiek, modlący się jak dziecko. – Przebacz mi moje grzechy i zmiłuj się nade mną. Jeśli zawiniłem... poprawię się, przyrzekam. Tylko oddaj mi go z powrotem, zwróć mi go, proszę. Proszę.

Ale jego ukochanej Dziewicy Maryi, która towarzyszyła mu w tryumfie i w smutku, rozumiejąc i wybacząc wszelkie zachowanie i wszystkie kompromisy, która lepiej niż ktokolwiek inny wie, jaką mękę niesie ze sobą śmierć syna – już przy nim nie ma. Jej ciepło, jej słodycz i nieprzebrana otucha zostały mu odjęte. Został naprawdę opuszczony. Juan nie żyje, a on wydany jest na pastwę diabłów.

Płacze długo w noc; jego żal przedostaje się na zewnątrz pod drzwiami i przez okna, tak że każdy, kto go słyszy – czy to służący na swoich pryczach, czy kardynałowie na palcach przemierzający korytarze albo stojący w zalęknionych milczących grupkach – rejestruje te dźwięki z uczuciem dziwnego ucisku w piersi. Litość, owszem. Na pewno jest to litość. Ale także respekt i trwoga – że tak potężny człowiek mógł zostać przygięty tak nisko.

Zadręcza się wciąż od nowa tymi samymi pytaniami. Dlaczego? W jaki sposób? Dwie noce wcześniej jego syn jeszcze żył. Dwie noce. Tak niewiele czasu. Jeśli to kara, to także naj-okrutniejszy żart Losu. Porzucony przez swoją umiłowaną Dziewicę, nie może pozbyć się przed oczu obrazu czasu jako wielkiego obracającego się koła fortuny, pracującego wciąż naprzód. Na oślep wyciąga przed siebie rękę, widząc samego siebie, jak chwyta szprychy koła, szarpiąc i wyteżając się, aż zmusza je do powolnego, zgrzytliwego zatrzymania, a potem, używając całej swojej siły i wagi, pcha je, cal po calu, wstecz; jak wydziera ciało syna wodzie, przenosząc go przez śmierć z powrotem do życia, z powrotem na most, na którym rozstał się z bratem,

z powrotem w światło i śmiech letniego przyjęcia, z powrotem aż do chwili ich ostatniego spotkania tego samego popołudnia: uśmiechnięty, pełen energii młodzieniec w jedwabnej koszuli z rozcięciami stoi przed nim, zbywając wszelkie troski o swój dobrostan pocałunkiem na pożegnanie, gotów do wyjścia, na spotkanie swojego losu.

– Nie idź dziś do matki. Zostań ze mną – wyje Aleksander w ciemność. – Potrzebuję cię. Zostań ze mną.

Koło jednak już trzeszczy z napięcia w tym wymuszonym bezruchu, on zaś nie może go dłużej utrzymać: wyrywa mu się z rąk, a czas przyspiesza, by nadrobić stratę. Wypadki rozwijają się znów wstecz, nieodwracalny krok za krokiem na drodze ku śmierci. Teraz, w odwecie za to, że arogancko próbował igrać z Losem, zdaje się widzieć najgorsze w najdrobniejszych szczegółach. Koń Juana, ze swoimi dwoma jeźdźcami, zbacza z brzegu rzeki w płataninę uliczek. Z cienia wyłaniają się gwałtownie mężczyźni, którzy ściągają go z siodła na ziemię, po czym popychają i wloką przez ciemne wejście do jakiejś zawczasu przygotowanej izby na tyłach albo piwnicy. Widzi powróż zaciskający się wokół nadgarstków Juana i patrzy, jak jego ciało, podparte od tyłu, zostaje siłą wyprostowane, aby stanąć naprzeciw człowieka, którego rozkoszą będzie teraz zadanie mu śmierci w orgii ciosów. Dziewięć pchnięć nożem, powiedzieli. Każde za inną zniewagę, cała litania uraz. Za każdym razem, gdy ostrze wbija się w ciało, Aleksander stęka, jakby to jego ciało przebijano, aż w końcu mężczyzna gestem nakazuje odchylenie i przytrzymanie głowy, by przystąpić do pracy nad gardłem. Ostatni bulgotliwy krzyk załamuje się w kolejną falę szlochów. Juan nie żyje.

Po drugiej stronie zaryglowanych drzwi mała koteria popierających go kardynałów na zmianę wyczekuje czujnie pauzy w straszliwej muzyce cierpienia. Dołącza do nich Burchard, który stoi wysoki i nieruchomy jak bocian, z twarzą zastygłą w jeszcze bardziej ponurym niż zazwyczaj wyrazie. Wreszcie nadchodzi moment ciszy i ktoś puka nieśmiało, nawołując przez drewno i błagając Jego Świątobliwość o przyjęcie odrobiny pokarmu, albo przynajmniej wody, bo zaszkodzi sobie w tej letniej duchocie. W odpowiedzi dochodzi jednak niski jęk oporu:

– Zostawcie mnie. Dajcie mi spokój.

Nie brzmi to już nawet jak głos papieża. Nikt nikomu nie życzyłby takiego bólu. Nawet granitowe oblicze Burcharda kruszeje ze współczucia.

Przed świtem mistrz ceremonii wspina się po schodach do apartamentów kardynała Walencji nad komnatami papieża. Pokój przyjęć jest ciemny i pusty, następne drzwi – zamknięte. Puka i słyszy ruch; głos Cesarego pyta, kto tam, a po udzielonej odpowiedzi wzywa go do środka.

– Najczcigodniejszy kardynale, panie... – Zastaje Cesarego w pełni ubranego, przy biurku, z arkuszem papieru przed sobą. – Jego Świątobliwość papież... – Waha się. – Wasz ojciec pogrążony jest w najgłębszej rozpacz.

– Słyszę każdy krzyk tak samo wyraźnie jak wy. – Twarz Cesarego w blasku lampy oliwnej jest napięta, niemal widmowa: jeszcze jeden człowiek, który nie zaznał łoża od wielu nocy.

– Kardynałowie lękają się, że wpędzi się w chorobę. – Znów urywa. – Pomyślałem... Pomyślałem, że może... gdybyście wy do niego przemówili...

– Ja? Nie, nie sądzę, żeby chciał mnie widzieć – odpowiada chłodno Cesare. – Nie jestem tym właściwym synem.

Po raz pierwszy Burcharda ogarnia coś na kształt współczucia dla tego aroganckiego młodego człowieka, którego nigdy nie lubił i nigdy nie polubi.

– Przykro mi z powodu śmierci waszego brata, czcigodny kardynale. To potworna zbrodnia.

Cesare kiwa głową, z osobliwym półuśmiechem marszczącym mu twarz.

– W takim razie jesteście w elitarnym towarzystwie, *signor* Burchard, gdyż obaj dobrze wiemy, że pół Rzymu świętuje teraz za zamkniętymi drzwiami. Powiedzcie mi, kiedy zabierzecie się do swojego sprawozdania, co napiszecie o tych zdarzeniach?

– Mojego... sprawozdania?

– A nie? Prowadzicie dziennik, prawda? Tak mówią ludzie.

– Dziennik? Nie. Nie... Czasami zapisuję szczegóły, protokoły urzędowych spraw papieża, to wszystko. – Burchard oczyma duszy widzi skrytkę pomiędzy ciężkimi woluminami prawa kanonicznego w swojej kancelarii i już szuka w myśli bezpieczniejszego miejsca.

– Protokoły? I nic więcej? Żadnych przemyśleń? Żadnych opinii?

– Nie ro...

– Zastanawiam się, czyje imiona wpisalibyście na karty swojego dziennika jako odpowiedzialnych za śmierć mojego brata.

– O nie. – Burchard kręci głową. – Jestem sługą Kościoła, Wasza Eminencjo. Takie spekulacje nie należą do moich zadań. Odnotowuję jedynie fakty.

– Oczywiście. Cóż, mam nadzieję, że odnotujecie i ten: papież, jakiegokolwiek byłoby jego wady i uchybienia, jest człowiekiem wielkiego serca, który odczuwa swoją stratę niesłychanie głęboko i zabiera nas ze sobą w swoją żalobę.

– Nikt by w to nie wątpił. – Burchard już się odwraca, chcąc opuścić komnatę.

Pod nimi znów rozlega się głos Aleksandra, zamierający w fali łkań. Obaj słuchają w milczeniu.

– Nie martwcie się – mówi cicho Cesare. – Nie będzie płakał wiecznie.

Po wyjściu mistrza ceremonii Cesare siedzi przez jakiś czas zapatrzony w przestrzeń. Z ciemności panującej poza kręgiem światła rzucanego przez lampę dobiegają dwa ostre stuknięcia. Cesare wstaje i otwiera drzwi z tyłu pomieszczenia, których obrys ginie w ozdobach pokrywających ścianę, po czym wraca do środka z podążającym w ślad za nim Michelottem.

Przyszedł prosto z ulicy – odzież ma zmiętą i wyplamioną, twarz poprzecinaną strużkami potu. Trzyma w rękach nieprzypasany miecz i lekki płaszcz, które rzuca na skrzynię. Pochwa miecza ześlizguje się z drewna na posadzkę, metal z brzękiem uderza o płytki.

Cesare podaje mu puchar wina, który Michelotto natychmiast wychyla. Kardynał podsuwa mu dzban i patrzy, jak jego przyboczny dolewa sobie napitku.

– I co?

– I wielkie nic. Całe miasto zamknięte na cztery spusty jak żydowska szkatuła. Myślałby kto, że nastąpiła zaraza, tyle okien pozabijanych deskami.

– Co z rodzinami?

– Wszystkie siedzą za zaryglowanymi drzwiami. Sforzowie mają takiego pietra, że robią pod siebie. Wicekanclerz wyniósł się ze swojego pałacu i wprowadził do ambasadora Mediolanu. Jeśli ktoś się weseli, nie słyhać tego z ulicy. Wszyscy czekają, aż papież przestanie płakać.

– A przewoźnik?

– Z powrotem na swojej łodzi.

– Sakiewka mu nie spuchła?

– Jeśli tak, to nie wydaje dukatów na siebie. Cuchnie gorzej niż rzeka.

– A jego historyjka?

– Dokładnie taka, jak opowiedział strażnikom. Z kilkoma dodatkowymi zajknięciami, kiedy wyglądało na to, że nóż zaraz mi się ześliznie.

– Wierzysz mu?

– Jest za głupi, żeby kłamać. Żyje tylko dla swojego drewna i to wyostrzyło mu wzrok na

wszystko, co znajdzie się w jego pobliżu.

– Dlaczego więc nie doniósł o tym, co widział?

– Bo, według jego słów, gdyby miał donosić o każdym zwłokach, które widział wrzucane tam do Tybru, nie miałby się kiedy przespać. – Michelotto się śmieje. – W zasadzie to prawda. Żadna tajemnica, do czego zwykle służyć to miejsce. Sam parę razy byłem na tym nabrzeżu.

– Ale ty nie jeździsz na białym koniu i nie masz przy sobie czterech pachołków.

– A szkoda. – Trze oczodoły nasadami dłoni, jakby chciał wyczyścić sobie pole widzenia. Kiedy odejmuje ręce od twarzy, wygląda jeszcze bardziej dziko, z siekaniną blizn uwypuklającą się poszarpanymi pręgami na tle ziemistej skóry. – Koń nie doprowadzi nas donikąd. Tak jak powiedziałeś, każdy wielki ród ma w stajniach białego rumaka. Carlo Orsini, bękart Virginia, jeździ na takim, tyle wiem, ale wszyscy twierdzą, że nie ma go w mieście. Przypuszczam, że znajdzie się jeszcze parę takich wierzchowców u Orsinich i w pałacach Colonnów czy Sforzów.

– Co z człowiekiem w masce?

– Rozpłynął się w powietrzu. Służący księcia mówi, że odwiedzał domostwo sześć czy siedem razy w ciągu ostatniego miesiąca. Sługa nigdy nie słyszał jego głosu ani nie widział większego fragmentu twarzy niż skrawek brody. To może być pięciuset różnych ludzi, albo i więcej.

Cesare macha ręką.

– A kobieta, którą oferował?

– Która?

– Ty mi powiedz. Którakolwiek z tych, których mój brat nie mógł mieć.

Michelotto prychnął.

– Z tego co słyszę, odkąd wrócił z Hiszpanii, w Rzymie nie ostało się zbyt wiele dziewczyn.

Cesare jednak się nie uśmiecha. Przez lata, które razem spędzili, Michelotto przywykł do tego, że nie zawsze wie, co czuje jego pan – na swój sposób stało się to rodzajem wiedzy samej w sobie. Z pewnością nie jest zaskoczony jego widocznym brakiem smutku: między braćmi nie było miłości, a nienasycona żaloba papieża wyssała z całego otoczenia wszystkie dostępne łzy. Co go zdumiewa, to brak gniewu. Być może jest schowany zbyt głęboko lub przytłumiony wyczerpaniem, obaj bowiem od śmierci Juana nie zmrużyli oka.

– Mówi się o jednej. To Filamena della Mirandola, córka hrabiego. Dojrzała i gotowa.

Ojciec ceni ją sobie jak żrenicę oka. – Michelotto przerywa. – Ich dom jest blisko miejsca, gdzie ciało wylądowało w rzece.

– I?

– I tyle. Hrabia ma nieposzlakowaną opinię. I nie posiada białego konia.

– Oczywiście. Kobieta jest zawsze tylko przynętą. Właściwe pytanie to: kto był myśliwym.

Obaj milkną. Michelotto dolewa sobie wina. Zaczyna go dopadać zmęczenie i chodzi po pokoju, masując sobie kark, jak gdyby chciał pozbyć się uporczywego przykurczu. Jego wzrok pada na stół i leżący na nim papier. Spogląda na Cesarego, jakby prosząc o pozwolenie.

Otrzymuje je.

Z jego ust wydobywa się cichy gwizd.

– Bogate żniwo. Ułożeni według kolejności?

– Sam mi to powiedz.

– Orsini – czyta. – Z tym nikt by się nie kłócił. Pytanie tylko który?

– A który twoim zdaniem?

– Ha, osiołkowi w żłoby dano. Wszyscy wiedzą, że Virginio został otruty, zanim uderzyliśmy na ich zamki. Carlo, jego syn... jego siostrzeńcy Paolo i Giulio... każdy z nich wie,

jak krajać ciało. Jego szwagier, Bartolomeo. Nawet ta jego kochająca siostra; jeśli sama nie wbiła noża, mogła równie dobrze poinstruować innych. Gdybym był u niej na służbie, z pewnością bym to dla niej zrobił.

– Nie wątpię. To sprytny podwójny cios. Zabić syna i jednocześnie udręczyć ojca.

– Numer dwa: Sforzowie? – Michelotto wzrusza ramionami. – Czemu nie. Księżę Gandii znieważył wicekanclerza w jego własnym domu. Coś takiego samo w sobie gwarantuje nóż w brzuchu.

– Możesz go wykreślić. Pozwolił przeszukać swój dom i już przekazał klucze. Za bardzo zachowuje się jak winowajca i jest zbyt przerażony, żebym uwierzył, że to on.

– A Giovanni? Zawsze mówiłeś, że nie ma jaj.

– Bo nie ma. Tylko że już niedługo zmusimy go, żeby przyznał to publicznie. Jeśli słyszał, co się święci, miałby wystarczający powód do zemsty.

– Gonsalvo de Córdoba? Masz tu hiszpańskie nazwisko?

– Nie widziałeś jego twarzy, kiedy papież oddawał jego zdobycze wojenne Juanowi.

Obraza była namacalna.

– Ale to żołnierz znany z honoru.

– I o honorze właśnie mówimy.

– A księżę Urbino? Bo co? Bo nie zapłaciliśmy za niego okupu?

– Wiesz, jak długo gnął w więzieniu Orsinich? Blisko dziewięć tygodni.

Na dole rozlega się znów lament papieża, niskie, załamujące się zawodzenie, jak skarga człowieka, który próbuje zbudzić się z niekończącego się koszmaru.

Michelotto spogląda na koniec listy i podnosi zdumioną twarz.

– Chyba mu tego nie pokażesz?

– W którymś momencie przestanie lamentować. A kiedy tak się stanie, będzie musiał zdecydować, co dalej. Wszyscy na to czekają. Będzie musiał wziąć pod uwagę każdego, kto miał jakieś rachunki do wyrównania albo coś do zyskania.

Michelotto patrzy na niego i niespieszny uśmiech przemyka przez jego twarz. Wypuszcza z rąk papier, pozwalając, by opadł na stół, i ziewa.

– Cóż, jeśli już mnie dziś nie potrzebujesz, muszę się -przespać.

Cesare żegna go machnięciem ręki. Odchyła się na oparcie i wbija wzrok w sufit.

Przed samymi drzwiami Michelotto się odwraca.

– Ostatnie nazwisko... jest tam z powodu rachunku do wyrównania czy czegoś do zyskania?

Cesare jednak ma już zamknięte oczy. Trudno więc powiedzieć, czy nie usłyszał, czy po prostu postanowił nie odpowiadać.



Rozdział 29



W dobrze zarządzanym klasztorze nawet najbardziej dramatyczne nowiny nie od razu przenikają przez zamknięte drzwi cel, a San Sisto, pod przewodnictwem ksieni *madonny* Girolamy Pichi, jest w rzeczy samej świetnie zarządzanym klasztorem. Inaczej niż w przypadku większości miejskich domów zakonnych, gdzie byle podniesiony głos z łatwością przedostaje się przez mury, położenie przy starożytnej Via Appia niedaleko południowej bramy miasta sprawia, że konwent otaczają szczerze pola. Został wzniesiony blisko miejsca, gdzie wielcy mężowie głosili słowo Boże i oddawali Panu swoje umęczone ciała, a ich poświęcenie wsiąkło w te same kamienie, czyniąc milczenie łatwiejszym do wytrzymania.

Znajduje się więc tak daleko, że jeśli nie ma powodu, by którąś mniszkę o czymś powiadać, zazwyczaj tylko tętent kopyt zwiastujący, że ktoś galopuje w stronę Neapolu, może sprawić, że właścicielki co bardziej wyczulonych uszu zastanawiają się, jakież to nowe rzymskie plotki wywozi w jukach.

Tym razem jednak nie muszą czekać długo. Pedro Calderón, który w przeszłości nieraz wzbijał kurz, mijając w pędzie zamknięte wrota klasztoru, zostaje wysłany z wiadomością w chwili, w której orszak pogrzebowy dociera do kościoła. Ponieważ papież niezdolny jest do podejmowania decyzji, to Cesare pisze list. Lucrezia nie może dowiedzieć się z jakiegoś innego źródła.

Wprowadzony do rozmównicy ksieni Calderón, mimo że spotniał nieco w drodze, jest wciąż wyjątkowo urodziwym młodzieńcem. Ksieni, oczywiście, nie zwraca uwagi na takie rzeczy. A jeśli zwraca, z pewnością nie ma to wpływu na jej zachowanie: to niewiasta, która już odprawiła z kwitkiem oddział gwardii papieskiej.

– Wkroczyliście do przybytku świętości i kultu, w którym przyjmujemy bardzo niewielu gości, i choć jestem pewna, że wasza wiadomość jest tak pilna, jak twierdzicie, prosiłabym, abyście to uszanowali.

Pedro dla odmiany jest wyczuwalnie zdenerwowany. Ale mniszki często działają tak na mężczyzn, a on ma się czym denerwować.

– Istotnie, jest pilna. Przywożę też list do was, czcigodna matko. Od najczcigodniejszego pana kardynała Walencji.

Ksieni bierze list, łamie pieczęć i czyta. Z jej ust wyrывa się krótki okrzyk, a zgroza na jej twarzy szybko ustępuje miejsca litości.

– Och, jakie to straszne. Księżna będzie do głębi przejęta. – Podnosi wzrok. – Może to ja powinnam...

– Nie, nie – mówi prędko Calderón. – Dziękuję wam... ale polecono mi, bym oddał ten list do rąk własnych.

To samo powiedział pięć lat temu, stojąc na pylistym dziedzińcu w Sienie, i od tego momentu odwagi wszystko inne samo się potoczyło. Wtedy jego słowa były prawdą. Cesare jednak nie wydał swojemu posłańcowi takich instrukcji. To pierwsze kłamstwo, które Pedro wypowiedział w tej sprawie – w wielkiej sprawie swojego serca.

– Dobrze więc. Poślę po nią. Będzie najlepiej, jeśli zobaczycie się w wirydarzu. Siostry są

teraz na modlitwie i będziecie mieć tam chwilę prywatności. Sama was tam zaprowadzę. Kiedy będziecie gotowi do wyjścia, uderzcie w dzwonek przy drzwiach, a przyjdzie po was siostra furtianka. – Ksieni wkłada list do szuflady. Potem zaś mówi raptownie: – Powiedzcie mi, jak się czuje nasz Ojciec Święty?

– Ja... Jest w wielkiej desperacji.

– Tak, tak, oczywiście – potakuje szybko ksieni. Nawet przełożona mniszek, jak się okazuje, nie jest całkowicie odporna na pokusę plotki. – Świat potrafi być taki okrutny. Jestem pewna, że zostaliście wybrani dla swojej życzliwości.

Pedro skłania głowę.

– Jestem najpokorniejszym sługą księżnej.

Ksieni przygląda mu się przez chwilę, po czym rusza, prowadząc go za sobą.

Słońce właśnie zachodzi i wirydarz skąpany jest w miękkim złotym świetle. Ogród jest zadbane: przystrzyżony żywopłot okala małą sadzawkę, w której rozleniwiony ciepłem karp przepływa z wolna pod liśćmi nenufarów. Wypielęgnowane drzewka owocowe i rabaty ziół wydają mieszaninę woni medykamentów i lata – pyszny przykład dzieła rąk Bożych, tyleż urokliwego, co użytecznego. Calderón stoi niezgrabnie pośrodku, czekając. Czekając. On, Pedro Calderón, który powinności nauczył się od swego hiszpańskiego ojca, lecz włoska matka wpoila mu zamiłowanie do romansu, tak że cnotę stracił dopiero w siedemnastym roku życia, z córą Koryntu, cały czas czekając na kobietę swoich snów. Swoją Laurę, swoją Beatrycze, swoją -Ginewrę. Swoją księżniczkę. Swoją zgubę.

Przychodzi odziana na biało, w prostą codzienną suknię, z włosami ujętymi w luźną złotą siateczkę, spod której wymykają się pojedyncze kosmyki. Idzie prędko, z wysoko uniesioną głową, i Pedro przypomina sobie, jak ujrzał ją po raz pierwszy, olśniewającą w ślubnej sukni, sunącą korytarzem, jakby jej stopy nie dotykały ziemi.

Wita go krótkim uśmiechem, nawet śmiechem, z twarzą jaśniejącą w słońcu. Ktoś, kto ją wezwał, nie uprzedził jej, że wieści są złe.

– Pedro Calderón! – Teraz prawie biegnie. – O, jakże się cieszę. Nie powiedziano mi, że to ty. – Staje przy nim i żywołowo bierze go za rękę, przechodząc na kataloński, język zażyłości z dzieciństwa.

To pierwszy raz, kiedy się dotknęli, i oboje są tego świadomi.

– Pani, jestem... To zaszczyt widzieć was ponownie. Miewacie się dobrze?

– Całkiem dobrze. Uczę się pozostawania w ciszy. – Lucrezia wzrusza ramionami. –

Choć nie jest to łatwa lekcja. A ty? Przynosisz mi wieści z domu?

– Tak...

– Co takiego? – Patrząc teraz na niego, natychmiast spostrzega, że przyszedł z czymś poważnym. – Och, co się stało? Co?

– Mam... Mam list.

Wyciąga go do niej, ale ona ciągle wpatruje się w jego twarz.

– Co się stało? Czy to ojciec? O dobry Boże, to mój ojciec, coś się stało mojemu ojcu!

– Pani, nie... Nie, wasz ojciec jest zdrow.

– A więc Cesare...

– Nie. List jest od niego. Spójrzcie na pieczęć. Proszę. Proszę, powinniście to przeczytać. Lucrezii wrywa się krótki śmiech pełen ulgi.

– Och, w takim razie musi chodzić o moje małżeństwo. Bardzo dobrze.

A jednak wyciągając rękę po list, wie, że nie chodzi o jej małżeństwo. Niezręcznie manipuluje przy pieczęci i w pośpiechu niemal upuszcza papier. Prześlizguje się wzrokiem po pierwszych kilku liniijkach: czułe myśli, delikatne wprowadzenie, a potem...

Kończy czytać i stoi ze spojrzeniem utkwionym w sadzawce. Widzi ryby błyskające srebrną i czerwoną łuską, zauważa, że lekki wietrzyk karbuje powierzchnię wody. Nic się nie zmieniło. Jak to możliwe? Juan nie żyje, a jednak wiatr nadal wieje, a ryby pływają. Juan nie żyje, ale na świecie nie odcisnął się żaden znak jego zgaśnięcia. Ta myśl przyprawia ją o zawrót głowy.

– Pani!

Pedro przypada do niej w tej samej chwili, w której się zachwiała. Otaczając ją w pasie ramieniem i trzymając pod łokieć, wiedzie ją na skraj ogrodu do kamiennej ławki pod murem, z którego patrzą wysokie okna cel. Lucrezia pozwala się prowadzić.

Siada sztywno koło niej, wciąż podtrzymując ją ramieniem. Kamienne płyty, które Lucrezia widzi pod stopami, rozmazują się od łez. Łzy są jednak zbyt łatwą odpowiedzią na taką potworność. Powściąga je i siedzi przez chwilę znieruchomiała.

Wreszcie podnosi wzrok i marszczy brwi, jakby zdążyła zapomnieć o jego obecności.

– Wiesz, co tu jest napisane? O tak, oczywiście, oczywiście, że wiesz. Mój brat pisze, że to było morderstwo. Morderstwo! Ale jak to możliwe? Kto to zrobił? Co się stało?

„Jeśli przyjmie cię osobiście i będzie wypytywać o szczegóły, nic jej nie mów. Księżna jest bardzo wrażliwa, a takie kobiety nie powinny wiedzieć więcej, niż to konieczne” – wyraźnie rozbrzmiewa w jego głowie głos Cesarego.

– Nie mogę... To znaczy, nie mnie...

Lucrezia patrzy na niego.

– Och... Cesare przykazał ci, żebyś mi nie mówił, prawda? – Kręci głową. – Nie ma racji. Myśli, że skoro jestem kobietą... Nie rozumie, że dużo gorzej jest nie wiedzieć. Niedługo i tak dowiem się od innych, a plotka będzie jeszcze bardziej odrażająca. Lepiej, jeśli usłyszę to od ciebie, Pedro Calderónie. Proszę.

Od pierwszego kłamstwa do pierwszego aktu nieposłuszeństwa. Do czego jeszcze jest zdolny? Stara się mówić krótko, nie rozwodząc się nad przemocą, która spotkała Juana, bardziej niż nad troską, którą go otoczono. Odmalowuje obraz majestatu konduktu, doskonałości ciała Juana spoczywającego na marach, po tym jak mistrzowie upiększania śmierci odprawili nad nim swoje czary.

– Wyglądał tak spokojnie, z twarzą tak niepokalaną, jakby wciąż żył. Wszyscy, którzy go widzieli, mówili to samo.

– Tak. – Lucrezia słucha, nie spuszczać oczu z jego twarzy i potakując w głębokim skupieniu. – Tak, mogę to sobie wyobrazić. Zdaje mi się, że widziałam rzekę w pobliżu tamtego miejsca. – Wstrząsa się, po czym patrzy znów na list, jakby wiedziała, że teraz w jego słowach zdoła znaleźć więcej pociechy. – Czy odpowiesz mi na jeszcze jedno pytanie, Pedro Calderónie? – odzywa się po chwili.

– Tak, pani. Jeśli będę mógł.

– Zabiłeś kiedyś człowieka?

– Ja?

– Należysz do obstawy mojego brata, prawda? Musiały chyba być takie chwile, walki...

Pedro jest z powrotem na Piazza Navona, z gwardią szwajcarską, wśród paniki i chaosu; krew tryska na bruk przy wtórze okrzyków wściekłości i bólu. Wolałby zachować to dla siebie, bo nie jest to coś, z czego byłby dumny, lecz człowiek honoru nie może złamać obietnicy danej kobiecie, którą już miłuje.

– Owszem, były walki. I ludzie ginęli. Zwłaszcza w jednej. Wiem o jednym, który na pewno padł z mojej ręki, ale mogło też być ich więcej.

– Kiedy umierał... wiedział?

– Nie rozumiem...
– Czy wiedział, że umiera? Miał czas, żeby się pomodlić?
– Pomodlić się? – Modlitwa? Czy w jego krzyku o miłosierdzie była modlitwa? Czy to się liczy? – Nie wiem. Mówił w innym języku.

– A! Bo wiesz, mam nadzieję, że Bóg był tak łaskawy, że Juan zdążył przed śmiercią poprosić o przebaczenie za swoje grzechy. Pragnę, by spoczywał w pokoju, jeszcze bardziej, niż chciałabym go widzieć z powrotem tu, na ziemi. – Jej oczy ponownie napełniają się łzami. – Mój biedny ojciec... biedny papież... List jest od Cesarego, bo ojciec boleje za bardzo, by zdołał go napisać, prawda?

– Myślę, że to możliwe... tak, pani.

– O, chciałabym być przy nim, żeby dać mu pociechę. – Potrząsa głową. – Nie będę płakać. Juan bardziej niż łez potrzebuje teraz modlitwy – mówi stanowczo, biorąc głęboki wdech i prostując się; uniesiony podbródek ujawnia ledwo widoczną, w najwyższym stopniu uroczą pozostałość dzieciennego tłuszczu. Siedzą przez chwilę w milczeniu. Pedro słyszy w głowie własny puls, odmierzający upływ czasu. Chciałbym zostać tu na zawsze, myśli. – Niedaleko tego tu klasztoru umęczono świętego Sykstusa – odzywa się Lucrezia. – Wiedziałeś o tym? Został ścięty na rozkaz cesarza rzymskiego, ale nawet w chwili, gdy kat podniósł miecz, jego twarz była naznaczona radością. Wiedział bowiem, że w śmierci odnajdzie życie wieczne. Ksieni często opowiada o nim i wszystkie mniszki wtedy płaczą. Każdy wie, że to czyni ten klasztor, zbudowany pod jego wezwaniem, szczególnym przybytkiem modlitwy wstawienniczej. – Mówi teraz szybciej, jakby próbowała przekonać samą siebie. – Jestem zatem we właściwym miejscu, by się modlić za Juana, nie sądzisz? – Nie czeka na jego odpowiedź. – Chodzi mi o to, że... bywał czasem popędliwy i wiem, że nie przez wszystkich był lubiany, ale było w nim tyle życia i tyle włożono na jego barki... Był dzieckiem Bożym i w głębi serce miał czyste. Wiem o tym. Jeśli więc będę się tutaj modlić, nasz Pan na pewno mnie wysłucha.

– Jestem o tym przekonany, pani.

– Tak, tak. Ja też – mówi z całą powagą.

Siedzą razem w zamierającym świetle jaskrawej, moreloworóżowej łuny zachodu. Oboje mają świadomość, że ich dłonie, choć już się nie dotykają, pozostają zbyt blisko. Lucrezia odsuwa się, skrępowana.

– Dziękuję ci – mówi. – Rada... rada jestem, że to ciebie posłali, by mnie powiadomić. Pedro skłania głowę.

– Pójdę już... jeśli sobie życycie.

– Chciałabym... Jeśli nie masz nic przeciwko temu... Może zostałabyś jeszcze trochę? Mniszki są bardzo miłe, ale w mojej celi po zmroku robi się ponuro, a tutaj jest tak pięknie. – Podnosi twarz do światła, tak że jej skóra lekko połyskuje.

– Pani, zostanę tutaj, aż upłynie noc i wstanie nowy dzień, jeśli to pomoże.

– Ha! Nie jestem pewna, czy ksieni by na to pozwoliła. Mówisz jak rycerz z romansu, Pedro Calderónie.

– Nie chciałem... – Pedro spuszcza oczy.

– Nie, nie. To nic złego być kimś takim. Myślę, że świat byłby gorszy bez odwagi Bowona czy miłości Lancelota i -Ginewry. Kiedy byłam dzieckiem, uwielbiałam takie opowieści...

Urywa, nagle zdając sobie sprawę, co mówi, uświadamiając sobie, że na moment zupełnie przestała myśleć o potworności losu Juana.

Podobnie jak Pedro – który teraz wyobraża sobie, jak cudownie byłoby siedzieć razem z nią w gasnącym świetle i opowiadać sobie romanse. I jak – gdyby to się zdarzyło – mógłby

umrzeć szczęśliwy.

Wspinający się po szczeblach kariery Hiszpanie nie są, niestety, tak zniewoleni urokiem Dantego, by czytać go równie pilnie jak wykształceni rzymianie – toteż marzycielski młodzian nie zabawił w drugim kręgu piekła, gdzie mógłby dziwować się nad ognistym wichrem miotającym grzesznikami albo wysłuchać żalostnej historii Franceski i brata jej męża Paola, których wspólne upodobanie do poezji rycerskiej przywiodło do grzechu i wiekuistych katuszy, tak okrutnych, że do łez wzruszyły samego Dantego.

A Lucrezia? Cóż, Lucrezia zna tę historię wystarczająco dobrze. Tak jak marzy jednak o raju po śmierci, marzy również, by móc zakosztować go na ziemi. Ma siedemnaście lat i jednego brata, którego okrutnie zamordowano, drugiego, który kocha ją za bardzo, i odrzuconego męża, który nie kocha jej wcale. Siedzi schwyтана w wir żalu, lęku i tęsknoty. A mimo to, mimo całej tej konfuzji, czuje, że warto żyć. Ach, Juanie...

Po drugiej stronie ścieżki otwierają się drzwi, w których rysuje się sylwetka siostry furtianki. Konwent szykuje się do snu i wszelkie wizyty, nawet najpotężniejszych gości, muszą dobiec końca. Oboje natychmiast zrywają się na nogi.

– Jestem ci wdzięczna, Pedro Calderónie – mówi Lucrezia szybko. – Chciałabym wysłać odpowiedź, ale jest późno, a ja muszę zebrać myśli...

– Mogę wrócić rankiem, pani. Zostałem wyznaczony na kuriera między Watykanem a klasztorem.

– Och, więc... przyjedziesz tu jeszcze?

– Niezawodnie.

Pedro przyklęka na jedno kolano i ujmuje jej dłoń.

– Powiedz mojemu bratu i ojcu, że sercem jestem z nimi i że z Bożą pomocą znajdę słowa, by ich pocieszyć.

W niewielkim oknie na drugim piętrze stoi ksieni, przyglądając się ich rozstaniu.

Kiedy klasztor otwiera podwoje dla szlachetnie urodzonych niewiast w opałach, zawsze jest to wyzwanie: czas, jaki zajmuje wniesienie ich kufrów i wprowadzenie służących, to, jak razem z nimi do klasztoru wnika świat, wstrząsając z trudem wypracowanym spokojem ujętego w regułę nabożeństwa. Przez lata ksieni Pichi naoglądała się rozmaitych dramatów rozgrywających się w obrębie murów i nauczyła się biegle odczytywać sygnały. Poszukując nowych mniszek, musi rozróżniać w dziewczętach to, co duchowe, od tego, co zmysłowe – nie zawsze jest to łatwe zadanie, kiedy w ich ciałach wrze tak samo jak w sercach. Gdy młodzianka Lucrezia odeszła, żeby zająć swoje miejsce w świecie, ksieni modliła się, by Bóg zachował ją od zbyt wielkiego pokuszenia. Jego wola jednak często działa w sposób, którego nie zdołają przewidzieć nawet najpokorniejsze Jego dzieci. Tej nocy ksieni wspomina Lucrezię w pacierzu. I odnotowuje w myślach, że musi porozmawiać z furtianką o zaglądaniu do wirydarza podczas wieczornej godziny prywatnej modlitwy.



Rozdział 30



W końcu, popołudniem w niedzielę 18 czerwca, po trzech dniach i trzech nocach żałoby, Aleksander wzywa służącego, by go umył i odział. Po namowach zgadza się przełknąć trochę zupy i rozcieńczonego wodą wina. Potem pozwala wejść Burchardowi. Przez niego przesyła oczekującym kardynałom wiadomość, że dziękuje im za ich pocziwe czuwanie i prosi, aby udali się teraz na spoczynek we własnych łóżkach. Rano przemówi do nich na zamkniętym konsystorzu Świętego Kolegium.

Gdy nadchodzi wyznaczona godzina, sala pęka w szwach; brakuje tylko della Roverego, nadal przebywającego na dobrowolnym wygnaniu we Francji, i wicekanclerza Ascania Sforzy, który najwyraźniej nie czuje się dość pewnie, by opuścić dom mediolańskiego ambasadora. Papież wchodzi, wsparty ciężko na ramieniu służącego. Gdy się zjawia, wszyscy padają na kolana, po czym szybko się podnoszą, żeby spojrzeć na człowieka, który wydaje się teraz mniejszy, niż go zapamiętali. Aleksander, tak długo napędzany w życiu energią potężniejszą od jego wieku, zdaje się nagle słaby, a nawet stary. Jego syn, kardynał Walencji, najurodziwszy i najbardziej wystrojony z duchownych w pomieszczeniu, wygląda na zmęczonego i posępnego. Wszyscy czekają.

– Księżę Gandii nie żyje. – Jego głos jest silny od emocji. – Nie mógł zostać nam wymierzony gorszy cios, albowiem kochaliśmy go ponad wszystko i nie ceniliśmy wyżej ani papieżstwa, ani niczego innego. Bóg zrzucił tak być może z powodu naszych grzechów, a nie dlatego, iżby on zasługiwał na taką straszną i tajemniczą śmierć. Nie wiemy także, kto go zabił i wrzucił jego zwłoki jak łajno do Tybru...

Zacina się na moment i patrzy dookoła. Kardynałowie siedzą jak przykuci. Widać, że nie mają pojęcia, jakie słowa wyjdą zaraz z jego ust.

– Krąży wiele pogłosek, lecz my powiemy teraz, co następuje. Uwalniamy naszego wicekanclerza od jakiegokolwiek podejrzenia i prosimy, aby wrócił do domu i do naszej służby, porzuciwszy wszelki lęk o własne bezpieczeństwo, jaki mógłby żywić. Jednakowo przekonani jesteśmy o niewinności naszego zięcia oraz naszego byłego towarzysza broni, Guidobalda da Montefeltro, księcia Urbino, których imiona również dostały się w wir plotki. Śledztwo mające ustalić sprawców tej ohydnej zbrodni będzie trwało, my tymczasem wdramy nasze postanowienie wstąpienia na nową drogę życia, dotyczące zarówno nas samych, jak i Kościoła, którym mamy przywilej kierować. Będziemy odtąd zwracać baczniejszą uwagę na procedurę mianowania na wszystkie święte urzędy. Beneficja będą przyznawane jedynie tym, którzy na nie zasługują, z zaniechaniem nepotyzmu. Nad nową erą reform będzie czuwać komisja eklezjalna. Oddalibyśmy i siedem papieństw, byle znów ujrzeć księcia Gandii żywego, niemniej jednak będziemy trwać i iść dalej pod jasnym i czujnym spojrzeniem Boga.

Teraz wreszcie wzrok Aleksandra pada na kardynała Walencji, który siedzi z beznamytnym wyrazem twarzy i zimnym spojrzeniem utkwionym w dal, jakby nie było już żadnej więzi między ojcem i synem. Obrót spraw jest tak szokujący, że kardynałowie, którzy w tym momencie ledwo wierzą własnym uszom, będą się później zastanawiać, czy zuchwały młody Borgia oprócz brata nie stracił także przychylności ojca, który tyle wszak uczynił dla jego

kariery.

Nie wiedzą, że zanim Aleksander wkroczył do sali, ojciec i syn odbyli naradę, mozolnie wypracowując strategię dla opanowania chaosu, w którym pogrążyła się rodzina.

Zbliżał się już świt, kiedy Aleksander, przebudziwszy się z niespokojnego snu z powrotem w mgłę żalu, w tajemnicy posłał po kardynała Walencji. Cesare czekał na tę chwilę; on, który potrafi bez najmniejszego strachu stawić czoła rozjuszonemu bykowi, wchodząc do sypialni ojca, poczuł nieznamy przewrót w żołądku,

– Ach, mój synu!

W komnacie jest duszno. W półmroku daje się dostrzec postać jego ojca siedzącego ciężko na brzegu łóżka – w lnianej koszuli, z gołą głową, bez papieskich regaliów dodających mu wzrostu i godności. Podnosi się i otwiera ramiona, chwiejąc się lekko na nogach. Kiedy się obejmują, Cesare czuje pot na jego ciele i spazmatyczny oddech człowieka, który nie wylał jeszcze wszystkich łez.

– Ojczy. – Stoją spleceni w uścisku, jakby Aleksander nie miał dość sił, by utrzymać się w pionie samemu. – Ojczy, twoje cierpienie przenika nas wszystkich. Cały pałac obawiał się o twoje zdrowie.

– Ach, czymże jest mój ból w porównaniu z jego cierpieniem? – Aleksander odrywa się od Cesarego i opada z powrotem na posłanie, wspierając się na masywnej, rzeźbionej ramie łóżka jak na kuli. – On nie żyje, Cesare. Juan nie żyje; zamęczony i rzucony do Tybru jak psie truchło.

– Tak, ojczy. Wiem.

– A ja... byłem w piekle.

– Ale wróciłeś – mówi z mocą Cesare. – I zaprawdę słuszne to i właściwe, bo jako namiestnik Boży na ziemi jesteś tu bardzo potrzebny. Cały Rzym wstrzymuje oddech w oczekiwaniu na twoją odpowiedź.

– Tak, tak, masz rację. Jestem potrzebny. Wiesz, kiedy byłem zagubiony, nawet Maryja Panna, Matka Boża, pozostała głucha na mój krzyk. Ona, która wspierała mnie we wszystkich moich tryumfach i strapieniach. Ha! Ale w końcu do mnie przyszła. Kiedy nie miałem już siły, ulitowała się i podała mi rękę. O, ta wzniosła pociecha jej błogosławieństwa! A teraz, tak jak mówisz, musimy iść dalej. I odpokutować. Obraziliśmy Boga naszym zachowaniem, Cesare.

– Może być i tak, ojczy – mówi Cesare ostrożnie, podchodząc, by stanąć naprzeciw. – Nie sądzę jednak, by to Bóg zatopił sztylet w ciele Juana.

– Nie, nie. Jednak to przed Nim musimy zadośćuczynić za nasze błędy.

– A On nas wysłucha i obdarzy nas wszystkich pokojem.

– Tak, nas wszystkich... O, byłem samolubny w mym cierpieniu! Twoja matka... Ach, kto powie Vannozzy, że jej syn nie żyje? – Chwyta Cesarego za rękę, ściskając ją mocno. – A Jofrému? A mojej słodkiej Lucrezii? Słodkiej Lucrezii, która tak kochała brata?

– Wieści dotarły już do nich wszystkich, ojczy. Nasza matka znajdzie pociechę w Bogu, a Lucrezia ma lepszą opiekę w klasztorze, niżby znalazła tutaj. – Urywa, nie spuszczać oczu z oblicza Aleksandra. – Musimy teraz zatroszczyć się o siebie. Ci, którzy to zrobili, chcieli zniszczyć tyleż Juana, co ciebie. Ale to im się nie uda. Jesteś dla nich za silny.

Aleksander ociężale kiwa głową, wpatrzony w jaskrawo barwione płytki posadzki pod swoimi stopami. Tkanka jego twarzy obwisa, jakby kości pod spodem się rozpuściły; oto człowiek, który zapada się w sobie.

– Ojczy?

– Tak, tak. Jestem – mamrocze. I powoli dźwiga się z osunięcia, aż siedzi prosto. Głowa podnosi się ostatnia. – A zatem, powiedz mi, Cesare. Kogo, twoim zdaniem, obraziliśmy bardziej niż Boga?

– Wszystko wskazuje na zabójstwo z zemsty: precyzja zasadzki, okrucieństwo, z jakim zadano rany, hańbiące pozbycie się ciała. Powiedziałbym, że to Orsini.

– Śmierć Juana za śmierć Virginia Orsiniego? O! Ten człowiek był płaczącym zdrajcą. Że też się ośmielili! Jesteś pewien?

– Sforzowie mieli może równie dobry motyw, lecz, jak sądzę, mniej odwagi. – Cesare urywa. – Są jednak jeszcze inni.

– Czy to tym zasypałeś swój żal, synu? Myślni o zemście? Pomogło ci to zwalczyć grozę?

Cesare lekko wzrusza ramionami.

– Minęły trzy dni. A ty opłakiwałeś go za nas wszystkich.

– Jednakowoż mam nadzieję, że znalazłeś czas na modlitwę. Żaden człowiek, jakakolwiek władzę miałby w świecie, nie zazna ulgi bez Boga, a kardynał nie może żyć w łonie Świętej Matki Kościoła bez modlitwy. To zgorzenie samo w sobie.

– Jestem, jaki jestem, ojciec – mówi Cesare cicho. – Kościół nie był nigdy moim wyborem.

Papież chrząka, jakby nie chcąc tego słyszeć.

– A więc, kim są ci inni?

– Być może to nie pora...

– Ach, nigdy nie będzie na to pora. Nic, co zrobimy, nie zwróci nam Juana. A ja przyrzekłem Bogu, że moje oczy będą skierowane ku pokucie, nie ku zemście. – Milknie. – Jednakże...

Cesare wyciąga z rękawa arkusz papieru i wkłada go w dłoń ojca.

– Nazwiska, które są tu wypisane, oznaczają motyw, nie winę. Powinieneś to wiedzieć, zanim zaczniesz czytać.

Aleksander spogląda na listę i blednie.

– Nie rozumiem. Co mają znaczyć te imiona u dołu?

– To, że tak odrażający czyn będzie rodzić plotki równie szybko, jak na trupie lęgnie się robactwo. A każdy, kto bywał w pałacu, oglądał na własne oczy to, o czym będzie mowa. Z zazdrością Jofrégo o żonę na czele.

– Jofré? Jofré? Nie uwierzę w to ani przez moment.

– Ani ja, ojciec. Ale wraz z męskością Jofré nabrał charakteru, i kiedy zacznie się mielenie ozorami, powinniśmy być przygotowani.

– A ty? Ty, Cesare. Na liście jest i twoje imię. Na Boga w niebiosach, czemu je tam dodałeś?

– Ponieważ jeśli ja tego nie zrobię, uczynią to inni. Juan i ja wadziliśmy się o wiele rzeczy, ojciec. Sam to widziałeś. Nasz antagonizm był dobrze znany. W swoim czasie zazdrościłem mu miejsca, jakie zajmował w świecie. – Robi pauzę. – I w twoim sercu.

Aleksander siedzi, wpatrując się w niego. Cesare czeka. Jeśli to ryzyko, musiał je podjąć.

– Ale ty jesteś mi niezmiernie drogi. Z pewnością o tym wiesz – oznajmia wreszcie Aleksander.

– Tak, wiem. I dlatego teraz musimy o tym mówić. Nie może być między nami cienia wątpliwości, ojciec. A zatem pytaj mnie. Spytaj mnie teraz, a ja powiem ci prawdę.

– O słodki Jezu. – Aleksander kręci głową, a jego oczy napełniają się łzami. – Dobrze – mówi w końcu. – Czy zabiłeś swojego brata?

– Nie. Nie zabiłem. Przysięgam ci na życie mojej matki. Choć były chwile, gdy byłem bliski takiej chęci.

Słychać ciche pukanie do drzwi.

– Wasza Świątobliwość, już czas. – Głos służącego jest delikatny, niepewny. – Kardynałowie wkrótce zaczną zbierać się na konsystorz. Mogę wejść i pomóc wam się odziać?

– Za chwilę... za chwilę.

Aleksander podnosi się i znów zamyka syna w ciężkim uścisku. Czy to możliwe, że odpowiedź Cesarego zatamowała krwawienie z rany, której sam nie był świadom?

– Pomówię z Jofrém i odeślę go wraz z żoną z Rzymu. Z dala od pokus dworu mogą odnaleźć między sobą silniejszą więź. I napiszę do Lucrezii. Ach, lękam się, że spotyka mnie kara za nadmiar czułości dla moich dzieci.

– Co z rozwodem?

– Z rozwodem? – Wydaje krótkie westchnienie, przez moment opierając się temu wezwaniu do powrotu w krąg rodzinnych interesów. – Porozmawiam jeszcze raz z wicekanclerzem.

– Będziesz musiał najpierw wywabić go z ukrycia. Jest tak pewien, że mamy go za winnego, że wołał zniknąć.

– Tym lepiej. To może sprawić, że będzie wobec nas potulniejszy.

– A Orsini?

– Ha, Orsini! Niech piekło pochłonie ich dusze! – Jego głos łamie się od furii. Potrząsa głową, żeby się opanować. – Jeśli zemścimy się teraz, zacznie się jeszcze większa wojna na ulicach, co będzie tylko wodą na ich młyn.

– Jesteś mądry nawet w żałobie, ojczu. – Cesare, który z niecierpliwością czekał na jakąś oznakę, że ta nowa ojcowska pobożność nie będzie trwała wiecznie, uśmiecha się. – Pojadę do Neapolu i wycisnę z nowego króla wszelkie możliwe ustępstwa jako zadośćuczynienie za... część naszej straty.

– Naszej straty, tak. – Myśl o niej ponownie przenika jego duszę. – A! Obecny książę Gandii jest dwuletnim chłopiętkiem chowającym się za spódnicą swej hiszpańskiej matki. Gdzie jest teraz przyszłość Borgiów?

– Nie turbuj się, ojczu. Przetrywamy. Jeden wróg naraz. Tak jak sam zawsze mówiłeś. – Cesare ujmując jego rękę i całuje pierścień.

– Ach, synu mój – mruczy Aleksander. – Mój kochany synu.

Trudno orzec, do którego z synów się zwraca.



Rozdział 31



Być może byłoby łatwiej, gdyby Cesare zabił swojego brata. Miałby wówczas gotowy jakiś plan działania w obliczu otaczającego ich chaosu. Ponieważ jest inaczej, musi obmyślać go na bieżąco.

Los. Fortuna była dlań zawsze bardziej fascynującym bóstwem niż Bóg. Kiedy jego oddanie jednemu przeważało nad wiernością drugiemu? Gdyby go zapytano, przypuszczalnie nie potrafiłby sobie przypomnieć. Już będąc dzieckiem, modlitwę – z całą biernością tego aktu i pokorą towarzyszącą proszeniu i przyjmowaniu – odczuwał jako coś nie tyle nawet nieprzydatnego, ile nienaturalnego, i z osiągnięciem dorosłości bez skrupułów przestał się nią posługiwać. Podczas gdy inni szukali otuchy i przewodnictwa, odwołując się do siły zewnętrznej, Cesare wszystko, czego potrzebował, odnajdował w sobie, a przejście od myśli do czynu odbywało się tak spontanicznie, że szybko stało się jego naturą: w sporach używał swojej inteligencji, z kobietami – uroku, a na polowaniu czy na arenie – siły fizycznej i zwinności. To, co świat postrzega jako pewność siebie, brawurę, nawet arogancję, dla niego jest po prostu byciem sobą, Cesarem. Bóg nie ma z tym nic wspólnego.

Biorąc pod uwagę kierunki, w których wieją wiatry plotki, nieuchronnie ktoś zada w końcu to samo pytanie, które Cesare postawił przed ojcem. Czy zabił brata, gdyż Juan był mu zawadą? Cesare wie jednak, że to niewłaściwe pytanie. Trafniejsze byłoby: dlaczego nie zrobił nic, by zapobiec jego śmierci?

W ciągu jedenastu miesięcy, które upłynęły od powrotu Jua-na do Rzymu, stawało się coraz bardziej jasne, że młody Borgia niemal niechybnie doprowadzi się do zguby. Jego miłostki, skłonność do przemocy i militarna niekompetencja musiały sprowokować zemstę, a jego próżność i bałwochwalcza miłość Aleksandra czyniły ich obu ślepymi na rosnące niebezpieczeństwo, w którym się znajdował. Cóż bowiem innego mogło sprawić, że Juan z własnej woli stał się posłuszny człowiekowi w masce? Że poszedł za nim w ciemne uliczki Rzymu, z jednym tylko pachołkiem u boku? Tamtej nocy, przy moście, gdzie rozchodziły się drogi biesiadników, Cesare uczynił gest najbliższy chronienia brata, proponując mu eskortę Michelotta. Juan jednak, pragnąc uchodzić za większego junaka niż brat, oczywiście odmówił.

Otrzymał tak wiele i tak wiele roztrwonił! Nic dziwnego, że Los się od niego odwrócił. Kiedy nadeszła wiadomość, że znaleziono jego wierzchowca z przeciętym strzemieniem, Cesare poczuł gniew, nie żal: gniew z powodu tak głupiego, poniżającego końca. Gdy Aleksander leżał, powalony żałobą, zostawiwszy go samego z przeczesywaniem miasta i obmyślaniem taktyki postępowania w tej nowej rzeczywistości, furia jeszcze w nim rosła. Jak jego brat śmiało sprowadzić ojca do tak niegodnego stanu, narazić rodzinę na takie umartwienie?

Wchodząc tego ranka do sypialni papieża, Cesare miał już w głowie coś w rodzaju strategii. Musi jakoś wyciągnąć ojca z ruchomych piasków rozpacz, bo nic nie da się zrobić bez jego energii i zgody. W swoim czasie zbrodnia zostanie pomszczona, lecz priorytetem jest zaradzenie szkodom.

Ze śmiercią Juana umierają dynastyczne i terytorialne aspiracje rodziny dotyczące Hiszpanii. Jeśli mają przetrwać, trzeba znaleźć podobny przyczółek w Italii. Gdyby Cesare miał

za sobą armię, wyprawiliby się na lenna państwa kościelnego. Przypatrywał się dobrze każdemu miastu z osobna i większość z nich gotowa jest do żniwa: rządzone przez drobnych tyranów, nie mają sprzymierzeńców dość silnych, by je obronić. Gdyby Juan był lepszym dowódcą albo ostrożniejszym zalotnikiem... Gdyby... cóż, nie ma sensu teraz gdybać. Muszą działać z tym, co mają. A tym, co mają, jest udział w puli Neapolu, państewka nadszarpniętego inwazją i znów zależnego od papieskiego poparcia wskutek konieczności koronowania nowego króla, Federica. Dzięki małżeństwu Jofrégo już posiadają tam tytuły i ziemie. Im prędyj zostaną przecięte więzy łączące Lucrezię ze Sforzami, tym prędyj ją także będzie można wpleść w dynastyczną sieć. W idealnym świecie Cesare poszedłby jeszcze o krok dalej. Federico ma córkę na wydaniu, Carlottę. Gdyby została jego żoną, Neapol byłby bardziej w zasięgu ręki. Tylko że, oczywiście, kardynałowie nie mogą się żenić.

Jeden wróg naraz. Jeśli zaś chodzi o resztę, Cesare poczeka na Fortunę, która zemściwszy się tak okrutnie, w końcu znów zwróci ku nim uśmiechniętą twarz. A kiedy to uczyni, on będzie gotowy.

Neapol: położony bliżej Rzymu niż wiele dużych miast północnej Italii, lecz bardziej od nich wszystkich cudzoziemski. Wojny najeźdźcze i całe wieki na słońcu i nad morzem obdarzyły jego śniadą ludność jeszcze ciemniejszą skórą, toteż gdy na ulicy pojawia się ktoś z dworu, ze sztucznie wybielonym licem, na tle swoich poddanych wygląda zgoła bezkrwiście. W głąb ładu od lśniącej zatoki miasto jest ciasnym labiryntem rojnych jak mrowiska uliczek i długich ciągów budynków z loggiami i szerokimi gzymsami chroniącymi przed bezlitosnym słońcem. Ich cień jednak nie wystarcza. W lecie wżerający się w miasto upał robi się tak wilgotny, że ma się wrażenie, jakby ciało gotowało się od wewnątrz. W środku tego kotła odbywa się przeciąganie liny między pobożnością a grzechem. Tyleż klasztorów, co burdeli – mówi się o Neapolu. Przewaga jest może po stronie Boga, lecz ze względu na biedę rozprzestrzeniającą się jak jej własny smród z rynsztoków większość przyjezdnych zapamięta raczej nieharmonijną muzykę orgazmu niż melodyjny śpiew mniszek. Nie dziwota, że Francuzi nie mogli się oprzeć.

Przez pierwsze kilka tygodni Cesare gra rolę purpurata. Będąc najmłodszym w historii legatem koronującym króla, w ceremonialnych szatach sam wygląda po królewsku i oprócz swego uroku roztacza aurę solenności, tak że nawet ci, którzy mieliby ochotę z niego drwić, traktują go z powagą. Pomędzy uroczystościami poprzedzającymi i wieńczącymi koronację on i nowy król, Federico, człowiek o mocniejszym kręgosłupie niż jego poprzednik, spędzają długie godziny na naradach, ubolewając nad oplakany stanem Italii i snując plany bliższego związania Neapolu z papieństwem, aby dać odpór apetytom Mediolanu i Wenecji.

Poza salą posiedzeń jego siatka szpiegowska pomaga mu stworzyć sobie obraz kraju – tyleż targanego niepokojami, co przeżartego korupcją; całe jego połacie, pozostające we władzy skłóconych magnackich rodów i nękanie przez bandytów, są tak dzikie, że utrzymanie w nich cywilnego zarządu graniczy z niepodobieństwem. Krótko mówiąc, jest to państwo gotowe do przejęcia, jeśli ktoś potrafi znaleźć drogę do centrum władzy. Pod koniec pierwszego tygodnia Cesare ma już zapewnioną propozycję małżeństwa dla swojej prawie rozwiedzionej siostry i przygotowany grunt pod jeszcze śmielszą sugestią: jeśli pewien kardynał uzyska zwolnienie ze ślubów (przy poparciu papieża nie ma rzeczy niemożliwych), będzie w najwyższym stopniu zainteresowany ręką ślicznej córki samego króla, przebywającej obecnie na dworze francuskim i przygotowywanej do takiej przyszłości, jaką zgotuje jej ojcowska dyplomatyka. Król słucha i nie wyraża sprzeciwu. Niepolitycznie byłoby postąpić inaczej.

Kiedy zabiegi dyplomatyczne dobiegają pomyślnego końca, Cesare zrzuca kardynalskie szaty i pozwala sobie na trochę przyjemności. Jego przyszły szwagier, Alfonso, z natury czarujący, okazuje się nadzwyczaj uczynnym przewodnikiem. Niewieści powab i leniwa, gorąca

atmosfera dokonują reszty. Cesare przemyka między rozrywkami dworu i miasta. Zakochuje się dworną miłością w kokieteryjnej młodej księżniczce, nadskakując jej i obsypując ją podarkami, aż jej dziewictwo ledwo wytrzymuje napięcie, a nużące wyzwania zalotów ożywia zaczyn nieskrywanego pożądaną.

Jedyny trudny moment nadchodzi kilka tygodni przed jego wyjazdem, kiedy budzi się z nieznośnym, przeszywającym bólem w nogach i ramionach, tak że ledwo może oddychać i chodzić, a jego nieskazitelna skóra pokrywa się krostami. Przez chwilę czuje panikę. To nie pora, by ulec zarazie, nawet wywołanej przez rozkosze. Na szczęście ma w swojej świcie hiszpańskiego lekarza. Gaspare Torella jest uczonym medykiem i duchownym. Jest także człowiekiem, który uważa za swój obowiązek zgłębiać tajniki wszystkich nowych chorób, a nie ma obecnie nowszej i bardziej odpornej niż francuska choroba.

– Proszę się nie martwić, Wasza Eminencjo. Mamy sposoby, by temu zaradzić.

Notuje skrzętnie symptomy (wśród których znajduje się teraz niewielkie owrzodzenie na członku najczciodszej kardynała) i zaleca specjalne maści oraz oczywiście kąpiele parowe, by otworzyć pory i dać ujście chorobotwórczym humorom.

Po kilku tygodniach zmiany się goją i powraca urodziwy młody dworzanin, z ledwo widocznymi bliznami na pamiątkę przygody. Dosiadając konia i opuszczając Neapol, Cesare czuje, że Los znów jest po jego stronie. Medyk, jadący za nim, zachowuje swoje myśli dla siebie.

W Rzymie Aleksander pamięta, aby publicznie przyjąć powracającego syna zgodnie z chłodnym protokołem, jak przystało na pobożnego papieża witającego swego legata. Okazuje nawet swój dystans, każąc mu czekać przez godzinę.

Jego bardziej pragmatyczne wcielenie jednak zaaranżowało wpierw prywatne spotkanie poprzedniej nocy – spotkanie, podczas którego owoce synowskiej dyplomacji uznał, jeśli ma być szczerzy, za równie satysfakcjonujące jak modlitwa.



CZEŚĆ VI

Iście papieski rozwód

Poznałem ją cieleśnie nieskończenie wiele razy, lecz papież zabrał ją dla siebie.

Giovanni Sforza, książę Pesaro, jesienią 1497 roku



Rozdział 32



Na ile dobremu chrześcijaninowi przystoi radować się z nagłego uśmiercenia kogoś znieawidzonego – i przyznawać się do tego? Kiedy wiadomość o śmierci Juana dociera do pałacu w Pesaro, Giovanni Sforza nie ma najmniejszego problemu z uzewnętrznianiem radości. Byłby może wolał, żeby to innego szwagra zaszlachtowano i wrzucono do ścieku, ale przez ostatnie miesiące ucierpiał przez ostry język Juana tyle samo, co przez uszczypliwość Cesarego, i nie ulega wątpliwości, że jego zgon podnosi go na duchu.

Niestety, euforia nie trwa długo. W środku nocy budzi go paraliżujący ból brzucha i uświadamia sobie, że nawet w tej chwili muszą trwać dyskusje nad tym, kto może być odpowiedzialny za ów potworny akt – i że jego imię może rychło znaleźć się na ustach wszystkich. Gdy dochodzą go wieści o lamentującym dzień i noc papieżu, wpada w panikę, że ktoś posłyszony wśród jego zawodzeń miano Sforza. Jego kuzyn kardynał, jak się dowiaduje, oddał już klucze do swojego domu, by umożliwić jego przeszukanie, i uciekł w strachu o własne życie.

Chwilami żałuje, że tego nie zrobił, że nie miał odwagi. Co byłoby do tego potrzebne? Ile pieniędzy? Jakie kontakty? Jacy ludzie? Jest mnóstwo sposobów, by pokrajać kogoś na kawałki, samemu nie tykając noża. Trzeba jednak być pewnym lojalności swoich zleceniobiorców: muszą bać się tego, kto ich zatrudnia, bardziej niż rodziny ofiary. On zaś nigdy nie cieszył się taką pozycją.

Wieści o załamaniu papieża i jego publicznej pokucie są tak niezwykle, że Giovanni niemal zazdrości teściowi zdolności odczuwania. Spędza nad listem kondolencyjnym tyle czasu, że kiedy wreszcie go wysyła, wie już, jak wiele innych zostało doręczonych. Papieski chór wkrótce odśpiewa subtelny motet na śmierć Absaloma, syna Dawidowego, autorstwa osobistego kompozytora Jego Świątobliwości i nawet najzagorzalsi przeciwnicy papieża poczuć impuls, by próbować go pocieszyć. Szalony mnich z Florencji, Savonarola, który spędza życie, miotając gromy na Watykan, śle papieżowi górnolotne kazanie o miłości i nieskończonej litości Boga, z Francji zaś pełen uczucia list, nad którym Aleksander od nowa zalewa się łzami, przysyła nie kto inny jak zaprzysięgły wróg kardynał della Rovere. Można wręcz uwierzyć, że ich polityczne pojednanie nie jest ostatecznie takie niemożliwe.

Po publicznym uwolnieniu Sforzów od winy i przyjęciu ich z powrotem do watykańskiej owczarni z Rzymu w tumanach letniego pyłu rozchodzą się wokół nazwiska dalszych podejrzanych. W Wenecji na całym Rialto słychać: Orsini, podczas gdy we Florencji szepcze się nawet konkretne imiona: Paolo, siostrzeniec otrutego Virginia. Lub jego szwagier, wojowniczy Bartolomeo. Wszyscy jednak zgadzają się, że ktokolwiek odpowiada za zbrodnię, Borgiowie będą musieli przełknąć swój ból i uzbroić się w cierpliwość. Zuchwałość, z jaką dokonano morderstwa, sugeruje tyleż karę, co i groźbę, i są tacy, którzy się zastanawiają, czy rodzina przetrwa ten cios. Nawet papież zdaje się to rozumieć: z końcem lipca oficjalnie odwołuje dochodzenie i stwierdza, że zostawia rzecz w rękach Boga.

Plotka daje Giovaniemu nadzieję, że może jego los również się odmieni i że w tej atmosferze nowo odnalezionej świętości jego małżeństwo otrzyma drugą szansę. Chwilami nie jest pewien, co byłoby gorsze: pozostać związanym na zawsze z tym występny, agresywnym

rodem czy zostać haniebnie odtrąconym. Dopóki jednak Aleksander jest papieżem, sytuacja jest jasna: jako władcy miasta, które należy także do państwa kościelnego, lepiej mu zostać w rodzinie, niż znaleźć się poza nią. Dla dobra sprawy nawet się modli: za duszę Juana (to raczej bezpieczne – trzeba by znacznie więcej niż jego modlitwy, aby go ocalić od ognia piekielnego) i za swoją własną przyszłość.

Niebawem otrzymuje odpowiedź na swój dylemat. Nawet jeśli wicekanclerz Ascanio Sforza został przyjęty z otwartymi ramionami i zaszczycony prywatną naradą z papieżem i kardynałem Walencji, ciepłe powitanie należy już do przeszłości, a panuje chłodna rzeczywistość. Małżeństwo należy uznać za niebyłe i papież chce wreszcie zakończyć sprawę. Im dłużej to potrwa, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że Giovanni zatrzyma posag.

Wszystko to zostaje mu ciśnięte prosto w twarz – albo raczej znacznie niżej. List Ascania, parafrazujący oświadczenie Lucrezii o nieskonsumowaniu związku, wyraziście ukazuje czekającą go głębię poniżenia.

Giovanni odczytuje kilka pierwszych wierszy i wybucha furią i oburzeniem. Jak mogli zrobić coś takiego? Oni, którzy już chwieją się skutkiem swojej nieprawości. Co za nikczemność, co za czelność! Jak śmieli? Miota się po pałacu, słudzy biegają za nim, w obawie, że po miesiącach mrukliwego przygnębienia popadł w obłąd. Wchodząc tam, gdzie były niegdyś pokoje Lucrezii, przewraca krzesła i tłucze wazy, i zdiera z łoża kapy, tak że łatwiej mu przywołać przed oczy jej obraz, jak z podciągniętą na uda skromną koszulą rozkłada nogi, by wpuścić go do swego wnętrza. Nie skonsumował małżeństwa? On, który miał ją w łożu co najmniej tuzin razy podczas samych tylko pierwszych tygodni w Pesaro? On, który spłodził dziecko z pierwszą żoną? Za kogo oni go biorą? Za idiotę, tchórza, mężczyznę bez ikry? Cóż, w takim razie źle wybrali. Jest kuzynem księcia Mediolanu. Nie da im tego, czego chcą. Bez jego zgody, jakkolwiek mogą wymusić unieważnienie, oświadczenie Lucrezii pozostanie w oczach ludzi tym, czym jest – dyplomatycznym kłamstwem – i uczyni ją wybrakowanym towarem, gdy przyjdzie do powtórnego zamążpójścia. Giovanni może nie mieć tego, czego trzeba, by podrzynać swoim wrogom gardła, ale potrafi stawić czoła tej podstępnej, niemoralnej rodzinie parweniuszy i intrygantów.

Między nim a kardynałem Ascaniem trwa nadzwyczaj ożywiona korespondencja, lecz każda odpowiedź na jego list jest bardziej zniechęcająca od poprzedniej. W końcu Giovanni pakuje sakwy i wyrusza *incognito* do Mediolanu. Jeśli jego kuzyn kardynał wskutek swoich powiązań z papieżem przejawia zbytnią kompromisowość, książe Ludovico na pewno będzie miał odwagę go wesprzeć. Dojeżdżając do zamku Sforzów, delektuje się poczuciem przygody, jakie daje fortel z przebraniem, a znalazłszy się bezpiecznie we wnętrzu wielkiego, nowoczesnego ufortyfikowanego pałacu, stwierdza, że nie sposób nie czuć się tam dzielniejszym.

Ludovico Sforza wszakże, mimo swojej waleczności, ma własne problemy. Rozpętawszy demony poprzez wpuszczenie do Italii obcej armii, samowładny książe Mediolanu musi się mierzyć z konsekwencjami. Francuzi, swego czasu tak palący się do przyjaźni, zasmakowali w łatwych zdobyczach i szukają teraz pretekstu do sięgnięcia po sam Mediolan. Ludovico musi zyskać włoskich sprzymierzeńców równie prędko, jak przysporzył sobie wrogów. Na liście jego celów zaś wysoką pozycję zajmuje zadowolenie papieża.

Pierwsze, co robi, to każe młodemu kuzynowi zdjąć śmieszne przebranie, włożyć książęce szaty i wrócić do zamku głównym wejściem w charakterze oficjalnego gościa. Gdy wkoło roi się od szpiegów, Ludovico nie zamierza dać się przyłapać na jakichś konszachtach za plecami papieża. Powitawszy formalnie księcia Pesaro, wydaje na jego cześć mały bankiet, następnie lokuje go w paradnej sypialni i zanim pozwoli gościowi udać się na spoczynek, sadza go przed sobą i wyklada mu fakty.

– Rozwiążą to małżeństwo tak czy siak, godziwymi lub niegodziwymi środkami. Im dłużej będziesz lawirował, tym trudniejsze będzie twoje ostateczne położenie.

– Ale to nie w porządku – jęczy Giovanni.

– Owszem – potwierdza z zadumą książę, przypominając sobie, jak często słyszał tę frazę z ust bratanka, tego, którego książęcą władzę uzurpował sobie przez jakiś czas, dopóki nie zadał mu czegoś paskudnego w wieczornym napitku. Ależ potrafią skamleć ci młodzi słabeusze!

– Co możemy zrobić? – Giovanni wzdycha, wyglądając przez okno na dziedziniec, na którym w delikatnym świetle letniego zmierzchu pyszni się gigantyczny gliniany koń, tak doskonale wymodelowany, tak ludzaco podobny do żywego rumaka, z prawą przednią nogą wzniesioną śmiało w powietrze, że zda się, iż w każdej chwili może puścić się kłusem. Ukończona figura będzie niewątpliwie cudem świata. – Wielki koń nie został jeszcze, jak widzę, odlany?

– Ach, ten da Vinci ma zbyt wiele pomysłów naraz. Jego umysł pracuje szybciej niż ręce. – Książę zamaszystym gestem wskazuje feerię kolorów na wpół ukończonego fresku pokrywającego ściany dookoła. – Gdybym czekał na jego pędzel z każdą komnatą, większość pałacu zdobiłby nadal goły tynk. Twój dziadek Francesco pewnie przewraca się w grobie, widząc, ile czasu trwa wzniesienie mu pomnika. A teraz będzie musiał poczekać jeszcze dłużej. Jeśli Francuzi wrócą, będziemy potrzebować brązu do odlania armat, nie konia.

– Trudne nastały nam czasy.

– Ha! A bywają inne?

– A jednak uważam, że mężczyzna powinien bronić tego, w co wierzy. I zamierzam to czynić. Atak na moją męskość to skandal i zniewaga.

Ludovico, który ze swoją mroczną aparycją i wojowniczą postawą nie miał nigdy żadnych problemów z potencją, ani publicznie, ani prywatnie, nie może powstrzymać rozbawienia.

– Powiadasz więc, że to nieprawda, iż małżeństwo nie zostało skonsumowane?

– Co? Nie! Oczywiście, że nieprawda. Bóg mi świadkiem! Poznałem cielesnie moją żonę nieskończenie wiele razy.

– Nieskończenie, hę? Szczęściarz z ciebie. Szkoda w takim razie, że ona tak ochoczo przysięga, że było odwrotnie.

– Jeśli podpisała oświadczenie z własnej woli, to znaczy, że jest kłamliwą wywłoką.

– Niewykluczone. Okoliczności jednak im sprzyjają. Trzy lata małżeństwa i żadnego dowodu na potwierdzenie twojej wersji.

– Dowodem jest to, że moja pierwsza żona zmarła przy porodzie.

– Powinieneś zatem wiedzieć, że według pogłosek ktoś inny przyłożył rękę do tego dzieła.

– Co? Kto? Kto rozpuszcza takie plugawe plotki?

– Nie mam pojęcia.

– To oni! To ta rodzina. Nic się nie ostanie przed ich zgnilizną. Powinieneś zobaczyć, jak się zachowują, wszyscy. Całują się i obłapiają. To obraza przyzwoitości Bożej. Jedno nie może utrzymać rąk z dala od drugiego. Mówię ci: papież chce jej z powrotem tylko po to, by mieć ją znów dla siebie.

– Znów dla siebie? A niech mnie. Masz powód do gniewu, ale musisz uważać na to, co mówisz publicznie, Giovanni. Albo szybko sprawić sobie straż przyboczną.

– Nie będę... Nie dam się stłamsić – jąka się. – Mam już czterech pachołków. Jak sądzisz, to wystarczy? – Potrząsa głową. To prawdziwe wyzwanie być jednocześnie wystraszonym i odważnym. – Tak czy inaczej, to, co mówię tutaj, nie jest publiczne – oświadcza, zastanawiając

się, ilu osobom powiedział już to samo.

– Nie. Ale wszyscy wiemy, jak rozchodzą się wieści. Księżę Gandii może być trupem, ale prawdziwa żmija w gnieździe Borgiów żyje i ma się dobrze. – Ludovico śmieje się krótko i bez wesołości, po czym napełnia ich kielichy. – Odpuść, kuzynie. Wszyscy wiedzą, że to polityka, a nie twój kutas stanowi tutaj problem.

– Nie rozumiem. – Patrzcie tylko na niego, myśli Giovanni. Jaka postura, jaki hart. Żadnych oznak zaparcia ani skrętu kiszek. Zamiast tego, mimo wszystkich piętrzących się wokół zagrożeń, jeszcze bardziej promieniuje męskością. – Przyszedłem do ciebie po pomoc, bo szkaluje się moje, a także i twoje nazwisko.

– Dobrze. Mam zatem propozycję, choć może być ci nie w smak.

– Mów.

– Ascanio poprosi, aby Lucrezia opuściła klasztor i została przewieziona pod jego opieką do jego posiadłości w Nepi, gdzie do niej dołączysz. Tam, w obecności obserwatorów z obydwu stron, będziesz mógł dowieść, że ich twierdzenia na temat twoich sił męskich są niesłuszne.

Giovanni gapi się na niego z niedowierzaniem. Skłonność Ludovica do czarnego humoru nie jest cechą rodzinną.

– Ależ... Ależ to niedorzeczne! Tak czy inaczej, oni na to nie pozwolą.

– W takim układzie przeprowadzimy to bez ich udziału. Mogę urządzić coś tutaj. Kilka kobiet lekkich obyczajów... Możemy zaprosić kardynała legata, kuzyna papieża, niech zawyrokuje...

– Próbujesz mnie upokorzyć?

– Nie muszę, Giovanni, ty sam się upokarzasz. Świat jest pełen większych problemów niż twoja męskość. Przestań postępować jak głupiec i pogódź się z nieuniknionym.

– Nie jestem głupcem.

– Niestety, tym właśnie jesteś, kuzynie. Zawsze byłeś i zawsze będziesz. Kłopot w tym, że stałeś się głupcem niebezpiecznym. Pozwól więc, że powiem wprost. Masz wybór. Możesz stracić żonę i trochę honoru, ale zachować swoje państewko i posag. Możesz też ocalić honor, ale stracić wszystko inne. Bądź pewien, że kiedy papież ruszy, by cię zmiażdżyć, a niechybnie to uczyni, ja nie kiwnę palcem, żeby ci pomóc. A teraz czy mogę służyć ci czymś jeszcze, zanim udasz się na spoczynek?



Rozdział 33



W Rzymie Aleksander modli się co dzień za duszę syna i stara się jak potrafi wytrwać w pokorze wobec Boga, gdy przyjemności polityki sączą mu w uszy pokusę niczym wąż w ogrodzie Edenu. Tymczasem w prawdziwym ogrodzie San Sisto odbywa się podobna próba. Lato przechodzi powoli w złotą jesień. Słońce wycalaowało owoce klasztornych drzewek; figi, fioletowym rumieńcem oznajmiające dojrzałość, są tak dorodne i piękne, że niemal nie sposób oprzeć się zaproszeniu, by zerwać którąś i zatopić zęby w jej słodyczy.

To były bardzo subtelne zaloty. Początkowo siadywali, by wymienić listy, na tej samej kamiennej ławce w cieniu winorośli, kiedy dzień miał się ku końcowi, w orzeźwiających powiewach marszczących wodę w sadzawce i chłodzących skórę, nawet jeśli nie serca. Czasem zamarudzili trochę w nikłym świetle, gawędząc o tym i owym, w poczuciu bezpieczeństwa płynącym z przekonania, że nikt nie patrzy. Jeśli zdarzyło się coś więcej – muśnięcie dłoni, może ust – to tak prędko i bez tchu, że jakby nie zdarzyło się wcale. Nawet w świecie rycerzy i księżniczek istnieją konsekwencje, a oni wiedzą, że to nieśmiałe, ukradkowe uczucie, które się między nimi pojawiło, jest zakazane i niebezpieczne. Co oznacza, że odgłos wspólnego śmiechu czy ślad pocałunku niesie taką samą ekscytację jak znacznie poważniejszy grzech.

W połowie lipca ofensywa letniego upału zagnała ich do środka, w miłosierny chłód grubych murów. Samo w sobie nie było to niczym niewłaściwym. Jako szlachetnie urodzona wizytantka Lucrezia ma do dyspozycji własnej i swojej służącej niewielki apartament, a do zadań ksieni nie należy zapewnianie dodatkowych przyzwoitek. Niemniej jednak atmosfera w klasztorze ulega zmianie. Równowaga między rozmawianiem z Bogiem a nasłuchiwaniami świeckich plotek jest delikatna i fakt posiadania w swoim gronie młodej, światowej córki papieża liżącej małżeńskie rany i jednocześnie bawiącej się w dworne amory z urodzonym młodym posłańcem sprawił mniej leciwe mniszki w niemal frywolne nastroje. W odpowiedzi wzrok ksieni stał się jeszcze bardziej sokoli. Dlatego zastawszy w kaplicy modlącą się Pantisileę akurat w godzinie, gdy jej pani przyjmuje gościa, ksieni uznaje, że -najrozważniej z jej strony będzie również złożyć jej wizytę.

Gdyby przysłała odrobinę wcześniej, trafiłaby może na bardziej obciążające dowody. Tego dnia doszło do gorętszych pocałunków, a sznurowanie u góry sukni uległo rozluźnieniu, ukazując kremową skórę wzniesionych półkul. Jedno oczekiwało, że drugie zaraz się wycofa, lecz jakoś się to nie stało. Dopiero gdy ich ręce zaczęły wędrować, kierowane własną wolą, a suknia Lucrezii podjechała do góry przy akompaniamencie jej cichych pojękiwań, do Pedra dotarł ogrom ich wykroczenia i jak przystało na prawdziwego rycerza, którym stara się być, odstąpił od damy. Dopiero co.

W chwili, gdy ksieni puka i decyduje się wejść, nie czekając na odpowiedź, siedzą obok siebie z książką w dłoniach, próbując bez powodzenia uspokoić wyrwywające się z piersi serca. Nie wygląda to w żaden sposób nagannie: ot, młody mężczyzna i młoda kobieta skupieni nad lekturą. Tyle że ujrawszy mniszkę, mężczyzna podrywa się, zrzucając książkę na podłogę, i oboje raptownie schylają się, by ją podnieść, cali rozdygotani i spłoszeni. Trudno o niewinność z bardziej nieczystym sumieniem.

– Matko ksieni, przestraszyliście nas.
– Widzę właśnie. Szukałam twojej służącej – odpowiada ksieni spokojnie. Zawsze wierzyła, że Bóg daruje małe kłamstwo, jeśli służy ono zbawieniu duszy.
– O, myślę, że jest w kaplicy. Pedro... *señor* Calderón przywiózł mi list od ojca. Wygląda na to, że sprawy w Rzymie mają się ku lepszemu. Jestem taka rada.
– Jego Świątobliwość przysłał ci także książkę?
– Och, och, nie, przywiozłam ją ze sobą. Rozmawialiśmy o dawnych dziejach, a jest w niej historia, która wydawała się w sam raz do przywołania.
– Tak. Przypominam sobie, że jako wychowanka żywiłaś upodobanie do opowieści rycerskich.

Teraz oboje się płonią. Ksieni przenosi wzrok z Lucrezii na młodzieńca. Spojrzenie, którym go obrzuca, mogłoby zmrozić owoc na winnej latorośli. Nowicjuszki znają dobrze ten rodzaj reprimendy i działa on wyśmienicie także w jego przypadku.

– Moja pani, księżno. Matko ksieni. Pozwólcie, że się oddalę. List dotrze do rąk waszego ojca w ciągu godziny, możecie na to liczyć.

Rzeczony list jest już dawno w jego mieszkaniu, toteż nie ma pretekstu, by dłużej zwlekać.

– Dziękuję wam, *señor* Calderón – mówi lekko Lucrezia. – Niech Bóg czuwa nad wami w drodze.

– Matko ksieni. – Młodzieniec kłania się nisko.

Ksieni ledwo schyla głowę. Pedro wychodzi najspieszniej jak się da.

Ksieni czeka, aż zamkną się za nim drzwi.

– Droga księżno...

– *Señor* Calderón, jak wiecie, jest najbardziej zaufanym posłańcem mojej rodziny – przerywa wesoło Lucrezia. – Znaliśmy się już jakiś czas, zanim tu przyjechałam. To szlachetny, honorowy młody człowiek, który żyje swoją służbą.

– Tak, widać to doskonale.

Jak przystało na niewiastę mającą w pieczy tak wiele młodych dusz, ksieni celuje w ocenianiu charakterów. Ma też wyborną pamięć we wszystkim, co się tyczy wychowanek, które przeszły przez jej ręce, zwłaszcza tych szlachetnie urodzonych. Lucrezia już w wieku dwunastu lat przejawiała zaraźliwy apetyt na życie, połączony ze szczerym pragnieniem zadowalania tyleż Boga, co swojej rodziny. Nigdy jednak nie była dobra w wygłaszaniu kłamstw.

– Razem z listami przynosi mi też kąski różnych innych nowin. Co może być dla mnie ważne, kiedy wrócę. I sprawia mi to przyjemność. Cóż, tyle jest cierpienia i za tyloma rzeczami tęsknię... Choć oczywiście jestem tutaj całkiem kontenta...

To na swój sposób krzepiące przekonać się, że wychowanka nadal bardziej dysponowana jest do mówienia prawdy.

– Droga księżno – zaczyna ksieni jeszcze raz, bardziej stanowczo. – To zaszczyt gościć cię ponownie w naszych skromnych progach. Zostałaś nam powierzona przez ni mniej, ni więcej, tylko samego Ojca Świętego i naszym obowiązkiem oraz naszą radością jest strzec cię i chronić zarówno twoje ciało, jak i duszę.

Przerywa, pozwalając, by słowa wybrzmiały. Musi być teraz ostrożna. Ta młoda kobieta jest kimś bardzo wpływowym, nawet jeśli nie z własnego wyboru, i byłoby katastrofą, gdyby podczas jej pobytu pod klasztorną opieką rozpętał się jakiś skandal. Jednocześnie nie wolno jej obrazić.

– Wiemy, że przeżywasz trudny czas. Modlimy się co dzień, by Bóg znalazł sposób, aby uwolnić cię od tego niefortunnego małżeństwa i wykazać twoją czystość przed oczyma całego świata. W świetle tego uważam za godne polecenia, by *señor* Calderón mniej czasu poświęcał na

nowiny, poprzestając na prostym zadaniu doręczania i odbierania listów.

– Myślę... myślę, że to, jak długo tu przebywa i o czym mówimy, nie jest waszą sprawą, matko ksieni – odpowiada porywczo Lucrezia.

– Z całym szacunkiem, uważam, że jest.

– My tylko rozmawiamy!

Ksieni patrzy na jej zarumienioną ładną twarzyczkę. Kiedyś, całe życie temu, ona też była zakochana i trzask zamykających się za nią drzwi konwentu był bolesnym dźwiękiem. Teraz jednak nie zamieniłaby się z Lucrezią miejscami.

– Nie zawsze chodzi o to, co się robi, moja droga. Czasem ważniejsze jest to, co się czuje. Lucrezia wpatruje się w nią.

– Ja... modłę się żarliwie każdego wieczoru.

– Wiem. Zawsze pilno ci było do obcowania z Bogiem, Lu-crezio. Dobrze to pamiętam.

A On zawsze czeka, by ci pomóc. Każę komuś znaleźć twoją służącą i przysłać ją do ciebie. Ufam, że jej modły zostały wysłuchane.

– Matko ksieni?

– Tak, moje dziecko?

– Nie... nie powiecie o tym nikomu. – Trudno wyczuć, czy to rozkaz, czy prośba. – To znaczy mojej rodzinie.

Nie, doprawdy nie zamieniłaby się z nią miejscami. Jakież to ciężar być tak miotaną przez władzę i fortunę.

– Rozmawiam tylko z Bogiem – mówi. Czuje przy tym jednak lekki niepokój, jak gdyby nawet treści modlitwy znajdowały czasem drogę w szeroki świat.



Rozdział 34



Kiedy Cesare uświadomił sobie, co się dzieje? Na pewno nie od razu. Przez jakiś czas on, który kocha swoją siostrę bardziej niż jakąkolwiek inną kobietę, jest głęboko pogrążony w sprawach będących domeną mężczyzn. Od powrotu z Neapolu wypełnia go dzika energia. Jego skóra znów jest gładka, a w kościelnych szatach porusza się bardziej jak łowca niż jak kardynał, z ciężkim ogonem materiału ciągnącym się z tyłu, jakby próbował za nim nadążyć. Jeśli chodzi o Lucrezję – cóż, jest bezpieczna, korespondencja między Watykanem a San Sisto – regularna, a on w chwili doręczania i odbierania listów często zajęty na naradzie lub gdzie indziej. Dopóki to, co zostało między nimi powiedziane, nie trafia na ulice, nie ma powodu, by powątpiewać w lojalność sługi.

Inni znacznie mniej pilnują języków. Formalna kapitulacja Giovanniego Sforzy dokonuje się w listopadzie, kiedy chmara medyków i teologów spada na pałac książęcy w Pesaro, by stać się świadkami, jak nieszczęsny książę publicznie zrzeka się własnej potencji. Prywatnie jednak ani na chwilę nie przestaje biadolić o potwornej niesprawiedliwości wszystkiego, co go spotkało, tak że bodaj pół Italii słyszało już, że Lucrezia jest raczej dziwką niżli dziewicą, a najbardziej kocha ją jej ojciec. Papież, który odzyskał większość swojej jowialności, śmiechem rozprasza ujmę. Wygrali, a tym, którzy nie umieją przegrywać, zostaje tylko plugawy język. Cesare reaguje posępniej. Nikt nie będzie znieważać jego siostry. Co więcej, w ciągu kilku tygodni Lucrezia będzie musiała stanąć przed sądem kościelnym i ogłosić światu swoje dziewictwo. Sprośności Sforzy nie powinny przeniknąć przez mury klasztoru. Cesare każe przywołać Calderóna.

– Nie wykrzeszesz z niego za wiele przytomności – odzywa się od niechcienia Michelotto.

– Co masz na myśli?

– Najwyraźniej jest chory jak pies z miłości do jakiejś dziewczki. Nawet pisze wiersze.

– Kto to taki?

– Nie mam pojęcia. Chłopcy nie potrafią nic z niego wyciągnąć. Ale kimkolwiek jest ta panna, najwidoczniej go nie chce, bo inaczej nie rzygałby poezją. Hej, może to mniszka!

W końcu słyszy się niejedno o klasztorach...

– Dlaczego mi nie powiedziano?

– A o czym tu mówić? – Michelotto wzrusza ramionami. – Nadal jeździ szybciej niż ktokolwiek inny. I trzyma gębę na kłódkę. Czego więcej chcesz od smarkatego gońca?

Ile czasu minęło, odkąd Cesare ostatni raz zamienił z nim słowo? Wraca pamięcią do tej rozmowy, lecz przypomina sobie jedynie zwyczajową mieszaninę baczości i oddania. Tym razem będzie uważniejszy.

– Powiedz no mi, Pedro Calderónie, jak znajdujesz San -Sisto?

– Konwent? To... spokojne miejsce.

– Kiedy tam jesteś, kto prowadzi cię do księżnej?

– E... Jest tam siostra furtianka.

– Z dyspensą, by móc cię przywitać.

– O tak. Choć nie przesadza z tym witaniem.

Cesare śmieje się. Pedro również szczerzy zęby. Męska rozmowa. Czuje, że zaczyna się

pocić, jakby jego ciało wykryło w nim lęk, którego umysł jeszcze nie zidentyfikował.

– A ksieni? Prawdziwa lwica, co?

– W rzeczy samej.

– To dobrze. Potrzebujemy teraz bezpiecznego miejsca dla naszej drogiej siostry.

– O, nie ma bezpieczniejszego, najczcigodniejszy panie kardynale.

– A sama księżna, twoim zdaniem, ma się dobrze?

– Tak... tak sądzę, owszem.

– Otrząsnęła się już z żalu po śmierci naszego brata.

– Myślę, że... znalazła pewną pociechę. To dama o wielkim sercu i pięknej duszy.

Urywa, lecz Cesare zdążył zobaczyć światło w jego oczach. Poezja, hę?

– Miałem nadzieję, że zaufa ci jako naszemu pośrednikowi. W listach wyraża się o tobie z wielkim uznaniem.

– Naprawdę? – Od czasu interwencji ksieni jego wizyty musiały stać się krótsze i ostrożniejsze, lecz w żaden sposób nie przygasiło to jego tęsknoty. Jeśli już, to raczej wzmogło jego zachwyty tym, co nieosiągalne.

– Zastanawiałem się, czy może otworzyła przed tobą serce.

– Nie, nie, mój panie. – Pedro czuje teraz, że został poderwany z gruntu i zwisa nadziany na haczyk. Przez chwilę szok jest silniejszy od bólu. – Jestem tylko posłańcem.

– A jednak chciałbym wierzyć, że jako mój posłaniec zdołałeś dać jej niejakie pokrzepienie.

– Sta... starałem się, jak mogłem. Służba mojemu panu to cel mojego życia.

– I mojej pani?

– Mojej pani... To znaczy księżnej? Tak, oczywiście – mamrocze, z każdą odpowiedzią głębiej nabijając się na haczyk.

Drzwi uchylają się cicho i wsuwa się przez nie Michelotto, z szybkim ukłonem i ręką uniesioną w swobodnym geście pozdrowienia, jakby zawsze był tu oczekiwany. Pedro odkłania się i spogląda prosto w jego szeroki uśmiech. Widok jest upiorny.

– Cóż, muszę podziękować ci za twoje oddanie w ciągu ostatnich miesięcy. I powiedzieć, że mam dobre wieści. Nie będziemy już potrzebować twoich usług. Księżna zostaje wezwana do złożenia świadectwa przed sądem kościelnym i wkrótce opuści klasztor, by się przygotować.

– Och, a więc unieważnienie zostanie przeprowadzone! – Przez moment Pedro nie potrafi zapanować nad podnieceniem i słycać je w jego głosie.

– Tak.

– Księżna będzie... będzie ogromnie szczęśliwa, gdy to usłyszy.

Pedro przerywa. Pauza przeradza się w milczenie. Nie jest jasne, kto czeka na kogo. Cesare się uśmiecha. Haczyk sprawia taki ból, że Pedrowi wydaje się, że poczuje ulgę, jeśli wykona jakiś ruch. Dopóki go nie robi.

– Byłbym... To znaczy, poczytywałbym sobie za przywilej, jeśli wolno by mi było zawieźć jej tę ostatnią nowinę. Wiem, że będzie nią uradowana.

– Owszem. Nie jest to wszakże konieczne. W liście znajdzie tylko informację, kiedy zostanie odebrana z klasztoru. Nie ma zatem potrzeby, by na niego odpowiadała. Michelotto może go zawieźć i zostawić furtiance. Prawdopodobnie znajdą otuchę w swoich obliczach.

Obaj wybuchają gromkim śmiechem.

Pedro Calderón składa pożegnalny ukłon. Kiedy jest już u drzwi, Cesare woła za nim:

– Jak długo dla mnie pracujesz, Calderón?

– Pięć lat i trzy miesiące, najczcigodniejszy panie kardynale.

– I przez ten czas zawsze wiernie mi służyłeś.

- Całym życiem.
- Musimy tedy pomyśleć o jakiejś nagrodzie.

Po jego wyjściu Cesare siedzi z jedną ręką na stole, nerwowo bębniąc palcami o blat.

- Muszę wiedzieć, co działo się w konwencie – mówi -wreszcie.

- W konwencie? Jak chcesz się tego dowiedzieć?

– Są sposoby. Cele są wypchane szlacheckimi córkami i przypuszczam, że w godzinie odwiedzin wszystkie skrzeczą jak sroki.

- Czemu nie spytać ksieni?

– Ponieważ, mój drogi Michelotto, jeśli zna się na swoim fachu, jest szczerą wobec Boga i dwulicowa wobec wszystkich innych.

Michelotto patrzy na niego z uwagą.

- Nie sądzisz chyba...

- Nic jeszcze nie sądzę. Ale to się zmieni.

Zbliża się Boże Narodzenie, kiedy Lucrezia staje przed dostojnikami sądu kościelnego. Tydzień wcześniej przyjechała z San Sisto i zakwaterowana w Watykanie spędzała czas, ucząc się na pamięć wyważonej mowy, którą będzie musiała wygłosić, i zastanawiając się, jaki przydziewek najlepiej wydobydzie jej czystość. Wszelkie rozterki, jakich doznawała na myśl o dopuszczeniu się kłamstwa przed trybunałem Bożym, zagłusza teraz strach, że nie zrobi tego wystarczająco dobrze. Aleksander, dokonując ostatniej oceny gotowości córki, obejmuje ją i roni łzę.

– Ach, twój widok ukoiłby najbardziej zboliałe oczy! Jak święta dziewica idąca na męki, by stanąć przed Panem.

Wraz z niedawnym tknięciem pobożności Aleksander zagustował w pewnej kwiecistości wysłowienia. Idea jednak przemawia do Lucrezii, przypominając jej o fantazjach, którym folgowała jako dziewczynka, tak że do sali wkracza z wysoko podniesioną głową.

Jej młodość (nie obchodziła jeszcze osiemnastych urodzin), naturalny wdzięk i bezbłędna łacina wywierają urok na ławie starzejących się duchownych w zdobnych złotym haftem szatach. To, co mogło być przykrym obowiązkiem, dla wielu staje się przyjemnością; niektórzy dają się ponieść oburzeniu, że młoda kobieta tak świeża na ciele i na duchu stała się celem tak potwornych oszczerstw, a jednocześnie są tym zaintrygowani. Po przesłuchaniu przychodzi kolej na badanie: w niewielkiej komnacie dwie speszone położne unoszą jej spódnice i sondują delikatnie okolice jej intymnych zakamarków, nie zapuszczając się jednak za próg.

Kiedy wraca do sędziów, nie trzeba długo czekać na werdykt: Lucrezia zostaje uznana za *virgo intacta*, a jej małżeństwo z Giovannim Sforzą – za nieważne.

Wieczorem jedzą kolację w Sali Świętych w prywatnych apartamentach papieża – ona, Cesare i Aleksander. Kiedy się tam zjawia, stół jest zastawiony, a komnata oświetlona przez roztańczone płomyki świec, dodatkowo iluminujące jasno wymalowane lunety sklepienia. Każdego świętego przedstawiono w innym krajobrazie, a wszystkie kipią życiem i kolorami. Nigdy jeszcze udręki męczenników nie wyglądały tak witalnie, tak współcześnie. Aleksander jest nadal na obradach i Lucrezię wita Cesare, wciąż w pełnym stroju kardynalskim z posiedzenia sądu. Cesare, z którym nie widziała się twarzą w twarz od siedmiu miesięcy. I którego, oczywiście, nie potrafi nie kochać znów z całego serca.

– Ach, miła siostró, cóż za przedstawienie. Sędziowie porównują cię do Cyclerona, przy czym porównanie wypada na jego niekorzyść. Życie klasztorne wyraźnie ci służy.

– Myślę, że to rozwód mi służy – odpowiada wesoło, ciągle przepełniona euforią. – Nie mogę uwierzyć, że to już koniec, Cesare. A ty? Pomyśleć tylko, że od naszego ostatniego spotkania zdążyłeś koronować króla!

Cesare wzrusza ramionami.

- Nie była to szczególnie imponująca głowa.
 - W przeciwieństwie do twojej, chciałeś powiedzieć. – Lucrezia wyciąga rękę, by dotknąć bliźni na jego policzku. – Co to? Chyba się nie biłeś?
 - Nic takiego. Ślad po gorączce, którą złapałem w Neapolu.
 - O... Jak tam było?
 - Gorąco – śmieje się Cesare. – A w konwencie?
 - Cicho.
 - A posłaniec, którego dla ciebie wybraliśmy? Sumiennie wypełniał swoje zadanie?
 - O tak. Spisywał się znakomicie – odpowiada lekko. – Jak to było z ojcem? Opowiedz mi, proszę. To musiało być straszne. Spędziłam wiele godzin, modląc się za Juana.
 - Jeśli tylko nie czułaś się w jakikolwiek sposób -opuszczona...
 - Jakże?
 - W klasztorze. Nie chciałem, byś czuła się niekochana.
- Nikt inny by tego nie zauważył. Ale też nikt inny nie zna jej brata tak jak ona.
- Niekochana? – powtarza ze szczerym uśmiechem. W lunecie nad nimi stoi święta Barbara o słodkiej twarzyczce, z rozwianymi złotymi włosami, cudownie uwolniona z więzienia dzięki łasce Bożej. Jeśli tylko ma się czyste serce... – Przeciwnie – uśmiecha się znowu. – Dbano o mnie niepomierne. Ksieni to mądra kobieta, a San Sisto, jak pamiętasz, było niegdyś moją szkołą.

Oczywiście, że zastanawiała ją i martwiła niewytłumaczona niczym nieobecność Pedra. Równocześnie nadeszła jednak wiadomość o przesłuchaniu przed sądem i nie było czasu, by się nad tym głowić. Tyle się wydarzyło, odkąd brat i siostra widzieli się ostatni raz. W listach nie wracali do tamtego spotkania w jej komnacie, toteż teraz jest prawie tak, jakby nigdy się nie zdarzyło. Ledwo pamięta dotyk jego języka na wargach, zastąpiony przez inny. Czy on coś podejrzewa? Nie, nie, niby dlaczego? Ksieni jest honorową kobietą, a poza tym z jakiego powodu czuć się tu winną? Bóg jej świadkiem, że za czasów małżeństwa były chwile, że wstydziła się bardziej niż teraz. Wracając myślą do kamiennej ławki w klasztornym ogrodzie, wychwytuje już w przyjemności cień smutku.

– Wasza Eminencjo? – W ślad za pukaniem w drzwiach ukazuje się niewzruszona twarz Burcharda. – Ach, pani Lucrezia.

Pani Lucrezia. Już nie księżna Pesaro. Burchard jako pierwszy publicznie potwierdza przemianę. Lucrezia czuje przenikający ją dreszczyk.

- *Signor* Burchard, dobrze znów was widzieć. Mam nadzieję, że miewacie się dobrze.
- Tak, pani, całkiem dobrze. Jestem... Ojciec Święty polecił mi przekazać, że dołączy do was już wkrótce, lecz jeśli bylibyście głodni, kolacja może zostać podana bez niego.
- Co go zatrzymało, Neapol czy Hiszpania? – pyta Cesare.
- Neapol, jak sądzę. – Burchard kieruje się do wyjścia, lecz przystaje. – To przyjemność mieć was tutaj z powrotem, bezpieczną.

– Popatrz, popatrz, skradłaś nawet serce jaszczurki – mówi Cesare sucho. – Może ja też powinienem pójść na jakiś czas do klasztoru.

– Ha! Niech niebiosa czuwają nad wszystkimi kobietami, kiedy stamtąd wyjdiesz! Gawędzą o błahostkach, podczas gdy służba wnosi dania: zupę fasolową, mięso w plastrach, faszerowany makaron – ulubione proste jadło papieża. Po modlitwie Lucrezia kieruje rozmowę na Juana i dni po jego śmierci.

– Powiedz mi wszystko. W klasztorze mnóstwo rozprawiano o żałobie ojca i jego odnowionej wierze. Jak to było? Czy Kościół uległ naprawie dzięki jego gorliwości?

– A, kilku skorumpowanych dostojników wtrącono do więzienia. Ma zostać zwołany sobór reformatorski. Wszyscy się zgadzają, dopóki nie ma mowy o zbadaniu ich własnej pracy. Wtedy nagle tracą zainteresowanie. – Cesare wzrusza ramionami. Nad drzwiami komnaty nagi święty Sebastian wygina się pod gradem strzał; jego ofiara wydaje się niemal bezbarwna w porównaniu z atletycznymi młodzieńcami w modnych przyodziewkach, dzierżącymi i napinającymi łuki. – Trzeba będzie więcej niż gorliwości, żeby oczyścić te stajnie Augiasza.

– A ojciec?

– Jest... Jest już bardziej sobą. A ty, kochana siostrze? Co działo się u ciebie?

– Chyba wiesz to z moich listów – odpowiada, teraz ostrożniej dobierając słowa. – Z początku przeżywałam mroczne dni, ale dzięki Bożej łasce odnalazłam spokój.

– Czy także Bóg przyprawił cię o śmiech?

– Co takiego? – Lucrezia unosi brwi, celowo okazując niezrozumienie.

– Słyszałam, że był i śmiech.

– Ach, mężczyźni mają osobliwą opinię o klasztorach. To całkiem pogodne miejsca, wiesz, Cesare? Owszem, mogłam się śmiać. Wylałam wystarczająco dużo łez, żeby śmiech był ulgą.

– A poezja? Była też poezja?

– Poezja? – Nie ksieni. Ona przecież nigdy by ich nie zdradziła? A więc kto? – Dlaczego pytasz o poezję?

– Bo jestem bratem troszczącym się o dobre samopoczucie siostry. Podejmowałaś w celi jakichś gości?

– Podejmować gości? Jakżebym mogła? Odwiedzali mnie tylko ksieni i twój posłaniec – mówi Lucrezia z gorącym oburzeniem, choć w środku czuje zimno. – Gdzieś usłyszał takie dziwne rzeczy?

– O... kilka ptaszków wyćwierkało, co widziało.

– Wiedz zatem, że patrzyły złym okiem. – Mówiąc to, Lucrezia sama dziwi się własnej pewności siebie. – Jestem twoją drogą i kochającą siostrą, tą samą, którą zawsze byłam. Oplakiwałam brata, modliłam się za niego i w końcu, z Bożą pomocą, dane mi było znów się uśmiechnąć. Złożyłam świadectwo przed sądem, wyrzekłam się męża i Matka Kościół uznała mnie za czystą. Czego jeszcze mógłbyś ode mnie żądać, bracie?

– *Brava!* – mówi Cesare w tej samej chwili, gdy za nim otwierają się drzwi i Aleksander, okrągły i zdyszany, wpada do komnaty z wyciągniętymi ramionami. – Miejmy nadzieję, że twoja elokwencja wystarczy, by powstrzymać plotki.

– Co? Tylko nie znów o plotkach, Cesare! – Dudniący głos Aleksandra zabarwia się czułością, gdy Lucrezia wstaje od stołu i rzuca mu się w ramiona. – Twój brat wiecznie mierzy poziom szlamu, który nas otacza. Ale ty, moja jasna córko, wystąpiłaś dzisiaj jak białe uosobienie czystości, mimo plugawych oszczerstw twojego obmierzłego byłego męża.

– Oszczerstw? Jakich oszczerstw?

– O, nie będziemy o tym mówić. Jesteś dziewczicą prosto z klasztoru i rumieniłabyś się od samych słów. Nie, żadnych rozmów o przeszłości. Dalej, dalej, jedzcie, jedzcie. Umieram z głodu. Odmówiliście już modlitwę, prawda? W takim razie muszę dodać kilka słów. Musimy bowiem wnieść oczy do nieba i podziękować Bogu za Jego troskę o nasze powodzenie.

Siada i energicznie składa ręce, splatając wytworne upięścienione palce, po czym skłania głowę i z jego ust płyną słowa dziękczynienia. Kiedy podnosi wzrok, ma na twarzy szeroki uśmiech.

– A zatem... Nie pisałaś jej ani słowa? – zwraca się do Cesarego.

– Nie, nie. Rozmawialiśmy o innych rzeczach.

– Wybornie. Możemy zatem porozmawiać o tym teraz. Choć tylko między sobą, w tym pokoju, ze świętymi w charakterze świadków. – Zatacza ręką okrąg w kierunku sufitu, jakby chciał zaprosić ich wszystkich. – Mamy co świętować, Lucrezio. Twój powrót do domu. O, jakże jesteśmy uszczęśliwieni twoim widokiem. Koniec twojego małżeństwa. I nagrodę za całą twoją cierpliwość i wszystkie udreki.

Robi pauzę, tak by wszyscy mogli odczuć wzrost napięcia.

– Będę miała nowego męża – mówi Lucrezia.

– O nie, ależ ktoś już ci powiedział! Kto? Kto taki? Chyba nie ten wasz młody posłaniec? Nie... skąd miałby wiedzieć?

– Wasz posłaniec zachowywał się nienagannie – odpowiada stanowczo. – Nikt nie musiał mi mówić, ojczu. Po nocy nadchodzi dzień. Taka jest kolej rzeczy. Mogę poznać imię tego mężczyzny?

– Och, to nie tyle mężczyzna, ile młody bóg. Urodziwy, dworny, wykształcony, szlachetny, odważny, smukłonogi i z zasłużoną opinią wyśmienitego tancerza.

Lucrezia orientuje się, że myśli o Pedrze, i czuje w piersi ostre szarpnięcie bólu.

– Ależ ojczu, nie mogę poślubić własnego brata – odpowiada, natychmiast skonfundowana własną kokietyrnością.

– Niestety – śmieje się Aleksander. Cóż za rozkosz mieć córkę w domu. – Możesz jednak poślubić swego szwagra.

– Szwagra? Masz na myśli brata Sancii, Alfonsa?

– Tak. Tak, tegoż samego. Jesteś zadowolona?

– Jestem... – Waha się. Przypomina sobie żywo, jak twarz Sancii rozjaśnia się, ilekroć o nim mówi. – Czy to już zaplanowane?

– Postanowione, jak najbardziej. Cesare działał dużo w Neapolu, a ja właśnie wyszedłem ze spotkania z ambasadorem. Teraz, kiedy jesteś wolna, umowa jest wiążąca, jakkolwiek będziemy przez chwilę udawać, że tak nie jest. Inni również będą składać oferty i dobrze pozwolić im myśleć, że mają szansę. Jak sądzisz?

– Myślę, że skoro Hiszpania jest już dla nas stracona, musimy zwrócić serca ku Neapolowi.

– Ha! Tylko jej posłuchaj, Cesare. Taka mądrość u pięknej kobiety to rzadko spotykana cnota. Borgia do szpiku kości!

– Ale... ale nie rozumiem, co przez to osiągniemy. To znaczy, Jofré poślubił Sancię, ale to nie daje mu żadnych praw, i tak samo będzie z moim małżeństwem z jej bratem, bo oboje są z nieprawego łoża.

– Ho, ho, ćwiczyłaś w konwencie politykowanie. Wszyscy mówią, że najlepsze przeorysze są szczone jak lisy. Faktem jest, że w tym nowym królewskim rodzie będą i inne matrymonialne możliwości. Ale wszystko to należy do przyszłości. – Aleksander rzuca konspiracyjne spojrzenie na Cesarego. – Na razie musisz jeszcze powiedzieć, czy jesteś kontenta. Z pewnością ci się spodoba... Zgodzisz się ze mną, Cesare? Ty znasz go lepiej niż ja.

– Można mieć taką nadzieję – odpowiada Cesare cicho. – To nadzwyczaj przyjemny człowiek.

– A więc czekam z niecierpliwością, aż go poznam. Wiem, że Sancia będzie zadowolona. Bardzo go kocha.

– Jak przystało na dobrą siostrę. I my wszyscy również go pokochamy – mówi papież, sięgając po następną dokładkę nadziewanego makaronu.



Rozdział 35



Siedem miesięcy w klasztorze i świat zmienił się na każdy możliwy sposób. Powróciwszy do domu, do pałacu przy Santa Maria in Portico, jego przepych w porównaniu z prostotą mniszego życia odczuwa jako żenujący. Papugi zdobiące malowane ściany sali przyjęć, z jasnozielonym upierzeniem na tle różowo-ochrowych deseni gałęzi, są dla niej teraz zbyt krzyk-liwe. Czy naprawdę wolałaby milczenie gołych ścian? Adriana też jest hałaśliwa, ale wszędzie, gdzie chodzi, towarzyszy jej postukiwanie laseczki. „W kolanie rozsunęły mi się kawałtka kości. Ach, ależ mnie rwie, kiedy o siebie trą. Powinnam odpoczywać, ale jak tu żyć, wysiadując, kiedy tyle ma się do zrobienia?” Narzekanie jednak jak zawsze sprawia jej przyjemność.

A Giulia? Cóż, wygląda na to, że Giulia jest zbyt chora, by przyjmować jakichkolwiek gości.

– Co się stało? Zapadła na zarazę? Nie pisałaś nic w listach...

– Nie. To raczej problemy trawienne. Bylibyśmy cię powiadomili, ale nie spodziewaliśmy się, że tak szybko będziesz w domu.

– Tak czy inaczej wróciłam, ciociu, i oczywiście się z nią zobaczę.

– Aaaach... – Protest Adriany rozplywa się w potężnym westchnieniu. – Dobrze więc, w końcu jesteście rodziną.

Giulia, leniwie zwinięta na leżance pod stertą aksamitnych pledów, przy ogniu wyrzucającym iskry w przejmująco chłodne powietrze, wygląda kwitnąco i niemal pulchnie – rzecz by można: aż błyszczący zdrowiem.

– Niestety, nie mogę cię uściskać, droga Lucrezio. Jak widzisz, jestem przykuta do łóżka.

– Co ci jest? Co mówią medycy?

Giulia wzrusza ramionami, odbierając ostre ostrzegawcze spojrzenie od Adriany.

– Och, dajmy spokój, matko. Komu niby powie? – Wzdycha, opadając na poduszki. – Nie potrzeba lekarza na to, co mi dolega, Lucrezio.

– Och! – Lucrezia wpatruje się w nią, wciąż z wyrazem powagi. Mój Boże, jak szybko biegnie życie. – Jak sądzisz zatem, kiedy poczujesz się dobrze?

– Jeśli Bóg pozwoli, pod koniec marca.

I w komnacie rozdzwania się ich śmiech. Adriana zaczyna je uciszać, lecz Giulia powstrzymuje ją machnięciem ręki.

– Czy nie przesadzamy przypadkiem z tą tajemnicą? Wliczając moją służącą, wie pięć osób na świecie, z czego trzy są obecne w tym pokoju. Leżę na tym łóżku już pół wieczności. Chyba zasługuję, żeby się czasem pośmiać.

– A piąta osoba? – pyta Lucrezia chytrze.

– No cóż, powiedzmy, że nie jest to mój mąż.

– Ale... – Lucrezia potrząsa głową. – Marzec? – Rachunek nie jest trudny. – To znaczy... wszyscy mówili, że...

– Że papież był pogrążony w rozpacz i zaprząnięty reformą. Słusznie. Bo był. W ogromnej rozpacz. I prawdziwie skruszony. Nie, obawiam się, że w tej sprawie

odpowiedzialność spada na mnie. To ja byłam kusicielką. – Giulia wzdycha. – Pewnie dziwnie ci to słyszeć, prawda? Ale nie było cię tutaj, Lucrezio. Jego żal był straszliwy. Pękałoby ci serce, gdybyś była tego świadkiem.

– O tak, straszliwy – wtóruje Adriana. – Straszliwy. Nikt nie mógł nic zrobić. Baliśmy się, że odejdzie od zmysłów.

– Niektórzy się bali, owszem. Ja jednak wiedziałam, że to jego serce, nie umysł – mówi Giulia cicho. – Z początku nie chciał mnie widzieć. Wyobraź sobie. Każdego dnia przekazywałam przez posłańca jakiś znak miłości, kilka słów, modlitwę. W końcu któregoś popołudnia przyszedł do mnie. I choć płakał, sprawiłam też, że się uśmiechnął. Nie wydaje mi się... Ach, o, dotknij! – Chwyta rękę Lucrezii i wciąga ją pod pled, kładąc na dobrze zamaskowanym wzgórkę brzucha. – Tutaj, tutaj! Czujesz?

I Lucrezia czuje – napór czegoś twardego, jak niedojrzała brzoskwinia czy jabłko, przesuwanego się pod jej palcami.

– O, ciągle się wierci! Całkiem inaczej niż Laura. Taki ruch-liwy i silny. Ha!

– Jak to? Wiesz, że to chłopiec?

– Wiem. Wyczuwam to. I to świetnie, nie uważasz? Chłopiec, który złagodzi mu utratę ukochanego Juana. To byłby taki dar, że może Bóg przebaczyłby mi mój postępek.

– Och, nie sądzę, żeby Bóg cię potępił, Giulio! Jesteś dobrą kobietą.

– Plotkarze nie byłiby tego samego zdania, gdyby się dowiedzieli. Nie było cię tutaj, Lucrezio. Od śmierci Juana miasto ma na językach tylko Borgiów. A już ty najbardziej miałaś szczęście, że znalazłaś się w zaciszu klasztoru.

– Co masz na myśli? Rozpowiadano coś o mnie? Co takiego?

– Nie będę zwracać ci tym głowy. Plotka to rozrywka ubogich, a płacą za nią ci, których się obmawia.

– Nie w oczach Boga – wtrąca się Adriana, poprawiając przykrycie Giulii i wołając na służącą, by dołożyła drewna, bo zimowy wiatr ze świstem wdziera się przez szpary w oknie, poruszając wiszącą w nim tkaniną. – W oczach Boga obmowa oczernia tych, co obmawiają. I nie będziemy jej tu znosić.

Skoro nikt nie chce jej powiedzieć, musi dowiedzieć się sama. Lęka się, oczywiście, że chodzi o Pedra. Jeśli Cesare nabrał podejrzeń (ale czemu? jak to się mogło stać?), to może inni też? Naraziła swoją duszę, deklarując dziewictwo, którego już nie posiada. Co by było, gdyby została potępiona jako nierządnicza za coś, czego tak naprawdę nie zrobiła?

Nie mija wiele czasu, a wiadomość sama do niej dociera.

– Nie! Ale dlaczego? Dlaczego miałby powiedzieć coś takiego?

– Nie mam pojęcia, pani. – Pantisilei wystarczyło wyjść na ulicę, by usłyszeć, co się mówi. – Wiem tylko, że uczynił to więcej niż raz, tak że teraz wszyscy to powtarzają.

„Poznałem ją nieskończenie wiele razy, lecz papież zabrał ją dla siebie, by samemu z nią używać”. Jak mógł być taki okrutny? Wraca myślą do chwili, w której widziała go ostatni raz: stał przed nią, drżąc i lękając się własnego cienia. „Powinieneś wracać do domu”. Kto wie, co by się stało, gdyby został? Nie byli razem szczęśliwi, to na pewno, ale troszczyła się o niego jak mogła. Bóg jeden wie, że bez jej wstawiennictwa mógł już leżeć martwy w jakimś kanale, z odciskami palców Michelotta na szyi.

Ojciec chce jej dla siebie. Czy to tak ludzie teraz o niej myślą? Kiedy będzie znów witać ambasadorów – a będzie – czy to właśnie będą mieć w głowie, całując jej dłoń albo prowadząc grzecznościową konwersację o świecie? Tego samego popołudnia spotyka się z przedstawicielem księcia Graviny, węszącą wokół z racji zainteresowania jej ręką, i są momenty, kiedy nie potrafi powstrzymać rumieńca, zastanawiając się, co on może myśleć. Na jego obliczu nie maluje

się jednak nic prócz życzliwości i czegoś, co wygląda na szczerze uznanie dla jej uprzejmości i humoru. Wieczorem Lucrezia dłużej niż zazwyczaj patrzy w zwierciadło. Coś takiego, gdyby było prawdą, musiałoby odbijać się na twarzy kobiety. Oczywiście, takie rzeczy się zdarzają. Na świecie roi się od opowieści. Wszyscy wiedzą, że stary Sigismundo Malatesta z Rimini, którego imię nadal uchodzi za symbol zła, trzymał przy sobie dla własnej uciechy nie tylko córkę, ale i syna. Lucrezia myśli o niedźwiedzim uścisku ojca, ostrym zapachu jego ciała bijącym spod ubrania, cmoknięciach jego czułych pocałunków. Ale są one właśnie tym i niczym więcej – czułymi pocałunkami czulego ojca. Jak ktokolwiek może sądzić inaczej? Potem myśli o palącej miłości Cesarego i jego języku zgłębiającym jej usta. Jak to jest? Czy jest w jej rodzinie coś, co każe im kochać inaczej niż inni? Czy to hiszpańska krew?

„Obmowa oczernia tych, co obmawiają”, słyszy znów głos Adriany. Pięknie powiedziane. Jednak i ona, i Giulia przejmują się nią wystarczająco, by ukrywać brzuch pełen tajemnicy. Tak naprawdę ważne jest nie to, co się robi lub czego się nie robi, ale to, jak przekonująco można zostać o coś oskarżonym.

Przez następne tygodnie nie wychodzi z domu. I tak nie ma zbyt wielu okazji do rozrywki, bo zima jest nadzwyczaj paskudna. Po całych dniach ulewnego deszczu Tyber występuje z brzegów, tuż przed świtem zalewając miasto gigantyczną falą. Porywa ona zawartość piwnic i stajni, tak że kilka dni później ludzie odnajdują swoje konie mile od domu, a rolnicy budzą się, by ujrzeć na swoich polach przyniesione przez wodę beczki wina. W dole rzeki zaś, niedaleko miejskich bram, znalezione zostaje ciało z dwiema głowami i pięcioma nogami. Tak przynajmniej mówi się w mieście; nikt, kto powtarza tę historię, nie widział znaleziska na własne oczy, ale każdy zna kogoś, kto widział. Dziwy i szkaradzieństwa natury. Ona i Pedro nieraz opowiadali sobie takie historie. Pedro. Już prawie dwa miesiące i nadal ani słowa. Kiedy jednak posyła po Pantisileę, aby ta wywiedziała się, co się z nim dzieje, młoda kobieta kręci głową.

– Nie wydaję mi się, żeby mądrze było to czynić, pani.

– Co przez to rozumiesz?

Pantisilea wzrusza ramionami.

– Tylko to, że... cóż...

– Co cóż? Jest coś, o czym mi nie powiedziałaś? Ponieważ...

– To nie moja wina, pani. Nic nikomu nie pisnęłam, przysięgam na grób mojej matki.

– Możesz tak twierdzić, ale skąd mam wiedzieć, czy ci wierzę, jeśli mi nie powiesz? – mówi gwałtownie. – Co słyszałaś?

– Że został wtrącony do więzienia z powodu tego, co jak mówią, robił z tobą, pani.

– Co? Co takiego robił?

– Nie wiem. – Dziewczyna znów bezradnie wzrusza ramionami. – Ludzie mówią, że pani Adriana zaczęła się rozglądać za położnymi. Jakkolwiek by się starać, nie da się długo utrzymać takiej rzeczy w sekrecie.

Cesare i jej ojciec naradzają się w papieskiej sali tronowej, kiedy żąda, by Burchard ją zaanonsował. Drzwi jeszcze się dobrze za nią nie zamknęły, gdy zaczyna mówić.

– Cokolwiek słyszeliście o mnie i o Pedrze Calderonie, jest oszczerstwem i kalumnią. Był mi przyjacielem, kiedy tego potrzebowałam, i nie uczynił niczego, czym zasłużyłby sobie na więzienie. Chcę, żebyście go uwolnili. – Uświadamia sobie, że drży, i próbuje się opanować.

– Mówiłem ci, że się zmartwi – mówi papież łagodnie.

Cesare, rozparty niedaleko ojca w fotelu o skórzanym siedzisku, który sobie zawłaszczył, nie odzywa się ani słowem.

– No już, uspokój się, moja droga. Nie powinnaś trapić się rzeczami, które cię nie

dotyczą.

– Nie dotyczą? Z mojego powodu człowiek siedzi w lochu, ojczu.

– Moje dziecko, sprawa jest bardziej złożona, niż sądzisz. Dla naszej rodziny to bardzo szczególny czas. Jeśli Bóg i Fortuna będą nam sprzyjać, twoje zamążpójście w Neapolu stanie się stopniem, po którym twój brat zdoła wspiąć się znacznie wyżej. Król Federico jednak jest człowiekiem surowych zasad i charakter nowej synowej jest dlań istotny. Jestem pewien, że twoje stosunki z Pedrem Calderónem były całkiem niewinne, lecz z takiego czy innego źródła wyciekła niska plotka i chcąc zapobiec jej dalszemu rozprzestrzenianiu, twój brat stwierdził, że roztropnie będzie usunąć go ze sceny.

– Doprawdy! Jeśli mówimy o plotkach, jestem zdumiona, że ktokolwiek uznał to za wartę uwagi, biorąc pod uwagę, że większość Rzymu zdaje się sądzić, że jestem młodą kobietą, którą najbardziej miłuje rodzony ojciec.

Aleksander marszczy brwi i odgania od siebie te słowa jak tłustą muchę.

– Och, nikt w to nie wierzy. To tylko jadowite plwociny idioty.

– A pogłoski o ciąży w pałacu? – pyta Lucrezia cicho.

– A, tak; wygląda na to, że jesteście tu zakładnikami czasu. Mieliśmy nadzieję zachować rzecz w tajemnicy jeszcze przynajmniej przez jakiś czas po narodzinach dziecka. To wysoce niefortunne, że plotka pojawiła się tak szybko po twoim powrocie do Rzymu.

– W takim razie aresztując Pedra Calderóna, sprawiacie, że pomówienia na mój temat wyglądają na prawdę.

– Jeśli nie ściągnęlibyśmy go z ulicy, zrobiłby to kto inny – odzywa się cicho Cesare, niepuszczający z niej oka. – A wówczas kto wie, jakie historie mógłby opowiedzieć o tym, co robiliście we dwoje?

Lucrezia odwraca się, by spojrzeć mu prosto w twarz. Kiedy nie ma na sobie kościelnych szat, jest skończonym miejskim elegantem: w aksamitnym dublecie skrojonym tak, by uwypuklał klatkę piersiową, i w purpurowych nogawicach, cienkich i przylegających jak druga skóra, potrzebowałby jedynie większej ilości klejnotów ponaszywanych na ubraniu, by prezentować się tak samo ostentacyjnie bogato jak ongiś Juan. Lucrezia myśli o ksieni, o jej sukni mnisiej i sandałach.

– Mówiłam ci już, bracie – odpowiada. – Nie zrobiłam nic złego.

– Powiedziałaś także sędziom, że twój mąż nigdy cię nie dotknął.

– Nie! Nie. – Nagle niesprawiedliwość tego wszystkiego staje się zbyt wielka. – Nie słuchaj go, ojczu. Byłam nieszczęśliwa i samotna, i zgębiona. Pedro Calderón był mi dwornym towarzyszem. Miłszym i delikatniejszym, i bardziej honorowym, niż jakkolwiek mężczyzna, którego do tej pory spotkałam na dworze. I owszem, cieszyło mnie jego towarzystwo. Co w tym złego?

– Wszystko. – Cesare nie odpuszcza. – Byłaś w konwencie, aby zachować czystość, podczas gdy ten dupek twój mąż łąził i oczerniał cię przed każdym, kto chciał go słuchać. Twoja obrona musiała być bez skazy.

Bez skazy! Z iloma kobietami spałeś przez ostatnie sześć miesięcy?, myśli Lucrezia. Ma ochotę powiedzieć to głośno, ale nie widzi sensu. Każda kobieta, która chodzi po świecie, wie, że są dwie drogi: szeroki tryumfalny trakt dla mężczyzn i poślednia podła uliczka dla kobiet. Wolność należy do mężczyzn tak wyłącznie, że nawet zwrócenie na nią uwagi oznacza rozgniewanie ich.

– Cesare, Cesare... – Głos ojca jest łagodny. – Wiem, jak bardzo troszczysz się o siostrę. Wiele jednak przeszła i -chciałbym...

– Kocham ją bardziej niż cokolwiek na świecie, ojczu – wtrąca Cesare szorstko. – O czym

ona dobrze wie. – Wygląda na to, że ma teraz tak silną pozycję jako doradca, że wolno mu przerywać i ojcu, i papieżowi. – To, co mówisz, nie może być usprawiedliwieniem dla oddawania się hiszpańskiemu chłopcu stajennemu.

I teraz słyhać to w jego głosie. O słodka Matko Boża, on jest zazdrosny, myśli Lucrezia. Mój brat jest zazdrosny. To o to chodzi. Och, powinnam była wcześniej zdać sobie sprawę. Zerka na ojca, lecz on zdaje się nieświadom wyznania, które właśnie wymknęło się jego najstarszemu synowi.

– Ach, Cesare, posłuchaj tylko sam siebie – mówi lekko, nie zważając na dudnienie pulsu w uszach. – Przemawiasz tak samo zajadle jak ci oszczercy, których potępiasz. Zamiast motłochowi, uwierz lepiej własnej siostrze, bo czemu miałyby kłamać, ona, która kocha cię ponad wszystko? Ten „chłopiec stajenny” to człowiek, którego sam wybrałaś jako zaufanego kuriera, i powiadam ci, że on podziwia cię i szanuje nad życie. Cokolwiek twoim zdaniem zrobił.

Lucrezia odwraca się od niego i mówi do Aleksandra:

– Z pewnością łatwiej byłoby zwalczyć te skandaliczne sugestie, gdybym była więcej widywana. Może kolacja z ambasadorami Neapolu? Aby mogli się upewnić, że nie jestem przy nadziei? W przeciwnym razie kiedy urodzi się dziecko, a Calderón nadal będzie w więzieniu, wszyscy pomyślą, że jest moje.

– Tak, tak, istotnie, już mamy to na uwadze. Nie turbuj się. Jeśli chodzi o dziecko, pojawi się zapewne mnóstwo plotek, ale przygasną, jeśli nikt nie będzie podsycał płomieni. We właściwym momencie uznam swoje ojcostwo. Miejsmy tylko za sobą twoje zamążpójście i sprawę twojego brata.

– Co to za sprawa?

Zapada krótkie milczenie. Obaj mężczyźni utrzymują enigmatyczny wyraz twarzy.

– Myślę, że skoro należę do rodziny w wystarczającym stopniu, by ponosić ryzyko, że zostanie mi przypisane nie moje dziecko, mam także prawo pytać o przyszłość mojego brata.

Papież śmieje się głośno. Biorąc pod uwagę, że ścieżka kobiet jest wąska i mierna, Lucrezia wie, że taka bezpośredniość graniczy z zuchwalstwem. – Aleksander jednak zawsze lubił, by kobieta mówiła to, co myśli. Przynajmniej dopóki go kocha.

– Kiedy nadejdzie czas, Cesare zrzuci purpurę. Opuści Kościół, by móc się ożenić.

– O! – Lucrezia wpatruje się w brata. Cesare się uśmiecha. Jest w tym uśmiechu coś zbliżonego do niesmiałości, co do niego nie pasuje. – Da się coś takiego przeprowadzić?

– Z pomocą Bożą i szczyptą polityki, tak – odpowiada Aleksander. – Pamiętaj jednak, że zostałaś dopuszczona do ściśle poufnych spraw rodzinnych. Byłoby źle, gdyby ta informacja wydostała się na zewnątrz.

– I to będzie to przymierze, do którego trzeba Neapolu?

– Mamą wielką nadzieję, że tak.

– A więc będziemy jeszcze dodatkowo spowinowaceni. Bardziej już chyba nie możemy się do siebie zbliżyć, bracie. – Podchodzi do Cesarego i całuje go w oba policzki. Trudno powiedzieć, nawet jej samej, ile w tym szczerego zadowolenia, a ile gry, tak nerwowa ekscytacja ją wypełnia. – Muszę powiedzieć, że zawsze wyglądałaś bardziej na pana młodego niż na kardynała.

Cesare wstaje i przyciąga ją do siebie. Czuje twardość jego ciała pod aksamitem. Papież promienieje. Tak boleśnie jest patrzeć na niezgodę tam, gdzie może panować szczęście! Uścisk trwa, aż Lucrezia delikatnie się z niego wyzwala.

– Będę wyczekiwać spotkania z nową bratową – mówi wesoło, jakby byli już pojednani, z jego zgodą czy bez. – I skoro wszystko jest postanowione – dodaje lekko – może, kiedy dojdzie już do skutku, puścicie Pedra Calderóna wolno?

Papież spogląda na Cesarego.

– Jestem twoją kochającą i lojalną córką, ojczyźnie – nie ustępuje Lucrezia. – Proszę pokornie, byś uczynił to dla mnie.

Cesare nie przestaje wpatrywać się w plamkę na posadzce niedaleko ojcowskiego tronu.

Aleksander odzywa się kojącym głosem, zawsze taki pełen chęci, by zadowolić innych:

– Obiecuję ci, że jeśli będzie to możliwe, tak się stanie.

I choć miło jej to słyszeć, gdy później przypomina sobie ten moment, precyzja jego słów przejmuje ją zimnym -dreszczem.

Dziecko przychodzi na świat w połowie marca – hoży chłopczyk o rączkach i nóżkach młócających powietrze jak małe szalone wiatraki, aż do chwili, w której zostaje uwięziony w powijakach, ku swojemu wielkiemu niezadowoleniu, obwieszczonemu wszem wobec głośnym wrzaskiem. Adriana krząta się wokół, wydając rozkazy, podczas gdy Giulia leży najspokojniej, jak może, czekając, aż zagoją się rany, które jej zadał, żywiołowo przeciskając się na zewnątrz. W ciągu kilku dni nabrał apetytu stanowiącego wyzwanie dla najbardziej nawet mlecznych mamek, a przy takiej bieganiu kilku wścibskich ambasadorów nie potrzebuje wiele czasu, by zyskać pewność i wysłać zawiadomienia do swoich głodnych nowin mocodawców. Nowe dziecko w rodzinie Borgiów. I to chłopiec!

Tak jak przewidział papież, *infans Romanus* – bo takie miano otrzymuje – wzbudza istne szaleństwo zgadywania. Dziecko jest zdrowe, co oznacza, że donoszone. A więc poczęte w połowie czerwca. Najpóźniej w lipcu. Najrozsądniej byłoby typować papieża i Giulie, choć pytanie, kiedy znalazł czas, by otrzeć łzy. Cesare z kolei musiał do tej pory splodzić dobry tuzin – w takim razie jednak dlaczego akurat temu miałby dawać dobry dom? Pozostaje zatem Lucrezia. Lucrezia, dziewica-dziwka, którą mąż poznał cielesnie nieskończenie wiele razy, acz z pewnością nie przy tej okazji. Lucrezia, nosząca, zgodnie z wymogami mody, suknie z wysokim stanem, od którego swobodnie spływają sute fałdy materiału. Czerwiec–lipiec. Przed czy po klasztorze? Kiedy pogłoski docierają do uszu ksieni, wygłasza ona soczystsze, niżby potrafił jakikolwiek ksiądz, kazanie o potędze milczenia i o działaniu diabła poprzez plotkę, lecz trochę za późno. Nazwisko Pedra Calderóna, wiernego sługi papieża i jego syna, jest już znane. Cokolwiek jednak uczynił, nikt nie zdoła go o to zapytać.

Odmawianie czegokolwiek córce nie leży w charakterze papieża. Nie jest też mściwy, jeśli chodzi o własną osobę. Jednakże jej namiętna prośba padła zbyt późno. Jedni nazwaliby to przeznaczeniem, inni – słabym wyczuciem czasu. Dzień po wizycie wzburzonej Lucrezii u ojca Johannes Burchard, akuratny i skrzętny we wszystkich kwestiach związanych z papieżem, siada ze swoim dziennikiem i odnotowuje z datą 14 lutego 1498: „Sługa Pedro Calderón, który zeszłego czwartku nocą wpadł – nie z własnej woli – do Tybru, został dziś wyłowiony w dole rzeki, o czym dużo mówi się w mieście”.

Gdy Lucrezia wreszcie się dowiaduje, zwija swój żal w małą, twardą kulkę i przetyka, grzebiąc go głęboko w sobie. Ma osiemnaście lat, a przyszłość będzie się dziać, czy tego chce, czy nie chce.



CZEŚĆ VII

Zrzucona purpura

Iacta est alea

Kości zostały rzucone

Inskrypcja na mieczu wykutym dla Cesarego Borgii w lecie 1498 roku



Rozdział 36



Kwiecień 1498: w przyjemny wiosenny dzień w monarszym siole Amboise we Francji karłowaty król Karol VIII wraz ze swą królewską małżonką Anną Bretońską wybiera się na oględziny nowej części swojego *château*, wzniesionej przez neapolitańskiego architekta, którego dzieła wywarły na nim takie wrażenie, że zabrał go ze sobą jako zdobycz wojenną. Projekt jest ambitny i wszyscy z podnieceniem czekają na reakcję króla.

Może zawiniła nadmierna ekscytacja – król bowiem jest bardzo podochocony. Może było to czyjeś zaniechanie albo (nie daj Boże) architekt nie dorósł do zadania i źle zwymiarował pomieszczenia. Czyjakolwiek to wina, król, przechodząc spiesznie przez nowe drzwi, potyka się na luźnej klepce i wali głową w drewnianą futrynę. Głuchy odgłos uderzenia słyszą wszyscy dookoła. Mimo że król, który wpierw jęknął, zaraz potem pokrywa zdarzenie śmiechem, zostaje zabrany do łóżka, nadal widząc gwiazdy. Można jedynie mieć nadzieję, że to dobra wróżba – i faktycznie, kiedy się budzi, jest już w niebie.

To przykre, że tak głupia śmierć przypadła w udziale zdobywcy połowy Italii. Przykre szczególnie dla rodu Valois, gdyż chorowity władca był wcześniej świadkiem zgonów czworga swoich dzieci, jeszcze w kolebce. Korona Francji przechodzi do rąk najbliższego żyjącego krewnego, Ludwika, księcia Orleanu. Jednakże ci, którzy najbardziej zyskują na tym okrutnym żarcie losu, nie mają w żyłach ani kropli francuskiej krwi. Kiedy wiadomość dociera do Rzymu, usta Aleksandra rozciągają się w uśmiechu szerokim jak ujście Tybru. Każdy dobry chrześcijański monarcha w pewnym momencie nie może się obejść bez poparcia swojego papieża i Ludwik, choć ma już koronę, aby zachować nietknięte włości, potrzebuje pomocy przy problemie małżeńskim. Czas nie mógłby być lepszy.

– Gdzie jest kardynał Walencji? Przeprowadźcie go. Muszę natychmiast się z nim widzieć.

Syna papieża nie można jednak odszukać ani w jego komnatach, ani nigdzie indziej w głównym budynku pałacu. Nie pojawia się także na porannej mszy, choć to akurat nie zaskakuje nikogo: w ostatnich miesiącach kardynał widywany jest w kościele tak rzadko, że Burchard zaczął odnotowywać te wyjątkowe zdarzenia w swoim diariuszu.

– Zdaje mi się, Wasza Świątobliwość, że może być na dziedzińcu belwederu. W niektóre poranki... ćwicz tam z ludźmi z gwardii.

To zwyczaj, któremu Cesare hołduje niewolniczo – niektórzy powiedzieliby: nabożnie – już od jakiegoś czasu. Jeśli rzeczywiście ma się rzec godności kardynała (a jedyna w tej chwili wątpliwość to kwestia, jak zdoła utrzymać dotychczasowy poziom życia bez owych okrągłych trzydziestu tysięcy dukatów rocznie, które przynoszą mu uposażenie i beneficja), musi być przygotowany do swojej nowej profesji: wojaczki. Jeśli nie spędza czasu w siodle, ćwicz fechtunek – robiąc zarówno rapierem, jak i dwuręcznym mieczem bojowym, stalowym potworem wymagającym tyleż siły, by go udźwignąć, co biegleści, by zadać cios. Ten młody człowiek o twardej piersi i twardym sercu, tak niekiedy bezlitosny dla swoich sług, potrafi być – pod innymi względami – bezlitosny również dla samego siebie i zdarza się, że po szczególnie forsownej zaprawie ledwo może się ruszać z bólu w nogach i ramionach.

Walka na rapiery to bardziej precyzyjny taniec. Tego ranka, kiedy przychodzą po niego, wypróbować koczując. W Rzymie pełno jest płatnerzy bijących się o przywilej chronienia jego cennego ciała i kiedy porusza się po dziedzińcu, wężowy połysk koszulki utkanej z tysiąca drobniutkich stalowych oczek jest tak hipnotyzujący, że kilku jego przeciwników myli krok. A może tylko markują nieudolność, bo walka z umiłowanym synem papieża to ryzykowne zadanie.

– Mówiłeś, że to żołnierze! – krzyczy Cesare do Michelotta, który stoi w cieniu, robiąc notatki, podczas gdy ostatni z szermierzy schodzi z placu. – Żaden z nich nawet się nie stara.

– Czego oczekiwałeś? Zostali opłaceni, by walczyć, nie by zwyciężyć.

– Więc zapłać im więcej i niech wysilą się bardziej.

– A co będzie, jeśli któryś cię zrani? Damy mu nagrodę czy powiesimy, bo przedziurawił papieżowi syna?

– W takim razie ty ze mną walczy.

– Z przyjemnością.

– Dwuręczne miecze.

– Aaa, za gorąco dziś na zbroję.

– To wymówka w obawie przed przegraną?

Zakładają napierśniki i hełmy i zaczynają krążyć wokół siebie, robiąc zwody i parując ciosy, aż jeden z nich wyprowadza uderzenie i miecze zwierają się jak potężne magnesy, gdy mężczyźni napierają i chwieją się, próbując wziąć górę nad drugim, aż wreszcie odskakują od siebie, by zacząć cały ten niezdarny taniec od początku. Brzęk stali uderzającej o stal i towarzyszące mu stęknienia niosą się po ogrodach. Wkrótce obydwu wyczerpuje ten szalony wysiłek, Cesare jednak nie zamierza być tym, który położy mu kres.

– Dość! – krzyczy wreszcie Michelotto, odstępując w tył i upuszczając miecz na ziemię. Zdejmuje hełm i strząsa pot z włosów, z szerokim uśmiechem na posiekanej twarzy. – Na Boga, lepiej, żebyś zrzucił purpurę już niebawem. Nie sądzę, żebym długo jeszcze wytrzymał te zabawy w wojnę – mówi, podczas gdy posłaniec papieża z sapaniem przemierza dziedziniec.

– Porządnie się zmachałeś. – Aleksander siedzi, podziwiając lśnienie potu na jego przedramionach i półnagiej piersi. – Zawołam, żeby przyniesiono ci szatę. Nie powinienesz ryzykować przeziębienia, nawet przy łaskawej pogodzie.

Cesare macha ręką.

– To może poczekać. A więc... jesteś pewien, że Ludwik da nam to, czego chcemy?

– A dlaczegoż by nie?

– Mówią, że potrafi być przebiegły.

– Przebiegły czy nie, nawet król nie zdoła sam rozwiązać swojego małżeństwa.

Powiadają ci, Cesare: dostaniemy dla ciebie księstwo albo Ludwik przekona się, że będzie rządzić tylko połową królestwa.

To po części symetria tak raduje Aleksandra: sposób, w jaki problem może zostać elegancko rozwiązany ku satysfakcji obu stron. Król Karol, przy wszystkich swoich wadach, był dość sprytny, by scementować unię ziem francuskich z Bretanią poprzez ożenek z jej królową. Teraz owdowiała Anna może czuć pokusę, by zadeklarować na nowo niezależność tego terytorium. Jest oczywiste, iż dla dobra Francji nowy król powinien ją poślubić.

Trudno byłoby sobie życzyć czegoś lepszego, jako że Anna jest urocza i soki wciąż krążą w jej lędźwiach na tyle żywo, by dać początek nowej dynastii. To idealne rozwiązanie. Pomijając fakt, że Ludwik ma już żonę.

Papież marszczy nos.

– Rzecz jasna, trzeba będzie powołać komisję kościelną, by przyjrzała się sprawie.

Ludwik obstaje przy tym, że został zmuszony do zawarcia tego związku. Małżonka jest rzekomo „zniekształcona”... Z pewnością wszyscy zgadzają się, że jest niepospolicie brzydka, ale kto wie, co kryje się pod spódnicą. Haaa. Białogłowy są pełne niespodzianek.

– Chce unieważnienia na podstawie nieskonsumowania?

– Hmm. Tak. Najprawdopodobniej będzie właśnie tak.

Przez chwilę siedzą w milczeniu. Myśli papieża ulatują ku Lucrezii. W ciągu ostatnich miesięcy, od śmierci Pedra Calderóna, jakoś zamknęła się w sobie. Wszelkimi sposobami stara się unikać spotkań, podczas których musiałaby przebywać w tym samym pomieszczeniu co brat. Boli go oglądanie tak poróżnionych dzieci.

– Powiedz, jak mają się sprawy z Lucrezią?

– Próbuje ze wszystkich sił nienawidzić mnie tak samo mocno, jak mnie kocha – odpowiada Cesare cicho. – Nie martw się. To minie.

– Im szybciej młody Alfonso się tu zjawi, tym lepiej. Kobiety nie powinny zbyt długo zostawać same.

Realizacja ich planu zabiera osiem tygodni. Wszyscy wiedzą, że unieważnienia małżeństwa nie uzyska się tanim kosztem, lecz szczegóły negocjacji pozostają tajne aż do końca. To, że kardynał Walencji zamierza porzucić Kościół, jest już w Rzymie tajemnicą poliszynela, lecz gdy dociera ona do Hiszpanii, Ich Królewskie Mości nie posiadają się z gniewu. Taki obrót spraw byłby obrażą nie tylko Kościoła, ale i Boga. Ambasadorzy zadają sobie nie lada trud, by odpowiednio przekazać potoczyste wyrazy ich zgrozy. Aleksander, który nie zwykł, by go pouczali ludzie mniej możni od niego, sarka pod nosem. A niech się żołądkują.

Kiedy układ zostaje wreszcie wyciosany, jest tak doskonały, jakby papież sam podyktował szczegóły. Tym razem rozmowa ojca i syna odbywa się na wolnym powietrzu, wśród drzewek pomarańczowych w papieskim ogrodzie, bez otoczenia ścian, które mogłyby mieć uszy.

– Ludwik da ci księstwa Valentinois i Diois.

– Czy to wystarczające?

– Jeśli chodzi o ziemie i prestiż, tak. Jeśli chodzi o dochody, prawdopodobnie nie, ale Ludwik pokryje ewentualne różnice.

– Co ze wsparciem wojskowym?

– Wspomnimy o tym we właściwym czasie.

– A z moimi staraniami o rękę księżniczki Carlotty? To równie istotne jak pieniądze.

– Król dobrze o tym wie. Będzie wywierał naciski na nią i na jej ojca. Nie martw się.

Zmieni zdanie. To tylko kwestia czasu.

Ostatnie miesiące oczekiwania ujawniły, że z neapolitańskim mariażem Cesarego mogą być problemy: nieoczekiwanie oporna okazuje się sama Carlotta, przebywająca pod opieką Ludwika na francuskim dworze. Właściwie ojciec powinien przywołać ją do porządku, ale król Federico, który wprost emanował uśmiechem i ugodowością, schylając głowę, by Cesare mógł nałożyć na nią koronę, teraz wydaje się znacznie mniej zachwycony tym pomysłem. Wyswatać Lucrezię z bratankiem z nieprawego łoża to jedna rzecz, a własną ślubną córkę oddać w ręce Cesarego i w ten sposób otworzyć rodzinne gniazdo dla skorpiona – druga. Dopóki syn papieża ciągle nosi kardynalski kapelusz, Federico może odwlekać konfrontację.

– Ludwik powinien zagrozić Federicowi inwazją. – Wojowniczy duch Cesarego niecierpliwi się, nie mając okazji, by czegoś dokazać. – To pomogłoby mu skupić umysł na ofercie.

– Nawet nie mów tego na głos, synu. Kiedy Francuzi nadejdą, tym razem będziemy potrzebowali, by zostali na północ od Apeninów.

„Kiedy Francuzi nadejdą”... Aleksander uważnie dobiera słowa. Meandry dziedziczenia.

Przy koronacji Ludwika nim wybrzmiało jego imię, odczytano listę tytułów zawierającą nie tylko Neapol – co nie zdziwiło nikogo – lecz także Mediolan, do którego linia orleańska rości sobie szczególne prawa. (Wystarczy cofnąć się nieco w zagmatwanej sieci małżeństw, a okazuje się, że połowa wszystkiego należy do kogoś innego).

Mediolan. Nie tylko bogatszy od Neapolu, lecz także znacznie bliżej położony: skok przez Alpy i z górki na pazurki prawie od razu do celu.

– Kto by pomyślał, hę? – Aleksander chichocze pod nosem. – Że małe wgniecenie w czaszce króla wywoła taki potężny ból głowy u Ludovica Sforzy. W jednym momencie podaje Francuzom na talerzu Neapol, w drugim oni biorą sobie Mediolan. Nie ma w Italii człowieka, który uroniłby łzę nad jego losem. Ucz się na tym przykładzie, Cesare. Rób sobie wrogów, jeśli musisz... a będziesz musiał... lecz dopilnuj, by najsilniejsi pozostali twoimi przyjaciółmi.

– Wiem już takie rzeczy, ojciec – Cesare mruczy z lekkim zniecierpliwieniem.

– Na pewno ci nie zaszkodzi, jeśli usłyszysz to jeszcze raz – dobrodusznie odpowiada Aleksander. – Chodź, uściskaj mnie. Przed nami wielkie przedsięwzięcie i dobrze mi zrobi zapach potu na uznojonym ciele żołnierza.

Cesare posłusznie podchodzi i otwiera ramiona, by objąć ojca. Musi je teraz rozpościerać znacznie szerzej niż kiedyś. Od śmierci Juana Aleksander zarazem rozrósł się i zmałał. W wieku sześćdziesięciu ośmiu lat dźwiga na sobie ciężar dwóch mężczyzn i dla przeciwwagi zaczyna się garbić. Czasem słychać, jak chodząc po pokojach, dyszy i posapuje. Cesare przyglądał mu się, kiedy jego własna przyszłość jeszcze się ważyła, i zastanawiał się, ile mają czasu na to, by ułożyć po swojemu otaczający ich świat, i mroziła go myśl, że może niewystarczająco dużo. Aleksander jednak nigdy się nie zachwiał. Jest tak, jakby śmierć Juana, skoro tylko przestał ją oplakiwać, dodała mu ostróg. Jego zadeklarowana bogobojność, odczuwana równie szczerze jak żaloba, ulotniła się naturalnie, kiedy widoczna stała się skala zadania. Papież-pokutnik mógł być przez jakiś czas interesującą nowinką, ale kto słyszał o pokornych kardynałach? Dla wielu reforma okazała się bardziej szokująca niż zepsucie i kiedy grali na zwłokę, Aleksander wrócił do spraw rodzinnych.

Cesare jest teraz jego Juanem, a wiadomości z Francji napełniają go zdwojoną energią. Jeśli zaś chodzi o wiek – cóż, nie świętuje już urodzin. Sześćdziesiąt osiem lat to starość tylko wtedy, gdy ktoś zamierza wkrótce umrzeć. A w kalendarzu Aleksandra nie ma miejsca na śmierć. Fakt, że ciągle żyje, jest najlepszą zemstą na tych, którzy chcieli przywieść go do zguby.

Rocznica mordu zostaje uczczona specjalnymi mszami za zmarłego. Aleksander odwiedza grób syna w kaplicy Borgiów w kościele Santa Maria del Popolo, gdzie szlocha bez skrepowania. Za dużo ma jednak do zrobienia, by długo ronić łzy. Ambasadorzy są w drodze do Francji, książę i księżna Squillace – z powrotem w Rzymie, a Watykan pochłaniają przygotowania do drugiego ślubu Lucrezii.

Sancia, przejęta i podniecona perspektywą przyjazdu brata, spędza całe godziny z Lucrezią, odmalowując przed nią idealny wizerunek Alfonsa i roztaczając wizję wspólnego życia na dworze w słodyczy odnowionej przyjaźni.

Wróciła pogodniejsza, niż wyjechała; wygnanie uleczyło jej godność zranioną przez romans z Cesarem. Podczas pierwszych publicznych spotkań stara się pokazać, że nie dba o niego za grosz, i jest nieco zdetonowana, kiedy on dla odmiany znów jej nadskakuje. Jednak dzika kotka, którą ma w sobie, wyczuwa podstęp i Sancia zachowuje chłód w jego obecności. Rzecz jasna, ma rację. Cesare nie żywi do niej uczucia (co nie znaczy, że jej nie lubi, choć ona tak to odczyta), lecz dopóki ma na widoku Neapol, musi okazywać afekt wobec całej rodziny.

Zrobił już, co tylko mógł, by oczarować Alfonsa podczas tygodni spędzonych razem z nim po koronacji Federica, i jest teraz zdeterminowany, by powitać go w Rzymie z jak

największym rozmachem. Nie jest to jedynie strategia; Cesare jest w wyśmienitym nastroju. Gdy tylko dyplomaci ukują porozumienie co do szczegółów, zostanie wyznaczona data tajnego konsystorza kardynałów, na którym Cesare wykona krok ku rozstaniu z Kościołem. Wreszcie jest panem swojego losu.

Odzyskanie względów Lucrezii okazuje się bardziej skomplikowanym procesem. Kiedy siostra nie przestaje go unikać, Cesare pierwszy robi pojednawcze gesty. Początkowo spotkania są bolesne. Cesare przynosi podarki: drogie tkaniny, pięknie ilustrowane modlitewniki i tomiki poezji (kiedy chce, potrafi być nadzwyczaj dwornym zalotnikiem), lecz ich rozmowy naznaczone są ostrożną uprzejmością i chwilami nieprzyjemnego milczenia. Lucrezia nawet nie opiera mu się świadomie, raczej nie potrafi na to nic poradzić. Widząc go, przypomina sobie o Pedrze, i chce jej się jednocześnie wybuchnąć gniewem i płaczem. Później jednak, kiedy Cesare odchodzi, nie może też znieść poczucia, że nie kocha już własnego brata. Bo, oczywiście, kocha.

– Lucrezio, musimy się pogodzić. – Przy czwartym spotkaniu Cesare stawia sprawę jasno. – Zdążyłaś się dowiedzieć, że tamtego dnia, kiedy prosiłaś o życie Calderóna, nie było już ono w moich rękach. Możesz uważać, że postąpiłem niesprawiedliwie, ale cokolwiek uczyniłem, miałem na względzie przede wszystkim twój honor.

Lucrezia siedzi wyprostowana na krześle, patrząc na niego bacznie, a łzy kapią prosto na zwój szkarłatnego aksamitu leżący na jej kolanach. Później, kiedy materiał stanie się peleryną, będzie wspominała ten moment, ilekroć ją nałoży. Zaciska powieki. Płacz jest daremny, mówi sobie ostro. Nie zmieni niczego.

– Wiem. Tylko że to wydawało się takie... takie okrutne. On nie popełnił żadnej zbrodni.

– To nieprawda. Jego zbrodnią była zdrada, której się wobec mnie dopuścił. A równie okrutna jest szkoda, którą skandal wyrządza kobiecej reputacji. I nie tylko jej samej, ale całej jej rodzinie.

– W takim razie wina była również po mojej stronie.

– Nie. Pedro Calderón pozostawał na mojej służbie. Znał dobrze zasady lojalności i wiedział, czego się spodziewać, jeśli je złamie. Ale to już za nami, Lucrezio. Przetrwaliśmy burzę. Twój nowy mąż jest mężczyzną, jakim Sforza nigdy nie był, i jego nastanie, wraz z moim małżeństwem, kiedy już do niego dojdzie, uczyni rodzinę bezpieczną. Jeśli jest między nami zdra, niech się teraz zagoi. Jesteś moją ukochaną siostrą. Nie ma kobiety, którą kochałbym bardziej niż ciebie.

Lucrezia wygląda palcami meszek skropionego łzami aksamitu. Mogłaby powiedzieć wiele rzeczy. Żadna z nich jednak nie wskrzesi zmarłych. Podnosząc wzrok na twarz Cesarego, widzi w niej echa rysów Juana. Jeśli nadal nie będzie go do siebie dopuszczać, straci dwóch braci. Co jej wówczas pozostanie?

Jego spojrzenie jest jasne i spokojne. Jeśli kłamie na temat przeszłości, w kwestii teraźniejszości nie kłamie. Ma rację: nikt nie kocha jej tak jak on.

– Och, Cesare – mówi.

Opierać mu się to opierać się sobie. Nie jest w stanie tego robić. Walka skończona.



Rozdział 37



Alfonso Aragoński, dla potrzeb małżeństwa świeżo mianowany księciem Bisceglie, zjawia się w Rzymie w połowie lipca. Przyjedza *incognito*, aby móc pobyc tu jakiś czas prywatnie i poznać się z przyszlą żoną. Oznacza to, że wszyscy wiedzą, że jest, ale muszą udawać, że go nie ma. Pierwszy dzień -spędza w Watykanie. Nazajutrz odwiedza swoją narzeczoną.

Sancia nie może się doczekać. Kiedy orszak wjeżdża na dziedziniec, obydwie kobiety, Jofré i Cesare stoją na górnej loggii. Alfonso ledwo zdąża zsiąść z konia, a Sancia wyrывa się z szeregu, zbiega ze schodów i rzuca się bratu w ramiona. Ten podnosi ją i okręca dookoła, tak że Lucrezia, patrząca na nich z góry, widzi tylko wirujący jedwab i słyszy zaraźliwy śmiech. Pamięta pompę i ceremoniał towarzyszące przybyciu jej pierwszego męża i cieszy ją ta nieformalność. Alfonso opuszcza Sancię na ziemię i unosi rękę w geście pozdrowienia, kłania się nisko stojącej wyżej delegacji, po czym wspina się na górę po dwa stopnie naraz.

– Pani Lucrezio. – Przyklęka i podnosi głowę z tak figlarnym uśmiechem, że nie sposób na niego nie odpowiedzieć. Podobieństwo do siostry rzuca się w oczy: ta sama grzywa czarnych włosów, te same oczy, intensywnie niebieskie jak suknia Madonny, tak przenikliwe, że zda się, iż zaglądadją człowiekowi prosto w duszę.

Och, dzięki Bogu jest taki ładny, jak wszyscy mówili, myśli Lucrezia i równocześnie karcę się za płytkość.

Alfonso za plecami podaje rękę Sancii, która weszła po schodach w ślad za nim, po czym ściska swojego starego towarzysza zabaw, młodego Jofrégo, który aż pieje z radości. Potem zaś przychodzi kolej na Cesarego.

– Bracie! – Obejmują się serdecznie, ramię w ramię, pierś w pierś, tak pełni energii, że równie dobrze mogliby żartobliwie się mocować, jak witać. Lucrezia nie potrafi wyobrazić sobie dwóch przystojniejszych mężczyzn. Ostatnią osobą, którą Cesare obejmował w ten sposób na jej oczach, był ich brat – i na ten widok mocniej bije jej serce. Jakież to byłby cud, gdyby dzięki niemu rodzina mogła rzeczywiście stać się znów pełna.

W przeciwieństwie do jej wystawnego pierwszego ślubu ceremonia jest cicha, bez żadnych ambasadorów i dyplomatów w zasięgu wzroku. Poza murami Watykanu muszą oni zacisnąć zęby i otworzyć sakiewki dla każdego, kto może przynieść opowieści potrzebne im do uszczęśliwiania swoich władców. I tym razem Borgiowie nie rozczarowują. Ceremonia odbywa się w prywatnych apartamentach i gdy goście przechodzą do Sali Tajemnic, między świtami Sancii i Cesarego wybucha spór o pierwszeństwo przy wejściu. Złe emocje, które długo czekały na ujście, teraz z nagłą je znajdują. Od obelg przychodzi rychło do ciosów i w przedśionku wywiązuje się bijatyka. Dwóch biskupów zostaje powalonych na ziemię; sam papież próbuje powstrzymywać skaczących sobie do oczu mężczyzn, aż w końcu do rozdzielenia walczących trzeba sprowadzić strażę. Podobnie jak w przypadku innych zdarzeń tego pontyfikatu, świat nie widział jeszcze czegoś takiego i zajście staje się znaną historią.

A będzie ich więcej.

W sierpniu, pięć lat po bezwstydnym zastraszeniu Kolegium Kardynałów, by przyjęło do

swego grona jego syna, Aleksander zastrasza je ponownie – by pozwoliło Cesaremu odejść.

Pierwsze wyzwanie to zgromadzenie ich w wystarczającej liczbie, by głosowanie było w ogóle warte zachodu. W kipiącym gorączką tyglu rzymskiego lata znajdują doskonale usprawiedliwienie nieobecności, lecz Aleksander zawsze pomstował na taką słabość i nie zamierza pobrażać jej teraz. Spotkanie zostaje zwołane pod hasłem „sprawy dotyczącej dobra Kościoła i chrześcijaństwa”. Jednemu z kardynałów faktycznie udaje się umrzeć po drodze i tym sposobem uniknąć udziału w konsystorzu, lecz w końcu dostatecznie liczne gremium ściąga na miejsce, zostawiając sumienia za drzwiami.

Stając przed nimi po raz ostatni, kardynał Walencji jest zaskakująco zdenerwowany. Papiery, które trzyma w dłoni, lekko drżą. Jest pewna ironia w fakcie, że część tego, co mówi, rzeczywiście płynie z jego serca.

– Proszę was dzisiaj o trudną rzecz, lecz chciałbym, abyście mieli na uwadze, że chodzi nie tylko o cześć Świętej Matki Kościoła, ale również o moją duszę. Zostałem wprowadzony w szeregi duchowieństwa młodo. Nie był to mój własny wybór. Śluby, które wówczas złożyłem, wypłynęły z moich warg, ale nie z duszy. Mimo że usilnie starałem się dostosować do wymogów życia duchownego, nigdy nie miałem do niego powołania, toteż stoję teraz przed wami, błagając o zwolnienie mnie ze ślubów i o zgodę, przez wzgląd na zbawienie mej duszy, na mój powrót do stanu świeckiego. Jeśli dostąpię spełnienia tej prośby, zamierzam poświęcić życie na służbę Kościołowi innymi sposobami. Moim pierwszym krokiem będzie podróż do Francji, gdzie spróbuję wyperswadować królowi, aby nie najeżdżał zbrojnie Italii, w przyszłości zaś uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy, aby chronić interesy papieżstwa.

W ciszy, która na krótko zapada po jego słowach, dachu nie kruszy żaden grom, a spod podłogi nie wylażą diabły, by wbić widły w jego szaty. Kardynałowie głosują wniosek, by przekazać sprawę papieżowi (wymamrotane przez większość „tak” nigdy wcześniej nie przyszło tak szybko), i godzinę później Cesare opuszcza konsystorz jako człowiek świecki. Udaje się prosto na spotkanie z francuskim wysłannikiem, który przybył tego samego ranka, przywożąc dekret nadający byłemu już kardynałowi Walencji tytuł księcia Valentinois z rocznym dochodem w wysokości czterdziestu tysięcy złotych franków oraz z tajną obietnicą otrzymania wojska – lansjerów i kawalerii – kiedykolwiek i gdziekolwiek będzie go potrzebował.

Tak oto Walencja zmienia się w Valentinois; brzmienie nazw jest na tyle podobne, że na włoskim języku jedna płynnie przechodzi w drugą. I tak przychodzi na świat księżę Valentino.

Nie ma czasu na świętowanie. Zarówno król Ludwik, jak i Cesare palą się do ożenku. Na francuskim dworze Carlotta pozostaje nieugięta, ale przecież nie poznała jeszcze księcia Valentino. Na wypadek, gdyby jego charyzma okazała się niewystarczająca, Cesare inwestuje w odrobinę zbytku. Rzym nie oglądał takiego Borgiowskiego szalu zakupów od czasu, gdy jego brat Juan wyruszał do Hiszpanii. Dla Cesarego jednak najlepszy ze wszystkiego jest paradny miecz, który kazał dla siebie wykonać. Z misternymi grawerunkami przedstawiającymi herb Borgiów i sceny z rzymskiej historii, jest istic imperialny, zarówno w wyglądzie, jak i w wymowie. Wszędzie czyny Juliusza Cezara. Caesar i Cesare. Różni ich zaledwie litera. Rzeka Rubikon, którą Cezar przekroczył, opuszczając Galię, wbrew woli rzymskiego senatu, lecz na własną chwałę, nadal płynie na północnym wschodzie Italii, tyle że teraz w obrębie państwa kościelnego, gdzie dobry żołnierz ze wsparciem papieża i armią za plecami mógłby wykuć nowe imperium.

„Kości zostały rzucone”. Treść inskrypcji prawdziwa dla nich obu.

Przyszłość ma teraz dla Cesarego nieodparty urok. Łatwo sobie zatem wyobrazić jego irytację, kiedy tydzień przed planowanym wyjazdem budzi się ze skurczami nóg i skórą znów pokrytą wypryskami. Tym razem nie są to krosty, lecz plamy – wysyp malinowych znamion na

całej twarzy.

– Wołajcie Torellę!

Wyrwany z łóżka medyk w ciągu kilku minut stawia się na miejscu.

– Mówiłeś chyba, że przeszło! Że jestem wyleczony.

Gaspere Torella, który przez ostatni rok śleczął nad korespondencją i notatkami poświęconymi tej właśnie przypadłości, kręci głową.

– Miałem taką nadzieję, panie, lecz choroba jest na tyle nowa, że nie rozumiemy jeszcze jej wędrówki po ciele. Pojawiła się najpierw w miastach, przez które przeszła armia francuska, choć niektórzy twierdzą, że przywlekli ją mężczyźni, którzy byli wcześniej w służbie admirała Kolumba w Nowej Hiszpanii. Studiowałem ją i...

– Mniejsza o historię – przerywa Cesare. – Jak się tego pozbyć?

– Ma różne fazy. Pierwsza to otwarte pęcherze, druga to te... te wykwity. Wykazano, że pomagają na nie kąpiele parowe i rteć. Sam wymyśliłem nową mieszankę ziół o różnych mocach.

– A co potem?

– Jeszcze dokładnie nie wiemy. Wydaje się, że u niektórych ustępuje całkowicie.

– A więc ja będę do nich należał. Lepiej przynieś mi maści.

– Nie jest tak źle, panie – mówi Torella wesoło. – Przynajmniej nie pęka skóra.

– Nie jest źle?! Nogi mnie boją, jakby je kto łamał kołem, a wkrótce mam starać się o rękę przyszłej żony. Poszedłbyś do łóża z kimś o takiej twarzy?

– Jeśli wolno mi spytać... czy jest też coś niżej?

– Na rany Chrystusa, Torella, po prostu pozbądź się tego, dobrze?

– Zrobię, co tylko będę mógł.

– Ile to potrwa?

Medyk waha się. To zawsze trudna decyzja, biorąc pod uwagę przepaść między tym, co się wie, a tym, co pragnie usłyszeć pacjent.

– Kiedy wyruszamy do Francji, Wasza Miłość?

– Za tydzień.

– Nie można tego odłożyć?

– Ha! Lepiej niech ktoś wystara mi się o maskę.

Cesare stawia w oknie oprawne w kość lusterko. Czarny aksamit skrywający jego twarz jest miękki jak skóra. Oczy dla odmiany są jasne: oczy młodego mężczyzny, gorejące wolą życia. Dobrze mu w masce – wygląda w niej nie tylko tajemniczo, ale i nieco zawadiacko. Kiedy nosi ją podczas karnawału, owija sobie kobiety wokół palca. Teraz jednak nie jest pora karnawału.

Zsuwa ją z twarzy i jeszcze raz patrzy w lustro. Jak brzydocy mężczyźni radzą sobie w życiu? Myśli o Michelotcie. Kiedy idzie ulicą, ludzie cofają się o pół kroku. On, Cesare, dysponuje inną siłą. Twarz zawsze była dla niego pierwszą bronią. Spójrzcie na mnie, mówiła. Jestem taki, jak widzicie: miły dla oka, mocny w smaku, człowiek z charakterem, którego można podziwiać, bo czyż tak naturalne piękno mogłoby kłamać? Ale teraz... Co będą myśleć o nim teraz? Nawet jeśli nie jest to plaga zesłana przez Boga, każdy wie, z jakiej gleby wyrastają te kwiaty, zna te zionące wilgocią i zgnilizną zakątki, w których króluje lekkomyślna żądza i nie ma co szukać jakiegokolwiek czci. Człowiek z taką twarzą może nie dotrzymywać obietnic. Człowiek z taką twarzą nie jest mężem, którego dobry król chciałby dla swojej córki. Człowiek z taką twarzą może nawet nie lubić sam siebie.

No nic, to nie będzie trwać wiecznie. Podróż morska zabierze prawie dwa tygodnie, a potem przed spotkaniem z królem trzeba będzie pokonać drogę z Marsylii. Jeśli to nie wystarczy, zawsze może osłepić ich większą ilością klejnotów. Woli nie myśleć o Juanie i o arogancji, która kojarzy się z takim zachowaniem.

W swojej komnacie Gaspare Torella pospiesznie skrobie piórem po papierze. „Drugie stadium. Nawrót bólu i purpurowe kwiaty”.

To konieczne dla zrozumienia bolączek ciała: zapisywanie, co, kiedy, jak długo i jakie są efekty jakiej kuracji. Pisząc traktat o nowej pladze, Torella wymienił wiele listów z doktorami i uczonymi z Ferrary i Bolonii, gdzie uniwersytety kształcą najlepszych medyków w Europie. Zaraza ta rozprzestrzenia się szerzej i szybciej, niż to kiedykolwiek słyszano, wyjąwszy wielki pomór. Zakażenie następuje, jak się zdaje, przez zbliżenie intymne, a objawy nękają bardziej mężczyzn niż kobiety. Niektórzy twierdzą, że to Żydzi przywlekli ją do Neapolu, inni – że przyplęnęła z Nowego Świata, jeszcze inni – że zesłał ją sam Bóg jako karę za erę cudzołóstwa. Pewien uczony odnalazł jej symptomy w dziełach Hipokratesa, kolejny zaś odnotował je u młodziutkich dziewczyn i niezaznajających życia płciowego starców. Wielu za remedium uważa upuszczanie krwi albo przykładanie do tyłu czaszki gorącego żelaza, aby uwolnić nagromadzone szkodliwe humory. Torella osobiście nie bardzo widzi pożytek z puszczenia krwi i zaleca rtec, lecz w małych ilościach. Jeśli aplikuje się jej zbyt dużo, lekarstwo staje się gorsze od choroby. Prawda jest taka, że nigdy nic nie wiadomo. Niektórzy umierają szybko, przechodząc w kilkumiesięcznych odstępach kolejne fazy boleści i wyrzutów skórnych, po których następuje rodzaj manii, aż mózg jakby się zagotowuje i chory traci rozum. U innych objawy ustępują na zawsze – a przynajmniej na tak długo, jak rozciąga się ich historia.

Upłynął już ponad rok od chwili, kiedy Cesare Borgia został tknięty chorobą. Przed pierwszym atakiem Torella nie znał drugiego równie zdrowego i silnego młodzieńca – jakby wszelka słabość lękała się doń zbliżyć. Przy takiej kondycji i odpowiednim leczeniu może równie dobrze umrzeć otoczony wnukami. Albo... cóż, nie jemu o tym wyrokować. Torella jest uczonym, ale i duchownym. W piekle Dantego uczeni, zaliczeni w poczet wróżbitów, maszerują ku wieczności w korowodzie nieszczęśników z przekreconymi na kadłubach głowami, którym gorzkie łzy z ocz ciekące spływają po pośladkach[5]. Nikt prócz Boga nie ma prawa przepowiadać Bożej przyszłości.

Torella odkłada księgi i zabiera się do przygotowywania maści na drogę.



Rozdział 38



Kiedy wielki dwór wyrusza w podróż, przypomina to wymarsz armii, tyle że bez broni. Panują jeszcze ciemności, gdy otwierają się wrota Watykanu i wyjeżdża przez nie przednia straż, a zaraz za nią sam książę Cesare, w otoczeniu hiszpańskich i rzymskich wielmożów, swojego medyka, sekretarzy i wszystkich dworzan. Po nich, niczym oddział piechoty, kohorta służących i stajennych, potem juczne muły z melancholijnie zwieszonymi łbami, jakby już zrezygnowane w obliczu czekających je trudów, a na tyłach niekończąca się kolumna wyładowanych wozów toczących się z łoskotem po nierównym bruku. Nieliczni rzymianie, którzy czuwali albo zostali zbudzeni przez hałas, przyglądają się w zdumieniu: kawalkada sprawia wrażenie, jakby do Francji wybierało się pół Watykanu. Cesare celowo wybrał godzinę niesprzyjającą kontaktom międzyludzkim: zerwanie przez niego ślubów i „romans” z francuskim królem nie wszystkim przypadły do gustu, woli więc nie ściągać na siebie zbyt wiele uwagi. Ukradkowość jest mu w smak także dlatego, że plamy na twarzy wciąż są w pełnym rozkwicie. Szkoda, bo jego naturalny koloryt świetnie pasowałby do czerwieni i złota jego nowego stroju, a orszak z dworzanami i paziami odzianymi w takie same liberie aż zapłonie na tle szarego pyłu ulic, skoro tylko wzejdzie słońce.

Wyjazd Cesarego natychmiast zmienia atmosferę w Watykanie. Bez jego nieznającej spoczynku dynamiki apartamenty Borgiów wypełnia ciężka, niemal senna aura, jakby samo powietrze musiało przywyknąć do jego braku. Papieżowi trudno zmobilizować się do działania i są chwile, kiedy czytając depesze albo przygotowując się do odpytania ambasadorów, tęskni za śmiałością bystrego umysłu syna, za jego instynktem kota spadającego na niczego niespodziewającą się zdobycz.

Uczucie to jednak mija i w miarę jak Aleksander się uspokaja, to samo odprężenie udziela się innym: duchowni, urzędnicy pałacowi, służący, nawet niestrudzony Burchard – wszyscy czują się mniej zagonieni, bardziej docenieni i w rezultacie bardziej wdzięczni.

Zmiana jest najbardziej zauważalna w łonie rodziny. Mniej męskiej bufonady i docinków, więcej szelestu jedwabnych sukien i kobiecego śmiechu, który wdziera się na pokoje papieża. Obydwie jego córki (bo tak widzi teraz także Sancję) biorą głęboki oddech – nie miały nawet świadomości, że go wstrzymywały – i zaczynają korzystać ze swojej pozycji na dworze. Razem urządzają kolacje, zabawy, muzykowanie i tańce, skacząc wokół ojca jak panny służebne, rozkoszując się jego przyjemnością. Giulia, która nigdy nie czuła się swobodnie w towarzystwie najstarszego syna papieża, czasem dołącza do nich z małą Laurą i niemowlęciem u boku, bo oczywiście ona też należy do rodziny. Jofré, w obecności Cesarego zawsze pełen lęklivego respektu, odnajduje własny głos, a Alfonso, który przy szwagrze nie miał wyboru i musiał dorównywać mu w agresywnie żartobliwym zachowaniu, teraz może być bardziej sobą. Mimo początku zimy Watykan wydaje się cieplejszym miejscem, niż był przez całe lata. Nie ubierając tego w słowa albo nawet nie zdając sobie z tego sprawy, zaczynają czuć, ile napięcia kryje się w nieustępliwej energii -Cesarego, i dostrzegać, o ileż łagodniejszy jest ich świat bez niego.

Zwłaszcza Lucrezia, choć roniła łzy przy pożegnaniu, wkrótce jest cała w skowronkach. Ale Lucrezia jest teraz szczęśliwą kobietą – szczęśliwą i szczęsną, gdyż spotkał ją los nader

rzadki w świecie aranżowanych małżeństw: kocha swojego męża.

Ostatecznie było to dość proste: młoda kobieta tęskniąca do miłości poślubia przystojnego, pełnego życia młodego mężczyznę z zamiłowaniem do przyjemności i słabością do kobiet o bladej cerze i jasnych włosach. Jeśli ów Adonis żywił jakieś obawy przed wniknięciem w ciało córki papieża, zostały one rozproszone z chwilą, gdy na nie spojrział. Właściciela tych zadziwiająco niebieskich oczu, które spoczęły na jej postaci, niezbyt interesuje polityka czy nawet złośliwe plotki. Po prostu podoba mu się to, co widzi. Czuje natychmiastowy pociąg i choć stara się zachowywać po rycersku, w ciągu tygodni poprzedzających ślub nie potrafi tego nie okazać.

Lucrezia, wciąż nosząca w sobie poczucie winy, że zwiódła Pedra Calderóna, jest stopniowo coraz bardziej podniecona i nerwowa. Nie przywykła, by mężczyźni spoza rodziny byli wobec niej tacy otwarci i nieskrępowani. Przez pierwsze kilka dni przygląda mu się równie uważnie jak on jej, tak że często ich spojrzenia mimo woli się spotykają i oboje śmiechem pokrywają zakłopotanie.

Alfonso dużo się śmieje. Lucrezii się to podoba; podoba jej się, jak łatwo się cieszy, jak on i Sancja są w swoim towarzystwie rozluźnieni i swawolni. Przypomina jej to, jak bywało kiedyś między nią i Cesarem. Cesare – to osobny lęk, choć się do niego przed samą sobą nie przyznaje. Jego życzliwość w stosunku do Alfonsa wydaje się szczerą. A jednak... Jest prawie tak, jakby nie mogła pozwolić sobie na nadmiar ciepłych uczuć, na wypadek, gdyby uczucia Cesarego ochłodziły.

Jednakże wzywa go Francja i jego własne życie, a nawet on nie potrafi być w dwóch miejscach naraz. Młoda para, z Sancją i Jofrém w roli nieoficjalnych przyzwoitek, ma zatem dość przestrzeni, by rozkwitał wzajemny pociąg i rosło oczekiwanie.

Tej pierwszej nocy w łóżu małżeńskim Alfonso jest tak przepełniony pożądaniem, że prosi, aby lampę zostawić zapaloną, by mógł ją widzieć, kiedy będzie się rozbierać. Lucrezia rumieni się, gmerając przy tasiemkach haftowanej nocnej koszuli, aż w końcu mąż odsuwa jej ręce i rozwiązuje je sam. Jej zdenerwowanie działa na nich oboje jak afrodyzjak.

– Jesteś taka śliczna – mówi zduszonym głosem, kładąc rękę na bladym wżgórku jej brzucha.

Lucrezia śmieje się.

– Naprawdę?

– O tak... tak, jesteś.

– Ty też – odpowiada.

Bo to prawda. Od dawna była oczarowana jego nogami – to prawdziwy probierz męskiej urody, a u niego stanowią doskonałą harmonię siły i kształtu. Jednak gdy jest nagi, piękno staje się jeszcze bardziej wstrząsające. Gra mięśni łydek widocznych pod skórą, długie, mocarne uda, obramowujące wznoszący się penis. Powyżej klatka piersiowa z gęstwiną włosów. Lucrezia nieśmiało wsuwa w nią palce: bujne i ciemne. Tak ciemne, jak ona jest jasna. Ciało pod nimi jest sprężyste, niemal twarde. Tak twarde, jak ona jest miękka. Alfonso uśmiecha się nad nią i w świetle lampy jego rzęsy wydają się dziewczęco długie.

– Nie martw się – mruczy, wprawnie kierując dłoń w dół. – To zabawa lepsza nawet od tańca.

Dziewiętnastoletni Alfonso, pobłogosławiony przez los szlachetną krwią i urodą, jest młodym mężczyzną emanującym optymizmem i pewnością siebie. Po Giovannim Sforzy Lucrezia ma wrażenie, jakby kochał się z nią jakiś bóg.

Późną nocą strażnika, który ma za zadanie pilnować spiżarni i piwnic, niepokoi dziwny hałas dochodzący z kuchni (w wielkich domach lęgną się często szkodniki rozmiarów

człowieka). Chwyta laskę, na tyle grubą, by dać odpór kuchennemu nożowi, i ostrożnie nacisnąwszy żelazną klamkę, popycha ciężkie drzwi.

Cienie wiszących garnków i patelni trzepoczą po całym pomieszczeniu jak tłuste nietoperze, wprawione w taniec przez światło migoczących świec. Przy wielkim stole pośrodku kuchni odbywa się zaimprovizowany bankiet: księżę i księżna Bisceglie, oboje w nocnych koszulach, siedzą ramię w ramię, a przed sobą mają pajdy chleba, ser, miseczkę z konfiturami, butelkę wina i parę metalowych kubków.

Trudno powiedzieć, kto jest bardziej zaskoczony.

– Rety! Zbudziłeś cię? – Księżę, z bosymi stopami opartymi na poprzeczce łączącej nogi prostego kuchennego stołka, pierwszy dochodzi do siebie. – Staraliśmy się być cicho, ale upuściłem nóż.

Macha nim w powietrzu, a Lucrezia obok, z twarzą otoczoną chmurą zmierzwionych jasnych włosów, uśmiecha się figlarnie.

– Od małżeństwa człowiek robi się głodny – śmieje się Alfonso, wznosząc swoją czarkę w kierunku oszołomionego mężczyzny. Lucrezia też się śmieje, tak że strażnik może uczynić to samo, choć jego śmiech podszyty jest niepokojem: ubytek sera i wina zostanie natychmiast zauważony.

– Nie martw się. Zatrzemy wszelkie ślady. I odnotuj wszystko, co zjedliśmy, żeby nie obwiniono cię za straty.

Mężczyzna kiwa głową, zakłopotany, lecz usatysfakcjonowany, po czym wycofuje się z kuchni i zamyka drzwi. Co za historia! Kto mu w ogóle uwierzy?

– Chciałbym widzieć jego twarz, kiedy będzie jutro opowiadał o tym kucharzowi – mówi Alfonso. – Kiedy Sancia i ja byliśmy dziećmi, cały czas robiliśmy w pałacu takie rzeczy.

– Pozwalano wam na to?

– Nie potrzebowaliśmy pozwolenia. Robiliśmy, co się nam podobało. Kucharze tak się do nas przyzwyczaili, że zostawiali na wierzchu kąski dla „królewskich myszek”. Ale się zabawialiśmy!

Lucrezia uśmiecha się do niego w półmroku.

– Potrafisz żyć dobrze ze wszystkimi, prawda?

Alfonso wzrusza ramionami.

– A na cóż robić sobie wrogów? Życie jest za krótkie. Na Boga, żono, wzbudziłaś we mnie wilczy apetyt! – I odkrawa sobie kolejny kawałek sera, smarując go konfiturą.

– Chciałabym, aby Cesare miał taki sam stosunek do ludzi – odzywa się Lucrezia.

– O, twój brat to wspaniały człowiek.

– Lubicie się.

– A czemu mielibyśmy się nie lubić? Obaj troszczymy się o ciebie i chcemy, żebyś była szczęśliwa.

Lucrezia potakuje, a radość zdaje się rozsadzać jej serce.

Siedzą, patrząc na podrygujące cienie i ciesząc się tą występłą chwilą. Alfonso zjada ser i oblizuje palce, lepkie od konfitury, po czym na powrót nurza je w salaterce i wyciąga do Lucrezii. Ona wsuwa je sobie do ust i wysuwa, nie spuszczać wzroku z jego oczu, cały czas śledzących jej ruchy. O tak, jest gorliwą uczennicą, jeśli chodzi o miłość, ta jego słodka młoda oblubienica.

– Będzie nam dobrze razem, prawda, Alfonso? – mówi w końcu, patrząc na niego czule. Alfonso ziewa i rozciąga swoje kształtne ramiona.

– Nie widzę powodu, dla którego miałyby nie być.

Pod koniec roku Lucrezia dostaje nudności i weseli się jak szczygiełek. Latem Italia

otrzyma wnuczę. Alfonso d' Aragon i Lucrezia Borgia. Mężczyzna i kobieta. Mąż i żona. Rodzina i dynastia. Tak po prostu. Przynajmniej w Rzymie.



Rozdział 39



We Francji umizgi Cesarego do Neapolu dopiero się rozpoczęły.

Księżniczka Carlotta Aragońska to szczególna młoda kobieta. Zrodzonej z prawego łóża córce ojca o surowych zasadach nie dane było buszować po pałacowych kuchniach. Śmieje się mniej niż jej narwane kuzynostwo, a kiedy to robi, zasłania usta dłonią; u niektórych panien byłby to gest kokieterii, lecz w jej przypadku służy bardziej ukryciu zębów – rzędu krzywych nagrobków, nierówno upchniętych w szczęce. Oczywiście Cesare zaleca się do jej królewskiej krwi, nie do urody, ale trudno nie dostrzegać takich rzeczy. Jest wysoka, góruje o głowę nad swoimi damami dworu, a twarz ma długą i płaską. Choć nie tak płaską jak pierś. To wszystko Cesare zdążył zauważyć podczas tłumnych dworskich spotkań. Teraz, po raz pierwszy stojąc z nią oko w oko, odnosi silne wrażenie, że patrzy na zbyt cienko rozwałkowany placek. Przychodzi mu na myśl francuskie słowo *crêpe*. Książę Valentino i jego księżniczka z naleśnika. Uśmiecha się pod nosem. Ach, czegoż to człowiek nie zrobi dla rodziny.

– Księżniczko. Jechałem dzień i noc, przez rwące wody i wyboiste bezdroża, gnany chęcią ujżenia cię. Teraz, stając przed tobą, z radością uczyniłbym to jeszcze raz dla samej przyjemności tej chwili.

Jest ziarno prawdy w jego pompatycznym oświadczeniu. Nie była to łatwa podróż. Przeprowa morską z Ostii wyrwała mu wnętrzności, a wczesna zima wpierv rozmoczyła, potem zaś skuła lodem francuskie drogi. W Marsylii, gdzie opuścili pokład statku, czekał na nich wysłannik króla. Zaraz po ciepłych słowach powitania zaczął się domagać listu z wyrokiem unieważniającym małżeństwo, aby móc wysłać go najszybszym gońcem do Paryża, gdzie król niecierpliwie czekał na rozwód. Cesare jednak nie miał go przy sobie. Aleksander, skrupulatnie przestrzegający prawa kanonicznego, jeśli może mu to przynieść korzyść, wykalkulował sobie, że zwłoka w wyłożeniu karty atutowej pomoże królowi skoncentrować się na jego stronie umowy: zmiękczeniu księżniczki, by zechciała łaskawym okiem spojrzeć na zabiegi jego syna. Jest to jeden z rzadkich przypadków, gdy papież się przeliczył. Gdy wymieniali następne listy, dokument był już w połowie drogi przez Alpy.

W należącym do państwa kościelnego Awinionie czekało ich uroczyste przyjęcie, mogące śmiało iść w szranki z tymi, które zwykli wydawać Borgiowie. Na schodach dawnego pałacu papieży stał zaś, by ich powitać, najstarszy i największy wróg, kardynał, a teraz papieski legat we Francji, Giuliano della Rovere.

– Walencja i Święte Kolegium straciły prześwieczonego kardynała, lecz zyskały jeszcze świetniejszego wojownika – zadudnił, układając rysy swego przypominającego topór oblicza w podobiznę uśmiechu.

Ostatni raz Cesare przebywał w towarzystwie della Roverego na ucztach w Veltri, owej nocy, gdy rozstał się z rolą zakładnika. Nienawidzili się wówczas, a upływ lat nic nie zmienił w tej materii. Tym razem jednak obaj zdawali sobie sprawę, że jeśli della Rovere chce mieć jakiegokolwiek szanse na powrót do gry przed następnym konklawe, nie może sobie pozwolić na dalsze boczenie się na dobrowolnym wygnaniu. Jego pierwszy krok – list kondolencyjny po śmierci Juana – został dobrze przyjęty. Teraz zaoferował coś bardziej konkretnego: jako

przyjaciół korony francuskiej użyje wszystkich swoich wpływów, by pomóc synowi papieża. To mogło się udać, przy założeniu, że obie strony zachowają czujność. Cesare odpowiedział ładniejszym, lecz równie nieszczerym uśmiechem.

– Przynosicie chlubę naszej Świętej Matce Kościołowi, kardynale. Awinion błyszczy pod waszymi rządami.

– Był wszak ongi siedzibą papieży. – Żadnemu z nich nie umknęła ironia tej repliki. – Przeszłość zobowiązuje.

– Podobnie jak przyszłość.

Mimo że kardynał postarzał się na wygnaniu, zachował imponującą postać. Ktoś nieświadomy stanu rzeczy mógłby ich wziąć za ojca i syna. Z pewnością mają obaj taki sam apetyt na życie i to samo bezwzględne pragnienie, by pić je do dna. Jest też coś innego, co ich łączy.

Gaspare Torella zauważył to natychmiast: zdradzieckie purpurowe wykwyty zdobiące twarz i dłonie legata, ukryte w fałdach odzienia. Jako lekarz już odmierzał w myślach dawki rtęci, jako duchowny poczuł się bardziej zrezygnowany. Boże, ależ ci rzymscy kardynałowie kochają swoje damy.

Gdy wyruszyli na spotkanie z królem, oblegano ich wszędzie, gdzie się znaleźli: ludność ściągała z pól i wiosek, wznosząc okrzyki i gapiąc się otwarcie na spektakl, jakiego dostarczała świta księcia. Panowie ustrojeni w klejnoty jak królowie, paziowie odziani jak panowie, konie tak obwieszane ozdobami ze szlachetnych metali, że nie dziwiłoby, gdyby srały złotem. Francja nie oglądała dotąd czegoś podobnego i ludzie sami nie wiedzieli, czy klaskać, czy gwizdać. Okazało się, że co w Rzymie uchodzi za wyrefinowane, tu najwyraźniej niesie inny przekaz. W miastach bardziej okrzęsani świadkowie z trudem taili złośliwe rozbawienie. *Mon Dieu!* Jak człowiek noszący francuski tytuł może reprezentować sobą takie prostactwo i wulgarność? Jeśli Italia wydaje takich parweniuszy, nic dziwnego, że jest łakomym kąskiem dla obcych najeźdźców.

Cesare szybko uświadomił sobie, że popełnił fatalny błąd. Jak miał jednak zaradzić sytuacji? Nie mógł przecież zedrzyć pozłoty z końskiego siodła ani odesłać do domu wszystkich ubrań i klejnotów. Śmialiby się w kułak jeszcze głośniejsze. W takiej atmosferze jego wdzięk przestał być ujmujący, a zaczął trącić obłudą, i w połowie grudnia Cesare w ponurym i gniewnym usposobieniu dotarł do Chinon, gdzie król Ludwik urządził sobie tymczasowy dwór.

Postanowił stanąć przed nim z podniesionym czołem i wmaszerował do miasta w całej wspaniałości. Ludwik oglądał przedstawienie z wieży w miejskich murach.

– No, no – usłyszano jego uwagę, gdy brama wreszcie zamknęła się za orszakiem Cesarego. – Można pomyśleć, że to raczej sporo jak na małego księcia Valentinois.

Kiedy plotki dotarły do uszu papieża, jego tolerancja, którą się szczyci, płynnie przeszła w furję.

– Jakim prawem Francuzi tak się wywyższają, kiedy każdy wie, że zapaskudzili pościel w całym Rzymie, bo nie umieją podtrzeć sobie tyłka?! – wrzeszczał. – Jak tacy śmierdzące mają czelność szydzić z mojego syna?

Obelgi godzą tyleż w rodzinę, co w narodowość; Hiszpanie i Francuzi od dawna toczyli boje o obyczaje, uważając się nawzajem za ordynarnych lub zmanierowanych. Dotyka to Aleksandra bardziej, niż chciałby przyznać, bo pod warstewką pragmatyzmu w głębi duszy nadal jest Hiszpanem, i owo nowe przymierze z Francją wywołuje w nim niepokój, którego sam nie rozumie.

Z dokumentem stwierdzającym unieważnienie małżeństwa w rękach król Ludwik natychmiast przeistoczył się w gościnnego gospodarza. „Mały książę” stał się ukochanym synem

papieża i jego drogim kuzynem – kimś, kogo należało podejmować po królewsku dzień i noc. W kwestii starań o rękę Carlotty – cóż, po prostu nie nadszedł jeszcze właściwy czas. Jako dama dworu nowej wybranki Ludwika Carlotta była zbyt zajęta przygotowaniami do ślubu swojej pani.

– Nie martw się, drogi kuzynie. Pozwól jej przez chwilę paść oczy swoim widokiem, a soki niechybnie popłyną. – Król dał mu szturchańca pod żebra. Miał powody do dobrego humoru. Każdy, kto rozumiał się na polityce, widział, że król odniósł podwójne zwycięstwo: miał oto syna papieża jako niemal stałego rezydenta i żonę, która między nogami wniosła sporą część królestwa.

Cesare, który również to widział, wyładowywał swoje zniecierpliwienie na łowach. Królewskie lasy przepelniała zwierzyna, a nie było nikogo, kto mógłby się z nim równać w siodle czy potrafił tak jak on rzucać włócznią. Ponownie gładkoskóry, z usadowionym na ramieniu sokołem gotowym do lotu na każdy jego szepc, wiedział, że stał się na powrót mężczyzną obserwowanym i podziwianym. A kiedy już się ugonił i nazabijał do woli, następowały dworskie zabawy z pięknymi damami aż palącymi się, by pójść z nim w tany. W chwili, kiedy księżniczka wyraziła wreszcie gotowość do spotkania, mówił już o nim cały dwór. O nim i o tym, jakaż z Carlotty szczęśliwa niewiasta.

– ...z radością uczyniłbym to jeszcze raz dla samej przyjemności tej chwili. Mam nadzieję, że nasza znajomość będzie długa i owocna – mówi, przechodząc dla większej intymności na hiszpański i rozciągając wargi w powitalnym uśmiechu.

– To bardzo uprzejme, co prawie, księżę Valentinois – odpowiada Carlotta formalnym francuskim. – Nie prosiłam jednak, byście odbywali taką podróż z mojego powodu. – Jej długa twarz lśni w blasku świec jak księżyc dobrze po pełni. – Wiem, że jesteście bardzo zajęтым człowiekiem, i nie chcę, abyście tracili czas.

– Może sam to osądzę?

Nad jej barkiem widzi szeroką, inteligentną twarz Anny, królowej Bretanii, a teraz ponownie królowej Francji, przyglądającej mu się bacznie. Do kogo właściwie ja się tu zalecam?, myśli.

– Jest chyba zakochana w kimś innym.

– W kim?

– W jakimś bretońskim arystokracie, krewniakowi królowej, z tego, co wiem – mruczy papież, podnosząc oczy do sufitu.

– Och, *papà*. Ktoś taki jest chyba nikim w porównaniu z -Cesarem.

– Mniej niż nikim. Ale dama jest niewzruszona. I, jak słyszałem, równie prostolinijna, jak nieładna.

– Może być, że królowa Anna ją w tym wspiera. Skoro księżniczka jest pod jej opieką, a ten człowiek jest krewnym...

– Ha! Twój brat jest tego samego zdania. W takim układzie król powinien polecić małżonce, żeby się nie wtrącała. Sojusze państwowe to sprawy mężczyzn.

– Niemniej jednak kobiety, ładne czy brzydkie, mają swoje uczucia, *papà* – mówi Lucrezia z powagą.

– Zaiste. Tak czy inaczej, nie przyszedłem tu po to, by obciążać cię takimi rzeczami. Jak się czujesz?

Lucrezia leży na sofie w pokoju przyjęć swojego pałacu, śliczna, choć trochę bledsza niż zazwyczaj.

– O, nie obciążasz mnie. Dobrze mieć coś, co oderwie mnie od własnych myśli. A czuję się lepiej. Tylko od czasu do czasu trochę mi smutno.

– Odprawiłaś już służącą?

– Nie jest niczemu winna, *papà*. To ja najpierw upadłam. Byłam po prostu taka... taka rozradowana...

Szczęście ma swoje rysy. To był jeden z tych dni pod koniec zimy, kiedy powietrze jest łagodne, a niebo przypomina zwój błękitnego jedwabiu i nie można już wytrzymać w domu. W jej umyśle pojawił się rozkoszny pomysł, że ona i jej damy urządzą sobie przejażdżkę brzegiem rzeki. Zatrzymały się na popas i posiliły nieco, a potem zaczęły się bawić. Lucrezia poderwała się do gonitwy, bo dzień był taki piękny, bo miała osiemnaście lat i była zakochana, i spodziewała się dziecka, i chciała to wszystko uczcić. Długa suknia, błotnista trawa, korzenie drzew. Kiedy indziej po prostu fiknęłaby kozła, a fakt, że dziewczyna biegnąca z tyłu przewróciła się wprost na nią, przyprawiłby je co najwyżej o atak zdyszanego śmiechu. I w chwili, kiedy się to stało, rzeczywiście się śmiały, ale zauważyła przebłysk niepokoju w oczach towarzyski, a w drodze do domu chwycił ją ostry ból w podbrzuszu i wszyscy wiedzieli już, że coś jest nie w porządku.

Było za wcześnie, żeby dało się określić płeć. Za wcześnie, żeby dało się dostrzec cokolwiek w tej ciemnej krwawej bryłce, którą wydała z siebie jeszcze tego samego wieczoru. To się zdarza bardzo często, zapewniali ją medycy i jej damy. Czyste wydalenie. Nic, co uniemożliwiłoby następną ciążę. Lucrezię jednak zaskoczyło poczucie osierocenia, które nią owładnęło, i nawet pogoda ducha Alfonsa nie mogła przywrócić jej uśmiechu. Okazało się, że więcej pociechy przynosi jej niedźwiedzi uścisk ojca i sam zapach jego miłości, toteż w ostatnich tygodniach, kiedy minął najgorszy nawał spraw do załatwienia, Aleksander zaczął ją odwiedzać i dzielić się z nią politycznymi nowinkami.

– A król Federico w Neapolu? Co mówi o tym drugim mężczyźnie?

– Nic. – Na twarzy papieża pojawia się grymas niezadowolenia. Wiadomości napływające z Francji w ciągu tych ostatnich tygodni miały niebagatelny wpływ na jego nastrój. – Chowa głowę w dyplomatyczny piasek i nie mówi ani słowa. Prawda jest taka, że życzy sobie tego małżeństwa tak samo mało jak i ona, ale nie chce powiedzieć tego na głos. Co czyni go dwakroć głupcem.

– Bardzo przykro mi to słyszeć. Wiesz, że Alfonso pisał do niego wiele razy, jakim szlachetnym człowiekiem jest Cesare i jak wspaniałe byłby to związki.

– Uhhh – przytakuje z roztargnieniem Aleksander. Mimo że towarzystwo księcia Bisceglie jest mu o niebo miłsze niż tego idioty Giovanniego Sforzy, w niemałej mierze dlatego, że nowy zięć tak uszczęśliwił jego córkę, jego pojmowanie polityki okazało się rozczarowująco powierzchowne.

– Może powinienesz sprowadzić Cesarego z powrotem i znaleźć mu lepszą oblubienicę – mówi Lucrezia. – Kardynał Sforza ma kilka sugestii.

– Wyobrażam sobie. Wygląda na to, że ostatnio widzisz mojego wicekanclerza częściej niż ja.

To prawda, że od wyjazdu Cesarego stronnictwo mediolańskie próbuje używać Lucrezii jako medium, chcąc, by jego głos docierał do papieża. Ascanio Sforza w listach do swojego brata Ludovica pisze o przenikliwym umyśle kryjącym się pod jej wystudiowanym wdziękiem.

– Nie mówi niczego nielojalnego, ojczu. Po prostu martwi się o przyszłość Mediolanu.

– Powinien był przede wszystkim martwić się o nią pięć lat temu, kiedy jego brat ściągnął tu Francuzów.

Nie tylko Sforzowie narzekają. Od wyjazdu Cesarego papieska sala posłuchań rozbrzmiewa podniesionymi głosami niczym targ rybny. Ambasador Hiszpanii posunął się do oskarżenia papieża o narażanie niezawisłości Kościoła przez to nierozważne przymierze. Gdy Aleksander wyrzyczał swą odpowiedź, ambasador wyszedł tak szybko, że drzwiami niemal

uderzył w twarz jak zwykle kręcącego się w ich pobliżu Burcharda. Następnego dnia opowieść o awanturze obiegła niemal cały Rzym.

– *Papà?*

– Słucham.

– Wszystko w porządku? Wyglądasz na zagniewanego.

Aleksander uśmiecha się.

– Tak, tak. Myślę po prostu o różnych sprawach.

– Mogę jakoś pomóc?

– Już pomogłaś, przez samo to, że byłaś przy mnie. A teraz muszę iść, a ty powinnaś odpoczywać.

Przy drzwiach zatrzymuje go jednak jej głos.

– Jeśli te zaloty się nie powiodą, znajdziesz mu inną godną małżonkę, tak? Chodzi mi o to, że... cokolwiek się wydarzy, Alfonso i Sancja pozostaną w rodzinie, prawda, ojczy?

– Nie zamartwiaj się takimi rzeczami, Lucrezio – mówi, ponieważ sam nie chce o tym myśleć. – Po prostu wydobrzej i daj mi wnuka.



Rozdział 40



Po prawdzie Aleksander rzeczywiście najchętniej sprowadziłby księcia z powrotem i znalazł mu inną kandydatkę na żonę. Ludwik jednak nie ma najmniejszego zamiaru puścić go do domu. Poświęcił pierwszorzędną kawalek francuskiej ziemi, by związać dynastię orleańską z domem Borgiów w tym wielkim włoskim przedsięwzięciu i ostatnie, czego by chciał, to powrót jego drogiego kuzyna do Rzymu, gdzie kto wie, jakie polityczne naciski mogą skłonić papieża do zrewidowania swojego poparcia dla inwazji.

Kulejące zaloty utykają w miejscu, a Cesare, złapany jak mucha w słoju powideł, przeklina sam siebie, że nie dostrzegł wcześniej, co się święci. Jest uzależniony od Ludwika – nie tylko od okazałego trzosa złota (którego jeszcze nie otrzymał), ale i armii, której będzie potrzebował, wracając do Italii. Nie może ot tak wzgardzić gością króla i odmaszerować z Francji wraz z całym swoim dworem. Nie może też opuścić jej bez niego. Tym razem nie wymknie się z namiotu, zostawiając za sobą puste kufry. Gość stał się zakładnikiem bardziej faktycznym, niż był nim jako zakładnik. Błąd, którego nigdy więcej nie popełni.

Na początku marca król dokonuje jeszcze jednej próby, organizując dla odpornej parki papużek kolację we dwoje, jedynie z Ich Królewskimi Wysokościami w charakterze przyzwoitek. Posiłek jest męczarnią: Carlotta nie odzywa się niezagadywana, a Cesare patrzy nad stołem na jej płaską twarz, wyobrażając sobie, że to mur twierdzy, bardziej podatny na kule armatnie niż na komplementy. Co gorsza, jego upokorzenie staje się tak publiczne, że w Paryżu studenci prawa, ta czereda nieznająca świętości, wystawiają komedię o tym, jak syn Boży nie może znaleźć sobie żony, biedaczek.

– Juryści! W jakimkolwiek języku by mówili, zawsze cuchną cudzym gównem. – Michelotto, jak zwykle nie w sosie, gdy musi tkwić na dworze, rad by się na kimś wyżyć. – Pozwól mi wziąć paru ludzi na paryskie ulice, a będą wygłaszali swoje mowy dużo cieńszym głosem.

Gdyby tylko było to takie proste, myśli Cesare. Gdyby tylko...

Następnego ranka król wzywa ambasadora Neapolu na pilną audiencję. Słychać podniesione głosy, a spotkanie nie trwa długo. Po południu Cesare wyładowuje swoją frustrację na polowaniu. Z własną sforą psów, gończych i brytanów, odłącza się od drużyny i samotnie zapuszcza głębiej w las.

Psy przedzierają się przez zimowe poszycie, z ogonami w górze i nosami przy ziemi, aby zwietrzyć zwierzynę. Przejechały z nim całą drogę z Italii i wie, jak wabi się każdy z osobna. Kilka mastyfów i brabantczyków oglądał jeszcze jako ślepe szczenięta suk, które osaczały dziki, kiedy on, Cesare, był zaledwie pacholęciem w siodle. Jego łowczy twierdzi, że nie pracował dotąd z człowiekiem, który umiałby postępować z psami tak jak on – to, co u innych wynika z wprawy, u niego jest czystym instynktem. Cesare, wyczulony na zapaszek pochlebstwa, nie jest tego taki pewien. Ale wie jedno: kiedy ma wrażenie, że głowa pęknie mu od nieprzejednania i głupoty innych, jest zawsze przestrzeń, w której może odetchnąć, a jego koń i psy, jak najlepsi żołnierze, wykonują jego komendy, niemal zanim zdąży je wydać.

Z dala od reszty myśliwych jedyny hałas, jaki słychać, to szelest liści i trzaskanie gałązek

pod stopami. Przedwiośniane słońce prześwieca przez sklepienie drzew, tak że chwilami Cesare czuje się, jakby jechał przez strzelistą nawę francuskiej katedry, rozświetloną łukowatymi oknami w połowie niebosiężnych ścian. Niektórzy powiadają, że w takich kościołach Bóg inaczej wnika w człowieczą duszę – dzięki tak cennemu światłu sama architektura sprawia, że głowa zadziera się ku Niemu. Cesare spędził zimę, odmrażając sobie jaja właśnie w takich miejscach, i tęskni za przytulnością Rzymu. Watykańska kaplica jest może duża, ale jej ściany żyją: rozgrywają się na nich historie i bitwy, w większości tak realistyczne, że ma się wrażenie, jakby można było wskoczyć w sam środek zdarzeń. Na najlepsze strategiczne pomysły wpadał właśnie tam.

Na rany Chrystusa, myśli, jestem zmęczony tym krajem. Chcę jechać do domu.

Psy skomla. Gończe coś zwęszyły. Jeśli trop jest świeży, mogą dopędzić najszybszego jelenia. Dzikie są wolniejsze, lecz ze swoimi ciałami jak taran potrafią wdzierać się w niewielkie luki w poszyciu i ginąć w gęstwinie. Pogoń trwa przez jakieś dwie, trzy mile. Słyszy w pewnej odległości sygnał królewskiego rogu. Główna obława jest bliżej, niż myślał; może podjęli ten sam trop. Ale to zwierzę należy do niego. Pogania konia, pochylając się nisko w siodle, gdy przeskakują przez powalone pnie i mkną pod niskimi konarami.

Psy wysuwają się teraz jeszcze bardziej na prowadzenie, pracą głębiej w gąszcz, i nagle jest, osaczony: wyrosnięty odyniec o masywnej głowie, krótkich nogach i krępym, szczeciniastym tułowiu. Jest duży – co najmniej trzysta pięćdziesiąt funtów – z okazałymi szablami sterczącymi z żuchwy.

W panice rzuca się w las, lecz nie dość szybko: w ciągu paru minut psy otaczają go, doskakując do niego i zaganiając ku skrawkowi otwartej przestrzeni, brytany już w pogotowiu, napięte i skowyczące, lecz karnie powstrzymujące się od ataku w oczekiwaniu na rozkaz.

Cesare rzuca komendę i ruszają hurmą, warcząc i kłapiąc pyskami; próbują złapać zębami ogon albo ucho, cały czas uskakując spod kłów. W kakofonii ujadania i kwików dzik ciska się, usiłując strząsnąć z siebie psy. Na chwilę oswobodzony, spuszcza łeb i szarżuje, zahaczając szablą podbrzusze jednego z mastyfów i wyrzucając go w powietrze. Las wypełnia przeraźliwie wysokie wycie. Cesare rzuca pierwszą włócznię jeszcze z siodła. Drzewce wbija się w bok odyńca nisko i blisko zadu. Musiało przeszyć ważne narządy, ale zanim zada śmierć, ból rozjuszy zwierzę.

Cesare zeskakuje z konia, drugą włócznię – rohatynę z poprzeczką za grotem – już trzymając wymierzoną w miotającego się i ryczącego dzika. Dzieli ich dwadzieścia, może trzydzieści–czterdzieści kroków. Sprawdza, czy jego stopy stoją pewnie na gruncie, i czeka. Słyszy śpiew krwi tętniącej mu w ciele i w uszach. Najlepsze miejsce to kark, ale gdziekolwiek trafi, drugiej szansy nie będzie.

Odyniec szarżuje z szaloną prędkością, z głową nisko opuszczoną, by kły miały odpowiednie przyłożenie. Cesare widywał mężczyzn na wpół rozprutych dziczym orężem, gdy rohatyna nie zdołała powstrzymać zwierzęcia.

– No, dalej! – wrzeszczy na całe gardło. Mimo że jest przygotowany, impet zderzenia, gdy dzik całym ciężarem rzuca się wprost na włócznię, na moment go dezorientuje. Przez sekundę i człowiek, i zwierzę chwieją się na nogach. Człowiek pierwszy odzyskuje siłę. Godziny spędzone na rąbaniu mieczem dały mu mięśnie z żelaza w całym ciele, a rohatyna wchodzi tylko po poprzeczkę, więc dzik, choćby napierał, nie zbliży się do tego, kto ją trzyma. Grot przeszył nasadę karku i tkwi głęboko, Cesare zaś trzyma mocno, więc zwierzę może jedynie kwiczeć i szamotać się we wścieklej agonii. Cesare przyzywa psy, które rzucają się na unieruchomione ciało, aż w końcu powalają odyńca na ziemię. Dopiero wtedy puszcza włócznię i sięga po kordelas. Zwierzę próbuje wstać, ale rany są zbyt ciężkie. Póллеży na boku, a jego potężnym

cielskiem wstrząsają dreszcze. Teraz Cesare podchodzi tak blisko, że może dotknąć szczeciny. Przymierza się i wbija długie ostrze, trafiając w arterię, tak że krew tryska w powietrze jak z fontanny, mocząc mu ubranie, spryskując twarz i włosy: gejzer uchodzącego życia.

Zwierzę jeszcze rzuca się w drgawkach, z krwią nadal buchającą na ziemię, kiedy Cesare jednym cięciem otwiera mu brzuch. Psy, warcząc i prężąc się, ledwo wytrzymują w oczekiwaniu na swój udział w zdobyczy. Nawet ten raniony wyczołgał się z krzaków, by dołączyć do sfory, wlokąc po ziemi połowę własnych wnętrzności. Cesare wycina trochę flaków i rzuca mu pierwszy ochłap. Odsuwa się, by dać im dostęp, i psy dostają amoku z radości.

Pogoń i zabijanie. Nic na świecie nie może się z tym równać. Od miesięcy nie czuł się tak obecny, tak pełen życia. Jak wszyscy mężczyźni spragniony jest ciepłych, przytulnych kobiecych zakątków, ale jeśli niebo daje wstęp takim jak on, jego wieczność upłynie na łowach, nie na spółkowaniu.

Na polanę wpadają galopem pierwsi jeźdźcy z głównej obławy, oczywiście z królem na czele. Ludwik ściąga wodze konia, zaskoczony widokiem tego pięknego młodego mężczyzny skapanego we krwi. Królewska sfora wysypuje się na scenę i psy zaczynają się obszczekiwać w terytorialnej sprzeczce nad ubitą zwierzyną. Nikt inny się nie porusza.

Wreszcie król zsiada z wierzchowca, gestem dając znak innym, by zostali na miejscach.

– Valentinois! – krzyczy, podchodząc do Cesarego. Nad drgającym wciąż ciałem odyńca chwyta jego twarz obiema dłońmi i przyciąga do siebie, jakby mieli się pocałować, po czym w ostatniej chwili obejmuje go i trzyma przez chwilę w uścisku, aż sam przesiąka krwią. Cesare jednak pozostaje jeszcze w komunii ze śmiercią i śmiech, który z siebie wydaje, brzmi bardziej zwierzęco niż dwornie.

– Valentinois – mówi król ponownie, jakby przypominając mu, kim i gdzie jest. I tym razem inni podchwytywają wezwanie, które rozlega się za nim, niemal skandowane:

– Valentinois! Valentinois! Valentinois!

– Słodki Jezu, wyglądasz jak poganin. Niech Bóg ma w opiece twoją żonę w waszą noc poślubną – śmieje się Ludwik, zamasyżuje obejmując go za ramiona i odwracając ku reszcie łowców, by mogli stać się świadkami spektaklu ich krwawej zażyłości. – Chodź, zostaw dorzyny innym. Nagrodzą psy i przyniosą ci kły i racice. My dwaj mamy ważniejsze sprawy.

Z powrotem w pałacu Cesare, wykąpany i stosownie odziany, towarzyszy Jego Królewskiej Mości przy kolacji w jego sypialni. Grube kotary z brokatu hamują przeciągi, a w otwartym palenisku trzaska rażno i pryska iskrami jabłoniowe drewno. Podczas gdy służący nalewa wino, czarne w blasku świec jak dzicza krew, król nie może oderwać oczu od swojego gościa.

– Podobnie jak ty, mój wspaniały, drogi księżę, jestem człowiekiem, który niechętnie przyznaje się do porażki. – Ludwik zaczyna bez osłonek; od Cesarego wciąż bije żądza krwi i król czerpie z niej energię. Pomyśleć, że taka męskość marnuje się wśród dworskich intryg! Postawić go na czele oddziału kawalerii, a ten dziki młody wojownik będzie błyszczał jaśniej niż jakakolwiek zbroja. – Zrobiłem wszystko, co mogłem, ale wygląda na to, że Neapol nie chce cię za zięcia. Cóż mam rzec? Wierzaj mi, to tylko ich strata. Jesteś jednak naszym drogim sojusznikiem i jeszcze droższym kuzynem i nie dopuszczę do tego, byś był rozczarowany. Przynajmniej ci małżonkę z królewskiego rodu o imienia Carlotta – i dostaniesz, co ci obiecano. Wypijmy: za małżeństwo i wojnę. – Wznosi toast swoim krwistym winem i ich srebrne puchary uderzają o siebie z brzękiem. – A teraz chcę, żebyś kogoś poznał.

Charlotte d'Albret jest młoda i piękna, a w jej żyłach płynie krew równie błękitna jak jej niepięknej imienniczki. Jest siostrą króla Nawary, również roszczącej sobie pretensje do francuskiego tronu. Ma wyniosłe piersi jak dojrzałe melony, uśmiech, który stopiłby lód,

łagodnie religijne poczucie obowiązku i ojca, którego jedyną troską jest zapotrzebowanie na dodatkową gotówkę. Może król trzymał ją w odwodzie przez cały czas. Kto wie?

– Cóż jest zresztą takiego w Neapolu poza wylęgarnią podstępów i choroby, he? W ten sposób będziesz mieć nie tylko francuskie włości, ale i żonę z królewskiego francuskiego rodu. – Idą razem przez dworski ogród. Powietrze z każdym dniem robi się łagodniejsze. – Kiedy już się ożenisz, nic nie zdoła nam przeszkodzić, gdy wyruszymy razem, żeby ujarzmić ten zdradziecki Mediolan. Po zdobyciu miasta moja armia będzie twoją i będziesz mógł robić z nią, co zechcesz. Niechaj Bóg zmiłuje się nad twierdzą, na którą pomaszrujesz, Cesare – mówi król, widząc znów krwawe, parujące wnętrzości dzika w jego dłoniach. – Jeśli zaś idzie o Neapol... cóż, zawsze pozostaje nasze francuskie roszczenie. Odwet, drogi kuzynie, można brać pod wieloma postaciami.

Cesare, który zaglądał już w zęby wielu darowanym koniom, potrafi rozpoznać dobrego wierzchowca. W Rzymie Aleksander, który cierpiał z powodu synowskiego upokorzenia, jakby chodziło o niego samego, teraz tryska radością. Małżeństwo zostaje wypertraktowane, zatwierdzone podpisami i uroczyście zawarte w kaplicy królowej w Blois 12 maja, ledwo sześć tygodni po ich pierwszym spotkaniu.

Posłaniec Cesarego wyrusza galopem, kiedy jest jeszcze ciemno. Ojca i syna dzieli siedemset kilometrów i łańcuch gór. Dociera do Watykanu cztery dni później. Zanim udaje mu się otworzyć usta, nogi się pod nim uginają i Aleksander zezwala zwykłemu słudze, by usiadł w jego obecności. Zaczyna mówić, lecz krtań ma tak zapyloną, że tylko coś chrypi. Jadło i wino pomagają mu odzyskać siły.

Cztery godziny później mężczyzna nadal odpowiada na pytania, a papież dołącza do niego przy stole. Żaden szczegół nie jest zbyt błahy, żaden tryumf nie ujdzie nieuczczony. Jego nowa synowa to prawdziwa piękność, z garderobą kipiącą od Borgiowskich klejnotów i sukien. Cesare był najprzystojniejszym panem młodym, jakiego dwór widział na oczy, śniadanie weselne – niezwykle wystawne, a król Francji jest tak rozkochany w kuzynie, że obsypuje go coraz to nowymi tytułami i darami. Jeśli zaś chodzi o noc poślubną – o, noc poślubna... Posłaniec, powłócząc nogami, udaje się do domu na spoczynek dopiero po zrelacjonowaniu wszystkiego jeszcze raz tym, których Aleksander zaprosił, by także oni wysłuchali nowin. I tak oto jurność Cesarego przechodzi do historii: dwa razy przed kolacją i sześć razy po.

– Mój syn. Mój syn! Podnieść lancę osiem razy w ciągu jednej nocy! – powtarza radośnie papież przy każdej opowieści. – Przewyższył własnego ojca!

To tryumf rodzinny i wszyscy muszą cieszyć się wraz z nim.

Na dziedzińcu pałacu Santa Maria in Portico księżna Bis-ceglie każe palić ogień dla uczczenia wydarzeń. Wewnątrz jednak świętowanie nie jest huczne.

Kiedy papież przychodzi z wizytą, księżęca para przyjmuje go w sypialni Lucrezii, z dyskretnie schowaną miską na wymioty na podorędziu. Podobnie jak w przypadku jej brata, obowiązek małżeński jest obecnie dla Lucrezii przyjemnością i nosi już następne dziecko, które ma przyjść na świat późną jesienią. W połowie historii o tryumfie Cesarego jej uśmiech zaczyna drzeć, a z oczu wymykają się łzy. Próbuje odegnać je śmiechem, ale nadal toczą się po policzkach.

– To przez dziecko – mówi Alfonso, ściskając jej dłoń. – Ostatnimi tygodniami odczuwa wszystko z wielką siłą.

Aleksander potakuje ze zrozumieniem.

Dziecko nie ma z tym jednak nic wspólnego. Cesare ożenił się we Francji, a więc Neapol nie jest już sojusznikiem.

„...cokolwiek się wydarzy, Alfonso i Sancja pozostaną w rodzinie, prawda, ojczyzna?” „Nie

zamartwiaj się takimi rzeczami, Lucrezio”. Słowa rzucone lekko zaledwie kilka miesięcy temu teraz wiszą między nimi oskarżycielsko. Papież, który nie znosi, by jego radość mąciły przyszłe problemy, całuje ją w czoło i wymawia się od dalszego pozostania ważnymi sprawami do załatwienia.

Gdy drzwi się za nim zamykają, Alfonso otacza Lucrezię ramionami.

– Wszystko jest w porządku. Jesteś córką papieża, wszystko będzie dobrze.

– Nie. Nie rozumiesz? To małżeństwo czyni twoją rodzinę wrogiem. A to naraża na niebezpieczeństwo ciebie i Sancię.

– Co? Uważasz, że będzie próbował rozwieść nas oboje? Nie sądzę. Może nie zasłynąłem ze swoich wyczynów tak jak Cesare, ale nikt nie może wątpić w to, że jesteśmy małżeństwem. Za parę miesięcy będę ojcem jego wnuka. Jakkolwiek byłby rozgniewany na mojego stryja, nie wystąpi przeciwko mnie. Za bardzo cię kocha.

Lucrezia wpatruje się w niego: te oczy, jak szlifowane szafiry. Można by pomyśleć, że potrafią przejrzeć wszystko na wylot.

– Na pewno masz rację – mamrocze. – Jestem głupia.

Przywiera do niego mocniej. Nie ma sensu mówić mu, że nie ojciec jest powodem jej zmartwienia.



Rozdział 41



Lipiec. Francuska armia jest już w ruchu. Cesare zostawia swoją świeżo poślubioną małżonkę we łzach i obejmuje dowództwo własnego szwadronu kawalerii. Król wita go publicznie, obejmuje, nazywa bratem i wojownikiem i znajduje jeszcze jedno francuskie odznaczenie, które można dodać do jego listy tytułów i honorów.

Kiedy wieści docierają do Rzymu, wicekanclerz Ascanio Sforza natychmiast wybiera się za miasto na łowy, przy czym jego bagaż jest cokolwiek za duży jak na taki krótki wypad. Wyrok na Mediolan zapadł i kardynał nie może się spodziewać ze strony Kościoła żadnej pomocy.

Nawet gdyby papież miał taką wolę, niewiele może zrobić. Francja ma w kieszeni połowę Italii. Wenecja podpisała z nią własny traktat, a mniejsze państewka: Ferrara, Mantua i Sabaudia już liczą korzyści, które przyniesie im poparcie króla Ludwika. Jakikolwiek patriotyczne mrzonki mógł mieć Aleksander odnośnie do swojej przybranej ojczyzny, trudna do przełknięcia prawda jest taka, że kraj ten to terytorium opanowane przez bandę prychających na siebie kocurów, których przeszłość niczego nie nauczyła. Sprawiedliwość dziejową można dostrzec jedynie w tym oto poetyckim fakcie: człowiek, który pięć lat temu otworzył tamę, pierwszy zostanie zmieciony przez falę. Tak jak Aleksander przewidywał, nikt nie zamierza płakać po Sforzach.

Przed odjazdem wicekanclerz po raz ostatni zachodzi do pałacu Santa Maria in Portico, aby pożegnać się z młodą parą, która w ciągu miesięcy narastającego napięcia była jego najbliższym łącznikiem z papieżem. Siedzi nerwowo, jakby przez drzwi w każdej chwili mieli wpaść żołnierze.

– Naprawdę musicie wyjeżdżać? – pyta Lucrezia z troską.

– Linie zostały wytyczone. Nie ma tu już dla mnie miejsca. – Przerywa. – I jeżeli chcecie znać moje zdanie, nie jest to też bezpieczne miasto dla waszego męża.

– Ależ jestem zięciem papieża – mówi Alfonso automatycznie. Fraza ta jednak straciła już wiele ze swego krzepiącego wydźwięku.

– Jesteście także bratankiem króla Neapolu. Mogę mówić otwarcie, moja pani?

Lucrezia przytakuje. W ciągu tych ostatnich kilku miesięcy uczyła się szybko i wie, że sprzymierzeńcy bywają przyjaciółmi tylko wtedy, gdy pozwalają na to polityczne okoliczności. Niemniej jednak do tego kardynała z rodu Sforzów czuje pewien sentyment. Choć brak mu instynktu polowania, jest zdolniejszy od wielu i gdyby miał innego brata, mógłby sam osiągnąć znacznie więcej.

– Kiedy już Francuzi wezmą Mediolan, podniosą na nowo swoje roszczenia względem Neapolu. Odmawiając Cesaremu małżeństwa z Carlottą, król Federico wydał wilkom na pożarcie nie tylko siebie samego, ale całą dynastię aragońską. Wasz brat dostanie francuskie wojsko, by wykroić sobie z włoskich ziem państewko, a Neapol będzie ceną, jaką papieżstwo za to zapłaci. Związek z tą rodziną to już nie przywilej, lecz obciążenie. Wiem aż za dobrze, co mówię.

Nie, nie, chce powiedzieć Lucrezia. Nie jest tak jak ostatnim razem. Jak mogłoby być? Splata ręce na brzuchu w nieświadomym obronnym geście.

– Przykro mi, pani. Tak to widzę.

Lucrezia spogląda na męża. Żadne z nich się nie odzywa. Oboje myślą to samo: już się zaczęło.

Po części zawinił Jofré. Dobijając się nieustannie o uwagę ojca, zaczął naśladować Juana, obwieszając się klejnotami i hulając po Rzymie z kompanią rozbisurmanionych Hiszpanów. Przed kilkoma dniami na Moście Świętego Anioła natknął się na kapitana straży rzymskiej i w awanturze, która się wywiązała, ktoś postrzelił Jofrégo z kuszy. Przyniesiono go do pałacu wyjącego wniebogłoso, z krwią sikającą ze zranionej nogi, i Sancia, przerażona widokiem, podniosła alarm w samym Watykanie, wyciągając papieża z łóżka i domagając się zemsty.

Jednak ból Jofrégo nigdy nie przeszycie serca ojca tak jak cierpienia Juana. Po wysłuchaniu obu stron papież uniewinnia dowódcę straży i wysyła syna do Zamku Świętego Anioła, by ochłonął w celi. Na wieść o tym Sancia wpada w szal.

– To szczyt wszystkiego! Jofré niemal się wykrwawił!

– Medycy mówią co innego. Według nich to powierzchowne zranienie.

– Nieprawda! Z bólu odchodził od zmysłów.

Aleksander wzdycha. Tkwiąc po uszy w wielkiej polityce, nie potrzebuje teraz tej całej historii, ale Sancia nigdy nie nauczyła się sztuki zmiękczenia ofiary, zanim się na nią rzuci.

– Jak mogłeś darować winowajcy, a ukarać Jofrégo? To niesprawiedliwe!

– Jeśli Jofré podniósł miecz na ludzi kapitana, dostał, na co zasłużył.

– Ale jest twoim synem!

– Niechaj więc tak się zachowuje.

– Inaczej byś mówił, gdyby chodziło o Cesarego. Albo o Juana.

Juan. Wypowiedziane miano dźwięczy w powietrzu. Prawda jest taka, że nikt nie wymawia imienia zmarłego syna papieża w jego obecności. Dał jasno do zrozumienia, że nie lubi, by mu przypominano...

Wpatruje się w nią: w tę małą ciemną ślicznotkę ze świdrującym wzrokiem i krzykliwym sposobem bycia. Cztery lata małżeństwa i ani śladu ciąży. Byłby skłonny wierzyć, że to wina Jofrégo, gdyby nie to, że gościła w łóżu wszystkich jego synów, a nie było z tego nawet poronienia. Może problem jest po jej stronie. Jeśli będzie musiał znaleźć Jofrému inną żonę... A! W tej chwili nie jest to warte zachodu.

– Audiencja skończona, młoda damo. Idź i zajmij się swoim mężem.

– Pójdiesz się z nim zobaczyć?

– Jestem bardzo zajęty.

– Ale to twój syn!

– Jeśli to rzeczywiście mój syn... – Macha ręką w ślepej furii. Och, ależ ma dosyć pouczania przez histeryczne Hiszpanki.

Sancia gapi się na niego; oboje natychmiast uświadamiają sobie, co zostało właśnie powiedziane.

– Co z ciebie za dama – mówi, opanowując się. – Powinnaś nauczyć się trzymać język na wodzy.

Sancia jednak zawsze była krewka, a kiedy się boi, musi walczyć, po to by przewyciężyć strach.

– Przepraszam, Ojczyce Święty. Tam, gdzie dorastałam, wolno było mówić, co nam leży na sercu.

– A więc może byłoby najlepiej, gdybyś tam wróciła.

– Co przez to rozumiesz? Chcesz mnie odesłać z Rzymu? A co z Jofré?

– Och, co za dramatyzm! Idź do męża, kobieto. Nie chcę cię już oglądać.

Po jej wyjściu Aleksander siedzi i żołądkuje się. Jest papieżem, sercem i głową Świętego

Kościół – jak toto śmie wykrzykiwać do niego zażalenia? Matko Boża, naprawdę powinien wymagać więcej szacunku. Wzdycha. Oczekuje ambasadora Ferrary, który może pojawić się lada chwila. Wejdzie, sapiąc i fukając, i będzie domagał się zapewnienia, że dokądkolwiek Cesare zaprowadzi swoją armię po Mediolanie, nie zagrozi to szlchetnemu domowi d'Este. Listy ojca i syna przekraczają Alpy tam i z powrotem: dzięki Bogu dysponują najbezpieczniejszym systemem pocztowym w Europie. Na szali jest przyszłość dynastii. Tyle jest do zrobienia, a on spędza życie otoczony ludźmi, którzy albo nie potrafią przestać narzekać, albo uważają, że mają prawo podnosić na niego głos.

Gdzieś w środku Aleksander zdaje sobie sprawę, że on także reaguje przesadnie. Taka niecierpliwość nie leży w jego charakterze, ale nagła zmiana wiatrów i odwrót od Neapolu i Hiszpanii utrudniły mu życie na wiele sposobów. Miałby ochotę porozmawiać z Lucrezią, bo w przeszłości bywała roztropną słuchaczką. Ale nie teraz. Teraz tylko patrzy na niego wielkimi, bolesnymi oczyma. A czy to jego wina, że król Neapolu sam podpisał na siebie wyrok śmierci? Niech ich wszystkich diabli.

Kiedy Sancia zjawia się w pałacu, jest na skraju załamania nerwowego: rzuca się w ramiona Alfonsa i płacze, że rychło zostaną wygnani – albo i gorzej.

– Źle, że go rozgniewałaś, siostrze. Jest pod wielką presją.

– A my nie? Mówię ci, Alfonso, zostaliśmy z niczym. Powinieneś być go słyszeć. Nie obchodzi go nawet Jofré. Z tego, co mówi, można by sądzić, że ma tylko jednego syna, tego potwora Cesarego.

– Nie nazywaj go tak – mówi Alfonso cicho.

– Och, jesteś taki naiwny, bracie. Cesare nigdy cię nie lubił. To były tylko pozory. Dba o ludzi jedynie wtedy, kiedy są dla niego użyteczni. Rozgniółby cię jak muchę, gdyby miało to przynieść korzyść „rodzinie”. Spytaj Lucrezię, ona ci powie.

Powtarzając Lucrezii opowieść Sancii, Alfonso decyduje jednak, że nie będzie jej naciskał w kwestii przeszłości. Jest w piątym miesiącu ciąży, a on nie chce jej trwożyć. Zamiast tego bierze pióro i pisze do stryja. Nawet gdy mąż kocha żonę tak jak on, winien jest lojalność przede wszystkim rodzinie, z której pochodzi. Taka jest natura rzeczy.

Sierpień: za gorąco na ruch, za gorąco na myślenie,omalże za gorąco na modlitwę. Francuskie oddziały pocą się na przedgórzach Alp, zmierzając ku letnim przesmykom. Trudno powiedzieć, gdzie zostanie ich zima. Poczucie nadciągającej zguby jest tym silniejsze, że niezwykła będzie to zima. Dobiega kresu rok 1499, a z nim kończy się nie tylko stulecie, ale i połowa milenia. 1500. To taki przełom w czasie, że u wielu wywołuje rodzaj duchowego zawrotu głowy. Inwazja, wojna i ta nowa, szerząca się drogą płciową plaga – widome znaki Bożego gniewu – wszystko to przyczynia się do szeptów o zatracie, które rozprzestrzeniają się po całym chrześcijaństwie jak ogień w paprociach. W oczekiwaniu na sądny dzień grzesznicy zewsząd (bo któż jest bez grzechu?) przygotowują się do pielgrzymki. Ich celem zaś będzie Rzym.

Co dla jednych jest źródłem popłochu, innym przyniesie profity. Gratka w postaci deszczu dodatkowych dochodów przypadnie w udziale przede wszystkim wikariuszowi Bożemu. Aleksander już zajęty jest budowaniem. W letnim ukropie trwają prace: brygady ludzi zdzierają z tkanki miasta narośl domów i sklepów, które obsiadły główny trakt pielgrzymi między największymi świątyniami Rzymu jak skorupiaki przybrzeżną skałę. Między Zamkiem Świętego Anioła a stopniami rozbrzmiewającej echem starej Bazyliki Świętego Piotra wylania się nowa, reprezentacyjna arteria: Via Alessandrina. W jego wyobraźni już roi się na niej od wiernych duszyczek, przepojonych miłością Boga i majestatem Jego Kościoła na ziemi. Papieskie kufry napelniają się złotem, Rzym znów stanie się w oczach ludzi wielkim miastem, a pątnicy będą

wracać do swoich miast i wiosek rozsianych po całym chrześcijańskim świecie, niosąc na ustach imię Ojca Świętego, który przewodniczył temu wszystkiemu: Rodriga Borgii, Aleksandra VI, Hiszpana z urodzenia, lecz jako papież dzierżącego w dłoniach historię. Tego jest obecnie pewien.

W swoim pałacu sąsiadującym z Watykanem Lucrezia zaczyna czuć ruchy dziecka. Śpi teraz czasem po południu, ciężkim, głębokim snem, jakby pod wpływem narkotyku, który wciąga ją pod wodę, podczas gdy dziecko trzepocze się i rzuca jak wielka ryba. Kiedy się budzi, jest niekiedy tak zamroczona, że upływa dobra chwila, zanim uświadomi sobie, co się dzieje. Wyczuwa znowu ruch i kładzie ręce na brzuchu. „Cii, cii, wszystko będzie dobrze. Nic ci nie grozi”.

Z początku modliła się bez przerwy: „Niech to będzie chłopiec, dobry Boże, jeśli zasługuję, byś w swym miłosierdziu udzielił mi jakiegokolwiek łaski, niech to będzie chłopiec”. Wypowiedziała te słowa tyle razy, że zaczęła się czuć, jakby już stała się ciałem. Potem, w strachu, że jej pewność jest zuchwalstwem, za które zostanie ukarana, prosiła o przebaczenie. W ostatnich tygodniach urządziła sypialnię tak, że gdziekolwiek spojrzy, widzi święty obraz. Rzym pełen jest wielkich artystów, którzy wysławiają piękno człowieka, ale nie wszyscy potrafią uchwycić ducha tak samo dobrze jak ciało. Lucrezia szuka takich wizerunków ukrzyżowanego Chrystusa, w których Jego cierpienie ma w sobie najwięcej dobrotliwości. Mając przed sobą pół tuzina Madonn z Dzieciątkiem, wybiera tę, której spokój dorównuje radości. W ten sposób budząc się, może spoglądać to na jedno, to na drugie. Wśród narastającego chaosu dobrze mieć takie przypomnienie.

Kiedy pierwsze oddziały przetaczają się przez przełęcze, nadchodzą wieści z mediolańskiego dworu. Ludovico Sforza, zawsze ze wzgardą wyrażający się o tych, których życiem rządzą astrologowie, wejrzał we własną przyszłość i zbiera wszystko, co nie jest przytwierdzone na stałe, gotów do ucieczki. Jego lęk się udziela. Dwa dni później Lucrezia wstaje rano i dowiaduje się, że jej mąż podjął tę samą decyzję. W liście, który zostawił, zapewnia, że ją kocha i że napisze, kiedy dotrze do Neapolu. Lucrezia nie wie, czy się śmiać, czy płakać.

– To robota króla Federica – grzmi Aleksander, gdy mu o tym donoszą. – Jeśli tak mu pilno, by mieć znów rodzinę przy sobie, wymiećmy ją stąd do czysta. Powiedz mojej synowej, żeby pakowała kufry. Może sobie wziąć i ją.

Kiedy Sancia odmawia wyjazdu, grozi, że przepędzi ją siłą. Jego gniew wywołuje zamęt na całym dworze. Po łzach i błaganiach zarówno Jofrégo, jak i Lucrezii Sancia udaje się w żalostną podróż.

Kilka dni później szpiedzy papieża przechwytyują list Alfonsa do Lucrezii, w którym księżę nalega, by wyjechała z Rzymu i dołączyła do niego.

Lucrezia jest w trakcie lektury listu, który otrzymała kiepsko na powrót zapieczętowany, gdy w pałacu zjawia się niezapowiedziany Aleksander.

– Przyszedłem sprawdzić, jak się miewasz – oznajmia hałaśliwie.

– Jestem w szóstym miesiącu ciąży i zostawił mnie mąż. – Lucrezia najpierw modliła się i płakała, i znów się modliła. Teraz, ku własnemu zdumieniu, jest prawie spokojna. Składa list i wręcza ojcu. – Proszę... jeśli przypadkiem jeszcze go nie czytałeś.

Aleksander jest zaskoczony jej opanowaniem.

– Nie powinien był odjechać w taki sposób – mruczy. – Bez pozwolenia.

– Lękał się o swoje bezpieczeństwo.

– Niepotrzebnie. Jako twój małżonek jest pod naszą opieką.

– Tak jak Giovanni Sforza?

– To co innego. – Wzdycha, jakby to on był zranioną stroną, a świat spiskował przeciwko niemu. – Nie przyszedłem tu, by z tobą walczyć, Lucrezio. Przeciwnie, jestem tutaj, bo trzeba mi twojej pomocy.

– Mojej pomocy? W czym?

– Potrzebuję namiestnika w Spoleto i Foligno; kogoś, kto będzie nimi zarządzał silną ręką i sprawiedliwie.

Lucrezia wpatruje się w niego.

– I to mam być ja? Ależ to funkcja dla kardynała.

– Kiedyś może tak. Ale nadchodzące miesiące mogą dramatycznie odmienić nasze losy i muszę mieć przy sobie ludzi, którym mogę ufać. Oczekiwanie na to, co może się zdarzyć, zasiało już ferment w wielu lennachs państwa kościelnego. Spoleto pozostaje lojalne, a lojalność musi być nagrodzona dobrym gubernatorem. Ty zaś potrafisz postępować z ludźmi, Lucrezio, i masz smykałkę do polityki. Obserwowałem, jak tego nabywałaś.

– Ale... Co z Jofrém?

– Jofré! Oboje wiemy, że Jofré nie umie nawet obrać sobie jabłka. Ale wyślę go z tobą, dla towarzystwa.

– A mój mąż? Sprowadzisz mi go z powrotem?

– To decyzja króla, nie moja.

Lucrezia czeka.

Sztuka negocjacji: jakiegokolwiek motywy stoją za ofertą, jego podziw dla coraz lepszej orientacji córki nie jest udawany. Aleksander wzdycha.

– Dobrze. Spróbuję.

Lucrezia wzbiera się przed skorzystaniem z wyłożonej jedwabiem lektyki, którą papież dla niej przyszykował, i większą część podróży odbywa na końskim grzbiecie. Zna drogę – jechała nią już do Pesaro – i zachwyca ją to, jak zmienia się krajobraz: z początku gęsto zabudowane i zadrzewione tereny ustępują długiej, żyznej równinie, z widowiskowymi miasteczkami na wzgórzach, sterczącymi jak kamienne hełmy po obu stronach traktu. Wszędzie, gdzie zatrzymują się na popas, ludzie wylegają, by ją powitać. Grzechy papieskiej córki od dawna są przedmiotem rozlicznych plotek, toteż ci, którzy ją teraz spotykają, są zaskoczeni, że mają przed sobą taką wdzięczną, skromną osobkę. Jedwab sukni opina się i błyszczy na jej brzuchu i szczególnie kobiety cisną się do niej, wiele z nich w nadziei, że spłynie na nie jej płodność. Niektóre przynoszą kwiaty i amulety, by je potrzymała i pobłogosławiła. Na drodze prowadzącej do Narni, ze zdobnym rzeźbami rzymskim mostem i pieniącą się pod nim rzeką, stojąca na czele tłumu zgarbiona starucha woła:

– Chłopiec, księżna nosi w łonie chłopca! Widzę, moja pani, jak pływa w twoich wodach.

– Wie, co mówi! – krzyczy ktoś inny. – Sprowadziła na świat całe setki i nigdy się nie pomyliła.

Tłum wydaje pomruk aprobaty, a dziecko jakby w odpowiedzi ślizga się i przewraca w jej wnętrzu.

Zamek w Spoleto przycupnął jak orzeł nad położonym na wzgórzu miasteczkiem; wielki wiadukt poniżej przypomina o starożytnej świetności. Kiedy zaryglowują się za nimi wrota twierdzy i ktoś pomaga Lucrezii zsiąść z konia, czuje, jak serce tłucze się jej w piersi. Nie ma złudzeń co do aksamitnej pułapki, którą zastawił na nią ojciec. Córka papieża rządząca miastem nie może uciec, by dołączyć do męża na wygnaniu. Jednak Alfonso jest bezpieczny, a ona w tym błogosławnym stadium ciąży, w którym wiele zdrowych młodych kobiet doświadcza niespodzianego przypływu energii i dobrego samopoczucia. Nawet jeśli jej nowe stanowisko jest tyleż więzieniem, co przywilejem, wyzwanie ją uskrzydla.

Służba jeszcze rozpakowuje domowy dobytek, otwierając na oścież okna i drzwi, by przewietrzyć duszne komnaty, gdy Lucrezia już wita miejskich dostojników i zaczyna przyjmować petycje i wysłuchiwać skarg. Da sobie radę. Jest Borgia.



CZEŚĆ VIII

Niewiasty na wojnie

Papież zamierza uczynić zeń ni mniej, ni więcej tylko króla Italii.

Gian Lucido Cattaneo, ambasador Mantui, rok 1499



Rozdział 42



Ręka łucznika przez chwilę drży z wysiłku, utrzymując napiętą cięciwę. Strzała z cienkim jękiem przesywa powietrze i trafia w lewe ucho wielkiego konia, krusząc je z impetem. Rozlega się pochwalna wrzawa, a za chwilę drwiny, gdy następny pocisk o włos chybia drugiego ucha. Kilkanaście kolejnych uderza w szyję i boki zwierzęcia, odłupując kawałki gliny, które sypią się na wszystkie strony i rozbijają o ziemię.

– Ssssforza, Ssssforza – skandują łucznicy i wśród okrzyków zachęty naciągają i zwalniają cięciwy, aż powietrze ciemnieje od strzał.

– Biedny poczciwy da Vinci. Ludovico powinien był zlecić mu projektowanie broni, a nie posągów. – Cesare stoi w oknie pałacu Sforzy i z wysoka ogląda masakrę. Nie mija wiele czasu, a od korpusu opada i ogon. – Patrzcie na nich. Nawet pijani jak bela strzelają lepiej niż większość Włochów. Cóż, coś musieli zdemolować.

Przy cokole, wokół kopyt i pod brzuchem konia, biegają zgięci wpół służący, uchylając się przed spadającymi odłamkami, i zbierają strzały, aby zwrócić je łucznikom. Gdy po trzech miesiącach w drodze armia, rwąca się do walki, dotarła wreszcie do Mediolanu, zastała jego bramy otwarte, a miasto oczekujące na jej wkroczenie, Ludovico Sforza bowiem uciekł z podkulonym ogonem i furą kosztowności.

Rozbrzmiewają kolejne okrzyki, gdy grad uderzeń spada na łeb ogiera, rozbijając w drobny mak rzeźbione nozdrza. Cesare wychyla się przez okno i woła coś po francusku. Kapitan spogląda w górę i odkrzykuje odpowiedź. Kilku łuczników podnosi ręce w geście salutu: Cesare jest teraz ulubieńcem armii tak samo jak króla.

Odwraca się od okna. Jego ciemna sylwetka rysująca się na tle mediolańskiego nieba koloru brudnego prześcieradła wygląda imponująco. Nie jest to tylko kwestia światła. Cesare Borgia, księżę Valentino, ubiera się teraz wyłącznie na czarno: czarny beret zdobny ufarbowanymi na czarno piórami, czarna peleryna, czarne nogawice i czarny dublet, z ledwo widocznym skrawkiem złotego jedwabiu przy rękawach. Mężczyzna, który opuszczał Italię, mieniając się barwami, wrócił smolisty jak diabeł. I jakże to do niego pasuje.

– A więc, panowie – mówi, wracając w głąb pomieszczenia. – Dogadaliśmy się?

Szmer potwierdzenia szybko obiega stół. Siedzi ich tam czterech, o twardych, ogorzałych twarzach nieprzystających do miękkiego aksamitu dworskich szat. Wojacy co do jednego, kondotierzy z zaciężnymi oddziałami na zawołanie. W czasach pokoju człowiek nie mógłby ufać, że rozegrają partię kart, nie wyciągając asa z rękawa, lecz gdy przychodzi do wojny, dochowują wiary temu, kto da więcej. Teraz zaś nikt nie daje więcej niż Cesare Borgia. Wybierał starannie. Jeśli Italia ma kogoś, kto może uchodzić za znawcę artylerii, to jest nim niski, żyłasty Vitellozzo Vitelli. Siedzący koło niego Oliveretto da Fermo to pazerny zbir, ale dobrze zaprawiony w bojach. Po drugiej stronie stołu zasiadają natomiast dwaj bracia Orsini, Paolo i Francesco Orsini. Cesare daje im zatrudnienie, choć równie chętnie powiesiłby ich na suchej gałęzi. Razem jednak mają do dyspozycji małą armię i dopóki nie będzie gotów do odwetu, woli, by walczyli po jego stronie. A dopóki papieski tron zajmuje jego ojciec, każdy z nich z radością będzie lizał mu rękę i wykonywał rozkazy.

- Masz jakieś pytanie, Vitelli?
- Ilu ludzi wystawisz poza naszymi?

– Ilu ludzi? – powtarza Cesare z uśmiechem. Wie, że właśnie to chcą usłyszeć najbardziej. Gdy armia tryumfalnie wkraczała do Mediolanu, król Ludwik i książe Valentino jechali ramię w ramię i od tamtego czasu pozostają nierozłączni, polując, uczując i bawiąc się. Jeśli ktokolwiek nie byłby jeszcze przekonany, że historia Italii pisze się rękoma tych dwóch, wystarczy mu rzut oka na język ich ciał: skłaniane ku sobie głowy, szepty, jednoczesny śmiech – bardziej jak bracia niż „drodzy kuzyni”.

– Poprowadzę francuską kawalerię w sile dwóch tysięcy ludzi, trzystu francuskich lansjerów, artylerię z dwudziestoma siedmioma armatami i cztery tysiące szwajcarskiej i gaskońskiej piechoty. – Przerzywa, ażeby liczby w pełni dotarły do ich uszu. – Z oddziałami gwardii papieskiej, które przyśle mi Ojciec Święty, i z ludźmi, których wystawicie wy, będziemy mieć dziesięć tysięcy żołnierzy.

Ktoś cicho syczy przez zęby. Milczenie się przedłuża. Syn papieża został właśnie dowódcą jednej z największych armii, jakie kiedykolwiek przemierzały italską ziemię. Cesare szuka spojrzeniem Michelotta, tkwiącego na posterunku za stołem jak szpetny pies stróżujący. Jego giermek wyciąga zza pazuchy kawałek papieru i rozpościera go przed nimi na blacie.

- A tak, szlachetni panowie, wygląda trasa naszej kampanii.

Via Emilia. Nawet na mapie robi wrażenie: droga, jaką potrafili zbudować tylko starożytni. Zaczyna się w Piacenzy na północy i biegnie prosto jak strzała na południowy wschód przez Parmę i Bolonię, wzdłuż wschodnich zboczy Apeninów i dalej aż do Rimini na wybrzeżu Adriatyku. Kiedy dokładnie została wytyczona, pozostaje w sferze domysłów, choć musiało być to sporo przed narodzeniem Chrystusa. Lepiej znane są dzieje jej odbudowy za rządów Augusta i Tyberiusza, gdyż pozostały po niej datowane kamienie milowe i szereg najwspanialszych mostów Italii: zamasyte łuki kamiennych przęseł i nawierzchnie w ciągu stuleci starte i wyżłobione przez tysiące stóp, kopyt i kół – jakkolwiek większość tych, którzy stąpają po nich obecnie, za nic ma historię starożytnych, a nawet imię wielkiego rzymskiego dowódcy, który przed nimi przekraczał rzekę Rubikon. Nie, jak większość ludzi są zbyt zajęci wysiłkami, by przeżyć tu i teraz.

Poeci, także na swój sposób ciężko pracujący, przyrównują tę elegancką arterię w ciele Italii do sznura pereł na stole nakrytym zielonym sukniem. To trafne porównanie: perły – bo na całej jej długości nanizane są państwa-miasta, każde z nich dość bogate, by mieć własną rodzinę panującą, chciwą, pieniaczką i z zapalem nabijającą sobie kiesę kosztem tych, którymi rządzi; i zielone sukno – bo zmierzając prosto do morza, droga biegnie przez jedną z najżyźniejszych równin kraju. Mówi się, że w Romanii, jak zwie się teraz ten region, wystarczy ci rzucić w ziemię garść ziarna, a w ciągu roku będziesz mieć dość chleba, owoców, warzyw i oliwy, by wyżywić armię.

Już samo to wystarczająco kusiłoby nowego młodego Cezara, który chce zapewnić sobie miejsce w historii. Jest jednak jeszcze pewien przypadek dziejowy, który sprawia, że region ten aż prosi się o podbicie, i wyjaśnia, dlaczego Cesare miał go na oku, odkąd tylko nauczył się czytać mapę. Otóż w świetle prawa owe państwa-miasta nie należą do rodów, które nimi władają: są raczej oddane im w dzierżawę aniżeli przez nie posiadane. Pan zaś, do którego należą, ma siedzibę w Rzymie i jest głową Świętej Matki Kościoła. A Aleksander VI już dał do zrozumienia, że zamierza wyrugować niektórych dzierżawców na korzyść własnego syna.

Pierwszy atak miał charakter duchowy: była to bulla ekskomunikująca pięciu rządzących papieskimi lennami w Romanii z powodu niepłacenia Rzymowi daniny. Pięć miast pozbawionych w ten sposób Bożej opieki i wsparcia jakichkolwiek większych sojuszników (nikt

nie ma ochoty walczyć z papieżem, gdy ma on króla Francji w kieszeni) leży wystarczająco blisko siebie, by dać podwaliny pod jedno większe państwo. Imola, Forlì, Rimini, Faenza i Pesaro. Choć wybór jest tyleż strategiczny, co perfidny, wszyscy obecni w pokoju wiedzą, że wywłaszczenie byłego szwagra, księcia Pesaro, przyniesie Cesaremu szczególną satysfakcję.

– Zaczniemy tutaj. – Cesare palcem wskazującym stuka w mapę. Kamienie jego pierścieni lśnią nawet w wątłym świetle. Ich kapitan generalny nosi na jednej dłoni równowartość małej posiadłości ziemskiej. – Imola, a potem Forlì. Vitelli? – Odwraca się ku łasicowatej twarzy weterana. – Znasz swoją artylerię. Ile twoim zdaniem kul armatnich będziemy potrzebować, by nadszarpnąć obwarowania Cateriny Sforzy?

Vitelli szczyrzy zęby.

– Zależy od tego, co dama w tamtej chwili będzie miała na sobie.



Rozdział 43



Kiedy Lucrezia wita powracającego męża, dziecko w jej łonie jest już tak duże, że przeszkadza, gdy się obejmują.

– Ależ ty wyglądasz! Jeszcze wypiękniałaś. Neapol jest pełen kobiet ciemnych jak pieczone kasztany, a ty jesteś jak lilie i śmietanka.

– Ha! Wietrzę tu mężczyznę, który nawykł do prawienia dwornych słówek.

– Nieprawda. Nie było chwili, żebym o tobie nie myślał. Mój Boże, tęskniłem za tobą, żono.

Lucrezia wie, że Alfonso mówi szczerze, bo ona czuje to samo. Ujmuje jego twarz w dłonie, ściskając policzki, tak że jego wargi, te pełne, mięsiste wargi, stulają się i rozchylają. Staje na palcach, by je ucałować.

– Udało się – mówi ze śmiechem, kiedy się rozdzielają. – Sprowadziliśmy cię do domu.

Potrzeba było na to prawie dwóch miesięcy i kursujących tam i z powrotem posłańców i ambasadorów, jako że żadna ze stron nie chciała ustąpić: Rzym, ponieważ miał zbyt wiele do utargowania, Neapol – ponieważ nie miał nic.

Król Federico zawsze wiedział, że wystąpienie przeciw Borgiom położy kres sojuszowi z papieżem i sprawi, że Neapol stanie otworem przed Francuzami, ale liczył na to, że oburzona Hiszpania zapewni mu ochronę. Okazał się, niestety, idealistą w dobie pragmatyzmu. Ich Wysokości Ferdynand i Izabella, przypatrując się, jak Francuzi wkraczają do Mediolanu, i zdając sobie sprawę, że i Neapol należy spisać na straty, w tajemnicy zabiegali już o względy króla Ludwika.

Izolacja była tak całkowita, że Federico czuł ziąb nawet w upalny dzień. Rozumiał, że jeśli chce mieć jakąkolwiek szansę na przetrwanie, postąpi najlepiej, robiąc coś, co przemówi do hiszpańskiej krwi papieża, i dając mu to, czego jego córka pragnie najbardziej: powrót jej męża w sam czas na narodziny dziecka. A skoro tak, to może równie dobrze odesłać im Sancię.

Podjąwszy decyzję, był przynajmniej szczerzy.

– Nie podoba mi się to, bratanku. Ale nie mam innego wyjścia. – Jego brwi, nawykowo ściągnięte od troski, praktycznie złączyły się w jedną, tak że przygląda się światu spod kosmatego nawisu. Niektórzy z jego dworzan zaczęli się zastanawiać, jak dalece zaciemnia mu on wzrok.

– Wiem.

– Układy z papieżem są zawsze takie same: daje ci ciepły płaszcz, ale gdy go nakładasz, okazuje się, że podszewka najeżona jest brzytwami. Nie mam żadnych środków, żeby się mu przeciwstawić. Jeśli pojedziesz, muszę powiedzieć, że nie gwarantuję ci bezpieczeństwa.

– Wiem i to.

Król westchnął. W przeszłości nie miał nigdy wiele czasu dla nieślubnych dzieci brata, uważając je za zbrukane ojcowską dekadencją. Wydawało się niemal stosowne, że znalazły swoje miejsce w jeszcze bardziej zepsutej rodzinie. A jednak małżeństwo z tą wszeteczną Borgiówną jakby przydało Alfonsowi nieoczekiwanej godności. Jego własna córka wyszła niedawno za swojego bretońskiego arystokratę, człowieka o charyzmie równie nikłej jak jego

ambicja. Nigdy nie wróci do Neapolu. Cóż, niechaj Bóg da jej długie i szczęśliwe życie. To więcej, niż on może się spodziewać.

Gdy tylko klamka zapadła, Alfonso ruszył na północ w towarzystwie uzbrojonego strażnika, mijając Rzym i kierując się prosto do papieskiego miasta Spoleto, gdzie Lucrezia i Jofré urządzili sobie coś w rodzaju domu. Miasto ma powody do wdzięczności za papieską ochronę (zwłaszcza gdy inne zostały jej tak brutalnie pozbawione), ale Lucrezia trafiła do serc jego mieszkańców, bo wywarła na nich wrażenie pracowitością i wdziękiem. Teraz, z mężem u boku, może udać się na wizytację dalszych terenów znajdujących się pod jej zarządem.

Jest cudowna jesień, kojąca po obłąkańczych upałach, i lasy zaczynają zajmować się ogniem. Po raz pierwszy w swym małżeńskim życiu Lucrezia i Alfonso są panami samych siebie. Oboje wiedzą, że to wolność, która nie może trwać, co czyni ją tym słodsza. Są mile witani, gdziekolwiek zajadą: księżna Bisceglie jest może Borgia, ale reprezentuje łagodniejsze oblicze władzy, a przemyślanymi decyzjami w Spoleto zyskała sobie opinię sprawiedliwej. Poza tym któż oparłby się bujności młodej kobiety z dojrzewającym już owocem w łonie, tak wyraźnie rozmiłowanej w samym życiu?

Kiedy zostają wezwani z powrotem do Rzymu, od porodu dzieli ją jeszcze tylko parę tygodni.

Aleksander, który odesławszy od siebie dzieci, czuł się bez nich osamotniony, nie posiada się z radości na myśl o jej powrocie. Urok Giulii, która przez znaczną część lata bawiła u rodziny, stał się z czasem mniej nieodparty i są chwile, kiedy Aleksander niemal tęskni za mniej uciążliwym rodzajem miłości. Osobliwe piękno córki zupełnie ścina go z nóg. W tych ostatnich dniach brzemienności zaczęła przypominać własną matkę z czasów jej młodości. Wnosi blask do każdego pomieszczenia. Dziecko urosło w niej tak bardzo, że chodząc, Lucrezia musi odchyłać się w tył, aby zrównoważyć jego ciężar, dodatkowo podpierając się dłonią pod lędźwie, a kiedy siada, wrywa jej się krótki, zdyszany śmieszek, jakby nie wierzyła we własny stan. Wszystkie jej gesty wyzwalają w Aleksandrze potok innych wspomnień: pełnych piersi Vannozzy, połysku jej skóry, zmysłowości, którą podszyte było jej zmęczenie. Za pierwszym razem oddziaływała na niego tak silnie, że nie mógł się doczekać, aż wyda dziec-ko na świat, żeby mogli czym prędzej przystąpić do robienia drugiego. Nawet Giulia u szczytu urody nigdy nie rozpałała go w ten sposób. Tak jakby piękność Vannozzy w przyrodzony sposób związana była z płodzeniem dzieci, a siła tej płodności nadal szarpie struny jego serca. A dlaczego nie? Starzejącemu się mężczyźnie dobrze robi, gdy coś przypomina mu o jego potencji, a przy tym Bóg wie, że kocha głęboko swoją córkę i trudno byłoby pozostać obojętnym na jej szczęście.

Jest z niej także dumny. Listy jego posłów mówią o jej ciekawości i stateczności, o woli wysłuchiwania różnych racji przy jednoczesnym nieuleganiu w podejmowanych decyzjach fałszywym podszeptom. Oczywiście takie spostrzeżenia rozdęte są pochlebstwem, lecz mimo wszystko...

Jofré dla odmiany daje mu mniej powodów do zadowolenia. Od swego krótkiego pobytu w Zamku Świętego Anioła jest chmurny i agresywny, jak domowe zwierzątko, które zaniedbano i pozwolono mu zdziczeć. Znośnie zachowuje się teraz jedynie w towarzystwie żony, bo ona zawsze była dlań po części matką, której nie miał, na przemian karcąc go i darząc czułościami. Sama Sancia, mimo tak zmiennych kolei losu, zachowała zarówno swój apetyt na przyjemności, jak i niezdolność do ukrywania uczuć. To czyni ją niemal krzepiącym wyjątkiem w świecie rządzonej przez podstęp.

W pałacu Santa Maria in Portico mówi się głównie o porodach i dzieciach. Kucharze skupują gołębie i cieleta, które pójdą pod nóż, gdy nadejdzie pora na uświetnienie wydarzeń. Do sypialni, pod obraz z Maryją Dziewicą, zostaje wstawiona złocona kołyska; nowiutka haftowana

pościel z monogramem czeka tylko na pierwszą literę imienia. Rankiem 31 października Lucrezia spaceruje z Alfonsem po ogrodzie na pałacowym dziedzińcu. Wracając do środka, czuje ukłucie bólu i odchodzą jej wody, istnym potokiem, mocząc suknię i sprawiając, że Alfonso w panice biegnie po pomoc. Położne i służące opadają ich jak chmara ptaków, przeganiają go i przejmują stery, prowadząc Lucrezię do jej komnat i zamykając za sobą drzwi. Po kilku godzinach, gdy nic więcej się nie dzieje, główna położna zaczyna wmasowywać w jej brzuch pachnące olejki, wślizgując się wprawnymi palcami w jej wnętrze, by wywołać rozwarcie. Przed zachodem słońca zaczyna się poród. Jęki niosą się po całym pałacu i papież, którego poinformowano o rozwoju wypadków, gdy wychodził ze spotkania z nowym – i raczej ugodowym – hiszpańskim ambasadorem, zaklina się, że sam czuje ból. Odmawia jadła i napoju i zarządza, by w całym Watykanie zanoszono modlitwy za szczęśliwe rozwiązanie.

Nad ranem 1 listopada, po ostatniej fazie porodu, która zaskoczyła wszystkich swoim tempem i natężeniem, księżna Bisceglie wydaje na świat dziecko – tryskającego zdrowiem chłopczyka o donośnym głosie. Najpierw ssie długo pierś mamki, po czym zostaje złożony w ramionach zadowolonej z siebie matki.

Otrzymuje imię Rodrigo – po swoim czcigodnym dziadku – i gdy do pokoju wkrada się zimowy świt, Lucrezia zasypia w poczuciu bezpieczeństwa, wiedząc, że dokonała tej jednej rzeczy, która może ocalić jej małżeństwo: urodziła męskiego dziedzica dynastii Borgiów w Italii.

Papież ze swej strony jest tak wniebowzięty, że można niemal pomyśleć, iż to on jest ojcem. Odprawia mszę dziękczynną i wzywa Burcharda. Mistrz ceremonii, który nadzorował już na papieskim dworze dwa śluby, trzy ceremonie zaręczyn i jeden rozwód, będzie miał teraz za zadanie dopilnować chrztu. Tak się dobrze składa, że w Watykanie jest kaplica w sam raz na tę uroczystość.

Rozdział 44



Powiadają, że płatnerz, który wykonał dla Cateriny Sforzy jej bojową sukienkę, został w pierw zaproszony do jej sypialni, by właściwie zdjąć miarę. Każdy, kto widział ją w zbroi, zgodzi się, że grawerowany napierśnik bardzo wymownie przylega do jej kobiecego ciała. Powiadają, że czasami nosi tylko ten napierśnik i jedwabną halkę, którą wiatr podwiewa w górę, gdy przemierza blanki. To drugie mówione jest ze szczególnym przekonaniem, gdyż to szeroko znana historia: dziesięć lat temu, kiedy mieszkańcy Forli zbuntowali się przeciw jej rządóm, mordując jej męża, a ją i jej dzieci biorąc w niewolę, zdołała uciec i przedostać się do twierdzy, gdzie wyszła na mury i paradowała po nich, podnosząc spódnice i wrzeszcząc do spiskowców w dół:

– Myślicie, że obchodzi mnie, co z nimi uczynicie? Patrzcie: mam czym zrobić sobie następne.

W wieku dwudziestu sześciu lat była już wówczas sławna. Jako nieślubna wnuczka wojowniczego Francesca Sforzy stanowiła świetną partię dla jednej z wielkich rodzin. Miała dziewiętnaście lat, kiedy śmierć papieża Sykstusa IV wywołała w Rzymie falę zamieszek, w dużym stopniu wymierzonych w jej niedawno poślubionego męża, papieskiego siostrzeńca. Gdy tłum zaatakował ich pałac, dosiadła konia i pogalopowała – w siódmym miesiącu ciąży – pełnymi buntowników ulicami, przez most, do Zamku Świętego Anioła, by zająć go i zabarykadować się przed wszystkimi, którzy próbowali tam wejść, aż do powrotu do miasta jej męża. Ten i wiele innych nadzwyczajnych czynów zyskały jej przydomek „Virago”[6]. Dla wielu niewiast byłby on wyzwiskiem, sugerując zarówno męskość charakteru, jak i ciała, lecz Caterina Sforza się nim raduje. Nie była nigdy z tych, co się mizdrzą i rumienia; jak szybko odkryła, dla kobiety, której przyszło rządzić mężczyznami, korzystniejszy jest strach niż uprzejmości.

Mając trzydzieści sześć lat, przeżyła już trzech mężów i urodziła dziewięcioro dzieci – ostatnie jest jeszcze w powijakach. Przetrwiała niejeden bunt, a jej żądza zemsty jest legendarna. Gdy zabójcy jej pierwszego męża zbiegli z miasta, ukarała ich osiemdziesięcioletniego ojca. W akcie wymyślnego okrucieństwa kazała przywiązać chorego starca do deski przymocowanej za koniem, tak że głowa zwisała poza krawędź, po czym popędziła zwierzę galopem wokół brukowanego miejskiego placu. Jakkolwiek jednak nie ma w jej sercu litości dla tych, którzy przeciw niej wystąpili, ponoć gdy zapragnie jej właściwy mężczyzna, potrafi być uwodzicielska niczym syrena, mruczając jak kotka i kusząc skórą miękką jak sobole. Te jej wdzięki, powiadają, biorą się z czarnej magii i zielarstwa, które praktykuje, przyrządzając sobie rozmaite maści, olejki i pigułki (księgę sekretnych receptur trzyma w nocy pod poduszką). Potrafi rozjaśnić śniadą skórę, z czarnych włosów zrobić złociste, a najszkaradniejsze zęby wybielić pastą ze sproszkowanego marmuru i węgla. Zna sposoby, żeby pomóc tym, co chcą mieć dzieci, i wie, jak spędzić niechciany płód. Mówią, że buteleczki stojące na jej półkach zawierają afrodyzjaki, trucizny i pachnidła, lecz tylko ona wie, które są bezpieczne, a które zabójcze, bo nie ma na nich etykietek, i że kiedy zaczyna szykować komuś śmierć, człowiek, któremu chce ją zadać, czuje przebiegający po ciele upiorny dreszcz, jak gdyby już owionął go wilgotny chłód grobu.

Tak przynajmniej mówią.

Mówią o Caterinie Sforzy mnóstwo różnych rzeczy. A choć zmyślanie plotek o złych kobietach należy do najlepszych rozrywek, najbardziej zdumiewający jest fakt, że wiele z tego, co mówią, to prawda.

W drugim tygodniu listopada, gdy Kaplica Sykstyńska gości zastęp kardynałów, dyplomatów i przedstawicieli szlacheckich rzymskich rodów, wyciągających szyje, by oglądać chrzest nowo narodzonego ukochanego wnuka papieża, Virago z Imoli i Forli (oczywiście nieznajdująca się na liście zaproszonych) zajęta jest dyktowaniem listu, który wkrótce podpiszą najznacniejsi obywatele obydwu miast.

– Ależ pani, to jest petycja z propozycją oddania obu waszych miast w ręce Ojca Świętego!

– Brawo, *signor* Naldi. Zawsze wiedziałam, że umiecie czytać, ale teraz chodzi mi o wasz podpis – mówi słodko.

Kiedy ma już wszystkie potrzebne podpisy, zabiera pergamin do swojej zielarni i igłą robi w nim dziesiątki niemal niewidocznych nakłuć. Następnie, nałożywszy rękawiczki, ze skórzanej sakiewki wydobywa spory kwadratowy kawałek muślinu, gdzieś tam splamiony. Spryskuje go esencją lawendową, by zniwelować bijący od materiału odór, a potem przyciska do niego pergamin, ostrożnie rolując je razem, aż list jest nim owinięty. Wsuwa zwój do tuby i wraca do swojej sali posiedzeń.

Przesyłka nie dojdzie na chrzciny, lecz dar Cateriny Sforzy nie jest przeznaczony dla dziecka.

– Przysięgam, że coś poczułem; wieczorem w dniu chrztu. Głęboki dreszcz, a raczej wstrząs, przebiegł mnie całego na wskroś. Burchard stał obok mnie i mówi, że zbielełem jak kreda, a moje oczy stały się jakby puste. Odsunął ludzi, ażebym miał więcej powietrza. Mogłem nawet na chwilę stracić przytomność. To musiał być ten moment, kiedy wszystko przygotowywała.

– Możliwe, że byłeś wyczerpany obchodami.

Cesare, któremu szkoda czasu na myślenie o czarach tak samo jak o cudach, stara się opanować własne wyczerpanie. Stał obozem niedaleko Bolonii, o kilka dni marszu od Imoli, gdy dotarły do niego wieści o zamachu na życie ojca. Wraz z Michelottem nie ustawał w drodze dwa dni i dwie noce, by dostać się do Rzymu; wjechał do miasta *incognito* i został w tajemnicy wprowadzony na pokoje papieża. Nie był to tryumfalny powrót, o jakim roił, będąc tak długo poza domem.

– Cokolwiek to było, Virago chciała widzieć mnie martwego. Co za czelność! Żeby próbować otruć papieża! – Teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, Aleksanderomalże rozkoszuje się dramatyzmem sytuacji.

– Desperacja, ojcz, nie czelność. Nawet gdyby ten tak zwany zabójca doręczył petycję, nie otworzyłbyś listu własnymi rękami. Trafiałby najpierw do któregoś z twoich sekretarzy.

– Ale oni wręczyliby go mnie, a pergamin nadal siałby zarazę. Jest może zdesperowana, ale nigdy nie była głupia.

Niewątpliwie pomysł był sprytny: petycja obywateli zawinięta w kawałek materiału wycięty z całunu człowieka, który zmarł na zarazę, nasiąknięty jego potem i ropą. Gdyby znalazła drogę do rąk papieża, znakomicie spełniłaby swoje zadanie: żadnej piany na ustach, żadnego ognia w gardle ani wideł dźgających wnętrzości – nic zaiste, co zdradzałoby zamach. Zamiast tego kilka dni później u Jego Świętobliwości wystąpiłaby straszliwa gorączka i symptomatyczna wysypka na ciele. Wyglądałoby to, jakby ciężka dłoń Boga spoczęła na jego ramieniu – któż bowiem zna Jego zamiary i wie, dlaczego czy w jaki sposób plaga wybiera akurat tę, a nie inną osobę? Wszyscy wiedzą jednak co innego: to, że ze śmiercią Aleksandra

ambicje jego syna rozpadłyby się w proch i pył.

– Ten niedoszły zabójca. Gdzie jest w tym momencie?

– Siedzi w lochach Świętego Anioła.

Mieli szczęście. Wybrany posłaniec okazał się mniej męski od swojej pani: Tommaso da Forlì, patriota co najwyżej letni, zarabiał na życie jako śpiewak i muzyk w małej nadwornej orkiestrze Jofrégo i daleko mu było do zawodowego mordercy. Misja tak mu ciążyła, że w dniu przybycia petycji w rozmowie z ziomkiem-wiolistą wyrwało mu się kilka niesłychanych szczegółów. Trzydzieści sześć godzin później koncert, któremu przysłuchiwali się przy kolacji Jofré i Sancia, został przerwany wtargnięciem gwardii papieskiej i wkrótce Tommaso śpiewał do wtóru całkiem innych instrumentów.

– Kiedy twoi ludzie z nim skończą, chcę go dostać w swoje ręce.

– Na nic ci się nie zda. Nic więcej nie powie. Nie ma już języka. – Głos Aleksandra brzmi niemal współczująco. – Marny koniec dla człowieka, który żył ze swego głosu.

– A Caterina Sforza – wie, że się nie udało?

– Jeszcze nie. Jutro jednak przyjmuję gości z Wenecji i Florencji. O jej zdradzie będzie głośno w całej Italii, zanim dotrzesz pod jej mury. – Papież uśmiecha się szeroko. – Może powinniśmy „zdemaskować” kilka innych spisków na moje życie w Rimini albo w Faenzy, albo w Pesaro, he? Chociaż kiedy Caterina wszystkiemu zaprzeczy, przypuszczam, że i tak oskarżą nas o zmyślenie tego zamachu.

Opada na oparcie swego wielkiego krzesła. Na rozmowie zeszło im do świtu. Zamyka oczy, choć nie ma już czasu na sen: niedługo zaczną się schodzić pierwsi ambasadorzy.

Cesare siedzi, przypatrując mu się badawczo. Rok, który dzieli ich od ostatniego spotkania, wyrzył się na ojcowskim obliczu: linie zmarszczek są głębsze, policzki bardziej ziemiste i obwisłe. Cesare słyszał, że Giulia przebywa ostatnimi dniami poza Rzymem, spędzając czas z mężem, papież zaś już nie gryzie się tak bardzo kwestią jej powrotu.

– A jak twoje zdrowie, ojczu?

– Hm? – Aleksander otwiera oczy.

– Ten... moment słabości po chrzcie, który mi opisywałeś... Czy coś podobnego zdarzało ci się już wcześniej?

– Co? Czy to sugestia, że siły mnie zawodzą? Nigdy nie czułem się lepiej. Mógłbym ruszyć jutro razem z tobą, gdyby nie to, że Rzym za bardzo mnie potrzebuje. – Nic nie ożywia go tak jak imputowanie mu słabości. – Ha! Ta... ta Virago myślała, że zdoła owinąć mnie w całun. Zapomniała, jakie oczy do mnie robiła, kiedy była ulubienicą papieża Sykstusa. Pozdrów ją ode mnie, kiedy będziesz rozwaliał jej twierdzę na kawałki. Powiedz, że wyglądam z niecierpliwością chwili, w której będę mógł ją gościć w moich lochach. – I śmieje się, pocierając palcami twarz, by do końca się obudzić. – A teraz dość już rozmów o chorobach i śmierci. Skoro tu jesteś, świętujmy narodziny. Powiedz mi, kiedy przyjdzie na świat twój syn?

– Nie jestem pewien. Styczeń, luty.

– Aha! Wiedziałem. Pierwsze lance trafiły w cel. Jak dasz mu na imię?

Cesare wzrusza ramionami. Zażył z żoną sporo przyjemności, gdy był na to czas, ale ciepłe łóżko we Francji jest teraz bardzo daleko.

– Miasta mogę podać ci na tacy, ojczu. Ale jeśli chodzi o pleć moich dzieci, musisz rozmawiać z Bogiem.

– Oczywiście, że będzie chłopak! Jak mogłoby być inaczej przy tak ognistym poczęciu? Sprowadzimy go wraz z matką do Rzymu i może wychowywać się razem z Rodrigiem. Ach, synu, szkoda, że nie widziałeś go przy chrzcie: patrzyło na niego pół Rzymu, a on ani nie zapłakał, ani nie mruknął, nawet kiedy stary, trzęsący się kardynał Carafa omal nie utopił go

w chrzcielnicy. Ale kiedy wręczyli go Paolowi Orsiniemu – tak jak uzgodniliśmy, żeby wszyscy widzieli naprawione stosunki między naszymi rodzinami – spojrzął tylko na jego zdradziecką gębę i zaczął wrzeszczeć. I nie przestał, dopóki go nie zabrali. Dobry Boże, mój wnuk ma ledwo dziesięć dni, a już wie, komu nie ufać. To jest Borgia!

Cesare nie odpowiada. Jakkolwiek nie ma złudzeń co do -Orsinich, potrzebuje ich ludzi i oręża, dopóki nie zdoła zgromadzić ich wystarczająco dużo na własną rękę, i nie jechał dniem i nocą po to, żeby gadać o dzieciach, szczególnie spółzonych przez neapolitańczyka.

– A jak Lucrezia? – pyta po chwili.

– Jak sama Madonna: promienna i pogodna. Choć ciągle nieco słaba po porodzie.

– Ta intryga przeciwko tobie...

– Nic o niej nie wie. Nie chciałem jej martwić. Odwiedzisz ją i dziecko, zanim wyruszysz?

– Nie mam czasu. Skoro jesteś już bezpieczny, prześpij dzisiejszy dzień i wyjadę z rana.

– To twoja siostra, Cesare. A dziecko jest twoim siostrzeńcem i moim wnukiem.

– Jest także synem Neapolu. – Słowa wymykają mu się mimo woli. Wolałby pominąć tę kwestię milczeniem, bo irytacja, jaką w nim budzi, jest czymś, co trudno mu opanować.

– Jeśli czujesz taką anse, nie musisz spotykać się z Alfonsem. Zajmę go dziś wieczór, żeby dać wam trochę czasu tylko dla siebie.

– Nie o to chodzi.

– Ach, Cesare, bądź realistą. Sprawa nie jest prosta.

– Przeciwnie, ojczu, nie ma nic prostszego. Król Federico nam odmówił. Neapol jest naszym wrogiem. Nie przetrwa tej inwazji. A my, kiedy już zdobędziemy wszystkie miasta leżące przy Via Emilia, będziemy potrzebowali utrwalenia naszej przewagi poprzez korzystne małżeństwo.

Papież niecierpliwie macha ręką.

– Twoja siostra jest świeżo upieczoną matką i szczęśliwą żoną. Sugerowałbym, abyśmy na razie skupili się na kampanii. Kiedy będzie po wszystkim, możemy porozmawiać o tym jeszcze raz.

– Póki możemy, póty możemy, ojczu – mówi Cesare, wstając raptownie. Czuje się nagle krańcowo rozgniewany. Niewątpliwie zmęczenie zachwiało jego cierpliwością. – Za twoim pozwoleniem opuszczę cię teraz. Potrzebuję snu.

– Dobrze. Synu?

Cesare odwraca się u drzwi.

– Wiesz, że twoja siostra nigdy ci nie wybaczy.

– Czego?

– Jeśli... jeśli dowie się, że byłeś tutaj i odjechałeś, nie zobaczywszy się z nią – odpowiada łagodnie.

Ostatecznie nie wytrzymuje. Kiedy się budzi, jest znów ciemno. Wysła umyślnego do pałacu, żeby upewnić się, że szwagra rzeczywiście tam nie ma – papież dotrzymał słowa i wezwał go do siebie.

Lucrezia śpi. Dostała po porodzie lekkiej gorączki, toteż medycy zaordynowali upuszczanie krwi; odzyskuje siły w odosobnieniu, dogłędana przez swoje służące i dwie położne. W tej chwili pilnuje jej rzymianka w średnim wieku, o mocarnych rękach i opinii nieugiętej, jeśli chodzi o ochronę spokoju i zdrowia młodych matek.

– Jest słaba. – Wita go w progu sypialni, zastępując mu drogę. – Sen jest najcenniejszym lekarstwem. Może jutro...

– Jutro będę o pół Italii stąd. Nie mam pojęcia, coś ty za jedna, ale jeśli nie odejdziesz od

drzwi, ja cię odsunę.

Później, kiedy fama sprawi, że Cesare będzie budził bardziej strach aniżeli nienawiść, kobieta będzie opisywać tę chwilę innym, wyjaśniając, że chciała stawić mu czoła, ale stwierdziła, że oto ustępuje mu z drogi, jakby wbrew swojej woli wprawiana w ruch siłą jego spojrzenia.

Fresk na ścianie, imitujący na wpół zasunięte kotary w żywych kolorach, oświetlony jest oliwną lampką nocną, co sprawia, że sypialnia wydaje się ciepła mimo zimna. Cesare wspina się na podwyższenie, na którym stoi górujące nad pokojem rzeźbione łoże. Lucrezia leży wsparta na poduszkach, z lekko rozchylonymi ustami i falami włosów rozłożonymi półkuliście wokół głowy. Od utraty krwi jest bardzo blada, tak że na pierwszy rzut oka wygląda jak marmurowy posąg. Twarz ma szczuplejszą, niż zapamiętał, dziecienną okrągłość zastąpiły wyraźniejsze kontury szczęki i kości policzkowych. Cesare wyciąga rękę, by jej dotknąć, chcąc upewnić się, że to sen, nie śmierć, i kiedy to czyni, Lucrezia otwiera oczy.

– O? Cesare? – mówi niemal bez zaskoczenia i dziecinny uśmiech, który przemyka przez jej twarz, jest zbyt ulotny, by odbiły się w nim zawilości tego, co może lub nie może -nastąpić. – Ach! Śniło mi się, że tu jesteś. Ale... To naprawdę ty?

– Tak, słodka sestro – odpowiada. – To ja.

Lucrezia marszczy brwi i przyryka oczy, i przez sekundę wydaje się, że znów odpłynie.

– Lucrezio?

Podnosi się i Cesare pomaga jej wyprostować się na poduszkach. Po drzemce jej ciało jest wilgotne od potu. Piersi ma ciasno zabandażowane, by powstrzymać wypływ mleka, i siadając, krzywi się, jakby w środku nadal miała jakieś niezagojone rany. Kobieta w połogu: nie jest to stan, który byłby mu znajomy ani też o którym miałby ochotę rozmyślać. Wyobraża sobie, że na jego miejscu siedzi Alfonso i wodzi dłońmi po tym dojrzałym ciele, wiedząc, że teraz należy do niego bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Ogarnia go furia tak gwałtowna, że zmusza się do śmiechu, by ją ukryć.

– Nie próżnowałaś, kiedy mnie nie było.

– Rzeczywiście. Ale... co tutaj robisz? Myślałam, że jesteś z wojskiem? Czy coś się stało?

– Nie, nie. Miałem jeszcze do ustalenia z papą ostatnie szczegóły, to wszystko. – Robi pauzę. – Tak czy inaczej, jak mogłoby mnie tu nie być w takiej chwili?

– Coś się stało z dzieckiem? – mówi szybko Lucrezia. – Rodrigo... jest...

– Z twoimi kobietami. Jestem pewien, że cały i zdrowy.

– Zawołam, żeby go przyniosły.

– Nie, nie. Jeszcze nie. To ciebie przyszedłem zobaczyć. – Nachyla się nad nią i odsuwa z jej czoła wilgotny kosmyk włosów. Czy mu się zdaje, czy wzdrygnęła się przed dotykiem? – Powiedz mi zatem, co takiego ci się śniło.

– Och... och, to było okropne. Byłeś z ojcem w Sali Tajemnic i obaj się śmialiście, śmialiście bardzo głośno, i weszłam z dzieckiem w ramionach, ale *papà* powiedział, że mam odzywać się wyłącznie po francusku, bo ty mówisz teraz tylko w tym języku. Posłuchałam go, ale ty sprawiałeś wrażenie, jakbyś mnie nie rozpoznawał. A kiedy pokazałam ci dziecko... powiedziałeś, że go nie dotkniesz, bo jest... i użyłeś słowa, którego nie znałam. – Lucrezia uśmiecha się przepraszająco. – Kiedy napłynęło mi mleko, nie mogłam spać z bólu, więc dali mi syrop, a on wywołał dziwne sny. Dwie noce wcześniej śniłam, że ten szalony turecki książę, Dżem, powrócił z martwych i swoją zakrzywioną szablą odciął ojcu głowę. – Wstrząsa się. – Podobno po porodzie umysł kobiety staje się podatny na takie rzeczy.

– A medycy zbyt lekką ręką aplikują swoje mikstury – mówi Cesare, zadowolony, że nie

został wymieniony jako -winowajca. – Gdybym zażywał wszystko, co mi przepisują, cierpiałbym bardziej od lekarstwa niż od choroby.

– Jak to? Twoja przypadłość wróciła?

– Nie, nie, czuję się lepiej.

– Tak czy inaczej musisz uważać, Cesare. Jeden z kardynałów papy ponoć zmarł od nadmiaru medykamentów.

– Tak też słyszałem. Ale on miał innego lekarza.

Historia ta dotarła aż do Gasparego Torelli w Mediolanie: zdaje się, że kardynał cierpiał takie katusze, że zaryzykowano nowe remedium sprowadzone przez kogoś z Portugalii. Za każdy moment ulgi, jaką przyniosło, kardynał zapłacił jednak później dziesięciokroć gorszą męką i umarł, krzycząc. Od tamtego czasu Torella prowadzi burzliwe dyskusje. Cesarego, który czuje się dobrze już tak długo, że jest przekonany o całkowitym uleczeniu, interesuje bardziej zwolnione miejsce w Świętym Kolegium. Wojna to kosztowny interes, a kapelusze kardynalskie dają niezawodny dochód.

– Pomówmy jednak o tobie, nie o mnie. Jesteś za chuda. Nie karmią cię jak należy.

– O, wręcz przeciwnie. Tuczę mnie jak gęś.

– Wyglądasz na zmęczoną.

– I doprawdy nic w tym dziwnego – odpowiada Lucrezia, śmiejąc się teraz. – Urodziłam dziecko. Muszę powiedzieć, Cesare, że grzech Ewy to zaiste wielkie brzmie. Nie wydaje mi się, żeby wielu mężczyzn zniosło łatwo taki ból.

Przelatuje mu przez myśl obraz Cateriny Sforzy zadzierającej spódnice aż po napierśnik.

– Ach, ale przecież jesteś Borgią. A my potrafimy znieść wszystko. Tęskniłem za tobą, siostrzyczko.

– A ja za tobą, bracie. A więc – chcesz go zobaczyć? To znaczy... Rodriga? – dodaje śpiesznie, na wypadek, gdyby opacznie ją zrozumiał. – *Papà* twierdzi, że wygląda całkiem jak ty. Zawołam, żeby go przyniesiono.

Jej twarz wyraża taką gorliwość, że nie może odmówić.

– W takim razie szybko. Wyjeżdżam o świcie, a mam jeszcze dużo do zrobienia.

Ale teraz, kiedy jest już na odchodnym, Lucrezia nagle chce, żeby został, chce wykorzystać tę bliskość, by naprawić to, co – wie o tym – nadal gdzieś pod spodem jest popsute.

– *Papà* pokazywał mi podobiznę twojej żony. Jest prześliczna, prawda? Ubóstwia cię?

– Sądzę, że nie jest niezadowolona.

– I ty również wkrótce będziesz ojcem. Musisz przywieźć ją do Rzymu. Wtedy będziemy wszyscy razem. Dzieci będą...

Nie ma czasu, by skończyć zdanie, bo otwierają się drzwi i wchodzi przez nie matrona. Podchodzi do wielkiego łoża z drugiej strony, rewanżując się Cesaremu poprzez niedopuszczenie go zbyt blisko, i składa zawiniątko w ramionach Lucrezii.

Rodrigo Borgia śpi głęboko. Przebywa na tym padole od osiemnastu dni i wciąż łaknie ślepego zacisza łona.

– Czyż nie jest piękny? – szepcze Lucrezia.

Cesare nigdy nie widział noworodka tak niedługo po przyjściu na świat i niepokoi go kontrast pulchności i kruchości. Powijaki trzymają go mocno, okalając małą twarzyczkę. Powieki wyglądają jak cienkie kreseczki narysowane na skórze. Wokół spłaszczonego noska jest ona usiana drobnymi białymi krostkami, a wargi są ściągnięte jakby w wyrazie dezaprobaty. Brzydki jak nowo narodzone prosię, myśli Cesare, choć ręka sama wysuwa mu się, aby go dotknąć.

– Dostrzegasz podobieństwo? – drażni się Lucrezia. – Podczas chrztu był cichutki jak anioł, aż wziął go na ręce Paolo Orsini. Wtedy zaczął krzyczeć ile sił. *Papà* powiedział...

– Wiem, co *papà* powiedział.
– Możesz go potrzymać, jeśli chcesz. Nie obudzi się – mówi Lucrezia, delikatnie wyciągając ku niemu dziecko. Lecz Cesare już cofnął rękę.
– Nie teraz. Mam do przeprowadzenia wojnę i powinienem być już w drodze. – Pochyliła się na łóżkiem, omijając dziecko, i składa pocałunek na jej czole.
Lucrezia zamyka oczy, by ukryć rozczarowanie.



Rozdział 45



Na długo przed tym, zanim można cokolwiek zobaczyć, słyszą odgłos. Odległe dudnienie. Mężczyźni na polach zatrzymują woły, odkładają widły i rydle i brną przez zaoraną ziemię, aby znaleźć się bliżej brukowanej drogi – dostatecznie jednak daleko, by nie ściągnąć na siebie uwagi. Kobiety zostają tam, gdzie były: przywołują mniejsze dzieci i upewniają się, że wszystkie są u ich spódnic, zanim także podniosą głowy i zmrużą oczy, wpatrując się w dal.

Ci o ostrzejszym wzroku widzą teraz niewyraźną plamę na zachodnim horyzoncie. Czekają cierpliwie, aż masa przy wtórze narastającego łoskotu nabiera kształtu i znaczenia. Najpierw udaje im się dostrzec w kurzawie pobłyskującą stalowo falangę koni, zmierzającą ku porannemu słońcu. Jednostajny grzmot rozpada się na lawinę pojedynczych dźwięków: uderzeń podków o kamienie, parskania zwierząt, szczęku blachy – odgłosów wojny. Zakuci w metal giganci – człowiek i koń zbroją stopieni w jedno – jadą szóstkami, szereg za szeregiem, niezliczeni. Kilku malców z szeroko otwartymi oczętami wykrzykuje swoje zadziwienie, ale rodzice uciszają ich szturchańcami.

Za konnicą podążają pikinierzy, pierwszy rząd brodząc w świeżych pokładach końskiego łajna. Dotrzymują kroku kawalerii mimo ciężaru swoich wielkich drewnianych kopii; nieprawdopodobnie wysocy mężczyźni o skudlonych włosach opadających na skórzane kaftany, ze znoszonymi sakwami i buklakami przewieszonymi przez ramię. Po nich przychodzi kolej na ciężko- i lekkozbrojną piechotę. Każdy żołnierz dźwiga takie same racje żywnościowe, jakie nieśli rzymscy legionieści, stąpając tym samym traktem półtora tysiąca lat wcześniej: pół galonu rozcieńczonego wodą wina i ćwierć bochenka chleba (wszystko kupowane uczciwie po cenach rynkowych) – na tyle hojne, że wywołują plotki, i na tyle hojne, że młokosów na polach kusi, by rzucić łopatę i dołączyć do pochodu. Ojcowie nieco mocniej przygarniają synów, gdy mijają ich kolumna.

Idą i idą bez końca, aż potężna Via Emilia zapełniona jest nimi w obie strony jak okiem sięgnął. Przy garkuchniach i mułach z prowiantem nastrój się zmienia: woźnice pokrzykują i śmieją się, szczerząc zęby, jakby mieli własny zapas wina. Większość tego, co mówią, nie ma sensu; francuski, włoski, hiszpański, niemiecki, gaskoński – ze zlepionych kostek różnych języków ułożyło się jak mozaika nowe narzecze, o słowniku wystarczającym na potrzeby wojny i obejmującym: walkę, jedzenie, wydalanie, sen i grabież.

Po jakimś czasie kobiety odwracają się, z powrotem ku ziemi. To wojsko. Widywały je wcześniej i jeszcze nieraz zobaczą. Mężczyźni czekają na armaty.

Pojawiają się, schowane pomiędzy szeregami piechoty, na wozach zaprzężonych w konie silne jak woły, a zdolne poruszać się dwakroć szybciej, by utrzymywać równe tempo z resztą armii.

– Bum! Bom! Bar! Da!

Skandowanie niczym werble wyznacza rytm kroków kanonierów, którzy maszerują przy wozach, w strojach czarnych jak ich działa.

– Bum! Bom! Bar! Da!

Pierwsza armata jest największa: La Tiverina, która imię wzięła od Tybru, długa na

dziewięć stóp, z lułą tak szeroką, że może miotać kamienne kule wielkości męskiej głowy. Mówią, że kiedy armaty dokonają swego dzieła i miasto zostaje zdobyte, dowódcy posyłają specjalne oddziały żołnierzy na poszukiwanie kul. Ci odnajdują je tam, gdzie spadły, i po zeszkrobaniu krwi i strzępów mózgow ładużą z powrotem na wozy, by można było ich użyć jeszcze raz. Oszczędność i śmierć: połączenie, które ludzie pracujący na roli rozumieją lepiej niż inni.

– Bum! Bom! Bar! Da!

Głosy przetaczają się pod kołami wozów. Młodszy mężczyźni na poboczach drogi dołączają się, jakby powtarzanie słów mogło odegnać grozę. Skandują jeszcze, gdy artyleria już znika w oddali, a obok nich ze stukotem przejeżdżają ostatnie wozy, za którymi ciągnie sznur pasożytów: starców, chłopców zbyt młodych, by walczyć, i gromada wynędzniałych kobiet, wykrzykujących w stronę rolników swoje zaproszenia, a w słowach i gestach bardziej ordynarnych od wszystkich poprzedzających je żołnierzy.

Oto Via Emilia i armia Borgii ciągnąca nią na wojnę.

Jazda dociera do Imoli, po tym jak zwiadowcy już oznajmili jej rychłe nadejście włodarzom miasta i wybrali pozycję niedaleko miejsca, gdzie wieże twierdzy podpierają miejskie mury. Żołnierze kopią doły pod latryny, z kuchni połowych bucha woń duszonej baraniny, a w kwaterach dowództwa właśnie rozlewane jest wino, kiedy przybywa mała delegacja.

Zostaje wprowadzona do namiotu Cesarego, oszczędnie umeblowanego stołem na kozłach oraz kilkoma krzesłami i stołkami. Cesare jest sam, nie licząc Michelotta, nieodstępującego go teraz jak cień, ale zawsze w pewnej odległości, i starego dowódcy wojsk francuskich, Yves'a d'Alegre.

Mężczyzna prowadzący za sobą garstkę innych obywateli ma gładko ogoloną twarz i jest modnie odziany w aksamitny kaftan z jedwabną szarfą i kapelusz z pióropuszem. Buty ma jednak paskudnie brudne.

– Nazywam się Giovanni Sassatelli – mówi. – Jestem...

– Wiem, kim jesteście, Sassatelli – przerywa mu gładko Cesare. – Nie ma w Imoli starszego i świetniejszego rodu niż wasz. Jeśli mamy wojować, by miasto znalazło się z powrotem pod papieskim sztandarem, walka z wami będzie dla mnie zaszczytem.

Sassatelli skinieniem głowy daje znak, że przyjął komplement. Kiedy człowiek ma do przełknięcia gorzką pigułkę, dobrze mieć trochę godności do osłodzenia jej drogi przez gardło.

– Walka nie będzie konieczna, książę Valentino. Przyszliśmy tu, żeby zaoferować wam poddanie miasta.

Cesare baczy, by nie zmienić wyrazu twarzy.

– A cóż przywiodło zacnych mieszkańców Imoli do tak roztropnej decyzji?

– Doszły nas słuchy o waszej wielkoduszności, mądrości, sprawiedliwości. I chcemy się oddać w wasze ręce.

– A wasza władczyni? Co sądzi o tym hojnym darze składanym w jej imieniu?

– Caterina Sforza dziesięć dni temu udała się do Forlì, zostawiając miasto pod zarządkiem moim i gubernatora, Dionigiego da Naldo.

– A tak, również znakomitego żołnierza... – Cesare na chwilę milknie. – Nie przyszedł tu z wami?

– Nie. Jako gubernator jest także kasztelanem i odpowiada za obronę twierdzy. – Sassatelli się waha. – Księżna wzięła jego dzieci jako zakładników.

– Ach tak. – Cesare spogląda na swojego francuskiego towarzysza. – W takim razie musimy dopilnować, by wskutek kapitulacji nie stała im się żadna krzywda. Nasze działa będą tu pojutrze. Będziemy potrzebować wiedzy miejscowych, na jakim odcinku mury są najsłabsze.

– Jest pewien mistrz ciesielski, który pracował kilka lat temu przy renowacji... Już z nim rozmawiałem.

– Wyśmienicie.

– Musicie wiedzieć, panie, że mieszkańców Imoli wielce zasmucił zamach na życie Ojca Świętego. Nie mieliśmy z nim nic wspólnego. Nie można powiedzieć, abyśmy kwitli pod rządami Sforzy.

– Wiem o tym, Sassatelli. – Cesare wstaje i kładzie dłoń na barku mężczyzny, wyprowadzając go na zewnątrz. – Bądźcie spokojni, że nie przybyłem tu, by zastąpić jedną tyranie drugą. Dostajecie się w ręce Kościoła i od teraz czekają was sprawiedliwe rządy. A tacy rycerze jak wy będą mieć szansę na wsławienie się przy innej okazji. – I obdarza go najczarowniejszym ze swych uśmiechów.

Wracając do stołu, zauważa krzywy uśmiech na obliczu Francuza.

– Co? Wolałbyś rzeź?

– Oczywiście, że nie. – D'Alegre macha ręką. – Za dobrze się bawię. Doprawdy, drogi książę, nie ma to jak prowadzić wojnę w Italii. Wszyscy są tacy... rozsądni, gdy chodzi o uniknięcie bitwy.

– Uważasz, że to brak odwagi?

W odpowiedzi D'Alegre sznuruje usta, jakby musiał powstrzymać się od przytaknięcia.

– Ja sędzę, że raczej znają życie i wiedzą, kiedy władca nie jest wart, by za niego walczyć.

– Albo że następny będzie lepszy – mówi Francuz, pamiętając, jak jego król polubił tego pewnego siebie młodego wojownika. – Tak czy inaczej, co dobre dla ludu, nie zawsze jest dobre dla armii.

O namiętności Cesarego do jego nowego zawodu naj-lepiej świadczy fakt, że nie obraża go protekcyjna postawa d'Alegre'a. Wie, że ten stary weteran francuskich wojen włoskich czuje się pokrzywdzony, będąc zmuszonym do dzielenia pola z niedoświadczonym dwudziestoczteroletkiem. Stara się ze wszystkich sił okazywać mu respekt, wciągając go w rozmowy o wojnie i chciwie spijając z jego ust opowieści o bombardowaniach i bitwach, które potem, gdy inni śpią, odtwarza w myślach scena po scenie. Nauczył się bardzo dużo. Niektórych rzeczy jednak nie trzeba się uczyć. Nastrój armii jest raczej oczywisty. Cesare chciałby ujrzeć walkę tak samo jak wszyscy – może nawet bardziej, gdyż wie, że ma coś do udowodnienia – ma jednak również po ojcu nos do polityki, a gdy do zdobycia jest tyle miast w tak krótkim czasie, działanie ukradkiem jest strategią równie mądrą jak chwalebny wyczyn. Ostatnie dni przyniosły pogłoskę, że pokonany Ludovico Sforza zamyśla powrócić do Italii. Jeśli znajdzie wojsko, które go wesprze, król odwoła swoją armię i wielki plan Borgia będzie musiał poczekać.

Imola nie kosztuje Cesarego wiele czasu. Dzięki informacjom cieśli północny mur twierdzy zostaje przerwany w ciągu jednego dnia, a kasztelan, da Naldo, nie otrzymawszy posiłków, o które prosił, poddaje się i przyjmuje propozycję służby u Borgia. Jeśli odkryje, że jego dzieci pomordowano, będzie miał przynajmniej jak się mścić: rodzina to jedna z tych rzeczy, za które zawsze warto zabijać.

Uzyskawszy od miasta i jego najważniejszych rodów obietnicę posłuszeństwa papieżowi i rządowi Borgia, armia rusza na Forlì. Zbliża się Boże Narodzenie, a Virago czeka na nich, okopana w wielkiej fortecy Ravaldino w obrębie miejskich murów. Szlachetni obywatele miasta, przekonani, że są bezpieczni i nie staną już nigdy w obliczu jej gniewu, oferują kapitulację. Żołnierze, wiedzeni nadzieją na ciepłe łóżko, maszerują rażno i wysuwają się przed artylerię.

Tryumfalne wejście psuje piekielna pogoda – rzęsisty deszcz zmienia nawierzchnię ulic w rzadkie błocko, a żołnierzy ściga niemiarkowy ogień artyleryjski z murów twierdzy. Podczas

kwaterowania oddziałów daje się jeszcze utrzymać dyscyplinę, ale kiedy przybywa artyleria, atmosfera jest kiepska. Jak zwykle ton nadają oddziały szwajcarskie i gaskońskie, odmawiając płacenia za coś, co mogą wziąć sobie za darmo. Są w drodze od sześciu miesięcy, a poza tym są święta. Po pierwszym okrzyku wzywającym do plądrowania rozlewa się fala przemocy, której d'Aligre nie stara się powstrzymać z dostateczną determinacją.

– Za kogo oni się mają, do stu diabłów! – Cesare wyładowuje swoją wściekłość na Michelotcie. – Osobiście obiecałem starszym miasta, że to się nie zdarzy!

– Co mówi d'Aligre?

– A jak sądzisz? „To wielce *niefortiunné*” – Cesare wywija wargi w naśladownictwie. – „Ale tak *zoldaki* zachowują się na wojnie”. Powiadam ci: gdybyśmy tak bardzo ich nie potrzebowali, sam bym ich złupił. Wyobraź sobie, jaką ona ma satysfakcję, patrząc, jak jej poddani są wyrzynani, bo ją opuścili.

– E, jeśli jest tak cwana, jak mówią, bardziej będą ją interesować rozmiary armat pod jej murami. – Michelotto szczerzy się w swój niepowtarzalnie paskudny sposób. – Wiesz, co gadają o niej żołnierze? Że ma zębatą pizdę, więc możesz z nią sobie poużywać tylko z żelaznym kutasem i kamiennymi jajami.

To jedna z wielu krążących obscenicznych obelg; niektóre są zapisywane i za pomocą procy posyłane za mury. Czy pani zamku czyta je, czy nie – trudno powiedzieć. Rządzi się własnymi prawami. Jej byli poddani mówią o pałacu wybudowanym wokół donżonu, o sklepionych sufitach i posadzkach wyłożonych płytkami, z letnią loggią ozdobioną freskami przedstawiającymi winorośl, w otoczeniu drzew owocowych i ogrodu z ziołami, dostarczającego składników do jej drogocennych kosmetyków i maści. Co dzień o zmierzchu defiluje przed światem: przechadza się po blankach między basztami, a zachodzące słońce kładzie się pałającą aureolą na jej rozpuszczonych włosach, rozświetla jej zbroję i rozbłyskuje na klindze nagiego miecza. Puszkarze rozstawiający bomby pod murami przyglądają się jej wędrówce z rodzajem trwogi. Francuscy dowódcy, wychowani na opowieściach o rycerskich bojach, są nie lepsi. Ci, którzy mieli nadzieję zoczyć coś pod suknią, doznają rozczarowania. Jej dzieci – nawet to najmłodsze, ledwo roczne – zostały odesłane w bezpieczne miejsce, a ona, jak się zdaje, nie jest już zainteresowana robieniem kolejnych.

Zanim ostrzał zacznie się na dobre, Cesare spróbuje jeszcze negocjacji.

– Strata czasu. Nigdy się nie podda – mówi Michelotto.

– Wiem. Nie robię tego dla niej.

O umówionej porze, w kolczudze i szkarłatnych barwach -Valentinois na wierzchu, podjeżdża do brzegu fosy z przodu bastionu. Za nim oddział żołnierzy, palących się do udziału w jakimkolwiek przedstawieniu, jakie może się rozegrać.

– Skromna twierdza Forlì czuje się zaszczycona, będąc przedmiotem twoich ambicji, przesławny książę. – Melodyjny głos, dobiegający z wieżyczki nad mostem zwodzonym i wzmocniony przez tubę, dochodzi do Cesarego i stojących za nim żołnierzy. – Czego od nas chcecie?

– Abyś się poddała, wraz ze swoimi ludźmi, Jego Świątobliwości papieżowi i Kościołowi. – Głos Cesarego, choć niespotęgowany, jest wystarczająco donośny, by słyszeli go wszyscy.

– Co dostanę w zamian?

– W zamian gwarantuję ci bezpieczne wyjście, byś mogła dołączyć do dzieci, a twoim dzielnym żołnierzom proponuję zaciąg do mojej armii.

– To uczciwa oferta. – Cisza, która zapada po tych słowach, podkreśla dramatyzm chwili. – Może powinniśmy przedyskutować ją twarzą w twarz.

Zwodzony most ożywa z jękiem: obroty korby odrywają go od muru i chybotliwie, skokowo opuszczają w dół. Koń rży lekko, kiedy most zawisa ponad nimi, ale Cesare dobrze ocenił dystans i zarówno jeździec, jak wierzchowiec pozostają niewzruszeni, gdy drewno uderza o ziemię mniej więcej w odległości wyciągniętego ramienia od końskich kopyt.

Ich oczom ukazuje się pusty dziedziniec fortecy, bez jednego żołnierza w zasięgu wzroku. Zaraz potem pojawia się sama pani, która zdecydowanym krokiem wychodzi na most, w spódnicy tego samego koloru co szkarłatna szarfa spływająca z jej napierśnika, z obnażonymi mimo mrozu ramionami i z falami kasztanowych włosów opadającymi na zakute w metal barki. Zatrzymuje się prawie w połowie, stając pewnie i wyciągając ręce w geście zaproszenia, przeznaczonym tyleż dla niego, co dla całej armii.

– Oto jestem, księżę. Gotowa do rozmowy! – krzyczy pod wiatr. – Nie dołączysz do mnie? Spędziłam wiele przyjemnych godzin z mężczyznami jeszcze młodszymi od ciebie.

Żołnierze za nim ryczą z uznaniem. Włosi, Hiszpanie, Francuzi, Gaskończycy – jakiegokolwiek są narodowości, dowodzi nimi teraz tylko jeden człowiek i chcą się przekonać, co zrobi. Cesare pozwala im chwilę poczekać. Potem powoli, z przesadną gracją każdego ruchu, zsiada z konia, przesuwając dłonią po jego szyi, jakby chciał mu coś powiedzieć, a następnie odwraca się i wchodzi na most, by stanąć naprzeciw niej. Ile ich dzieli? Dwadzieścia, trzydzieści kroków? Jest znów w lesie, z uwagą skupioną na tańcu myśliwego i zwierzyny.

– Księżę Valentino, widzę, że nogi masz kształtniejsze nawet, niż słyszałam.

Podchodzi jeszcze kilka kroków bliżej, uśmiechając się szeroko. Cesare robi to samo. Stoją w milczeniu. Wciąż nie dość blisko. Co teraz?

Caterina wykonuje następny ruch – kolejne trzy kroki. Cesare odpowiada zwierciadlanym ruchem.

Nagle wydaje dziewczęcy krzyk. Szarpnięcie podnoszącego się mostu nie wstrząsa Cesarem, bo je przewidział. Caterina odwraca się i biegnie, niemal zanim jeszcze się to dzieje, z łatwością pokonując coraz bardziej stromą pochylnię dzielącą ją od zamku. Na blankach powyżej nagle roi się od żołnierzy, wrzeszczących i wyjących. Cesare jednak nie słucha. Również się odwraca, ze znajomym dzwoniem w uszach: ma dziewięć, najwyżej dziesięć kroków, by oszacować właściwy kąt skoku i coraz szerszą przepaść.

Koń, jak na komendę, odwraca się tyłem do fosy, przygotowując się dla niego, tak by dobrze wylądował w siodle. Cesare wybija się w powietrze. Nie może popełnić błędu – jeśli znajdzie się w wodzie, będzie to na swój sposób tak samo katastrofalne, jak gdyby dał się pojmać. Ileż to razy ćwiczył podobne sztuczki, skacząc z okna na dziedziniec albo z jednego konia na drugiego? Tej jednak nigdy nie wykonywał, a nawet przy wielkiej zręczności zawsze jest ryzyko. Po co w przeciwnym razie człowiek robiłby coś takiego?

Jest bliżej, niżby chciał. Ląduje niezgrabnie częściowo w siodle, częściowo poza nim – ból uderzenia przeszywa mu pachwinę – i łapie za grzywę, by się wyprostować. Koń w proteście staje dęba, ale Cesare jest już bezpieczny i może zrobić z tego spektakl. To, co dla niego niedoskonałe, w oczach innych i tak wygląda nadludzko. Na brzegu fosy rozlegają się ogłuszające wiwaty i wkrótce obie strony podnoszą wrzask, ujadając na siebie przez wodę jak watahy wściekłych psów.

Mijając d'Alegre'a i Bailly'ego de Dijon, dowódcę sił gaskońskich, Cesare nonszalancko unosi rękę. Mieszkańcy Forli będą dziś spać spokojniej. Plądrowanie ma swoje uroki, lecz dla żołnierzy oczekujących walki jest niczym wobec podniety, jaką stanowi prowokacja wroga.



Rozdział 46



W Rzymie rok 1500 rozpoczyna się łaskawie jasnym niebem i krystalicznym mrozem. Dróżki i ugory wokół katedry Świętego Jana na Lateranie na południu miasta zapchane są pielgrzymami, czekającymi, by pozdrowić papieża i jego ukochaną córkę Lucrezię, księżnę Bisceglie, która jedzie na honorowym miejscu w kawalkadzie duchownych i szlachty. Nabożeństwo w przepastnym starym kościele Konstantyna, w którym uczestniczą, wyznacza oficjalny początek wielkiego roku jubileuszowego. Później, w zapadającej ciemności, na blankach Zamku Świętego Anioła rozbłyskują wielkie koła syczących, sypiących iskrami sztucznych ogni, które z wizgiem ulatują w nocne niebo i rozpryskują się nad miastem jak deszcz komet.

Dwieście pięćdziesiąt mil na północny wschód, za murami twierdzy w Forlì niebawem zaczną się całkiem inne fajerwerki. Jest jeszcze ciemno, kiedy chłopcy z taboru aprowizacyjnego rozdają artylerzystom kuleczki łożu. Pomocnicy i ładowniczy wpychają je szybko do uszu i dodatkowo owijają głowy opaskami ze szmat, by wchłaniały najgorszy pot, który się wkrótce poleje. Bombardierzy są uważniejsi: obracają je w palcach jak paciorki różańca, zmiękczając między opuszkami, by lepiej dopasowały się do ucha. Kilku odmawia szybką modlitwę do świętej Łucji, dziewiczej męczennicy, patronki ociemniałych, na pamiątkę tortur zadanych jej przed ścięciem niosącej na tacy własne oczy. Ta nowa mobilna artyleria, zsyłająca śmierć z jasnego nieba bez żadnego względu dla odwagi czy sprawności ludzi, których miażdży, wzbudza taką nienawiść, że wiadomo o schwytych puszkarzach, których ukarano wyłupieniem oczu. Mając już słuch uszkodzony od wybuchów, stają się żywymi trupami.

Teraz jednak ich wzrok jest wzrokiem armat, dość ostrym, by roznieść mury każdej fortecy. Działa zostały opuszczone na pozycje, proch nasypany. Kule są wtaczane do luf – im doskonalsza ich okrągłość, tym lepiej lecą – i dobijane do czopów zamykających ładunek, podczas gdy puszkarz sypie więcej prochu do otworu zapalowego. Grupka chłopców stoi w pogotowiu z płonącymi pochodniami – jedynym źródłem ciepła w przenikliwym chłodzie świtania. Gdy na wschodnim niebie zaczyna się rozlewać plama światła, pierwszy z chłopców podaje stoczek pierwszemu kanonierowi, który podpala proch na panewce, czeka chwilę, by mieć pewność, że się zajął, po czym szybko usuwa się z pola odrzutu, znając jego gwałtowność.

Zaranną ciszę rozdziera ryk eksplozji. Potem następny. I następny. Kiedy strzał oddaje dziesiąta armata, pierwsza jest już w trakcie ponownego ładowania: mężczyźni wsuwają głęboko do lufy wyciory ze zmoczonej tkaniny, aby wyczyścić ścianki i zdusić ostatnie iskry, przygotowując działo na bezpieczne przyjęcie kolejnego ładunku prochu.

Wkrótce wszystkie żelazne smoki rzygają ogniem, a powietrze wypełnia grzmot i przeraźliwy huk kamienia trzaskającego o kamień. Ze szczytów wież odpowiadają ogniem mniejsze foglerze, lecz ich zasięg jest za mały, a nie mając pola manewru, są bardziej narażone na uderzenia. Dym z dział miesza się z chmurami wyrzucanych w powietrze odłamków. W nieprzemijającym półmroku, który przez to panuje, nawet najbardziej bystroocy puszkarze nie potrafią ocenić zniszczeń.

Niesłabnący ostrzał trwa aż do wczesnego popołudnia, gdy ogień zostaje przerwany, by

ludzie mogli dostarczyć na miejsce więcej amunicji, a kanonierzy, teraz czarni jak ich działa – trochę odpocząć. Cesare i inni dowódcy, zebrani w punkcie obserwacyjnym na wieży wzniesionej opodal artylerii, czekają, aż powietrze się oczyści. Ukazuje się poszarpany zarys murów na lewo od mostu zwodzonego. Nie widać żywej duszy, choć gdy uszy dostrajają się do ciszy, dobiega ich gama ludzkich krzyków i nawoływań. Szczyt jednej z baszt jest w gruzach, działa wyglądają na unieszkodliwione, tu i ówdzie coś płonie. Górny chodnik bastionu i mur poniżej są ospowate od dziur. Nie ma jednak niczego, co można by uznać za decydujący wyłom. Cesare odwraca się do D'Alegre'a i Vitellego. Kiwają głowami. Gdy na wieży pojawiają się pierwsi ludzie, z wiadrami wody w rękach, Cesare posyła na dół rozkaz, by wznowiono ogień. Tym razem wstrzymuje go dopiero ciemność.

Twierdza, przez tyle lat niezdojta, odbiera ciężki jeszcze przez jeden pełny dzień. Wreszcie w niedzielę rano, gdy zaczyna sypać śnieg, długi odcinek zewnętrznego południowego muru z łoskotem zapada się prosto do fosy, a jego fragmenty i mniejsze odłamki budulca tworzą bród do połowy jej szerokości. Po stronie Cesarego są już gotowe tratwy. Ludzie cisną się na nie – Szwajcarzy i Gaskończycy łokciami torując sobie drogę na przód – brodzą w wodzie i gramolą się na kamieniu, tak że zanim pozostałe działa w środku mogą dać im odpór, wyłom zostaje zdobyty.

Żołnierze wlewają się do twierdzy fala za falą; ich głód zwycięstwa jest wprost proporcjonalny do tego, jak długo kazano im czekać na walkę. Trupy piętrzą się u ich stóp. Wewnątrz donżonu, w którym schroniła się Caterina ze swoimi dowódcami, pada rozkaz podpalenia zbrojowni i składów zapasów. Jednakże w chaosie, który następuje, dym i ogień oślepiają obrońców bardziej niż atakujących i wkrótce gaskońscy żołnierze z mieczami w dłoniach wdzierają się do środka i wnoszą taran naprzeciw drzwi strzegących spiralnej klatki schodowej. Na górze czeka, zabarykadowana, Caterina Sforza ze świtą.

Reszta armii wysypuje się przez spuszczone teraz most, najpierw kawaleria z Cesarem i d'Alegre'em na czele. Temperatura spada raptownie; w zacinającym deszczu ze śniegiem konie idą przez rumowisko, omijając zwłoki. We wnętrzu donżonu Cesarego czeka niemiła niespodzianka: drzwi do izby jeńców, choć roztrzaskane, zastawia sobą tuzin skrwawionych Gaskończyków.

Bailly de Dijon, ich przywódca, spieszy, by go powitać, przygotowując się na furię, która na niego spadnie.

– To... takie są prawidła wojny, książę Valentino. To moje oddziały zdobyły cytadelę, a księżna Forlì już się poddała mojemu konstablowi, przy założeniu, że będzie jeńcem Fra...

– Aa, nie ośmieliłbyś się! – Cesare wrzeszczy mu prosto w twarz. – To ja dowodzę tą armią i twoi parszywi konstable walczą dla mnie.

– Panie, jesteśmy przede wszystkim Francuzami i lojalność winniśmy naszemu...

– Książę Valentino – wtrąca się gładko d'Alegre, stojący u boku Cesarego. – Jako francuski arystokrata wiesz, że zgodnie z prawem wojskowym nie wolno brać kobiety jako jeńca wojennego. Ludzie Bailly'ego de Dijon jedynie zatrzymali damę w imieniu króla Ludwika. Pod którego opieką się obecnie znajduje.

– „Opieka”! Na rany Chrystusa! Prędzej oficerski łup. – Cesare śmieje się z goryczą. – Chcecie pieniędzy. Okupu. To o to chodzi. – Nawet d'Alegre wygląda na zmieszanego. Czy planowali to od początku? Nic dziwnego, że tak zacięcie walczyli o pierwszeństwo. – Zapomniałem, że jesteś biegły w takich sprawach. To przecież ty „zaopiekowałeś się” Giulią Farnese i moją ciotką, kiedy wracały do Rzymu przed inwazją, nieprawdaż?

D'Alegre wzrusza ramionami. Nie ma zamiaru dać się tym zawstydząć.

– Miałem przyjemność, jak również obowiązek, przyjąć ich poddanie i zapewnić im

bezpieczeństwo w ramach jurysdykcji króla, zanim nadarzyła się możliwość przekazania ich w ręce Jego Świątobliwości. Calutkich i zdrowiutkich.

– O tak. A więc... powiedziałaś, że „dama” tam na górze jest warta więcej czy mniej niż one?

Trzy tysiące dukatów. Tyle zapłacił jego ojciec. Cesare pamięta dobrze, bo na ulicach żartowano, że to tanio jak na -papieską kurtyzanę, sugerując, że to d’Alegre w swojej rycerskości został oskubany. Niewątpliwie zamierza teraz to sobie powetować. Śmiejesz się z nas za naszymi plecami, myśli Cesare. Ale zastanawiam się, czy tak bardzo, jak my śmiejemy się z ciebie. Odwraca się znów ku gaskońskiemu przywódcy.

– Sześć tysięcy.

– Co?

– Odbiorę ją z waszych rąk za sześć tysięcy dukatów.

Tuż za Baillym de Dijon jakiś człowiek, najwyraźniej konstabl we własnej osobie, bełkocze z oczami jak spodki:

– Nie... Nie wiem...

– Bardzo dobrze, pięć tysięcy.

– Ale...

– Suma maleje z każdą odmową. Uważaj. Lepiej, byś miał pewność, że kiedy dojdzie to do uszu króla, nie weźmie on mojej strony zamiast twojej. Pięć. Czy mam zejść niżej?

Dowódca gaskońskich oddziałów popatruje niespokojnie na d’Alegre’a, ale jest jasne, że to już koniec negocjacji. Bailly de Dijon ustępuje z drogi i ludzie Cesarego rzucają się na schody. Słysząc podniesione głosy i łomot kroków na deskach podłogi. Chór kobiet podnosi krzyk, wysoki, przenikliwy lament, jakby kogoś mordowano, a odgłosy walki stają się głośniejsze, gdy mężczyźni wytaczają się na kręte schody, trzymając między sobą wrzeszczącą, wierzgającą i mlójącą rękami Caterinę Sforzę.

– Wy brudne dranie! – krzyczy, gdy wloką ją przez pomieszczenie. – Poddalam się królowi Francji i nikomu więcej. Zgnijecie wszyscy w piekle za ten dyshonor.

Szlachetni panowie spuszczaają oczy. Choć okup jest cenioną dodatkową korzyścią, jaką można odnieść na wojnie, erotyczne implikacje rycerskości, o których każe myśleć ta wspaniała Amazonka, nie należały do sekretu w namiotach francuskich dowódców: tak jakby taką kobietę można było przekonać, aby dała po dobroci to, co inni musieliby wziąć siłą.

Wciąż krzyczy, wyciągana za drzwi.

Świętowanie trwa do nocy; puls zwycięstwa dudni we wszystkich. Mężczyźni, którzy zdobyli wyłom, pławią się w tryumfie: każdy ma do opowiedzenia historię, jak to niemal zginął, niektórzy przechwalają się ranami – narkotyk bitwy znieczuli ich na obrażenia, które rano odezwą się nieznośnym bólem. Cesare chodzi po prowizorycznym obozie, rozmawiając i śmiejąc się z żołnierzami, ściskając osmolonych puzkarzy i ich pomocników, którzy z zapalem przeżywają na nowo piękno bombardowania, z każdą relacją obciosując je w legendę.

Gdy Cesare i jego straż wracają do miasta, jest głęboka noc i ulice są puste z wyjątkiem paru pijanych maruderów, a warstwę śniegu zaczyna z wierzchu skuwać lód. Cisza po tylu dniach ogłuszającego ognia armatniego jest niemal niepokojąca.

Kobieta, która niedawno jeszcze władała dwoma miastami, siedzi w zamkniętej na cztery spusty izbie na poddaszu pałacu będącego kwaterą Cesarego. On sam nie zawraca sobie głowy myciem ani przebieraniem. Nie pamięta, kiedy ostatni raz spał, ale podbój jeszcze się nie skończył.

Następnego ranka w jego pokoju przyjęć tłoczą się z powinszowaniami przedstawiciele miasta, francuscy szlachcice, nawet kilku jego własnych kondotierów – każdy wiedziony

ciekawością silniejszą od kaca. Wysłany o świcie kurier z doniesieniami o wspaniałej wiktorii jest już w połowie drogi do Apeninów, ale drugi czeka w pogotowiu, na wypadek gdyby jakieś dalsze szczegóły okazały się warte dodatkowej podróży. Wiadomo, jak zachłanny jest papież na wieści o każdym oddechu swojego syna – ale przy tak chwalebnych wyczynach im dłuższe oczekiwanie, tym lepsza historia.

Kiedy podwoje komnaty Cesarego w końcu się otwierają, wychodzi z niej nie książkę, lecz jego najwierniejszy hiszpański towarzysz, stanowczo zamykając drzwi za sobą.

– Panowie, panowie! Mam was powitać i pozdrowić w imieniu księcia Valentino, władcy Imoli i Forlì. Jest wdzięczny za wasze życzenia pomyślności i odwzajemnia je po wielekroć. W tej chwili jednak jest zajęty meldunkami dla swego ojca. Kiedy zaś z nimi skończy, będzie przez jakiś czas odpoczywał. To była bardzo... pracowita noc – mówi ostrożnie, a mężczyźni pohukują lubieżnie. – Jak z pewnością możecie sobie wyobrazić.

– A jak „pracowita” była dla Virago? – Głos Vitellozza Vitellogo wybija się ponad inne. Gdyby jurność mężczyzny mierzyć tylko liczbami, Vitelli byłby sławiony bardziej, niż jest; ostatnio jednak częściej niż w dobrym zdrowiu można go ujrzeć z twarzą usianą wykwitami i dręczonego bólami przeszywającymi całe ciało. Łupy wojenne: nabytki wszelakiej maści. – Nuże, Michelotto. Nie możesz odprawić nas z kwitkiem. Dziesięć tysięcy chłopów kładło głowę, żeby ta noc była niezapomniana. Daj im coś w zamian.

Michelotto wzrusza ramionami.

– Człowiek nie chciałby kłaść niewieściej reputacji – mówi, odgrywając dworzanina z większą werwą niż zazwyczaj. – Ale książkę w istocie miał co nieco do powiedzenia, kiedyśmy spotkali się wczesnym rankiem. – I powtarza im te słowa.

Wszyscy wokół zanoszą się śmiechem. O, to jest właśnie to, co chcieli usłyszeć. Michelotto patrzy na zastępczą przyjemność, którą im zapewnił. Nie będzie teraz potrzeby wysyłania kuriera. Plotka obiegnie pół Italii jeszcze przed końcem tygodnia.

– Mnie to nic nie obchodzi, ale im musisz coś rzucić – powiedział, gdy Cesare padł na łożo, już niemal porwany lawiną snu.

– Co? Świadecko? Tego chcą? A więc... powiedz im, że księżna broniła swej twierdzy lepiej niż cnoty.

Zamknął oczy i w ciągu paru sekund już spał. Tak, pomyślał Michelotto, „broniła swej twierdzy lepiej niż cnoty”. To ujdzie całkiem niezłe. Choć znając jego pana tak dobrze, jak on go zna, można się zastanawiać, czy aby na pewno jest to cała prawda.



Rozdział 47



Jak mogłoby obyć się bez walki? Byłby to despekt dla nich obojga.

Według strażników przez pierwsze godziny złorzeczyła, tłukąc pięściami w drzwi i żądając, by przyniesiono jej świece, jedzenie i czystą pościel i zapalono ogień, bo marznie. Gdyby mniej się obawiali swojego dowódcy, byłiby może to zrobili, bo nie ulegało wątpliwości, że nawykła do spełniania jej rozkazów. Wreszcie, nic nie wskórawszy, ucichła.

Jednakże nie usnęła.

Kiedy Cesare zamyka za sobą drzwi i podnosi lampę, żeby rozproszyć ciemność, znajduje ją, zwróconą do siebie twarzą, na krześle przy pustym palenisku, z kapami ściągniętymi z łóżka udrapowanymi na ramionach jak wielka peleryna. Zdaje się zapraszać do oględzin. Jej bujna grzywa jest ujarzmiona i skręcona w węzeł z tyłu głowy, z kilkoma wymykającymi się kosmykami. Ma wysokie czoło, z wyskubanymi na najnowszą modłę włosami, a przecinające je cienkie kreski zdradzają jej wiek. Brwi tworzą idealne łuki nad głęboko osadzonymi oczami, wargi są pełne i mięsiste. Mimo smug brudu na policzkach widać rumieńce, jakby dopiero co wyszczypała je, aby nadać im kolor. Czyżby zdobyła się dla niego na taki wysiłek?

Jej napiersnik leży, niedbale porzucony, na podłodze pośrodku pokoju. Cesare wyobraża sobie jej piersi pozbawione osłony: kremowe i obfite, jak miękkie, zwisające owoce. Ostrożnie stawia lampę na stole. Jego twarde kutas daje o sobie znać ponad zmęczeniem. Nie ma wątpliwości co do tego, co stanie się między nimi. Ona przegrała, a on wypisze swoje zwycięstwo na jej ciele. Myśli o cuchnącym zarazą pergaminie z petycją wysłanym jego ojcu, o tym, jak most zwodzony poderwał się w górę, a ona ze śmiechem umknęła z jego zasięgu, o chciwych twarzach Francuzów, kiedy się o nią kłócili. Pięć tysięcy dukatów: na klejnoty rodowe Żyda, to najdroższa kurwa, jaką kiedykolwiek miał. Gniew podsycy jego pożądanie, gdy zrzuca płaszcz i podchodzi do niej.

Ona jednak znalazła już drogę zarówno do jego głowy, jak i do łądźwi.

– Nie zbliżaj się do mnie – warczy, bez żadnej zalotnej melodii. – Jakiegokolwiek prawa sobie rościsz, nie obejmują one mojego ciała.

Tylko że kiedy to mówi, część okrycia zsuwa się z niej, odsłaniając nagie ramię, blade i jędrne.

Nikt nie rozkwita dzięki strachowi. A jeśli tak się dzieje, nie jest to już strach. Caterina Sforza czuła go w życiu tyle razy, że wie, że tak naprawdę liczy się to, co człowiek z nim uczyni. Była świadkiem tego, co strach czyni z człowiekiem; patrzyła na dorosłych mężczyzn, którzy rzucali się na podłogę u jej stóp, łkając jak dzieci i błagając o miłosierdzie. Za pierwszym razem, kiedy coś takiego się zdarzyło, zupełna konfuzja, jaką to w niej wywołało, sprawiła, że darowała mężczyźnie życie. Osiem-naście miesięcy później, kiedy tkwił po szyję w następnej intrydze, podziękowała mu za uleczenie jej z takich niewieścich słabości. Jeśli do przeżycia potrzeba okrucieństwa – będzie hołdować okrucieństwu. Po publicznej egzekucji, gdy ciało odcięto od stryczka na tyle jeszcze żywe, by odczuło mękę rozczłonkowania, poszła do pałacu pobawić się z dziećmi. Nie czuła nic. Robiła po prostu to, co należało zrobić.

Podobnie jak robi to teraz, w tym pokoju. Wie równie dobrze jak on, co będzie dalej;

grała dziwkę wystarczająco często, by nauczyć się roli na pamięć. Pierwszy mąż napawał ją takim wstrętem, że zwykła zamykać oczy, gdy tylko się do niej zbliżał. Kiedy wypił dość, by nabrać odwagi, bił ją, aby go zauważyła. Jej poniżenie stanowiło część jego przyjemności. Kiedy wrogowie rozsiekli go na kawałki i rzucili zwłoki na plac, część jej duszy chciała jeszcze ich do tego zagrzewać. Zamiast tego jednak odegrała zdruzgotaną żonę, szlochając i błagając, by dać sobie czas na obmyślenie strategii przetrwania. Robiła to, co musiała. Przetrwanie. Walka o nie stała się jej specjalnością.

Wywiedziała się wszystkiego, co wiadomo o tym przystojnym młodym mężczyźnie. Słyszała, że ma duszę z żelaza podobnie jak ciało: mężczyzna tak żądny wielkości, że żaden tryumf nigdy mu nie wystarczy. Wie, dlaczego tu teraz jest: musi zdobyć miasto jeszcze raz, na własną rękę. I chociaż oczywiście zwycięży, nie może odbyć się to zbyt łatwo. Jakaż byłaby w tym chwala? Wyzwanie, które stoi przed nią, to nie dać się upokorzyć – wyczuć cienką granicę między oporem a poddaniem się i dać mu to, czego łaknie, w taki sposób, by się nie zorientował, że ona manipuluje jego żądzą. Może wziąć jej ciało, ale dzięki temu będzie zdolna wydobyć z klęski zwycięstwo.

Cesare jest teraz tak blisko, że czuje jej zapach – woń potu i czegoś innego, nieświeżego, niemal trącącego rozkładem. Bez swoich buteleczek z perfumami księżna pachnie nie słodziej niż zwykła kurwa. Ta myśl go podnieca. Jak mogłoby być inaczej? Zdziera z niej resztę okrycia, razem z koszulką i stanikiem, uwalniając piersi, tak jak sobie wyobrażał, pełne i kołyszące się.

Caterina krzyczy, zakrywając się rękami – ona, która paradowała przed światem półnago, kiedy tak jej pasowało. Jak śmie? Cesare na odlew uderza ją w twarz grzbietem upierścienionej dłoni. Prawie spada z krzesła, jej głowa odwraca się gwałtownie, tak że Cesare nie widzi błysku w jej oczach, kiedy zbiera się po ciosie, przygryzając wargę, by uwydatnić odniesione obrażenia. Kiedy odwraca się znów do niego, z jej ust płynie krew.

– Jestem księżną z rodu Sforzów – mówi cichym i drżącym głosem. – Tknij mnie jeszcze raz, a wykrzyczę twoje tchórzostwo i hańbę tak głośno, że obudzę całe twoje nowe miasto.

– Krzycz do woli, pani. Kiedy zmiarkują, że to ty, będą gardłować o więcej.

Chwyta ją za ręce i podrywa z krzesła, kopniakiem odsyłając je na bok, po czym ciska nią o ścianę. Przyparta do niej, nie zdołałaby teraz się uwolnić, nawet gdyby walczyła ze wszystkich sił. Cesaremu wystarcza jedna ręka, by przyszpilić oba jej nadgarstki ponad głową.

– Nieee! – wyje.

Cesare wolną ręką wymierza jej następny cios.

– Cóż to? Czyżby Virago z Forli straciła ochotę do walki? – mówi, tym razem używając ręki, by zadrzeć jej spódnice i zatknąć je za pas, tak że nogi i brzuch są na widoku. – Nie ma już do niej odwagi?

W tym samym momencie jednak, kiedy Cesare wie, że ją pokonał, ona zyskuje nad nim przewagę. Mam cię, myśli. Nie potrafisz się oprzeć. O tak, teraz cię mam.

Mocno zaciska nogi, żeby musiał się pomęczyć. Kiedy rozdziela jej uda i znajduje ją palcami, Caterina słyszy pomruk wyrażający jego tryumf. Oto odgłos pożądania, tępego i niebacznego, roztopiającego żelazo w pospolity męski obłęd.

– Czemu nie wsadzisz we mnie kutasa i nie przekonasz się sam? – mówi zawzięcie, patrząc mu prosto w twarz. Jego żądza jest tak naga, że Caterina pozwala, by przez króciutką chwilę jej tryumf pojawił się w oczach.

Gdyby tylko mogła, połknęłaby te słowa z powrotem, bo ich skutek jest natychmiastowy: widzi, jak Cesare nieruchomieje, a jego nieprzytomne spojrzenie skupia się na czymś. Jego palce wyslizgują się z jej wnętrza. Caterina wydaje okrzyk, -zamykając oczy i wyrывая się. Tym razem jednak jej nie uderza.

Wpatruje się w nią za to z wyrazem bliskim obrzydzenia. Podnosi sobie przed oczy złączone palce. Są czarne i mokre, od prochu i krwi miesięcznej. Oczywiście! Stąd ta woń: Amazonki wśród bitwy nie mają czasu na zmianę bielizny. Rozluźnia uchwyt na jej nadgarstkach, jakby sam jej dotyk mógł nieść ze sobą jakieś zakażenie, tak że jej uwolnione ramiona opadają raptownie.

Caterina stoi, oddychając ciężko i zastanawiając się desperacko, jak przyciągnąć go z powrotem. Lecz gdy naprzeciwko siebie znajduje się taka para wojowników jak oni, nie ma czegoś takiego jak druga szansa. Z ulatniającym się pożądaniem Cesare patrzy na nią jakby po raz pierwszy. Widzi usta niczym otwarta krwawa rana, piersi zwiotczałe od własnego ciężaru, rozłożystość brzucha i ud, o ciele rozciągniętym i obwisłym – skutek dekad macierzyństwa. Strużka zaschniętej krwi plamiąca wewnętrzną stroną jednego z ud podkreśla wypukłe postronki żył biegnących w dół aż do łydki. Caterina może wydelikacąć swoją skórę dowolnymi balsamami i bielidłami, ale nic nie uleczy spustoszeń, jakie czynią w kobiecym ciele wielokrotne ciążę i porody.

– Słodki Jezu – mówi Cesare. – Spójrz na siebie. Masz cielsko maciory. Nic dziwnego, że nie podnosisz już publicznie kiecki.

Caterina śmieje się, chcąc koniecznie pokazać mu, jak bardzo jest na niego odporna, lecz odgłos przypomina bardziej płacz. Zranił ją głębiej, niż mógłby to osiągnąć swoim kutasem. Rzuca się na niego, ale jest przygotowany i nie dopuści do żadnego ataku. Wychodzi jej naprzeciw i popycha ją silnie, tak że przelatuje przez pomieszczenie i upada, straciwszy równowagę.

– Jakich czarodziejskich eliksirów zadawałaś swoim mężom, że im dla ciebie stawał? – pyta Cesare, spluwając na podłogę obok niej, jakby chciał pozbyć się ostatnich jej smaku.

To pech Cateriny, że ten moment wyzwolił w nim takie czarne wspomnienie. Pewna prostytutka podczas neapolitańskiej nocy pijaństwa i włóczenia się po domach ladacznic. Zrobili się z tego zawody: on, Alfonso i inni możni panowie pokazujący papieskiemu legatowi, jak wygląda dobra zabawa. Borgiowie lubią pochożożyć. Tak im mówiono. Lubią także wygrywać. Może to mówiono im również. Ostatnia należała do niego. Ostatnia i najlepsza, zarzekali się. Legenda miasta. Najśłodszy kasek, tylko nie patrz jej w oczy. Czai się w nich diabeł. Siedziała wsparta o ścianę i na poduszkach, w ciemności, gruchając do niego po hiszpańsku, słodkim syrenim głosem. Był tak pijany, że prawie nie mógł jej włożyć. Kiedy już to zrobił, znalazł się w grzęzawisku, rozległym jak zalany grobowiec. Wycofał się ze wstrętem, sięgnął po lampę. Była wiedźmą, z milionem lat wypisanych na wygarbowanej skórze twarzy, a gdy się do niego wyszczerzyła, okazało się, że nie ma zębów. Tak bardzo go przeraziła. Jego, który nie znał strachu. Na zewnątrz, na ulicy pozostali pokładali się ze śmiechu.

– Uśmiechnęła się do ciebie? Jest nie tylko dziwką, ale i sybillą. Jeśli się uśmiechnęła, jesteś wybrańcem Losu. Człowiekiem, któremu będzie dane wszystko. Nieczęsto się uśmiecha, panie legacie.

Pokrył to wszystko śmiechem. Bóg świadkiem, że sam robił przyjaciółom gorsze rzeczy. Następnego dnia wszyscy mieli skołatane głowy i braki w pamięci. Alfonso jednak bardzo chciał wiedzieć, czy wszystko z nim w porządku. Kilka tygodni później, kiedy dopadły go bóle i wrzody, mimo że mógł zarazić się od którejkolwiek z tuzinów poznanych kobiet, wiedział, że to ona. Niech Bóg skarże dynastię aragońską. Czy za mało ma powodów, by nienawidzić męża siostry?

– Pięć tysięcy dukatów za worek skóry i zużytą szmatę – Cesare mówi bez wyrazu. Myśli o rozprutych ciałach, o głowie osiemdziesięciolatka roztrzaskującej się o bruk, o dwóch mężach posiekanych na kawałki i wyrzuconych jak śmiecie. Za co? Za to przejrzałe ciało? Nie jest warte

nawet kopnięcia. – Jeżeli nadal jesteś taka chętna, może pofolgują ci strażnicy w Zamku Świętego Anioła. – Podchodzi do drzwi, podnosząc swój płaszcz. Dostał to, po co przyszedł. – Pod warunkiem, że zdmuchną najpierw świece.

– Myślisz, że poradzisz sobie lepiej ode mnie?! – krzyczy za nim Caterina. – Nie przetrwasz tu ani kwartału. Wszyscy oni to zdrajcy do szpiku kości i zniechęcą cię jeszcze prędzej niż mnie.

– Nie odpowiada. Jej wściekłość ściga go po schodach.

Kiedy jednak budzi się dwa dni później, jednym z jego pierwszych posunięć jest zwołanie spotkania najważniejszych rodów miasta, podczas którego obwieszcza uwolnienie więźniów politycznych, obniżenie podatków i udzielenie z papieskiej kasy subsydium na odbudowę twierdzy i naprawę zniszczeń w mieście. Wroga można pokonać na rozmaite sposoby.



Rozdział 48



Paradny powrót zwycięskiego księcia Valentino i jego armii do Rzymu odbywa się w ostatnim tygodniu lutego. Termin został starannie zaplanowany przez papieża i jest wyborny: gorączka jubileuszu w połączeniu z karnawalem zapewniają oczarowaną publiczność złożoną z tysięcy pielgrzymów i hulaków oraz powodzi wieśniaków, którzy rozdęli szeregi armii, w miarę jak zbliżała się ona do zachodniej bramy miasta, pragnąc, by chwała towarzysząca wiktorii stała się także ich udziałem. Ostatnim razem, gdy syn Borgii wracał z wojny, czekało na nich darmowe jadlo i wino. A on, książę Gandii – tak się mienił, prawda? Ludzie ledwo już pamiętają... – nie wygrał nawet jednej bitwy.

Cesare Borgia jednak – o, Cesare Borgia udowodnił, że jest wielkim wojownikiem. Miasto aż drży z niecierpliwości. Za bramą armia rozciąga się na pół mili, prawie każdy żołnierz w nowym przyodziewku albo wypolerowanej zbroi. Po obu stronach pochodu widnieją insygnia papieskie i barwy Valentinois, a jego ludzie niosą sztandary Imoli i Forli. Tymi samymi, powiększonymi sztandarami udekorowano nowo wzniesione wieże na froncie Zamku Świętego Anioła: dwa wielkie miasta Romarii przywrócone papieżstwu. Wszyscy wiedzą, że według wszelkich prawideł powinien tam powiewać jeszcze trzeci sztandar – państwa-miasta Pesaro, klejnotu, który już-już miał wpaść w ręce księcia. Tak się jednak nie stało.

Nikt nie odczuł, że pokrzyżowano mu szyki, boleśniej niż sam Cesare.

– Panie, zbudź się. Jesteś potrzebny.

Jest wczesny ranek, ledwo tydzień od zdobycia Forli, a -Cesare śpi snem człowieka, który dopiero co położył się do łóżka.

– Na rany Chrystusa, Michelotto – jęczy, przewracając się na posłaniu. – Widok twojej twarzy zaraz po przebudzeniu to paskudne powitanie dnia. Lepiej, żeby to było coś -ważnego.

– Jest. Możesz lada chwila stracić pół armii. Ludovico Sforza wyruszył, by odbić Mediolan.

Kto by przypuszczał, że stary tyran ma jeszcze w sobie tyle ducha? Po swojej sromotnej ucieczce był skazany na śmietnik historii. Jednakże sączenie jadu w ucho cesarza niemieckiego Maksymiliana najwidoczniej przyniosło owoce. Italia najechna przez Francję wspieraną przez papieżstwo, z synem papieża na czele – coś takiego zachwiałyby równowagę sił w całej Europie. Jeśli Hiszpania nie odważyła się stawić oporu, muszą zrobić to Niemcy.

– Gdzie są? – Cesare jest już na nogach, w pełni ubrany.

– Idą na Como.

– A więc mamy jeszcze czas. Jeśli natychmiast zwiniemy obóz, możemy dotrzeć do Pesaro za tydzień.

Francuzi jednak są innego zdania.

– To za trudne – mówi Yves d'Alegre, rozkładając ręce na znak bezradności. – Tak szybko wyprowadzić w drogę całą armię, w taką... cóż, niesprzyjającą pogodę...

– Niemniej jednak możliwe. – Cesare przyprowadził ze sobą swojego specja od artylerii. – Vitelli?

– Powiedziałbym, że dwa, może trzy dni, żeby ruszyć działa. Mniej, jeśli wszyscy się

przyłożą.

Za d'Alegre'em stoi Bailly de Dijon, zajęty strojeniem min. Pieniądze, myśli Cesare. To jedyne, co ożywia te ślamazarne kreatury.

– A! Widzicie, tu napotykam maleńki problem. Szwajcarska i gaskońska piechota bardzo się zmęczyła swoimi wspaniałymi wyczynami w Forli.

– Zmęczyła?

D'Alegre wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć: Cóż mogę począć? Taki talent do wojaczki idzie w parze z charakterkiem.

– A kiedy padnie rozkaz do marszu na Mediolan, jak się niechybnie stanie, będą...

– Jeszcze bardziej zmęczeni – mówi Cesare lekko. Trzymanie temperamentu na wodzy okazało się jedną z najtrudniejszych lekcji wojny. – Czego chcą?

Francuz przygląda się swoim mankietom. Są wystrzępione – tyle czasu w drodze...

Przydałby mu się powrót na dwór i spotkanie z krawcem.

– Kiedy kampania idzie dobrze, jest w zwyczaju nagradzanie doborowych oddziałów podwyżką... jak to nazywacie?... żołdu. – Wzdycha przesadnie. – Ach! Doprawdy, prowadzenie wojny jest takie kosztowne. Czasami jeszcze kosztowniejsze, gdy stoi się po zwycięskiej stronie. Cesare parska.

– Czemu więc nie rozdzielicie między żołnierzy okupu za brankę, którą otoczyliście „opieką”? A może by tak wynająć ją na kilka nocy i w ten sposób zebrać paręset dukatów? Jestem pewien, że znalazłoby się dość chętnych.

D'Alegre się śmieje.

– O, książę, jesteś człowiekiem wyśmienitego dowcipu. Nic dziwnego, że król żywi do ciebie takie upodobanie. Ale z pewnością przypominasz sobie, że jeszcze nie zapłaciłeś nam za damę.

– ...mianiery wieprzków i obyczaje lichwiarzy. Francuskie szumowiny, co do jednego! – Talerze i kielichy brzęczą, gdy pięść Aleksandra spada na obiadowy stół. – Wasz brat ryzykuje życie, by przynieść chwałę Matce Kościołowi, a oni co? Siedzą w namiotach, drapiąc się po jajach, i wołają o więcej pieniędzy. Gdyby ruszali się szybciej, już wzięlibyśmy Pesaro.

Minęły cztery lata, a barwy położone pędzlem -Pinturicchia na ścianach Sali Tajemnic nadal lśnią tym samym blaskiem. W kamiennym kominku huczy ogień, rozświetlając jasne malowane zasłony i złote frędzle, udrapowane i opadające ku posadzce na dolnej połowie ściany. W porównaniu z ich przepychem papieski stół pośrodku komnaty zastawiony jest ucztą biedaka. Zdobycie miast Romanii mogło kosztować Kościół małą fortunę, ale papież jest, jak zwykle, oszczędny: dzbanek przeciętnego korsykańskiego wina, kilka półmisek makaronu i smażonych sardynek dla poszanowania piątkowego postu. Jakichkolwiek przypraw może brakować potrawom, smak nadają im jego nastroje: słodki lub gorzki w zależności od codziennych doniesień z pola bitwy.

– Drogi *papà*, to nie taka straszna klęska. Kampania już jest tryumfem. W całym Rzymie ludzie mówią tylko o zwycięstwach Cesarego. – Twarz Lucrezii, nawet jeśli wraz z pulchnością straciła nieco urody, pała ostatnio innym światłem. Być może najprościej tłumaczy je szczęście. Aura ta jest zaraźliwa. Przez ostatnie tygodnie, od narodzin Rodriga, papież nie może się nacieszyć jej towarzystwem. Mając -najstarszego syna na wojnie, czuje potrzebę otaczania się rodziną.

– Nie, nie, ojciec ma słuszość. To szumowiny – wtrąca się wesoło Jofré, jak zwykle porządnie wstawiony. Ledwo dwa tygodnie wcześniej przy tym samym stole na cześć francuskiej armii wznoszono pochwalne toasty. Nie były najłatwiejsze do przełknięcia dla rodziny pełnej aragońskich powinowatych. – Cesare powinien był wepchnąć im tę podwyżkę w zadki. Ja

w każdym razie bym tak zrobił.

– W takim razie dziękujemy Bogu, że nie ma cię w pobliżu jakiegokolwiek armii pod naszym wezwaniem – grzmi Aleksander. Pobyt Jofrégo w Zamku Świętego Anioła nie poprawił szczególnie jego relacji z ojcem, choć zdaje się, że on sam jako jedyny tego nie dostrzega.

– O, Jofré nie mówił poważnie – interweniuje ze swobodą Sancia, usuwając dzban z winem z zasięgu męża. – To tylko jego żarty.

Pod stołem Lucrezia chwyta rękę swojego męża.

– Nie Francuzów, lecz Sforzów trzeba winić za to, że Cesare stracił pół armii – mówi cicho Alfonso.

Lucrezia wie, że częścią serca Alfonso sekunduje Ludovicowi: armia odwołana do Mediolanu nie może być równocześnie armią atakującą Neapol. Zwrócił się ostatnio ku polityce, ten jej mąż sybaryta.

– O, wiem to wszystko bardzo dobrze. – Jofré już rozgląda się za dzbanem. – Sforzowie. To gorzej niż szumowiny. Sforzowie to... to wszy! – Jego napastliwość jest równie zabawna, jak głupawa, co pozwala wszystkim, nawet ojcu, śmiać się z niego.

– Wszy! Tak. Bardzo dobre określenie. Sforzowie to rodzina wszy. – Aleksander znów uderza pięścią w stół, tym razem bardziej z emfazą niż z gniewem. – Już-już masz je w palcach, a one uykają, zanim zdołasz je zgnieść. Ale nie tym razem. Teraz mamy Virago za kratami, a Francuzi wkrótce zetrą Ludovica w proch. Co zostawia jedynie najlichszego z nich: Weszkę Giovanniego.

Uśmiech Lucrezii na chwilę spelza. Widzi salon książęcego pałacu z oknami otwartymi na morską bryzę i gwarny placyk poniżej, ładny na swój prowincjonalny sposób. Biedny Giovanni-Weszka. Zawsze był bardziej utrapieniem aniżeli złym człowiekiem; jego jedyny prawdziwy grzech polegał na tym, że nie był dość potężny, by samemu decydować o swoim małżeństwie. Bo kto przy zdrowych zmysłach chciałby za żonę córkę Borgiów? Pod stołem Lucrezia mocniej ściska dłoń Alfonsa.

– Ach, patrzcie tylko na tę twarz. Moje słodkie dziecko. – Aleksander śmieje się z zachwytem. – Moja córka współczuje nawet wszom. Nie zaprzataj sobie nim główki, *carissima*, masz teraz u boku lepszego mężczyznę.

– Och, wiem, to prawda! I codziennie w modlitwie dziękuję za to Bogu... i tobie.

– Hmm, tak. A więc, jak tam mój ulubiony wnuk? Gotów już chwytać za miecz?

– Nie wyobrażasz sobie, jak szybko rośnie. Z dnia na dzień, prawda, Alfonso? Wyssał do cna już dwie mamki.

– Widzisz? Mówiłem ci. Wojownik od samych narodzin. Niedługo będziemy świadkami, jak jego imię zapisze się w historii. Drugi Rodrigo Borgia, ot co. Dalej, daj swojej słodkiej żonce całusa, Alfonso. Mężczyzna, którego prawy bark jest niżej od lewego, niechybnie pod stołem bawi się z kimś w łapki. Sądzisz, że jestem za stary, by pamiętać takie zabawy? Cóż, mylisz się. – I uśmiecha się promiennie.

Lucrezia spuszcza oczy, a jej mąż nachyla się i skromnie całuje ją w policzek.

Papież pohukuje z zadowoleniem, aż płomienie świec tańczą od poddmuchu. Kiedy już Ludovico zostanie pokonany, Cesare odzyska swoją armię i wkrótce padną także Pesaro, Rimini i Faenza. Jubileuszowy rok Pański trwa ledwo dwa miesiące, a Borgiowie mają się lepiej niż kiedykolwiek. Jego synowa, śliczna Charlotte z Nawary, za kilka tygodni urodzi mu następnego wnuka, papiescy juryści pracują nad bullą, która uczyni go oficjalnie ojcem synka Giulii Farnese, a papużki nierozłączki przy stole – jakkolwiek polityczne spoiwo tego związku może okazać się kruche – z pewnością niedługo znów sprowadzą na świat chłopaka. Nowe pokolenie Borgiów. Na każdego z nich czekają tytuły. Wywłaszczył już rodzinę Gaetanich z ich zamków na południe

od Rzymu, pod pretekstem kary za wspieranie Neapolu, i za symboliczną cenę sprzedał ziemi Lucrezii, tak by mogła przekazać je synowi. Następni będą Colonnowie, ze swoją stałością kurka na dachu, a potem, kiedy nie będzie już potrzebował ich żołnierzy – Orsini. Z Francją stojącą za podbojami Cesarego wszystkich, którzy ośmielą się mu przeciwstawić, spotka ten sam los. To moment, na który pracował przez całe życie.

O tak, ten świeżo upieczony dziadek i ojciec heroicznego wojownika jest najszczęśliwszym z ludzi. Siedząca naprzeciw Lucrezia uśmiecha się do niego. Proszę, Boże, niechaj tak pozostanie.



Rozdział 49



– Imola! Forli! Imola! Forli!

W miarę jak procesja zbliża się do rzeki, tłum gęstnieje, wrzeszcząc i napierając niczym ludzki taran na prowizoryczne bariery, podczas gdy pojawia się pierwsza fala koni, parsaniem wzbijających w zimowe powietrze pióropusze pary.

Spektakl Borgiów okazał się, jak zawsze, koszmarem Johanna Burcharda – do tego stopnia, że były chwile, kiedy postawiony wobec kolejnego skandalicznego żądania, myślał o swoim dawnym życiu młodego alzackiego duchownego z nietypową dla siebie nostalgią. Bóg zatroszczył się o niego, wyposażając go w zdumiewającą pamięć, która z kolei zapewniła mu miejsce w wielkiej szkole katedralnej w Niederhaslach, znacznie powyżej oczekiwań rodziny. Rok po tym, jak wysłano go do Rzymu, znalazł pracę, do której był stworzony. Jeśli nie wiedział czegoś o kościelnym ceremoniale, potrafił nauczyć się tego szybciej niż ktokolwiek inny. Odznaczał się jednak czymś więcej niż tylko dobrą pamięcią i pedanterią: miał talent do organizowania spektakli. Był właściwym człowiekiem we właściwym czasie. Papiestwo, coraz bogatsze, stało się konsumentem i patronem nowej sztuki. Przesuwała się także granica między tym, co prywatne, i tym, co publiczne, i rzeczy ongiś ukryte znalazły się teraz bardziej na widoku. Jak pogodzić jedno z drugim? Jak celebrować śluby, chrzty i pogrzeby w rodzinie papieża, która według prawa kanonicznego nie powinna w ogóle istnieć? Zostawcie to Burchardowi. Jak radzić sobie z konfliktami próżnostek biskupów, kardynałów, legatów papieskich, dyplomatów i zagranicznych ambasadorów? Mistrz ceremonii znajdzie sposób. Nie mógłby się bez niego obejść żaden papież. Nie przejmuje się więc tym, czy ktoś natrzęsa się z niego za jego plecami.

Czego nie mógł znieść, to niechlujstwa, bałaganu, dróg na skróty, łatania naprędce dziur. A że papież zdeterminowany był wykorzystać czas karnawału, przygotowania, które powinny trwać tygodnie, skurczyły się do dni.

W narastającym chaosie mnożyły się utarczki. Cesare i jego dowódcy-kondotierzy traktowali go bardziej jak chłopca na posyłki, żądając na przykład, aby u krawców w całym mieście zlecił uszycie dziesiątków nowych mundurów i sztandarów, po czym odebrał je i dostarczył przed paradą. Potem, już w ostatnich godzinach, mała kompania gaskońskich najemników narobiła potężnego rabanu w sprawie kolejności wejścia. Protokół wymagał, aby jako cudzoziemcy w armii wmaszerowywali ostatni. Oni jednak stanowczo odmówili, obstając przy miejscu w pobliżu księcia. Podważanie jego autorytetu przez ludzi bez żadnej rangi, z nieczesnymi włosami i brudem za paznokciami, było nie do przyjęcia. W końcu poszedł do Cesarego.

– Pragnąłbym, książę Valentino – nie dla niego zdrobniale brzmiąca wersja Valentino – abyście powiedzieli im, że jestem papieskim mistrzem ceremonii.

– Ja jestem zdobywcą połowy Rumunii – odpowiada Cesare z nietypowym humorem – i też nie mogę nic z nimi zrobić. Nie napinajcie się, Burchard. Nie warto. Zacerpnijcie pociechę z faktu, że tworzymy tu historię.

Ale to jest właśnie to, co martwi Burcharda. Wcale nie najmniejszą przyczyną jest sam

Cesare, który w utożsamianiu swego imienia z imieniem pierwszego zdobywcy Romanii zaszedł tak daleko, że kazał wyszyć miano CAESAR – srebrną nicią na czarnym aksamicie – na gorsach setki młodych giermków i heroldów. A gdyby ktokolwiek przeoczył przesłanie, następnego dnia obchody miały uświetnić jeszcze żywe obrazy przedstawiające przekroczenie Rubikonu przez samego Juliusza Cezara, z wielkim rzymskim wojownikiem w wieńcu z liści laurowych jadącym na rydwanie. W ostatniej chwili, w porywie skromności, książę postanowił powierzyć tę rolę komuś innemu.

Cóż on, Burchard, może począć wobec tak rażącej pychy? Jedynie zasiadać co wieczór przy stole i zapisywać każdy szczegół, tak by potomni wiedzieli, że nie przyłożył ręki do postępów tej rodziny.

– Imola! Forli! Imola! Forli!

Kurtyzana Fiammetta de Michelis wygląda z okna na piętrze swojego białego domu niedaleko Tybru i widzi pierwsze sztandary i wozy, które toczą się z Piazza del Popolo do Mostu Świętego Anioła, kierując się do Watykanu. Ma pierwszorzędny widok, którym mogłaby podzielić się z innymi – otrzymała sporo ofert – lecz siedzi sama, wyjąwszy dorodnego szarego ptaka przycupniętego na jej ramieniu, z łebkiem przekrzywionym w stronę jej ucha i długim, rubinowym ogonem podkreślającym złoto i czerń jej sukni.

– Fiiimeta. Fiiimeta – skrzeczy jej do ucha, kołysząc się w przód i w tył, i sadowi się pewniej, wbijając pazury w wyściełany materiał sukni. Fiammetta śmieje się, po czym wsuwa w różane usteczka orzech i podaje tak papudze. Ptak wprawnie i schludnie odbiera przysmak dziobem, przełyka z podrzutem łebka i przechyla go ponownie, by skubnąć jej ucho jak gorliwy młody kochanek.

– Jest z wybrzeży Afryki – powiedział Cesare, gdy przyniósł jej ptaka na kilka dni przed wyjazdem do Francji. – Kiedy urośnie, jej oczy zrobią się żółte. Ale ogon zostanie taki sam. Afrykańska papuga z barwami Valentinois poniżej pleców, na wypadek gdyby kusiło cię, żeby o mnie zapomnieć.

– Ale kiedy wrócisz, będziesz żonaty – odpowiedziała, drażniąc się z nim.

– A co to za różnica? Tylko nie trzymaj jej w sypialni. Jeśli usłyszysz czyjeś imię wyjęzyczne zbyt wiele razy, wygada je następnemu mężczyźnie.

– O’ Waltiinło, Waltiinło – zaskrzeczał ptak ochoczo, gdy tylko Cesare zdjął mu z głowy kapturek, a Fiammetta zachwycona klasnęła w dłonie. Nauczyła się niczego od niego nie oczekiwać i podarek sprawił jej niewymowną przyjemność.

Piętnaście miesięcy później pióra papugi przybrały głębszy odcień szarości, oczy lśniły jak pszenica w słońcu, ale ogon zgodnie z obietnicą pyszni się tą samą czerwienią. Jej słownik wzbogacił się tak jak upierzenie. Potrafi teraz wymówić imię papieża i króla Francji, a nawet parę słów po łacinie, którymi może powitać pojawiających się od czasu do czasu kardynałów zwabionych do domu Fiammetty pogłoskami o jej biegłości.

W ostatnich tygodniach jednak Fiammetta pracowała ciężko, by nauczyć ją dwóch ważnych nowych słów.

– Imolaa, Forliii, Imolaa, Forliii – skrzeczy teraz papuga, a ostatnia sylaba przechodzi w czupurny pisk, włączający się do wrzawy na ulicy.

Nieopodal białego domu, przy południowym końcu Mostu Świętego Anioła, stoi tawerna, która szczyci się jeszcze bardziej imponującym widokiem zarówno na most, jak i zamek noszący to samo miano. Za sztandarami u szczytu fortyfikacji czekają przy działach gwardziści, gotowi do oddania gwałtownej salwy, podczas gdy paradny pochód wkracza na nowiutką Via Alessandrina – jubileuszowy dar papieża dla Rzymu – łączącą zamek z Bazyliką Świętego Piotra.

Właścicielka tawerny spogląda na most, po raz pierwszy od miesiący pusty

i przygotowany na paradę. Za nią służba porusza się truchcikiem wśród tłumu gości, roznosząc jedzenie i wino. Vannoza dei Catanei może być matką bohaterskiego zdobywcy, lecz jest także odnoszącą sukcesy kobietą interesu, a dzisiejszy dzień stwarza okazję do niezłego zysku, gdyż każdy cal przestrzeni z widokiem został wynajęty tym, którzy mieli dość grosza, by za niego zapłacić.

Jakikolwiek ból odczuwała Vannoza po śmierci Juana, został on zaćmiony przez teatralne cierpienie jego ojca i kryzys polityczny w następstwie. Wykluczona z publicznej żałoby, zamknęła się w sobie i w ciągu mrocznych dni, które nastąpiły, zwróciła się ku Bogu i ku pracy, w nich szukając pociechy. Prowadzenie winnicy i tawerny, zawsze sprawiające przyjemność, teraz dawało jej stałe poczucie celu. Rok później, kiedy całowała Cesarego na pożegnanie, miała już za sobą inwestycję w dwa nowe budynki w przebudowywanej na nadchodzący jubileusz części miasta, z pożyczkami pod zastaw jej istniejących nieruchomości. Ryzyko było wyzwaniem, którego potrzebowała. Z żywnością i winem pochodzącymi głównie z jej własnej posiadłości i jej przeszłością niestanowiącą żadnego sekretu dla tego rodzaju pielgrzymów, którzy cenią i mogą sobie pozwolić na pobożność na pewnym poziomie, nowe oberże były pełne na długo przed początkiem roku, tak że pożyczki ma już w połowie spłacone. To może niewielkie osiągnięcie w porównaniu ze sławnymi wyczynami jej starszego syna, lecz przynosi jej ogromną satysfakcję.

Mogłaby oglądać dzisiejsze uroczystości z komnaty w zamku: papież, choć niepoświęcający jej szczególnej uwagi, zwłaszcza gdy sprawy idą po jego myśli, był na tyle miły, by wystosować zaproszenie. Jest jednak szczęśliwsza w świecie, który sama wokół siebie zbudowała. Zawsze była kobietą niezależną i jakkolwiek Aleksander postrzega swoje dzieci jako Borgiów, z pewnością przyznałby, gdyby go zapytano, że odziedziczyły także coś z jej determinacji i samowystarczalności.

Drogi prowadzące do mostu wypełniają się mrowiem ludzi; tłum trzymają w ryzach oddziały wojska, a barierę tworzą skrzyżowane długie halabardy. Ma tu swoich przedstawicieli połowa ruchów religijnych Europy: są brązowi franciszkanie, biali cystersi, biało-czarni dominikanie, starzy i młodzi, wielu w kapturach naciągniętych na głowy dla ochrony przed zimowym wiatrem. Vannoza patrzy na młodego mężczyznę – może w wieku Jofrégo – z tępych rysami twarzy pod tonsurą, najwyraźniej niemogącego się pogodzić z grubiaństwem żołnierzy, którzy właśnie odepchnęli jakąś kobietę tak, że upadła na ziemię. Krzyczy coś po niemiecku, po czym pomaga jej wstać i znika w tłumie, mamrocząc ze złością. Tylu ludzi, myśli Vannoza, każdy z własną historią, każdy ze swoją szczególną linią losu. W oddali rozlega się dźwięk trąbek. Czas otworzyć najprzedniejsze wino, które przyniosła ze swojej prywatnej piwniczki. Nie będzie lepszego momentu, by je wypić. Jej syn wrócił do domu.



CZEŚĆ IX

Rodzinna ofiara

W pałacu tyle jest zawiści i tyle nienawiści, starych i nowych, że taki skandal wprost musi się zdarzyć.

Francesco Cappello, ambasador Florencji, Rzym, sierpień 1500



Rozdział 50



W swoich komnatach nad apartamentami papieża Cesare żołnierz tęskni za obozowym życiem. Łatwo puszcza mu nerwy, a nastroje ma zmienne jak pogoda. Nie może spać: albo w pokoju jest zbyt gorąco, albo łóżko jest za miękkie. Gasi ogień, owija się opończą i zrzuca materac na podłogę. Żyje tylko depeszami, które wysyła i odbiera: są to szczegółowe dzienne raporty z Imoli i Forli, pozostawionych pod nadzorem jednego z jego hiszpańskich kapitanów, Ramira de Lorqua – ustanawianie nowych rządów to praca pochłaniająca bez reszty – oraz najświeższe meldunki od francuskiej armii, obecnie siejącej zniszczenie w wymuszonym marszu do Lombardii i na Mediolan. Ludovico Sforza szykuje się do odbicia swojego miasta. Cesare i Michelotto siedzą do późnej nocy, omawiając strategie i wyobrażając sobie nadchodzącą konfrontację.

Tymczasem kolejka sług przynoszących zaproszenia staje się kłopotliwie długa. Gdyby książę uznał za stosowne znaleźć czas...

- Zobaczę się z Wenecją i Ferrarą. Reszta może poczekać.
- Jest jeszcze zaproszenie od twojej siostry, księżnej -Bisceglie.
- Od Lucrezii czy również od jej męża?

Michelotto wzrusza ramionami.

- Będziesz go unikać przez resztę życia?
- A dlaczego nie? – warczy Cesare. – Uścisnąłem mu dłoń. Czego jeszcze chce?

Rankiem w dniu parady Alfonso ubrał się i opuścił ich *palazzo* jeszcze przed świtem.

– Ależ książę Bisceglie, powiedziałabym, że jesteś najurodziwszym mężczyzną w całym Rzymie. – Lucrezia, dygocząca teraz w koszuli nocnej, upierała się, że wstanie razem z nim.

- Nie tak urodziwym jak twój brat, mam nadzieję? Nikomu nie wolno dziś go zaćmić.

Lepiej wetrzyj trochę popiołu w moje szaty albo złam parę piór u kapelusza.

- Nic to nie da. Zdradza cię twarz.

– W takim razie założę opaskę na oko. – Roześmiali się oboje, gdy ją obejmował. –

Muszę iść – powiedział po chwili. – Niedobrze byłoby się spóźnić. – Ona jednak nie chciała go puścić. – To tylko parada, Lucrezio. Wróć.

- Wiem, wiem. – Postarała się, by jej głos brzmiał wesoło. – Co mu powiesz?

– Pogratuluję mu wybitności jako żołnierzowi i dowódcy. A on mi podziękuje. Ponieważ będzie wiedział, że jestem szczery.

I tak było. Mężczyźni spotkali się o mglistym brzasku, gdy siodłano konie, a giermkowie i heroldzi zbierali się, przyglądając dublety i wypinając pierś, aby imię Caesar było jeszcze lepiej widoczne. Wymienili mocny uścisk dłoni, kilka słów i szybki uścisk, jakby obaj bali się, że coś od siebie zląpią. Od dalszych zażyłości uratowało ich przybycie Jofrégo, zachowującego się jak nadmiernie podekscytowany szczeniak, którego pan właśnie wrócił do domu.

– ...Ach, to, jak zdobyłeś twierdzę w Imoli... i oblężenie Forli, tak mądrze przeprowadzone, z dokładnie taką jak trzeba było liczbą dział, i z właściwą strategią... – paplał przez chwilę. – Parszywi Francuzi! Ale i tak niedługo będziesz miał Pesaro. I Rimini. Tym razem ci pomogę. Musimy tylko przekonać ojca. Mógłbym być drugim głównodowodzącym.

Przewidywałem każdy ruch w każdej bitwie razem z tobą, Sanciu może potwierdzić. Jaka ona była? Opowiedz mi.

– Kto? – Cesare pozwolił sobie na rozbawienie.

– Virago Sforza, rzecz jasna. Miałaś ją w łóżu? Tak, tak, oczywiście, że tak. Ile razy?

Opierała się mocno?

Aby go uciszyć, Cesare błyskawicznie wyciągnął rękę i złapał go za kark, przyciągając do siebie w zapaśniczym chwycie, tak jak zwykł to robić, gdy się mocowali.

– Zrobiłem jej najpierw tak – powiedział, a młody mężczyzna stęknął z oburzeniem. –

A potem tak. – Wolną ręką sięgnął pod dublet Jofrégo, chwytając saczek. – I wiesz, co odkryłem, bracie? Że ma jaja większe niż ty. O, mój braciszek wojownik! – krzyknął, uwalniając go i podnosząc jego rękę w górę, tak żeby wszyscy widzieli. – A teraz wsiadaj na konia. I nie spadnij. Jeśli będziesz bardzo grzeczny, dopilnuję, żebyś mógł sam złożyć jej wizytę.

W rzeczywistości jednak to do Cateriny Sforzy należało ostatnie słowo.

Wspaniała amazonka, która wysłała swoje najlepsze rumaki do Mantui, by nie wpadły w ręce wroga, musiała znieść zniewagę podróży przez Apeniny na wozie z zapasami. A jednak znalazła sposób, by wyglądać jak najlepiej, gdy wchodziła za Cesarem, jako jego jeniec, do pokrytej freskami Sali Konsystorza, gdzie na tronie czekał na nich papież.

Ojciec Święty całego chrześcijaństwa. Lecz także śmiesznie dumny ojciec.

Cesare ledwo zbliżył usta do papieskich stóp, gdy Aleksander zerwał się i przygarnął go do piersi, śmiejąc się i witając go wylewnie po katalońsku. W takim momencie, w jeden z najbardziej tryumfalnych dni swojego życia, jak mógł nie okazać dobrotliwości tak urodziwej kobiecie, której klęska przyniosła im chwałę?

– Oddaję się w wasze ręce, Ojczy Świąty – powiedziała niskim, przejmującym głosem. – Książę Valentino jest wojownikiem o sile starożytnych wodzów. Nie spotkałam dotąd takiego mężczyzny.

W tej chwili wszystko: zabici żołnierze, złamane obietnice, groźby i zatrute całuny rozplynęło się w przyjemności patrzenia na uroczą niewiastę, z mlecznobiałymi piersiami wypchniętymi do góry przez ciasny stanik, skłaniającą się u jego nóg.

– Macie rację. I jedynie taki mężczyzna mógł pokonać taką wojowniczkę jak wy. Witajcie w Rzymie, Caterino Sforza.

Za nim Cesare wydał cichy pomruk.

– Jesteście naszym więźniem, ale i gościem, toteż umieścimy was w belwederze w moim własnym ogrodzie. Będą tam na was czekać pokoje.

Strażnicy wystąpili naprzód, by ją odeskortować, a ona przeszła obok Cesarego z nieznacznym, lecz dostrzegalnym uśmiechem na ustach.

– Nie wszystkim podoba się idea wojowania z kobietą. Wielkoduszność przysporzy nam teraz więcej poparcia niż mściwość.

– Ale sprawy nie są jeszcze dokończone. Musi zrzec się swoich roszczeń na rzecz swoich dzieci, a życie w luksusie z pewnością nie da jej do tego bodźca.

Wśród szaleństwa obchodów minęły całe dni, zanim ojciec i syn znaleźli się rzeczywiście sam na sam.

– A więc użyjemy groźby lochów, by ją do tego skłonić. Do tego czasu i tak wszyscy o niej zapomną. No, nie kłóćmy się o drobiazgi. Uczyniłeś ze mnie najszczęśliwszego człeka w chrześcijańskim świecie. Powiedz, co może dać ci w zamian kochający ojciec, mój ty książę połowy Romanii?

– Środki do tego, by sięgnąć po drugą połowę.

– A, wciąż płonie w tobie bitewny ogień! – Aleksander promienieje zachwytem. –

I będziesz je miał. Zostaniesz gonfalonierem i kapitanem generalnym Kościoła w ciągu miesiąca. Burchard już przygotowuje dokumenty.

– A armię, z którą będzie można iść na podbój? Musimy wystawić więcej oddziałów i artylerii.

– Wiem. Ale mamy czas. – Ależ niecierpliwy ten jego waleczny syn. – Nie zrobimy nic, dopóki nie będzie rozwiązana kwestia Mediolanu.

– Owszem. I w tym cały problem, ojczu. Tak długo, jak jesteśmy zależni od Francuzów, nie panujemy nad swoim przeznaczeniem. Teraz już to wiem. Powiadam ci: jeśli ma się nam powieść, potrzebujemy własnej armii, złożonej z naszych własnych najemników. Jeśli to możliwe, najlepiej hiszpańskich, żebyśmy mogli być pewni ich lojalności. Resztę możemy ściągnąć z Romanii.

– A co z Vitellim, Orsinimi i resztą? Dobrze dla ciebie walczyli.

– Dość dobrze. Ale u korzeni są tacy sami jak wszyscy. Lojalni w pierwszym rządzie wobec samych siebie. Poza tym jeśli uda nam się wziąć miasta, o których mówimy – a uda się – to w końcu zaczniemy patrzeć także w kierunku tych, które należą do nich. Orsini nie będą wiedzieli, co się dzieje.

– Ach, co za ambicja! – Aleksander czekał na tę chwilę od miesięcy; teraz może smakować zwycięstwo i czynić je swoim własnym. – Myślę, że wojna cię odmieniła. Nawet twoja twarz jest dziś bardziej obliczem żołnierza niż dworzanina. Wiesz, za młodu wyglądałem trochę tak jak ty. Pierś i barki gladiatora. O, jak kobiety kochają wojowników. Słodka Matko Boża, jesteśmy rodziną, która ma prawo być z siebie dumna, święcąc takie tryumfy.

– Kiedy więc zaczynamy?

– Zaczynamy co?

– Werbowanie. Czas jest idealny. – Cesare wskazuje ręką okno. – Pół Europy wlewa teraz daniny do skarbca Kościoła.

– Co to? Jesteś teraz już nie tylko kapitanem generalnym, ale i papieżem? – śmieje się Aleksander. – Przypominam ci, że papieństwo musi sprostać jeszcze kilku innym... skromnym żądaniom. Wenecja nawołuje do krucjaty, bo niewierni piraci łupią jej statki w drodze do Indii.

– Możemy zatem użyć jej żądań, aby skłonić ją do dania nam czegoś w zamian.

– Myślisz, że nad tym nie pracuję? W chwili, kiedy znajdziesz się znów w drodze, nie będzie już dłużej popierała miast Romanii. Aaa! Wy, młode wilczki, sądzicie, że wszystko się osiąga, krzyżując miecze i posyłając kule z bombardy. Bitwy, które ja tu toczę, wymagają co najmniej tyle samo taktyki. A teraz bądź tak dobry i przestań przemierzać ten pokój jak basior knieję, i spocznij na moment. Siadajże!

Cesare robi, jak mu nakazano: znajduje swój stary fotel i rzuca się na niego, zwieszając nogi z podłokietnika.

– Słyszałem, że jest w Rzymie pewna cudna kurtyzana, która ma papugę klnącą po łacinie. I że ten sam ptak skrzeczy twoje imię, gdy jego pani jest zajęta szeptaniem innych. Zastanawiam się, kto mógł jej sprawić taki podarek.

– Ojczu, rozmawiamy o armiach, nie o kobietach.

– Nie. Rozmawiamy o życiu. – Papież wzdycha, jakby się poddawał. – Chyba że wyrzekłeś się już wszystkiego prócz wojny? Może to Virago tak cię odmieniła. Sterała cię do cna. Moiściewy, nie masz pojęcia, jakie historie do nas docierały.

– Plotki nie mówią prawdy – oświadcza sucho Cesare. Na wspomnienie tamtego spotkania czuje powracający niesmak, nie do końca pod jej adresem. Owszem, Fiammetta mignęła mu w oknie, kiedy paradna kawalkada mijała jej dom. Ale zapomniał o niej już na moście. Gdyby się nad tym zastanowił, sam być może uznałby za dziwne, że w tej napędzającej

go energii zwycięstwa tak mało jest wyraźnej żączy cielesnej. Od czasu do czasu przyłapuje się na tym, że jego myśli biegną w stronę jego skromnej, uległej żony, teraz grubej od brzemienności. Zachwyty, jaki wyraziła, gdy przysłał jej weneckie jedwabie i szkło, mówi o afekcie innego rodzaju, o czułości zrodzonej raczej z podziwu niż z pożądania. Dawno już nie czuł takiego kobiecego ciepła w otoczeniu swoich najbliższych krewnych.

– Co z moją siostrą? – pyta ostro. – Nadal zaślepiona miłością do Neapolu?

– Jest szczęśliwa, owszem, i bardzo podekscytowana twoim powrotem. – Aleksander, jak zawsze, kłamie z cudowną lekkością.

– A nasi zdradzieccy teść i zięć, Aragończycy? Jakże się miewają?

– Ach, mój synu, nie bądź taki surowy. Ich nazwisko jest takim samym ciężarem dla nich, jak i dla nas.

– Niemniej jednak my...

– Zanim powiesz coś więcej... – Aleksander wchodzi mu w słowo, mocniejszym teraz głosem. – Dopóki Mediolan nie zostanie zdobyty, a armia nie będzie zmierzała na Neapol, nie będzie między nami rozmów o tej sprawie. Na razie obok owoców zwycięstwa radujemy się naszą małą harmonią. Zrozumiano?

Cesare skłania głowę na znak posłuszeństwa.

– To dobrze. Skoro jesteś bardziej zainteresowany pracą niż rozrywką, pomówmy o kardynałach. Cztery zgony oznaczają cztery wakaty w kolegium, ale że są co najmniej dwa tuziny kandydatów z otwartą sakiewką, może powinniśmy mianować większą liczbę. Kilku rodaków przysłużyłoby się naszej przyszłości. Możesz zapłacić za swoją armię z tych pieniędzy. Wyślę ci listę. A teraz napijemy się wina i zabawimy w wojnę, ty i ja. Pokażesz mi, jak zdobyłeś Forlì. Kazałem położyć na stole dodatkowe przyprawy i nowe srebrne francuskie widelce, żebyśmy mieli jak oznaczyć każdą część armii. Widzisz? Całkiem jak za dawnych lat w Palazzo Borgia. Ach, jakąż podróż od tego czasu odbyliśmy.

I gdy to mówi, dwie wielkie łzy zaczynają toczyć się po mięsistych załamach jego pobrużdżonych policzków. Co za głębia ojcowskiej miłości. Nie sposób się jej oprzeć. Gdy mężczyźni zasiadają przy stole nad miseczkami z musztardą, widelcami i łyżkami do makaronu oraz południowym murem twierdzy w Forlì zmajstrowanym z grubej serwetki opartej o kielich, nogę Cesarego od dołu do góry, aż po pachwinę, przenika kolec bólu. Już drugi raz w ciągu tygodnia. Na rany Chrystusa, myśli. Tylko nie znowu to. Nie teraz.



Rozdział 51



– Jak to możliwe, że coś, co nie zabija, jest takie bolesne, -Torella? Miewałem rany od byczych rogów i ból był łatwiejszy do wytrzymania.

– Mój panie, to jedna z tajemnic tej choroby: zdaje się wnikać w same kości.

– I to, że nadchodzi tak z nagłą? Jednego dnia jestem w doskonałym zdrowiu, a następnego... Nie waż się mówić mi, że to tajemnica. Jesteś medykiem. Gdybym chciał słuchać o tajemnicach, zatrudniłbym maga.

– Mogę coś powiedzieć, panie?

– Aaaaa! – Cesare leży na łóżku z nogami wyciągniętymi pod dziwnym kątem, jakby przewleczono przez nie wygięte żelazne sztaby. Męka niemal nie ustaje, podobnie jak przez poprzednie dwa dni, i jego twarz jest szara od bólu.

– Powiedziałbym, że jej nadejście nie jest takie nagłe. Od powrotu do Rzymu doznawaliście pewnych... – Torella szuka właściwych słów – pewnych zmian nastroju. – Zerka na Michelotta, który siedzi, pilnie studiując wzór płytek na posadzce. Kiedy tydzień wcześniej nadeszły wieści, że Ludovico odbił Mediolan, Cesare w ataku szału połamał dwa krzesła, z których jedno o włos chybiło głowy posłańca. To wtedy Michelotto zauważył plamki występujące na twarzy pana i zavezwał medyka.

– Co, teraz moje usposobienie też jest chorobą?!

– Wydaje się, że może być związek między jednym a drugim, owszem.

Na biurku Torelli leży plik listów z Ferrary, gdzie zainfekowane jest chyba pół dworu, z opisami porażonych ludzi ściganych przez psy melancholii albo we władzy takich humorów i napadów furii, że niekiedy trzeba ich krępować. Podobnie jak wykwity i bóle, diabeł przychodzi i odchodzi.

– Więc zrób coś. Co z miksturą, którą dawał medyk tamtemu staremu kardynałowi?

– Panie, to był portugalski konował! Kardynał Bertomeu umarł od tej kuracji! A za każdy moment ulgi cierpiał dziesięciokroć, kiedy działanie leku mijało. Stawiam swoją reputację, że nie jest to właściwy sposób leczenia.

– Co w takim razie nim jest?

Torella wzdycha.

– Myślę, że...

– W porządku, w porządku. Spróbuję twojej przeklętej parówki. Ale lepiej niech to zadziała, Torella. Mam jeszcze wojny do stoczenia i nie mogę... aaaah! – Cesare urywa, gdy następny paroksyzm przeszywa jego ciało jak miecz.

Parówka to wielki eksperyment Torelli – medyk uważa, że zrobi na nim małą fortunę. Wydoskonalił projekt bani podczas pobytu we Francji, kazał ją wykonać, a potem rozmontować, i przewiózł do domu na wozie. Składa się ona ze starej beczki od wina, z drzwiczkami, przez które wchodzi i wychodzi pacjent, w środku zaś znajduje się ławeczka i małe palenisko z rozżarzonymi do czerwoności węglami, skrapiane obficie opracowanym przez Torellę specyfikiem – mieszanką rtęci, mirry i nieujawnionych ziół w nieujawnionych proporcjach. Nagi pacjent siedzi tam przez dwie do trzech godzin, pocąc się wściekle, co pozwala wydalić złe

humory choroby, podczas gdy przez pory skóry i drogi oddechowe wnikają do jego ciała lecznicze opary. Jeśli tylko pacjent potrafi znieść gorąco, po trzech czy czterech sesjach świdrujące bóle w kościach ustępują, a wykwity zaczynają blednąć.

Cesare, który zawsze musi przodować we wszystkim, nawet w cierpieniu, po drugiej, wyczerpująco długiej sesji wyłania się z beczki na wpół ugotowany i z pomocą Torelli opada na fotel, dysząc i z marsową miną kiwając głową.

– Dźganie zelżało. Zdecydowanie. To dobra kuracja, Torella-

Zza drzwi dobiegają podniesione głosy, najpierw męski, a potem inny, wyższy, plus jakieś piski.

– Co tam? – mówi Cesare, gdy w drzwiach pojawia się głowa Michelotta. – Na co się tak gapisz?

– Na nic. Dziwuję się jedynie, że siedzisz znów prosto.

Nie jest to jednak prawda. Faktycznie bowiem Michelotto patrzy i myśli: jak burak.

Doktor ugotował księcia na kolor buraka.

– Kto tam jest? Powiedziałem, że nie chcę nikogo widzieć.

– To... to księżna Bisceglie. Jest tu od jakiegoś czasu.

Cesare spogląda na Torelle. Medyk wzrusza ramionami.

– Jeśli macie siłę...

– Jak wyglądam?

– Jak człowiek, który przestał cierpieć – mówi medyk łagodnie, odrodzenie próżności uznając za oznakę zdrowienia.

Cesare unosi się nieco w fotelu.

– Dajcie mi ręcznik.

W przedśionku Lucrezia trzyma się w pewnej odległości od Michelotta. W ciągu minionych lat nie zdarzyło się nic, co upiększyłoby jego rysy w jej oczach, ale nie ma wątpliwości, że podobnie jak ona, Michelotto darzy jej brata wielką troską.

– Księżę z przyjemnością was zobaczy.

Lucrezia odpowiada mu wyniosłym skinieniem i rusza do wejścia.

– Księżno Bisceglie, jeśli wolno mi...

Zatrzymuje się, ale nie patrzy mu w twarz.

– Jeśli zapyta was, jak wygląda... nie mówcie mu.

Przynajmniej jest przygotowana.

– O, mój miły bracie!

Trudno powiedzieć, co jest dziwaczniejsze – barwa jego ciała, przypominająca surowe mięso, czy stojące na środku komnaty drewniane ustrojstwo, z którego unosi się lekki opar.

– To lecznicza machina Torelli. Człowiek wchodzi chory, a wychodzi zdrow. Choć nieco podpieczony.

Lucrezia podchodzi prosto do niego, siada obok i kładzie dłoń na jego czole.

– Jesteś rozpalony, ale...

– To od ognia, nie od gorączki.

Lucrezia zerka ku Torelli, który patrzy z uznaniem, jak ta śliczna młoda kobieta natychmiast wchodzi w rolę pielęgniarki, mocząc gąbkę w misce z wodą i raz za razem przykładając ją do twarzy pacjenta, by ukoić jego dyskomfort.

– Możesz nas zostawić, Torella – mruczy Cesare.

– W istocie. I, moja pani, jeśli wolno mi prosić... Powinien teraz także pić.

– Tak, tak. – Lucrezia bierze kubek z wodą i przytyka mu do ust. – No, już – mówi srogo, gdy medyk zamyka za sobą drzwi. – Nie krzyw się tak. I zrób choć raz, co ci każą.

Cesare, któremu obce jest doświadczenie słabości i bycia wydanym w kobiece ręce, opada z powrotem na oparcie, niespodziewanie spokojny.

– Skąd wiedziałś, że jestem chory?

– O, w tym pałacu nie ostoi się żadna tajemnica. Sam powinieneś to wiedzieć. Dzięki Bogu już z tobą lepiej.

Zaogniona skóra zaczyna powoli blednąć i jego nagość staje się bardziej dobitna: Lucrezia patrzy na starą bliznę po pojedynku – bladą pręgę w poprzek piersi, i na węzłowe mięśnie przedramion.

– Nie było żadnego niebezpieczeństwa – mówi Cesare szorstko. – A to co? Łzy? Chyba nie płaczesz z mojego powodu. Jestem silny jak byk.

– Ale... Ale mogło być inaczej. Tyle walczyłeś, Cesare. Mog-łeś zostać ranny. Albo nawet zabity.

– Jak bardzo by cię to zasmuciło?

– Jak możesz pytać? – odpowiada Lucrezia gniewnie. – Jesteś moim bratem.

– Jak mogę pytać? Może z tej przyczyny, że już sporo czasu upłynęło, odkąd ostatni raz w jakikolwiek sposób okazałaś mi miłość.

– A czyja to wina? – odpala Lucrezia, niemal zbyt szybko. Fakt jest taki, że choć płacze z jego powodu, płacze również przez inne rzeczy. – Tęskniłam za tobą okrutnie i odkąd wróciłeś, wysłałam już całe kosze zaproszeń, abyś do nas zajrzał. Ty jednak je wszystkie zignorowałeś.

– Do was – powtarza Cesare. – Zajrzał do was.

– Tak, do nas. Bo choć zdaje się to ostatnimi czasy wyłącznie cię gniewać, jestem zarówno twoją siostrą, jak mężatką.

Kiedy wychodziła z pałacu kilka godzin wcześniej, nie czuła się taka odważna. Po co przyszła? Z obawy o jego zdrowie? Czy też po to, by spróbować uśmierzyć jego wrogość wobec Aragończyków? Doniesienia z Mediolanu mówią, że francuska armia i Ludovico Sforza gotowi są spotkać się w bitwie, obie strony zasilone w oddziały Szwajcarów, którzy, jak się zdaje, będą zabijać nawet własnych braci, jeśli wystarczająco dobrze im zapłacić. Jakąż ohydą jest wojna. Ktokolwiek wygra, ktoś przegrywa. A w tej bitwie ona, która z nikim nie wojuje, może stracić więcej niż ktokolwiek inny.

– Cesare, jestem twoją siostrą, kocham cię i proszę, żebyś mnie posłuchał. – Bierze znów gąbkę i przeciera jego twarz, tak że Cesare nie może na nią nie patrzeć. – Oboje wiemy, że to małżeństwo z Neapolem nie było moim wyborem. Decyzję podjęliście ty i *papà*. Ja zrobiłam to, co mi kazano. Podobnie jak wtedy, gdy poślubiłam Giovanniego Sforzę. A potem, kiedy takie było życzenie papy, dla dobra rodziny, pozwoliłam – nie, nie, pomogłam – odsunąć go na bok. Giovanni jednak był zdrajcą. Sam tak mówiłeś. Zdradził nas. Alfonso nie jest taki jak on. Jest człowiekiem honoru i ojcem mojego syna, dziecka z rodu Borgiów.

– Jest z dynastii aragońskiej, a to nasi wrogowie – mówi Cesare zimno.

– Tylko dlatego, że ty ich nimi uczyniłeś. Gdyby Federico dał ci swoją córkę za żonę, tak jak chciałeś...

– To nie ma nic wspólnego z jego odrażającą córką! – wrzeszczy Cesare: nie lubi, gdy przypomina mu się o porażkach, jeszcze bardziej niż ojciec.

– Zgadzam się. – Lucrezia szybko uświadamia sobie swój błąd. – O, zgadzam się. Masz teraz o wiele lepszą żonę i inny sojusz, mogący dać rodzinie jeszcze większe znaczenie. Już jesteś księciem połowy Romanii, a niechybnie zdobędziesz i resztę. Neapol jest nieważny.

– To po to przyszłaś? – pyta cierpko, uchylając się przed jej zabiegami. – Żeby bronić męża?

– Nie. – Lucrezia jest zdumiona własną stanowczością. – Nie, nie przyszłam po to, żeby

się bronić.

Bo dlaczego miałyby to czynić? Nie zrobiła nic złego. Przez całe życie tylko kochała swoją rodzinę i była jej posłuszna. Może z jednym wyjątkiem... nie lubi jednak myśleć o Pedrze Calderónie, w cierpienie wplata się zbyt wiele poczucia winy. Czy to za to teraz płaci? Jeśli tak, to z pewnością karanie jej należy do Boga, i do nikogo innego.

– Przyszłam, żeby zobaczyć się z bratem. Jako jego siostra, a nie błagalnica. Ja też jestem Borgią. I kobietą poślubioną przed Bogiem człowiekowi, który nie wyrządził nam żadnej krzywdy. Proszę cię, abyś to uszanował.

– Brawo, siostrze. – Tocząca się w nim walka między irytacją a podziwem kończy się zbyt szybko, by dało się ją dostrzec na jego obliczu. – Pasuje do ciebie taki duch. – Nachyliła się do przodu i ujmuje jej twarz w dłonie, wpatrując się w nią badawczo i aprobująco. O, ależ naprawdę jest urocza. – Ja też za tobą tęskniłem. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo, aż do tej chwili.

Przez sekundę Lucrezia ma wrażenie, że może próbować ją pocałować, i sztywnieje mimowolnie. Cesare jednak puszcza ją z szerokim uśmiechem. W tej samej chwili za drzwiami słysząc jakieś poruszenie, skrzeczenie, a potem przekleństwa.

– Na rany Chrystusa, Michelotto! Co to za jazgot?

Drzwi otwierają się.

– Mój panie, czy potrzebujesz Torelli?

– Nie, siostra już mnie wyleczyła. Ale nie potrzebuję też dzikiego harmidru za progiem. Michelotto wyrzuca w górę obie ręce.

– Kiedy nie ma na łbie kaptura, nie sposób go uspokoić.

– Kogo?

– Tego przeklętego ptaka! W liściku, z którym go przynieśli, nazwano go posłańcem z rubinowym ogonem.

– Ach tak! A co takiego mówi?

– Walentło. – Przez otwarte drzwi wyraźnie dobiega ich wszystkich donośny skrzek. – Forliiii. Forlii. Walentło.

Cesare się śmieje.

– Odpowiem później.

Kiedy jednak odwraca się z powrotem ku Lucrezii, ona nadal patrzy na niego, czekając na jakiś odzew.

Chwyta i całuje jej dłoń.

– Moja piękna siostrze Borgio, gdybym miał zadać ci ból, byłoby to jak zadanie go samemu sobie. Cóż więcej mogę powiedzieć?



Rozdział 52



Potęga rodziny. Sforzowie w Mediolanie. Aragończycy w Neapolu. Przez blisko pół wieku ich ambicje wpływały na równowagę między północą i południem. Razem, poprzez małżeństwa i potomstwo, tkali przędziwem krwi swoje sieci dynastyczne. Może zatem to całkiem właściwe, że gdy pada jedno, pociąga za sobą drugie.

Na polu bitwy pod Mediolanem francuska armia rozbija w puch siły Sforzy. Zwycięstwo staje się jeszcze słodsze dzień później, z chwilą schwytania pewnego smagłego żołnierza w stroju Szwajcara, z tak fatalną niemczyzną i miękkiemi, wypielęgowanymi dłońmi, że zdemaskowanie go jest kwestią minut. Ludovico Sforza, ongisiejszy bicz Italii, zostaje zakuty w kajdany i wpakowany na wóz, którym zmierza do Francji, gdzie król Ludwik czeka, by powitać go na zamku królewskim. Będzie tam panował niepodzielnie nad wilgotnym lochem i stadem szczurów w roli dworzan.

Po ujęciu jednego brata szybko przychodzi kolej na drugiego. Wicekanclerz Ascanio Sforza, ekskomunikowany jako zdrajca, również zostaje uwięziony, a jego pałac i posiadłości kardynalskie ulegają przypadkowi na rzecz Kościoła. Sforza. Kto teraz chciałby nosić to nazwisko? W Pesaro Giovanni spędza większą część doby w wygodce, z kiszkami rozplywającymi się w panice, a w Rzymie Caterina pod eskortą żołnierzy opuszcza belweder i udaje się do znacznie mniej zdrowych pomieszczeń Zamku Świętego Anioła, co ma pomóc jej skupić się na kwestii zrzeczenia się swego dziedzictwa.

Cesare, któremu te nowiny bardzo poprawiły humor, staje znów na arenie, by dać publiczny pokaz tężyzny, i w serii krwawych walk posyła na piach siedem byków. Rzym ponownie się w nim zakochuje.

Wkrótce potem przybywają francuscy ambasadorzy, z uśmiechami i słowem „Neapol” na ustach. Kilka dni później dołącza do nich poselstwo hiszpańskie. W papieskiej sali przyjęć dawni wrogowie ściskają sobie dłonie i wymieniają uprzejmości. Podbój południowej Italii jest takim wielkim przedsięwzięciem – z pewnością dla równowagi Europy będzie lepiej, jeśli wezmą w nim udział, zamiast się przeciwstawiać, nieprawdaż?

Oczywiście nic nie można zrobić bez błogosławieństwa papieża. Korona Neapolu jest w jego rękach, a w podboju będzie brał udział jego wojowniczy syn. Nie od razu jednak. Najpierw Cesare musi dokończyć własną wojnę; król Francji z ochotą zaopatrzy go w część swojej armii, zdolnej obalić każde mury, jakie staną mu na przeszkodzie.

Trudno o polityczną robótkę pozszywaną bardziej schludnie i cynicznie niż ta.

Wśród tak pomyślnie rozwijających się wypadków wiadomość, że we Francji śliczna Charlotte d'Albret Borgia szczęśliwie powiła dziecię, nie robi większego dyplomatycznego wrażenia. Pierwsze słowa mówią wszystko. Dziewczynka. Aleksander śle najlepsze życzenia i podarki. Cesare z kolei czuje się nieoczekiwanie wzruszony, ale cokolwiek obaj by zrobili, nie zdołają zmienić faktu, że jego żona tkwi we Francji, a król Ludwik najwyraźniej zdecydowany jest ją tam zatrzymać.

Niestety, nawet papież tak pomysłowy jak Aleksander nie jest w stanie znaleźć sposobu, by rozwiązać to małżeństwo. To niefortunne, bo Cesare byłby teraz doskonałą partią na rynku

matrymonialnym Italii. A jak ciągle powtarza ojcu, Borgiowie muszą skoligacić się z jakimś możliwym sojusznikiem, by chronić nowe państwo, które budują.

– Neapol nie upadnie co najmniej przez rok. Im szybciej Lucrezia będzie wolna, tym lepiej, ojczec. Sam zawsze mówiłeś, że Fortuna sprzyja tym, którzy działają, nie czekając jutro. Masz prawie siedemdziesiąt lat i...

– Słodka Mario, Matko Boża, znów to samo? Popatrz na mnie! Czy widzisz człowieka nad grobem? Nigdy nie byłem w lepszej formie, co mówi mi każdy prócz ciebie.

To prawda: Aleksander rzeczywiście ma ostatnio więcej energii. Kilka miesięcy wcześniej, gdy cały jego świat wypełniały interesy i rozgrywki, pozwolił Giulii, by pojechała do męża na wieś, teraz jednak sukces wzmógł jego apetyt pod wieloma względami, toteż coraz częściej przesuwa się spojrzeniem po jednej czy dwóch co ładniejszych damach dworu Lucrezii.

– Wrócimy do tego we właściwym czasie, Cesare. Spróbujmy choć przez chwilę cieszyć się słońcem, zanim trzeba będzie wziąć się za bary z kolejną burzą.

Cesare, którego wiara w Los z każdym mijającym rokiem staje się silniejsza, będzie pamiętał ten dobór słów, gdy przyjdzie co do czego.

29 czerwca, późne popołudnie, upalny dzień. Rzym pęka w szwach od pielgrzymów, a Aleksander siedzi na tronie w wielkiej Sali Papieża, ze swym osobistym szambelanem konferującym z hiszpańskim kardynałem. Okna pootwierano na oścież, by wpuścić jakże miłą bryzę z nad rzeki.

To szczególnie, choć wcale nierzadkie zjawisko: letnia burza w Rzymie potrafi wziąć się nie wiadomo skąd – zrywa się nagły wichur, wtaczający na niebo brzuchate chmury, i rozpętuje się taka ulewa, że w ciągu półgodziny, bo zazwyczaj nie trwa dłużej, ulice toną w wodzie, a przez kominy leją się rzeki.

Dziś siła żywiołu jest potężna. Najpierw przychodzi deszcz, potem grad, o kulkach wielkości ziaren ciecierzycy, zacinający w podmuchach huraganowego wiatru. Kardynał i szambelan rzucają się zamykać okna, mocując się ze skrzydłami, a grube okrągłe tafle szkła dzwięczą w ołowianych ramkach. W tym samym momencie, w którym błyskawica przecina niebo poszarpanym zadziorem, rozlega się grzmot, tuż nad ich głowami. Jest tak głośny, że kardynałowi wrywa się okrzyk. Piorun uderza w dach i wpada przez komin, rujnując kamienne palenisko w komnacie piętro wyżej i rozbijając drewniany strop.

Gdy obaj mężczyźni odwracają się od okna, salę spowija tuman pyłu. Większa część sufitu zniknęła. Podobnie papież: spod lawiny drewna i tynku nie widać ani człowieka, ani tronu.

– Ojczec Święty! – krzyczy ochryple szambelan. – Ojczec Święty?

Ani dźwięku. Nic. Nikt nie mógł przeżyć pod takim zawaliskiem.

– Papież! – krzyczą obaj mężczyźni, gdy ktoś otwiera drzwi. – Ratunku! Pomocy! Papież nie żyje.

Zatrważające słowa rozbiegają się po watykańskich korytarzach już w chwili, gdy do sali wpadają gwardziści i rzucają się ku rumowisku, gołymi rękoma rozgarniając gruz i powodując, że jeszcze więcej luźnych fragmentów przemieszcza się i osuwa, aż nadchodzi kapitan i woła, by przestali.

– Powoli! Po kawałku. Więcej ludzi! Sprowadzić więcej ludzi!

W otwartych drzwiach stoi Burchard, ze swym wąskim, wyrzeźbionym obliczem jak zwykle bez wyrazu. Odwraca się do stojącego za nim sługi i daje znak głową, a mężczyzna znika jak królik w norze.

– Papież nie żyje!

W sąsiednim pałacu Santa Maria in Portico Lucrezia przyjmuje akurat odwiedziny Sancii.

Siedzą w głównej bawialni, ze swoimi damami i małym Rodrigiem, przepędzone z ogrodu przez burzę. Słyszą krzyki, i choć nie rozróżniają słów, to wystarcza, by poderwały się i z powiewającymi spódnicami pobiegły tajnymi korytarzami do pałacu obok.

– Papież nie żyje!

Gdy przybywa posłaniec, kardynał della Rovere pisze właśnie meldunek do Francji. Rzuca pióro i wypada za drzwi. Kiedy wróci, znajdzie na liście rozlany kleks.

Zanim w sali pojawia się Cesare (jakże Fortuna miłuje tego młodego mężczyznę: to jeden z jego pokoi – który opuścił ledwo godzinę wcześniej – przyjął na siebie główny impet zniszczenia), pomieszczenie jest już pełne gwardzistów, kardynałów i medyków. Pośrodku widać już krawędzie tronu, podczas gdy mężczyźni pracują metodycznie, odrzucając kawały tynku i drewna, niektóre nadal udekorowane herbem Borgiów. Jak Bóg mógł być taki okrutny, by zabić papieża pociskami z jego własnym nazwiskiem? Co kilka minut kapitan straży każe im się uciszyć, po czym woła:

– Ojcie Świąty! Wasza Świątobliwość, słyszycie nas?

Za dziesiątym razem, z wyczuciem teatralności, któremu nie dorównałby sam Burchard, odpowiada mu wreszcie słaby głos.

Całe pomieszczenie wybucha radosną wrzawą. Gwardziści uwijają się jeszcze szybciej, usuwając gruz, aż w końcu oczom wszystkich ukazuje się papież, sztywno wyprostowany na siedzisku, z prawym ramieniem uwięzionym pod odłamek drewnianego legara, głową przysypaną gipsowym pyłem i z krwawiącym rozcięciem na policzku, lecz bezsprzecznie żywy: zbiegiem okoliczności dwie spadające belki skrzyżowały się nad jego głową i stały dźwigarem dla masy, która powinna była wycisnąć z niego ducha.

– Ojcie Świąty, jesteście ocaleni!

– Tak – mówi, przyjmując do wiadomości czekający, oszołomiony tłum. – Tak, jestem. – I sławny Borgiowski uśmiech od ucha do ucha wypływa na jego twarz.

Cesare wycofuje się z drzwi i znajduje za nimi Burcharda, podczas gdy korytarzem łączącym publiczne pomieszczenia pałacu z apartamentami papieża zbliża się żwawo, z morskim poszumem kardynalskich szat, wysoka, tyczkowata postać Giuliana della Rovere. Sępy, myśli Cesare. W Rzymie zlatują się dzięki słuchowi, a nie powonieniu.

Robi krok i zastępuje mu drogę. W ciągu miesięcy wymuszonego przebywania pod jednym dachem na francuskim dworze ci dwaj wypracowali we wzajemnych stosunkach ton pełnej szczerości nieszczerości, lecz od powrotu do Rzymu skrzętnie się unikali.

– Mój książę – dyszy della Rovere. – Przybiegłem, gdy tylko usłyszałem. Jestem...

– Tak, tak – przerywa głośno Cesare. – Straszliwy wypadek. Sufit oberwał się wprost na tron, na którym siedział.

– O, niechaj Pan Jezus Chrystus zmiłuje się nad nami wszystkimi. Nasz ukochany Ojciec Świąty... Czy ciężko ranny?

Cesare wykonuje ręką nikły, sztywny gest, jak gdyby nie mógł mówić.

– Nie, o, nie... chyba nie zginął?

Cesare nie spieszy się z odpowiedzią, smakując jej odwlekanie jak miód.

– Nie, nie zginął. To istny cud. Jest doskonale żywy.

Della Rovere, przez sekundę nie wiedząc, jak się zachować, żegna się znakiem krzyża i składa dłonie do modlitwy.

– Chwała niech będzie wszystkim świętym.

– I jak pięknie z waszej strony, że tak szybko przybyliście na pomoc, kardynale. Musicie mieć przy sobie ludzi obdarzonych wielką intuicją.

Uśmiech della Roverego drga tylko odrobinę. Za nim Burchard usuwa się z powrotem do

komnat papieża. Ściga go głos Cesarego:

– Czy jeszcze kogoś powinniśmy wyprowadzić z błędu?

Aleksander, z paskudnie posiniaczonym ramieniem oraz różnymi rozcięciami i zadrapaniami na twarzy i całej głowie, zostaje ostrożnie przeniesiony do swojej komnaty sypialnej. Gdy Cesare wchodzi do ogrodu przylegającego do papieskich apartamentów, słowo „cud” zaczyna już roznosić się szeptem po watykańskim pałacu. Ulewny deszcz ustał tak samo nagle, jak się rozpoczął, i niebo się przeciera. Żwir i rabaty są mokre i gdy wychodzi słońce, rozświetla drżące diamentowe kropelki na liściach sewilskich drzewek pomarańczowych, ukochanych przez papieża, bo przypominają mu dom w Hiszpanii, którego już tak naprawdę nie pamięta z dzieciństwa. Grad strącił na ziemię trochę dojrzałych pomarańczy: pierwszy zbiór dla watykańskiej kuchni, z mięszem o mocnym, gorzkawym smaku. Owoce Borgii. Della Rovere niewątpliwie kazałby wykopać te drzewka i zasadzić inne. Jak prędko wszystko mogłoby pójść w drzazgi: herby zakryte albo poobtłukiwane, nowe apartamenty wyszykowane na nowy pontyfikat. Cesare pozwala, by koszmarna wizja rozwijała się w jego głowie. Jaka przyszłość czekałaby syna Borgii bez armii i z zaledwie kilkoma miastami, wciąż w połowie będącymi własnością papieżstwa, w garści? Nie, jeśli Borgiowie mają przetrwać, musi zabezpieczyć sobie resztę Romanii i zapewnić jej bufor w postaci innych państw, aby zyskać siłę, która będzie zdolna oprzeć się wojowniczości przyszłych papieży. I musi nastąpić to szybko. W kolejnej kampanii zdobędzie miasta, których potrzebuje, a przejęcie Neapolu przez Francuzów da mu osłonę od południa. Na północy oczywistym wyborem jest od dawna jedno państwo. Ferrara. Aby jednak przekonać dumny dom d’Este, że potrzebuje przymierza z nowym księciem Romanii, trzeba będzie połączonych sił króla Francji i papieża Borgii oraz małżeństwa na wysokim szczeblu, by przypieczętować dobre chęci.

Raz jeszcze Los – tym razem pod postacią letniej burzy i zwałonego kominka – okazuje się jego mentorem.

Rozdział 53



Już w swojej komnacie Aleksander wkrótce doświadcza dobrodziejstw statusu człowieka osłoniętego ręką Boską. Leży w łóżku, a medycy – po jednym na każdą ranę – skaczą wokół niego, proponując maści i mikstury, aż przegania ich, chcąc dać szansę innemu leczeniu. Drzwi otwierają się przed natłokiem perfumowanych jedwabi i całym stadkiem barwnych ptaków: to Lucrezia i Sancia wraz ze wszystkimi swoimi damami przyniosły owoce i kwiaty, i rozćwierkane pozdrowienia. Aleksander siedzi z bandażem na swojej dużej głowie i wyglądającą spod niego tonsurą, rumiany i cały w uśmiechach, podczas gdy one rozsiadają się wokół łóża. Zostają od rana aż do nocy, karmiąc go i zabawiając swoim szczebiotem i gierkami słownymi. Mówi się, że niewierni tureccy możnowładcy utrzymują cały dom kobiet tylko dla siebie. Cóż, nie mogą być one piękniejsze ani bardziej troskliwe od tych najmilszych istot. O, jak dobrze być tak kochanym! Ktoś powinien powiadomić -Vannozzę i Giulię. Z pewnością będą szaleć ze zmartwienia i również zechcą go odwiedzić. Nieomal warto odnieść rany, by zyskać tyle miłości i uwagi.

Dwa tygodnie później. Letni zmierzch i ten rodzaj nieba, który sprawia, że Pinturicchio z zazdrości płacze w paletę: krwawopomarańczowe słońce zanurzone w kłębach chmur skąpanych w tak rozbuchanych, ekstatycznych kolorach, że niemal oczekuje się widoku Matki Boskiej w otoczeniu wszystkich aniołów unoszonej z nich na wyższe sfery niebios.

Poniżej – schody Bazyliki Świętego Piotra. Dawny majestat kruszy się pod ciężarem historii; miejsce to przez wieki dawało wsparcie prześladowanym chrześcijanom, lecz obecnie jego portyk oferuje coś skromniejszego – kamienne legowisko dla pielgrzymów, którzy nie mogą sobie pozwolić na wynajęcie pokoju.

Nawet teraz leżą w ciasnej grupce przy jednym z filarów, niedaleko od bramy Watykanu. Biorąc pod uwagę łaskawą pogodę, można by wręcz oczekiwać, że więcej ludzi skorzysta z tego punktu. Z całą pewnością pierwszy nocny strażnik, który przechodził obok kilka chwil wcześniej, był zaskoczony, widząc schody tak puste. Gdyby przyjrzał się lepiej, zauważyłby też, że mężczyznom daleko do nędzarzy: mają buty z dobrej skóry, a opończe z drogiej tkaniny. To akurat samo w sobie nie jest dziwne. Na każdym dziesięciu pielgrzymów, którzy śpią na kamieniu z konieczności, przypada paru, którzy robią to z wyboru, w swej pańcy z rozmysłem poślubiając prostotę i wyrzeczenie, aby zbliżyć się do Boga. Ci tutaj są prawdopodobnie bractwem podróżujących wspólnie kupców bławatnych albo skórzanych, związanych ślubem ubóstwa. Muszą być bardzo strudzeni, bo ponarzucali opończe także na głowy, jakby chcąc zasłonić oczy przed promieniami wspaniałego zachodu. Nic to – otrzymają swoją nagrodę, budząc się na stopniach Świętego Piotra o świcie.

Gdy zamierają resztki światła, brama Watykanu, na prawo od portyku, odmyka się i uchyla akurat na tyle, by wypuścić trzech mężczyzn – w kapeluszach nasuniętych na oczy i zanie odzianych, choć jednego zaniej od dwóch pozostałych, ze złotymi szamerunkami na aksamitnym dublecie. Każdemu zwisa u boku miecz.

Rozglądając się dookoła, dostrzegają śpiących pielgrzymów i pusty plac, po czym szybko schodzą po stopniach i idą tą samą stroną placu w stronę sąsiedniego budynku, do

ukrytego w cieniu bocznego wejścia. Mogliby skorzystać z tylnego przejścia biegnącego we wnętrzu obu pałaców, ale to oznaczałoby długą drogę przez korytarze, sekretne drzwi i wielką kaplicę Sykstusa IV aż do dolnej kaplicy Santa Maria in Portico. To dobre rozwiązanie w deszcz czy chłód, lecz latem pasaże są duszne, a przy takim pięknym zachodzie słońca któż nie chciałby wyjść na zewnątrz i rzucić okiem na niebo, choćby tylko na chwilę?

Są już w połowie drogi, kiedy ze schodów kościoła, które zostawili za sobą, wstaje niczym ciemne widmo zakapturzony tłumek, by rozdzielić się na sześć – nie, siedem – postaci zdejmujących płaszcze i dobywających mieczy. W kilka sekund otaczają trzech mężczyzn, odcinając im drogę do obu pałaców, i rzucają się między nich.

Alfonso d' Aragon, z mieczem już wyciągniętym z pochwy, odwraca się, by stawić czoła napastnikom. Jak długo czekał na ten moment? Był czas, po narodzinach Rodriga, kiedy miał nadzieję, że ocali go okazywana im przez papieża życzliwość. Z chwilą powrotu szwagra wiedział już jednak, że nawet twierdza miłości, którą wzniosła wokół nich Lucrezia, nie jest dość mocna, by uchronić go przed morderczą furią Cesarego.

Ten dobroduszny młody mężczyzna, nieskażony ambicją ani nadmiarem inteligencji, nie ma w sobie wiele z bohatera – a jednak kroczy na spotkanie swojego losu z otwartymi oczyma. Oczywiście zrobił co mógł: zarzucił łowy, boć świat jest pełen historii o myśliwych, którzy wzięli czyjaś opończę za tułów zwierzęcia, i ostatecznie opuszcza zacisze pałacu jedynie ze strażą przyboczną. Tego wieczoru nie zdarzyło się jednak nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia. Późnym popołudniem dołączył do Lucrezii przy stole w sypialni Aleksandra (jak wspaniale staruszek dochodzi do siebie!), gdzie ona, papież, Sancja i Jofré urządzili sobie turniej warcabów, i został na wczesną kolację. Lucrezia równie dobrze mogła towarzyszyć mu w drodze do domu, jak to czasami czyni, i trzeba było wiedzy kogoś z wewnątrz, by ustalić, że tym razem jest inaczej.

Cóż, niechaj będzie, co ma być. Portyk Bożego miejsca rozbrzmiewa dźwiękiem stali uderzającej o stal. Z pierwszym przeciwnikiem rozprawia się szybko, podbijając wysoko jego klingę, a następnie uderzając go z taką zaciekłością, że traci równowagę. Nie dla rozrywki wrócił do ćwiczeń z szermierki ze swoim albańskim przybocznym. Jeśli ma zginąć, zabierze ze sobą przynajmniej paru. Kątem oka łapie spojrzenie Albańczyka i obaj jednocześnie wydają przeciągły okrzyk: euforia umierania. Kiedy wieść dotrze do króla Federica, Neapol będzie miał powody do dumy.

– Mordują! Mordują! – krzyczy za nim co sił w płucach jego pachołek, wymachując wokół siebie mieczem. – Książę -Bisceglie napadnięty! Otwórzcie drzwi! Wpuście nas!

Nie mija wiele czasu, a Alfonso odnosi pierwszą ranę, w ramię. Lewe ramię. I dobrze, nie potrzebuje go. Czuje dźgnięcie bólu, potem nic. Odwraca się w stronę miecza, który go zadał, i dostrzega kilka koni w cieni u podnóża schodów. Na Boga, myśli, będą próbowali zabrać nas gdzie indziej, jeśli nie zdołają skończyć z nami tutaj. Przez głowę przelatuje mu wizja Tybru, cuchnącego zielska we włosach. Wiedzą, że nie zapewnią sobie bezpieczeństwa, usiłując dostać się do wejścia, dlatego cofają się we trzech w kierunku bramy Watykanu, a ich -krzyki i szczękanie stali niosą się w noc przerażającym echem.

– Morderstwo! Podłe morderstwo!

Dobry Boże, czy strażnicy ogłuchli?

Następny cios trafia w głowę. Ogłuszony, stoi przez chwilę, nie broniąc się, i gdyby nie Albańczyk, który przyszedł mu na odsiecz, już leżałby na ziemi. Nie utrzymają długo placu, atakujących jest zbyt wielu. Zaraz potem stalowe ostrze wchodzi w jego udo, wysoko, tam gdzie krew płynie grubymi jak sznur żyłami i jedno nakłucie może sprawić, że z człowieka w mig ujdzie całe życie. Unosi miecz, by zabić tego, który to zrobił, ale już upada. Na ziemi ktoś jęczy –

on sam? – po czym czyjaś dłoń chwyta go za płaszcz i kołnierz.

– Mój panie, panie! – słyszy oszalały głos swojego pacholka, gdy ktoś wlecze go po schodach ku bramie.

Czuje zamykającą się nad sobą ciemność. Kocham moją żonę, myśli. Moją żonę, moją siostrę, mojego syna. Umarłbym dla nich, gdybym mógł. Czy to się właśnie dzieje? Nie pamięta nic więcej.

Wreszcie ze szczękiem otwierają się podwoje wielkiej watykańskiej bramy. Albańczyk wciąż walczy jak opętany, ale są już uratowani. Na pierwszy znak nadchodzącej pomocy napastnicy czmychają i biegną przez plac w stronę czekających koni. Kiedy strażnicy wypadają za bramę i rzucają się w pościg, już ich nie ma: pogalopowali, wzbijając kurz, w zapadającą ciemność.

W sypialni papieża Sancia właśnie pieje nad śmiałym posunięciem, które wykonał na planszy jej teści, gdy dociera do nich jakieś poruszenie.

Otwierają się drzwi, pchnięte bezceremonialnie przez kapitana gwardii, i do środka wtacza się czterech ludzi dźwigających Alfonsa. Jego głowa i nogi toną w czerwieni, zalane krwią.

Sancia krzyczy, papież wydaje z siebie ryk, a Lucrezia, która zerwała się na równe nogi, spogląda na ciało męża i osuwa się na posadzkę. Dopiero później, gdy zostanie ocuciona, usłyszy słowa: „Wciąż oddycha. Nie zabili go”.

– Na krew Chrystusa, jak to możliwe? Siedmiu przeciwko dwóm szermierzom i paziowi? Dostali połowę królewskiego okupu!

– Wynajęci zabójcy chcą przede wszystkim ujść z życiem i móc cieszyć się zapłatą. Mówiłem, że powinieneś być pozwoliciel, bym ja to zrobił.

– Trzeba być ślepym i kulawym, żeby skrewić przy takiej przewadze! – Cesare, zaskoczony wieścią przez Michelotta w domu Fiammetty, pieni się jak dziecko, któremu pokrzyżowano plany. – Gdybyś ty to zrobił, ktoś by się dowiedział i moje imię byłoby na ustach wszystkich.

– Myślisz, że nie będzie tak czy siak? Kto inny zapłaciłby zgrai Orsinich, żeby napadli na zięcia papieża?

– Nie ja jeden chciałbym widzieć go martwego – odwarkuje Cesare. – Papież dał mu ziemię zabrane najznakomitszym rzymskim rodom, a każdy, kto popiera Francuzów, nienawidzi Neapolu.

– Nie tak bardzo jak ty nienawidzisz Alfonsa. Może jednak będziemy mieć szczęście, mój panie, i zemrze mu się od ran.

Tym razem jednak Cesare nie może liczyć na Los, tak dlań zazwyczaj usłużny. Aleksander, wstrząśnięty zuchwałością ataku, każe położyć Alfonsa w jednym z pokojów wieży Borgiów. Zamienia się on na poły w szpital, na poły w warownię: na zewnątrz stacjonuje szesnastu ludzi z gwardii watykańskiej, a nad Alfonsem pochylają się medycy papieża. Każdy ich ruch śledzą żona i siostra, nieodstępujące jego boku. Udaje mu się przeżyć noc. Dwa dni później przybywa osobisty lekarz króla Neapolu, by przejąć opiekę nad chorym. Rany księcia, jak się zdaje, nie są śmiertelne, „jeśli tylko” – jak pisze jeden z papieskich sekretarzy do swojej dawnej pracodawczyni, księżnej Urbino – „nie zdarzy się jakiś nowy wypadek”.

Wie on, jak każdy inny komentator w mieście, kto stoi za zamachem, choć wielu wzdraga się przed nakreśleniem imienia na papierze w obawie przed represjami, taka jest rosnąca potęga papieskiego syna. Cesare zaś odgrywa przedstawienie, odwiedzając księcia, gdy jest on jeszcze półprzytomny. Żadna z kobiet trwających na swoich pozycjach przy łożu nie patrzy w jego stronę.

– Szczęśliwy człowiek, którego otaczają taką troską – mówi, spoglądając w dół na opuchniętą twarz.

Powieki Alfonsa trzepoczą i unoszą się na moment, po czym znów się zamykają.

– Moja miła siostró – mówi Cesare wprost do Lucrezii. Ta podnosi wzrok, ale jej oczy są puste, zimne. Za nią Sancia syczy jak zapędzony do rogu kot. – Dowiemy się, kto to zrobił – mówi surowo. – Księżę jest człowiekiem mającym wielu nieprzyjaciół.

Z papieżem jest bardziej szczerzy.

– Ani ja, ani żaden z moich ludzi nie tknęliśmy księcia Bisceglie palcem. Muszę jednak powiedzieć, że nie żałuję tego, co się stało. Ten człowiek naraża naszą sprawę na szwank i dopóki pozostaje żywy w pałacu, będzie przyczyną dalszych spisków i niezgody.

Aleksander, nękany ze wszystkich stron, waha się między oburzeniem a myśleniem strategicznym.

– Król Neapolu żąda, byśmy wysłali go do domu, gdy tylko mu się wystarczająco polepszy. Tak byłoby może najlepiej.

– Jeśli tylko ona nie pojedzie wraz z nim.

Właśnie to jest jednak w planach. Lucrezia i Sancia zamieszkały w komnacie pacjenta. Śpią na siennikach w nogach łoża. W prostych sukienkach, z włosami ściągniętymi do tyłu i owiniętymi białymi chustkami jak u robotnic, niestrudzenie myją, karmią, opatrują rany i doglądają przyrządzenia każdego posiłku, na wypadek gdyby nadal groziły mu czyjeś złe zamiary. Odgrywają swoje role ze słodyczą i oddaniem; bogatym, niepracującym damom nieczęsto dana jest taka determinacja.

Kiedy Alfonso odzyskuje siły na tyle, że może mówić, z początku rozmawiają z Lucrezią jedynie o błahostkach: o tym, że dzień jest ciepły, na jakie mięso miałby ochotę, jak położyć zagłówek, żeby nie urażał rany na głowie. Świat, który stworzyli w tym pokoju, regulowany wędrówką słońca i powtarzalnością kornie wykonywanych obowiązków domowych, zdaje się nieskażony złą wolą.

Dopiero po upływie pierwszego tygodnia, kiedy Sancię wywołuje na zewnątrz wiadomość od Jofrégo, Alfonso i Lucrezia zostają sami.

– Wiesz, była jak dzika bestia w twojej obronie – odzywa się żartobliwie Lucrezia. – Nawet królewski lekarz z Neapolu się jej boi. Nie może się nadziwić twojemu zdrowieniu. Twierdzi, że nie widział jeszcze czegoś takiego i że wkrótce znów będziesz tańczył.

– Nie w tym pałacu. Nie, Lucrezio – mówi Alfonso z mocą, gdy żona usiłuje mu przerwać. – Musimy o tym porozmawiać. Nie możemy zostać w tej komnacie na wieki. Prędzej czy później twój brat mnie zabije albo zleci to komuś innemu. Chyba że ja zabiję go pierwszy...

– Nie! Nie. Obronimy cię.

– Co? Mam być mężczyzną, który chowa się za spódnicami żony i siostry? Jaki obraz ojca da to naszemu synowi?

– W takim razie pojedziesz do Neapolu. Kiedy tylko poczujesz się na tyle dobrze, żebyś mógł udać się w podróż. Papież obiecał twojemu stryjowi...

– Bez ciebie nie pojedę.

– Dołączę do ciebie, kiedy będę mogła.

Zapada cisza. Nie ma sensu wypowiadać tych słów.

– Nie powstrzymają mnie – mówi Lucrezia dziko. – Nie jestem już dzieckiem. Będziemy razem w Neapolu.

– A kiedy zaatakują nas Francuzi?

– Wtedy pojedziemy do Bisceglie. Albo gdzie indziej. Dokądkolwiek. Dokądkolwiek, byle nie tu.

– Nie płacz. Masz rację. Znajdziemy sposób. – I zdrową ręką przyciąga jej głowę do swojej piersi.

– Patrzcie tylko: jak dwie nierozłączki. – Sancia wchodzi, niosąc tacę dopiero co upieczonych ciasteczek. – Widzisz, jak dobrze się spisałyśmy? Anioły miłosierdzia, oto kim jesteśmy.

– Rzeczywiście, jesteście – odpowiada Alfonso.

Kiedy jednak kładzie się z powrotem na łóżku, z sufitu łypie na niego złożony herb Borgiów, i gdy zasypia, śni, że walczy z zakapturzonymi kościotrupami.

Po dwóch tygodniach dzięki jego młodzieńczej tężyznie i ich troskliwej opiece następuje poprawa: noga jest wyleczona na tyle, że Alfonso może z pomocą wstać z posłania. Któregoś popołudnia, gdy obie kobiety śpią, udaje mu się dotrzeć aż do okna, z którego rozciąga się widok na ogród Borgiów.

Cesare, dla którego o tej godzinie dopiero zaczyna się dzień, nabrał ostatnio zwyczaju przechadzania się wśród drzew pomarańczowych dla przewietrzenia głowy. Obaj w tym samym momencie zdają sobie sprawę ze swojej obecności. Alfonso czuje rosnącą we wnętrzościach gorącą grudę strachu, ale prostuje się na zdrowej nodze, podnosząc zapadkę, aby otworzyć okno.

Na dole Cesare, nieuzbrojony, stoi nieruchomo, wpatrując się w niego.

Jakimż świetnym byłby teraz celem, myśli Alfonso. Gdybym miał teraz broń, mógłbym to zrobić. Przysięgam, że mógłbym to zrobić.

W tej samej chwili, jak gdyby myśl przeskoczyła z jednego umysłu do drugiego, Cesare rozciąga szeroko ramiona, eksponując klatkę piersiową, i uśmiecha się. Głowa Alfonsa pulsuje podnieceniem i bólem. Odwraca się niezgrabnie od okna, a wtedy budzi się Sancia.

– Co ty wyprawiasz? Wracaj do łóżka!

Pozwala sobie pomóc, lecz gdy Sancia poprawia okrycia, chwytą ją za rękę.

– Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła.

– Co takiego? Co tylko zechcesz.

– Weź z pałacu moją kuszę i przynieś ją tutaj.

– Kuszę? Ale nie masz...

– Zrób to, Sancio. Proszę.

Kiedy Sancia wraca, Cesarego już dawno nie ma w ogrodzie.

Kusza stoi oparta o ścianę pod oknem.

– Bez powodu. Po prostu czuję się lepiej, mając ją pod ręką – wyjaśnia wypytywającej Lucrezii.

W ciągu następnego tygodnia czeka i czeka na następną okazję, ale albo w chwilach, kiedy on nie śpi, czuwają także jego opiekunki, albo ogród jest pusty. Przypuszczalnie i tak nie miałby dość siły. Kilka dni później w odwiedziny przychodzi Jofré, przez parę godzin siedzi ze skrzepowaniem przy łóżku i nieudolnie szuka tematów do rozmowy. Rozłam w pałacu zatrął mu życie. W naturalny sposób skłania się ku bratu, którego wielbi, ale bardzo tęskni za żoną i ma pretensje, że cała jej uwaga jest teraz skupiona na kimś innym.

Gdy Cesare dowiaduje się o tej wizycie, bierze brata na stronę.

– Poszedłem tylko z powodu Sancii – mamrocze Jofré, lękając się, że był nielojalny. –

W ogóle jej teraz nie widuję.

– Rozumiem. Jesteś opuszczony. Czułbym się tak samo, gdyby była moją żoną. I jak tam było?

– Uch, cuchnęło śmiercią.

– Co on robi przez cały dzień? Tylko siedzi i kisi się w kobiecej paplaninie?

– Mniej więcej. Chociaż teraz ma tam broń.

– Naprawdę? – Sądząc po tonie głosu, Cesare nie mógłby być mniej zainteresowany. –
Jaką?

– Kuszę. Stoi pod oknem.

– Bardzo dobra broń. Gdyby miał siłę jej użyć – mówi Cesare beztrąsko. – A może
byśmy, braciszku, wyrwali się z tej łaźni, ty i ja, i poszli na miasto? Fiammetta może zaprosić
inne panie. Co ty na to?

Rozdział 54



Gdyby Alfonso zginął tamtej nocy na schodach bazyliki, byłoby znacznie prościej: mniejszy skandal, mniej gniewu, mniej cierpienia. Dla wszystkich. Dobrze wyważony cios mieczem pod żebra, aż do serca, załatwiłby sprawę w minutę. Mógł być umrzeć na rękach swojego neapolitańskiego towarzysza, bo zlecono zabicie tylko jego, nie ich wszystkich. Tylko jego. Alfonsa d' Aragon: młodego, odważnego i honorowego. Umarł-by męską śmiercią, po której nastąpiłaby stosowna kobieca żałoba: byłaby głęboka, oczywiście, zaprawiona gniewem, bez -wątpienia, ale czysta, i w pewnym momencie dobiegłaby końca.

Tymczasem tygodnie krańcowego dramatu, omdlewania i słabowania, napięcia, chuchania i dmuchania, intymnej konfidencji zranionego ciała i krwawiących niewieścich serc, całe to odciąganie go znad krawędzi liną ratunkową uplecioną z miłości i łez... wszystko to pokazało, że prawdziwa śmierć – która musi nastąpić – może jedynie oznaczać jeszcze bardziej poniżający galimatias, a żałoba, którą spowoduje, wywoła długotrwałe zakażenie.

Popołudnie 18 sierpnia 1500 roku. Drzwi komnaty, w której leży Alfonso, otwierają się z impetem i wpada przez nie drużyna ludzi Cesarego, z Michelottem na czele, wykrzykując coś o strasznym spisku przeciwko Borgiom. Łapią wszystkich – strażników, sługi i neapolitańskich lekarzy, będących akurat w trakcie codziennego badania ran na ciele swojego pacjenta.

Lucrezia i Sancia podrywają się jak harpie, krzycząc i protestując, i rzucają się na Michelotta. Ten się cofa, broniąc się jak umie, ze szpetnym wyrazem udręczenia na twarzy:

– Takie otrzymałem rozkazy, jaśnie panie, takie otrzymałem rozkazy. – Jego głos wyraża tak wyczuwalną przykrość, że na sekundę całkowicie je zaskakuje. – Został zaplanowany zamach na życie mojego pana, księcia Valentino, i kazano mi...

– Kto? Kto ci kazał?! – krzyczą w odpowiedzi kobiety. – Na pewno nie papież!

– Nie... nie wiem. Myślałem... ale jeśli to nieprawda, to... to Ojciec Święty jest zaledwie kilka kroków stąd... – I Michelotto spogląda niespokojnie ku żołnierzom trzymającym pojmany mężczyzn, jakby chcąc powstrzymać ich od dalszych kroków. – Otrzymałem rozkazy – powtarza żałośnie.

– Nie! – Lucrezia jest już za drzwiami i puszcza się pędem przez długi korytarz łączący apartamenty, nawołując raz po raz ojca, z Sancią deptającą jej po piętach.

Trzy komnaty dalej, w papieskim salonie Burchard ustępuje im z drogi, gdy podbiegają prosto do papieża, który już wstaje z fotela.

– Co? Co się dzieje? – pyta, zauważywszy panikę oszalałych kobiet.

– Kazałeś aresztować medyków i strażę Alfonsa? – Sancia jest bliska hysterii.

Lucrezia jednak nie czeka na odpowiedź. Wszystko, co potrzebuje wiedzieć, wypisane jest na twarzy ojca. Wydaje jeszcze jeden przeciągły okrzyk i okręca się w miejscu, by runąć korytarzem tam, skąd przybiegła.

Nie było jej – ile? Trzy, może cztery minuty? Dałoby się odmierzyć ten czas uderzeniami serca.

Drzwi pokoju są zamknięte, pilnuje ich dwóch strażników Cesarego. Również otrzymali rozkazy, o tak. Nawet oni jednak nie będą fizycznie walczyć z córką papieża. Stoją ze wstydem

malującym się na twarzach, słuchając jej krzyków, po czym odsuwają się, gdy się do nich zbliża. Jeden z nich przytrzymał roztrzaskany rygiel, kiedy więc go puszcza, drzwi otwierają się z łatwością.

W pokoju nie ma już ani straży, ani jeńców. Michelotto stoi przy wezłowi rzeźbionego łoża. U jego stóp leży skurczone ciało Alfonsa, z głową wykręconą pod dziwnym kątem, otwartymi ustami i twarzą zastygłą w grymasie przerażenia.

– Tak mi przykro, księżno Bisceglie – głos Michelotta, przez kontrast, jest teraz całkiem spokojny. – Próbował wstać z łóżka. Myślę, że wzburzenie wywołane wtargnięciem przyprowadziło go o jakiś wewnętrzny krwotok i... biorąc pod uwagę, jak był słaby... cóż, wykrwawił się na śmierć.

Mówiąc to, podnosi obie dłonie, jakby chciał, by było jasne, że w ciągu tych pięciu minut ani na moment nie znalazły się one w pobliżu gardła Alfonsa.

Zawodzenie słychać wszędzie. Na korytarzach, z okien, w ogrodzie. Nic tak nie zdruzgotało spokoju pałacu od tamtej strasznej nocy, gdy papież stracił syna. Nie dotyczy to tylko Watykanu – w pałacu Santa Maria in Portico lament podnoszą damy dworu Lucrezii: wysoki, przeraźliwy, jak krzyk żywcem patroszonych zwierząt. Kobieca rozpacz – nic nie przesywa powietrza tak jak ona.

Nie udaje się zabrać ciała bez użycia umiarkowanej siły. Michelotto, który nie próbuje się bronić, opuszcza pokój, unosząc na twarzy jako kolejną ozdobę ślady paznokci Sancii. Gdy nadchodzi papież i papieska gwardia, pokój tonie w chaosie sprowadzonym przez niepowstrzymany szal Sancii: poprzewracane krzesła, kapy ściągnięte z łóżka, rozerwane poduszki wypluwające z siebie włosie i pierze, które unosi się wszędzie, tak że w ogrodzie zda się, jakby w ten gorący sierpniowy dzień na drzewka pomarańczowe począł padać łagodnie śnieg. Lucrezia zaś siedzi na posadzce przy łóżku, tuląc do łona zwłoki męża, jak martwe ciało Chrystusa, i szlocha, szlocha, szlocha. Kiedy próbują podjąć go z jej rąk, rzuca się na ciało, zasłaniając je własnym i nikt, nawet papież, nie wie, co robić. Trzeba dopiero jej kobiet – greckiego chóru płaczek, który zstępuje i otula ją, dotykając, biadając, głaszcząc – by można było unieść go i zabrać, i przygotować do pochówku.

Nie dla Alfonsa wprawne dłonie mistrzów pośmiertnego upiększania, tonące w kwiatkach mary na barkach szlachejnych panów i obowiązkowa procesja żałobników. Jego pogrzeb to lichy obrządek. Ani żonie, ani siostrze nie wolno wziąć w nim udziału. O zmroku jest już po wszystkim; jego ciało, odprowadzone na miejsce spoczynku przez garstkę zakonników, zostaje złożone w krypcie w maleńkim kościółku tak blisko Bazyliki Świętego Piotra, że nie ma miejsca na jakikolwiek kondukt.

Nie jest wszakże po wszystkim w oczach kobiet. Przeciwnie, ich gwałtowny lament nie pozwala nikomu zasnąć przez całą noc. Następnego ranka pod bramą Watykanu stoi mały tłumek, który zgromadził się tylko po to, by posłuchać tego hałasu, a poczekalnię papieża wypełniają dostojnicy i ambasadorzy, chcący koniecznie złożyć wyrazy uszanowania i dodać pikanterii swoim relacjom. Wszyscy są zgodni, że to najbardziej skandaliczna rzecz, jaka wydarzyła się w historii już i tak skandalicznego pontyfikatu. Pyszna historia.

Cesare stanął przed Aleksandrem, gdy ciało jeszcze leżało na marach, a Burchard czekał na instrukcje w sprawie pogrzebu. W tle słychać było nieustanne zawodzenie kobiet.

– To nie do przyjęcia! – Papieżem targała furia równa niemal furii jego córki. – Zabić człowieka w watykańskim pałacu, gdzie przebywa pod moją opieką? Hę? Oszalałeś? Wystawiłeś mój autorytet na urągowisko.

– Gorzej, nie oszalałem. Jestem jak najbardziej przy zdrowych zmysłach. Powiedz mi, ojczy, co miałem według ciebie zrobić? Gdybym przyszedł do ciebie i powiedział, że próbował

mnie zabić, dałbyś mi pozwolenie? Nie – jakżebyś mógł? Nie miałem wyboru, musiałem przeprowadzić to bez ciebie.

– Co to znaczy: próbował cię zabić? – Ostatnie tygodnie były dla Aleksandra ciężką próbą cierpliwości, a choć wiedział, że Neapol jest ceną, którą musi zapłacić za swoje ambicje, tak brutalna jawna przemoc stała w opozycji do jego stylu uprawiania polityki. – Ten człowiek był na wpół martwy.

– Wiedz zatem, że nie był aż tak martwy, by nie móc podnieść kuszy i wycelować jej z okna. Na to miał dość siły.

– Kiedy? Jak to? Co się stało? – naciskał Aleksander, gdy Cesare zamilkł, jakby miał opory przed powtarzaniem jakiejś historii. – Powiedz mi!

– Pięć dni temu byłem w ogrodzie... wiesz, że czasem spaceruję tam po przebudzeniu. Byłem nieuzbrojony, bez kolczugi, tylko w koszuli i w rozpiętym duplecie, jak to w gorąc. Spojrzałem akurat na wieżę. I stał tam, w oknie, z naciągniętą kuszą. Musiał kazać komuś ją przynieść. Z pewnością zresztą jest jeszcze gdzieś w pokoju, inni musieli ją widzieć. I wtedy do mnie strzelił. I chociaż napięcie cięciwy na pewno sprawiło mu ból, mnie o mało nie sprawiło dużo większego, bo gdybym się w tej samej sekundzie nie odwrócił, strzała przeszłaby mi przez kark. A tak tylko drasnęła policzek.

Cesare odwrócił twarz, tak że dało się dostrzec rysę niedawnego skaleczenia biegnącą aż do linii włosów.

– Gdybyś potrzebował czegoś więcej niż moje słowo, oto i strzała – powiedział, wyciągając ją zza pasa i wręczając papieżowi. – Na grocie jest znak księcia. Jestem pewien, że jeśli każesz swoim ludziom sprawdzić jego kolczan, okaże się, że jednej strzały brakuje.

Aleksander czuł osłupienie. Jakkolwiek historia wydawała się dziwaczna, pasja, z jaką Cesare ją opowiadał, i dowody, które przedstawiał, czyniły ją przekonującą. Gwardziści, których posłał później do pokoju Alfonsa, znaleźli pod oknem jego kuszę. Wypyтали medyków i służące, jak długo tam stała, a oględziny kolczanu wykazały, że faktycznie brakuje jednej strzały – choć kto mógłby stwierdzić od kiedy?

– Może i miał powody, by mnie nienawidzić, ojczu. Nie będę temu zaprzeczał. Ja również go nienawidziłem. Ale chodziło o życie: albo moje, albo jego. Aragończycy byłiby więcej niż radzi z mojej śmierci. Jako żołnierz mam prawo bronić się, gdy ktoś mi zagraża. – Cesare uklękł przed papieżem. – Gdybyś wiedział... i stał się współuczestnikiem... byłbyś także współwinny. A tak... śmierć obciąża tylko mnie. Jeśli to, co zrobiłem, wystawiło na szwank twój autorytet, błagam o przebaczenie.

Aleksander opuścił dłoń na te piękne włosy. Co właściwie czuł? Czy powątpiewał w słowa syna? Na pewno. Ale nawet jeśli, była to tylko ulotna myśl. Szaleństwo gorącej krwi, wendetty, nadludzka siła rannego, lecz atletycznego młodego mężczyzny powodowanego lękiem i pragnieniem zemsty – jeśli ktoś chciał wierzyć, to wszystko było całkiem wiarygodne. Jeśli jego ukochany syn, ten zdumiewający młody mężczyzna gotów do tego, by wynieść rodzinę z obecnej wielkości w wielkość przyszłości, był rzeczywiście tak bliski śmierci...! Jeśli mógł go stracić! Święta Mario, Matko Boża, czymże była wobec tego śmierć Alfonsa, na wpół zdrajcy przez samo powiązanie z Neapolem?

Zza drzwi ich uszu dobiegał stłumiony lament z wnętrza pałacu. Papież podniósł syna.

– Chodź tu, obejmij mnie. To był brutalny czyn, ale wyznałeś swój grzech. I zrobisz to jeszcze raz przed Bogiem. Ja ci wybaczam. Musisz jednak zadośćuczynić swojej siostrze. Ona poniosła największą stratę.

Możliwe, że gdyby Cesare z tym samym ogniem w oczach powtórzył innym swoją wersję wydarzeń, znalazłby więcej osób gotowych dać jej posłuch. Przekonawszy jednak ojca, ma teraz

zbyt wiele do zrobienia, jeśli chodzi o przyszłość, by zawracać sobie głowę przeszłością. Wraca zatem do załatwiania spraw związanych z wystawianiem nowej armii, a tymczasem szczegóły jego historii nieuchronnie przedostają się do publicznej wiadomości. Zamiast jednak dostarczać argumentów na jego obronę, pokazują raczej, do czego potrafi posunąć się książę Valentino, by osiągnąć to, czego chce. Ludzie zaczynają przypominać sobie dawniejszą śmierć w rodzinie, innego młodego mężczyznę ściętego okrutnie w kwiecie wieku, i to, jak bardzo skorzystał Cesare Borgia również na tamtym zgonie. Coś, co było kiedyś bezpodstawną plotką, teraz staje się faktem. Jego wizerunek z mrocznego robi się czarny, a powszechne potępienie miesza się z lękiem. Nie jest to coś, co spędzałoby mu sen z powiek.

Jednak Lucrezia... Inaczej wygląda sprawa z Lucrezią.

Odwiedza ją dzień po morderstwie. Watykan i Santa Maria in Portico są ciągle w stanie alarmu i Cesare zjawia się – podobnie jak będzie chodził wszędzie w kolejnych dniach – w otoczeniu uzbrojonych strażników, aktorów w jego zmyślonej intrydze przeciwko sobie.

Wraz ze swoimi strażnikami zostaje wpuszczony do pokoju przyjęć, gdzie stoją niezręcznie, wyrośnięci mężczyźni słuchający zawodzenia kobiet, zawodzenia, które nie ustało ani na moment od śmierci księcia ponad dwadzieścia cztery godziny temu. Można nawet rozróżnić gniewny głos małego Rodriga, którego wychuchany byt rozdarł panujący w domostwie zamęt.

Placz – jego i ich – staje się coraz głośniejszy, aż otwierają się drzwi i wchodzi Lucrezia otoczona przez kobiety, siedem, a może osiem, wszystkie potargane i łkające. W ramionach trzyma wijące się, wrzeszczące dziecko. Poziom hałasu jest niebagatelny. Żołnierze, którzy w swoim czasie dzielnie znosili huk armatniego ognia, kręcą się nerwowo.

– Cii, cii, kochanie. – Lucrezia, zajęta dzieckiem, nawet nie patrzy w stronę brata. – Cichutko, takiego bólu nie da się wyplakać.

Jest jednak jasne, że Rodrigo nie da się uspokoić. Lucrezia odwraca się i przekazuje dziecko w ręce niańki, która owija je ciaśniej i wynosi z komnaty. Teraz wreszcie Lucrezia -staje twarzą w twarz z Cesarem. Wciąż ma na sobie wczorajsze, poplamione krwią ubranie, twarz i oczy zaczerwienione i zapuchnięte od łez.

– Najdroższa siostrze. Przyszedłem... Przyszedłem... – podnosi głos, próbując przedrzeć się przez przenikliwy lament, którym kobiety wypełniają powietrze. Wielki książę Valentino z pewnością nie da się zastraszyć kobiecymi afektami. – ...złożyć wyrazy ubolewania z powodu twojej straty.

– Sądzisz, że masz przy sobie wystarczająco wielu żołnierzy do ochrony?

– Domowi Borgiów zagrażał ohydny spisek – brnie Cesare. – Najgorsza część planu została, dzięki Bogu, udaremniona. Nie spoczniemy jednak i zajrzemy pod każdy kamień, żeby dowiedzieć się, kto za tym stał.

– Naprawdę? – odpowiada Lucrezia z lodowatym sarkazmem. Wygląda na to, że potrafi przestać płakać, jeśli chce, choć trzęsie się, mówiąc. – I cóż tam znajdziesz ukrytego?

Stoją naprzeciw sobie, brat i siostra, każde ze swoją armią za plecami, a między nimi krwawa śmierć. Trzeba rozegrać do końca to, tak boleśnie absurdalne, spotkanie.

– To nie czas, żebyśmy się w to zagłębiali, siostrze. Ciągłe są jeszcze kwestie bezpieczeństwa, którymi trzeba się zająć, ale jeśli zechcesz...

– O nie. Nie zechcę – przerywa gwałtownie Lucrezia. – Przyszedłeś jeszcze po coś?

– Tylko żeby się upewnić, że jesteś tu bezpieczna.

– Bezpieczna! Tutaj? – I choć dotąd radziła sobie tak dobrze, teraz walczy, by nie dopuścić do załamania się lodu. – Po tym, co się stało, już nigdy nie będę w Rzymie bezpieczna.

Jedna z kobiet stojących za nią zanosi się ochryplym, zduszonym szlochem i reszta

dołącza do niej jak chór podczas próby.

– Pozwolisz, że cię opuścimy, bracie. Musimy przygotować dom do żałoby.

I wychodzą spiesznie, wśród narastającego zawodzenia, zostawiając w komnacie
Cesarego i jego mężczyzn, uzbrojonych po zęby, a jednak dziwnie bezbronnych.



Rozdział 55



Kiedy jej żal staje się strategią? Na pewno przez jakiś czas nią nie jest. Nie. Przez te pierwsze niekończące się dni i noce Lucrezia owija się kokonem cierpienia, by przetrwać. Dopóki płacze, dopóty nie jest to jeszcze koniec. Reszta świata może się zachowywać, jakby jego śmierć niczego nie zmieniła, ale ona nigdy na to nie pozwoli; dopóki płacze, z ciałem wstrząsanym łkaniem, z zatkanym nosem i ciężką głową, on ciągle jeszcze w niej żyje.

Przez pierwsze parę dni wraca do tamtego pokoju i siada tam, gdzie siedziała z jego ciałem, z Sancią i jeszcze kilkoma kobietami. Papież, który nigdy nie radził sobie zbyt dobrze z kobiecymi łzami, pozwala na to, w nadziei, że takie postępowanie przyniesie *katharsis*. Wkrótce jednak okazuje się, że emocjonalna burza, zamiast cichnąć, przybiera na sile.

– Nadal płacze? – pyta Aleksander pewnego ranka, acz wie, że pytanie należy do retorycznych.

– Albo księżna, albo jej damy. – Jego szambelan jest zaniepokojony. Widział swojego pana pogrzebanego pod stertą gruzu, ale nigdy z nerwami w takich strzępach. Dom mężczyzn w stanie obłędzenia, pod ostrzałem kobiecych łez: nowa forma wojny.

– Czy one w ogóle nie śpią?

– Chyba nie jednocześnie, Wasza Świątobliwość.

Co tu zrobić? Nie może przecież zakneblować dwóch księżniczek. Aleksander stara się okazać serce. Kiedy przychodzi w odwiedziny, Lucrezia wstaje i łkając, rzuca się w jego ramiona. Odprawia kobiety i siedzi z nią na łóżku, głaszcząc jej włosy i mrużąc:

– Tak, tak, to straszne. Modłę się stale do naszej Matki, która lepiej niż my wszyscy wie, co znaczy śmierć najukochańszego, by wyprosiła dla ciebie ulgę. Tak jak ona, musisz odnaleźć spokój w większym planie Bożym. Jesteś młoda; będziesz jeszcze miała nowe życie, to nie będzie twoja jedyna miłość.

Lucrezia jednak nie chce spokoju ani nowego życia. Przede wszystkim zaś nie chce nowej miłości.

– Co? Znowu wydasz mnie za mąż i zabiję kogoś innego? Bo przecież tak się stanie! Oto kim jestem: pajęczycą, która odbywa gody, by zaraz po nich zgładzić swojego męża.

Uderza go to porównanie. Sam nie ma czasu na poezję, ale powszechnie wiadomo, że Lucrezia lubi skupiać wokół siebie ludzi kultury. Czy to oni zachęcają ją do takich wymyślnych hiperboli? Zbyt wiele poezji może szkodzić rozgorączkowanym niewieścim umysłom.

Skoro nie zadziałało współczucie, papież próbuje innych strategii.

– To bolesne, owszem, ale jesteśmy otoczeni przez wrogów. Spisek, który odkrył twój brat... co by było, gdyby został zabity?

– O, jak możesz wierzyć w tę niedorzeczność! Alfonso był słaby jak dziecko. Ledwo mógł utrzymać w ręku łyżkę!

– Byłabyś zaskoczona, jaką siłą może dysponować zdesperowany mężczyzna.

Sam jednak jest zaskoczony nagą pogardą w jej oczach. Jak mogłeś dać się tak omamić?, mówią.

Nie. To oczywiste, że jego córka nie pragnie być pocieszana.

Każe zamknąć pokój i postawić pod drzwiami strażę.

– Nie służy ci takie ciągle przypominanie.

Kobiety przenoszą się z opłakiwaniem do sąsiedniej komnaty. Gdyby pozamykać wszystkie drzwi i okna w Watykanie, dałoby się je odciąć, ale jest lato i bez przewiewu w pokojach nie sposób wytrzymać. Zawodzenie trwa, zatruwając nawet powietrze, tak że wszyscy, którzy je słyszą, czują się nieswojo.

Papież jest coraz bardziej poirytowany. Ta przesadna żaloba nie tylko osobiście go męczy, ale szybko staje się przedmiotem plotek. Dyplomaci słyszą jej odgłosy, gdy rozmawia z nimi o traktatach i krucjatach. „Taki niesłychany żal”. „Zapewne trudno to znieść”. „Straszna tragedia, bez wątpienia”, mówią, ściągając jeszcze więcej uwagi na skandal, który dla dobra wszystkich należałoby puścić w niepamięć.

Jak mam rządzić chrześcijaństwem, kiedy nie słyszę nawet własnych myśli?, po jakimś czasie mówi do siebie Aleksander. Smutek to jedno, obłęd to drugie. Nikt nie uważa za stosowne przypominać mu o tamtych dniach, kiedy on także ledwo mógł oddychać w dławiącym uścisku żaloby.

– Dostyc już, córko.

Minęło dwanaście dni od morderstwa i kiedy odwiedza Lu-crezię, każe jej kobietom pójść do komnaty piętro wyżej i zamknąć za sobą drzwi.

– Chcę, żeby to się skończyło. Teraz możesz już sobie tylko zaszkodzić. Kto ma się opiekować twoim synem?

– Mój syn został bez ojca – odpowiada Lucrezia martwym głosem.

Aleksander wzdycha. Prawda jest taka, że traci serce do tej załamanej młodej kobiety z oczyma albo zimnymi, albo pełnymi łez. Musiała przestać jeść, bo jej twarz jest wynędzniała, a cera plamista i nieświeża. Jego śliczna, czarująca córka na jego oczach zmienia się w udręczoną wdowę. Co gorsza, ta śmierć powoduje rozłam w rodzinie. Nie można pozwolić, by to trwało. Nie teraz, kiedy są tak blisko tak spektakularnego sukcesu.

– Rozkazuję ci skończyć z tą obłąkaną żalobą, Lucrezio. Jeśli nie... jeśli nie, odeślę cię gdzieś. Takie szaleństwo szkodzi nam wszystkim.

– Jak mogę skończyć z żalobą? Obowiązkiem żony jest opłakiwać męża.

– A obowiązkiem córki słuchać ojca! – odpowiada, podnosząc głos, dokładnie tak jak obiecał sobie nie robić. – Nie będę tego znosił. Słyszysz?

Lucrezia wpatruje się w niego. Po idealnie odmierzonej pauzie jej oczy wypełniają się łzami i zawodzenie zaczyna się na nowo.

– Aaaach. – Aleksander wychodzi, sfrustrowany.

Lucrezia, choć prawdopodobnie zaprzeczyłaby, gdyby jej to zasugerować, odkrywa nieposłuszeństwo. Ona, której wpojono od dziecka, że ma czcić rodzinę i robić wszystko, co jej każą. Ona, która wprost poprosiła w życiu tylko o dwie rzeczy: by oszczędzono dwóch mężczyzn, do których żywiła uczucie – i obu zamordowano. Ona, która tak długo była dobrą dziewczynką, nie jest już dobra. I chociaż bunt nie zwróci jej męża, podtrzymuje krążenie krwi w jej żyłach.

Kilka dni po tamtym spotkaniu prosi o posłuchanie u ojca.

– Proszę cię o pozwolenie na wyjazd z Rzymu, ojciec – mówi, z chwilowo suchymi oczyma.

– Wyjazd? Dokąd?

– Do mojego zamku w Nepi.

– Wolałbym, żebyś została tutaj. Ludzie pomyślą, że...

– Dobrze. – Lucrezia zaczyna płakać.

– Ee... czekaj. Dlaczego Nepi?
– Bo to niedaleko. Ale już inne miejsce – odpowiada cichym, lecz pełnym determinacji głosem. – Myślę, że w Nepi mogłabym przestać płakać.
– Bogu niech będą dzięki. – Aleksander obraca na palcu pierścień rybaka. Ostatnimi czasy zaczął wrzynać się w ciało. – To było trudne lato dla nas wszystkich. Masz moją zgodę. Kiedy wyjedziesz?
– Jutro. I jeśli pozwolisz, zabiorę ze sobą Sancię.
Wieść o jej wyjeździe natychmiast wznieca pogłoski.
– *Donna Lucrezia* była zawsze w łaskach Ojca Świętego – mówi wenecki ambasador. To niepoprawny plotkarz, lecz ostatnio cieszy się atencją papieża, gdyż Aleksander potrzebuje przychylności Wenecji dla powodzenia kampanii Cesarego. – Teraz jednak wygląda na to, że nie darzy jej już taką miłością.
A może jest odwrotnie.

Rozdział 56



Krzepkie małe miasteczko Nepi: starsze nawet niż Rzym i w cichości dumne z siebie. Przez dekady należało do Borgiów, zanim Aleksander podarował je Ascaniowi Sforzy w nagrodę za poparcie podczas konklawe w 1492 roku. Kiedy jednak francuska armia podeszła pod Mediolan i kardynał uciekł z Rzymu, papież wywłaszczył go i przekazał Nepi swojej ukochanej córce.

Odwiedziła je tylko raz, rok wcześniej, kiedy przyjechała po klucze do miasta. Była brzemienna – już po tym, jak wiejska babka ujrzała chłopca pływającego w jej łonie – i był z nią Alfonso. Zostali w zamku kilka dni i był to pobyt pełen słońca. Lucrezia pamięta wodospad na wysokiej skale, szumiący jednocześnie kojąco i figlarnie, i ładny pałac wewnątrz starych obwarowań, o komnatach pachnących rozmarynem, lawendą i goździkami; woreczki z ziołami wisiały poprzyszywane z tyłu gobelinów, przez lata w kółko rozwijanych i zwijanych, by uchronić je przed molami, które z czasem stały się liczniejsze od gości.

Przybywają ostatniego dnia sierpnia, już po najgorszych letnich upałach. Komnatę, w której wtedy spali, Lucrezia pozostawia zamkniętą, ale otwiera do codziennego użytku inne. Po dwóch dniach w siodle jest zbyt zmęczona, by płakać. Pierwszej nocy śpi tak mocno, że gdy się budzi, w poświęconej sączącej się zza nieznanych okiennic, przez chwilę nie wie, gdzie się znajduje. I wtedy na powrót spada na nią żal, ćmiąc powietrze i przygniatając jej pierś jak inkub, tak że nie może oddychać.

Jak mam żyć bez ciebie?, myśli. To zbyt bolesne.

W ciągu tygodni, które upłynęły od zamachu, utrzymywała ją na nogach jakaś zawrotna dramatyczna energia, lecz teraz, leżąc tutaj, nie ma już powodu, by dłużej walczyć. Jej mąż został zamordowany, jej brat ma krew na rękach, a jej ojca to nie obchodzi. Nawet jeśli zdoła przestać płakać, jaka przyszłość czeka tak pokaleczoną kobietę? Nie dam rady. Wolałabym nie żyć.

Obwodzi wzrokiem świetlisty prostokąt słońca przy okiennicy. Jak by to było – pozostawić za sobą ciemność i otworzyć duszę na silniejsze światło po drugiej stronie? Zostanę tu i umrę. Tu, w tym zamku, w tym pokoju, w tym łóżku. Ta myśl sprawia, że serce bije jej szybciej. Bóg na pewno zrozumie. Weźmie mnie do siebie i złączy na powrót z Alfonsem.

Leży nieruchomo, zamyka oczy i czeka.

Nie żeby brakowało jej woli; i mniej silne od niej kobiety umierały z żalu. Nie, chodzi po prostu o to, że najpierw trzeba zrobić tyle rzeczy. Nawet teraz, gdy tak leży, szukając właściwych słów modlitwy, jej skupienie przerywają tupanie, stukanie i szepty za drzwiami.

– Upraszamy przebaczenia, księżno... – Jej pokojowe, którym pozwoliła wejść, trzepoczą się i swiergolą. – ...ale zdaje się, że kufer z żałobnymi sukniami został w Rzymie. Możemy po niego posłać, ale upłynie kilka dni, zanim tu dotrze, a do tego czasu nie wiemy...

Ta historia roznosi się echem po całej twierdzy. Przesiedlenie dwóch księżniczek i dziesięciomiesięcznego niemowlęcia to niemałe przedsięwzięcie, a że wyjeżdżały z Rzymu w takim okropnym pośpiechu – z dobrą setką skrzyń pakowanych i ładowanych na wozy, zanim ktokolwiek zdążył zrobić porządny wykaz ich zawartości – oczywiście wiele rzeczy zostało zapomnianych. Medykamenty, ubrania, rozmaite zapasy... Choćby ból rozszarpał jej

wnętrznosci, jest głową wielkiego domostwa i nie może uchylać się od odpowiedzialności.

A zatem jutro, myśli. Zrobię dzisiaj, co musi być zrobione, a umieraniem zajmę się jutro. Albo pojutrze.

Sancii wcale nie jest źle. Broniła życia brata z takim żarem i furją, że wyczerpanie spadło na nią z jeszcze większą siłą i dostała jakiejś gorączki. Gdy Lucrezia przychodzi do niej, siedzi w łóżku, wsparta na poduszkach, ze smolistymi włosami w strąkach od potu i tymi jasnoniebieskimi oczyma lśnącymi jak mokre kamienie na tle bladej twarzy. Sancia, zawsze taka gotowa do walki, teraz potrzebuje kogoś, kto zawalczy o nią.

– Jeśli umrę, chcę być pochowana przy nim. Zrobisz to dla mnie, prawda? Ciebie posłuchają. – Chwyta bratową za rękę i ściska ją mocno. Tyle namiętności, nawet w chorobie.

– Sancio, nie umrzesz.

– Dlaczego nie? Nie mam już nikogo na świecie, kto by się o mnie troszczył.

– To nieprawda. Masz Jofrégo. – Lucrezia waha się. Może będzie musiała odłożyć własną śmierć jeszcze o jakiś krótki czas. – I masz mnie.

– Jofré! – Sancia wzrusza ramionami. – Daję słowo, że Bóg nie dał mi dzieci, bo wiedział, że jedno mam już za męża. A ty... o, ciebie niedługo już tutaj nie będzie.

– Co masz na myśli? – Czyżby tęsknotę do Boga można było wyczytać w jej oczach?

– Jesteś zbyt cenna. Niedługo wrócisz do Rzymu i znów wyjdiesz za męża.

– Nie! – Tym razem to Lucrezia okazuje gwałtowność. – Nie, nie wyjdę!

– Nie, nie wyjdę. – Powtarza to jeszcze raz nocą, tuląc się do zagłówek i wyobrażając sobie, że to ciało Alfonsa. – Nigdy nie będę miała innego męża.

I jest jeszcze Rodrigo. Jak może uczynić z niego sierotę? Przecież potrzebuje jej teraz bardziej niż dotąd, biedne, nieszczęsne dzieciątko. Chociaż tego nie wie. Mimo że potrafi płakać tak samo głośno jak każde inne dziecko, ma z natury słoneczne usposobienie, jak jego ojciec, i bardziej jest sobą, gdy się śmieje, niż gdy się złości czy smuci. Jest też na tym etapie dziecięcego rozwoju, kiedy co drugi dzień przynosi jakieś nowe osiągnięcie. Z jego ust wylewają się najrozmaitsze dźwięki: *baba* i *czuur*, i *rrrrll*, jakby w każdej chwili miał przemówić jakimś całkiem nowym językiem. Jedną z hiszpańskich nianiek z lubością wymienia z nim gardłowe gruchanie, próbując nauczyć go wymawiać słowo *Bohrzia*, z jego chrapliwym pogłosem, ale malca pochłania bardziej eksperymentowanie niż nauka.

Niemniej jednak jakieś słowa się formują. „Mamamama”, mówi teraz, wyciągając rączki, gdy Lucrezia do niego podchodzi. W Rzymie, przed śmiercią Alfonsa, była zawsze tak zajęta, że chętniej unosił ramiona na widok mamki. Tutaj jednak, teraz, jest czas na zabawę. Wczesnym wieczorem, gdy żelżeje upał, Lucrezia wychodzi do ogrodu i razem z nim rozkłada się na pledzie pod drzewem laurowym.

Rodrigo jest dużym dzieckiem, a jego spokojny charakter nie dawał mu dotąd bodźca do specjalnej ruchliwości; może też po prostu jest rozpieszczony – w ciągu tygodni po śmierci ojca wystarczyło, że lekko zakaprysił, a dostawał wszystko, czego potrzebował. Teraz jednak, siedząc na kocu i mając wszędzie dokoła ptaki i owady przykuwające jego uwagę, czuje impuls do ruchu, tak że nagle Lucrezia ze śmiechem radości spostrzega, że podniósł się na jednym tłustym kolanku i zaczyna z mozołem pełznąć po trawie.

– Patrzcie! Patrzcie! Raczkuje!

Wszystkie damy śmieją się i klaszczą w dłonie, jakby był to największy z Bożych cudów, aż Rodrigo znieacka siada z powrotem na tyłeczku i szczerzy do nich cztery zębki, lśniące w buzi jak perełki. Widział kto takie mądre, kochane dziećko? Nawet Sancia, która dzięki dostatecznej ilości snu i dobrej opiece wyzdrowiała na tyle, by do nich dołączyć, czuje ciepło na ten widok. W złotawym blasku ta kruczowłosa piękność wygląda jeszcze cudniej, jakby żaloba

napełniła ją jakimś nowym światłem. Lucrezia, która gotując się na śmierć, odwróciła swoje zwierciadło do ściany, zaczyna się zastanawiać, czy coś podobnego stało się także z jej twarzą. Ma teraz czas na takie myśli. Dni późnego lata są długie, a gdy opadła pierwsza gorączka urządzania domostwa, zapanował w nim niespieszny, łagodny rytm. Obie kobiety śpią po południu, a potem pod koniec dnia przesiadują w ogrodzie albo znajdują sobie miejsce koło wodospadu u krańca twierdzy, rwącego po skale w otwierającą się niżej przepaść, i słuchają jego muzyki, do której o zmierzchu dołącza chór szpaków. Czasem, gdy zapada ciemność, przynoszą sobie lampkę z olejkiem cytronelowym, żeby napełniała miłą wonią nocne powietrze i odstraszała komary. A dlaczego nie? Nie ma żadnych gości, których należałoby zabawiać, żadnych pozorów, które trzeba utrzymywać. Chociaż raz Lucrezia i Sancia są paniami swojego życia i wbrew sobie zaczynają czerpać z niego małe przyjemności.

Damy dworu mówią między sobą: „Dobremu Bogu niech będą dzięki za dziecko. Ono uratuje księżnej życie”. Po chwili jednak jedna czy druga wypowiada na głos myśl, której inne nie potrafią znieść: „A co będzie przy następnym mężu? Kimkolwiek by był, nie zechce wziąć pod opiekę dziecka innego mężczyzny”.

W miarę jak słabnie ciążenie ku śmierci, także Lucrezia musi zacząć myśleć o swojej przyszłości. Co oznacza również myślenie o przeszłości. Będąc od urodzenia nitką w kobiercu tkanym ciasno przez swoją wielką rodzinę, nie miała nigdy przestrzeni – lub może odwagi – by spojrzeć na nią z zewnątrz. Jeśli jednak ma przetrwać, musi uczynić to teraz. Nawet w zaciszu Nepi manipulacje Borgiowskiej potęgi są oczywiste. Ten zamek, wszystkie jej pozostałe posiadłości i miasteczka, wszystko, co do niej należy, zostało wyszarpięte komuś innemu. Krążą na ten temat plotki, choć nie zawsze ich słucha, jak choćby historia Giacomina Gaetaniego, który zmarł nagle w paroksyzmach bólu w lochach Zamku Świętego Anioła, zaledwie parę miesięcy po tym, jak „zrzekł się” swoich ziem, ponieważ okazało się, że nosi niedobre nazwisko. Ile ciał wyciągnięto przez te lata z Tybru, z wodorostami we włosach i rękami związanymi na plecach? Kiedy była młodsza albo zajęta miłością, łatwiej było nie zastanawiać się nad takimi rzeczami, ale musiałyby być ślepa, głucha i głupia, by nie zauważyć, jak wiele z tych ciał należało do ich wrogów.

I jeszcze przyjaciele, którzy przestali być przyjaciółmi. Juan Cervillion, neapolitański kapitan, który negocjował powrót Alfonsa do Rzymu i trzymał małego Rodriga do chrztu, został zamordowany w jakimś zaułku, gdy tylko opuścił Watykan, aby wrócić do rodziny w Neapolu. Lucrezia, wciąż tkliwa od cudu narodzin, płakała godzinami, gdy jej o tym doniesiono.

– Ach, Rzym! Jego ulice pełne są mężczyzn, którzy wolą użyć miecza zamiast języka – powiedział górnolotnie jej ojciec, gdy zapytała.

Lucrezia jednak wie, że to nieprawda. W Rzymie język i miecz to jedno. Pamięta gościa w pałacu Sforzy, którego nieopatrznie rzucona obelga pod adresem Juana doprowadziła do egzekucji w trybie doraźnym. I nie chodzi tylko o obelgi. Nie ma bezpieczeństwa i w miłości. Co takiego zrobił Pedro Calderón poza tym, że darzył ją uczuciem? A Alfonso... Nawet w domu jej ojca nie był bezpieczny. Rzym. Gdy teraz o nim myśli, wstrząsa nią dreszcz: te przesiąknięte intrygami korytarze między Santa Maria in Portico a Watykanem, ta fałszywa serdeczność dworzan i dyplomatów, te szyderstwa kryjące się za uśmiechami. To wszystko, czemu nie ufa i czego się boi. Kiedy wróci, zaroją się przy niej jak drapieżniki na żerowisku. Już czuje woń perfum i potu bijącą z szat ojca, słyszy zaskoczone śmieszki za zamkniętymi drzwiami.

Nie wrócę, myśli. Zostanę i urządzę sobie życie tutaj, jako wdowa wychowująca syna.

Ale na to oczywiście nigdy jej nie pozwolą. Jeśli zatem nie śmierć ani małżeństwo, jedynym wyjściem jest klasztor.

„Najnieszczęśliwsza z księżnych”, podpisuje się w listach do ojca. Do Cesarego nie pisze

wcale. Pierwszy raz w życiu nie ma z nim żadnego kontaktu.

Pod koniec października książę Valentino prowadzi już swoją wyprawę wojenną. Kierując się na północ, w stronę Nepi, ma ze sobą wojsko, chociaż tym razem roztropnie pozostawił większość armii rozłożoną obozem gdzie indziej.

Jeśli sumienie dawało się Cesaremu we znaki, nie miał czasu, by go słuchać. Alfonso jeszcze żył i lizał rany, kiedy Cesare wyjechał *incognito* z Rzymu, by spotkać się z francuskim ambasadorem i mgliste obietnice przekuć w twarde liczby. Król Ludwik miał dać mu na potrzeby nowej kampanii trzystu lansjerów i dwa tysiące kawalerii. Cesare odświeżył kontakty z kondotierami i ulice Rzymu oglądały nagły napływ Hiszpanów, krzepkich, muskularnych mężczyzn, którzy dowiedzieli się, że można zarobić co nieco za odcisk palca na kontrakcie.

Ich lojalność i waleczność były niezaprzeczone. Potrzebował jedynie środków, by im zapłacić. We wrześniu szczęście uśmiechnęło się do dwunastu kandydatów do Świętego Kolegium Kardynałów. Dwunastu! I jakkolwiek nie byli niegodni – Cesare miał za duże doświadczenie w sprawach Kościoła, by postąpić tak ordynarnie – aż nadto ochoczo zapłacili za wstęp do tak ekskluzywnej resursy. Wieczorem po elekcji jedli razem kolację w jego apartamentach (papież był zajęty gdzie indziej) i było to wielkie, huczne przyjęcie. Ich gospodarz stał się o sto dwadzieścia tysięcy dukatów bogatszy, co według jego zarządców – łącznie z jego dawnym nauczycielem, teraz jednym z nowo mianowanych kardynałów – miało wystarczyć na utrzymanie armii w marszu przez cztery lub pięć miesięcy. Wojowanie, jak ujął to zwięźle d'Aligre, jest takie kosztowne.

Gdy armia wyruszała z Rzymu, Cesare miał już za sobą jeden podbój. Cesena, świetnie prosperujące miasteczko niedaleko Faenzy i Forlì, sama oddała się w jego ręce. Był to objaw mądrości płynącej z pragmatyzmu: Wenecja, uzyskawszy obietnicę pomocy w walce z Turkami, wycofała wsparcie dla większych miast Romanii, a papież ekskomunikował ich przywódców. Obywatele Ceseny wiedzieli, że lepiej poddać się wcześniej pokojowo niż później pod przemocą.

Lucrezia z zaledwie kilkudniowym wyprzedzeniem dowiaduje się o przyjeździe brata. Nie ma jak odmówić mu gościny. Jej damy, jakkolwiek pilnują wyrazu twarzy, są podekscytowane. Osiem tygodni na wsi upłynęło całkiem przyjemnie i cudownie jest widzieć, że ich pani znów się śmieje, ale to dworskie zwierzątka, stworzone do strojenia się i flirtowania, a minęło sporo czasu, odkąd miały okazję cieszyć się i jednym, i drugim.

Cesare przyprowadza ze sobą kilku co weselszych kapitanów (nie ma wśród nich Michelotta). Młodzi mężczyźni w kapeluszach z piórami i w aksamitnych kasakach na połyskującej stali wjeżdżają do zamku, wywołując trzepot serc. Jadą na wojnę i nie ma dla nich miłszego wspomnienia w tym przedsięwzięciu niż podziw pięknych kobiet.

Nawet Sancia, która przysięgła, że jej noga nigdy nie postanie w tym samym pokoju, w którym znajdują się mordercy jej brata, ustępuje. Przy obiedzie siedzi między dwoma hiszpańskimi kapitanami, niestrudzenie rywalizującymi o jej uwagę. Jej rozgłos, piękność i odnowiony blask zbierają bezlitosne żniwo i zwracając się to do jednego, to do drugiego adoratora, Sancia zaczyna przypominać sobie, jak to jest, kiedy nie tonie się we łzach. Czy ktoś może ją za to potępić?

Cesare i Lucrezia natomiast są jak dwoje obcych sobie ludzi. Na powitanie obejmują się uprzejmie i Cesare czuje, jak naprężone, niepodatne jest jej ciało. Zadbła o to, by siedzieli przy stole daleko od siebie i choć Cesare często na nią spogląda, ona nie odwzajemnia jego spojrzeń, mimo że oczywiście jest ich świadoma. Trudno nie być świadomym Cesarego Borgii. Odziany w czerń (jest to raczej wyraz stylu aniżeli żałoby), jednocześnie emanuje energią i ją przyciąga, jak żelazo obok magnetytu. Wygląda kwitnąco, żadnych purpurowych plam ani oznak bólu w pachwinach. Niezwyciężoność jest jego naturalnym stanem do tego stopnia, że gdy choroba

jest w stadium uśpienia, sam – podobnie jak wszyscy inni – nie potrafi wyobrazić sobie jej gehenny. Niemniej jednak kiedy uczestnicy przyjęcia rozchodzą się do swoich komnat i zostawiają tych dwoje sam na sam, to Cesare odczuwa większy dyskomfort.

– Dobrze wyglądasz, Lucrezio – mówi. Nie zamierzał zaczynać od kłamstwa, ale jej opanowanie wytrąca go z równowagi: nie ma już jego kochającej siostrzyczki, która ongiś biegła w jego ramiona, z oczyma błyszczącymi podziwem. Na jej miejscu siedzi spokojna, lecz odległa kobieta i wydaje się, jakby jednocześnie stała za sobą, pilnując swojego zachowania.

– Dziękuję – odpowiada równym głosem. – Jestem już... bardziej wyciszona.

– Rzeczywiście. Niezmiernie tu cicho. – Cesare patrzy w kierunku okna. – Przywykłem bardziej do przebywania za murami twierdzy, z hukiem armat w uszach.

– A gdybyś był za murami tej twierdzy – odzywa się Lucrezia, bo wygląda na to, że o czymś muszą rozmawiać – ile zajęłoby ci ich zburzenie?

– Trzy... cztery dni. Może więcej. – Bo oczywiście myślał o tym. – Da Sangallo dobrze się spisał przy przebudowie, ale to było dwadzieścia lat temu. Nasze nowe działa mają lepszą nośność, a północne lico jest słabo umocnione.

– A jeśli jesteś w środku? Jak to jest pod oblężeniem?

– Mówią, że to jak niekończąca się burza, podczas której zamiast deszczu z nieba spada śmierć. Że nie słyszy się własnych słów. Ani myśli. Że doprowadza to ludzi do szaleństwa. – Cesare wzrusza ramionami. – Prawie tak jak twój płacz – dodaje lekko.

Lucrezia się nie uśmiecha.

– Cóż... – Cesare powtórnie wzrusza ramionami. – Przypuszczalnie bombardowanie jest jednak gorsze.

Gdzieś w ogrodzie rozlega się perlisty śmiech. Bez wątpienia któraś z jej dam demonstruje któremuś z kapitanów uroki księżycy w sielskiej scenerii. Muzyka zalotów. Taka bez troska. Ja już nigdy jej nie poczuję, myśli Lucrezia. I bierze się w garść. Użalenie się nad sobą nie doprowadzi jej donikąd. Ponownie zapada między nimi cisza. Powinna zapytać o ojca – czy zdrowy, czy szczęśliwy. Ponoć Giulia Farnese wróciła do Rzymu, także jako wdowa, bo jej męża przygniótł zarwany dach w ich wiejskim domu. Jak bardzo płakała?, zastanawia się Lucrezia.

– Widzę, że nie dostałem jeszcze przebaczenia.

Lucrezia marszczy brwi, jakby pytanie nie miało sensu.

– Przebaczenie należy raczej do Boga niż do mnie.

– Nie obchodzi mnie Bóg – odpowiada natychmiast Cesare. – Tylko ty.

– Nie wolno ci mówić takich rzeczy, Cesare. To się nie godzi.

– Nic na to nie poradzę. Nic nie poradzę. To właśnie czuję. Może i chciałbym, żeby było inaczej, ale równie dobrze mógłbym prosić słońce, żeby nie wschodziło. – On, który przez całe życie czuje jedno, a okazuje drugie, jest nagle otwarcie gniewny. – Myślisz, że nie rozumiem, co ci zrobiłem? Myślisz, że nie wiem? Ha! Widziałem was razem. Wiem, jak bardzo cię uszczęśliwił. Nie było jednak innego sposobu. Słyszysz? Nie było. Innego. Sposobu. Zaszliśmy za daleko, by móc zawrócić. Nasza przyszłość to północ. Los Neapolu jest przesądzony. Musimy znaleźć sojuszników gdzie indziej albo zostaniemy zmiażdżeni razem z nim. Twoje małżeństwo nie mogło trwać. A rozwód był niemożliwy. Nie było innego sposobu. – Przerzywa, jakby dopiero zdał sobie sprawę, jak blisko był utraty kontroli.

– Nie wierzę w to – mówi Lucrezia cicho, bo patrząc chłodnym okiem, dostrzegła wiele rzeczy, których być może nie chciała widzieć wcześniej. – Co z Jofrém? On też należy do Borgiów. Jego związek z Sancią nie jest szczęśliwy i po tylu latach nie doczekali się dzieci. Dlaczego ojciec nie rozwiązał ich małżeństwa i nie użył Jofrégo jako narzędzia przymierza?

– Dlatego, że to trwałoby za długo, i dlatego, że Jofré jest nieudolnym głupcem i nikt

ważny by go nie zechciał.

Mówisz zupełnie jak ojciec, myśli Lucrezia.

– Za to miałby zechcieć mnie? Mnie, nieślubną córkę papieża, jak kraj długi i szeroki znaną jako ładacznicą, a teraz jeszcze jako wdowa po człowieku zaszlachtowanym przez jej własnego brata? – Uważaj, Lucrezio, myśli. Uważaj. Nie płacz. Jeśli się teraz rozplączesz, wszystko będzie stracone.

– O to nie musisz się martwić. Wierzaj mi, siostró, nie ma w Italii mężczyzny, który nie chciałby być twoim mężem.

– A jeśli ja nie chcę być niczyją żoną? – odpowiada oziębło. – A jeśli będę wolą poślubić Boga?

Cesare uśmiecha się.

– Oboje wiemy, że nie jesteś stworzona do klasztoru.

– Skąd możesz to wiedzieć? – odpowiada, ku własnemu przerażeniu, drżącym głosem. – Skąd możesz wiedzieć cokolwiek o mnie, Cesare? Mówisz, że mnie kochasz, ale nie masz pojęcia, kim jestem i czego chcę. Dla ciebie w ostatecznym rozrachunku jestem tylko figurą na szachownicy, którą możesz przesuwać tam, gdzie akurat wiedzie cię ambicja.

– To nieprawda. Jesteś moją siostrą, a to nie gra, tylko nasza przyszłość.

Lucrezia ze smutkiem kręci głową.

– Jak długo przetrwałabyś z Alfonsem w razie śmierci ojca? – naciska nadal Cesare. – Francuzi przeżuliby i wypluli Neapol, i was dwoje razem z nim. I mylisz się, mówiąc, że cię nie znam. Znam cię bardzo dobrze. Może lepiej niż ty sama siebie. Wiem, że masz dobrą duszyczkę i znajdujesz pociechę w Bogu, ale wiem też, że za bardzo jesteś głodna życia, żeby to ci wystarczyło. Jesteś za mądra, by cię wrzucać w kolejny... mało znaczący związek. Wiem, jak bardzo pragnęłabyś zbudować wokół siebie własny dwór pełen poetów i muzyków. Powiadam ci jednak, że dopóki ojciec będzie trzymał cię przy sobie w Rzymie, to się nigdy nie zdarzy. Bo w Rzymie rzeczywiście będziesz zawsze pionkiem na szachownicy. Za kogokolwiek wyjdiesz, jeśli twój mąż nie będzie wystarczająco potężny, by cię stamtąd zabrać, zawsze będziesz najpierw Borgią, a dopiero potem czyjąś żoną.

Lucrezia siedzi bez ruchu, ze spojrzeniem utkwionym we własnych dłoniach splecionych na podolku. Wszystko, co mówi Cesare, jest prawdą. Wiedziała o tym, nawet gdy nie mogła znieść myśli o takich rzeczach.

– Nie. Abyś otrzymała to, czego chcesz... na co zasługujesz, następne małżeństwo musi być związkiem innego rodzaju: z prawowitym władcą, dysponującym realną siłą, z rodziny o na tyle mocnych korzeniach, by mogła oprzeć się huraganom historii. To jedyna droga naprzód. I da ci więcej życia niż pogrzebanie się w klasztornej celi. Powiedz mi więc teraz, że nie znam swojej ukochanej siostry i nie leży mi na sercu jej dobro.

Lucrezia zamyka oczy. Zimne ciało Alfonsa złożono w grobie zaledwie sześć tygodni temu, a jednak jeśli ma mieć cokolwiek do powiedzenia w przyszłości, musi zostawić go za sobą i zrobić krok naprzód.

– Przyjechałeś przedstawić mi ofertę – mówi cicho. – Dobrze, bracie. Słucham.

Cesare wpatruje się w nią przez chwilę. Być może ma nadzieję na coś więcej: jakiś rodzaj pojednania, sygnał przebaczenia. Niczego takiego się nie doczeka. Wygląda na to, że niezależnie od swojej słodyczy Lucrezia jest Borgią bardziej, niżby chciała.

– Z końcem zimy będę miał w swojej mocy wszystkie główne miasta Romanii. A po tym, jak pomogę Francji zdobyć Neapol, król Ludwik będzie patrzył przychylnie na dalszą ekspansję. Perugia, Bolonia, może nawet Florencja. Wszystkie są osłabione i łatwe do pokonania. Przy sprzyjających wiatrach w ciągu dwóch lat będziemy mieć w środku Italii państwo Borgiów

gotowe iść w szranki niemal ze wszystkimi dookoła.

– A Wenecja? – pyta Lucrezia, bo nawet w żałobie pamięta, że jej pierwszy mąż zawsze oglądał się na północ. – Wenecja na pewno będzie próbowała cię powstrzymać.

– Oczywiście, że będzie próbowała. I dlatego właśnie potrzebujemy sojusznika, który stanie się buforem między nią a naszymi terytoriami. Państwa z własną historią i autonomią, które będzie stało pewnie pomiędzy nami, nie ulegając wpływowi. Potrzebujemy Ferrary.

– Ferrary? – Głos Lucrezii odzwierciedla jej zdumienie. – Chcesz mnie wydać za mąż w Ferrarze?!

– A dlaczego nie? Książę Ercole d'Este jest starym człowiekiem, a jego następca, Alfonso, wdowcem bez dzieci z prawego łoża. Potrzebuje żony, która da rodzinie Este synów. Żony, która zostanie księżną państwa i stanie na czele wielkiego dworu i jeszcze większego miasta.

– Ferrara – powtarza Lucrezia i śmieje się, choć trudno powiedzieć, czy z podniecenia czy z niedowierzania. – Nigdy ci się to nie uda. D'Este to jeden z najstarszych rodów w Italii. Mogą mieć, kogo tylko zechcą. Nigdy nie wezmą mnie.

– Owszem, wezmą, Lucrezio. To ci obiecuję.



CZEŚĆ X

Pożegnanie z rodziną

W rozmowie z Jego Wysokością wyrażaj się jasno: nigdy nie przystaniemy na wydanie *madonny* Lucrezii za don Alfonsa, ani też don Alfonso nigdy nie zostanie nakłoniony do tego, by ją pojąć za żonę.

książę Ercole d'Este w liście do ambasadora Ferrary na dworze Ludwika XII, luty 1501



Rozdział 57



Wielkimi krokami nadchodzi zima, a dwór w Nepi pakuje się w swoje sto skrzyń i kieruje z powrotem do Rzymu. Papież wybaczył córce i znów jest w niej bez reszty rozkochany. Jest także zajęty pertraktacjami z pretendentami do jej ręki. Witał już w progach pałacu kuzyna króla Francji oraz księcia z rodu Orsinich i hiszpańskiego hrabiego. Cesare miał rację: jakkolwiek osławiona, Lucrezia Borgia, mając za sobą potęgę papieżstwa i zbrojne ramię brata, nadal jest atrakcyjną partią na rynku matrymonialnym.

Aleksander nie pokłada rzeczywistego zainteresowania w żadnym z zalotników, lecz im więcej ubiegających się i odprawionych z kwitkiem, tym bardziej prawdopodobne, że księżę Ercole d'Este uświadomi sobie, jak bardzo pożądana jest córka papieża. W takich sprawach papież gra jak polityczny weteran, którym jest: z całym czarem wobec tych, których trzeba oczarować, i z chłodną bezwzględnością, gdy już nie są potrzebni. W listopadzie, kiedy Hiszpanie i Francuzi podpisują „tajny” traktat dzielący skórę na neapolitańskim niedźwiedziu, papież artykułuje swoje życzenia przed francuskim ambasadorem.

Odpowiedź jest idealna: „Jestem pewien, że król Ludwik z niewymowną radością udzieli wszelkiego wsparcia, jakiego zdoła”.

Gdy do księcia Ercolego w Ferrarze docierają pierwsze aluzje, nie zadaje on sobie trudu, by ukryć politowanie. Rodzina d'Este władała Ferrarą, gdy Borgiowie jeszcze orali ziemię w Walencji, a od tamtego czasu hiszpańscy intruzi nie dokonali niczego, co czyniłoby ich godnymi czegokolwiek innego niż pogarda. To dyplomaci Ercolego odgrzebali plotkę o dziecku, które miała urodzić Lucrezia po dziewięciu miesiącach w klasztorze, a którego ojcem mógł być nawet sam papież! Nie, taka oferta to obraza: wybrakowany towar z rodziny parweniuszy. Ercole cedzi dyplomatyczne wymówki, jednocześnie w tajemnicy śląc do króla Francji listy, w których błaga o znalezienie jego synowi innej, bardziej odpowiedniej oblubienicy, tak by oszczędzić rodzinie zakłopotania bezpośredniej odmowy.

Sam Ludwik, dla którego ostatnio naturalnym wyrazem twarzy stała się dwulicowość, jest rozdarty. W zasadzie sprawiłoby mu przyjemność wbicie szpili rodzinie d'Este – zapłaciłby im za popieranie Ludovica Sforzy w Mediolanie – i wie, że bez błogosławieństwa papieża nigdy nie zdobędzie korony Neapolu. Nie po to jednakże doprowadza do upadku Aragończyków i Sforzów, by zastąpić ich Borgiami. Mówi obydwu stronom to, co chcą słyszeć, i czeka, jak wiatr zawieje.

Powrót Lucrezii do domu nie był łatwy. Po odwiedzinach Cesarego cisza Nepi nie była już balsamem dla duszy, a gdy pogoda zaczęła robić się coraz bardziej nieprzyjazna, powrót stał się nieunikniony. Gdy jednak przyjechała już do swego rzymskiego pałacu, nie znalazła tam niczego, co osłoniłoby ją przed bólem wspomnień, a lista bezbarwnych zalotników przyprawia ją o mdłości. Jakkolwiek Aleksander wyrozumiale przyjmuje jej stanowcze odmowy (bijąca z nich niechęć doskonale odzwierciedla jego własną), jest jasne, że nawet gdyby potrafiła wyobrazić sobie swoją przyszłość w klasztorze – a cele San -Sisto są zimne i nieprzytulne nawet w upał – ojciec nigdy, przenigdy tego nie zaaprobuje. Jeszcze raz okazuje się, że Cesare miał słuszość. Jedynym wyjściem jest małżeństwo.

– Nie do twarzy ci w czerni – mówi papież, kiedy miasto wkracza w karnawał. – Może

dodałabyś do tych kirów trochę złota lub zieleni?

– Jestem nadal w żałobie, ojczu.

Po powrocie do domu zastała dwór pełen nowych tkanin i fasonów. Sancia zaczęła nosić srebrzystą woalkę, dramatycznie podkreślającą jej koloryt. „Nie wydaje mi się, żeby Alfonso miał coś przeciwko temu”, mówi obronnie, nie czekając na pytanie Lucrezii. „Kochał piękne stroje i uwielbiał dobrze ubrane kobiety. Możemy o nim pamiętać, nie wyglądając jak zakonnice”.

Lucrezia zastanawia się, jak taki stroik wyglądałby na jej włosach. Czy to takie straszne, że o tym myśli? Nic, co może zrobić, nie przywróci jej męża do życia, a dla młodej, dziewiętnastoletniej kobiety sześć miesięcy to długi okres jak na pogrzebanie się w przeszłości, jakkolwiek dotkliwy byłby jej ból.

– Sześć miesięcy. – Ojciec zdaje się czytać w jej myślach. – To już wystarczająco długo. Jesteś piękną kobietą, a kiedy zjawią się ambasadorzy Ferrary, byłoby dobrze, żebyś spotkała się z nimi w pełnej krasie.

– Ambasadorzy? Kiedy? – pyta, gdyż choć sama jeszcze tego nie wie, idea Ferrary, z jej poetami i muzyką, i pełnym blasku dworem, już w niej kiełkuje.

– Kiedy? O, wtedy, kiedy książę będzie miał szansę o tym pomyśleć. Nie chcę wcale, żeby stało się to zbyt prędko, bo wtedy ode mnie odjedziesz i jakże ja to zniosę?

Lucrezia przypomina sobie słowa Cesarego i zderzają się ze sobą dwa jej najgorsze lęki: że będzie musiała poniechać swojej miłości do Alfonsa i że w głębi duszy jej ojciec będzie wołał mariaż, który na zawsze zatrzyma ją w Rzymie.

– Wiem, jak ważny dla rodziny jest ten związek, ojczu – mówi z mocą. – I zrobię, co tylko będę mogła, by do niego doprowadzić.

– A! Co za radość mieć moją Lucrezię z powrotem! Syn Ercolego będzie najszczęśliwszym człowiekiem w Italii. Wiesz, że już go poznałaś, prawda? Wiele lat temu, kiedy przyjechał do Rzymu prosić o kapelusz kardynalski dla swego brata.

– Ja? Zupełnie go nie pamiętam.

– Hmm, byłaś bardzo młoda. Jestem jednak pewien, że teraz ci się spodoba. Wszyscy mówią, że to... krzepki mężczyzna.

Lucrezia uśmiecha się chwacko, ale nie myśli o mężczyźnie – na to sobie nie pozwala – tylko o dystansie dzielącym ich miasta.

Aleksander, uradowany jej odnowionym posłuszeństwem, obejmuje ją, tak że dawna woń rodziny znów wypełnia jej nozdrza.

Przebacz mi, Alfonso, myśli, wymykając się delikatnie z uścisku. Nie mam innego wyjścia, jeśli chcę się stąd wydostać.

Zima postępuje, a dyplomacja utknęła w martwym punkcie. Przydałby się ktoś, kto nacisnąłby nieco na króla Ludwika. Cesare, którego żołnierzy król będzie potrzebował, jeśli chce zdobyć Neapol, z radością podjąłby się tej roli, tylko że w tym momencie ma swój własny problem: mury pewnego miasta, które za nic nie chcą upaść.

Wszystko szło tak dobrze. Giovanni Sforza uciekł na długo przed tym, jak Cesare ze swą armią wmaszerował do Pesaro; nie zdążył jeszcze rozgościć się w pałacu, kiedy samorzutnie poddało mu się pobliskie Rimini. Nowemu Goliatowi postanowiło za to stawić czoła małe miasteczko Faenza, a jego opór dał Cesaremu cenną lekcję na temat sztuki rządzenia państwem.

Tylko kilka mil drogi od Forli, gdzie Virago została zrzuciona z tronu tyleż przez najeźdźców, co przez własny lud, Faenzą rządzi szesnastoletni chłopiec razem z radą miejską – i trudno byłoby wymarzyć sobie szlachetniejsze rządy. Są szlachetne do tego stopnia, że młody pan gotów jest oddać się w ręce wroga, by ocalić miasto od zniszczenia, lecz obywatele nie chcą

o tym słyszeć. Gdy armia Cesarego podtacza działa ku murom miasta, jego mieszkańcy zaciskają pasy i wpychają do uszu wosk, by tłumić huk armat.

Pogoda zdaje się wspierać ich dzielność. Tygodnie ulewnego deszczu sprawiły, że proch nie chce się palić, a mroźny oddech zimy skuł ziemię lodem i błotniste ścieżki obozu zmienił w ślizgawki. Żołnierze co rusz się przewracają, a jeśli się nie ruszają – zamarzają. Cesare, dzielący ten los ze swoimi ludźmi, a ponadto świadom, że dobrze walczy taka armia, o którą dobrze się dba, dla uniknięcia dalszych strat odwołuje oblężenie i zostawia jedynie kilka oddziałów, aby blokowały wszelkie dostawy do miasta.

Mimo że napotkał przeszkodę, jest zdecydowany nie pozwolić, by stała się rzeczywistym przestojem. W swoim pałacu w Cesenie wykorzystuje zimowe miesiące na mianowanie administratorów, ustalenie podatków i urządzenie nowych dworów. Armaty mogą obalać mury, lecz teraz pilniejsze jest budowanie mostów. Cesare wydaje wystawny świąteczny obiad dla rajców miejskich i otwiera swój dom, tak by wszyscy i każdy z osobna mogli zobaczyć, jak mieszka ich książę. Na głównym placu organizuje turnieje rycerskie i zawody zapaśnicze, i wkrótce po miasteczkach i wsiach wokół Ceseny rozchodzi się wieść, że książę Valentino zmierzy się z każdym, kto uważa, że potrafi biegać szybciej albo zdoła powalić go na ziemię. Móc położyć ręce na własnym panu, poczuć muskuły państwa, biorąc się z nim za bary – to w istocie niesłychane. Cesare zwycięża w każdym pojedynku, a jego przeciwnicy przegrywają (jakkolwiek mocno by się starali), odbywa się to jednak z obustronną elegancją i wszyscy wyśmienicie się bawią.

– Czy to stanie się dorocznym zwyczajem? – pyta Ramiro de Lorqua, hiszpański kapitan Cesarego, a teraz zarządca miasta, gdy siedzą razem już po wszystkim.

– Może. A czemu nie?

– Myślę... myślę, że mogą zacząć pozwalać sobie na zbyt wiele. Jesteś znany jako wielki wojownik. Ludzie oczekują, że będziesz zachowywał dystans.

– Chyba lepiej, że jestem znany również z robienia tego, czego się ode mnie nie oczekuje – mówi Cesare ostrożnie. Lorqua ma opinię człowieka skłonnego do surowości, nie zawsze idącej w parze ze sprawiedliwością. Jedną z rzeczy, którymi Cesare zajmuje się podczas swojego wymuszonego spoczynku, jest obserwowanie tych, którzy będą rządzić pod jego nieobecność. Jego ojciec z pewnością by temu przyklasnął. Zdarza się, że ten zuchwały młody człowiek ma zdumiewająco starą głowę na karku.

Gdy wczesną wiosną jego armaty zaczynają znów pluć ogniem w stronę Faenzy, wszyscy – a zwłaszcza Francuzi i ferrarcyzycy – przyglądają się temu z napięciem.

– Mój Boże, z takim wojskiem mógłbym podbić całą Italię – stwierdza Cesare, widząc kobiety stojące na barykadach ramię w ramię z mężczyznami i słysząc, że w mieście bogaci otworzyli swoje spiżarnie, by nakarmić biednych. To jednak nie wystarczy, by zapobiec nieuniknionemu. Ostateczne zwycięstwo jest skutkiem zdrady miejscowego kupca, który ucieka z miasta i pokazuje im słaby punkt fortyfikacji. Jeszcze przed przetoczeniem dział w to miejsce Cesare każe powiesić mężczyznę, tak by widziało to całe miasto.

Kiedy mur pada, młody Manfredi i jego jeszcze młodszy bracia składają broń. Cesare wysyła im żywność i inne zapasy, a swoim żołnierzom surowo zakazuje plądrowania. Tego samego wieczoru Manfredi zasiada z nim przy stole i przystaje na wspaniałomyślną propozycję objęcia stanowiska w jego -armii. Jeśli książę ma jakieś poboczne myśli, dobrze je ukrywa.

Wraz z upadkiem Faenzy książę Valentino staje się panem całej Romanii, tak jak powiedział tamtego wieczoru w Nepi, gdy przekonywał Lucrezję, że jej przyszłość to węzeł małżeński z Ferrarą. Teraz musi spełnić swoją obietnicę, że uda mu się do niego doprowadzić. Wielkie koło maszyny wojennej znów się obraca. Po paru dniach armia Borgii jest ponownie

w drodze, tym razem jednak maszeruje w przeciwnym kierunku. W ciągu trzydziestu sześciu godzin jest na obrzeżach Bolonii. Trzydziestu sześciu godzin! Bolonii – ni mniej, ni więcej! Bezpośredni atak zostaje powstrzymany łapówką w postaci jeszcze jednej twierdzy w Romanii i armia skręca ostro na południe – tym razem na terytorium Florencji.

Wilk jest w owczarni. Wywołuje to natychmiastową panikę. Obydwa miasta pozostają formalnie pod ochroną Francji. W Rzymie papież publicznie potępia syna i rozkazuje mu wrócić do domu, podczas gdy prywatnie raduje się wywołanym chaosem: to wypracowana między nimi strategia, która szybko urasta do rangi sztuki. Armia Cesarego jest już tylko sześć mil od murów Florencji, gdy jej miotający się rząd zgadza się zapłacić solidną sumę, by mieć w księciu raczej sprzymierzeńca niż nieprzyjaciela.

Dla króla Ludwika, który sam planuje najazd na Neapol już za kilka miesięcy, przekaz jest jasny: jeśli papież nie dostaje, czego chce, zdobędzie to dla niego jego syn. Przypomina sobie samotnego myśliwego w królewskim lesie, z rękoma unurzany w dziczej krwi, i noc poślubną, podczas której tyle razy podniesiono lancę. Kto nie chciałby mieć takiego mężczyzny po swojej stronie? Jego śmiałość i sprawność czynią z reszty Italii zbiorowisko pochlipujących dziewczyc.

Ludwik bierze swoje królewskie pióro i używa go jak noża, by przeciąć sznur, na którym trzymał zawieszzonego w niepewności księcia Ferrary. Jeśli Ercole d'Este rzeczywiście nie może znieść myśli o tym mariażu, powinien po rozpoczęciu pertraktacji postawić zbyt wygórowane warunki, by druga strona je zaakceptowała. Król oferuje nawet kilka podpowiedzi, czego może zażądać. Co zaś do kandydatek z Francji – niestety, w tym momencie żadna odpowiednia nie jest dostępna.

Ercole d'Este otrzymuje wiadomość, wróciwszy z wizyty u jednej ze swoich ulubienic – świątobliwej siostry Lucii (kolekcjonuje wizjonerów tak samo namiętnie jak kompozytorów i architektów, choć wszystkich stara się pozyskać tanim kosztem).

– Wygląda na to, że w końcu jednak będziesz musiał poślubić tę dziwkę Borgiównę – mówi do syna, którego trzeba było wywołać z pobliskiej piwnicy, w której urządził sobie własną odlewnię armat. – To zwycięstwo praktyczności nad honorem.

– Nie mam aż tak wiele przeciwko temu – odpowiada Alfonso, przecierając czarną dłońią jeszcze czarniejszą twarz. – Jeśli tylko nie jest brzydka i nie trzeba się z nią cackać.

Księżę kręci głową. Jest władcą jednego z najbardziej wyrafinowanych dworów w Europie, a jego pierworodny syn chce tylko bawić się bronią. Cóż, kiedy ogołocą Borgiów do cna, będzie miał pieniądze, by budować takie fortyfikacje, jakie tylko zechce.

Ercole zaczyna układać w myślach listę życzeń.



Rozdział 58



Lucrezia i Alfonso. To niefortunny zbieg okoliczności, że jej przyszły nowy mąż ma na imię tak samo jak poprzedni. Jeszcze bardziej niefortunny, gdy wziąć pod uwagę, jak wygląda. Jego portret przybywa, gdy na dobre rozpoczynają się negocjacje związane z posagiem. Chyba nie mogła spotkać wcześniej tego mężczyzny: nawet jako dziewczynka zapamiętałaby taką brzydotę. Cud, że nadworny malarz zachował swoją posadę. Dwudziestopięcioletni Alfonso d'Este ma twarz i budowę ulicznego boksera – kwadratową szczękę, gruby nos, szerokie brwi i policzki rumiane od marznącej zimowej mgły unoszącej się znad rzeki Pad. Plotka głosi – bo działa w obie strony – że jedyne, co księżę kocha bardziej niż swoje działa, to kobiety, które nie są jego żoną. Jego pierwsze małżeństwo, z Anną Sforzą, skończyło się, gdy ta zmarła wkrótce po urodzeniu martwego dziecka. Byli razem, odkąd skończyła piętnaście lat i zdaniem niektórych tyle przez niego płakała, że śmierć była dla niej najłatwiejszym wyjściem.

Lucrezia jeszcze raz uważnie ogląda portret. Jako dziecię swoich czasów wie, że podczas gdy kobiece piękno jest zwierciadłem wewnętrznej słodyczy jej duszy, mężczyzn w mniejszym stopniu dotyczą subtelności platońskiej teorii. Skoro nikogo już nie zwiedzie piękno Cesarego, to może prostac-kie rysy niekoniecznie oznaczają prostacką duszę? Sprawozdawcy Aleksandra robią co mogą. Przyszły pan młody, zapewniają, jest uczciwy, męski i przemawia prosto, bez ozdóbek i fałszywych emocji przebiegłego człowieka dworu. Jest zdolnym żołnierzem, który poważnie traktuje dobro swojego państwa, stąd jego pasja dla technik nowego rzemiosła wojennego. Potrafi jednak tańczyć aż do wschodu słońca, a te same toporne dłonie, które topią metal nad kowalskim paleniskiem, -przesuwają się po strunach wioli z delikatnością anioła.

Wulkan z żyłką do niebiańskiej muzyki. Jakie... jakie to urocze, myśli Lucrezia.

– A co pomyśli o mnie? – pyta nieśmiało.

– O, będzie was wielbił – odpowiadają z całym fałszywym przekonaniem przebiegłych ludzi dworu.

Jest tylko jeden człowiek w Rzymie, który mógłby udzielić jej bardziej szczerzej odpowiedzi. Gaspere Torella, jeśli nie dogląda akurat zabiegów w swojej łaźni parowej, spędza godziny na konsultacjach z doktorami z uniwersytetu w Ferrarze i jego notatniki są wypełnione opisami przypadków ich szacownej klienteli, której część stanowi rodzina d'Este. Biorąc pod uwagę upodobanie Alfonsa do prostytutek, nie dziwi fakt, że następcą tronu znajduje się na liście. Prawda jest taka (a jest to prawda, ludzie nauki bowiem szcycą się unikaniem plotki), że w dniu pogrzebu żony był tak chory i obsypany krostami, że nie mógł wziąć w nim udziału.

Cóż jednak przyjdzie Lucrezii czy komukolwiek innemu z takiej wiedzy? Nie jest to związek z miłości. Nie ma w nim nawet krzty uczucia. To brutalnie narzucony układ polityczny. Ferrara zyska sojusznika przeciwko Wenecji, ochronę przed piętrzącymi się ambicjami Cesarego i posag, od którego łązawią oczy, Borgiowie zaś – zabezpieczenie północnych granic swojego rodzącego się państwa i szlachetną odrośl w drzewie genealogicznym, zaszczeponą z jednej z najznamienitszych włoskich dynastii. Kto przewidzi, która rodzina będzie ostatecznie zwyciężcą, a która przegranym?

– Ten człowiek targuje się jak przekupień! – wybucha Aleksander, gdy negocjatorzy

opuszczają komnatę. – Ile chce teraz?

Burchard i sekretarze pogrążają się w rachunkach.

– Z zamkami w Pawii i Pieve, beneficjami dla brata Alfonsa, kardynała Ippolita oraz klejnotami i posagiem w gotówce wychodzi... wychodzi prawie czterysta tysięcy dukatów.

– Krwiopijcy! Jesteś mistrzem oszczędności, Burchard. Nie możemy zbić tych żądań?

– Nie, jeśli Wasza Świątobliwość chce, by małżeństwo doszło do skutku, dopóki pani Lucrezia może jeszcze mieć dzieci – odpowiada Burchard z rzadkim przebłyskiem humoru, choć uśmiech ma tak cienki, że jego wargi wyglądają jak sklezione.

– Ha! Im starsza familia, tym głębsza chciwość, co? Mimo to sędzę, że sumy nie będą wydawały się już takie duże, kiedy moje wnuki obejmą rządy w Ferrarze. – Aleksander uśmiecha się szeroko. Kilka tygodni wcześniej świętował siedemdziesiąte urodziny i bynajmniej nie ubywa mu energii – raczej zdaje się ona nie pozostawać w tyle za jego obwodem w pasie.

Burchard wraca do obrachunków. Jako że wicekanclerz Sfor-za nadal przebywa w więzieniu, większość pracy związanej z finansami spadła na jego barki, co daje mu szeroki zakres przyjemności płynących z dezaprobaty. Ostatnie dni przynios-ły papieżstwu słone wydatki, i nie chodzi tylko o fundusze na kampanię Cesarego. Na przedmieściach Rzymu stoi obecnie obozem pół francuskiej armii, ciągnącej na Neapol. Wiedząc, że przykre wspomnienia ostatniej inwazji Francuzów są wciąż świeże w ludzkiej pamięci, Aleksander jest zdecydowany utrzymać żołnierzy za murami, lecz w tym celu musi zaopatrzyć ich we wszystko, czego im trzeba, żeby nie brali sobie tego sami. W diariuszu Burcharda pełno ryb i bochenków chleba, acz mało oznak cudu, jeśli chodzi o perspektywy cięcia kosztów.

Niemniej jednak obecność Francuzów daje się wszystkim we znaki. Ich dowódcy nie zapomnieli swojego rycerskiego zaangażowania w sprawie Cateriny Sforzy, a z Francji król Ludwik naciska na uwolnienie jej, aby mogła udać się na wygnanie do Florencji.

– Może iść, dokąd jej się żywnie podoba, jeśli tylko ona i jej dzieci zrzekną się swoich roszczeń do Romanii – mówi papież nonszalancko.

Caterina, której włosy bez specjalnych barwników i mikstur stały się szpakowate, podpisuje dokumenty i zostaje wypuszczona ze swojego ciemnego i wilgotnego apartamentu w Zamku Świętego Anioła. Przez całe życie grała ostro i wie, że aby przetrwać, trzeba umieć zarówno wygrywać, jak i przegrywać.

Jeszcze jej nie uwolniono, a już niejako w jej miejsce zostają uwięzieni dwaj bracia Manfredi z Faenzy, którzy przez ostatnie miesiące „podróżowali” z armią Cesarego. Młody człowiek zawinił jedynie tym, że jest za bardzo kochany przez swój lud i przez to zbyt niebezpieczny, by puścić go wolno. Wtrącenie go do lochu stanowi bezwstydną zdradę obietnic, które złożył mu Cesare, lecz nie zaskakuje prawie nikogo. Zabezpieczanie sobie tyłów to strategia polityczna stara jak świat, a nie można też powiedzieć, by Borgiowie byli w swym lekceważeniu moralności wyjątkowi. Nie dalej jak kilka miesięcy wcześniej w Perugii połowa rządzącej rodziny Baglionich wymordowała w łóżkach drugą połowę, używając przyjęcia weselnego jako zasłony dymnej. Oczywiście wywołało to wielkie dyplomatyczne poruszenie, pełne wyrazów oburzenia, ale za zamkniętymi drzwiami nie brakowało także podziwu dla absolutnego zuchwalstwa tego posunięcia. W porównaniu z tymi wypadkami bracia Manfredi mają szczęście, że wciąż żyją. Jakkolwiek mało kto miałby ochotę się zakładać, jak długo jeszcze potrwa ten stan. Jeden wróg naraz.

Cesare, jak zwykle, jest zbyt zajęty, by myśleć o sprawach sumienia. Musi spłacić dług wobec króla Francji, a po tym jak wymarzył w zimie, nie pozostaje mu teraz nic innego, niż myśleć z utęsknieniem o pieczeniu się w letnim skwarze. W połowie czerwca wraz ze swoimi doborowymi oddziałami, spływającymi potem pod monstrualnymi zbrojami, dołącza do sił

francuskich w pochodzie na Neapol. W parę tygodni jest po wszystkim. Nadszedł kres dynastii aragońskiej. Nieszczęsny król Federico udaje się na wygnanie do Francji, gdzie przynajmniej będzie miał do towarzystwa swoją pozbawioną wdzięku córkę, Carlottę. Jakże inaczej mogłoby wyglądać życie ich wszystkich, gdyby skłonił ją do wyjścia za Cesarego.

Książę Ercole d'Este, z pewnością nie jako jedyny myślący z zadumą o sile małżeństwa, pociesza się liczbą zer w wynegocjowanym posagu i pisze osobno do papieża i do Cesarego, deklarując najwyższą radość z mającego się dopełnić związku.

Służba Lucrezii pakuje ceramikę i srebrną zastawę. Choć nie minął jeszcze rok, jej żałoba dobiegła końca. Strojna znów w jasne szatki i klejnoty, zapoznaje się od nowa z młodą kobietą w lustrze. Nie ma już twarzy zapadniętej od smutku. Zamiast niego pojawiła się cicha, trzeźwocka determinacja. Blask chyba ją ominął.

Gdy kształt porozumienia jest już z grubsza wykuty, Ercole deleguje dwóch specjalnych wysłanników, by zapoznali się bliżej z panną młodą. Przez jakiś czas dwaj mężczyźni mogą jedynie próbować nadażyć za biegiem uroczystości, które następują po publicznym ogłoszeniu zaręczyn. Cesare porzuca swoją gburowatość i przyłącza się do Borgiowskiej ofensywy uroku. Papież, z każdym tryumfem coraz bardziej dziarski, nie kładzie się aż do świtu, a że przypatrywanie się tańczącym ze sobą dzieciom było zawsze jego największą przyjemnością, wszyscy inni również muszą pozostawać na nogach i przypatrywać się razem z nim.

– Myślę, że się zgodzicie: wasza przyszła księżna nie jest chroma – dowcipkuje z dumą, podczas gdy wysłannicy siłą woli powstrzymują opadające powieki.

Widok wart jest wyrzeczenia się snu. Salę rozświetlają pochodnie i kandelabry, a barwne płytki posadzki błyszczą pod stopami. Lucrezia słynie z żywiołowości w tańcu, Cesare zaś był zawsze jedynym mężczyzną na dworze, który jej dorównywał. Bęben i piszczałki podają skoczny rytm, tak że są chwile, gdy muzyka zdaje się zmuszać ich do tańca w powietrzu. Po nich następują takty, wyznaczane szarpaniem strun lutni, przy których Cesare i Lucrezia suną i skradają się wokół siebie, a przebłyski napięcia, niemal agresji, w ich pełnych gracji ruchach, widoczne prawie jak płomyki strzelające w górę po podpaleniu knota świecy, natychmiast docierają do publiczności. Wszyscy w komnacie wiedzą o zdrze między tym pięknym rodzeństwem. Ile czasu upłynęło, odkąd ostatni raz ze sobą tańczyli? To jednak także każdy wie. W ciągu miesięcy od śmierci Alfonsa brat i siostra wiedli niemal osobne żywoty, zajęci wojną i sprawami małżeństwa. Teraz zda się, że ich ciała mówią to, czego usta nigdy nie śmiałyby wyrzec.

Książę i jego siostra jednocześnie kochają się w sobie i się nienawidzą. Wrażenie to wsącza się w obserwujący tłum, podczas gdy papież, w całkowitej nieświadomości, promienieje z zadowolenia. Ambasadorzy, oszołomieni od żaru, siedzą i zastanawiają się, jak znaleźć słowa, by przekazać całą złożoność tej rodziny, która wkrótce połączy się z ich własną.

Podczas prywatnego spotkania z księżną nie może być oczywiście mowy o takich rzeczach. Ona zaś jawi się beztroska, rozjaśniona ekscytacją oczekiwania.

– O, *madonno* Lucrezio, Ferrara was olśni.

– Tak, tak, jestem tego pewna. Czy to prawda, że książę Ercole kazał wyburzyć pół miasta, żeby zbudować je od nowa?

– Pani, to ambitny plan, jakiego nie widziało dotąd żadne miasto Italii. Ulice są tak szerokie, że mogą się na nich odbywać wyścigi rydwanów, a każdy nowy dom budowany jest w nowym stylu, z własnym dziedzińcem i ogrodem. Jest jeden pałac, który po wykończeniu będzie miał diamentową fasadę.

– Diamentową?

– Cóż, przynajmniej z kamieni oszlifowanych na kształt diamentów. To nowy rodzaj stylu

rustykalnego, który wymyślił sobie architekt księcia. Następnie jest zamek, a niedaleko rzeki wielki pałac Schifanoia, wzniesiony, by przepędzić nudę. Tak! Tak się nazywa[7]! Blask jego fresków jest niezrównany, a koncerty... o, koncerty, które się tam odbywają...! Książę słynie z miłości do muzyki. Przekonacie się osobiście już niedługo.

– A poeci? Macie także poetów i pisarzy?

– O, poeci pomagają rządzić państwem. – Juryści z wykształcenia, dyplomaci z zawodu, posłowie Ercolego stanowią zgrany duet, gdy przychodzi do odmalowywania ich ojczyzny w najpiękniejszych barwach. – Gubernatorem Reggio i Modeny jest Matteo Boiardo, a jego słowa są jak płynne złoto. Cenicie sobie poetów, nieprawdaż?

– Tak, bardzo – odpowiada Lucrezia. – Miałam wokół siebie, w przeszłości... to znaczy, dopóki żył mój mąż... – cichnie, nie kończąc zdania.

Ich uśmiechy pozostają przyklepione do ust, podczas gdy ona żywo macha ręką. Mój mąż: można by pomyśleć, że nigdy nie miała drugiego męża, tak bardzo stał się w Rzymie nieobecny. Na sekundę gubi krok; jej umysł wypełnia obraz rzeźby, którą widziała w Bazylice Świętego Piotra: wykuta w białym marmurze postać kobiety pełnej spokoju i rezygnacji, z ciałem pięknego martwego mężczyzny na łonie. Nie teraz, myśli. Będzie czas później. Teraz o tym nie myśl.

– Tak – powtarza cicho. – Jestem miłośniczką poezji.

– W takim razie z pewnością znacie Pietra Bemba? Wyborny uczony, często odwiedza Ferrarę. Podobno pisze największy poemat miłosny od czasu, gdy Petrarca zanurzył pióro w kałamarzu, by przelać na papier swoje sonety.

– Pietro Bembo? Chyba o nim słyszałam. A może nie... – Potrząsa głową, wciąż pod przemożnym wpływem smutnego piękna marmurowej rzeźby. – Wygląda na to, że będę musiała się wiele nauczyć, panowie. Ufam, że Bóg dopomoże mi w tej cudownej drodze.

Wysłannicy się uśmiechają. To jedna z wielu ujmujących cech kobiety, która będzie ich nową księżną: nie udaje, że wie coś, czego nie wie. W istocie im dłużej przebywają w jej towarzystwie, tym więcej znajdują w niej do podziwiania.

„Wasza Wysokość i Książę Alfonso będą zadowoleni”. Ambasadorzy do późnej nocy sporządzają swój raport. „Pani Lucrezia jest ogromnie bystra i urzekająca, a jej czar potęgują maniery. Jest gorliwą i bogobojną chrześcijanką, skromną i uprzejmą pod każdym względem. Krótko mówiąc, ma charakter, który nie pozwala posądzać jej o jakiegokolwiek nieprzystojne zachowanie”.

W razie gdyby pozostał bodaj cień wątpliwości co do jej wartości, kiedy papież i jego syn wyjeżdżają na inspekcję ostatnio przejętych zamków na północ od Rzymu, to Lucrezie pozostawiają na straży spraw watykańskich na czas swojej nieobecności. Kobieta zasiadająca w papieskich apartamentach, otwierająca listy i wydająca opinie? Bardziej szokujące może być jedynie to, że kardynałowie, którzy jej doradzają i nad nią czuwają, zdają się nie widzieć w tym niczego szokującego. Jest oczywiście staranna i ostrożna. Zadanie nie jest jednak wcale takie ciężkie. Gdy tak pracuje u boku kardynała Costy, osiemdziesięcioletniego weterana Borgiowskiej administracji, często daje się słyszeć jego śmiech. Lucrezia ma dar postępowania z takimi ludźmi. Nawet jeśli miłość Aleksandra do córki chwilami może się wydawać niemal niezdrowa, przyniosła jej pożytek w świecie, gdy przychodzi radzić sobie z wpływowymi starszymi mężczyznami. Zachowuje się tak, jakby oczekiwała, że będą ją lubić – i oczywiście tak jest.

Ferrarscy ambasadorzy przyglądają się temu z boku ze szczególnym zainteresowaniem. Ich pan i władca, książę Ercole, jest nader wpływowym starszym mężczyzną, nawykłym do przeprowadzania swojej woli. Prywatnie dywagują między sobą, jak też będzie mu się układało z nową synową: jak dalece ona zdoła go oczarować i ile czasu minie, nim on pokaże swój

stalowy pazur.

Biorąc pod uwagę, jak istotne są ich doniesienia, dobrze się składa, że są akurat zajęci czym innym, gdy pod koniec października Cesare wydaje w swoich watykańskich apartamentach nieoficjalne wieczorne przyjęcie. Lista gości jest krótka – tylko rodzina i przyjaciele rodziny, jakkolwiek Cesare zadaje sobie trud poinformowania Burcharda, tak by był pod ręką, gdyby sytuacja tego wymagała. Stół jednakowoż zastawiony jest dla znacznie większej liczby biesiadników. Tuż przed podaniem posiłku otwierają się drzwi i wysypuje się przez nie grupka ślicznych, roześmianych dam, pachnących i szykownych jak wszystkie dwórki, lecz z manierami nacechowanymi zaraźliwą nieformalnością. Rozsiadają się, by zjeść, a na oparciu krzesła jednej z nich kołysze się i kiwa czerwono-szara papuga, ku uciesze całego zgromadzenia skrzekliwie wykrzykująca imię gospodarza.

Po kolacji przystępują do swojego zadania. Pada propozycja, by zagrać w kasztany: mężczyźni będą sypać je na podłogę, a kobiety – podnosić zębami. Jeśli, rzecz jasna, nie będą przeszkadzać im ubrania. A jeśli chcą wygrać, wówczas oczywiście...

Lucrezia czeka na odpowiednią chwilę, by się wymknąć. Nie jest zaskoczona, że w domu jej brata dzieją się takie... takie rzeczy, ale nie po to tak bardzo się starała zjednać sobie ferrarczyków, by teraz tak łatwo to zaprzepaścić. Idąc, dostrzega kątem oka Burcharda, z chwilowo opuszczoną maską biurokratycznej obojętności.

Och, jak ten człowiek nas nienawidzi, myśli. Może na jego miejscu czułabym to samo. Jest jeszcze w przedpokoju, gdy dogania ją głos Cesarego.

– Już wychodzisz, siostrze?

– Po co mnie tu zaprosiłeś, Cesare? – Odwraca się do niego z zarumienioną twarzą. – To nie jest wieczornica, w której wypadaloby mi uczestniczyć.

– Dlaczegoż to? Co jest nie tak z moimi gośćmi? To uczciwe kobiety. – Jego butny ton podszyty jest gniewem. – Uczciwsze niż większość kurew, które handlują swoimi wdziękami na dworze.

– Może i tak, ale ja nie byłabym oceniona jako uczciwa kobieta, gdybym spędziła wieczór w ich towarzystwie.

– Cóż, przynajmniej zmusiłem cię do jakiejś reakcji. To lepsze niż ciągle bycie ignorowanym.

– Nie ignoruję cię – mówi cicho. – Nie było cię w domu przez całe miesiące kampanii, a ja byłam zajęta sprawą małżeństwa. Trzeba zrobić mnóstwo rzeczy, zanim...

– Zanim zostaniesz księżną Ferrary. Tak, wiem. Księżna Ferrary. Dotrzymałem obietnicy, siostrze. Pamiętasz? Wyjeżdżasz z Rzymu. Cokolwiek zajdzie tutaj, tobie będzie się powodzić.

– Mam taką nadzieję.

– I? – Cesare czeka.

– I dziękuję ci za to.

– A więc, czy jest mi teraz wybaczone?

– Walentloo. Walentloo – głos papugi wznosi się ponad ochryłym kobiecym śmiechem.

– Dlaczego jest tu Johannes Burchard? – pyta Lucrezia, wymigując się od odpowiedzi. – Widziałeś jego twarz? Jest zbulwersowany do szaleństwa.

– Burchard? Myślałem, że Fiammetta stopi jego lód. – Cesare się śmieje. – Lubię patrzeć, jak się gorszy. Wiesz, że wszystko zapisuje? Każdy obciążający szczegół.

– Och! Musimy zatem mieć nadzieję, że nikt nigdy tego nie przeczyta. Przez jego oburzenie będziemy potępieni.

– Wręcz przeciwnie, miła siostrze. Im więcej oburzenia, tym lepiej. Dzięki naszym oburzającym czynkom ludzie będą się nas bać, póki żyjemy, i nigdy, nigdy nas nie zapomną,

gdy już pomrzemy.

Lucrezia lęka się jednak innego zapomnienia. W ciągu miesięcy od powrotu z Nepi Rodrigo z niemowlęcia wyrósł na żywego, hałaśliwego chłopczyka. Teraz, kiedy go odwiedza, zamiast biec w jej ramiona, ucieka w drugą stronę, bo najbardziej lubi, gdy gonić go po pokoju; pędzi przed siebie, piszcząc radośnie, aż zostanie złapany i wyłaskotany na podłodze, po której się tarza. Jego bezsilny rozkoszny chichot przywodzi jej na myśl własne dzieciństwo w domu ciotki Adrian de Mila i głosy brykających i wadzących się Juana i Jofrégo. Ona jednak nie zobaczy, jak Rodrigo dorasta do ich wieku.

– Naturalnie mój syn nie pojedzie ze mną do Ferrary – mówi do jednego z wysłanników, gdy pewnego popołudnia oprowadza go po Watykanie, a złotowłose dziecko wesoło płacze się im pod nogami, ciągnąc ją za spódnice. – Zostanie oddany pod kuratelę siostrzeńca mojego ojca, kardynała Costenzy.

– Księżę będzie uradowany tą wiadomością. I jestem pewien, że wasz syn otrzyma doskonałą opiekę. – To ulga mieć tę rozmowę za sobą; instrukcje z Ferrary były w tym względzie jasne.

– Z całą pewnością – odpowiada z oczyma błyszczącymi od łez, których nie chce uronić, wicherząc pieszczotliwie włosy dziecka.

Co za los, powiedzieliby niektórzy. Zamiast ojca i matki ten dwuletni chłopiec ma tytuł księcia Sermonety, osobisty dochód w wysokości piętnastu tysięcy dukatów rocznie i rozmaite posiadłości ziemskie, z których kilka papież dopiero co wyrwał z rąk Colonnów, karząc ich w ten sposób za popieranie Neapolu. Ostatnio Borgiowie szybko załatwiają stare porachunki.

Zbliża się dzień ślubu i Lucrezia musi w końcu pożegnać synka. Domostwo już się pakuje i lepiej, żeby wyjechał, zanim ona to uczyni.

– Mama! Mama!

W dziecinnym pokoju rozgrywa się rytualna ucieczka i pogoń, aż małe ciało wije się na podłodze wśród zdyszanych pisków.

– Musisz być grzecznym chłopcem, Rodrigo – mówi Lucrezia, kiedy atak mija i udaje jej się przyciągnąć go do siebie. – Rób wszystko, co każą ci wuj i nauczyciele. Będę pisać do ciebie codziennie, a ty będziesz mi odpowiadał, gdy tylko nauczysz się pisać, dobrze?

Za ich plecami bezgłośnie płacze jedna z nianiek.

Kiedy Rodrigo pyta, dokąd jedzie, Lucrezia odpowiada lekko:

– O, do innego miasta, na jakiś czas.

Odpowiedź zdaje się go zadowalać, tak że gdy przytula go, tym razem mocniej, wrywa się jej i zaczyna znowu pędem okrążyć pokój.

– Jesce laz! Mama! Łap jesce laz! – woła do niej.

Pierwszy raz od wielu lat Lucrezia myśli o swojej matce, Vannozzy, i zastanawia się, co ona czuła tamtego dnia, kiedy całowała swoje dzieci na pożegnanie. Nadal jednak nie płacze.



Rozdział 59



Rozstanie z Sancią sprawia ból innego rodzaju. Świat nie był łaskawy dla jej szwagierki. Nie tylko nie ma już brata, ale także na zawsze straciła ukochany Neapol. Niezdolna do skrywania swych uczuć, irytowała papieża do tego stopnia, że została wygnana z dworu. Teraz Lucrezia błaga, by pozwolił jej wrócić, a że Aleksander nie potrafi odmówić niczego swojej idealnej córce, spełnia prośbę.

– Nie jest z natury okrutnikiem. Wrócisz do jego łask bardzo prędko, jeśli tylko od czasu do czasu obdarzysz go uśmiechem.

– Ludzie w piekle się nie uśmiechają – odpowiada Sancia ponuro. – Dla ciebie to łatwe. Uwielbia cię, a zresztą teraz jesteś wolna i możesz stąd odejść. Mnie to nigdy nie spotka. Nienawidzę tego miejsca. Nienawidzę wszystkiego, co się z nim wiąże.

– Niemniej jednak to tutaj żyjesz i musisz to znosić.

– Chciałabym, żeby oni wszyscy umarli. Wiem, że to twoja rodzina, ale to właśnie czuję. I nie jestem przecież jedyna. Czytałaś list?

– Jaki list? – W przedślubnym ferworze była zbyt zajęta, by słuchać plotek. A może znów postanowiła ich nie słyszeć.

– O, krąży po całym Rzymie. Jest adresowany do członka rodziny Savellich, który w zeszłym roku stracił swoje posiadłości. Jofré twierdzi, że to falsyfikat wypuszczony przez Wenecję jako propaganda przeciwko papieżowi, ale ja uważam, że jest autentyczny.

– Co jest w nim napisane?

– Że twój ojciec i brat podzielają zboczenie Turków, że Watykan jest pełen wszetecznic, które tańczą nago i urządzają zabawy. I że Cesare Borgia morduje każdego, kto mu się -sprzeciwi.

– Nie wiem, po co mężczyźni hołdujący obyczajom Turków mieliby utrzymywać pałac pełen wszetecznic – mówi łagodnie Lucrezia, lecz oczywiście myśli o dzienniku Burcharda. – Jofré ma rację. To brzmi jak oszczerza fałszywka.

– Z oszczerstwem mamy do czynienia wtedy, kiedy coś nie jest prawdą. A to, co napisano o Cesarem, jest prawdziwe. List stawia go w jednym rzędzie z Kaligulą i Neronem, jeśli chodzi o okrucieństwo. Może nie słyszałaś, co zrobił temu człowiekowi z Neapolu.

– Jakiemu człowiekowi?

– Och, komuś, kto powtarzał historie z listu po mieście. Cesare kazał go aresztować i odciąć mu rękę i język, i wywiesić je za okno więzienia, tak żeby wszyscy zobaczyli. I nie mów mi, że nie zrobiliby czegoś takiego. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że to potwór.

Oburzające uczynki. Dzięki nim „ludzie będą się nas bać, póki żyjemy, i nigdy, nigdy nas nie zapomną, gdy już pomrzemy”.

– Och, Sancio – mówi miękko. – Cokolwiek o nim myślę, jest jednak moim bratem.

Proszę, niech to nie stanie między nami. Chcę, żebyśmy się pożegnały jako przyjaciółki.

Sancia, której pasja zawsze najbardziej rani ją samą, wybucha płaczem.

– Nie zniosę tego. Co ja pocznę bez ciebie?

– Dasz sobie radę. Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek i znajdziesz kogoś, kto cię

pokocha, zapewniam cię. – A jeśli nie Jofré, niechaj będzie to ktoś inny, myśli Lucrezia. Bo wie teraz, że tylko głupcy szukają miłości w małżeństwie. – Będę się za ciebie modlić każdego dnia.

– Nie trudziłabym się. Bóg zapomniał już o domu Aragończyków.

Jeśli ktoś pragnie wywołać oburzenie, może osiągnąć to innymi sposobami niż sprośne zabawy czy przemoc; najbarw-niejszym z nich jest klucie w oczy bogactwem. Najpierw był wyjazd Juana do Hiszpanii. Potem wyjazd Cesarego do Francji. Wszystko to jednak nic w porównaniu z wyjazdem Lucrezii do Ferrary.

Po części to rywalizacja: jeśli d'Este uważają się za lepszych od Borgiów, najwyższy czas, żeby zobaczyli, jak wygląda prawdziwa potęga.

Po części to miłość: kto nie chciałby wyposażyć jedynej córki w najpiękniejsze materiały – złotogłów, adamaszki, brokaty – z diamentami, rubinami i szafirami naszytymi na każdy rękaw, każdy stanik, każdy woal i każdą siateczkę na słonecznej przędzy jej włosów?

Po części to tradycja: rolę panny młodej jest olśniewać każdego, kto ją ujrzy, a przy tylu ceremoniach i przyjęciach musi mieć co chwilę nowy strój, każdy cudniejszy od poprzedniego. Jaka młoda kobieta nie czerpałaby z takich rzeczy choć odrobiny przyjemności? Drogie tkaniny i klejnoty same w sobie nie są niemoralne. Mówią o zdolności człowieka do tworzenia i ceniienia piękna. Oblubienica krocząca ku przysłuszeniu mężowi w kaskadzie białego jedwabiu i pereł uczyniłaby światu złą przysługę, gdyby nie szła z podniesioną głową, zapierając dech w piersiach tym, którzy się jej przyglądają.

Po części zaś – to nie wina Borgiów.

Wydanie córki za mąż zawsze kosztuje więcej niż ożenienie syna, z powodu posagu, który musi wnieść panna młoda. A ten konkretny posag – o którego szczegóły walczono jak na wojnie – sprawia, że coś, co jest oburzające, staje się wręcz obsceniczne. Po odjęciu wszystkich ubrań, klejnotów, majątku domowego, ulgi podatkowej dla Ferrary, beneficjów oraz przekazanych posiadłości i zamków pozostaje suma stu tysięcy dukatów w żywej gotówce.

1 stycznia 1502 roku. W watykańskim pałacu przyszykowano komnatę, w której odbędzie się przedstawienie. Po jednej stronie stoją pełne skrzynie Borgiów, po drugiej – puste ferrarczyków, pośrodku stół, a przy nim rachmistrze i świadkowie. Dukaty mają być liczone po jednym i nie zostaną przyjęte, jeśli będą „z Kamery Apostolskiej”[8], czyli o obniżonej zawartości złota. Kiedy ten ostatni warunek zostaje postawiony na dzień przed rozpoczęciem operacji, Aleksander purpurowieje ze złości.

– Myślę, że zapłaci takimi dukatami, jakimi zechce – ambasador Ferrary próbuje ująć to najbardziej dyplomatycznie, jak się da. Doprawdy, można wystawić cierpliwość papieża na zbyt ciężką próbę.

Dwa, trzy, dziesięć, sto, pięćset, tysiąc... niezależnie od urazy nie mogą teraz przerwać. Od dwudziestu czterech godzin Alfonso i Lucrezia są mężem i żoną, przynajmniej przez pełnomocnika. Strona ferrarska przybyła dziesięć dni temu i ledwo miała czas rozpakować kufry z garderobą, a już zaczęły się uroczystości. Zamiast pana młodego (Alfonso i jego ojciec nie ruszają się z Ferrary) słowa przysięgi i obrączkę odebrał od Lucrezii jego młodszy brat, don Ferrante Siena – miłszy dla oka pod każdym względem – podczas gdy kolejni dwaj bracia, Sigismundo i pretensjonalny kardynał Ippolito, byli świadkami.

Tysiąc pięćset, dwa tysiące, trzy, cztery, pięć... powietrze grzeje się od brzęku i szurania. Rachmistrze spożywają posiłki przy tym samym stole, a wino, choć dobre, jest racjonowane. Jasny umysł jest nieodzowny.

Wieczorem goście weselni wysłuchują mów pochwalnych na cześć państwa młodych i ich znakomitych rodzin, po czym zostaje odegrana komedia – a raczej pół komedii, gdyż w trakcie przedstawienia papież orzeka: „Nuda!”. Sala zostaje uprzątnięta, by mogły rozpocząć

się tańce. Lucrezia, siedząca na jedwabnej poduszce na honorowym miejscu u stóp ojca, jest nieco przytłoczona ciężarem rodzinnej biżuterii, którą ma na sobie.

W połowie następnego dnia przez stół przesunęło się już dwadzieścia tysięcy dukatów. Praca idzie tak dobrze, że pierwsza skrzynia okazuje się przepełniona i – zbyt ciężka, by dało się ją unieść – żelaznymi okuciami rysuje płytki posadzki. Dwadzieścia pięć, dwadzieścia siedem, trzydzieści tysięcy.

Na zewnątrz, na placu przed bazyliką, odbywa się pokaz walki z bykami. Cesare rezygnuje z czerni na rzecz złota, by lepiej kontrastować ze zwierzętami. Wszyscy słyszeli o jego wyczynach i teraz zagrzewają go szaleńczymi okrzykami, gdy z grzbietu konia przeszywa szpadą dwa byki, a potem dokańcza dzieła już na własnych nogach. Bracia jego nowego szwagra są pod wielkim wrażeniem. Cokolwiek mówią plotki, ci Borgiowie są stanowczo godni uwagi. Don Ferrante, który po tym, jak zastępował brata podczas ślubu, jest już na wpół zakochany, odwraca się do Lucrezii.

– Tyle krwi i piękna w jednej rodzinie – mówi i zamiata przed nią kapeluszem z piórami jak doskonały dworzanin. Lucrezia uśmiecha się radośnie. To wytrawny bawidamek, oczywiście. Jak oni wszyscy. I nie tylko w stosunku do niej. Kardynał Ippolito, który zdecydowanie wydorósł od czasu, gdy otrzymał od Aleksandra purpurę w wieku piętnastu lat, nieoczekiwaną atencją zaczyna otaczać Sancię. Jej oczy nabrały trochę ognia, odkąd została przyjęta z powrotem do owczarni. Macha teraz do Lucrezii poprzez tłum. Nie sposób nie życzyć jej dobrze.

Czterdzieści pięć tysięcy... są już prawie w połowie. A! – ale oto kilka uszkodzonych sztuk. Nawet – bójcie się Boga! – fałszywych-. Zwalniają tempo i przerywają, gdy tylko kończy się światło dzienne, gdyż migotanie pochodni utrudnia badanie monet. Na wypadek, gdyby któregoś z liczących kusilo, by wsunąć parę do rękawa czy w zanadrze, przeszukuje się ich na koniec każdej zmiany. Złoto ciągnie do złota. Pięćdziesiąt tysięcy dukatów. Sześćdziesiąt. I nadal rachują.

Nazajutrz – następne przedstawienie i tańce. Czy to nie nazbyt wiele przyjemności? Kolejnego dnia wszyscy odpoczywają. Wędrówka monet po stole trwa jednak nieprzerwanie.

Po południu 5 stycznia ferrarski wysłannik i Ferrante, ponownie w zastępstwie młodego małżonka, zostają wezwani do komnaty, by dokonać odbioru. Sto tysięcy dukatów. Następnie don Ferrante udaje się do papieża. Wymieniają uściski i kwieciste słowa. Stało się. Posag przekazany. Panna młoda może jechać.

Lucrezia jest gotowa. W jej pałacu czeka już naszykowany strój na podróż, na dziedzińcu – załadowane wozy i spędzone w jedno miejsce konie oraz muły, a wśród tego wszystkiego lektyka, prezent od ojca: drewniany pokoił wyłożony złotem i miękką tapicerką. Droga do Ferrary zabierze ją na zachód do Umbrii, potem przez Apeniny i Urbino do Romanii, a nie wszystkie trakty będą takie proste i dobrze utrzymane jak Via Emilia. Trasę zaplanowano starannie tak, by obejmowała koło tuzina przystanków w ważniejszych miastach, gdzie Lucrezia ze swoim dworem będzie podejmowana i fetowana. Nieustanne wystawienie na widok publiczny – albowiem jej peregrynacja jest tyleż podróżą panny młodej do małżonka, co zwycięską paradą Borgiów – będzie wymagało zarówno kondycji, jak całej masy wdzięku i uroku. Uśmiech nie zejdzie z jej warg przez wiele dni.

Tej ostatniej nocy w Rzymie może jednak rządzić się własną wolą. Oczywiście nie może spać, a jest jeszcze jedna, ostatnia rzecz, którą musi zrobić. Przywołuje służącą i zakłada zwyczajny płaszcz i trzewiki.

– Powinam wezwać strażę, pani.

– Nie, pójdziemy same.

Na twarzy dziewczyny odbija się niepewność.

– Ale jest ciemno i...

– To tylko kilka kroków stąd, jak wiesz, i nie będziemy długo. Już wszystko urządziłam.

Na zewnątrz jest znacznie zimniej, niż się spodziewała, niemal mroźno. Może to dlatego, że jest zmęczona. Owija się płaszczem i przyspiesza kroku. Przejście od tylnego wyjścia pałacu do schodów Bazyliki Świętego Piotra trwa tylko krótką chwilę. Na wielkim placu u ich podnóża dwa dni wcześniej Cesare zabijał byki. Ta przechadzka jednak wiąże się z innym gwałtem. Na bruku nie widać już plam krwi wycieczonej z ciała jej męża – przyjrzała się kiedyś w świetle dnia – lecz w mieście narastającej przemocy niebawem pójdą tu w ruch inne miecze.

Ktoś otwiera boczne drzwi kościoła i kobiety wchodzi do środka. Nocny strażnik siedzi na stołeczku, przy nim pali się świeca.

– To ja, córka papieża – mówi Lucrezia, zsuwając z głowy kaptur. – Już mnie chyba znacie.

Mężczyzna skłania głowę, a ona upuszcza monetę w jego dłoń. Jego palce zamykają się na niej i wraca do mamrotania modlitwy, zanim jeszcze Lucrezia daje krok naprzód.

Bazylika Świętego Piotra. Stara, zimna i ogromna, o posadzce wygładzonej przez milion stóp. Jej wnętrze wydaje się zbyt duże, puste, nawet gdy jest wypełnione. Lucrezia i jej służąca idą szybko przez nawę, z wysoko uniesioną lampą. Po obu stronach ciągną się tonące teraz w ciemności kaplice, wiele z nich sprzed stuleci. Najnowsza, wzniesiona przez Sykstusa IV, wyróżnia się, bo jest większa od pozostałych i nocą płoną w niej świece.

Przy okazji licznych spotkań w Watykanie Lucrezia słyszała nieraz, jak ludzie mówili o bazylice, stwierdzając, że w tym nowoczesnym Rzymie, wśród tylu nowych pałaców i kościołów, ta wielka stodoła nie jest już monumentem godnym centrum chrześcijańskiego świata. Jakież to byłby tryumf, gdyby na jej miejscu wzniesć nową, wspanialszą bazylikę Piotrową, świątynię zaprojektowaną zgodnie z nowym spojrzeniem na dziedzictwo starożytności, gmach na podobieństwo katedry we Florencji – słusznie rozslawionego w świecie Duomo. Papież, który troszczyłby się o Kościół tak samo jak o swoją rodzinę, byłby o tym pomyślał, powiedział pewnego razu hiszpański ambasador, nie wiedząc, że jest w zasięgu jej słuchu. Dostrzegł-szy ją, szybko spuścił oczy.

Kaplica, której szuka, to ta pod wezwaniem świętej Petroneli, córki świętego Piotra, w lewym transepcie. Ona także była przebudowywana, ostatni raz zaledwie dwa lata temu. Teraz mieści w sobie grób francuskiego kardynała Bilhères'a. Gdy umarł na letnią febrę, rzeźba, która miała tworzyć jego pomnik nagrobnym, była już ukończona, ale nie stała jeszcze na miejscu. Gdy się tam znalazła, w Rzymie zrobiło się o niej głośno: oto genialny młody rzeźbiarz z Florencji – ledwo dwudziestoletni, kiedy tu przyjechał – dokonał czegoś nadzwyczajnego, biorąc na warsztat wyobrażenie popularniejsze raczej w północnej Europie, by wyrazić własną wizję martwego Chrystusa i jego matki.

Lucrezia pierwszy raz poszła ją zobaczyć krótko po powrocie z Nepi, kiedy jej własny żal był wciąż ogromny i nieprzetrawiony – i od tamtej pory wracała, ilekroć ciężar życia okazywał się za duży. To miejsce niesie otuchę, której dotkliwie brakuje tam, gdzie pochowano Alfonsa. Jego pogrzeb był pospieszny i nędzny, a jedyna pamiątka bólu to pozbawiona charakteru marmurowa płyta z prostymi literami: jej mąż spoczywa zapomniany i zlekceważony w zapomnianym i zlekceważonym miejscu; tak haniebna była jego śmierć.

Ten pomnik jednak jest niezwykły. Lucrezia widziała wiele malowideł z Maryją Dziewicą i martwym Chrystusem zdejmowanym z krzyża, lecz przedstawione sceny były zawsze tłumne: uczniowie i kobiety pomagają Marii dźwigać Jego ciężar, bo jej postarzałe ciało, zdruzgotane żalem, jest tak samo bezwładne jak Jego zwłoki. Tutaj zaś ma do czynienia

z całkiem innym spojrzeniem na ten moment. Rzeźba przedstawia bowiem tylko Dziewicę i jej Syna. Jest z Nim sama. Ani zdruzgotana, ani postarzała. Ukazana jako pełna subtelności wdzięku młoda kobieta, siedzi niezachwianie, z lekko pochyloną głową i z kolanami rozsuniętymi pod obszerną szatą, by łatwiej podtrzymać nieznośny ciężar martwego Syna. I choć chwila, którą przedstawia ten wizerunek, jest przepełniona bólem, w nim samym nie ma nic bolesnego. Wręcz przeciwnie. Jej twarz jest wolna od cierpienia. Jest w niej smutek, o tak, lecz także spokój. Przyjęła bez szemrania każdą zgryzotę, jaka została jej dana; jakimś sposobem wiedziała o tym od momentu, w którym ukazał jej się anioł. Maria, Matka Boża, łaski pełna.

Nocą blask lampy wydobywający z mroku jej twarz pokazuje to wszystko wyraźnie. Za dnia także to widać, ale światło pada wtedy inaczej, ostrą smugą ze znajdującego się wyżej okna, tak że omija jej oblicze i skupia uwagę na drogocennym brzemieniu na jej łonie: ciele jej Syna. A On – cóż, On jest po prostu piękny. Spustoszenie krzyża jest prawie niewidoczne. Nie ma krwawych dziur zięjących w dłoniach i stopach, nie ma broczącej rany w Jego boku, a głowa nie nosi śladów razów i korony cierniowej. Nie ma w istocie niczego, co umniejszałoby podziw dla największego dzieła Boga: Jego jedyne Syna w doskonałym ludzkim ciele. Ciele ponownie ożywionym w marmurze ręką człowieka. Koło się zamknęło.

Lucrezii nie pozwolono długo tulić ciała Alfonsa. W pokoju wybuchł obłęd wrzasków i nawoływań i nie było czasu na zadumę, na prawdziwy lament. Tu jednak, przed martwym ciałem Chrystusa trzymanym w ramionach przez matkę, wypła do dna kielich żalu i znalazła trochę spokoju. Tutaj może się modlić i czuje, że jest wysłuchiwana. Tutaj zdołała rozstać się z przeszłością, wiedząc, że Bóg daje i Bóg odbiera, i cokolwiek się dzieje, człowiek musi to przyjąć.

Stoi jeszcze chwilę, próbując zapamiętać każdą fałdę marmurowej szaty, każdą linię tego ukochanego ciała. To niewykonalne, ale nie szkodzi: kiedy zamyka oczy, pozostaje wystarczająco wiele. Skinieniem głowy daje znak służącej i najszybciej jak mogą przechodzą przez mrok głównej nawy, przygotowując się na to, że na zewnątrz będzie jeszcze ciemniej.

Ale nie jest. Gdy wychodzą w noc, jest jasno. Niebo wypełniają miękkie białe płatki. To śnieg! Pada śnieg. Śnieg! Przez całe życie w Rzymie nie widziała czegoś takiego.

Obie kobiety stoją oczarowane. Służąca podnosi ręce w spontanicznym geście zdumienia, Lucrezia robi to samo. Uśmiechają się do siebie, a nawet śmieją jak dzieci, i dopiero po chwili otulają się szczerzej płaszczami i biegną na ukos ku drzwiom, zostawiając mokre ślady na cienkim białym dywanie. Śnieg. Co za oprawa dla wyjazdu!

Pałac już nie śpi. Na dziedzińcu służący przytwierdzają do grzbietów mułów ostatnie tobołki. Na ramionach mają już białe pelerynki, głowy trzymają nisko, by lepkie płatki nie leciały im do oczu. Jest tam też jej garderobiana, szukająca skrzyni, którą musi wypakować. Strój podróżny, który wybrały dla Lucrezii, nie będzie wystarczająco ciepły. Trzeba znaleźć futra i płaszcze odłożone dopiero na drogę przez Apeniny. Dostrzega swoją panią na schodach.

– Pani, wracajcie do łóżka. Zamarzniecie tutaj!

– Jak mogę spać? Wyjeżdżamy – odpowiada, ze wzrokiem utkwionym w milczący poemat białego nocnego nieba. – Patrz! Jest cudownie.

Nie dla tych jednak, którzy się pod nim uwijają. Chuchają w zgrabiące dłonie i przytupują; czekają ich odmrożenia i spierzchnięta skóra. Lucrezia każe podać im grzane wino. To ostatnie, co zrobi jako głowa swojego rzymskiego dworu.

– Wszystko, moja córko, wszystko, co zechcesz. Powiedz tylko słówko.

Godzinę później żegna się z ojcem. Aleksander siedzi w swoim fotelu, w którym spędza ostatnio większość czasu, Lucrezia na jedwabnej poduszce u jego stóp. Trzymają się za ręce. To ona opuszcza dom, a mimo to przypada jej rola pocieszycielki. Jego łzy kapią na ich złączone

dłonie. Wszyscy wiedzą, że gdy papież zacznie płakać, trudno mu przestać.

– Masz do mnie pisać codziennie, własnoręcznie. Słyszysz? Konie będą pędzić przez kraj jak wiatr, więc będzie prawie tak, jakbyśmy rozmawiali. Twój nowy teść ma opinię... no cóż, sknery. Nie pozwól, by dusił twój posąg. Czegokolwiek będziesz potrzebowała, masz mi mówić, rozumiesz? O, jak mam cię puścić tak daleko?

I podnosi ją z poduszki, i przyciąga do siebie, miażdżąc w uścisku.

– Wszystko będzie dobrze, ojczy. Znosiliśmy rozstanie już przedtem i zniesiemy je teraz. – Lucrezia wyswobadza się delikatnie. – Już prawie świt. Niedługo muszę ruszać.

– Musisz się zatroszczyć, by twój mąż przychodził do ciebie każdej nocy. Będą chcieli szybko mieć potomka rodu. Więc... co noc... – mówi Aleksander z nagłą pasją, jak gdyby właśnie przypomniał sobie mnóstwo niezmiernie ważnych rzeczy, które musi jej powiedzieć. – Otwórz dla niego ramiona. Witaj go z sercem, ale nigdy nie narzekaj, gdy będzie odchodził. Mężczyźni... hmm, mężczyźni często tacy są. Jesteś Borgią i zasługujesz na cześć, ale możliwe, że będziesz musiała wytrzymywać...

– *Papà*, wszystko w porządku. Byłam już dwa razy zamężna. Wiem, co należy do moich obowiązków. Ale teraz... Pogoda jest fatalna. Jeśli wkrótce nie wyjedziemy...

Papież podnosi wzrok ku oknu, z którego sączy się widmowa poświata.

– Nie, o nie... Spójrz tylko: tam jest okropnie.

Lucrezia zaczyna podnosić się z klęczek, gdy otwierają się drzwi i staje w nich Cesare, czarny i zwinny jak pantera, pulsujący energią. Dla niego to środek dnia.

– O, Cesare! Powiedz swojej siostrze, że nie może jechać. Popatrz na niebo. Powiedz jej, że musi zostać jeszcze jeden dzień.

– Obawiam się, że to niemożliwe. – Cesare podchodzi do tronu i wyciąga rękę, by pomóc jej wstać, jakby zapraszał ją do tańca. – To długa podróż, a cała Ferrara czeka na swoją nową księżną. Nieprawdaż, siostrze?

– Tak – odpowiada z uśmiechem, bo nic nie może przygasić jej podniecenia. Ostatnie dni upłynęły w wirze publicznych obchodów i bez szans na chwilę intymności brat i siostra raczej się mijali, niż mogli wyjść sobie naprzeciw. A więc to teraz: czas na ostatnie pożegnanie. – Tak, to -prawda.

– Powiedziałaś jej, *papà*? – Cesare wciąż mocno trzyma jej dłoń.

– O czym?

– O tym, co będzie.

– Masz na myśli mojego męża i teścia? Nie musicie się tym martwić. Mam doświadczenie, jeśli chodzi o życie z trudnymi mężczyznami.

– Ha! Dobrze powiedziane! – Papież się śmieje. – Mój Boże, chciałbym zobaczyć minę tego starego kutwy, kiedy cię ujrzy. Reszty Lucrezia nie musi na razie wiedzieć, Cesare.

– Jakiej reszty? – pyta, popatrując na nich obu.

Aleksander macha ręką.

– To tylko plany. Plany!

– Mimo to twierdzą, że lepiej, by była przygotowana. – Cesare mówi szorstko, bardziej jak ojciec do syna niż na odwrót. Aleksander wykonuje mały, lekceważący gest, jakby rzecz nie była warta sporu. Gwiazda Cesarego wznosi się coraz wyżej, a papież sprawia wrażenie, że zaczyna bać się własnego syna. – W nadchodzącym roku czekają nas wielkie rzeczy, Lucrezio: wydarzenia, które zmienią oblicze Italii. Przysporzą nam jednak także więcej wrogów.

– W takim razie *papà* z całą pewnością ma rację – mówi Lucrezia niespokojnie. – Lepiej, żebym nie wiedziała.

– Niemniej jednak dotknie to i ciebie. To sprawa rodzinna i jako jedna z Borgiów

będziesz postrzegana jako jej uczestniczka.

Sprawa rodzinna. Lucrezia wpatruje się w brata.

– Zapominasz, Cesare, że wydaliście mnie za mąż do Ferrary. Jestem teraz Borgią tylko w połowie. Druga połowa należy do rodziny d’Este. – I uśmiecha się pogodnie, jakby był to, ostatecznie, tylko żart. Zerka w stronę okna, za którym śnieg sypie teraz nieprzerwanie. – Muszę iść.

– Tak. Skoro musisz, to musisz. Och, chodź tu, chodź, ucałuj mnie jeszcze raz. – Papież otwiera ramiona i Lucrezia po raz ostatni zaznaje tego niedźwiedziego uścisku miłości. – Jak ja bez ciebie przeżyję? – Słyszy, jak jego głos łamie się wraz z nową falą łez, i teraz musi dać z siebie wszystko, by do niego nie dołączyć.

Z drugiego końca komnaty Cesare przygląda im się z suchymi oczami.

Lucrezia wygładza spódnice i podnosi wysoko głowę, idąc ku niemu. Taki piękny mężczyzna, Cesare Borgia, cały z lodu i ognia. Niedawno zauważyła jedynie, z bliska, że twarz ma czasem trochę zaczerwienioną, tu i ówdzie poznaczoną plamkami, tam gdzie purpurowe wykwyty pozostawiły delikatne ślady. A zatem – już nie bez skazy.

– Do widzenia, mój drogi, drogi księżę Valentino – mówi, obejmując go. – Obiecuj mi, że będziesz na siebie uważał, walcząc w tych wszystkich bitwach.

– Ty też na siebie uważaj. – Wypuszcza ją z objęć, ale tylko po to, by przytrzymać ją przed sobą na odległość ramienia. – A więc... – zniża głos do szeptu. – A więc, ukochana siostrze, usłyszę to teraz?

– Usłyszysz co? – odpowiada, z uśmiechem wciąż drżącym na wargach.

– Że mnie kochasz i że mi przebaczyłaś.

– Och, Cesare... Oczywiście, że cię kocham. Jesteś moim bratem.

On wciąż jednak czeka.

– Jesteś moim bratem – powtarza i teraz to jej głos się łamie, gdy wysuwa dłonie z jego uścisku.

Przed Salą Papieży stoi Johannes Burchard – tak blisko drzwi, że nie sposób nie pomyśleć, że jego ucho znajdowało się jeszcze przed chwilą przy dziurce od klucza. Mimo upływu wielu lat nie nauczył się katalońskiego na tyle, by nadążyć za bystrym potokiem słów, lecz kryjące się za nimi emocje rozpoznaje aż za dobrze.

– Pani – mówi, natychmiast zeszytywniały. – Jestem... Jesteście... Pytają już o was na dziedzińcu.

– Tak, tak, już idę – odpowiada Lucrezia, opanowując się.

– Życzę wam bezpiecznej podróży. – Burchard składa ukłon. – I modłę się, by miasto Ferrara dbało o was tak dobrze, jak na to zasługujecie.

– Do widzenia. – Lucrezia ujmuje jego dłoń. – I dziękuję, dziękuję za życzenia.

Na chwilę zapada niezręczne milczenie, po czym Lucrezia dodaje porywczo:

– Johannesie, wiem... wiem, że czasem jesteśmy... cóż, jako rodzina mamy wielu wrogów. Ale mój ojciec bardzo cię potrzebuje. A ja wiem, że się o niego troszczysz. Za co ci dziękuję – mówi jeszcze raz i całuje go w policzek.

Wyraz całkowitego zaskoczenia na jego twarzy będzie jej towarzyszył przez wiele mil drogi.

W jej pałacu dwórki krzątają się wokół niej, nakładając na nią kolejne warstwy odzieży, wełnianą pelerynę, futrzaną czapkę, rękawiczki. Niewątpliwie powinna skorzystać z lektyki, dzięki temu pozostałaby sucha. Za bardzo jednak zależy jej, by wszystko widzieć. Wspina się na muła, na specjalne siodło, które ma jej zapewnić wygodną jazdę, i kawalkada rusza z dziedzińca, wzdłuż frontu Watykanu, w stronę Via Alessandrina. Śnieg jest teraz gęściejszy, spadające płatki

wirują jak oszołomione tancerki.

Lucrezia zadziera głowę i patrzy w okna na pierwszym piętrze, bo wie, że zobaczy tam ojca, z dużą twarzą przyciśniętą do grubego szkła i uniesionymi rękoma, machającego i machającego na pożegnanie. Odwzajemnia gest i poświęca więcej uwagi mułowi, który, gdyby pozwolono mu kierować się własnym rozumem, nie wybierałby się nigdzie w taką pogodę. Gdy rusza, Aleksander idzie w ślad za nią, do następnego okna sali. I do następnego. I do następnego. Będzie teraz toczył się, sapiąc, z komnaty do komnaty, przez całą długość watykańskiego korytarza, by dotrzymać jej kroku, desperacko łaknąc ostatniego spojrzenia, zanim w końcu skręci za róg i zniknie mu z oczu.

Procesja przechodzi przez Ponte Sant' Angelo i powoli zmierza w stronę Piazza del Popolo. Śnieg sprawia, że wszędzie panuje niesamowita cisza; jest tak gęsty, że ma się wrażenie, jakby spowijała ich wilgotna mgła. Mgła. Jadą do miasta mgły. Unosi się znad rzeki i rozwija jak gruby koc, tak że niekiedy – jak jej mówiono – człowiek nie widzi własnej dłoni trzymanej tuż przed twarzą. Lucrezia wyciąga rękę. Dostrzega haftowaną skórę rękawiczki, ale nic poza nią.

Rzym zniknął i wzywa ją Ferrara. Dociska pięty do boków muła. Teraz nie ma już odwrotu.

– Wasza Świątobliwość! – woła Burchard. – Czy wszystko dobrze?

Aleksander, zgarbiony i zmięty, opiera się o ścianę przy ostatnim oknie, z twarzą wykrzywioną od łkań.

– Pojechała. Już jej nie ma, Burchardzie. Już nigdy nie zobaczę jej słodkiej uśmiechniętej twarzyczki.

– Ależ oczywiście, że zobaczycie. W kontrakcie małżeńskim jest odpowiednia klauzula, czyżbyście nie pamiętali? W przyszłym roku zwołacie konsystorz kardynałów w Ferrarze, by móc ją odwiedzić.

Papież kręci głową.

– To się nigdy nie wydarzy. Wiem to. Czuję to. Czuję to, o tu, jak ból – dodaje, dramatycznie łapiąc się za serce.

– Czy mam sprowadzić medyków?

– Ha! Medycy! Nic nie poradzą na takie dolegliwości. To nie choroba, to przeczucie. Ojcowskie przeczucie.

Burchard wpatruje się w niego. Przez całe życie nie spotkał drugiego człowieka, którym tak ustawicznie miotająby tak silne uczucia. Spędzili razem prawie dziesięć lat, spięci jarzmem nieprawdopodobnej współpracy. I przy wszystkim, czego nie pochwała... „Papież biegał od okna do okna, żeby nie stracić jej z oczu. Tak bardzo tęskni za swoją córką”. Tak powiedzą ci, którzy to widzieli, myśli, i nie zdając sobie z tego sprawy, dotyka policzka, w miejscu, gdzie musnęły go wargi Lucrezii.

– Zabierzemy was do łóżka, Ojcie Świąty. – Daje znak papieskiemu szambelanowi, jak zawsze krążącemu w pobliżu.

– Nie, nie. Nie do łóżka. – Aleksander zaczyna się otrząsać. – Nic dobrego nie przyjdzie mi z wylegiwania w łóżku. Nie teraz. Już wstał dzień.

Odwraca się. Na drugim końcu amfilady, przez którą przeszedł, w otwartych drzwiach stoi Cesare – czarna sylwetka na tle nieziemskiego białego światła śnieżnego poranka – i czeka.

– Napiję się grzanego wina i zjem trochę zupy! – woła za siebie, człapiąc z powrotem długim korytarzem, a papieska szata opływa jego pękata postać jak wezbrana rzeka jedwabiu. – Książę i ja mamy co robić.



Epilog historyczny



Borgiowie ucierpieli od nadmiaru złej prasy jak mało kto w historii. Jakkolwiek ich postępowanie – osobiste i polityczne – było często brutalne i naznaczone zepsuciem, żyli w brutalnych i naznaczonych zepsuciem czasach, a głód dyplomatycznej plotki i skandalu oraz niewątpliwe uprzedzenie w stosunku do ich hiszpańskiej narodowości odegrały swoją rolę w podkolorowaniu i tak barwnych dziejów. Gdy szkalujące pogłoski docierały za granicę, wiele z nich bez podawania w wątpliwość włączano do kronik. Technika selektywnego doboru informacji była, jak się zdaje, polityczną sztuką znaną na długo przed nastaniem nowoczesnego świata.

Jakkolwiek bez najmniejszej skruchy przyznaję, że niniejsza powieść jest dziełem wyobraźni, pisząc ją, czerpałam pełnymi garściami z prac współczesnych historyków, których osąd na temat Borgiów jest znacznie ostrożniejszy i bardziej wnikliwy, niż to bywało w przeszłości. Zapoznawałam się z ich poglądami i jeśli były dostępne świadectwa z epoki (czy to prawdziwe, czy fałszywe) – jak listy, raporty, mowy lub diariusze – włączałam je do tekstu. Swobodnie potraktowałam jedynie żywot Pedra Calderóna, który był wprawdzie dworzaninem papieża, lecz nigdy, o ile mi wiadomo, nie służył wyłącznie Cesaremu Borgii.

Oprócz tego pozostają pewne wątpliwości co do niektórych wypadków w tej zagmatwanej historii. W szczególności jest to kwestia, kto zabił Juana Borgię. Podczas gdy wielu historyków uważa obecnie, że morderstwo było dziełem rodziny Orsinich, są też nadal tacy, którzy sądzą, że dokonał go sam Cesare (mimo że pierwsza sugestia, że mógł być zamieszany w ten mord, pojawiła się niemal rok od śmierci Juana). Podobnie niektórzy spekulują, że w pierwszych miesiącach roku 1498, po romansie z Pedrem Calderónem, sługą na papieskim dworze, Lucrezia urodziła dziecko. Inni są zdania, że rodzicami dziecka byli papież i jego kochanka Giulia Farnese (później Aleksander uznał swoje ojcostwo); jeszcze inni – że spłodził je Cesare. W tych i analogicznych przypadkach, w których nie było zgody wśród historyków (czy Caterina Sforza próbowała zabić papieża, czy też Borgiowie sfabrykowali spisek, by usprawiedliwić własną agresję? Czy Cesare Borgia istotnie wydał w Watykanie bankiet z udziałem kurtyzan, czy było to oszczerstwo, które z czasem stało się faktem?), pozwoliłam sobie napisać to, co uważałam za psychologicznie prawdopodobne w świetle wyłaniających się z badań informacji o charakterach poszczególnych postaci. Nie jestem w tym ani bliżej prawdy, ani zapewne bardziej w błędzie niż ktokolwiek inny. Jedną z najbardziej fascynujących cech historii – a historii tej rodziny w szczególności – jest to, że czasami po prostu nie wiemy. I tu, rzecz jasna, otwiera się przestrzeń dla fikcji, z wszystkimi przyjemnościami i wyzwaniem.

Gdybyście mieli ochotę wyrobić sobie własne zdanie na temat wspomnianych wydarzeń i samych Borgiów, lista lektur na następnych stronach będzie dobrym punktem wyjścia. Nie napisałabym *Krwi i piękna* bez tych książek i wiele zawdzięczam ich autorom, żywym i martwym.

Jeśli los pozwoli – a Fortuna jest, jak wiemy, kapryśną boginią – za kilka lat ta powieść doczeka się kontynuacji. Przypuszczalnie nie zaskoczy was stwierdzenie, że dalsza historia Borgiów nie staje się ani trochę mniej ekscytująca.

Sarah Dunant

Florencja, czerwiec 2012

Bibliografia



- Arrizabalaga Jon, Henderson John, French Roger, *The Great Pox: the French Disease in Renaissance Europe*, Yale University Press, 1997
- Bellonci Maria, *Lucrezia Borgia*, Phoenix Press, 2003
- Bradford Sarah, *Cesare Borgia: His Life and Times*, Weidenfeld & Nicolson, 1976
- , *Lucrezia Borgia: Life, Love, and Death in Renaissance Italy*, Viking Press, 2004
- Brown Kevin, *The Pox: The Life and Near Death of a Very Social Disease*, Sutton Publishing, 2006
- Burchard Johann, *At the Court of the Borgia*, red. i tłum. Geoffrey Parker, Folio Society, 1963
- Castiglione Baldassare, *The Book of the Courtier*, tłum. George Bull, Penguin, 1967
- Chamberlin E.R., *The Fall of the House of Borgia*, Temple Smith, 1974
- Chambers David, *Papal conclaves and prophetic mystery in the Sistine Chapel*, „Journal of the Warburg and Courtauld Institutes” 1978
- Cummins J.S., *Pox and paranoia in Renaissance Europe*, „History Today” 1988
- Gregorovius Ferdinand, *Lucretia Borgia*, tłum. J.L. Garner, John Murray, 1908
- Grendler Paul F., *Schooling in Renaissance Italy: Literacy and Learning, 1300–1600*, Johns Hopkins University Press, 1989
- , *The Universities of the Italian Renaissance*, Johns Hopkins University Press, 2002
- Lev Elizabeth, *The Tigress of Forlì: Renaissance Italy's Most Courageous and Notorious Countess, Caterina Riario Sforza de' Medici*, Houghton Mifflin Harcourt, 2011
- Machiavelli Niccolò, *The Art of War*, Dover Publications, 2006
- , *The Prince*, University of Chicago Press, 1998
- Majanlahti Anthony, *The Families Who Made Rome: A History and a Guide*, Chatto & Windus, 2005
- Mallett Michael, *The Borgias: The Rise and Fall of a Renaissance Dynasty*, Academy Chicago, 1987
- Partner Peter, *Papal financial policy in the Renaissance and Counter-Reformation*, „Past and Present” 1980
- Pastor Ludwig, *The History of the Popes from the Close of the Middle Ages*, Kegan Paul, Trench, Trubner and Co., 1899–1908
- Rolfe Frederick (Baron Corvo), *A History of the Borgias*, Modern Library, 1931
- Roo Peter de, *Material for a History of Pope Alexander VI: His Relatives and His Time*, Desclee de Brouwer, 1924
- Rowland Ingrid D., *The Culture of the High Renaissance: Ancients and Moderns in Sixteenth-Century Rome*, Cambridge University Press, 1998
- Sabatini Rafael, *The Life of Cesare Borgia: A History and Some Criticisms*, S. Paul, 1926
- Setton Kenneth M., *The Papacy and the Levant, 1204–1571*, American Philosophical Society, 1976
- Shaw Christine, *Julius II: The Warrior Pope*, Blackwell, 1993

Stinger Charles L., *The Renaissance in Rome*, Indiana University Press, 1998
Taylor F.L., *The Art of War in Italy, 1494–1529*, Cambridge University Press, 1921

Podziękowania



Pisząc *Krew i piękno*, zaciągnęłam dług wdzięczności wobec wielu osób i miejsc.

W Londynie nieocenioną pomocą w badaniach służyły mi British Library i Instytut Warburga przy Uniwersytecie Londyńskim. Za wczesną lekturę i płynące z niej rady muszę podziękować Clare Alexander, Hannah Charlton i Ianowi Grojnowskiemu, za późną zaś – Williamowi Wallace’owi i Timowi Demetrisowi. W szczególności ten ostatni wybawił mnie wiele razy od moich własnych błędów.

We Włoszech miasta Forlì, Imola, Faenza, Cesena i Nepi ukazały mi nęcące skrawki swojej wojowniczej przeszłości, w Rzymie natomiast, w Muzeum Watykańskim, Carlos Maldonado udzielił mi specjalnych zezwoleń i pomocy podczas zwiedzania apartamentów Borgiaów.

Londyn 2013

www.sarahdunant.com

Od tłumaczki



Na kartach powieści roi się od postaci historycznych – zarówno powszechnie, jak i bardzo mało znanych. Utało się, że imiona, a czasem i nazwiska postaci obecnych od dawna w naszej kulturze podawane są w formie spolszczonej. W większości opracowań historycznych i encyklopedycznych, a także w literaturze pięknej znajdziemy zatem Lukrecję i Cezara Borgiów, Wawrzyńca Medyceusza, Ludwika i Katarzynę Sforzów. Rodzi to jednak nieuchronne wątpliwości co do tego, gdzie postawić granicę. Czy Giovanni Sforza jest wystarczająco znany, by stać się Janem, a kardynał Ascanio – Askaniuszem? Czy niepozornego młodego Giovanniego de' Medici, który dopiero po zakończeniu akcji powieści stanie się papieżem Leonem X, przemianować na Jana Medyceusza, czy dla odmiany wielkiemu Wawrzyńcowi zwrócić jego prawdziwe imię Lorenzo? Czy Jofré, najmłodszy potomek Rodriga Borgii i Vannozzy, „zasłużył” sobie, by w ślad za sławniejszym rodzeństwem stać się... Gotfrydem? A co z nieszczęsnym pyszałkowatym Juanem? Czy aby swojski „Jan” nie rozwodni tej gęstej hiszpańskiej krwi?

Poza regułą nakazującą polszczyć imiona władców i papieży, która jest rzeczywiście konsekwentnie stosowana, sposób postępowania z imionami postaci w obrębie jednej publikacji zdaje się zależeć wyłącznie od arbitralnej decyzji autora, tłumacza lub redaktora – co rzadko owocuje spójnym stylistycznie i logicznie tekstem. Dlatego, korzystając z tego prawa, w imię jednorodności zrezygnowałam z polonizowania, wyjątek zgodnie z regułą czyniąc dla papieży i królów – ale już nie dla licznych przedstawicieli rodów panujących miast-państw, o których mowa w tekście. Mam nadzieję, że Czytelnik nie weźmie mi tego za złe i doceni szczególnie koloryt powieści, o który tak pieczołowicie zadbała autorka.

Przypisy

[1] Objawienie 19, 11; Pismo Święte w przekładzie Nowego Świata, dostęp: 27.12.2013 [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].

[2] Chodzi o ocenę osiągnięć naukowych na uniwersytecie formułowaną zwyczajowo po łacinie jako *cum laude* („chwalebnie”) i stosowaną (także w stopniach wyższych: *magna cum laude*, *summa cum laude*) po dziś dzień.

[3] *Noli me tangere* (łac.) – „nie dotykaj mnie”; według Wulgaty słowa zmartwychwstałego Chrystusa do Marii Magdaleny (J 20, 17).

[4] Aluzja do jednej z przygód Odyseusza, który w drodze do Itaki trafił do kraju Lotofagów (dosł. zjadaczy lotosu). Kiedy towarzysze Odysa udali się na zwiad po przybiciu do brzegu, „dali im Lotofagowie skosztować lotosu. Skoro jednak ktoś zje lotosu miodny plon, już ani wracać nie chce, ani dać wieści o sobie, tak i ci woleli zostać u Lotofagów, razem z nimi zrywać lotos i zapomnieć o powrocie” (*Odyseja*, pieśń IX, przeł. J. Parandowski, Warszawa 1965, s. 141).

[5] Por. tekst *Boskiej Komedii* w przekładzie Edwarda Porębowicza – „Piekło”, Pieśń XX, ww. 7–24.

[6] Łacińskie słowo *virago* można tłumaczyć jako „kobieta mężna”, a więc wykazująca siłę, dzielność i ogólnie *virtus* – tężyznę ducha i ciała – właściwe mężczyźnie. W czasach przedemancypacyjnych zasłużenie sobie na takie miano wiązało się nieuchronnie z transgresją kulturową, toteż określenie mogło mieć równie dobrze wydźwięk pejoratywny i znaczyć tyle, co „babochłop” czy „megiera”.

[7] Schifanoia – od wł. *schivar la noia* – dosł. uniknąć nudy.

[8] *Ducati auri de camera* (sc. *Camera Apostolica*) – złote dukaty bite przez papieży.